

· C · H · A · R · L · I · E ·
FLETCHER

NADZÓR



fabryka słów®
WYDAWNICTWO

Ekscytujący, oszałamiający, straszny i poruszający w równym stopniu „Nadzór” jest bogatym obrazem świata złych uczynków i czarnej magii w błyskotliwej oprawie. Wygląda to na początek czegoś niesamowitego.

M. R. Carey

Wiktoriański Londyn Fletchera jest bogaty, żywy i przetkany nicią makabrycznego humoru. Czai się w nim prawdziwe niebezpieczeństwo ze świata naturalnego i paranormalnego, niebezpieczeństwo, które pożądliwie wyczekuje na każde potknięcie.

Frances Hardinge

Niesamowita atmosfera, intensywny wycinek epoki wiktoriańskiej – gotycki, ze wspaniale ukazany światem, w którym zwyczajne sąsiaduje z niezwykłym.

Adam Roberts

Frapująca – mariaż Charlesa Dickensa i Susanny Clarke.

Lou Morgan

Spis treści

Karta tytułowa

Zalety istnienia mieszańców

CZĘŚĆ PIERWSZA. Krzycząca dziewczyna

- I. Dom przy Wellclose Square
- II. Kobieta w czerni i mężczyzna w granacie
- III. Dobry uczynek
- IV. Dłoń w rękawicze
- V. Godło na krwawniku
- VI. Brakujący jednorożec
- VII. Lśniące ostrza w ciemnym zaułku
- VIII. Straż cienia
- IX. Cela z trzech rodzajów drewna
- X. Wyłamywanie zamka
- XI. Zielony człowiek
- XII. Niepodkuty koń
- XIII. Przylądek i przystań
- XIV. Tymczasem...
- XV. Kościozwierz
- XVI. Wezwanie
- XVII. Noc na Mare Street
- XVIII. Pierwsze prawo
- XIX. Smrodliwe ostrze
- XX. Uciszac
- XXI. Czerwona biblioteka
- XXII. Teriernik
- XXIII. Nocny złodziej
- XXIV. Banialuka kowala
- XXV. Co usłyszał dom

XXVI. Błogosławieństwo Bunyona

XXVII. Serwantka z Murano

CZĘŚĆ DRUGA. Utracona ręka

Moc piątki

XXVIII. Świniogłowa kobieta i ręka chwały

XXIX. Nocni jeźdźcy

XXX. Jednoręka

XXXI. Uśmiech na gardle

XXXII. Zatrzaśnięta pułapka

XXXIII. Śniadanie Pyefincha

XXXIV. Zaproszenie na polowanie

XXXV. Węgorze na śniadanie

XXXVI. Brzytwy i króliki

XXXVII. Zrzucana maska i martwy obywatel

XXXVIII. Dwa trefne domy

XXXIX. Fatalne spotkanie

XL. Alp na strychu

XLI. Widma przeszłości

XLII. Sąd cyrkowy

XLIII. Zerwana uwięź

XLIV. Długa ręka

XLV. Alp patrzy w księżyc

XLVI. Przedstawienie trwa

XLVII. Łowy na łowcę

XLVIII. Mechaniczny Maur i czytanie w myślach

XLIX. Mozaika rozpaczy

L. Ujawnienie ręki na-barno

CZĘŚĆ TRZECIA. Złamana ręka

Braterstwo rąk

Interludium

LI. Co zdarzyło się na Wych Street

LII. Wieczorna wypitka

- LIII. Kłębki z Coburga
- LIV. Spalony jak czarownica
- LV. Niewidzialna nić
- LVI. Niezręczna bliskość
- LVII. Pakowanie
- LVIII. Odłożony zamiar
- LIX. Pożegnanie
- LX. Bitwa czarodziejów
- LXI. Kres
- LXII. Kontratak eagle'ów
- LXIII. Zgubne spotkanie przy księżycu
- LXIV. Wymiana ze sluagh
- LXV. Wędrowiec pomiędzy światami
- LXVI. Szlak wodny
- LXVII. Ogary poszły w soho
- LXVIII. Zdeptana lilia
- LXIX. Rozmowa alpa z psem, który nie szczeka

CZĘŚĆ CZWARTA. Pięć kamyków

Interludium

LXX. Bitwa na Blackwall Reach

LXXI. Basen portowy na Regent's Canal

LXXII. Dzwonki we mgle

LXXIII. Pożegnanie

Epilog

Dramatis personae

Podziękowania

Karta redakcyjna

Okładka

• C • H • A • R • L • I • E •
FLETCHER

NADZÓR

Ilustracje: PAWEŁ ZARĘBA
Przełożył: MAREK NAJTER

"TRYLOGIA NADZORU"

•
TOM I - NADZÓR
TOM II - THE PARADOX
TOM III - THE REMNANT

fabryka słów®

Lublin - Warszawa

*Dla Margaret Fletcher,
z wyrazami miłości*

Zalety istnienia mieszańców

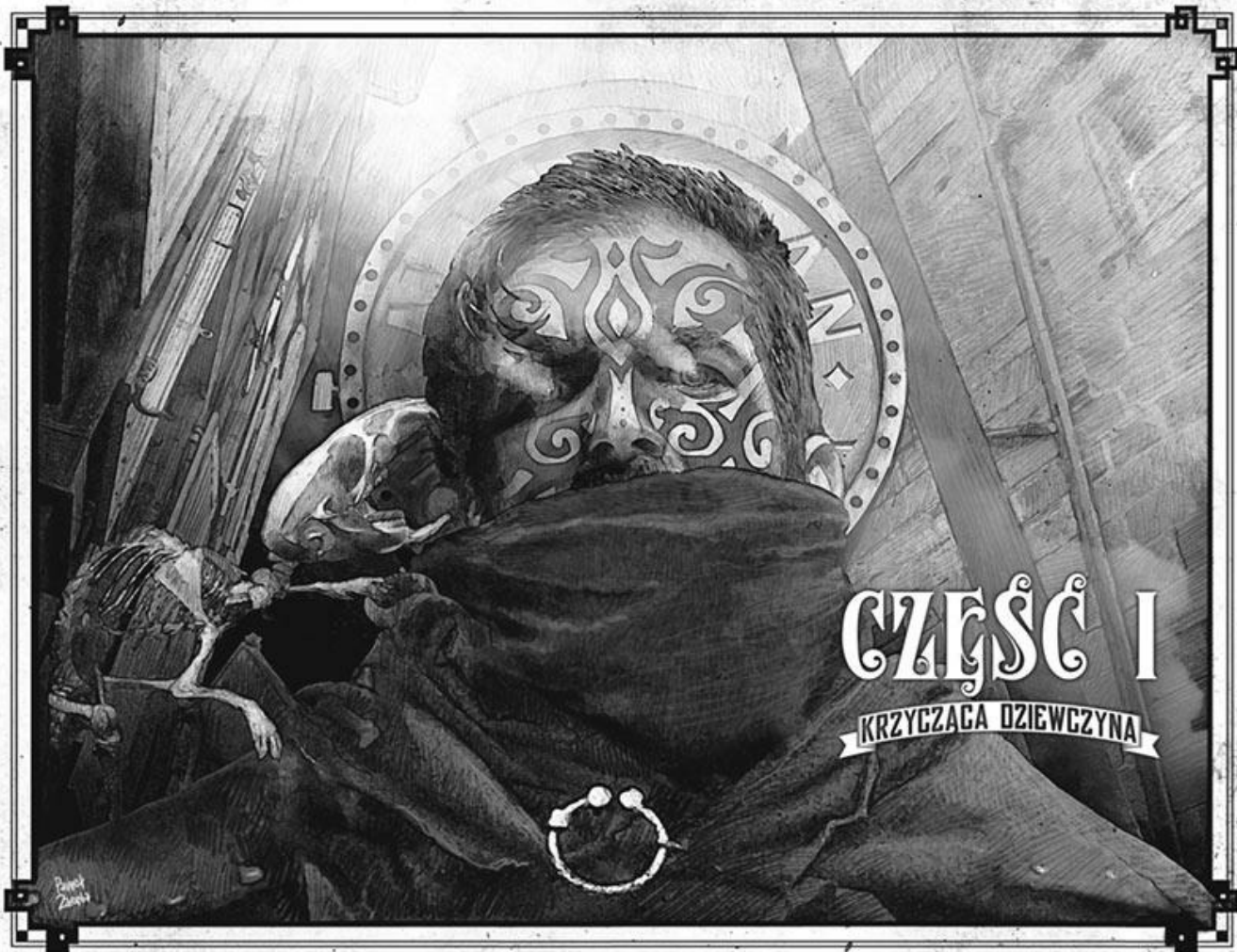
Śmiertelnicy i istoty nadnaturalne zamieszkują równolegle ten sam świat, ale nie widzą się nawzajem – jak mieszkańcy domu, którzy bywają w nim o różnych porach i tylko czasem mijają się na wąskich schodach. Nie mówią tym samym językiem, mają inne zwyczaje, a ich postrzeganie świata, praw i zachowań, które nim rządzą, jest całkiem przeciwstawne.

Dostrzegają się tylko wtedy, gdy na siebie wpadną, a kiedy tak się dzieje, zachodzą wydarzenia tajemne i niefortunne zarazem. To ze względu na to tak ważne jest, by niewielkie przestrzenie, w których to przenikanie jest możliwe, rządziły się określonymi zasadami i by przestrzegania tych zasad ktoś pilnował.

Przez całe wieki niewiele było równie dużych skupisk ludzkich, co wielkie cielsko miejskie rozciągnięte na brzegach Tamizy, i właśnie w celu uregulowania interakcji pomiędzy istotami śmiertelnymi i nadnaturalnymi zostało utworzone prastare Wolne Bractwo znane jako Nadzór Londyński.

Paradoksem jest, być może budzącym zainteresowanie tylko kolekcjonerów osobliwych i ironicznych zdarzeń, że ta cienista granica jest pilnowana przez tych, w których żyłach płynie krew obu ras... Ujmując to inaczej, niewidzialnego kordonu zapobiegającego przenikaniu się światów pilnują mieszańcy.

Wyjątek z *Wielkiej i tajemnej historii świata*
autorstwa rabina doktora Hayyima Samuela Falka
(znanego również jako Ba'al Shem z Londynu)



CZEŚĆ I

KRZYCZĄCA DZIEWCZYNA



ROZDZIAŁ I

Dom przy Wellclose Square

Gdyby tylko ta przeklęta dziewczyna się tak nie miotła. Gdyby tylko tak nie wrzeszczała – wtedy nie musiałyby jej kneblować.

Gdyby była cicho i dała się związać, nie musiałyby jej wsadzać do worka.

A gdyby nie musiał jej wsadzać do worka, mogłaby iść, a tak zmuszony był targać ją na plecach przez całą drogę do domu Żyda.

Bill Ketch nie był brutalem. Życie pozbawiło go paru zębów i więcej niż raz złamało mu nos, ale nie zmieniło go w zwierzę – miał w sobie na tyle człowieczeństwa, by czuć się źle z powodu tego, co robił. Nie podobało mu się, że dziewczyna jęczy tak głośno i rzuca się w worku, ściągając uwagę przechodniów.

Lanie niczego nie zmieniło. Może i dużo krzyczała, ale w oczach miała ten błysk, coś twardego, niezłomnego, i to właśnie ta hardość drażniła go i przyczyniła się do decyzji, by sprzedać ją Żydowi.

Tak podpowiadał mu głos w głowie, cichy, nieśmiały, ale skutecznie zagłuszający podszepty sumienia.

Ulice były opustoszałe, a unosząca się znad Tamizy mgła tłumiała światła lamp gazowych przy Seaman's Hostel, zmieniając je w plamy jasności. Kiedy skręcił na Wellclose Square, zauważył mignięcie ognika zapalniczki. Wielki brodaty rudzielec zapalał sobie fajkę. Stał pod

duńskim kościołem razem z grupką ludzi skupionych wokół wózka pełnego pudeł ze świecami. Na szczęście nie zauważyli, jak Ketch przekrada się pospiesznie drugą stroną ulicy w kierunku domu przy końcu placu. Pod okazałym budynkiem rafinerii, który mijał, stał zaprzężony powóz, ale nikogo przy nim nie było.

Cieszył się, że plac jest o tej porze tak wyludniony. Nie miał ochoty nikomu się tłumaczyć, dlaczego dźwiga taki dziwny ładunek ani dokąd zmierza.

Kudłacz w Trzech Kulasach dał mu dokładne wskazówki. Stosując się do nich, pochylił się, przechodząc przed bramą frontową, i ominąwszy główne wejście, skierował się za róg, a następnie śliskimi schodkami w dół, do bocznych drzwi. Ciemne przejście pomiędzy budynkami oświetlała jedna lampa, która walczyła dzielnie z mrokiem jeszcze gęstszym tu, na końcu placu, bliżej Tamizy.

Przed nim znajdowało się dwoje drzwi. Pierwsze, zrobione z żelaznych sztab, jak więzienne, stały na oścież, przylegając do ceglanej ściany budynku. Drugie, z ciemnej dębiny, nabijane wypukłymi ćwiekami, były zamknięte, a wieniec gwoździ stwarzał wrażenie, jakby zostały zabite.

Ketch zauważył obok rączkę z napisem POCIĄGNAĆ, jednak gdy to zrobił, z wnętrza nie dobiegł żaden odgłos dzwonka. Pociągnął ponownie. I znów cisza. Już miał szarpnąć po raz trzeci, gdy rozległ się metaliczny zgrzyt i w wąskiej szparze wizjera pojawiło się dwoje oczu. Poza nimi widać było tylko półmrok panujący w pomieszczeniu.

Właściciel oczu milczał. Przez chwilę ciszę zakłócało jedynie dobiegające z worka pojękiwanie.

Oczy wodziły od Ketcha do worka i z powrotem. Potem rozległ się odgłos niuchania, jakby strażnik obwąchiwał gościa.

Ketch odchrząknął.

– To dom Żyda?

Właściciel oczu nadal milczał, taksując go w wyjątkowo niepokojący sposób.

– Eee... – Ketch przełknął nerwowo ślinę. – Mam dla niego dziewczynę. Krzykaczkę, taką, jakie ponoć lubi.

Uśmiech towarzyszący tym słowom miał być przypoehlebny, jednak

w rzeczywistości jedynie ukazał resztki zębów Ketcha.

Oczy najwyraźniej dodały to do swych szacunków, po czym zniknęły przy wtórze zgrzytu zamykanego wizjera. Dziewczyna wzdrygnęła się na ten dźwięk, a Ketch łupnął ją pięścią – nie mocno, nie tak, żeby ją skrzywdzić: po prostu odruchowo.

Gapił się na ciemne drzwi. Mimo że nie miały już oczu, i tak odnosił wrażenie, jakby mu się przyglądały. Oceniały go. Stał stropiony. Nie wiedział, co teraz. Miał odejść? Czyżby taskał tę dziewczuchę całą drogę – a nie robiła się lżejsza z czasem – na darmo? Poczł znajome oznaki narastającego gniewu, jakby morze taniego dżinu i kwaśnego piwa zaczęło wrzeć mu w żołądku, wysyłając ku policzkom falę gorąca. Zaciśnął pięść i postąpił krok z zamiarem załomotania w drzwi.

Zamachnął się ze złością, ale w momencie, kiedy opuszczał ramię, drzwi otworzyły się, a on, nie natrafiając na opór, wtoczył się do środka, omal nie upuszczając worka na ziemię.

– Co, do...?! – zaczął i urwał.

Znajdował się w pomieszczeniu wielkości i kształtu celi wartowniczej, bez widocznego drugiego wyjścia. Już miał się cofnąć w chłodną mgłę, gdy boczna ściana się odsunęła, tworząc przejście do sąsiedniej izby.

Spore pomieszczenie zostało wybite boazerią. Również sufit i podłoga były drewniane. Wewnątrz znajdowały się stół, krzesła i lampa naftowa dająca słabe światło. W powietrzu unosił się zapach gliny. Panowała tu atmosfera – może właśnie przez ten zapach – istic grobowa. Ketch zadrżał.

– Wejdz – odezwał się głos za jego plecami.

– Nie. – Bill przełknął z trudem ślinę. – Nie. I wiesz co? To chyba pomyłka...

Żar w żołądku ostygł nagle, zmieniając się w bryłę lodu. Ketch poczuł, że ma gęsią skórę, i nagle wiedział już z całą pewnością, że nie powinien wchodzić dalej, inaczej już może stąd nie wyjść.

Odwrócił się błyskawicznie, objając przy okazji dziewczynę o ościeżnicę. Jej jęk utonął w huku zatrzasnkujących się drzwi, po którym rozległ się zgrzyt zasuwanych rygli. Droga ucieczki była zamknięta. Ketch naparł na drzwi, potem w nie kopnął. Nie drgnęły.

Stał, dysząc ciężko, po czym zdjął worek z ramienia i położył go na ziemi, przytrzymując jednak mocno.

– Nie ruszaj się albo oberwiesz kopniaka – syknął do worka, odwrócił się i zamarł.

Pod ścianą siedział wielki mężczyzna, gigant odziany w szynel z kapturem, taki, jakie nosili stangreci. Płaszcz miał niespotykane wysokie kołnierze, a na głowie olbrzyma tkwił trójgraniasty kapelusz w stylu popularnym całe pokolenie temu, na początku dziewiętnastego wieku. Kapelusz sterczał poza kołnierze, pograżając twarz mężczyzny w tak głębokim cieniu, że Ketch zupełnie jej nie widział. Gapił się na siedzącego, ale ten nie drgnął.

– Ej – powiedział Ketch w ramach powitania.

Olbrzym się nie poruszył. Bill postąpił krok w jego kierunku i zdał sobie sprawę, że głowa nieznajomego jest lekko odwrócona, jakby ten na niego nie patrzył.

– Ej – powtórzył.

Postać pozostała nieruchoma. Ketch oblizał wargi i zrobił kolejny krok. Zerknął pod kapelusz. Skóra mężczyzny była brązowa.

– Hej, czerniawy, mówię do ciebie – powiedział Ketch, przyjmując groźną postawę, pod którą starał się ukryć, że nieruchoma pozycja giganta i brak reakcji na jego obecność napędzają mu niezłego stracha.

Mężczyzna równie dobrze mógł być wykuty z kamienia. Właściwie to...

Ketch wyciągnął rękę i ostrożnie podniósł kapelusz nieznajomego.

Okazało się, że olbrzym, którego brał za człowieka, to gliniany posąg. Bill potarł palcem bok jego twarzy. Na ręce została mu brązowa smuga. Glina, niewypalona, jeszcze mokra. Figura była wykonana realistycznie: twarz przystojna, o wysokich kościach policzkowych i imponującym orlim nosie. Ale w miejscu oczu ziały dziury.

– A niech mnie diabli porwą... – szepnął Ketch, cofając się.

– Owszem – rozbrzmiał kobiecy głos za jego plecami, zimny, cichy jak brzytwa przecinająca jedwab. – Zapewne właśnie tak się stanie.

ROZDZIAŁ II

Kobieta w czerni i mężczyzna w granacie

Stała po przeciwnej stronie izby niczym cień utkany z ciała, odziana w długą suknię o sztywnym gorsecie, zapiętą pod szyję na guziki, takie same jak przy wąskich rękawach. Na skrzyżowanych na piersiach rękach miała czarne skórzane rękawiczki. Tkanina sukni połyskiwała jak natłuszczony jedwab. Kobieta trzymała się prosto i była tak szczupła – a przy okazji dobrze umięśniona – że przypominała groźną parasolkę opartą o boazerię.

Jedynie wyjątki od całej tej czerni stanowiły twarz, dwa złote pierścionki na rękawiczkach i białe włosy, kontrastujące z młodym wyglądem. Nieznajoma nosiła je spięte w ciasny warkocz, który wił się jej na ramieniu niczym wąż albinos.

Nie było jej, kiedy Ketch wszedł do izby, i nie mogła wejść tymi drzwiami co on, ponieważ zerkał na nie kątem oka, ale nie to niepokoiło go najbardziej. Najstraszniejsze były jej oczy, a raczej fakt, że ich nie widział, ponieważ ukrywała je za małymi okrągłymi szklami ciemnych okularów.

– Kim... – zaczął.

Uniosła palec. Jakimś cudem to wystarczyło, żeby go uciszyć.

– Czego chcesz?

Ketch przełknął ślinę, czując smak strachu, który w gardle tworzył mu gulę.

– Chcę rozmawiać z Żydem.

– Dlaczego?

Dostrzegł pęk kluczy wiszący u jej paska. Mimo że wyglądała zbyt młodo, jak na gospodynię, uznał, że właśnie tym jest – gospodynią Żyda. Uczepił się tej myśli, żeby odzyskać równowagę – zdenerwowało

go nagle pojawienie się kobiety, to wszystko. Pewnie w ścianie były ukryte drzwi, łatwo przeoczyć ich zarys w pionowym deskowaniu boazerii. Nie zamierzał dać się zastraszyć służącej. Tym bardziej że miał do ubicia dobry interes z jej chlebodawcą.

– Mam coś dla niego.

– Co?

– Krzyczącą dziewczynę.

Spojrzała na worek na podłodze.

– W tym worku jest dziewczyna?

W tonie, jakim zadała to pytanie, czaiła się poważna groźba.

– Chcę rozmawiać z Żydem – powtórzył Ketch.

Kobieta odwróciła głowę i stuknęła w boazerię, a potem przemówiła do małej, okrągłej, mosiężnej kratki.

– Panie Sharp? Niech pan będzie tak miły i poświęci nam chwilkę.

Ciemne szkła znów zwróciły się na Ketcha. Cisza zrobiła się ciężka, nie do zniesienia. Musiał ją przerwać.

– Człowiek w Trzech Kulasach powiedział, że Żyd płaci za krzykaczki.

Złoty pierścionek zamigotał w świetle lampy, kiedy kobieta zacisnęła i rozwarła pięść, jakby coś trzymała w ręce.

– A więc jesteś tu, by sprzedać dziewczynę?

– Za godziwą cenę.

Jej skąpy uśmiezek nie odsłonił zębów, ale głos pozostał lodowato uprzejmy.

– Niektórzy powiedzieliby, że każda zapłata byłaby niegodziwa. Pan Wilberforce prawem zakazał niewolnictwa już prawie cztery dekady temu, czyż nie?

Ketch załatwiał sprawy prosto – miał coś na sprzedaż, a niedawno usłyszał o chętnym kupcu. To prawda, czuł się jak Złodziej Ciał, przemykając we mgle z dziewczyną w worku na plecach, ale nie była przecież trupem, a on nie był Złodziejem. A teraz ta kobieta zadaje mu pytania, które komplikują tę łatwą sprawę. Kiedy życie toczyło się prosto, Ketch płynął po spokojnych wodach. Kiedy natomiast się komplikowało, gubił się, a kiedy się gubił, ogarniał go gniew. A kiedy ogarniał go gniew, używał pięści i nóg, póki na powrót wszystkiego

nie wyprostował.

– Nie znam żadnego Wilberforce’a. Chcę mówić z Żydem – burknął.

– A po co, według ciebie, Żydowi ta dziewczyna? Czyli prościej: co z nią zrobi? – zapytała drwiąco, wymawiając słowa tak ostrożnie, jak ostrożnie się uśmiechała.

– Nie mój interes. – Wzruszył ramionami i wetknął pięści w kieszenie płaszcza.

Jej słowa chlasnęły ostro jak bat:

– Ale moim jest to, co sądzisz o sprzedaży tej dziewczyny. Odpowiadaj!

Ta nagła zmiana tonu zakłóła go. Miał ochotę przewrócić stół i przyskoczyć do kobiety z groźną miną.

– Nikt nie będzie mówić Billowi Ketchowi, co robić, a już na pewno nie jakieś przekłete babsko! Chcę się widzieć z cholernym Żydem i, na Boga...

Zdawało się, że ściana obok kobiety się poruszyła. Wyłonił się z niej mężczyzna, który śmignął przez izbę tak szybko, że Ketch dostrzegł tylko granatową smugę, błysk stali i wir klap płaszcza nad stołem. Nagle poczuł przerażające łaskotanie na jabłku Adama.

Oczy, które taksowały go przez wizjer, spoglądały teraz na niego z odległości równej długości ostrza, które tworzyło osiemnastocalowy stalowy most opierający się jednym krańcem na gardle Billa. Sztych dotykał jego skóry z naciskiem wystarczającym, by powstrzymać go przed zrobieniem czegoś niebezpiecznego, jak na przykład poruszeniem się. W zasadzie nawet przełknięcie śliny mogło w tej sytuacji oznaczać samobójstwo.

– Na każdego z bogów, lepiej nie drgnij, panie...? – Mężczyzna omiół jego twarz przenikliwym spojrzeniem. – Panie Ketch, prawda? Panie Williamie Ketch?

Nieznajomy pochylił się i Ketch niczym sparaliżowany obserwował, jak jego nozdrza się poruszają, jakby mężczyzna go obwąchiwał. Granat, w który odziany był właściciel ostrza, zdawał się pochłaniać światło jeszcze mocniej niż czerń stroju kobiety. Sięgająca kolan dopasowana kurta jeździecka odsłaniała dwurzędową skórzaną kamizelkę w tym samym kolorze, a jednobarwnego ubioru dopełniały

koszula i ciasno związany halsztuk. Jedynym odstępstwem kolorystycznym w stroju mężczyzny były brązowe buty z cholewami.

Ciemnobrązowe były także jego włosy, jak również grube, kształtne brwi oraz oczy, które okazały się niesamowicie... zaskakujące.

Patrząc w nie, Ketch przez mgnienie poczuł zawrót głowy i ekscytację. Oczy te nie były po prostu brązowe, ani nawet w odcieniu brązu – były we wszystkich tonacjach wszystkich brązów. Przypominały jesienne liście tańczące radośnie w oślepiająco złotych promieniach babiego lata.

Jedno spojrzenie wystarczyło, by Ketch zapomniał o ostrzu na gardle.

By cały gniew się ulotnił i życie znów stało się proste.

By Bill Ketch z zakłopotaniem poczuł, że jego serce nieodwołalnie wypełnia coś tak bliskiego miłości, że w zasadzie jest mu bez różnicy.

Właściciel oczu musiał to dostrzec, bo jego ostrze wykonało serię szybkich, zawiłych ruchów i zniknęło w fałdach płaszcza. Położył Ketchowi dłonie na ramionach, przysunął się, obwąchał go znowu, uniósł brwi ze zdumienia, po czym cofnął się z przyjacielskim uśmiechem.

– Jest tym, czym się wydaje, i nikim więcej – rzucił przez ramię.

Kobieta podeszła do niego.

– Jesteś pewien?

– Kiedy stał przed drzwiami, wydawało mi się, że coś poczułem, ale zapach nie podążył tutaj za nim. Może się pomyliłem. Przy tak wysokim przypływie woda w rzece niesie wiele różnych smrodów.

– Jesteś pewien?

– Tak samo jak jestem pewien, że nigdy nie przestaniesz zadawać mi tego pytania.

– Lepiej dwa razy zmierzyć, niż skroić i płakać. Ten nawyk pomógł mi, odkąd nauczyłam się myśleć – oświadczyła obojętnie. – Pomógł mi też zachować ten dom.

– Ty jesteś Żydem? – zapytał Ketch. Jego głos brzmiał nieco piskliwie, bo rozpierało go szczęście, jako że opromieniał go szczery uśmiech tamtego przystojnego młodzieńca.

– Niestety – odparł mężczyzna.

Nad jego ramieniem pojawiła się twarz kobiety.

– To jak? – odezwała się tonem, który sprawił, że w sercu Ketcha zagościł chłód.

– Jest tak nieszkodliwy, jak się wydaje, zapewniam cię – powtórzył mężczyzna.

Zdjęła okulary i złożyła jedną ręką. Jej oczy były szaro-zielone i zimne jak mroźny wicher. Jej słowa – nie mniej lodowate.

– Nazywam się Sara Falk. To ja jestem Żydem.

Kiedy Ketch usiłował dopasować ten fakt do swojego sposobu postrzegania świata, kobieta położyła dłoń na ramieniu towarzysza i wskazała mu leżący na podłodze tobołek.

– W worku jest dziewczyna, panie Sharp. Proszę się tym zająć, jeśli łaska.

Mężczyzna w mgnieniu oka – zupełnie jakby poruszał się poza czasem – znalazł się przy worku. Ostrze mignęło w jego dłoni, pomknęło w dół, w górę i już pomagał się podnieść dziewczynie, jednocześnie obwąchując jej głowę.

– Panie Sharp? – odezwała się kobieta pytająco.

– Tak jak mówiłem, to musiało być coś z zewnątrz. Myślałem, że to on, ale nie. Ona również nie.

– To dobrze – stwierdziła kobieta, a na jej wargach pojawił się cień uśmiechu. – Może to twoja wyobraźnia.

– Bawi cię żartowanie sobie ze mnie, panno Falk, ale śmiem zauważyć, że ponieważ spodziewamy się niewyobrażalnego, moja „wyobraźnia” jest tak samo skutecznym narzędziem jak twoja przezorność – odparł mężczyzna, przyglądając się baczniej dziewczynie. – A ze względu na fakt, że nasze szeregi są tak skromne, wybacysz mi chyba, że wolę w tych sprawach zachować ostrożność.

Dziewczyna była szczupła i trzęsła się z zimna – bosa, odziana jedynie w brudną sukienkę bez rękawów. Splątane, niemyte włosy opadały jej na twarz rudą falą, pod którą nic nie było widać. Mimo to na pierwszy rzut oka dało się stwierdzić, że nie jest już dzieckiem. Mogła mieć szesnaście do dwudziestu lat. Cofnęła się gwałtownie, kiedy młody człowiek wyciągnął rękę, by odgarnąć jej włosy i bliżej ocenić jej wiek. Powstrzymał się i przemówił łagodnie.

– Spokojnie, moja droga, spójrz na mnie. Spójrz na mnie, a zobaczysz, że nie ma się czego bać.

Uniosła głowę i popatrzyła na niego pytająco wielkimi okrągłymi oczami. Natychmiast przestała drżeć i pozwoliła odgarnąć sobie włosy. Wtedy zobaczyli, co uczyniono, by powstrzymać ją od krzyków.

Młodzieniec aż syknął gniewnie, po czym odwrócił dziewczynę ku Sarze. Ta w zdumieniu zapatrzyła się na czarny kawałek juty, który zakrywał fragment twarzy dziewczyny od nosa do brody.

– Co to jest? – zapytał pan Sharp zdławionym głosem, nadal uspokajając dziewczynę spojrzeniem.

– To smolny lepiec. Strzęp juty, trochę paku, trochę smoły. Taki lepki kompres, jakich używają w szpitalu Bedlam, żeby uciszyć wariatów... – wyjaśnił Ketch głosem drżącym pod wzrokiem pana Sharpa, który tym razem patrzył na niego już całkiem inaczej, bez tego złotego ciepła, za którym Bill zaczynał już tęsknić. – A co, przecież nic jej...

– Spójrz na jej ręce – odezwała się Sara Falk.

Dłonie dziewczyny były ciasno obwiązane pasami brudnej tkaniny na kształt owijek bokerskich.

– O nie, to zrobiła sobie sama – pospieszył z zapewnieniem Ketch. – Zdjąłem to, bo nie było z niej pożytku z takimi rękami, ale wraz je obwiązała. Starczy się odwrócić, a łapie co popadnie i znów zawija. Jak nie ma nic, to rwie własne ubrania. Nic więcej nie robi. Nic, tylko dotyka rzeczy, a potem wrzeszczy i zawija te ręce w szarpie, żeby niczego nie dotykać...

Sara i pan Sharp wymienili spojrzenia.

– Dotyka przedmiotów? A potem krzyczy? – powtórzył pan Sharp. – Starych kamieni, murów, tak?

Ketch potaknął żywo.

– Ścian, domów i różnych takich na ulicach. Potem wpada w ten szal, straszny...

– Dosyć – rzekł pan Sharp, obserwując Sarę głaszczącą wystraszoną dziewczynę po głowie. Ich spojrzenia skrzyżowały się ponownie.

– Wobec tego jest Wejrzeńcem – powiedział cicho.

Sara tylko kiwnęła, jakby odebrało jej mowę.

– Ma niedobrze w głowie i tyle – stwierdził Ketch. – I...

– To twoja córka? – zapytała Sara Falk, odchrząknawszy.

– Nie. Żadna tam krewna. Jest... podopieczną, tak jakby. Ale nie mogę jej już trzymać, więc miałem ją zaprowadzić do przytułku, ale w przytułkach nie płacą, więc...

Jego oczy zalśniły żądzą zysku.

– Niech się paniusia nie martwi o ten plaster. Starczy na parę minut przyłożyć gałgan z ciepłą wodą, a da się łatwo zerwać.

Para gapiła się na niego bez słowa.

– Zacerwienie zejdzie za dwa dni – zapewniał. – Próbowaliśmy ją zatkać szmatą, ale wypluwała ją albo przegryzała. Ma werwę...

– Jak się nazywa? – zapytała Sara.

– Lucy. Lucy Harker. Jest...

– Panie Sharp, proszę – przerwała mu Sara, klękając przed dziewczyną.

– Co chcesz, żebym z nim zrobił? – zapytał mężczyzna w granacie.

– To, co bym chciała zrobić człowiekowi sprzedającemu młodą kobietę, który nie troszczy się o to, co uczyni z nią jej kupiec, jest niewątpliwie nielegalne – wyszeptała Sara Falk.

– Ale byłoby sprawiedliwe – odparł młodzieniec równie cicho.

– Owszem. Jednakże my, jak już mówiłam po wielekroć, służymy Prawu i Obyczajowi, nie Sprawiedliwości, a według Prawa i Obyczaju kara musi być adekwatna do czynu. Rób, co należy.

Lucy Harker spojrzała na nią sponad plastra.

Pan Sharp odwrócił się do Ketcha, który natychmiast się uspokoił i odpowiedział wyczekującym uśmiechem.

– Cóż – rzekł pan Sharp. – Wygląda na to, że musimy się rozliczyć, panie Ketch.

Myśl o pieniądzech była dla Ketcha tak kusząca, że zagłuszyła potrzebę zadania pytania dręczącego go od dłuższego czasu, a mianowicie skąd ten elegancki młodzieniec wiedział, jak on się nazywa. Pozostał zatem przy chciwym śledzeniu ruchów Sharpa, który sięgnął za pazuchę i wyjął niewielką kaletę.

– Hm – mruknął przy tym. – Chyba najlepsze będzie złoto. Wyciągnij rękę.

Ketch zrobił to jak we śnie, a choć w pierwszej chwili zdawało mu się, że Sharp odlicza miedziane pensówki, to już w następnej widział dokładnie wielkie, lśniące złote monety. Uspokoił się i przestawszy wpatrywać się w złoto, przeniósł całą uwagę na pana Sharpa. Ciemne włosy młodzieńca były krótko przystrzyżone po bokach, ale długie na czubku, skręcone w kosmyk opadający na czoło w miłym dla oka nieładzie. Kiedy Sharp kończył odliczanie, tkwiący w jego uchu granatowy kamień oprawny w złoto zamigotał w świetle lampy.

– Dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści. Wystarczy, jak sądzę, przynajmniej aby uczynić zadość... tradycji.

Gdy wypowiedział te słowa, sakiewka zniknęła, a przyjacielskie ramię objęło Ketcha i nim ten się zorientował, co się dzieje, szli już we dwóch przez mgłę, zanurzając się w labirynt ciemnych uliczek odchodzących od Wellclose Square.

Ketchowi serce rosło, czuł się szczęśliwszy niż kiedykolwiek przedtem, choć nie umiał powiedzieć, czy przyczyną tego stanu jest niespodziewanie wielka liczba złotych monet ciężących mu w kieszeni, czy też nowo nawiązana przyjaźń.

ROZDZIAŁ III

Dobry uczynek

Jeśli mgła miałaby oczy – co w zasadzie w tej części Londynu nie było rzadkie – zauważyłaby nie tylko pana Sharpa prowadzącego Billa Ketcha wąskimi uliczkami w dół od placu, ale także to, że grupka mężczyzn, skończywszy rozładunek paczek ze świecami, wsiadła na wóz i odjechała, pozostawiając pod duńskim kościołem krzepkiego rudobrodego fajkarza i żylastego, wychudłego młokosa w ciasnej barchanowej kapocie.

Brodacz zamknął ciężkie wrota kościoła i przeszedł za młodym na drugą stronę ulicy, zmierzając w kierunku powozu stojącego pod rafinerią cukru. Gdyby mgła miała oczy, i to bystre, dostrzegłaby ukrytą pod rudą brodą koloratkę z dwiema charakterystycznymi naszywkami – informowały one o tym, że właściciel kołnierzyka jest pastorem w kościele, którego wielkie wrota właśnie zawarł. Kiedy dotarli do karety, pastor nadepnął na coś kruchego i zdumiony spojrzął na leżące na ulicy skorupy ostryg. Żyłasty młodzian, wcale nie zaskoczony, zapukał w lśniące czarne drzwiczki powozu.

– Ojcie – zawołał. – Wielebny Christensen chce ci osobiście podziękować.

Zaległa cisza, która zdawała się sugerować, że powóz sam jest żywą istotą i zastanawia się, jak zareagować. Wreszcie zatrząsł się, jakby w środku poruszyło się coś wielkiego, resory zaskrzypiały, a drzwi nieco się uchylły.

Wielebny uśmiechnął się szczerze i nieśmiało pochylił ku drzwiczkom.

– Proszę wybaczyć śmiałość, panie Templebane, ale nie mógłbym przepuścić okazji, żeby podziękować osobiście.

– To nic takiego, nie ma o czym mówić – rozległ się głos w budzie. –

Cała przyjemność po mojej stronie, wielebny. Proszę wybaczyć, że odbyło się to o tak bezbożnej godzinie.

– Wszystkie godziny są boże. – Pastor się uśmiechnął. W jego angielszczyźnie prawie nie znac było obcego akcentu. – Godzina otrzymania tak upragnionej darowizny jest tym bardziej błogosławiona.

– Ależ naprawdę! – Właściciel głosu nadal pozostawał niewidoczny, tylko w oknie pojawiła się pulchna ręka z elegancko odgiętym małym palcem, trzymająca za brzegi ostrygę. Muszlę wypełniało szare galaretowate mięso małża, które podskoczyło, ochlapując sokiem gestykulującą dłoń. – Wprawia mnie wielebny w zakłopotanie, zaiste. Szczerze mówiąc, zajmując się pewną sprawą, zostałem właścicielem niechodliwego towaru należącego do nieszczęsnego, by nie rzec: nierozważnego fabrykanta świec. Taką ilością mógłbym obdarować wszystkie kościoły w całej dzielnicy.

Pulchna ręka wycofała się w cień budy i po chwili rozległo się siorbanie.

– Jednakże człowiek mniejszego ducha wolałby sprzedać towar – przekonywał pastor, usiłując gorączkowo sprawić, by jego podziękowania trafiły do celu.

Pulchna dłoń pojawiła się znowu, gdy mężczyzna w karecie wyrzucał pustą muszlę. Przy okazji z cienia na moment wyłoniła się twarz Issachara Templebane'a.

Była to twarz łącząca w sobie paradoksy, jednocześnie wymizerowana i nabrzmiała. Skóra o chorobliwej barwie podbrzusza ropuchy zwisała na kościach czaszki jak u człowieka, który schudł zbyt późno, by mogła się jeszcze obkurczyć i dopasować do nowego rozmiaru.

Issachar Templebane otarł kciukiem kącik ust, po czym wysunął rękę, żeby serdecznie ucisnąć na pożegnanie dłoń wielebnego.

– Mógłbym, mógłbym, ale ja i mój brat jesteśmy prawnikami, nie handlowcami, i zapewniam, że nasze gąze były bardziej niż adekwatne. Poza tym pieniądze to nie wszystko. Dobrej nocy, wielebny, dobrej nocy. Chodź, Coramie, musimy jechać.

Znów cofnął rękę, która zniknęła w powozie, a żyłasty młodzieniec

wskoczył na kozioł, ujął lejce i z pożegnalnym skinieniem skierowanym w stronę pastora strzelił nimi, popędzając konie. Pastor został na ulicy pośród resztek posiłku Templebane'a, czując się raczej odprawionym niż pożegnanym.

Kiedy powóz minął pierwszy zakręt, w ścianie nad kozłem odsunęła się klapka i w otworze pojawiła się twarz Templebane'a.

– Zwróciłeś dyskretnie uwagę wielebnego na tego Ketcha i jego dziwny toból? – zapytał, a serdeczność w jego głosie ustąpiła miejsca zawodowej obojętności.

– Tak, ojcie. Zrobiłem to tak, jak kazałeś: mimochodem.

Gdyby mgła miała uszy, zarejestrowałaby kolejny paradoks dotyczący Issachara Templebane'a – chłopak zwracający się do niego per ojcie nie mówił tą samą co on angielszczyzną z wyższych sfer. Akcent Corama ukształtowały ulice portowe East Endu, chłopak połykał głoski, a resztę wyrzucał z siebie niedbałym potokiem, który to sposób mówienia po niedawnym wstąpieniu na tron królowej Wiktorii nazywano „Queen's English”. Issachar mówił gładkim językiem wypolerowanym w salach rozpraw, natomiast głos Corama był ostry jak hak dokera. Nie było między nimi podobieństwa, a to dlatego, że choć Issachar Templebane posiadał wiele dzieci, nie miał żadnego krewnego poza bratem bliźniakiem, Zebulonem, drugą połówką firmy Templebane & Templebane.

Issachar i Zebulon adoptowali ogromne rzesze osieroconych chłopców i przyuczali ich do prac w kancelariach i izbach rachunkowych przynależnych do ich siedziby na Bishopsgate. Zazwyczaj nadawali im imiona po londyńskich parafiach prowadzących ich rodzime przytułki. W efekcie ich synowie mieli dziwaczne, acz z pewnością niezwykle imiona – Undershaft, Vintry, Sherehog, Bassetshaw i Garlickhythe. Wyjątek stanowił najmłodszy, zabrany z przytułku w parafii Świętej Katarzyny Cree. Ponieważ nazwanie chłopca Katarzyną wydawało się nazbyt dziwaczne, otrzymał on imię Amos, wybrane z Biblii, która rzucona na podłogę otworzyła się akurat na poświęconej mu księdze. Gdyby Amos miał coś w tej sprawie do powiedzenia, mógłby zauważyć, że równie dobrze pasowałoby do niego imię Hiob, ponieważ, jako najmłodszy

członek tej sztucznie stworzonej rodziny i ostatni spośród niedarzących się miłością braci, zbierał największe ciężki i dostawał do wykonania najgorsze prace. Nic jednak nie mówił z tego prostego względu, że był niemową. Coram, w przeciwieństwie do niego, był ciekawskim gadułą, którą to cechę ojcowie nagradzali bądź ganili, w zależności od nastroju i kaprysu.

Coram odchrząknął, splunął flegmą na zad konia i ciągnął:

– I zauważył, ten pastor, się znaczy, że Ketch zniknął w domu Żyda i że ta, co tam mieszka, jest porządną kobietą, choć innej wiary.

Templebane skinął aprobująco, manewrując niewielkim nożykiem przy kolejnej ostrzydze.

– Dobrze, dobrze. Nie ma w sobie krzty złego ten nasz wielebny. Szczery, porządny, czysty, jak świeży maszt z sosny bałtyckiej. Dzięki temu jego zeznanie, gdybyśmy go potrzebowali, będzie tym bardziej wiarygodne.

Przerwał, wysiorbał ostrygę, a muszlę wyrzucił przez okno. Potem raz poruszył szczęką, a kiedy nieszczęsny małż pękł, przełknął go z drżeniem zadowolenia.

– Zapamiętaj to sobie, Coramie, nie ma lepszego narzędzia zniszczenia nad szczerego człowieka, który z nikim nie ma zwady.

Kłapka się zatrzasnęła i Coram Templebane został sam na sam z końmi i mgłą, która rzedła, w miarę jak zbliżali się ku wyżej położonemu Goodman's Fields.

ROZDZIAŁ IV

Dłoń w rękawiczce

Sara Falk kucnęła przed roztrzęsioną dziewczyną i uśmiechnęła się do niej pokrzepiająco.

– Lucy – powiedziała.

Lucy Harker wpatrywała się intensywnie w drzwi, za którymi zniknęli mężczyźni, jakby bała się, że lada moment wrócą.

– Lucy. Mogę?

Sara wyciągnęła rękę ku szyi Lucy, odgarnęła jej włosy i odchyliła kołnierzyk, jakby szukała naszyjnika. Nie znalazłszy niczego, westchnęła z rozczarowaniem i potrząsnęła głową.

Dziewczyna nie spuszczała oczu z drzwi, wobec czego Sara przesunęła się tak, by znaleźć się w jej polu widzenia.

– Posłuchaj, Lucy. Musisz uwierzyć w trzy rzeczy, które zaraz ci powiem. Musisz uwierzyć w nie całym sercem, bo to najprawdziwsza prawda. Po pierwsze ten, który cię tu przyniósł, nigdy nie przekroczy progu tych drzwi inaczej niż związany i zapewniam cię, że nigdy, przenigdy nie wyrządzi ani tobie, ani nikomu innemu żadnej krzywdy. Pan Sharp dopilnuje, aby tak się stało.

Lucy zamrugnęła i przeniosła spojrzenie na starszą od niej, szczupłą kobietę. Uniosła brwi w pytaniu, którego nie mogła zadać ustami. Nadal była spięta i drżała jak jeleni gotów czmychnąć w każdej chwili.

– Po drugie wiem, że miewasz wizje – ciągnęła Sara Falk, lekko dotykając smolnego knebla, jakby chciała ulżyć dziewczynie w bólu. – To przez nie krzyczysz. Pojawiają się, kiedy czegoś dotkniesz. I to przez nie pewnie myślisz, że jesteś szalona.

Oczy wpatrywały się w nią nieruchomo. Sara z uśmiechem uniosła dłonie w rękawiczkach, pokazując pierścienie, jeden z ujętym w cienką złotą oprawę szkiełkiem morskim o dziwacznym kształcie

i drugi z herbem wyrytym w krwawniku.

– Nie jesteś szalona i nie jesteś jedyna. Jak widzisz, i inni mają powody, żeby zakrywać dłonie. A jeśli pójdziesz ze mną do domu, gdzie jest ciepło, gdzie mam ciasto i mleko z miodem, przyniosę moje pudełko z rękawiczkami i poszukamy jakichś, które będą na ciebie pasowały.

Ściągnęła pierścionki i zaczęła odpinać guziki u rękawiczki wykonanej z cienkiej czarnej skóry. Zdjęła ją i z drugą uporała się już szybciej. Wyciągnęła nagie dłonie w stronę bandażu Lucy.

– Mogę?

Dziewczyna wpatrywała się w nią, pozwalając odwinąć sobie rękę.

– Mam tu coś, co cię uspokoi, Lucy. To tylko kawałek szkła morskiego, którego musisz dotknąć. Obiecuję, że nic ci się nie stanie, za to szkiełko doda ci sił, dopóki nie znajdziemy takiego specjalnie dla ciebie...

Lucy wyrwała rękę, ale Sara trzymała ją mocno i uśmiechała się, podając jej pierścionek ze szkiełkiem morskim – oszlifowane przez morze, toczone falami na plaży, miało barwę oczu Sary.

– Musisz go dotknąć...

Oczy Lucy rozszerzyły się, dziewczyna wyszarpnęła dłoń z uścisku Sary, kręcąc żywo głową, jakby mówiła: „Nie!”.

– Lucy... – zaczęła Sara i urwała.

Dziewczyna, wyraźnie podekscytowana, zaczęła zdzierać swoje bandaże, pomrukując. Tym razem to Sara szeroko otwierała oczy ze zdumienia, kiedy szarpie opadały, odsłaniając swój sekret.

Wreszcie Lucy uniosła zaciśniętą w pięść dłoń i potrząsnęła nią przed nosem Sary. A potem rozprostowała palce.

Na jej dłoni leżał kawałek szkła morskiego w kolorze jasnoorzechowym, jak oczy Lucy.

Sara rozpromieniła się w uśmiechu, który jeszcze bardziej odmłodził jej twarz, ocienioną wiekiem przez przedwcześnie posiwiałe włosy. Był to uśmiech łobuzerski i pełen dumy.

– Ach! – jęknęła. – Mądra z ciebie dziewczyna. Bardzo mądra. Masz swój własny kamień serca. To dzięki niemu przetrwałaś, mieszkając z tym potworem! Och, Lucy, nic ci nie będzie. Jesteś rozsądna

i dzielna. Te wizje, które cię nawiedzają, to dar i choć pewnie trudno ci je znosić, uwierz, to właśnie dar, a nie przekleństwo.

Po policzku Lucy potoczyła się łza, którą Sara starła, zanim kropla spłynęła na knebel.

– Czy twój kamień serca, to znaczy twoje szkiełko, jarzy się, kiedy zbliża się niebezpieczeństwo?

Lucy przestraszyła się i zerknęła nerwowo na drzwi, jakby chciała uciec. Sara łagodnie położyła jej dłoń na ramieniu.

– Wiesz, że tylko prawdziwy Wejrzeniec widzi ognisty poblask, gdy nadchodzi niebezpieczeństwo? Dla innych ludzi to tylko zwykły kawałek szkła wyłowionego z wody. Nawet nieoceniony pan Sharp, sam posiadający moce, nie potrafi dostrzec ognia, który strzeże tego wyjątkowego talentu, jakim obie dysponujemy. Teraz nie jarzy się, prawda?

Lucy zerknęła na matowe szkiełko w dłoni. Przypominało mętną marmoladę.

– Wobec tego zaufaj mu, zaufaj mi – przekonywała Sara. – Chodź, poszukamy czegoś, co pomoże pozbyć się tego okropnego plastra smolnego w taki sposób, żeby nie zrobić ci krzywdy. Najprędzej znajdziemy coś w kuchni.

Uśmiechnęła się zachęcająco. Jej dziadek niegdyś poszukiwał takich wyjątkowych istot jak Lucy Harker, a także ludzi z jeszcze dziwniejszymi umiejętnościami. Rabin Falk był wielkim umysłem swoich czasów i choć sam nie posiadał żadnych mocy, nie tylko wierzył w to, co określał mianem „ponadnaturalnego”, ale też mozolnie poszerzał swoją wiedzę o tego rodzaju zjawiskach i sposobach ich ujarzmiania. Był wolnomularzem, kabalistą, alchemikiem i przyrodnikiem obsesyjnie badającym nici tajemnych mocy, które przeplatały się pod powierzchnią codzienności. Podpierał się wiedzą zebraną w, jak ją nazwał, *Wielkiej i tajemnej historii świata*.

Jakby na dowód, że los ma poczucie humoru, jego wnuczka urodziła się z jedną z tych wyjątkowych mocy, których poszukiwał przez całe życie i które pragnął kontrolować.

Sara ucisnęła pokrzepiająco rękę dziewczyny.

– Jesteś Wejrzeńcem, Lucy, a teraz znalazłaś się wśród przyjaciół.

Nic ci tu nie grozi, to Kryjówka, najbezpieczniejszy dom w Londynie, bezpieczniejszy nawet od samej Tower, bo został stworzony, by strzec wielkiej tajemnicy, klucza do ogromnej mocy. Dlatego możesz w tym miejscu odpocząć, pewna, że nikt nie wejdzie tu bez mojej zgody i że nikt cię tu nie skrzywdzi. Chodź ze mną. Jesteś zmarznięta, a w kuchni jest ciepło i w ogóle przyjemnie.

Sara powiodła Lucy przejściem, zostawiając za sobą jedynie echo kroków na kamiennej posadzce i coraz cichsze słowa.

– Trzecia rzecz, w którą musisz uwierzyć, Lucy, dotyczy tego, że świat ogólnie, a Londyn szczególnie jest miejscem dużo, dużo dziwniejszym, niż sądzi większość ludzi.

Jakby na dowód tego, zostawiony w opuszczonej izbie gliniany manekin wstał, podszedł do ściany i zamknął za nimi przejście. Potem wrócił na swoje miejsce, usiadł i znieruchomiał.

ROZDZIAŁ V

Godło na krwawniku

Mimo chłodu i mgły kładącej się na oświetlonych gazowymi lampami ulicach Ketch czuł się zamroczony szczęściem.

Przyjacielskie ramię otaczające jego barki kierowało nim do znajdującej się na skraju placu tawerny King's Arms. Szedł wzdłuż jej murów, spoglądając w zadymione okna jaśniejące przyjemnym blaskiem palenisk i świec. Budynek był spory, a bystry obserwator dostrzegłby podkowy przybite nad każdym oknem i, bardziej tradycyjnie, nad drzwiami. Ketch nie miał jednak ani nastroju, ani ochoty przyglądać się detalom. Był rozradowany i rozrzewniony, a karczma przyciągała spoczywające w jego kieszeni monety. Naraz wpadł mu do głowy wyśmienity pomysł.

– Słuchaj! – zwrócił się do swego nowego, wspaniałego przyjaciela. – Powiem ci coś: postawię ci drinka na oblanie dobrego interesu! Zajrzemy tutaj, każemy sobie zagrzać piwa albo nawet podać dzban grzańca, tak, grzaniec jest na taką pogodę najlepszy. Co ty na to? – Tak pochłonęła go wizja wspólnego wypicia szklanicy, a nawet dwóch, grzanego wina, że nieomal słyszał już syk rozpalonego do czerwoności pogrzebacza, który karczmarz zanurzy w dzbanie. Tak żywo wyobrażał sobie zapach pomarańczy, goździków i trunku, że nawet nie zauważył, kiedy minęli drzwi i weszli w ciemny zaułek.

– Nie, nie! – zaprotestował, spostrzegłszy, gdzie się znajdują. – Wejście jest tam...

Jego głos przez chwilę podszyty był niepokojem wywołanym świadomością, że zaułek jest ślepy i że jego towarzysz skrywa gdzieś długi sztylet. Niepokój ten rozmył się jednak natychmiast, a napięcie przerodziło w błogość, kiedy na Ketchu znów spoczęło spojrzenie Sharpa. Nawet w ciemnościach widział ten płowy blask, czuł

rumieniec i zadowolenie, jakby płał się w ciepłe babiego lata.

– Ale tu też jest dobrze. – Uśmiechnął się z rozkoszą, jakby właśnie wypił cały dzban grzańca.

Pan Sharp łagodnie zdjął mu rękę z ramienia i ujął go pod brodę, tak żeby Ketch nie mógł odwrócić głowy.

– Zaiste wspaniale. Ale tu się pożegnamy. A na pożegnanie...

Uniósł drugą rękę z dłonią zwiniętą w pięść. Na jednym z palców miał pierścień z krwawnikiem, taki, jaki nosiła Sara. W kamieniu wyryto wizerunek lwa stojącego na tylnych łapach naprzeciwko rozszalałego jednorożca. Trzymając pierścień przed oczami Ketcha, Sharp zaczął mówić oficjalnym tonem:

– Na mocy praw nadanych mi przez Wolne Bractwo Nadzoru Londyńskiego nakazuję ci, Williamie Ketchu, odejść i zapomnieć, co uczyniłeś Lucy Harker, zapomnieć o nas i o domu, który właśnie opuściłeś. Zapytany, będziesz pamiętał, że dziewczyna uciekła, kiedy byłeś pijany. Ponadto – ciągnął z wyrazem ponurej satysfakcji – nigdy już nie tkniesz trunku i będziesz zawsze pomocny wobec potrzebujących...

Nozdrza pana Sharpa zafalowały lekko, a głowa się uniosła, kiedy próbował pochwycić zapach, który mu przeszkodził. Ketch przytaknął, uśmiechając się bezmyślnie, a strużka śliny kapłała mu na buty. Sharp potrząsnął głową i znów na niego spojrzał. Ketch chciał coś powiedzieć, ale tamten uniósł mu łagodnie brodę, zamykając usta.

– ...a za to, co uczyniłeś dziewczynie, sam nie przemówisz aż do dnia, kiedy zakwitną dzikie róże. Wtedy też pójdziesz do szpitala Bedlam, o którym wspomniłeś, i zatrudnisz się tam do pomocy przy myciu tych biednych chorych dusz uwięzionych w ciałach. To będzie twoja kara i odkupienie win.

Przystawił mu pięść do czoła i przycisnął doń pierścień. Kiedy odsunął rękę, na skórze Ketcha widniał znak lwa i jednorożca. Wizerunek jarzył się przez chwilę czerwienią krwawnika. Wkrótce zostało po nim jedynie wgłębienie, aż w końcu i ono zniknęło.

Ketch otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale okazało się, że nie może. Kichnął trzykrotnie, przez moment stał oszołomiony, po czym wzruszył ramionami, podrapał się po czole, odwrócił i ruszył w stronę

ulicy.

Idąc, pocierał czoło, jakby coś go swędziało, ale zapomniał o wszystkim, usłyszawszy brzęk monet w kieszeni. Sięgnął do niej i wyjął garść zaśnieżonych miedzianych pensów. Przystanął pod latarnią, żeby im się przyjrzeć, i poczuł dziwne ukłucie rozczarowania, jakby monety miały być czymś innym. Nie mogąc jednak sobie przypomnieć, o co chodziło ani dlaczego miałyby być czymś innym, wsadził je z powrotem do kieszeni i zanurzył się we mgle.

ROZDZIAŁ VI

Brakujący jednoróżec

Lucy Harker nie mogła usiedzieć w miejscu. Przy stole w kuchni Sary grzała się w ciepłe paleniska i kręciła głową na wszystkie strony, usiłując objąć spojrzeniem ogromne pomieszczenie, które zajmowało prawie całą piwnicę domu. Jedyłą pustą przestrzenią w kuchni był wybielony latami szorowania blat pięciokątnego stołu, wsparty na dębowych nogach pociemniałych ze starości.

Pośrodku stołu paliła się świeca, a wokół niej, na kształt gwiazdy, ułożono ulistnione gałązki różnych drzew – dębowa z żółędziami krzyżowała się z jesionową o skrzydełkowatych nasionach, ta z kolei z białym głógiem spoczywającym na ukwieconej różowo jabłonce podtrzymującej ciężką od zielonych owoców gałąź orzecha. Poza tym szmatem wyszorowanej powierzchni całą przestrzeń wypełniały półki, wieszaki, szafki. Również liczne wnęki, ukryte za filarami spiżarki i nisze kredensowe puchły od skrzyń, regałów na książki i stojaków na butelki.

Gdziekolwiek spojrzeć, tłoczyły się różnorodne przedmioty, wśród których obco wyglądające przewyższały liczbą znajome: słoiki apteczne opisane złożonymi literami, obok dziwacznych kształtów puszki z przyprawami i szczelnie wypełniające kredens kamienne naczynia pełne łyżek, szpatulek i mieszadeł, które zdawały się wyrastać z nich niczym bukiety egzotycznych drewnianych kwiatów. Worki z ziemniakami opierały się o wzmacniane metalowymi listwami skrzynie na herbatę, na wierzchu których z kolei stały szeregi lakowych pojemników oklejonych pożółkłymi etykietami opatrzonymi syjamskimi znaczkami, nadającymi nalepkom wygląd bitewnych chorągwi.

Jedyny parapet zastawiony był wieżami ze słoików o zawartości tak

różnobarwnej, że przesączające się przez nie światło ulicznej latarni zamieniało okno w trójwymiarowy witraż.

Nawet na suficie nie było wolnego miejsca. Każdą przestrzeń zajmowały wiszące pęki suchych ziół, wędzone szynki, warkocze cebul, a pośród tego coś podejrzanie przypominającego garłacz. Były też i zwykłe utensylia kuchenne – pospolite tarki, cedzaki, wałki oraz bardzo nowoczesne urządzenia mechaniczne, takie jak obieraczki do jabłek i nadziewacze do kiełbas. Znajdowały się tu również nieokreślonej przydatności ustrojstwa z metalu, drewna i szkła, które pasowałyby tak samo dobrze do laboratorium alchemika, szopy mechanika, jak i bardzo eksperymentalnego lochu.

Ściany obwieszane były wachlarzami noży, tasaków i ostrzy różnego kształtu i rozmiaru (łącznie z karbowanym kordem i hakowatym toporem abordażowym) oraz zdumiewającą kolekcją garnków, rondli, patelni, wyszorowanych i wypolerowanych na wysoki połysk. Na lśniących miedzianych powierzchniach tańczył czerwony blask ognia trzaskającego w gigantycznym piecu stojącym pośrodku kuchni.

Piec był ogromną konstrukcją składającą się z poczerniałych metalowych ścian i mosiężnych zawiasów. Pod kratą wolnego rusztu wesoło buzowały płomienie, na płycie syczał i buchał czajnik wielkości hipopotamka, a ponad tym wszystkim na pionowej osłonie widniał wytłoczony wielkimi literami napis PANCERNY PIEC PATENTOWY.

Obok na wyściełanym skórą zydlu siedziała kucharka zawijająca w sześć kawałków ciasta bakalie z cukrem.

Kucharka została przedstawiona Lucy jako Kucharka, jakby inne imiona były w jej przypadku zbędne lub jakby zgoła wcale ich nie miała.

Wszystko w niej było potężne: gargantuicznych rozmiarów, w białym fartuchu opinającym się na wydatnej piersi i pozostałych obłościach przypominała galeon, i to taki z naprawdę potężnych belek. Z tego obrazu wyłamywało się jej oblicze – kosmyki siwiejących włosów, niegdyś jasnych, wymykające się spod białego czepka były bez wątplenia kobiece. Jednak już czarna opaska na oku i blizna,

która wyłaniała się spod niej i biegła przez nos i drugi policzek, przydawały jej wojowniczego i awanturniczego wyglądu. Wrażenie to potęgował buńczuczny błysk w zdrowym błękitnym oku. Możliwe też, że właśnie to stanowiło wyjaśnienie dziwacznej, zagadkowej obecności garłacza i topora abordażowego pośród innych utensyliów w tej niecodziennej kuchni.

Mimo gabarytów Kucharka zdawała się posiadać podobną Sharpowi umiejętność błyskawicznego przemieszczania się, wystarczyło bowiem, by Lucy zaledwie zerknęła na sufit, na wiszącą tam tuskę kaczkę – która wyglądała na strasznie zmaltretowaną, jakby przed zawieszeniem przejechał ją walec – a w następnej chwili ujrzała Kucharke rozkładającą na blasze sześć porcji ciasta. Porcje te, obtoczone w cukrze, miały kształt i wielkość kul armatnich.

Lucy popatrzyła na nie, a potem na Sarę Falk, siedzącą naprzeciwko z rozłożonymi na blacie miską gorącej wody, flanelowymi gałgankami, ręcznikiem i pudełkiem rękawiczek.

– To eccles, kochaniutka – powiedziała Kucharka chrapliwym, ale przyjemnym głosem. – Będą się piec około dwudziestu minut, a w tym czasie postaram się uwolnić cię od tego okropnego knebla, nie robiąc ci przy tym krzywdy. Mam nadzieję, że zapach ciasta doda ci sił i pozwoli dzielnie znieść ewentualne niedogodności. Obiecuję, że po wszystkim będziesz mogła zjeść tyle eccles, ile zechcesz, nawet wszystkie. Może nawet skusisz się na kawałek sera lancashire. Zapewniam cię, warto. Zrobiłam te ciastka według przepisu szanownego pana Hendersona. – Podała Sarze niewielki nożyk.

– Nie – zaprotestowała Sara. – Niech Lucy to robi, na szczęście.

Kucharka wprawnie okręciła nóż w ręce i skierowała trzonek w stronę Lucy.

– Trzy cięcia na każdym, ani mniej, ani więcej – mruknęła Sara tajemniczo. – Trzy to liczba mocy, Lucy, prawie tak potężna jak liczba pięć. Jedni mawiają, że trzy cięcia robi się dla upamiętnienia Mekki, Medyny i Jeruzalem, inni, że na cześć Trójcy. Jeszcze inni, że to od Dziewicy, Matki i Staruchy. Mądry król Salomon powiedział...

Kucharka gwałtownie wypuściła powietrze, jak bojler wypychający zawór bezpieczeństwa.

– Gdyby król Salomon miał pojęcie o pieczeniu, wiedziałby, że trzeba pozwolić ulatywać parze, żeby lepkie nadzienie nie rozbryznęło się w moim czyściutkim piecyku. – Podsunęła nożyk Lucy. – Bierz, dziewczyno, i tnij. Burczy mi w brzuchu.

– Zawsze burczy ci w brzuchu. – Sara się uśmiechnęła. – Zupełnie jakby w twoim wnętrzu wiecznie szalała burza.

– No wiecie...! – zaczęła Kucharka, jednak urwała, kiedy Lucy wyjęła jej nożyk z dłoni.

– Nie! – krzyknęła Sara, pochylając się nad stołem. Było już jednak za późno, by powstrzymać dziewczynę.

Lucy rozwarła szczęki tak, jak pozwalał jej na to plaster, a potem nacięła czubkiem noża usmoloną jutę i krzywiąc się z bólu, rozdarła dziurę szerzej.

– Au! – krzyknęła przez niewielki otwór. Wbiła nóż w blat, gdzie jeszcze przez chwilę drżał od siły uderzenia. Włożyła palce do ust, a kiedy je wyciągnęła, na jednym widniała krew. – *Merde. Je me suis coupée. Ce salaud...*

Kucharkę aż zatchnęło.

– Na zęby diabła! – wybuchnęła. – To cholerna Francuzica!

Lucy meła coś w ustach, usiłując wypchnąć to przez otwór w plastrze.

– Lucy – zaczęła Sara, wyciągając ku dziewczynie rękę z flanelą. Kucharka ukradkiem zabrała nóż i sprawdzała, czy czubek nie został uszkodzony. – Mówisz po angielsku? *Parlez vous...?*

Dziewczynie w końcu udało się wypluć przedmiot. Drobiazg odbił się od wybielonej powierzchni stołu i zatrzymał na jego środku. Był to złoty pierścionek. Choć wylądował oczkiem do dołu, widać było, że kamień jest pęknięty i kawałek brakuje.

Lucy uparcie szarpała dziurę w plastrze, krzywiąc się z bólu, ale wreszcie poszerzyła otwór. Odetchnęła kilka razy i spojrzała na towarzyszki, jakby dziurawienie knebla i wypluwanie biżuterii było czymś całkowicie normalnym.

– *C'est l'anneau de ma mère.* – Wzruszyła ramionami. – *Ils ont lui cherché partout, ces salauds avec leurs visages bleus...*

Sięgnęła po pierścień i wytarła go flanelą.

– *...je pensais que j'allais avaler le truc foutu!*

– Co powiedziała? – dopytywała się Kucharka. – Strasznie szybko mówi.

– Że to pierścień jej matki. I że szukali go wszędzie, te niebieskolice, yyy, sukinsyny. I że już myślała, że połknie wreszcie ten, yyy, cholerny śmieć. – Sara uniosła brwi. – Muszę przyznać, że sporo przeklina.

– Spryciuła, ukryła go w ustach – powiedziała Kucharka z błyskiem uznania w oku.

– I nierozsądna – fuknęła Sara. – Mogła się przecież zadławić.

– Cóż, jest Wejrzeńcem – zbyła ją Kucharka. – Tak jak ty. W jej wieku też nie grzeszyłaś rozważą...

– Ale jeśli zna tylko francuski... – ciągnęła Sara, ignorując uniesioną brew i komentarz Kucharki – czemu nazywa się Lucy Harker?

Lucy wyciągnęła rękę przez stół, wzrokiem prosząc Sarę o podanie prawej dłoni. Sara nie protestowała, gdy dziewczyna ujęła jej rękę i odwróciła, żeby przyjrzeć się pierścieniowi.

– Lucy? – zaczęła. – Co chcesz...?

Lucy odwróciła pierścień matki i przystawiła go do tego na palcu Sary. Oprawa tego pierwszego była wyraźnie starsza i delikatniejsza, ale oczko, a raczej jego połowa, także zostało wykonane z krwawnika.

Mało tego, widniał na nim wygrawerowany lew.

Dokładnie taki sam jak u Sary. Brakowało mu jednak drugiej części, która wypadła – brakowało jednoroźca.

– Saro – zaczęła Kucharka bardzo powoli i wyciągnęła dłoń, pokazując umączony palec, na którym tkwił taki sam pierścień z krwawnikiem. – Jej matka była jedną z nas.

W zdumieniu patrzyły na dziewczynę. A ona spojrzała na nie, potem na pierścienie i znów na Sarę.

– *Mais...* – Na gładkim obliczu Lucy widać było, jak nadzieja walczy z nieufnością. – *Qui êtes-vous...?*

ROZDZIAŁ VII

Lśniące ostrza w ciemnym zaułku

Pan Sharp nie widział już, jak Ketch przelicza złoto pod latarnią i na widok miedziaków wzrusza ramionami, nie wiedząc, czemu miałby czuć rozczarowanie. Nie widział też, jak mężczyzna rusza przed siebie i znika w mroku. Nie patrzył w stronę wylotu alejki.

Nadal stał w uliczce przy karczmie, ale plecami do placu. Nozdrza falowały mu jak u wietrzącego psa myśliwskiego. Wpatrywał się w czerń ślepego zaułka, czekając, aż coś się poruszy. Prawą rękę oparł na rękojeści noża, palce zaciskały się na trzonku, gotowe wyszarpnąć broń.

Mijały sekundy, minuty, ale on ani drgnął.

Po pięciu minutach uznał, że musiał wyobrazić sobie tamten zapach, i już miał się odwrócić, gdy boczne drzwi gospody otworzyły się z hukiem. Były wysokie, a ponad nimi, tak jak ponad oknami i wejściem głównym do karczmy, zawieszono podkowę. Chybotliwy płomień świecy rozjaśnił zaułek na tyle, że zanim czerwonolicy karczmarz w fartuchu wyjrzał, przysyłając światło, pan Sharp zdołał dostrzec coś leżącego na bruku.

– Bessie? – zawołał karczmarz. – Bessie? Gdzie jesteś, dziewucho?

Przez chwilę nasłuchiwał, ale nie doczekawszy się odpowiedzi, wrócił do środka i zaułek znów pograżył się w czerni.

Pan Sharp przebiegł po bruku i podniósł przedmiot, który zdążył ujrzeć w plamie światła.

Okazał się nim damski but.

Przyglądał mu się przez chwilę, a potem odłożył go ostrożnie na jedną z beczek, które piętrzyły się pod ścianą tawerny. Wrócił na środek alejki i dobył ostrza.

– Puść ją – nakazał spokojnie.

Między ścianą karczmy i ślepym murem sąsiedniego budynku czas zdawał się stać w miejscu. Nic się nie wydarzyło. Nikt nie odpowiedział. Mimo to pan Sharp nie drgnął. Wciąż panowała cisza, jednak on i tak czekał.

Nikt nie odpowiadał ani się nie poruszał jeszcze przez dłuższą chwilę, aż wreszcie cienie drgnęły i rozległ się paskudny rechot, po którym dobiegł z ciemności chrapliwy, twardy głos, brzmiący tak, jakby jego właściciel pochodził z północy.

– Ciekaw byłem, czy mnie dojrzysz.

– I dojrzałem. – Pan Sharp skinął potakująco.

Czerń jęknęła boleśnie ustami młodej dziewczyny, które szybko zostały przysłonięte dłonią. Niewidoczny mężczyzna znów zarechotał.

Pan Sharp wyjął zza pazuchy świecę i trzymając ją pionowo, poruszył nadgarstkiem. Knot zapłonął sam z siebie, a kiedy Sharp rzucił świecę na ziemię, nie zgasł, mimo że świeca odbiła się i potoczyła po bruku aż pod buty z wysokimi cholewkami.

Buty ze skóry jakiegoś zwierzęcia o krótkiej sierści, może foki, stopniowo wyłaniały się spod aksamitnego płaszcza. Dzięki blaskowi świecy widać było, że nie jest to jednak aksamit utkany w jednej z tych nowoczesnych tkalni, które jak grzyby po deszczu wyrastały w środkowej Anglii. Płaszcz był stary, stary na dwa sposoby – nie tylko brudny i wyświechtany, ale też uszyty dawną metodą, ze skórek setek kretów. Spłaszczone łebki zostały zachowane i zwisały ułożone w dół jak łuski, upodabniając okrycie do czegoś w rodzaju miękkiej kolczugi. Na brzegach płaszcza w miejscu guzików jaśniały pożółkłe ze starości kostki i czaszki małych zwierząt. Ale to nie płaszcz był najdziwniejszy, ani też fakt, że jego właściciel przytrzymywał młodą kelnerkę w rozchełstonym ubraniu, rozczochraną, zaróżowioną i rozanieloną tak, że aż się śliniła z tej błogości. Jej mina przypominała minę Ketcha, gdy szedł przez miasto z Sharpem. Najdziwniejsza była twarz nieznanego.

Miał rozwidloną kozią bródkę, która sterczała, odstając od podbródka, włosy zaś zgarnięte z wysokiego czoła i zaplecione w dwa warkocze ozdobione czaszkami ptaków i kostkami gryzoni. Od linii włosów aż do czubka nosa jego oblicze pokrywała sieć tatuaży, tak

gęsta, że oczy spoglądały jakby zza niebieskiej maski. Mężczyzna przekrzywił głowę i przyjrzał się Sharpowi.

– Czym jesteś? – zapytał sykliwie. Jego głos skojarzył się Sharpowi z szumem fal rozbijających się o brzeg i cofających z zimnej, kamienistej plaży.

W mężczyźnie było coś majestatycznego i groteskowego zarazem. Na pierwszy rzut oka zdawał się wyższy, niż był w rzeczywistości. Uśmiechał się władczo, arogancko, wrażenie to jednak ulotniło się, gdy zaczął mówić i w sterczącej brodzie pojawiły się brązowe, omszałe zęby, przypominające starodawne nagrobki na zaniedbanym cmentarzu.

– Jestem tym, który prosi, żebyś pozwolił dziewczynie wrócić do środka, do ojca, który jej szuka – odparł spokojnie pan Sharp.

– Odejdź, chłopcze – rzucił mężczyzna i zbył go lekceważącym gestem.

– Nie mogę. Nie po tym, jak cię zobaczyłem.

Mężczyzna potrząsnął głową z irytacją, aż zagrzechotały kostki w jego włosach.

– Nosisz znajome ostrze, ale nie jesteś tym, kogo opisują widniejące na nim znaki. Potrafisz uczynić światło, ale potrzebujesz świecy, żeby je podtrzymać. Chwyciłeś umysł Ketcha i nagiąłeś go do swojej woli, ale tylko po to, by ukarać go za jakiś figiel.

– To nie był figiel – oświadczył Sharp. – A teraz proszę, puść dziewczynę. Zarówno jej umysł, jak i ciało.

– Cóż, prawdę mówiąc, i kara była kiepska. – Mężczyzna zaśmiał się krótko. – Gdybym to ja wymierzał karę, naciąłbym go na plecach, powoli obdarł ze skóry, a potem kazał mu założyć ją na lewą stronę i tańczyć gigę, póki nie padłby ze zmęczenia albo póki bym się nie znudził. To porządna kara.

– Nie. To wynaturzenie.

– Wynaturzenie? – Mężczyzna prychnął pogardliwie. – Przesadzasz. Rozmawiamy przecież o człowieku. To co najwyżej rozrywka...

– Wynaturzenie czy rozrywka, tak czy owak nie mógłbym na to pozwolić. Ani na nic podobnego.

– A kimże jesteś, żeby pozwalać na coś czy zabraniać czegoś

Czystemu? – wychrypiał nieznajomy. – Nie wiem, czym jesteś, ale mówisz jak jeden z nich, jak jakiś kundel, którego wszyscy kopią...

– Jestem Sharp – przedstawił się spokojnie Sharp. – I wiem, że puścisz zaraz tę dziewczynę i się od niej odsuniesz.

– Albo?

– Albo będziesz miał okazję skopać tego kundla, przekonując się przy tym, jak mocno gryzie.

– Myślisz, że dałbyś mi radę? Ty, jakiś półkrwi cherlak? – Parsknął drwiąco. – Zmiataj stąd, i to zaraz, inaczej sam zaczniesz zdejmować skórę, żeby mnie powstrzymać...

Pan Sharp nawet nie mrugnął.

– Nie mogę odejść. Muszę wypełnić obowiązek. A jeśli skrzywdzisz tę dziewczynę, z przyjemnością pozwolę ci przeczytać znaki na tym ostrzu z bliższej odległości, niżbyś sobie życzył.

Wytatuowany mężczyzna sięgnął pod płaszcz i dobył swojej broni. W blasku świecy zaśniło złotawo dziwnie zakrzywione ostrze. Wyglądało jak wygięty sierp z brązu. Nieznajomy przystawił je do szyi dziewczyny. Uśmiechnęła się sennie i zachichotała, kiedy krawędź załaskotała ją w gardło.

– Posłuchaj, chłopcze, chciałem się tylko zabawić z tą laleczką, ale skoro idziemy na noże, myślę, że na dobry początek zwilżę swój, a głowa tej ślicznotki spadnie na twoje delikatne sumienie. Może więc lepiej schowaj ten kozik i odejdz. Nie zamierzam zrobić jej niczego, czego już by nie robiła albo czego nie będzie po wielekroć robiła w przyszłości. Nic jej nie będzie, chyba że się nie dogadamy.

Pan Sharp spojrział na dziewczynę.

– Bess? – zwrócił się do niej. – Bess, nic ci nie jest?

Jej oczy błąkały się rozmarzone, a kiedy napotkały jego spojrzenie, mignął w nich wyraz skupienia, który jednak szybko rozplynął się w błogości.

– Jej umysł nie należy chwilowo do niej – oświadczył obcy. – Słuchaj, mieszańcu, naprawdę nie chciałbyś skrzyżować ostrza z moim. Moja klinga śpiewała już dużo wcześniej, zanim twoja matka suka się oszczeniła, i będzie śpiewać jeszcze długo po tym, jak twój grób porośnie chwastem, a nagrobek rozpadnie się w pył niesiony

wiatrem.

– Ach, próbujesz mnie sprowokować – stwierdził Sharp. – Usiłujesz dostać się do mojej głowy.

Nieznajomy prychnął gniewnie.

– Starczy chwila, a dostanę się do twoich flaków...

I nagle, zanim dokończył zdanie, oszołomiona dziewczyna zaczęła poruszać się tak szybko, że nie zdołał nawet pomyśleć o obronie. Wykręciła się, zanurkowała, wydostając się spod ostrza, podbiła obcemu przegub, a kiedy wyprostował ramię, uderzyła w łokieć, zginając go z chrzęstem w drugą stronę.

Broń wypadła z drgających palców, usta mężczyzny otworzyły się do krzyku, a wtedy dziewczyna kopnęła go w bok kolana, wybijając je ze stawu.

Runął wykrzywiony na bruk i w następnej chwili miał przy szyi ostrze, które złapała w locie.

Zastygł w dziwacznej pozycji, a krzyk zamarł mu na ustach.

– Jeśli mrugnie, poderżnij mu gardło – rzekł Sharp. Odbił się od beczek, dał susa i przez moment biegł po ścianie, póki nie zerwał z nadproża wiszącej na nim ozdoby i nie zeskokczył, lądując przy Bess. Płynnym ruchem rozwarł końce podkowy i przygwoździł nią szyję nieznajomego do ziemi.

– Nie! – zaskrzeczał wytatuowany człowiek. – Nie! To pali!

– Żelazo – przytaknął pan Sharp. – Skłamałem. Wiem dobrze, skąd pochodzisz. A teraz nie ruszaj się przez chwilę.

Ujął dziewczynę za rękę. Jej oczy pojaśniały, a potem znów przesłoniła je mgła szczęścia. Bess wręczyła mu sierpowate ostrze.

– Dziękuję, Bess – powiedział, kiedy stała zapatrzona w jesienną feerię barw w jego oczach. – Zapomnisz o wszystkim, co się tu wydarzyło. Wyszłaś na spacer, bo rozboleła cię głowa, i wkrótce poczułaś się lepiej. Wtedy usłyszałaś moje wołanie. Teraz pójdziesz do ojca, przekażesz mu wyrazy szacunku od pana Sharpa i powiesz, że mam tu gościa, którego powinien umieścić w jednej z cel w Sly House.

Dziewczyna potrząsnęła głową, jakby się wybudzała ze snu, po czym kichnęła trzy razy. Otarła oczy i uśmiechnęła się, jakby dopiero teraz zobaczyła, kto przed nią stoi.

– Witam, panie Sharp – odezwała się. – Widzę, że znów złapał pan jakiegoś szubrawca. Mam powiedzieć ojcu, żeby otworzył celę?

– Wyświadczyłabyś mi ogromną grzeczność, moja droga – powiedział Sharp poważnie i odprowadził ją wzrokiem, kiedy wchodziła do karczmy.

– Dobrałeś się do jej głowy, kiedy ja próbowałem wejść do twojej – syknął leżący. – To ty za nią walczyłeś. Nigdy nie zdołałbyś mnie pokonać w uczciwej walce.

Z minuty na minutę kurczył się i starzał, jakby żelazo z podkowy wysysało z niego siły. Ciemne tatuaże na twarzy bladły, granat zmieniał się w jasny błękit, a moc mężczyzny słabła, tak że jego oczy były teraz zmęczonymi oczami starca.

– Cóż – zbył go pan Sharp, trzymając podkowę okalającą jego szyję niczym wielka zszywka. – Kundle nie walczą uczciwie, a już na pewno nie z nikczemnikami.

– Nazywasz mnie nikczemnikiem, bo wystrychnąłeś mnie na dudka – wyrzęził. – Ale nie zdajesz sobie sprawy, z kogo właśnie uczyniłeś sobie wroga, ty niewychowany szczeniaku. Nasza krew jest Czysta, nasza krew jest Jedyna, a ja jestem Wieloma.

Jego oczy zabłysły i przygasły. Sharp, uśmiechając się, spojrział na niego z góry.

– Wiem, kim jesteś. Rozpoznałem cię po zapachu i tatuażach. Należysz do Hordy Mroku, jesteś jednym ze Sluagh – wymówił to, krzywiąc się z obrzydzenia. – Ale wasze miejsce jest na północy, w dziczy. A to miasto Prawa i Obyczaju.

Sluagh pokręcił głową i syknął, gdy przypadkiem dotknął podkowy. Jego głos cichł i niknął tak samo jak tatuaże, ale jeszcze tlił się w nim płomyk oporu.

– To wasze Obyczaje, nie nasze. Mieszkamy tam, gdzie chcemy, i Obyczaj nas nie dotyczy. A w ogóle co to ten Obyczaj?

– Obyczaj opiera się na prostej zasadzie – zaczął Sharp miarowym tonem, takim, jakim nauczyciel przemawia do powolnego, lecz pobudliwego ucznia. – Mówi ona, że nie wolno wam wchodzić pomiędzy bezbronnych ludzi i na nich żerować. Jeśli to zrobicie, powstrzymamy was.

Sluagh usiłował uśmiechnąć się drwiąco, ale nie miał siły unieść wargi.

– A cóż to za potęga, to „my”?

– Wiesz, kim są ci, którzy noszą to godło. Należymy do Wolnego Bractwa. Pilnujemy Prawa i Obyczaju... – Pan Sharp zwinął dłoń w pięść i pokazał Sluagh pierścień. – Jesteśmy Nadzorem.

ROZDZIAŁ VIII

Straż cienia

Qui êtes-vous? – ponowiła pytanie Lucy.

– Zamierzasz jej powiedzieć? – odezwała się Kucharka. Lucy usiłowała się nie ruszać, podczas gdy potężna kobieta manipulowała szmatką nasączoną w ciepłym oleju, starając się zmiękczyć knebel i powoli odrywać go od skóry. Sara stała za plecami Lucy, łagodnie, ale stanowczo przytrzymując ją za ramiona.

– Czemu nie? Próbowałam już przecież wyjaśnić jej, że jest Wejrzeńcem. A jeśli pierścień należy do niej, to ma prawo wiedzieć – oświadczyła Sara.

– Słucha – zauważyła Kucharka, nie patrząc na Lucy. – Myślę, że nas rozumie.

– Znasz angielski? – zapytała Sara, chwytając dziewczynę mocniej i odwracając twarzą do siebie. Lucy zachowała obojętną minę.

– Lucy. *Parles-tu anglais?*

– *Non. Je veux seulement savoir qui vous êtes!*

– Chce tylko wiedzieć, kim jesteśmy – przełożyła Sara.

– Znam francuski tak dobrze jak ty, dziękuję – obruszyła się Kucharka. – A już na pewno rozumiem ją, kiedy mówi powoli. Uważam po prostu, że to nieodpowiednia chwila na mówienie jej wszystkiego.

– Jest Wejrzeńcem – upierała się Sara. – A teraz, gdy już to wie, i tak prędzej czy później musi dowiedzieć się reszty.

– Wobec tego lepiej później – obstawała przy swoim Kucharka. – Kiedy dowiemy się o niej czegoś więcej.

– Dawniej Nadzór przyjmował z otwartymi ramionami i chronił tych, którzy nie byli świadomi swoich mocy, czyli takich jak ona. Robił to, dopóki nie nauczyli się nimi posługiwać i nie zaczęli

wykorzystywać ich w dobrej sprawie.

Kucharka pokręciła głową.

– Dawniej Nadzór był silny, posiadał wiele Rąk. Kiedyś mieliśmy tylu ludzi, że nie nakarmiłabym ich i na sześć tur przy wielkim stole w jadalni! – Wskazała na sufit. – Teraz mieścimy się przy tym małym stoliku i jeszcze zostaje miejsce. Dawne czasy się skończyły, Saro. Teraz jesteśmy tylko ty, ja, pan Sharp, Hodge i Kowal. Tyle. Jesteśmy Ostatnią Ręką i nie możemy zachowywać się tak jak przed Katastrofą. Rozumiesz, co do ciebie mówię, Saro?

Sara dostrzegła w oczach starszej kobiety nie tylko stanowczość, ale też troskę.

– Rozumiesz, Saro? – powtórzyła Kucharka.

– Tak – rzekła Sara. – Powiedziałaś, że mamy wiele miejsca przy stole.

Kucharka sapnęła jak morświn oczyszczający otwór nozdrzowy na grzbiecie.

– Jesteś nieopanowaną, niepoprawną...

– Dziękuję – przerwała jej Sara z uśmiechem.

Przeszła na francuski. Lucy wykręciła szyję, żeby ją widzieć, ale zaciskała wargi, by olej, którym smarowała ją Kucharka, nie dostał jej się do ust.

– Nasza organizacja powstała dawno temu – zaczęła Sara – kiedy na świecie nie było tak tłoczno, a ludzie lubili wypełniać przestrzenie czterema czy pięcioma słowami tam, gdzie starczyłoby jedno. Jesteśmy Wolnym Bractwem do spraw Regulacji i Nadzoru Enigmatycznych Sytuacji Krytycznych i Ponadnaturalnych Obyczajów.

– Co? – Lucy poczuła się, jakby spadła na nią lawina słów, grzebiąc pod sobą możliwość zrozumienia ich sensu.

– Nazywamy się Nadzorem, żeby było krócej. – Sara się uśmiechnęła.

– Ale co to znaczy? – spytała Lucy podejrzliwie. – Tyle słów, to zagmatwane...

– Nie, to proste. Enigmatyczne Sytuacje Krytyczne to dziwne i tajemnicze wydarzenia, których nie da się zwyczajnie wyjaśnić.

Ponadnaturalne Obyczaje to wiedza i tradycje odnoszące się do tych spraw. Regulacja i Nadzór oznaczają, że obserwujemy cię i pilnujemy tego, co się tam dzieje. A Wolne Bractwo znaczy, że jesteśmy grupą i działamy z własnej woli oraz że nie podlegamy niczyjej władzy, ani króla, ani rządu.

– Ani królowej – dodała Kucharka.

– Ani królowej – zgodziła się Sara.

– Boże, chroń królową – podsumowała Kucharka dobitnie.

– Zaiste – potwierdziła Sara.

W tym momencie Lucy doszła do wniosku, że obie kobiety są całkiem szalone.

– To nie ma sensu – poskarżyła się. – I nadal nie rozumiem, kim jesteście...

Sara wzięła głęboki oddech.

– Dawno temu, zanim narodził się pomysł tworzenia historii, istniało wiele rodzajów ludzi. Niektórzy byli niezwykle szybcy, inni niesamowicie silni, jeszcze inni działali nocą i spali za dnia. Byli też tacy, którzy potrafili „myśleć” do siebie tak, jak my mówić. Nie należeli do istot nienaturalnych, bo stworzyła ich natura. Ale jeśli „naturalny” ma oznaczać „normalny”, a normą jest to, co robi większość, to tamci ludzie byli supernaturalni...

Lucy kiwnęła głową, choć nie słuchała tak uważnie, jak udawała, że słucha. Myślała o tym, że pomiędzy nią a światem znajduje się dwoje drzwi, przez które została wniesiona do tego dziwnego domu. Odtwarzała w głowie drogę, którą przebyła, oceniając przy okazji, czy udałoby jej się prześcignąć Sarę, gdyby odsadziła ją na początku.

– „Super” oznacza po łacinie „ponad”, „poza”, „powyżej” – wyjaśniła Kucharka. – Potężny język, ta łacina.

Zmarszczyła nos, jakby nagle wyczuła jakąś zmianę w zapachu dochodzącym z pancernego pieca. Krzesło zatrzeszczało ostrzegawczo, kiedy obróciła się po rękawice.

Lucy przypatrywała się ciastom, które po wyjęciu z pieca trafiły prosto pod jej nos. Teraz wyglądały jak niewielkie złotobrazowe kule armatnie. Zapach karmelu, gałki muszkatołowej i goździków otulił ją niczym ciepły koc. Zaburczało jej w brzuchu.

– Dysponowali oni ponadumiejętnościami, o których reszta „normalnych” ludzi zapomniała – kontynuowała Sara. – Umiejętnościami, o których zaczęto opowiadać legendy i zwać je „diabelskimi”, „magicznymi”, przynależnymi skrzatom, elfom czy innym podobnym istotom. Rozumiesz?

Lucy wzruszyła ramionami, co miało oznaczać potwierdzenie. Zastanawiała się, czy gdyby przewróciła krzesła, zdołałaby dopaść drzwi pierwsza, a także ile czasu zyskałaby, zostawiając za sobą te przeszkody.

Zdawała sobie sprawę z olbrzymich luk w pamięci, szczególnie tych dotyczących najświeższych wydarzeń, i miała tak ciężką głowę, jakby ktoś naszpikował ją jakimiś lekami, ale wiedziała jedno: że ciało pamięta rzeczy, o których zapomina umysł. Wiedziała, że potrafi się poruszać niezwykle cicho i szybko – nieraz łapała króliki na polach, gdy zmuszał ją do tego głód. Potrafiła podejść je bezszelestnie i schwytać ofiarę, nawet jeśli ta rzuciła się już do ucieczki. Na wspomnienie łowów znów zaburczało jej w brzuchu. Nie jadła od bardzo, bardzo dawna. Naraz zauważyła, że kobiety patrzą na nią wyczekująco, jakby spodziewały się kolejnego pytania.

– A, tak... To gdzie odeszli? – zapytała pospiesznie. – Gdzie są ci ludzie z ponadumiejętnościami?

– Nigdzie nie odeszli – odparła Kucharka po angielsku.

Lucy pochwyciła jej przeszywające spojrzenie i znów naszła ją myśl, że ta zwodniczo gruba kobieta może się poruszać nadzwyczaj szybko. Miała masywną budowę, a pod tłuszczem kryło się więcej mięśni, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. Lucy przypomniała sobie, że powinna zrobić tępą minę, jakby nie rozumiała. Dopiero kiedy usłyszała odpowiedź powtórzoną po francusku, uśmiechnęła się i kiwnęła głową. Uznała, że należy wywrócić krzesła, i to nie tylko z nadzieją, że Sara się o nie przewróci, ale też by zyskać czas na złapanie noża ze stojaka, w razie gdyby musiała trzymać kobiety na dystans. Sporo wiedziała o uciekaniu, podobnie jak o walce. Czasami miała wrażenie, że całe jej życie składa się wyłącznie z ucieczek i walki.

Ta rozmowa o ponadnaturalnych mocach tylko utwierdziła ją

w przekonaniu, że musi jak najszybciej wydostać się z tego dziwnego domu i oddalić od tych kobiet, które, z pozoru serdeczne, z pewnością były bardziej szalone niż ona sama.

A ten oszałamiający zapach domowego ciasta był zbyt piękny, aby mógł być prawdziwy.

Sara zsunęła rękawiczkę i podwinęła rękaw, odkrywając delikatny przegub, a potem wyciągnęła rękę wnętrzem dłoni do Lucy.

Wszystko wokół jakby zamarło. Mając gotowy plan ucieczki, Lucy mogła się skupić wyłącznie na tym, co działo się w pomieszczeniu. Wydawało się jej, że jedyną poruszającą się rzeczą jest pulsująca niebieska żyłka na nadgarstku Sary.

– Odeszli tam, do krwi – rzekła Kucharka.

– Są w twojej krwi? – powtórzyła Lucy.

– We krwi każdego z nas – sprecyzowała Sara. – Zmieszali się z nami. Łączyli się z nami w pary, rozmnażali się. Ponadnaturalni zmieszali się ze zwykłymi ludźmi, stali się częścią ludzkości. Większość ponadnaturalnych zdolności rozproszyła się, rozcieńczyła na przestrzeni wieków i przestała być zauważalna albo w ogóle przestała istnieć. Ale niektóre szczepy pozostały silne, trwały przez pokolenia, przekazywane, jak w naszym wypadku, z matki na córkę, z ojca na syna. A bywa też tak, że z dwóch białych owiec rodzi się czarna: stara krew powraca silna i koncentruje się w jednym osobniku.

Kucharka podsunęła ciasta bliżej Lucy. Dziewczynę owionął błogi zapach, osłabiając jej wolę ucieczki. Postanowiła go zignorować, wmawiając sobie, że to kłamstwo, że te kobiety kłamią, że wszyscy kłamią.

– Nie jedz, póki nie ostygnie – przestrzegła ją Kucharka. – Nadzienie jest nadal gorące, mogłabyś się poważnie oparzyć.

– Ale nie wszyscy ponadnaturalni mieszały się ze zwykłymi ludźmi – podjęła Sara. – Niektórzy trzymali się tylko ze swoimi. Nazywają siebie Czystymi, Pełnymi lub Ocalałymi, w zależności od miejsca, w którym się ukrywają.

– Ale jakim cudem potrafią się ukrywać aż tak skutecznie, że ich nie widzimy? – zapytała Lucy. – I że nic o nich nie wiemy? To głupie.

– Cieni jest więcej niż światła i mają one więcej warstw, niż myślisz. Tamci ponadnaturalni wybrali życie w tym wielowarstwowym mroku – tłumaczyła Sara. – A gdy wychodzą z ukrycia i krzywdzą zwykłych ludzi, wpychamy ich z powrotem na miejsce.

Kucharka położyła na stole nóż i widelec, po czym wstała.

– Rozkrój je, szybciej ostygną. Ale nie zaczynaj, póki nie przyniosę sera. Nie można jeść ciasta eccles bez plasterka pysznego, kruchego sera.

Lucy nie musiała się więcej nad tym wszystkim zastanawiać. Los ponownie wkładał jej w dłoń nóż, a Kucharka właśnie znikła w spiżarni w głębi pomieszczenia. Świat sam stworzył Lucy okoliczności idealne do ucieczki – wystarczyło tylko odwrócić uwagę Sary. Ręka Lucy zaczęła działać, zanim umysł poskładał wszystko w całość. Dziewczyna miała wrodzony talent do ratowania się z tarapatów i czasami wydawało się, że w chwilach zagrożenia jej ciało reagowało pierwsze, a świadomość doganiała je z opóźnieniem.

Lucy złapała jedno z ciast i cisnęła je w twarz Sary. Rozległ się okrzyk zaskoczenia, lecz kiedy go usłyszała, zdążyła już wywrócić krzesło i była w połowie drogi do wyjścia. Chwyciła za klamkę. Strach, że drzwi są zamknięte, ulotnił się w chwili, gdy ujrzała klucz tkwiący w zamku. Ze względu na ten właśnie fakt obejrzała się przez ramię – chciała sprawdzić, czy zdąży zatrzaskać drzwi i przekręcić klucz, zanim ją dopadną. To ułatwiłoby jej ucieczkę.

Kucharka była szybka – zdążyła wybiec ze spiżarni i była już na środku kuchni. Nagle jednak zatrzymała się przy Sarze, która krzywiąc się, ścierała z twarzy gorące nadzienie.

Żadna z kobiet nie goniła Lucy.

– Saro... – zaczęła Kucharka.

– Nic mi nie jest – uspokoiła ją Sara, zaciskając zęby.

– Jesteś poparzona. To była głupota. Mówiłam ci, że jest za wcześnie.

Spokój, z jakim na nią spoglądały, i brak jakichkolwiek oznak, że zamierzają ją ścigać, zmroziły Lucy bardziej, niż gdyby kobiety puściły się za nią w pogoń. Musiała działać szybko i zamknąć drzwi, zanim otrząsną się z szoku. Nie spuszczać z nich oka, przekroczyła

próg.

I odbiła się od czegoś ustawionego za drzwiami, po czym wpadła z powrotem do kuchni.

Potknąwszy się, runęła jak długa na posadzkę.

Tym razem to ona wydała z siebie jęk zaskoczenia.

W drzwiach stał wielki woźnica o glinianej twarzy. Lucy usiłowała zrozumieć, jakim cudem posąg nagle znalazł się w przejściu, gdy nastąpiło coś niemożliwego – posąg uniósł rękę i pogroził jej palcem. A potem zrobił gniewną minę, zwinął dłoń w pięść i postąpił krok naprzód...

– Nie! Emmet, stój! – krzyknęła Sara gniewnie. – Emmet. Nie. Ona nic nie rozumie. Nie chciała zrobić mi krzywdy.

Gliniany olbrzym wydał z siebie cichy pomruk, który Lucy bardziej poczuła za sprawą wibracji podłogi, niż usłyszała, a potem się wycofał, zamykając za sobą drzwi.

– Co się stało, dziewczyno? – zapytała Kucharka z ponurym uśmiechem. – Co, nigdy nie widziałaś golema?

ROZDZIAŁ IX

Cela z trzech rodzajów drewna

Nie tylko podkowy przybite nad każdym oknem i drzwiami przesądzały o wyjątkowości karczmy King's Arms w mieście, w którym roiło się od wszelkiego rodzaju wyjątkowych tawern i piwiarni. Unikalność tego konkretnego przybytku polegała na tym, że oprócz gwarnej gospody mieścił się tu areszt.

Sąsiedni budynek od zamierzchłych czasów stanowił siedzibę niewielkiego sądu, wygodnie więc było trzymać podsądnych w przyległych celach, w miejscu zwanym Sly House. To oznaczało, że jego właściciel zarabiał podwójnie – jako karczmarz i jako strażnik więzienny. Większość nieszczęśników odsyłanych z sądu do King's Arms stanowili pomniejsi dłużnicy, czekający w celi, aż ktoś spłaci ich wierzytelności. Warunki w areszcie nie były cięższe od spartańskich. Osadzonym mogła dokuczać jedynie wilgoć podchodząca w nocy, jako że dwadzieścia akrów wody w Nowym Porcie dwie ulice stąd uparcie usiłowało przeniknąć w głąb miasta.

Cele te składały się na areszt publiczny.

Na tyłach aresztu znajdowała się piwniczka, gdzie trzymano beczki z piwem, a w jej tylnej ścianie – drzwi prowadzące do obudowanego ceglami tunelu znanego jako Ślepe Przejście. Wiódł on do tak zwanych Prywatnych Cel.

Prywatne Cele nie należały do sądu – jego pracownicy nawet o nich nie wiedzieli. Nie wiedzieli również, że Ślepe Przejście ciągnie się dalej i za podwójnymi drzwiami rozwidła na dwie odnogi. Lewa, krótka, skręcała na południe i dochodziła do Tamizy na wysokości portu Hermitage, prawa zaś wiodła na zachód, przechodziła pod rogiem placu oraz sekretnym wejściem do domu Sary Falk i dalej przez szereg coraz masywniejszych podziemnych drzwi, aż do

anonimowego, rzadko używanego przepustu w wewnętrznych murach samej Tower.

William George Bunyon, ojciec niedawno pojmanej, lecz na szczęście nieuszczerpkniętej Bessie, był aktualnym właścicielem-strażnikiem King's Arms. Granicę jego włości stanowiły podwójne drzwi i nigdy nie przyszło mu do głowy, by ją przekroczyć. Był człowiekiem wesołym, otwartym, gościnnym, lecz stanowczym, dzięki czemu idealnie nadawał się tak na karczmarza, jak i na strażnika więzienia. W części nadziemnej, za barem czy na sali, błyszczał talentem żartobliwego gawędziarza, dzięki któremu nie tylko utrzymywał spokój wśród klientów, ale też sprawiał, że chętnie zostawali dłużej i kupowali więcej piwa, co przekładało się na zyski. Pod ziemią, w pobliżu Prywatnych Cel, mówił dużo mniej i jeszcze rzadziej zadawał pytania, poza jednym, tradycyjnym.

Zadał je również tym razem, gdy pan Sharp wepchnął do celi Sluagh.

– Łotr z tego tu, hę?

– Ano łotr, panie Bunyon, prawdziwy łotr – potwierdził Sharp, jak robił to zazwyczaj.

Bunyon skinął, jakby już teraz wszystko rozumiał, choć ani nie rozumiał, ani o to nie dbał.

Miał na sobie zabudowany fartuch, jasno wskazujący na profesję, a także ciemne okulary, takie, jakie nosiła Sara Falk. Pan Sharp przestrzegł go, żeby nigdy nie schodzić do przejścia bez nich, ponieważ niektórzy goście Prywatnych Cel posiadali niebezpieczną umiejętność przejmowania kontroli nad ludzkimi umysłami, a wystarczyło im do tego tylko spojrzeć komuś w oczy. Rzecz była bardzo podejrzana, ale William Bunyon nigdy się nad tym nie zastanawiał, a to dlatego, że pan Sharp sam dawno temu również spojrział mu w oczy, modyfikując typową dla karczmarza wielką ciekawość w taki sposób, że omijała ona kwestie Ślepego Przejścia, Prywatnych Cel oraz ich dziwnych pensjonariuszy. Gdyby ktoś zapytał o pana Sharpa i jego znajomych (co nigdy się nie zdarzyło), jowialny gospodarz przytknąłby palec do boku swego wydatnego czerwonego nosa, przymknął powiekę i mruknął coś o „stróżach prawa”, i nie

mijałyby się aż tak bardzo z prawdą, szczególnie jeśli spojrzeć na sprawę z innej perspektywy.

Cela została wyłożona drewnem łącznie ze ścianami i sufitem, tak jak przedpokoik w piwnicy Sary Falk. Pan Sharp prowadził Sluagh za podkowę tkwiącą na jego szyi. Sluagh wyglądał teraz niewiarygodnie staro i słabo, a jego ciemnoniebieskie niegdyś tatuaże zbladły tak, że można je było wziąć za popękane żyłki pod prawie przeźroczystą skórą.

Pan Sharp wygarnął butem spod pryczy drewniany taboret i przesunął go na środek celi.

– Siadaj. – Posadził więźnia na krzeselku tyłem do drzwi. – Taca, panie Bunyon, jeśli można.

William Bunyon pchnął tacę po podłodze, tak że wjechała za drzwi, i szybko cofnął rękę.

– Masz tu chleb i wodę – powiedział pan Sharp do więźnia.

– I ser – zaznaczył pan Bunyon, stojąc w bezpiecznej odległości.

– I ser – powtórzył pan Sharp.

– I ładne jabłuszko – dodał pan Bunyon.

– I jabłko. – Pan Sharp westchnął. – Zaprawdę, pan Bunyon cię rozpieszcza. A teraz zdejmę ci podkowę, a ty nie ruszysz się, dopóki nie usłyszysz dźwięku zamykanych drzwi, rozumiesz?

– Taaak – syknął Sluagh, a głos, który wydobył się ze szczeliny pomiędzy zwiotczalymi wargami, brzmiał tak samo staro i wątle, jak wyglądał ten, który go wydał.

Pan Sharp jednym ruchem zdjął podkowę i śmignął do drzwi tak szybko, że zgrzyt zamka zabrzmiał, zanim Sluagh zdołał podnieść głowę.

– I co? – odezwał się więzień, rozglądając się wokół. – Myślisz, że to pudełko mnie powstrzyma?

– Owszem – odparł pan Sharp zza drzwi. – Zobacz, jakie drewno cię otacza.

Sluagh dźwignął się na nogi i chwiejnie podszedł do ściany. Zdrową ręką przesunął po boazerii i cofnął się niezgrabnie.

– Dąb... jesion... głóg – wyszeptał. – To okrutne.

– Ależ skąd – zaprotestował pan Sharp. – Jesteśmy nowocześni

i humanitarni. Dostałeś chleb, wodę, ser, a pan Bunyon był tak miły, że dołożył nawet owoc. Jesteśmy po prostu ostrożni.

Sluagh splunął słabo na ścianę i patrzył, jak ślina spływa po desce.

– Drewno dla ochrony, drewno dla związania – wyrzeźbił. – I coś jeszcze, coś jak żelazo, którym mnie sparzyłeś...

– Z tyłu każdej deski wyryto słowa przeciw takim jak ty w ramach dodatkowego zabezpieczenia – wyjaśnił pan Sharp. – Obawiam się, że twoje moce na nic się tu nie zdadzą. Mówię o tym, żeby oszczędzić ci rozczarowania.

Sluagh odwrócił się i spojrzał w oczy Sharpa widoczne w wąskim wizjerze.

– Jesteś niezwykle zmyślny, jak na kundla. Co zamierzasz ze mną zrobić?

– Najpierw sprawdzę w mieście, czy nie planowałeś innych intryg albo występków. Jeśli tak, odpowiesz przed Sądem Kowala i zostaniesz ukarany. Jeśli nie...

Sluagh odrzucił głowę do tyłu, grzechocząc kostkami, i wydał z siebie gorzki rechot.

– Kowal? Co z nim? Sluagh nie odpowiada przed nikim i niczym, tym bardziej przed kundlami takimi jak ty czy ten chromy zdrajca. My jesteśmy Czystymi – chrypiał. – Poza tym nawet jeśli nadal używa się nazwy „Sąd Kowala”, to słyszeliśmy, że samego Kowala dawno już nie widziano. Słuch o nim zaginął, tak samo jak o reszcie waszej zgrai.

Nozdrza pana Sharpa lekko zadrżały, ale poza tym nie zdradził w żaden sposób, że ta kąśliwa uwaga trafiła do celu.

– Jeśli nawet Kowala nie widział nikt z waszych, to dlatego, że nie chciał być widziany.

Sluagh zaśmiał się drwiąco.

– A potężny Nadzór? Mówisz, jakby nadal coś znaczył. Ale już prawie was nie ma. Dni waszej świetności minęły.

– Jeśli Sluagh myślą, że nieszczęścia osłabiły nas na tyle, by można było wchodzić sobie do miast i żerować na zwykłych ludziach, to wielce się mylą – oświadczył Sharp.

Sluagh uśmiechnął się wrednie.

– A po co innego mielibyśmy przybywać do miast? Miasta są

ohydne, pełne żelaza, stali. Dla nas są jak zbudowane z cegieł kurniki, w których biegają kurczaki, są skazą na naturze, którą kochają lisy. Ale jak lisy nauczyły się korzystać z kurników, tak my wiemy, że miasta mają jedną zaletę: trzymają zwierzyne w jednym miejscu...

– A ponieważ nie potraficie się kontrolować, tak samo jak lis w kurniku nie umie powstrzymać żądzy mordy, Prawo i Obyczaj zabraniają wam wchodzić do miast i nakazują mieszkać w Dzicy – skontrował Sharp.

– Ale naszych dzikich krain nikt nie broni przed miastami! – warknął Sluagh. – Z roku na rok smród żelaza i maszyn coraz bardziej rozprzestrzenia się po naszych terenach. W kuźniach i manufakturach powstają żelazne tory, które wbija się w ziemię, a nasze terytoria otacza się milami stalowych węży, więżąc dzikość, przełamując przepływ starszych linii. Twoje Prawo i Obyczaj nie robią nic, żeby temu zapobiec. – Splunął znowu. – Jesteście pieskami, my jesteśmy Czystymi...

– Jesteście tym i tamtym, na pewno – uciął pan Sharp. – Ale chwilowo ty jesteś tutaj, zamknięty na noc. Radzę ci, prześpij się.

– My nie śpimy.

– Mój błąd. Oczywiście, że nie. – Pan Sharp przepaszająco skinął głową. – Wobec tego siedź cicho i czekaj rana. Wtedy wrócę.

Sluagh rozejrzał się po celi i machnął ręką.

– Nie kłopot się. Nie ma tu okna. Do rana się uduszę.

– Przesadzasz – zbył go pan Sharp. Spieszył się, chciał czym prędzej sprawdzić, co dzieje się z dziwną dziewczyną, którą Ketch przyniósł do Sary Falk, a przed powrotem do domu musiał się jeszcze upewnić, czy w miejskiej mgle nie czają się jacyś kompani Sluagh. Nie lubił odpuszczać takich spraw. Odwrócił się i skinął na strażnika. – Zamknijcie go, Bunyon. Wrócę rankiem, jeśli nie wcześniej. – I odszedł korytarzem.

Bunyon schylił się i wsunął na miejsce pierwszy z trzech rygli zabezpieczających dodatkowo drzwi celi. Kiedy uporał się ze wszystkimi, zerknął jeszcze na odchodnym w wizjer. Jego wzrok padł na stojącego, wpatrującego się w drzwi więźnia. Karczmarz zatrzymał się.

– Jestem stworzeniem, które potrzebuje wolnego powietrza – poskarżył się słabowicie Sluagh. – Nie jakimś podziemnym cieniożercą. A ty podobno nie jesteś okrutnikiem.

Bunyon przyglądał mu się dłuższą chwilę. Sluagh gapił się na niego z miną cierpiętnika i rżąc, z trudem łapał powietrze. Bunyon słyszał, jak przy każdym oddechu coś w środku więźnia trzeszczy i strzela, jakby paliła się mała gałązka. Dźwięk ten był tak smutny, tak żałosny, a Bunyon miał dobre serce.

– Dobrze – rzekł. – Zostawię wizjer otwarty. Dzięki temu będziesz miał więcej powietrza. Dobrej nocy. Niech pan odpocznie. Jeszcze nikt nigdy nie uciekł z tych cel. Zapomnij na tę noc o swych niecnym planach.

Sluagh obserwował, jak niknie chwiejne światło lampy, i słuchał, jak w oddali cichną kroki strażnika, jak otwierają się drzwi, a potem zamykają, i jak wszystko pogrąża się w głuchej ciszy i mroku.

Nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, upewniając się, że jest sam.

A wtedy, dopiero wtedy odpowiedział z paskudnym uśmiechem, który był tak złowrogi, że Sluagh na moment odzyskał wigor swojej młodszej wersji.

– Och nie, mój dobry człowieku, to dopiero początek moich niecnym planów.

ROZDZIAŁ X

Wyłamywanie zamka

Czarny powóz zatrzymał się w uliczce między stajnią a wysokim budynkiem, tuż za Bishopsgate. Coram ześlizgnął się z kozła, podkręcił wiszącą na murze lampę naftową i otworzył drzwiczki.

– Jesteśmy w domu, ojcie – oznajmił niepotrzebnie.

Issachar nie ruszył się, żeby wyjść. Siedział na obitej skórą ławce pomiędzy dwoma małymi koszykami. Na widok wypełniających je ostryg Coramowi napłynęła ślinka do ust. Ojciec, który żył z tego, że nigdy niczego nie przeoczał, dostrzegł to i się uśmiechnął. Miał na sobie pobrudzony skórzany fartuch, który służył jako śliniak i serwetka zarazem, osłaniając pogrzebowo ponury strój prawnika. Trzymanym w ręce krótkim nożykiem Issachar wskazał na jeden, a potem na drugi koszyk.

– Te są z Whitstable, te z Colchester, chłopcze. Z Whitstable dla mięsa, z Colchester dla soku. – Jego spojrzenie, wesołe podczas rozmowy z pastorem, teraz stało się chłodne, obojętne, kalkulujące. Przez moment zdawało się, jakby patrzył w dal na coś, co widział tylko on. – Mój dziadek palił czarownice w Whitstable.

Mówiąc to, rzucił nóż i ostrygę Coramowi, tak jak pan rzucający kość psu. Chłopak schwycił błyskawicznie jedno i drugie.

– Palił je? – powtórzył.

Issachar przytaknął. Był to jeden z sekretów rodzinnych. Ponad półtora wieku przed narodzinami jego i Zebulona Templebane'owie byli purytańskimi łowcami czarownic, jeździli po kraju w poszukiwaniu wszystkiego, co nienaturalne i nienormalne, a potem sądzili podejrzanych i skazywali na śmierć przez powieszenie albo spalenie.

Templebane'owie byli sprytni, mieli nos i oko do wyłapywania

dziwaków i bezbronnych, szczególnie tych, którzy żyli w cieniu, na marginesie nawet najbardziej prymitywnych społeczności rolniczych. Wędrując przez północne rejony Anglii, zostawiali za sobą szlak krwi, popiołów i żałoby, potęgując nieszczęścia nękające kraj toczony wojną domową. Purytanami byli tylko z pozoru i nie udawali tego przed sobą. A ponieważ fortuna kołem się toczy, wiedzieli, że moda na polowania na czarownice towarzysząca zwycięstwu Okrągłych Główn i rządowi wspólnoty przeminie i że prędzej czy później oprawcy najpewniej skończą jako ofiary własnych prześladowań. Najskuteczniejszych łowców czarownic zazwyczaj oskarżano o posługiwanie się czarną magią, której doszukiwali się u innych, a wynikało to z logicznego rozumowania, że ich sukcesy same w sobie muszą być efektem posiadanych mocy, a informacji o tak tajemnych sprawach nie sposób zdobyć inaczej niż z pomocą czarów.

Templebane'owie mieli gęstą sieć informatorów, a także innych niecodziennych i tajemniczych sojuszników i może właśnie dzięki temu zachowywali czujność względem niebezpieczeństw czających się na cromwellovskich purytanów, odkąd nastąpiła nieunikniona zmiana władzy na bardziej tolerancyjną. Obdarzona umiejętnością łatwego przystosowywania się do nowych warunków rodzina przeniosła się do Londynu, gdzie ogromny majątek zbity na łowieniu czarownic (pochodzący od rządu i parafii), a także na ich niełowieniu (wyciągnięty od oskarżonych o czary i ich bliskich) włożyła w zakup nieruchomości oraz założenie domu pośrednictwa handlowego w centrum stolicy.

W ciągu dwóch pokoleń Templebane'owie stali się nie tylko szacownymi pośrednikami, ale również prawnikami. Jak to niegdyś powiedział ojciec Issachara i Zebulona, chichocząc niepokojąco: „Kłusownicy i leśnicy, chłopcy, bądźcie jednymi i drugimi, a świat stanie przed wami otworem”.

Powszechne poważanie okrywało ich grubym płaszczem nietykalności, lecz pod nim pozostali szczwanymi lisami, a szczwane lisy wiedzą, że wiedza to władza. Dlatego też nigdy nie zerwali szemranych kontaktów nawiązanych przez przodków, którzy wędrowali bezdrożami do oddalonych osad, ani też nie zaprzepaścili

zdobytej przez nich wiedzy o szczelinach pomiędzy światem naturalnym i ponadnaturalnym, a tym bardziej informacji, że oba te światy istnieją obok siebie. Dzięki temu mogli czerpać korzyści na polu pośrednictwa pomiędzy nimi, kiedy tylko nadarzyła się do tego okazja.

Issachar obserwował Corama usiłującego otworzyć ostrygę. Dostrzegł, że chłopak zranił się w palce ostrą krawędzią muszli, i skonstatował z zadowoleniem, że mimo to nie podniósł głosu.

– Musisz najpierw wyłamać zamek muszli – rozległo się od strony wejścia. – Dzięki temu nóż wchodzi łatwiej.

Głos ten należał do Issachara, choć ten nadal siedział w powozie i nie ruszał ustami. Coram popatrzył w stronę stajni, gdzie w krąg światła wstępował właśnie drugi Issachar, tyle że bez fartucha.

– Witaj, ojcie – przywitał go Coram.

Był to kolejny pilnie strzeżony sekret Templebane'ów – w ich rodzinie często przychodziły na świat bliźnięta. Pod stajnią stał nie Issachar, ale Zebulon Templebane. W ten sposób adoptowani chłopcy, choć nadal nie mieli matki, zyskiwali dwóch ojców. Bliźniacy w tym pokoleniu otrzymali tak archaiczne imiona ze względu na przeczność zawodową – zważywszy na obraną przez rodzinę profesję, starotestamentowe imiona przydawały im powagi – oraz dziwny kaprys ojca, Jacoba Templebane'a, ponieważ tak właśnie nazywali się synowie biblijnego Jakuba.

Dawnymi czasy bliźniacy objeżdżali kraj osobno, zyskując sobie wśród wiejskiej społeczności, niewiedzącej o istnieniu dwóch braci Templebane'ów, sławę łowcy, który potrafi przebywać w dwóch miejscach jednocześnie. Issachar i Zebulon dawno już jednak zgodzili się co do tego, że lepiej będzie im trzymać się razem, za to działać o różnych porach, dzięki czemu firma Templebane & Templebane zyskała godną pozazdroszczenia opinię „domu, który nigdy nie zasypia”. Ich adoptowani synowie nazywali ich Ojcem Dziennym i Ojcem Nocnym.

Zebulon, Ojciec Nocny, wyciągnął rękę po nóż i ostrygę, które Coram oddał mu z wyraźnym żalem. Miał nadzieję na przekąskę, a wiedział, że w zamian zaraz otrzyma lekcję. Issachar mówił, podczas

gdy Zebulon pokazywał, jak otworzyć ostrygę.

– Jest pewien człowiek, zwyczajny, nie posiadający nadnormalnych mocy, posiadający za to nadnormalnych rozmiarów bogactwo. Człowiek, który pragnie pewnego przedmiotu znajdującego się w domu przy Wellclose Square.

– I zlecił nam pomoc w zdobyciu tego przedmiotu? – zapytał Coram, chcąc pokazać, że pojmuje w lot.

Pojmowanie w lot było cechą cenioną przez ojczymów ponad wszystko, nie licząc umiejętności trzymania języka za zębami i bezwzględnej lojalności wobec rodziny i firmy Templebane & Templebane. Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwał odgłos pęknięcia zamka ostrygi, a następnie rozcinania nożykiem silnych mięśni utrzymujących muszlę zawartą.

– Tak mogłoby się wydawać – rzekł Issachar.

– Ach, więc SĄDZI, że nas wynajął. – Coram skinął głową.

Zebulon otworzył muszlę, dziabnął zawartość i uśmiechnął się zadowolony, gdy drgnęła.

– Żywa, żywa – ucieszył się. – Nigdy nie jedz martwej, chłopcze, inaczej posrasz się na śmierć. – W tym momencie wcale nie brzmiał jak prawnik. Spojrzał w zadumie na Corama, który nie potrafiąc odczytać wymowy tego spojrzenia, poczuł się nieswojo i w rezultacie powtórzył wypowiedziane przed chwilą słowa.

– Czyli że tylko sądzi, że nas wynajął, ojczy?

Ojciec Nocny prychnął i wlał ostrygę do ust. Oczy zabłysły mu żywo, kiedy ją rozgryzł, a sok spłynął mu do gardła.

– Każdy kuglarz czy szuler wie, że wolna wola to wolna manipulacja nią – powiedział i podniósł rękę, żeby mu nie przerywać. – Jednak w tym interesie, jak zawsze, jesteśmy jedynie uczciwymi pośrednikami. Nasz klient pragnie czegoś z tamtego domu: potężnego klucza, który zdobyć może jedynie ktoś władający potężną mocą. Nie dysponujemy takimi mocami, dzięki Bogu...

– Dzięki Bogu – powtórzył jak echo Coram. Nie śledził toru lotu noża, który Zebulon rzucił do Issachara. Pozostając w bezpośredniej odległości, bliźniacy zachowywali się w sposób na tyle osobliwy, by chłopcy od czasu do czasu wymieniali się swymi obserwacjami we

własnym gronie. Otóż Ojciec Dzienny i Ojciec Nocny mówili i poruszali się tak, jakby dzielili jeden mózg i nie musieli wyjaśniać jeden drugiemu, co zamierzają. W tej chwili owa osobliwa synchronizacja przejawiała się w sposobie, w jaki Issachar wyciągnął rękę i schwycił nóż, nawet nań nie spoglądając.

– Zaiste – zgodził się Issachar, wyjmując kolejną ostrygę, tym razem z Colchester. – Dom ten jest bardziej niedostępny niż ostrygi. Dlatego potrzebujemy narzędzia, żeby się doń dostać. – Rozłupał zamek ostrygi mosiężną końcówką nożyka, po czym wsunął między części muszli krótkie ostrze i przekreślił z cichym chrzęstem. Uśmiechnął się do Corama.

– Tak się składa, że nasz klient posiada wśród różnych swoich skarbów inny przedmiot, którego z kolei pragną osoby dysponujące wymaganymi mocami. Wobec tego tak poukładałem sprawy, że zainteresowani pomogą nam zdobyć klucz, a w zamian otrzymają pożądaną przedmiot.

– Czy to wartościowa rzecz? – zapytał Coram, łypiąc łapczywie na ostrygę.

– Zwą to flagą, ale wygląda jak stary łachman – odparł Issachar.

– A ten klucz?

– Ma ogromną wartość – rzekł Zebulon.

– A więc śmieć za klejnot? – zapytał Coram, oblizując usta.

– Tak by się mogło wydawać. Dla wielkiego człeka... – Issachar zawiesił głos.

Coram nieraz grał w te gierki, więc wiedział, że właśnie dostał szansę na „pojęcie w lot”, a pojmowanie w lot było nie tylko cenione, ale też nagradzane. Nie mógł oderwać wzroku od zawartości ostrygi lśniącej apetycznie w blasku latarni.

– Łachman także posiada wielką wartość? – dokończył.

– Tak się niektórym może wydawać. – Zebulon się uśmiechnął.

– I za to otrzymamy zapłatę?

– Za to otrzymamy szansę.

Issachar uniósł rękę z ostrygą, ale kiedy Coram po nią sięgnął, Ojciec Dzienny cofnął dłoń i spojrział na chłopca wzrokiem, którego, o czym Coram dobrze wiedział, należało się bać. Wzrok ten zdawał się

przewiercać na wylot i zaglądać w duszę. Tego spojrzenia Templebane'owie używali w swej drugiej profesji, kiedy chcieli złamać nieszczęsnego wiejskiego głupka i zmusić, aby przyznał się do grzechów, których nie popełnił.

– Do rzeczy więc. Twoi bracia są na posterunkach?

– Nikt nie wyjdzie z domu Żyda niezauważony – zapewnił Coram. Issachar nadal się w niego wpatrywał.

– Jeśli dziewczynie uda się za pierwszym razem i wyjdzie z kluczem, a ludzie z domu Żyda nie będą jej ścigali, to wiesz, gdzie ją przyprowadzić?

Coram przytaknął i zapytał:

– A jeśli ruszą za nią w pogoń?

– Niech ją łapią. Jeśli nabierzesz podejrzeń, że ktoś za nią idzie, nie zbliżaj się do niej. Nic nie rób.

Nie mogą wiedzieć, że to nasze niewidzialne dłonie działają przeciw nim.

– Ale co z kluczem? – dopytywał Coram. Issachar popatrzył na niego, ale to Zebulon odpowiedział:

– Jeśli masz zapamiętać coś z tej rozmowy, to zapamiętaj to: każdy plan jest obstawieniem przeciwko nieprzewidzianemu, a nieprzewidziane zdarza się częściej, niż powinno. Dlatego zawsze miej coś w zanadrzu na taką ewentualność.

Coram już miał skinąć głową, ale uświadomił sobie, że nie zna ostatniego słowa, a co więcej, wiedział, że Templebane'owie zdają sobie z tego sprawę i że udawanie znajomości rzeczy jest zbrodnią surowo karaną. Gdy któryś z Templebane'ów dawał synom lekcję, zwykle była ona naszpikowana pułapkami pozwalającymi przyłapać chłopców na nieuwadze. A Coram nie posiadał pozycji najbardziej zaufanego syna za sprawą nieuwagi.

– Co to jest ewentualność? – zareagował przytomnie.

Bracia uśmiechnęli się, choć trudno powiedzieć, czy ukontentowani naiwnością przybranego syna, czy też własną przebiegłością. Issachar sięgnął pod fartuch i wyciągnął niewielką, złożoną na cztery kartkę zabezpieczoną pieczęcią z wosku. Pokazał ją Coramowi.

– Boczne drzwi do szansy na wygraną, drugi plan, zapasowe

wyjście. Ponieważ jeśli za pierwszym razem się nie uda, za drugim może pójść tak samo. Jeśli dziewczynę złapią albo nie opuści domu przed świtem, zanieśesz tę kopertę do magistratu.

– A potem? – zapytał Coram, biorąc list, ale nie spuszczać oczu z ostrygi.

– A potem, jeśli wszystko pójdzie dobrze, otrzymamy swobodny dostęp do domu i całej jego zawartości. Ostrygi można otwierać na różne sposoby, nie tylko nożem – rzekł Zebulon. – Niektóre się przełamuje, a inne wrzuca do wrzątku.

– Tę można otworzyć wrzątkiem?

– Pełną mocą płomienia prawa. Jak mówiłem, najlepszym narzędziem jest uczciwy człowiek, a kto jest uczciwszy od urzędnika magistratu, policjanta, czy też... pastora? – Issachar się uśmiechnął.

– A co po otwarciu ostrygi? – drążył Coram.

– Dobierzemy się do mięsa – rzekł Issachar, nareszcie unosząc muszlę.

Coram podszedł do niego i nadstawił usta.

– Słodkie mięsko – powtórzył Ojciec Dzienny, patrząc, jak chłopiec przełyka zawartość małża. – Bo cóż może być słodsze od zniszczenia starego wroga, który niegdyś potężny, dziś jest prawie niczym? Kiedyś wsadzali nos w każdy zaułek Londynu i nieustannie nam przeszkadzali, teraz można ich policzyć na palcach jednej ręki.

– A gdy będzie ich mniej niż pięcioro... – podjął Zebulon – gdy nie będą w stanie utworzyć Ostatniej Ręki, nie będą też mogli pełnić dalszej służby, a ich władza i moc przestaną istnieć.

– A cóż może być cudowniejszego, mój chłopcze – ciągnął Issachar – niż zadanie ostatecznego, śmiertelnego ciosu?

Coram podniósł na niego oczy, w których widać było nagle zrozumienie.

Ojciec Dzienny otarł mu brodę ze strużki wilgoci i uśmiechnął się do niego.

– A teraz idę spać, chłopcze. Ty wracaj do braci i obserwuj dziewczynę.

ROZDZIAŁ XI

Zielony człowiek

Z glinianym gigantem to musiała być jakaś sztuczka. Posągi się nie ruszają.

Lucy została podniesiona z podłogi i odprowadzona z powrotem do stołu, a kiedy usiadła, miała już gotowe wyjaśnienie całej sprawy – olbrzym był człowiekiem, który nosił maskę, dlatego miał taką wielką głowę. Nie mogła pojąć, z jakiej racji ktoś miałby powierzyć swoje bezpieczeństwo strażnikowi przebierającemu się w kostium z gliny, ale możliwe, że miało to coś wspólnego ze straszaniem intruzów. Ona na pewno się przestraszyła, jej ciało i umysł wręcz przestały działać, dopóki nie znalazła racjonalnego wyjaśnienia.

Teraz wszystko już działało i było wściekle. Po pierwsze dlatego, że próba ucieczki się nie powiodła, a po drugie – ponieważ uznali ją za na tyle głupią, by mogła uwierzyć, że strażnik jest golemem, glinianym posągami poruszonym za pomocą magii.

Oprócz wściekłości czuła też wstyd, kiedy obserwowała, jak Sara Falk pochyla się nad zlewem i obmywa twarz wodą. Ciasta były na tyle gorące, by poważnie oparzyć skórę – czerwona plama na porcelanowej cerze pulsowała oskarżycielsko. Nadzienie dostało się Sarze do oka. Tarła powiekę mokrym gałgankiem, drugą ręką zmywając resztki ciasta z twarzy. Lucy było wstyd, bo nie chciała Sary skrzywdzić ani ukarać, tylko powstrzymać przed rzuceniem się w pogoń. Widziała też, że szczupła kobieta potrafi nie tylko powściągnąć swój gniew, ale też próbuje ukryć ból.

Lucy czuła się paskudnie. Dotąd nie знаła czegoś takiego jak wstyd, było jej z nim nieswojo, a milczenie dwóch kobiet tworzyło pustkę, w której wstyd ten zdawał się rosnać. Czuła rumieniec na twarzy i zdradliwą wilgoć w oczach. Nigdy nie płakała przy ludziach, ale bała

się, że jeśli nie przerwie tej ciszy, zdradzi się. Dlatego też, żeby wypełnić tę pustkę czymkolwiek, zadała pytanie:

– *Que veut dire Wejrzeniec?*

Zignorowały ją. Kucharka wręczyła Sarze ręcznik do osuszenia twarzy. Oko Sary było spuchnięte i czerwone.

Lucy powtórzyła pytanie, tym razem głośniej.

Kobiety wymieniły spojrzenia, po czym Sara zwróciła się do Lucy po francusku:

– Kiedy dotykasz czegoś i świat wokół podskakuje, przychodzi do ciebie wizja, ale tak wyraźna, że to nie wizja, tylko prawdziwe zdarzenia, wtedy mówimy o Wejrzeniu.

Lucy wbiła wzrok w Sarę, jakby chciała zapytać, skąd kobieta zna jej sekret.

– Różne wydarzenia, szczególnie ważne i straszne, zostawiają ślad w kamieniach, jakby zapis. Wejrzeniec to ktoś, kto ma dar odczytywania tego zapisu.

– To nie jest żaden dar, tylko przekleństwo. To jak sen, ale na jawie. A potem jest mi niedobrze. – Lucy mówiła szybko, napędzana panicznymi wspomnieniami. – Czasami wymiotuję. Ludzie mówią, że to dlatego, że krzyczę. Mówią, że krzyczę, ale ja tego nie pamiętam. Pamiętam tylko strach. Ale nie wierzę, że to prawdziwe rzeczy. Niektóre są tak straszne, że nie mogły mieć miejsca. To wszystko dzieje się w mojej głowie. Wyobrażam to sobie, bo mam źle w głowie. Bo robiłam złe rzeczy. Bo robię złe rzeczy... – Spuściła wzrok na pięść, którą tłukła się w kolano, jakby chciała wbić piętę w czarno-białe płytki kuchennej podłogi.

– Jakie złe rzeczy? – zapytała Sara Falk.

– Takie, których nie pamiętam. Jak choćby tego, że krzyczę. Wiem, że to prawda. To dlatego mnie biją. Dlatego mówią, że jestem zła.

– Nie jesteś zła – powiedziała Sara, a Kucharka łagodnie, ale stanowczo przytrzymała pięść Lucy w swojej wielkiej jak szynka łapie. – Jestem przyjacielem, Lucy, więc uwierz mi...

Lucy wybuchnęła, uwalniając fale przerażenia i wstydu. Nawet nie próbowała się opanować.

– Jestem! Muszę być! Nie biliby mnie tylko za to, że widzę

przeszłość. Nie mogę kontrolować przeszłości ani tego, że ją widzę! – wrzasnęła, usiłując wyszarpnąć rękę. – Nie bili mnie z powodu czegoś, czego nie mogę powstrzymać...

– Bili cię z powodu czegoś, czego nie mogli, hmm... zrozumieć. – Kucharka się zająknęła, bo znajomość języka zawiodła ją w ostatniej chwili.

– Nie!!! – krzyknęła Lucy i uderzyła w blat z taką siłą, że miska podskoczyła, a krople oliwy zbryzgały stół. – Bili mnie, bo jestem zła. Tak mówili! – Ciężko dyszała, oczy jej błyszczały, a policzki płonęły czerwienią.

– Jeśli zdołam ci udowodnić, że naprawdę widzisz przeszłość, a nie coś, co sobie wyobraziłaś, to czy przestaniesz mówić, że jesteś zła? – zapytała Sara głosem zdradzającym poirytowanie, które tak starała się powściągnąć.

– Nie możesz tego zrobić! – krzyknęła dziewczyna z wściekłością podsycaną przez wstyd. – Nie możesz wiedzieć, co dzieje się w mojej głowie! Ty głupia...!

– A jeśli zdołam...

– Nie uda ci się! – wrzasnęła Lucy, machając ręką i trącając miskę, która przejechała przez stół, przewróciła świecę stojącą na środku i spadła na posadzkę.

Jak na kobietę tak obfitych kształtów, Kucharka przemieszczała się z zadziwiającą szybkością. Zręcznie pochwyciła miskę pędzącą ku podłodze. Niestety, zawartość rozlała się wszędzie wokół. Świeca stoczyła się ze stołu i upadła. Sara podniosła ją, a płomień nie tylko nie zgasł, lecz wydłużył się i pojaśniał tak intensywnie, że Lucy poczuła jego żar po drugiej stronie stołu.

– Saro – powiedziała Kucharka ostrzegawczo. – Pożoga...

– Wiem, wiem. – Sara szybko umieściła świecę z powrotem na świeczniku i odstawiła go na środek gwiazdy z pięciu różnych gałązek. Płomień natychmiast skurczył się do zwykłych rozmiarów. – Ale... – Sara zająknęła się. Panowała nad sobą z coraz większym trudem. – A, do diabła z tym! Chodź. – Chwyciła Lucy za rękę i pociągnęła ku bocznym drzwiom.

– Saro! – zaprotestowała Kucharka. – Zaczekaj! To dla niej za dużo

naraz, potrzebuje czasu, żeby...

– To nie potrwa długo – oświadczyła Sara ponuro i otworzyła drzwi, za którymi znajdowały się schody wyłożone wąskim chodnikiem. – Tu. – Pokazała ścianę, unosząc rękę Lucy. – Dotknij tej ściany. Będiesz miała Wejrzenie.

– Nie! Proszę! – krzyczała Lucy, szarpiąc się jak pstrąg w sieci i próbując się wyzwolić z mocnego uchwytu. – Proszę... Mówiłaś, że jesteś przyjacielem, ty sucza dziwko!

Wiedziała, że ją ukarzą. Czekali tylko na odpowiednią chwilę.

Sara uniosła brew, zerkając na Kucharkę, która obserwowała je z progu.

– Nie bój się – powiedziała. – Znam każdy kąt tego domu. Urodziłam się tu. Najgorsza rzecz, jaka się w nim zdarzyła, miała miejsce właśnie tutaj.

– Co?! – wrzasnęła Lucy, wyrывая się i kopiąc. – Co się stało, ty świńska...

– To.

I Sara przyłożyła dłoń dziewczyny do ściany.

Lucy poczuła pod opuszkami płaską powierzchnię chłodnego, chropowatego kamienia.

Czas stanął.

A potem stało się to, co działo się zawsze: najpierw szarpnięcie, po czym świat fiknął tak niespodziewanie, że mogła tylko zamknąć oczy, nie zdołała nawet mrugnąć. Znajoma fala mdłości wbiła się w jej trzewia niczym topór. W chaotycznych przebłyskach Lucy ukazały się te same drewniane schody,

bez chodnika,

i świeca na ścianie zamiast gazowej lampy.

Niska biała bramka u szczytu schodów

i mała czarnowłosa dziewczynka w koszuli nocnej.

Wybiega z mroku, chwyta szczebelki bramki.

Szarpie je.

Jest zbyt mała, żeby przejść górą.

Krzyczy: „Mamusi! Mamusi! Kucharko! EMMET! Proszę! W moim pokoju jest człowiek! Za drzwiami stoi zielony człowiek!”.

Dziecko ogląda się przez ramię, zerka w ciemność korytarza.
Nasłuchuje. Trzęsie się ze strachu.

„Nie! Mamo, proszę! To prawda! Mamusiu! Ja nie kłamię! PROSZĘ!
TYM RAZEM NIE KŁAMIĘ! ON TU IDZIE! EMMET!”

Za jej plecami nie pojawia się nic.

Nic.

Nagle cienie za nią poruszają się i zlewają w czarny kształt.

Jakby coś zasłoniło świecę w niewidocznym pokoju.

Płomień świecy nad schodami drga.

Dziewczynka przestaje szarpać branką i patrzy na coś, czego nie
widać.

Na coś, co widzi tylko ona.

Na coś złego.

Zastyga. Poruszają się tylko jej oczy,
robią się większe i większe.

Przygryza dolną wargę,

trzęsące się nóżki wprawiają koszulę w ruch,

cienka tkanina faluje jak na wietrze,

pod nogami dziewczynki rośnie kałuża.

Usta bezgłośnie wypowiadają dwa słowa:

„Proszę, nie”,

wyciśnięte nieomal bez tchu:

„Proszę...”.

I nagle jest

za nią

zła istota,

zielony człowiek:

zielone włosy,

zielona skóra,

czzerwone usta,

białe zęby,

zielone palce

wyciągają się ku niej jak szpony,

dotykają jej ramienia,

chybiają, wplątując się we włosy

czarne niczym skrzydła kruka,
wysysają z nich kolor,
czerń odpływa od cebulek ku końcówkom,
wchłania się w zieloną skórę,
włosy dziewczynki barwią się na kolor śniegu,
kiedy

ona

odwraca się,
podskakuje,
okręca się

w powietrzu

i

przesadza bramkę,
małe rączki

chwytają, zaciskają się, podciągają ciało w górę i przez bramkę
dziewczynka spada głową w dół,

jej krzyki ucina brutalne uderzenie o kant stopnia
prosto w łuk brwiowy –

łupnięcie, które Lucy czuje pod stopami –

dziewczynka stacza się bezwładnie jak szmaciana lalka,
zielony człowiek

kopniakiem otwiera bramkę,

rusza w pościg,

zielony płaszcz jeździecki faluje wokół niego,

długi zielony warkocz kołysze się,

na twarzy grymas, ostre kły,

a potem smuga

biała, srebrzysta, różowa,

ryk wściekłości,

niewyraźny kształt od strony kuchni,

czarna plama na oku.

Kucharka warczy niczym pies, szarżując ku schodom, cudem
zgarnia staczającą się dziewczynkę jedną ręką, a drugą ciska
w powietrze srebrny przedmiot,

ciężka chochla wiruje jak tomahawk,

trafia w zieloną twarz z taką siłą, że napastnik traci rozpęd i się wywraca,

druga postać rzuca się na niego,
brązowy płaszcz woźnicy,
trójgraniasty kapelusz,
puste oczy,
naprawdę puste –
to nie człowiek w masce,
lecz najprawdziwszy ożywiony posąg –
lawina tocząca się w górę
spada na zielonego człowieka i nagle trzask,
złamany kark,
zielone buty bębnią o stopnie.

Kucharka tuli dziewczynkę, spogląda w jej twarz,
białe włosy wokół spuchniętej podłużnej rany,
strużka jaskrawej krwi meandrująca na bladym policzku,
trzepot powiek,
szeroko otwarte szarozielone oczy.

Świat wrócił na miejsce.

Szarpięcie i Lucy znów znalazła się na oświetlonej gazową lampą klatce schodowej, wyłożonej chodnikiem, bez potwora.

Całkiem innej, bezpieczniejszej.

Tylko jedno pozostało takie samo – szarozielone oczy. Oczy małej dziewczynki. Lśniące w twarzy Sary Falk.

– Ale... – zająknęła się Lucy.

Sara odgarnęła z czoła biały kosmyk i pochyliła się ku niej, wskazując na jasną bliznę nad brwią.

– *Merde!* To byłaś ty?

– Teraz mi wierzysz? – zapytała kobieta. – Te złe rzeczy to prawda. To nie twoja wyobraźnia, one się wydarzyły. I z pewnością nie dlatego, że jesteś zła. Jesteś Wejrzeńcem i ktoś powinien ci o tym powiedzieć już dawno temu.

Dziewczyna nie spuszczała wzroku z twarzy Sary, a ta obserwowała, jak wyraz oczu Lucy zmienia się, kiedy świadomość przyswajała nowe fakty i dopasowywała je do rzeczywistości –

gliniany człowiek nie jest sztuczką, zielony potwór to ohyda, a ona, Lucy, posiada moc przywoływania minionych wydarzeń poprzez dotykanie kamieni. To, co brała za własne szaleństwo, za zmyślanie, nie było szaleństwem, lecz umiejętnością spoglądania w cudzą przeszłość.

A więc to wszystko, co próbowały jej powiedzieć te kobiety, musiało być prawdą.

Szok w oczach dziewczyny zmienił się w zdumienie, a zdumienie przeszło w nieufność. Sara wiedziała już, że choć uczyniła dobrze, wtajemniczając Lucy, zrobiła to zbyt raptownie. Może powodowała nią niecierpliwość, może gniew zrodzony z bólu, jaki sprawiła jej dziewczyna, ciskając w nią gorącym ciastem, tak czy owak, skończyło się to tym, czego od początku miała nadzieję uniknąć. Wyjawienie bowiem Lucy prawdy w ten sposób, ukazanie jej rzeczywistości taką, jaką była, oznaczało, że ta dziewczyna, to zagubione dziecko, do którego tak rwało się serce Sary, nigdy jej nie polubi.

Tak więc musiała wziąć się w karby, jak czyniła to już niejednym razem, i pogodzić z faktem, że nie jest tu po to, by darzono ją sympatią, lecz by wykonywać obowiązki i chronić dziewczynę.

– Lucy, rozumiem, że do czasu, aż przywykniesz do tego, co przed chwilą pojęłaś, świat będzie ci się wydawał wrogi i przerażający, ale chcę, żebyś zawsze pamiętała o jednym: nie pozwolę, żeby coś ci się stało. Każdy w tym domu będzie ci przyjacielem, a sam dom będzie ci bezpieczną przystanią. Przysięgam.

Wyciągnęła prawą rękę, a Lucy, po chwili wahania, przełknęła głośno ślinę, skinęła głową i w końcu uścisnęła jej dłoń.

ROZDZIAŁ XII

Niepodkuty koń

Pan Sharp wyciągnął sierpowate ostrze z kryjówki za beczkami, po czym wyszedł z zaułka na główną ulicę.

Jego nozdrza zafalowały raz jeszcze, kiedy wietrzył zapach we mgle. Obracał się w różne strony, próbując pochwycić interesującą go woń, aż wreszcie skierował kroki ku wschodniej linii placu, a następnie skręcił w Neptune Street.

Może i nadano tej ulicy nazwę po bóstwie, ale nie było w niej nic boskiego. Wąska, upstrzona najróżniejszymi budynkami, stanowiła przegląd wszystkich możliwych stylów architektonicznych. Przez wieki, gdy miasto rozrastało się i pęczniało, domy tłoczyły się coraz bardziej i wciskały jeden na drugi. Stare, na pół drewniane gmachy opierały się jak pijane o byle jak sklecone mury, te z kolei tuliły się do wąskich czteropiętrowych kamienic obitych starymi deskami szalunkowymi. Większość mieszkań wynajmowano, w jednym gnieździły się czasem po dwie rodziny – albo i więcej. Inne zajmowali lokatorzy chętnie podnajmujący swoje gniazdko klientom sprzedających dziewcząt, które wystawały na rogach ulic.

To właśnie szelest spódnic jednej z nich usłyszał Sharp, zanim ktoś położył mu rękę na ramieniu.

– Szukasz czegoś, kochaniutki? – zapytała kobieta kokieteryjnie, acz z okropną chrypką.

– Konia.

Szybko cofnęła rękę.

– Proszę o wybaczenie, panie Sharp, nie rozpoznałam pana w tym błogosławionym mroku – powiedziała. – Jest gęsty jak ser.

– Tak – zgodził się Sharp. – To nie jest dobra noc na spacer. Kręcą się tu niebezpieczne typy.

– Wiem. – Zachichotała. – Ale niech mnie licho, jeśli uda mi się dziś któregoś zwabić do siebie. Wtorki są zawsze diabelnie spokojne...

– Słyszałaś coś o jakimś koniu?

– Nie – odpowiedziała po chwili. – A właściwie tak. Mały Timmy Goodbehere przechodził i skarżył się, że jakaś stara szkapa uwiązana przy sklepie jego wuja kopnęła go, kiedy do niej podszedł...

– A więc sklep Goodbehere'a – powtórzył pan Sharp. – Dziękuję, Lily.

– To dla mnie przyjemność, panie S. – zawołała za nim, kiedy zanurzył się w mrok i rozpląnął w nim po sześciu krokach. – A raczej byłaby, gdybyś się zawsze tak nie spieszył – dopowiedziała pod nosem z wybitnie nieprofesjonalnym smutkiem.

Koń stał w wilgotnym zakamarku pomiędzy sklepem narzędziowym Goodbehere'a a Ship Alley. Był mały, ubłocony – bardziej kuc niż koń – zajechany i wynędzniały, z oszalałymi ślepiami. Parsknął i odwrócił się zadem do nadchodzącego, ale Sharp wyciągnął rękę i ułagodził go kilkoma słowami. Nie przestawał mówić, kiedy przyglądał się zmierzwionej grzywie zaplecionej w warkoczyki i kłoski oraz uprząży zrobionej z tkanej trawy morskiej i skręconych rzemyków. W miejscu metalowych sprzączek paski połączone były wydrążonymi kośćmi i muszelkami. Na końcach zaplecionej grzywy przyczepiono czaszki małych zwierząt, w tym ptaków, które grzechotały, gdy zwierzę poruszało się niespokojnie.

Pan Sharp wyszeptał coś koniowi do ucha, głaszcząc go po szyi. Konisko znów się uspokoiło i pozwoliło obejrzeć sobie kopyta, które, jak podejrzewał Sharp, nie były podkute.

– No dobrze – rzekł, opuszczając nogę konia na ziemię i prostując się. – Może zaboleć, ale to jedyny sposób, żeby cię uwolnić.

Koń łypnął na niego takim zezem, że w ślepiach zasrebrzyły mu się rąbki białek. Tak samo srebrno błysnęło ostrze, które Sharp dobył spod płaszcza. Chwyciwszy w garść końską grzywę, zrobił trzy, cztery, pięć zwodzących oko cięć.

Przestraszony koń zarżał i szarpnął się, ale Sharp trzymał go mocno, odcinając czaszki od warkoczy, a potem z taką samą precyzją uprząż. Zrobił to tak szybko, że odstąpił od konia ze strzępami pasków

w ręce, zanim ostatnia czaszka opadła na ziemię.

Ostrze zniknęło pod płaszczem. Teraz Sharp wyjął dużą czerwoną chustkę. Schylił się nad czerepkami i zaczął wrzucać je na kwadratowy kawałek jedwabiu niczym człowiek wyciągający z żaru gorące ziemniaki. Ostatnia czaszka należała do maskonura, a choć Sharp był szybki i trzymał ją mocno, i tak zdołała dziobnąć go do krwi. Skrzywił się i upuścił ją do chustki.

Dziób kłapał na niego, nawet spadając, a znieruchomiał, dopiero dotknąwszy czerwonego jedwabiu. Sharp zebrał rogi chustki i związał je ze sobą. Potrząsnął zawiniątkiem przy uchu, jakby nasłuchując, a potem, usatysfakcjonowany ciszą, wysłał krew z palca i wypluł ją na ziemię, po czym poprowadził konia, opierając dłoń na jego szyi. Zwierzę, z którego ślepi po oczyszczeniu grzywy z kości ustąpiło szaleństwo, szło z nim spokojne i zadowolone.

– Emmet podkuje cię żelazem – obiecał Sharp. – Będziesz bezpieczny.

ROZDZIAŁ XIII

Przyłodek i przystań

Sara zaprowadziła Lucy z powrotem do kuchni. Dziewczyna drżała, zmęczona po Wejrzeniu i wstrząśnięta tym, co ukazała jej przeszłość.

– Ale takie rzeczy nie istnieją... – wydukała, choć już wiedziała, że owszem, istnieją. – Ten zielony człowiek...

Kucharka położyła przed nią dwa przedmioty.

– Co do niego to masz rację, on już nie istnieje – oświadczyła z satysfakcją. – To moja najlepsza chochla. Trzy i pół funta litego srebra.

Oto na wyszorowanym blacie leżała chochla niczym młot oburęczny. A obok warkocz. Zielony warkocz.

Sarze serce stanęło na ten widok. Wzięła warkocz i obejrzała go w świetle.

– Nie wiedziałam, że go zatrzymałaś...

– Cóż – sapnęła Kucharka szorstko. – On ukradł twoim włosom ten piękny kruczy kolor, więc wydawało mi się sprawiedliwe, żeby to zatrzymać.

Sara uśmiechnęła się tak samo ciepło, jak patrzyła na nią Kucharka. Potem zwróciła się do Lucy:

– Kucharka ma wysoko rozwinięte poczucie sprawiedliwości, które czasami objawia się na dziwaczne sposoby.

– Co to było? Ten diabeł? – zapytała Lucy.

– Zielony Człowiek – odparła Sara, wążąc w ręce zwarty, tłusty warkocz. Miała wrażenie, że żyje w jej dłoni, więc odłożyła go na stół, pilnując, by nie okazać odrazy i nie zrobić tego za szybko. – Zwykle nie są groźni. Tylko złośliwi. Ten był szalony.

– Ale jak...? – Lucy spoglądała to na jedną kobietę, to na drugą.

– Dziadek Sary zostawił otwarte drzwi – wyjaśniła Kucharka.

– Otworzył wiele drzwi, które powinny pozostać zamknięte – stwierdziła Sara ponuro i podeszła do zlewu, żeby umyć ręce. Spłukując wrażenie tłustości, udawała, że robi to swobodnie i całkiem mimochodem. – Ale myślę, że zamknęliśmy wszystkie.

– Na wszelki wypadek jednak mamy to. – Kucharka poklepała wiszący garłacz. – Jest nabity spiłowanymi hiszpańskimi dolarami ze srebra ze starej kopalni Potosí w Nowym Świecie, wykopanego, zanim stał się on Ameryką Południową. Najczystsze i najpotężniejsze srebro pod słońcem, o ostrych jak brzytwa krawędziach. Nie ma się czego obawiać.

Poklepała Lucy po ramieniu i uścisnęła je pokrzepiająco, ale patrzyła na Sarę. Lucy spojrzała na swój uszkodzony pierścień, potem na cały Sary i na pulchną dłoń Kucharki, na której tkwił taki sam sygnet.

– Nie jestem szalona – powiedziała. – Ani zła.

– Nie. – Wycierając ręce, Sara poczuła, że piecze ją twarz. – Ale potrafisz być zła, jeśli chcesz. Nie w ten sposób, jaki miałaś na myśli. – Uśmiechnęła się. Lucy całkiem wbrew sobie odwzajemniła uśmiech.

Kucharka zniknęła w spiżarni, z której wróciła, niosąc gomółkę grudkowatego białego sera na talerzu w niebieskie paski. Lucy dostała nowy talerz i nowe ciasto. Złocisty wypiek znaczyły ciemne strużki nadzienia, które wykijało przez nacięcia na wierzchu. Kucharka wzięła nóż ze stojaka i odkroiła równiutki trójkąt sera z gomółki, który położyła obok ciasta.

Sara Falk, której bystre oczy nie pomijały żadnego szczegółu, widziała, jak bardzo głodna była Lucy. Dostrzegła, że dziewczyna odruchowo przełyka, kiedy ślina napływa jej do ust. Jako mistrzyni samokontroli zauważyła też, że Lucy powściąga się, jakby nie pozwalała sobie zacząć posiłku, póki nie zada pytania. Sara pokręciła głową i wręczyła jej widelec.

– Najpierw jedzenie, potem gadanie.

Zapach ciasta zwyciężył. Lucy odkroiła kawałek bokiem widelca i wraz z porcją nadzienia włożyła do ust.

Sara ujrzała na twarzy dziewczyny mgnienie odruchowego

uśmiechu rozkoszy, zanim ta go stłumiła. Jedzenie było naprawdę wyśmienite. Gałka muszkatołowa, goździki, rodzyнки i kruche, wielowarstwowe ciasto rozpływały się w ustach Lucy. Smakowały jak Boże Narodzenie.

– Spróbuj z serem – zachęciła ją Kucharka.

Tak też zrobiła. I znów na jej twarzy widać było zachwyt. Tym razem smak był tak idealny, że zapomniała ukryć uśmiech. Ser kontrapunktował resztę tekstur i smaków – był gładki, zwarty, niekruszący się, jednolicie mdławy w odróżnieniu od wyrazistego, korzennego, tłustego i mącznego ciasta. Wraz z nim tworzył perfekcyjną całość.

Lucy uśmiechnęła się do Kucharki, potem do Sary, a one odpowiedziały tym samym. Po raz pierwszy wszystkie trzy uśmiechały się równocześnie.

– Ponadnaturalne – wybełkotała Lucy z pełnymi ustami. – To Wejrzenie to ponadnaturalna rzecz, prawda?

– Owszem, to ponadnaturalna moc – potwierdziła Sara.

– To jak zamierzacie mnie uregulować?

Sara dała sobie chwilę na dobór odpowiednich słów. Teraz, kiedy udało jej się wywołać pierwszy uśmiech na twarzy dziewczyny, nie chciała zgasić tej z trudem wykrzesanej iskry zaufania.

– Ostrożnie. Delikatnie. Po przyjacielsku.

– Czemu? Przecież nawet mnie nie znacie?

– Bo wszyscy posiadamy jakieś ponadnaturalne moce – rzekła Kucharka. – I wszyscy kiedyś byliśmy na twoim miejscu, w tym czy innym sensie.

– Najlepiej pokonać wroga jego własną bronią – powiedziała Sara. – Tylko my działamy po stronie światła, a nie mroku. A ten dom to Kryjówka. Nic złego ci się tu nie przytrafi. Z Zielonym Człowiekiem to był wypadek. Przyszedł do nas z mroku ze złymi zamiarami, ale zrobił to, bo mój dziadek otworzył drzwi i, jak mówiłam, zostawił je niezamknięte. Coś takiego już się nie zdarzy. Przyszedł tu, bo w domu znajduje się pewien przedmiot, klucz otwierający naturalne i ponadnaturalne światy. Naszym obowiązkiem jest go strzec, tak samo jak chronić mieszkańców naturalnego świata przed tymi

z ponadnaturalnego, którzy chcą ich skrzywdzić. To klucz do ogromnej mocy, ale jest tu bezpieczny. Kryjówka to forteca, bastion jasności.

– Przylądek i przystań – dodała Kucharka.

– Czasami próbują nas znaleźć, kiedy sobie o nas przypomną, czasami próbują zrobić nam krzywdę. – Sara się uśmiechnęła. – Ale nie martw się, Lucy. Tu jesteś bezpieczna. Nie wiedzą najprawdopodobniej, gdzie jesteśmy, a nawet jeśli, nie zdołaliby pokonać wszystkich naszych zabezpieczeń.

– A przy odrobinie szczęścia nie wiedzą, jak niewielu nas jest – dorzuciła Kucharka.

– Liczba to nie wszystko – rzekła Sara. – Jak długo jest nas pięcioro, tak długo tworzymy Rękę i Nadzór istnieje. To najstarsze prawo Wolnego Bractwa, zwane też Zasadą Piątki. A jest nas piątka.

– A jeśli coś się zmieni – podjęła Kucharka, wyrównując wykonaną z gałązek gwiazdę wokół świecy – sprawy potoczą się tak szybko, że nie zdążysz się przestraszyć, bo będziesz zbyt zajęta uciekaniem przed ogniem. Jeśli nie wierzysz, idź i zobacz Pomnik, dowiesz się, co stało się ostatnim razem.

– Pożogi nie uwalniano już od blisko dwóch wieków, a Nadzór, podobnie jak miasto, po Wielkim Pożarze odtworzono w jeszcze silniejszej i lepszej postaci. – W oczach Sary igrały błyski płomienia świecy. – Nawet teraz, nawet po Katastrofie, która nas zdziesiątkowała, jesteśmy lepsi, choć mniej liczni, a w tym miejscu nic nam nie grozi. Nie ma w Londynie niczego, co mogłoby cię skrzywdzić.

Sara ujrzała coś w oczach Lucy i przez chwilę zastanawiała się, czy właśnie nie okłamała dziewczyny. Ta zawołowana rezerwa kazała jej wziąć pod uwagę pewne niebezpieczeństwo, które mogło czyhać na Lucy i którym była ona sama.

ROZDZIAŁ XIV

Tymczasem...

Trzyście godzin szybkiej jazdy na północ od Londynu deszcz padał wyjątkowo zawzięcie, jakby wietrzna noc miała na pieńku z małym, zwykle pomijanym hrabstwem Rutlandshire i uparła się wyrównać rachunki, jeśli nie zatapiając ich przed świtem, to co najmniej splukując do monotonnej otchłani mokradeł sąsiedniego Lincolnshire.

Na odsłoniętym fragmencie Wielkiego Traktu Północnego pięć mil za Great Casterton poprzez nieustępliwą nawałnicę parł powoli do przodu samotny wóz. Konie ze zwieszonymi głowami kuliły się przed ulewą, a wozak był tak szczelnie opatulony płaszczem z natłuszczonej skóry, że nie różnił się wiele od pakunków i tobołków za jego plecami, schowanych pod sieczonym deszczem brezentem. Jedyne światło na tej opustoszałej drodze pochodziło z latarni kołyszących się na przedzie i z tyłu wozu.

Nagły rozbłysk na jeden zygzakowaty moment obrócił noc w dzień, ukazując prosty krzyż przy drodze, składający się z wysokiego pala i poprzecznej tabliczki. Natłuszczony skórzany toból na koźle pociągnął za wodze, spowalniając konie, ujął bat i szturchnął brezent.

– Bowland’s Gibbet! – krzyknął. – Bowland’s Gibbet!

Brezent poruszył się, zakaszłał, po czym spod spodu wysunęły się dwa buty. Ukryty dotąd pasażer wyskoczył na drogę, w sam środek kałuży, rozbryzgując wodę. Woźnica widział go przez chwilę w blasku tylnej lampy. Był to chudy chłopak, nieco wyższy niż zazwyczaj młodzieńcy w tym wieku, opatulony w podniszczone płaszczysko z wysokim kołnierzem, które wyraźnie należało niegdyś do dużo większego mężczyzny. Dolna część jego twarzy była niewidoczna pod zwojami szalika i tylko oczy błysnęły na mgnienie w nikłym świetle

latarni, kiedy młody pasażer skinął głową i machnął ręką w milczącym podziękowaniu.

– Bowland's Gibbet! – powtórzył woźnica. – Główna brama do rezydencji Gallstaine. – Wskazał batem na drogowskaz na poboczu, a następnie na drugą stronę drogi, gdzie majaczył wysoki mur zakończony kolcami. Pięćdziesiąt jardów dalej, za zakretem, przerwę w murze tarasowała zdobna brama, najwyraźniej wejście do jakiejś wielkiej posiadłości. Wozak odwrócił się, strzelił biczem, a siekane deszczem, zrezygnowane konie poczłapały w ciemną noc.

– Powodzenia, młodzieńcze! – krzyknął woźnica przez ramię, opatulając się szczelniej kapotą.

Chłopak odprowadził wzrokiem migoczące światełko latarni, które w końcu zniknęło, pozostawiając go samego na środku drogi w całkowitych ciemnościach. Okutał się mocniej płaszczem i pobiegł wzdłuż muru.

Przy bramie nie było żadnego domku dozorczy, a po bliższym badaniu okazało się, że samo wejście jest niezwykle. Za masywnymi żelaznymi prętami zamiast podjazdu prowadzącego w stronę zabudowań ukrytych w parku czernił się otwór jeszcze ciemniejszy niż spowijająca wszystko wokół noc.

Nie była to bowiem brama odgradzająca drogę dojazdową.

Było to wejście do tunelu.

Chłopak odnalazł na obmurowaniu mosiężną rączkę dzwonka i pociągnął mocno kilka razy. W oddali rozległo się dzwonienie i szczekanie psa. W ścianie otworzyły się drzwiczki, a strumień światła rozjaśnił część tunelu, ukazując ceglane sklepienie i matę kokosową na posadzce. Tunel był tak obszerny, że z łatwością mógł nim przejechać wóz konny.

Zza drzwi wyskoczył moręgowaty mastiff. Natychmiast rzucił się ku bramie, szczekając i warcząc z taką zajadłością, że chłopak mimowolnie cofnął się, choć dzieliły go od zwierzęcia metalowe pręty.

– Spokój, Saracen! Spokój, ty diable! – wrzasnął dozorca nie mniej zaciekle.

Przykuśtykał pod bramę i odciągnął miotającego się mastiffa. Zza mężczyzny wyłonił się zasmarkany dzieciak trący rączką

zaczerwienione od snu oczy. W drugiej niósł osłoniętą latarnię z okrągłą szybką, przez którą padał snop światła. Dozorca przyświecił swoją lampą na obcego.

– Ktoś ty?

Młody podróżnik podszedł bliżej, skłonił głowę w milczącym powitaniu i sięgnął za pazuchę. Wyjął list, który osłonił przed deszczem czapką i podał przez kratę dozorczy. Nie spuszczał oka z psiska.

Dozorca spojrział na zamaszty napis na kopercie: „Do rąk własnych wicehrabiego Mountfellona. Ściśle tajne. Pilne”. Potem obejrzał uważnie pieczęć z drugiej strony. Na krążku wosku widniał odcisk przedstawiający wyszczerzoną w uśmiechu czaszkę i napis: „Czym ja jestem, tym ty się staniesz”.

Większość czaszek szczerzy się, gdyż nie mają warg, które dawałyby im alternatywę, ale ta nie tylko się szczerzyła – ta wręcz radośnie promieniała.

– W porządku – burknął. – Whitlowe! Posłaniec! List do jaśnie pana! Biegnij co tchu! – Wręczył kopertę chłopcu, który pociągnął nosem, wytarł go rękawem i pognął tunelem, kołysząc szybko oddalającym się światelkiem.

Dozorca uniósł osłonę lampy i przyświecił na zmokniętego chłopaka.

– Pokaż twarz.

Amos odwinął szalik. Jego zielone oczy kontrastowały z zaskakująco ciemną, karmelową cerą. Dozorca kiwnął głową, jakby uczynił wielkie odkrycie.

– Czerniawyś.

Reakcja ta nie była dla Amosa niczym nowym. Świat nie dawał mu zapomnieć o kolorze skóry, a „bracia” wytykali mu to przy każdej okazji, od czasu do czasu przełamując monotonną litanie wyzwisk jakąś nową przywleczoną z portu i targowisk obelgą opisującą w grubiańskich słowach wyraźny efekt posiadania przodków różnych ras. Dlatego też zignorował komentarz patrzącego na niego obojętnie dozorczy.

– Masz zaczekać na odpowiedź? – Mężczyzna uraczył go

przebiegłym uśmiezkiem. – Od kogo ten list, co?

Młodzieniec wzruszył ramionami.

– No, ciołku – rzekł dozorca przymilnie. – Ciekawym, co takiego ważnego trza było dostarczyć nocą, w taką pogodę...

Gdy posłaniec milczał, mężczyzna zmarszczył się groźnie.

– Niezbyt gadatliwyś, co, ciołku?

Chłopak pokręcił głową.

– Przygłupiś czy co? Kot zżarł ci jęzor? Panisko udajesz?

Młodzieniec znów pokręcił głową i trzęsąc się, gdy zimne krople dostały mu się za kołnierz, zdjął szalik i wyjął mosiężną tabliczkę, którą miał zawieszoną na szyi. Na tabliczce wyryto:

NAZYWAM SIĘ AMOS TEMPLEBANE, JESTEM NIEMY, ALE ROZUMNY.

Dozorca powoli odczytał słowa, poruszając wargami, a potem parsknął pogardliwie i odsunął się od bramy.

– Małoś rozumny, skoro stoisz tu w taką pogodę, zamiast siedzieć w domu, co?

Amos przewrócił oczami i odegrał pantomimę mającą zachęcić dozorcę do wpuszczenia go za bramę, gdzie tunel chronił przed ulewą. W odpowiedzi dozorca odegrał swoją, kręcąc przecząco głową.

– Nikt nie wejdzie bez pozwolenia jaśnie pana. Ale nie martw się, czarnuszk, możesz czekać tam, gdzie stoisz, bo i tak mokrzejczy nie będziesz.

Odwrócił się na pięcie i wrócił do stróżówki, zostawiając za sobą psa, który usiadł i gapił się na gościa. Kiedy drzwi się zamknęły, zapadła taka ciemność, że w oddali widać było jasny punkcik latarni dziecka biegnącego w górę tunelu. Amos wprawnie schował tabliczkę pod płaszczem i z ciężkim westchnieniem na powrót okutał się szalikiem, robiąc z niego kaptur, który następnie założył na czapkę. Potem skulił się w wąskiej wnęce obmurowania bramy, dającej choć złudzenie ochrony przed ulewą.

ROZDZIAŁ XV

Kościozwierz

Sluagh bardzo długo tkwił w bezruchu, wyęzając słuch, żeby wychwycić najmniejszy szelest czy szmer oddechu dobiegający z korytarza za drzwiami. Bezruch przychodził mu z łatwością, bo dla niego czas płynął inaczej niż dla istot ziemskich. Ponadto był osłabiony żelazem, które pan Sharp owinął mu wokół szyi. Miał wrażenie, że siły vitalne wypłynęły z niego niczym krew z zarzynanej świni. Nigdy nie czuł się tak fatalnie, nawet za życia.

Upewniwszy się, że to nie podstęp i ani pan Sharp, ani nosaty karczmarz nie czają się w ciemnościach, żeby go podglądać, przystąpił do działania. Najpierw ukląkł i zaczął wyjmować z ubrania kostki służące za guziki, potem wyplątał resztę z brody i włosów – łącznie z kręgosłupem. Wszystkie odkładał na podłogę, a gdy skończył, zaczął badać je palcami, póki nie odnalazł tych, których szukał.

Układał je w grupy: masywniejsze szyjne przy długim szeregu piersiowych, po nich krzyżowe, a potem coraz mniejsze, w tym ogonowe, aż do tych najmniejszych i najdrobniejszych. Następnie przy długich piszczelach oraz kościach stępowych ułożył kupki żeber, kości promieniowych, paliczków oraz maleńkie kosteczki śródrečia i śródstopia.

Kiedy skończył, przeliczył wszystkie fragmenty dwukrotnie, marszcząc się z niezadowolenia, bo coś mu się nie zgadzało. Wreszcie, o czymś sobie przypomniawszy, wyjął z uszu dwie miniaturowe łopatki gronostaja, które dyndały mu poniżej linii szczęki niczym kolczyki w kształcie klonowych skrzydłaków wyrzeźbionych w poźółkłej kości słoniowej.

Następnie skrupulatnie poprzekładał kości, zmieniając ich rozmieszczenie. Przy świetle wyraźnie byłoby widać, że na podłodze

powstaje coś w rodzaju szkieletu dziwaczego gryzonia. Nie było to jednak żadne ziemskie zwierzę, tylko dość koślawe połączenie gronostaja i wiewiórki, w dodatku z czaszką słonki o długim, igłowym dziobie.

Kiedy już liczba kości się zgadzała, zadowolony zebrał je w garść i przebił dziobem czaszki mięsistą część u nasady drugiej dłoni. Następnie splunął trzykrotnie na szczątki, a potem wycisnął na nie krew.

Podniósłszy się ostrożnie, podszedł do drzwi i uważając, żeby nie upuścić żadnej cząstki, wystawił rękę przez wizjer na korytarz. Przepchnął ramię tak daleko, jak się dało, żeby znalazło się poza tłumiącym wpływem potrójnego drewna, i rozwarł palce jak dziecko karmiące konia.

A potem zagwizdał.

Po chwili, podczas której nic się nie działo, kości zaczęły się ślizgać po jego dłoni. Z początku powoli, chaotycznie, a potem coraz szybciej i składniej. Przy wtórze chrzęstów i grzechotu szkielet zaczął się scalać, począwszy od kości kulszowej i łonowej. Od tego miejsca rozeszła się też trzaskająca fala czegoś w rodzaju energii życiowej, która pomknęła do łap i wróciła do kręgosłupa. Gdyby w korytarzu było jakieś światło, niedługo potem dałoby się zobaczyć w pełni ukształtowany szkielet gryzonia z ostrym dziobem, stojącego na dłoni Sluagh i bez wątplenia żywego. Pożółkła klatka piersiowa rozszerzała się i kurczyła, jakby wewnątrz niej znajdowały się niewidzialne płuca.

Bezoka czaszka przekrzywiła się, oczodoły zwróciły się na Sluagh, a dziób rozwarł jak u pisklaka czekającego na porcję jedzenia.

– Gotowe – syknął Sluagh. – Wpuścili dziewczynę. Złapali mnie, ale kościozwierz was do mnie doprowadzi. Uwolnijcie mnie jak najszybciej.

Kościozwierz kłapnął dziobem, jakby połykał słowa.

Sluagh niezgrabnie precyzyjnie przycisnął przez wizjer drugie ramię i pogładził pieścotliwie czaszkę stwora, który wygiął się pod tym dotykiem niczym kot.

– Czekają na ciebie. Idź.

Kościozwierz spiął się i zeskoczył na ziemię, po czym skrobiąc

pazurkami po klepisku, przepchnął się pod drzwiami do piwniczki z piwem.

Sluagh klapnął pod ścianą celi i uśmiechnął się pod nosem.

ROZDZIAŁ XVI

Wezwanie

Daleko na północy list przyniesiony z Londynu przez Amosa odbywał właśnie podróż tunelami pod przesiąkniętą deszczem ziemią Rutlandshire ku dworowi Gallstaine. Stłumiony kokosową matą tupot stóp gońca Whitlowe'a odbijał się cichym echem od ścian tej dziwnej drogi wiodącej do rezydencji.

Mniej więcej pół mili dalej chodnik wznosił się łagodnie, a potem biegł na powierzchni, aż wreszcie łączył się z okrągłakiem, którego szklany dach wspierał się na żeliwnych słupach. Chłopiec przedreptał pod zadaszeniem i wspiął się na schody prowadzące do głównego wejścia wielkiego budynku wykonanego z ciemnego kamienia żelazistego.

Zatrzymał się, żeby złapać oddech, i zapukał. Drzwi otworzyły się prawie natychmiast i w progu stanął lokaj.

– List... do... jaśnipana... – wydyszał chłopiec.

Lokaj skinął i przepuścił go.

Whitlowe przetruchtał obok i minął kolejne podwójne drzwi, prowadzące do ogromnego westybulu. Pomieszczenie było nie tylko wielkie, ale i wysokie na dwa piętra. Dzieciak zadrżał i pociągnął nosem, biegnąc ku schodom. Whitlowe'a łatwo było zadziwić, a choć katedrę widział tylko raz, w Lincoln w dzień targowy, ta przepastna sień nieodparcie mu się z nią kojarzyła. Tu jednak królowały duchy, a przynajmniej wydawały się nimi okryte płachtami meble. Nawet ogromne lustra i obrazy na ścianach osłonięto pokrowcami, a kandelabry owinięte muślinem przypominały unoszące się widmowe balony, z których częściowo uszło powietrze i które zamarły, opadając. Wszystkie okiennice, a także drzwi prowadzące do innych pomieszczeń były zamknięte na głucho.

Chłopiec wbiegł na szerokie marmurowe schody i przeskakiwał po dwa stopnie. W martwej ciszy gmachu rozlegały się jedynie jego kroki.

Na podeście zwolnił i przez długi korytarz szedł spokojnie, jakby ten ostatni etap drogi wymagał poruszania się niespiesznie i z namaszczeniem. W istocie fakt, że jaśnie pan nie znosi tupania gońców, został chłopcu wbity różgami tak wcześnie, że nawet tego nie pamiętał. Kroczył więc sztywno, pociągając nosem, w półmroku długiego holu, mijając siedziska w pokrowcach i osłonięte obrazy. W jednej ręczce trzymał pałąk latarni, a drugą przyciskał do piersi list, jakby się bał, że koperta może się wyrwać z jego objęć i zginąć w ciemności poza kręgiem światła.

Tę część drogi Whitlowe zawsze pragnął przebyć jak najszybciej, a pokusa przebiegnięcia korytarzem była niezwykle silna. Wszystko to za sprawą gablot pokrywających ściany od wypolerowanej posadzki aż po wysoki sufit. Jako jedyne elementy wyposażenia nie zostały okryte płachtami, choć tego akurat Whitlowe żałował z całego serca. Pierwsze kilka jardów nie budziło niepokoju i gdy chłopak parokrotnie szedł tędy za dnia (rzadko, bo jaśnie pan prowadził nocny tryb życia), przystawał nawet, żeby podziwiać szeregi jaskrawo ubarwionych motyli, przypiętych szpilkami w identycznych skrzynkach ekspozycyjnych. Następny kawałek zajmowały posępne ćmy o skrzydłach jakby z cętkowanego aksamitu. Koszmar zaczynał się dalej, gdzie swojskie ćmy ustępowały miejsca pierścieniowatym parecznikom i krocionogom zastygłym w uporządkowanych szeregach obok lśniących falang skorpionów i pancernych żuków, niektórych tak wielkich jak sąsiednie skrzypłocze, przypominające szyszaki. Tę sekcję chłopiec nazywał w duchu Jardem Czarnych Kości w odróżnieniu od następnej, pełnej jasnych szkieletów.

Ostatni fragment korytarza wydawał się węższy, bo gabloty musiały być głębsze, by pomieścić większe ryby, a potem ssaki, których pobielale i pożółkłe kości odcinały się od tła z rozpiętych wyprawionych skór.

Whitlowe pociągnął nosem i skupił się na drodze przed sobą, starając się nie patrzeć na oszklone skrzynie. To właśnie to miejsce było źródłem jego koszmarów. Szwadrony kolczastych ryb

przedzielały kordony długich szkieletów węgorzowatych, ustawionych w szykach od najmniejszych poprzez średnie, kongery, aż po gigantyczne mureny wyglądające jak samotne kręgosłupy zakończone szczękami o potwornych kłach.

Już to było straszne, ale dalej robiło się jeszcze gorzej. W gablotach znajdowały się wypchane ssaki naczelne, poczynając od lori, lemurów, wyraków – niektórych maleńkich jak oseski królicze – poprzez większe gatunki aż do tych największych. Oczom chłopca stopniowo ukazywały się uwięzione za szybami małpy z ogonami zwiniętymi pomiędzy usztywnionymi za pomocą drutów łapami, a potem pomniejsze człekokształtne, całe plutony szkieletów gibbonów, poprzedzające zastępy wielkich małp. Ze ścian pustymi oczodołami lypały szympansy, orangutany, goryle, o coraz to bardziej ludzkich czaszkach wyszczerzonych w grymasie wiecznego gniewu i bólu.

Za największymi gorylami znajdowały się gabloty ze szkieletami, które nie były rozpostarte na tylnych ściankach, lecz wisiały przyczepione pordzewiałymi kajdanami. Na niektórych skórkach stanowiących tła widać było dziwne wzory, które przypominały tatuaże, a które chłopiec uznał – zerknąwszy na nie omyłkowo – za coś, co albo działo się z małpią skórą po wyprawieniu, albo co zwykle małpy miały pod sierścią. Te ostatnie rozpięte skóry były nagie, więc Whitlowe przyjmował, że z pewnością ogolono je przed wypreparowaniem.

Pod drzwiami na końcu korytarza siedział na stołku lokaj. Nawet się nie poruszył, dopóki Whitlowe nie przebył całej drogi i nie stanął przed nim, spocony bardziej od wysiłku powstrzymywania się przed przemknięciem pędem przez przerażającą galerię niż od wcześniejszego dwumilowego biegu tunelami.

– List – chlipnął maluch, podając kopertę.

– Zaczekaj – burknął lokaj, odbierając pismo. Otworzył podwójne drzwi i zniknął za nimi, pozostawiając gońca walczącego z upartą kroplą zwisającą z małego nosa.

Niewielki przedpokój prowadził do kolejnych drzwi, wzmocnionych metalową kratownicą. Na środku znajdowały się dwie

szczeliny, podpisane PRZYCHODZĄCE i WYCHODZĄCE. Pod tą drugą na szerokiej półce stała taca na listy. Lokaj zapukał trzy razy i wsunął kopertę w pierwszą szczelinę.

Pomieszczenie po drugiej stronie było ogromne i prawie puste. Niegdyś służyło jako sala balowa, ale teraz ogołoczone z ozdób ściany i zamknięte okna wyłożono od dołu do góry żelaznymi kratami. Metalowe pręty, w odległości jarda od siebie, pokrywały też sufit i podłogę.

Ścianę naprzeciwko drzwi zajmował w całości wysoki na dwadzieścia stóp regał na książki, a pozostałe trzy były białe i gołe.

Pośrodku sali stał potężny stół na masywnych nogach, przy którym możliwe, że jadano za czasów monarchii Stuartów, a który teraz służył za gigantyczne biurko zasłane równymi stertami papierów. Siedział za nim potężny mężczyzna o szarogranitowych włosach zaczesanych do tyłu. Pod wysokim czołem, po obu stronach wydatnego nocha, lśniły ciemne oczy.

Francis, wicehrabia Mountfellow, pisał coś właśnie przy świecy i nie przerwał rytmicznego skrobania stalówką po papierze, nawet gdy rozległo się pukanie, a po nim szelest koperty spadającej na tacę. Dokończył spokojnie zdanie i dopiero wtedy podniósł wzrok, dmuchnął na kartkę, żeby osuszyć atrament, odłożył papier na stertę podobnych i umieścił na niej obciążony skórą przycisk. Wstał, prostując kręgosłup, i podszedł do drzwi. Odczytawszy nazwisko nadawcy, odwrócił kopertę i równie kościstym grymasem odwzajemnił uśmiech czaszki szczerzącej się z zielonej pieczęci. Następnie wziął nóż do papieru i jednym pociągnięciem rozciął kopertę, jakby nie mógł się doczekać odczytania zawartości listu.

Treść została wykaligrafowana pismem, które zdawało się raczej wycięte w papierze niż nań naniesione. Kartka usiana była przypadkowo wstawionymi wielkimi literami, jakby autor załadował garłacz majuskułami i na oślep ostrzelał nimi papier.

Wielmożny Panie,

Pułapka się zatrzasnęła, Gra rozpoczęta...

Gdy otrzymasz ten List, Rzeczona Dziewczyna powinna już zostać dostarczona do Domu przy Wellclose Square przez naszego Północnego Konfederatę w Sposób oraz w Stanie Umysłu, które uczynią jej przybycie Niepodejrzanym, a ją samą Natychmiast Godną Zaufania ludzi z Wolnego Bractwa, których Upadku i Zniszczenia obaj pragniemy z Całego Serca.

Jeśli spotkamy się Jutro w Południe w Sądzie Pokoju, jak to wcześniej ustaliliśmy, zavezwę Konstabli i, jak nasz Podstęp przewiduje, uzyskamy Dostęp do Domu, Ty zaś wejdiesz w Posiadanie Segreganta, Wielkiego Klucza do Wszystkich Krwi, Przedmiotu Twych Długich Poszukiwań, i uczynisz go w Pełni Praw, jakby zaiste był On Wielmożnego Pana Skradzioną Własnością, którą legalnie Odzyskujemy.

Proszę zabrać ze sobą Rzeczony Fragment Symbolu, dzięki któremu Udowodnimy prawo do Opieki nad, wedle wszelkich Przesłanek, Urowadzoną Dziewczyną, oraz Szkic Nieosiągalnego Dotychczas Klucza, aby według uprzednich Planów przedstawić Dowód Własności Sądowi.

Pismo to przesyłam z Pozdrowieniami moimi oraz Brata drogą Tajną i Poufną przez naszego Chłopca Amosa i upraszam równocześnie, abys, jeśli to nie Kłopot, odstawił go do Londynu.

Pozostając na Zawsze Lojalnym Sługą,

Issachar Templebane

Mountfellow przesunął dłonią po twarzy od czoła do brody, jakby ścierał z niej prawdopodobieństwo uśmiechu, ale gdy wrócił do stołu, jego oczy skrzyły się z zadowolenia.

Wyjął ze szkatułki złożoną kartkę i pudełeczko na pierścionek. Rozwinął papier – był to rysunek klucza z główką w kształcie rozłożonego kaptura kobry. Zwinawszy go, włożył za pazuchę, a potem otworzył pudełeczko. W środku nie było pierścionka, tylko kawałek papieru z pieczęcią, na której widniały lew i jednorożec.

Zamknął pudełko i wsunął je do kieszonki kamizelki.

Podniósł list od Templebane'a i trzymał go nad płomieniem świecy, dopóki papier nie zajął się ogniem, a ten nie sięgnął mu palców. Wtedy upuścił palący się strzep na cynową tackę i obserwował, aż z listu zostały jedynie czarne płatki i gruda powtórnie stopionego wosku.

Zdmuchnąwszy świecę, podszedł do drzwi, otworzył je i opuścił okratowaną salę.

ROZDZIAŁ XVII

Noc na Mare Street

Istnieją dwa sposoby pokonania drogi z punktu A do punktu B – na przełaj jak ptak albo klucząc jak szczur.

Kościozwierz mimo dziobu nie posiadał skrzydeł, zmuszony był więc trzymać się drogi naziemnej, lawirując gronostajowo-wiewiórczym szkielecikiem i przemykając zaułkami jak szczur. Na otwartej przestrzeni szczury nie poruszają się, biegnąc na wprost, więc i jego droga prowadziła przez rozmaite zaułki, tak pod ziemią, jak i na powierzchni.

Stworzenie wydostało się z piwnicy przez szczelinę w kanale wentylacyjnym i tyłami budynków pod sznurami rozwieszonego prania, które powiewało niczym stado duchów, pomknęło ku Cable Street.

Mimo że była już noc, na ulicach nadal panował ruch konny. Kościozwierz przyczał się na chwilę za zakrętem rynsztoka, po czym śmignął jak szalony na drugą stronę ulicy pod jadącym powoli wozem z beczkami piwa, skręcił w zaśmiecony zaułek i czmychnął pod most kolejowy Blackwall. Zeskoczył z drogi na usychający trawnik pomiędzy stłoczonymi domami robotniczymi i popędził ku Commercial Road.

Leżący w rynsztoku pijak otworzył zmętniałe oczy i na widok małego szkieletu przebiegającego przez kałużę rzygowin, którymi właśnie przyozdobił chodnik, wrzasnął ze zgrozy. Ale stworek zniknął już w kanale wiodącym pod piwnicami londyńskiego szpitala. Gnając uparcie na północ, przestraszył zamieszkujące system rur i śluz stado szczurów. Zaczęły przed nim uciekać, popiskując z przerażenia.

Na podwórku za szpitalem sanitariusz wrzucał do ryczącego ogniem żelaźniaka zużyte opatrunki i inne odpady. Piec płuł

w bezgwiezdne niebo snopami jasnych iskier. Słyszając piski, obarczony naręczem nieczystości mężczyzna obrócił się i nagle ziemia pod jego stopami buchnęła ruchliwą czarną masą. Wrzasnął, uskakując przed falą szczurów, przewrócił się i upadł. Przystrojony girlandami zakrwawionych bandaży, patrzył, jak gryzonie wpadają przez uchylone drzwi do piwnicy szpitalnej.

Nie zauważył jednak, że od gromady odłącza się szkielecik, który gna pod ścianą w kierunku Mile End Road. Kościozwierz przedostał się na drugą stronę ulicy kanałem i wyskoczył zeń dokładnie pod nosem znudzonego cętkowanego teriera obwąchującego porzucony kapuściany głąb. Przemykająca plama bieli była znacznie ciekawsza od warzywnych szczątków, więc terier uczynił to, co zwykle robią teriery – natychmiast puścił się w pogoń, wyrzucając z siebie kanonadę rozochoconych szczeknięć. Biegł tak aż pod cmentarz żydowski, gdzie tajemnicza istota dała nura pomiędzy pręty bramy, zbyt gęsto rozmieszczone dla psa. Terier zaskomlił żałośnie, obserwując, jak zwierzyna sunie susami po macebach, rozrzucając kamyki modlitewne z pietyzmem ułożone przez żałobników. Kościozwierz przesadził porośnięty bluszczem mur na tyłach cmentarza i wylądował w zadbanych ogródkach. Przebiegł pod torami kolejowymi, podczas gdy nad głową przetaczał mu się piszcący hamulcami pociąg dojeżdżający właśnie do swojej stacji końcowej.

Szkielet minął Bethnal Green po stronie Paradise Row i kolejne pół mili pokonał pod ziemią, aż wpadł na inne stado szczurów, które rozbiegło się na wszystkie strony pod garbatym mostem nad Regent's Canal.

Kościozwierz pomknął po barierce przez most aż na drugi, rzadziej zabudowany północny brzeg kanału. Przez chwilę kluczył pomiędzy grządkami kapusty i przeskakiwał rzędy marchewkowych pióropuszy, aż dotarł do skupiska chat na skraju skrzyżowania Mutton Lane, Essex Place i Mare Street. Zwolnił na trójkątnym skwerze otoczonym krzyżującymi się ulicami, gdzie przy żarzącym się palenisku druciarza stał prymitywny szałas. Przemknął między kopytami dwóch niewielkich koni o grzywach upstrzonych małymi kostkami i czaszkami, po czym zbliżył się do ognia.

Druciarz leżał urznięty w trupa na swoich tobołach, a przy palenisku siedziały dwie postaci o twarzach pokrytych niebieskimi, wijącymi się tatuażami i włosach oraz brodach przyozdobionych kośćmi i gałązkami. Wyższy z owej dwójki miał na głowie stary melonik z oderwanym dnem, dookoła runda zaś poprzyczepiano dziobami do góry czaszeczki słonek, tak że tworzyły coś w rodzaju kościanej korony. Właściciel tejże korony ostrzył kijek jarzębinowy. Jego towarzysz za pomocą nici z jelita przewleczonej przez wywiercone w kości otworki kończył przyszywać dziób z brązu do czaszki jastrzębia. Założył ostatni szew i schyliwszy się, odgryzł nadmiar nici zębami.

Kiedy kościozwierz wszedł w krąg światła i stanął przed mężczyznami, obaj zaprzestali prac. Ten w koronie skinął i dotknął ptasiej czaszki szkieleciku. Dziób rozwarł się natychmiast, wypuszczając głos uwięzionego Sluagh:

– Gotowe. Wpuścili dziewczynę. Złapali mnie, ale kościozwierz was do mnie doprowadzi. Uwolnijcie mnie jak najszybciej.

Wysoki skinął znowu i popatrzył na towarzysza z uśmiechem ponurej satysfakcji.

– Uwolnić go.

Drugi sięgnął ku zwierzakowi i zgrabnie ukręcił mu czaszkę. Tak samo zgrabnie nasadził na korpus czaszkę jastrzębia. Potem rzucił łebek słonki ponad ogniskiem do kompana, który z kolei cisnął do towarzysza jarzębinowym kijkiem. Gałązka została podana jastrzębiowi, który chwycił ją w dziób.

– Idź – powiedział niższy z mężczyzn i kościozwierz czmychnął w ciemność.

Sluagh popatrzyli na siebie poprzez płomień i się uśmiechnęli.

– Tak – rzekł ten w koronie. – Teraz się zacnie.

ROZDZIAŁ XVIII

Pierwsze prawo

Wszystko, nawet ruch gwiazd, stosuje się do pierwszego prawa dynamiki – jeżeli na ciało nie działają siły zewnętrzne lub działające siły równoważą się, to ciało pozostaje w spoczynku lub porusza się ruchem jednostajnym prostoliniowym.

Wyobraźcie sobie dziecko bystre i dociekliwe – dziecko oświecenia.

Wyobraźcie sobie, że owo dziecko jest bogate i wysoko urodzone, na niczym się dla niego nie oszczędza, a już najmniej na nauczycielach.

Wyobraźcie sobie, że owo dziecko zostaje wychowane w wierze, że wszystko na świecie da się naukowo wyjaśnić, że świat jest maszyną działającą według prostych do udowodnienia zasad przyczyny i skutku. Dziecko to dorasta i uczy się nienaruszalnych praw rządzących wszechświatem objaśnionym przez wielkie, absolutnie racjonalne umysły Galileusza, Boyle’a, a nade wszystko sir Isaaca Newtona, samego autora pierwszej zasady dynamiki.

Wyobraźcie sobie, że dziecko to wie, iż Słońce, planety i Ziemia kołyszają się w zimnej próżni poruszane wielkim niebiańskim mechanizmem. Wyobraźcie sobie teraz to dziecko jako młodzieńca okrzepłego w rzeczywistości, twór epoki oświecenia, którego jeszcze pół wieku wcześniej nazwano by filozofem przyrody, a który teraz określa siebie mianem człowieka nauki.

Wyobraźcie sobie, że młodzieniec ten na własne oczy widzi istotę nadprzyrodzoną.

A konkretnie, wyobraźcie sobie, że widzi, jak młoda piękność ucieka z zamkniętego pokoju, chcąc umknąć przed niemiłymi jej awansami, spokojnie wchodzi w lustro i znika po drugiej stronie, jakby po prostu przeszła przez drzwi.

Wyobraźcie sobie jego trzeźwy, ścisły umysł w zderzeniu z demonstracją zasad burzących fundamenty jego świata. Młodzieniec przywykły do tego, że rzadko się myli, i całkiem nieprzywykły do tego, że się go odrzuca, ma dwie możliwości – albo uwierzyć, że oszalał, albo zaakceptować to, że racjonalne zasady, które, jak sądził, rządzą rzeczywistością, są tylko górną warstwą skrywającą inny, tajemniczy mechanizm, który tak naprawdę porusza światem.

Wyobraźcie sobie to wszystko, a zyskacie jasny, dokładny obraz Francisa Blackdyke'a, wicehrabiego Mountfellona.

W tym wypadku przystojny, bogaty i samotny młodzieniec, butny jak większość uprzywilejowanych młodych ludzi, nie ograniczył się do jednej możliwości. Zagarnął obie, godząc się z myślą o własnym szaleństwie, a jednocześnie postanawiając poświęcić życie zdobywaniu wiedzy o tajemnych mechanizmach. I zdobywał ją z bezwzględny fanatyzmem neofity. Nie zarzuciwszy nawyków naukowca ani przekonania, że dysponując odpowiednim zestawem zasad i narzędzi, może wyjaśnić i kontrolować świat oraz zjawiska w nim zachodzące, zastosował ten dotychczasowy model myślenia do nowego systemu, którego przejaw działania ujrzał w przebłysku pomiędzy trybikami i sprężynkami mechaniki newtonowskiej. Miał umysł zdolny zapamiętać i skategoryzować wszystko, czego doświadczył – był to dar, który później zaczęto określać mianem pamięci fotograficznej. Obsesyjnie czytał, notował, kolekcjonował, a do tego nauczył się świetnie rysować. Jego zapamiętanie w pracy dorównywało temu, które było udziałem Newtona, jego pierwszego, potem wzgardzonego bohatera, człowieka, którego pęd do wiedzy popchnął do wsadzenia sobie w oko szydła, byle tylko udowodnić teorie optyki.

Wyobraźcie sobie, że ta cudna istota, która umknęła przez lustro, była jedyną osobą, jaką Mountfellon kiedykolwiek kochał, a ponadto – co tym bardziej irytujące – towarzyszyła mu podczas dziecięcych zabaw, była bowiem córką jednego z nauczycieli, którzy kładli mu do głowy racjonalne prawdy o świecie natury. Prawdy, które dowodziły, że przechodzenie przez lustro jest absolutną niemożliwością.

Wyobraźcie sobie Mountfellona, który dzięki temu wydedukował,

że rzeczywisty świat może być opleciony siecią przejść biegnących pomiędzy lustrami na całej ziemi.

Wyobraźcie sobie, że naraz zdał sobie sprawę, iż to, co niegdyś nazywał magią, mogło istnieć naprawdę.

Jeśli potraficie sobie wyobrazić człowieka nauki zadowolonego z odkrycia i zrozumienia mechanizmu wprawiającego gwiazdy w ruch po określonych drogach i usatysfakcjonowanego samym posiadaniem tej wiedzy, na pewno nie wyobraziliście sobie Mountfellona. Należał on bowiem do osób innego rodzaju – rozsmakowanych w ukrytej naturze funkcjonowania tego mechanizmu i potężnej sile, która go napędza, pragnących posiąść klucz do jego działania. Nawet wśród tego rodzaju ludzi znajdują się tacy, którzy chcieliby użyć tego klucza dla dobra ludzkości. Jednak szaleńcy pożądamy go tylko dla siebie.

A Mountfellow był, być może tylko na swój sposób, najbardziej szalony spośród tych szaleńców.

Opierając się na doświadczeniu z dziewczyną z lustra, można by argumentować, że pierwsza zasada dynamiki odnosi się nie tylko do obiektów materialnych, ale również do osobowości, nie tylko do ruchu, ale też do emocji. Można by strawestować ją w ten sposób, że każdy człowiek usiłuje tkwić w pewnym określonym stanie, dopóki nie zostanie zmuszony poprzez działające na niego siły do zmiany tego stanu.

Mountfellow został niejako zmuszony do przemiany – dziecko oświecenia zostało pochłonięte przez irracjonalne pragnienie kontrolowania ponadnaturalnego świata i jego ukrytego mechanizmu.

Amos Templebane nie wiedział o tym wszystkim, kiedy stał pod bramą, usiłując osłonić się przed ulewą. Za mocno się trząsł, żeby usnąć, ale zmęczenie długą podróżą sprawiło, że zapadł w półdrzemkę, z której wyrwało go zgrzytanie zawiasów otwieranych wrót. W ostatniej chwili udało mu się uskoczyć, unikając zgniecenia żelazną kratą i stratowania kopytami sześciu czarnych koni zaprzęgniętych do powozu. Woźnica ryknął, jednocześnie ściągając wodze i hamulec.

– Prrrr! – zagrzmiął, zatrzymując powóz przy Amosie.

Osłona w oknie uchylila się na tyle, by Mountfellow mógł zlustrować chłopaka od stóp do głów.

– Ty jesteś od Templebane'ów? – zapytał głosem suchym jak jesienne liście szeleszczące na posadzce krypty.

Amos spojrzał mu w oczy i skinął.

– Odpowiadaj, kiedy się do ciebie mówi, a nie zezuj głupkowato! – warknął woźnica i strzelił batem nad głową chłopaka. Amos podskoczył.

Mountfellow spojrzał na niego groźnie.

– Jesteś idiotą? Moi ludzie w Londynie mówili mi, że Templebane'owie mają mieszańca półgłówka czy jakoś tak...

Amos wygrzebał spod kapoty swoją tabliczkę i uniósł ją do okna. Mountfellow przesunął wzrokiem po napisie i skinął z zadowoleniem.

– No tak. Wiedziałem, że chodzi o jakąś ułomność. No, chłopcze, ułomny czy nie, ojciec chciał, żebym mu cię przywiózł.

Amos przytaknął z uśmiechem. Mars na twarzy wicehrabiego tylko się pogłębił.

– Nie jestem jakimś tam wozakiem i nie wożę towaru na zamówienie. Aczkolwiek ze względu na usługi twego ojca jestem skłonny uczynić wyjątek i ulec jego prośbie. Wysikałeś się?

Uśmiech Amosa zrzędł, ustępując zaskoczeniu nieoczekiwanym pytaniem.

– Jeśli nie, to się pospiesz, bo zamierzam dotrzeć do Londynu przed północą, choćby piekło stało mi na drodze. Nie zatrzymamy się nawet dla samego diabła, z wyjątkiem krótkiego postoju w Hertingfordbury, gdzie zmienimy konie.

Mountfellow z impetem zaciągnął zasłonę. Woźnica spojrzał na Amosa. Ten odwrócił się do muru, szybko rozpiął guziki i dodatkowo podtopił ociekający deszczem bluszcz. Potem prędko podbiegł do powozu i wdrapał się do środka.

Woźnica krzyknął, strzelił z bata tym razem nad łbami koni, karocą szarpnęło i Amos klapnął na ławkę.

Przy błysku pioruna zobaczył, jak dozorca zamyka bramę do podziemnego wjazdu, a potem wszystko zniknęło w ulewie i strumieniach wody wzbijanych przez toczące się koła.

Mountfellow siedział naprzeciwko nieporuszony jak posąg. W jego oczach odbijały się płomyki lampy wiszącej nad ramieniem chłopca. Przykryty był pledem obrębionym futrem i trzymał na kolanach książkę.

Amos zadrżał, nie tyle jednak z chłodu, co pod nieruchomym spojrzeniem taksującego go towarzysza podróży. Odwrócił wzrok i wyciszył się, żeby usłyszeć myśli Mountfellona. Amos nie mógł mówić, ale posiadał sekret, którego nie znała nawet przybrana rodzina – a była nim umiejętność odbierania myśli innych ludzi. W każdym razie tak sądził, choć czasem się zastanawiał, czy sobie tego tylko nie wyobraża. Jednak jeśli nawet, bo przecież nie omawiał tego nigdy z nikim, to były one niezwykle wyraźne, a jego wyobrażenia musiała być wyjątkowo dokładna, bo zazwyczaj po usłyszeniu tych myśli widział, jak ludzie wcielali je w czyny. Z tego powodu polegał na swojej umiejętności, szczególnie gdy unikał braci, jeśli akurat mieli złośliwe albo podłe nastroje.

Myśli Mountfellona były precyzyjne i analityczne. „Dziwny chłopak. Ciemna skóra, ale nie całkiem czarna. W słabym świetle mógłby ujść za Cygana. I ten dziwaczny nos. W połowie Mulat? W jednej czwartej? Jednej ósmej? Przynajmniej w połowie. Jasne oczy. Zielone. Nie murzyńskie. Oczy białego. Zbyt jasne. Zbyt pełne życia. Za mało doświadczył różgi. Dzieci są jak psy. Reagują na baty. Niedostatek jedzenia w dzieciństwie. Widoczne efekty niedożywienia. Drobne kości. Mało mięśni. Góra sześćdziesiąt kilo. Na oko pięć stóp dziesięć cali. Ile ma lat? Może piętnaście, a może dziewiętnaście. Nie patrzy mi w oczy. Coś ukrywa. Dlaczego Templebane'owie wysłali niemowę? Czemu w ogóle wierzą, że jest niemową? Czemu ja miałbym w to wierzyć? To po to, żebym nie mógł go wypytać? Templebane'owie nie są głupcami. Chłopak pewnie udaje. Wysłali go z listem, ale pewnie ma obserwować. Trzeba go sprawdzić”.

Powozem zatrzęsło, szarpnęło i rozległ się chłupot wody na błotnikach. Kiedy Amos podniósł wzrok, wicehrabia wyciągał do niego rękę.

– Podaj mi dłoń, chłopcze.

Amoc skurczył się instynktownie.

– Jestem człowiekiem nauki. Chcę zbadać twoją dłoń.

Amos podał mu rękę. Mountfellow chwycił ją w zimne palce i odwrócił wnętrzem do góry. Sapnął i złapał dłoń, unieruchamiając kciuk.

– Zamknij oczy.

Amos spojrzał na niego pytająco. Twarz Mountfellona ściągnęła się jak zaciskająca się pięść.

– Zamknij te cholerne oczy, inaczej będziesz szedł do Londynu piechotą.

Amos opuścił powieki. Przez chwilę widział tylko ciemność, a potem poczuł ostry ból w palcu. Otworzył oczy, jednocześnie próbując wyrwać rękę, ale mężczyzna nie puszczał.

– To tylko scyzoryk. Drobne skaleczenie.

Mountfellow złożył nożyk, schował go do kieszeni i dopiero wtedy uwolnił Amosa, który natychmiast wsadził palec do ust i przycisnął język do ranki. Łypnął na wicehrabiego z nieskrywaną wściekłością.

– Nie krzyknałeś – stwierdził Mountfellow.

Po czym Amos usłyszał końcówkę jego myśli: „Naprawdę jest niemową. Udowodnione”.

Amos wygrzebał z kieszeni wilgotną chustkę i ciasno owinął nią palec.

– Nie przyjmuję niczego na wiarę – wyjaśnił Mountfellow. – Jestem empirykiem. Cała moja wiedza jest poparta doświadczeniami bądź eksperymentami. I nie zamierzam nikogo za nic przeproszać.

Amos łypnął na niego gniewnie.

– Przestań się bocyć, bo każę woźnicy wrzucić cię do rowu. – Chłopak odwrócił wzrok. – Dobrze. Widzę, że jesteś posłuszny. Ojcowie założyli ci wędzidło. – Amos nie odrywał wzroku od drogi. – Twoi ojcowie są przebiegli. – Chłopak skinął potakująco. – Ale czy zawsze można im ufać?

Amos czuł, że spojrzenie mężczyzny przepala go na wylot. Nie przytaknął ani też nie zaprzeczył. Jedynie się uśmiechnął. Mountfellow odpowiedział nieszczerym, lodowatym uśmiechem.

– Dlaczego nie popisujesz się lojalnością wobec nich?

Amos wzruszył ramionami, jakby nie miało to znaczenia.

– Dlaczego? – dopytywał mężczyzna.

Amos wyjął z kieszeni małą, oprawną w drewnianą ramkę tabliczkę z przywiązanym na sznurku rylcem. Napisał „szczerzy” i pokazał tabliczkę wicehrabiemu. Ten przeczytał wyraz i potrząsnął głową.

– O nie. Myślę, że jesteś sprytny. Napis na plakietce mówi prawdę. Żadnemu przebiegłemu człowiekowi nie można do końca ufać, bo gdy świat się zmienia, on musi się doń dostosować. Według mnie dobrze wiesz, że potwierdzając, iż zawsze można im ufać, potępiłbyś ich, a w moich oczach stał się kłamcą...

Otworzył drzwiczki. Na zewnątrz było ciemno i lało.

– Możesz jechać z tyłu, z bagażami. Nie życzę sobie, żeby ktoś mnie obserwował podczas snu. Tylko trzymaj się mocno, bo jak wypadniesz za burtę, będziesz musiał dopłynąć do brzegu sam. Tej nocy nie będę tolerował żadnych opóźnień.

Amos zebrał się w sobie i wychynął na deszcz. Po omacku odnalazł uchwyty, dzięki którym przeszedł na tył karocy. Drzwiczki zatrzasnęły się za nim. Kolejne kilka minut spędził w ulewie, gramoląc się pod plandekę okrywającą bagaże i usiłując przy tym nie wpaść pod rozpędzone koła powozu. Kiedy nareszcie mu się to udało, następne dziesięć minut poświęcił na znalezienie dogodnej pozycji pomiędzy kuframi wicehrabiego. Niestety, wszystkie były twarde i nieprzyjemne jak ich właściciel, więc wcisnął się między skrzynię i pudło na kapelusze i wetknął ramię pod pas przytrzymujący bagaże, żeby nie wpaść na błotnistą drogę. Nawet nie liczył, że uda mu się zapomnieć o niewygodach i zasnąć.

Turkot kół i obijanie się o przesuwające się kufry odebrały mu resztki nadziei, przymknął więc oczy i starał się wsłuchać w myśli Mountfellona zamkniętego w obitym metalem pudle.

ROZDZIAŁ XIX

Smrodliwe ostrze

Sara Falk siedziała w kącie kuchni, rozmawiając cicho z Lucy Harker. Kucharka obserwowała je spod pieca, gdzie łupała orzechy i wrzucała je do trzymanej między kolanami miski. Ów ciepły, swojski obraz stanowił przeciwieństwo ciemnej, mglistej nocy na zewnątrz.

Wszystkie trzy kobiety podniosły głowy, kiedy do kuchni wszedł pan Sharp, zamykając za sobą drzwi.

– I...? – zwróciła się do niego Sara.

Pan Sharp położył na stole ostrze z brązu, a obok umieścił ostrożnie zawiniątko w czerwonej chustce. Kucharka wzięła broń i się jej przyjrzała.

– Wygląda jak...

– Dokładnie – potwierdził Sharp.

Kucharka spojrzała pytająco na Sarę, która siedziała nieruchomo, wpatrując się w zawiniątko.

– Cóż, sprawdźmy to – stwierdziła i zniknęła w jednej z nisz, z której po chwili wyniosła deskę z resztką różowiutkiej szynki o brązowej skórce nabijanej czosnkiem i glazurowanej marmoladą. Ujęła ostrze i chlasnęła plaster mięsa.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem nagle brzegi rozcięcia pociemniały, zaszły zielenią, poczerniały i porosły szarym kożuchem, który zaczął gnić. Wkrótce z rozmiękczonej zgnilizną masy zaczęły wylazić białe larwy.

Po kuchni rozeszła się fala silnego smrodu. Lucy Harker zsunęła się z krzesła i pobiegła do kąta, kurcząc się i zakrywając ręką nos. Patrzyła na mięso z takim obrzydzeniem, jakby osobiście ją znieważyło.

– *Jésus chiant!* – krzyknęła, wskazując gniewnie na szynkę. – *Cela sent comme le cul d'un mendiant mort. Faites quelque chose!*

– Musimy coś zrobić z tym jej słownictwem – oświadczyła Sara. – Ale ma rację. Wywal to jakoś, Kucharko.

Kucharka wzięła deskę z odpadającą już od kości szynką i wrzuciła wszystko do ognia. Płomienie zaskwierczały i buchnęły na czerwono i zielono na trzy stopy ponad rusztem, a potem gwałtownie się skurczyły i pomknęły pod okap i do wywiewu, prześcigając się w gwałtownym pragnieniu ujścia kominem znajdującym się trzy piętra wyżej.

– Cóż – rzekła Sara, przenosząc wzrok z zawiniątka na pana Sharpa.

– Mówiłem, że coś poczułem – powiedział. – Myślałem, że to ten Ketch albo dziewczyna...

– Ale to było coś innego?

– Jeden ze Sluagh – przytaknął.

Kucharke aż zatchnęło.

– Sluagh? Tak daleko na południu? – nie dowierzała.

– Owszem.

– W mieście?!

– Tak – potwierdził Sharp. – Choć teraz już pod nim. Zamknąłem go w Prywatnej Celi. Znalazłem też jego konia. – Jakby na wezwanie, z zewnątrz dobiegł ich metaliczny stukot. – Emmet go podkuwa.

– Podkuwa? – zdziwiła się Sara. – Nie lepiej było skrócić mu męki?

– Co prawda długo jeździł pod Sluagh, ale zachował resztki zdrowych zmysłów. Dało się go ocalić. Poza tym... – Wbił wzrok w podłogę. – Wiecie, że nie lubię zabijać.

– Wielu truposzy obraca się teraz w grobach! – parsknęła Kucharka.

– Mimo to – upierał się. – Wiecie, że to prawda. – Wskazał na zawiniątka. – Poodcinałem mu z grzywy dzioby i czaszki. Ale jeden był szybszy niż ja. – Pokazał palec. – Musimy porozmawiać. – Znacząco kiwnął lekko głową w stronę Lucy.

– Możesz mówić. Zna tylko francuski – powiedziała Sara.

– Skąd wiesz? – zaprotestowała Kucharka. – Na razie pewne jest tylko to, że do tej pory nie mówiła po angielsku.

– To nieistotne. Ważne, że trzymanie jej tu jest niebezpieczne.

– Właśnie dałam jej słowo, że nic jej tu nie grozi – obruszyła się Sara.

– Jest coś w tym jej pojawieniu się tu, co mi nie pasuje...

– Istnieje jakieś powiązanie pomiędzy nią i Sluagh?

– Jeszcze nie wiem...

– Dałam jej słowo.

– A ja dałem słowo, że będę chronił ciebie i ten dom – skontrował z lekkim znużeniem szermierza uczestniczącego któryś raz w tej samej potyczce. – Niech Emmet zabierze ją do Banialuki. Jeśli Kowal już wrócił, może jej popilnować. Jeśli nie, zrobi to Emmet. Mogłaby...

– Przez jedną noc nic się nie stanie, Sharp – weszła mu w słowo Sara. – Spójrz na nią. Pada z nóg. I nawet nie będzie to cała noc, przecież niedługo zacznie świtać.

Lucy kleiły się oczy. Pan Sharp nabrał powietrza.

– Nos mówi mi, że coś jest nie tak...

– Zawsze coś jest nie tak – przerwała mu znowu Sara. – Gdyby wszystko było w porządku, nie bylibyśmy potrzebni.

– Ten argument nie nabiera mocy przez powtarzanie – odciął się. – Dziewczyna nie może tu zostać. To niebezpieczne.

– Przecież to Kryjówka. Jeśli tu nie jest bezpiecznie, to gdzie?

– Chodziło mi o to, że to ona jest zagrożeniem dla tego domu. – Sharp popatrzył na Kucharkę, która z kolei spojrzała na Sarę. – To niebezpieczne dla nas – dokończył.

Sara powoli pokręciła głową, również zmęczona odtwarzaniem tej starej, wielokrotnie już toczonej bitwy.

– Po co w ogóle utworzono tu Kryjówkę? – zapytała.

– Żeby ukryć bibliotekę – rzekła Kucharka.

– Żeby ukryć klucz – sprostował Sharp.

– A dlaczego należy strzec klucza? – spytała Sara monotonicznie.

Pan Sharp znów popatrzył na Kucharkę, która jednak odwróciła wzrok. Uśmiechnął się z lodowatą uprzejmością.

– Saro Falk – zaczął – z całym szacunkiem, ale nie jestem dzieckiem, któremu trzeba powtarzać lekcję.

– Nie pouczam cię. Te pytania dotyczą dziewczyny.

Sharp uśmiechał się skąpo, ale teraz westchnął.

– Moc klucza należy chronić przed tymi, którzy mogliby ją niewłaściwie wykorzystać.

– A dlaczego?

Potrząsnął głową i spojrzał na Lucy. Dziewczyna oparła czoło na blacie, zamknęła oczy i spała.

– Nie zamierzam grać z tobą w tę grę, nie teraz, nie przy niej...

– To nie żadna gra, a dziewczyna śpi.

Sharp pochylił się nad Lucy.

– Dodałam jej czegoś do mleka – uspokoiła go Kucharka.

Wyprostował się i spojrzał na Sarę, która siedziała z buntowniczo zadartym podbródkiem.

– Niech ci będzie – ustąpił. – Zagram, ale nie spodoba ci się moja odpowiedź. Prawdziwy klucz to Segregant. Segreguje. Ukazuje, kto jest normalny, a kto nie. Ujawnia ponadnaturalne umiejętności jednych tym, którzy ich nie posiadają. Odkrywa nawet możliwości utajone, nieoczekiwane... – Sara otworzyła usta, ale Sharp uniósł palec, powstrzymując ją, i kontynuował: – Naszym obowiązkiem jest obrona nieświadomych przed nieobdarzonymi, ale także nieobdarzonych przed nieświadomymi. Wszyscy wiemy, co może zrobić nieświadomy, kiedy trafi między fanatyków religijnych czy innych nadgorliwców. Efektem są palenie kobiet, tortury mężczyzn, dręczenie głupich staruch albo topienie ich w wiejskich stawach.

– Mój ojciec... – usiłowała wtrącić Sara.

– Twój ojciec mówił, że podczas ostatniej fali polowań na czarownice, za władzy Cromwella, zabito wielu niewinnych, którzy w większości w ogóle nie posiadali żadnych mocy. Prześladowcy podpalali stosy bezpodstawnie, nie mając nawet możliwości rozpoznania, kto jest kim. Wyobraź sobie szkody, jakie mogliby wyrządzić, posiadając Segregant taki jak klucz...

– Gdybym mogła... – zaczęła Kucharka, ale Sharp potrząsnął głową.

– Nie skończyłem. Ostatnia fala polowań na czarownice wyda się ledwie drobnostką przy tym, co się wydarzy, kiedy prześladowcy zdobędą takie narzędzie. Kolejna gorączka mordów może wybuchnąć na straszliwą skalę, to jakby porównać tkaczkę z krosnem do setek fabryk z maszynami parowymi. To byłaby hekatomba, ludobójstwo...

– Panie Sharp! – przerwała mu Sara ostro.

– O nie, Saro – nie ustępował. – To nie byłoby już chwilowe zachwianie równowagi, którą przysięgaliśmy zachować: to byłoby przewrót całej wagi i unurzanie jej w potokach krwi i zemsty. Ludzie noszą w sobie zbyt wiele lęków, by zaakceptować inność. Może kiedyś to się zmieni, może bieda i niewiedza znikną, ale póki życie większości to codzienna walka z głodem i brakiem bezpieczeństwa, każda inność stanowi zagrożenie, bo obcy mogą przyjść i zabrać ci jedzenie albo skrzywdzić rodzinę. Klucz to nie tylko Segregant. W nieodpowiednich rękach może się stać narzędziem wyłuskiwania odmienności, typowania wrogów. Ludzie Cromwella nie dopuszczali do buntów na wsiach dzięki piętnowaniu „innych”, obwinianiu ich o wszelkie nieszczęścia, jakie wojna sprowadziła na lud. Uprzedzenia to silny ogień, Saro, a dzięki Segregantowi łatwo znaleźć dla niego paliwo.

Grzmotnął ręką w stół, spojrzał na milczącą widownię i niemal natychmiast zawstydził się nietypowego dla siebie wybuchu.

– I kto tu kogo poucza? – odezwała się Sara.

Zarumienił się lekko.

– Przypominam ci tylko, dlaczego moim obowiązkiem jest sprzeciwianie się twoim zachciankom i naleganie na natychmiastowe zabranie stąd dziewczyny.

– Ona zostaje – oświadczyła Sara stanowczo.

– To Kryjówka. Do mnie należy obrona tak tego domu, jak i ciebie. Nie pojmuję, dlaczego taką przyjemność sprawia ci wystawianie mnie na próbę. Chyba że to umyślna przekora, która...

– Dajcie już spokój tej starej śpiewce. – Kucharka straciła cierpliwość. – Czasami wydaje mi się, że kiedy jesteście razem, wychodzą z was najgorsze cechy. Sara, zawsze rozważna, robi się lekkomyślna przy Sharpie, który, zawsze ostrożny, staje się przy niej zuchwały. To męczące przedstawienie, szczególnie w środku nocy. Przysięgam, że czasami czuję się przy was jak stara przyzwoitka obserwująca taniec godowy idiotki z kretynem...

Sara się zarumieniła. Ściągnęła usta, po czym powiedziała podniesionym głosem:

– Przestraszyłam ją! Mam wobec niej zobowiązania. Przekroczyłam granicę, ona spanikowała i cisnęła we mnie gorącym ciastem, a ja pod wpływem bólu straciłam panowanie nad sobą, użyłam siły, przyłożyłam jej rękę do ściany, zmuszając do Wejrzenia! – Spuściła oczy, jakby wstydziła się patrzeć na towarzyszy. – Zabrakło mi cierpliwości. Powinnam była wyjaśnić jej wszystko powoli, na spokojnie, a zamiast tego zrobiłam jej krzywdę. To niewybaczalne.

– Bzdura – stwierdziła Kucharka, trącając łokciem Sharpa.

Kiedy się nie odezwał, zrobiła to ponownie, tym razem mocniej – na tyle mocno, żeby zostawić siniaka. Popatrzył na nią zaskoczony. Uniosła brew i poruszyła groźnie łokciem.

– Nie... – zająknął się. – To zrozumiałe.

– Nieważne – podjęła Sara. – To przeze mnie doznała wstrząsu i jest wykończona. Musi zostać przynajmniej na noc.

Sharp otworzył usta, ale Sara powstrzymała go gestem i ciągnęła:

– Jeśli masz Sluagh w celi, Kowal będzie chciał go zobaczyć. Proponuję posłać po niego Hodge’a. Będzie tu o świcie, potem może zabrać dziewczynę do Banialuki. Podczas tej resztki nocy nic się nie stanie.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Sharp miał minę, jakby chciał zaprotestować, ale tylko się skrzywił, kiedy Kucharka nadepnęła mu na stopę. Opuścił wzrok i wzruszył ramionami, wyraźnie ustępując.

– No dobrze. – Popatrzył na swoje ręce i zmarszczył z obrzydzeniem nos. – Pójdę się umyć.

Huk zatraskiwanych drzwi obudził Lucy, która uniosła głowę i rozejrzała się sennie wokół, po czym zasnęła z powrotem.

– No co? – Sara się najeżyła, nawet nie patrząc na Kucharke. – W końcu przyznał mi rację. Wszystko w porządku.

– Przecież nic nie mówię – mruknęła Kucharka.

– Dość wymowne to nic. Mów albo idź spać.

– Pomyślałam sobie, jak zwykle przy takich okazjach, że jesteś jedynym ostrzem, przed którym on nie może się obronić – powiedziała, starając się brzmieć bez troski i niewinnie.

– Co to ma niby znaczyć, stara piracico? – zapytała Sara groźnie.

– To znaczy, młoda damo, że pewnego dnia będziecie sobie musieli

wyjaśnić parę spraw.

Sara wbiła spojrzenie w plecy pochylonej nad obcym ostrzem Kucharki.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Ależ wiesz. Nawet jeśli nie zdajesz sobie z tego sprawy, wiesz. Ale zostawmy to na kiedy indziej – zakończyła Kucharka, wzruszając ramionami. – Nie chcę tego ohydneho tasaka w mojej kuchni. Śmierdzi trupem.

– Tak, masz rację. Też uważam, że trzeba to zabezpieczyć – zgodziła się Sara, zadowolona, że rozmowa znów wpłynęła na bezpieczne wody. Sięgnęła po sakiewkę. – Zaniosę to do Czerwonej Biblioteki.

ROZDZIAŁ XX

Uciszacz

Zamek w drzwiach do celi nie poddawał się. Jakkolwiek Sluagh manipulował w nim szpilką z brązu, którą miał ukrytą w bucie, mechanizm nie drgnął. Był z żelaza, a żelazo było odporne, obce Istotom Nocy nawet przy pomyślnych wiatrach, a te chwilowo były dla Sluagh wyjątkowo niepomyślne. Zdawał sobie sprawę z bezcelowości wysiłków, ale duma nie pozwalała mu ustąpić, dopóki szpilka nie zgięła się raz, potem drugi raz w przeciwną stronę i w końcu się nie złamała.

Dopiero wtedy zrezygnował. Wyrzucił szczątki szpilki i usiadł na podłodze, opierając się o drzwi. Drażniła go moc drzemiąca w ułożonych na przemian deskach dębiny, jesionu i tarniny – wibrowała, jakby były naelektryzowane, lecz Sluagh czuł się zbyt zmęczony, żeby się ruszyć. Siedząc w ciemnościach, zaczął myśleć o swoim życiu. Nie tej krótkiej egzystencji przed Pierwszą Śmiercią, ale o tym długim, które wiódł po niej. Wspominał szalone galopady, poczucie wspólnoty w kręgu Istot Nocy i radość, jaką dzielili, panując nad mrokiem.

Przed Pierwszą Śmiercią, podczas Dziennego Życia, zawsze obawiał się ciemności i tego, co mogło się w niej kryć, tak jak każdy człowiek mieszkający samotnie na krańcu świata. Uśmiechnął się na to wspomnienie, teraz już mgliste i odległe. Obecnie to ciemność była jego żywiołem, czymś naturalnym, niezbędnym do życia jak woda dla ryby. Trudno obawiać się tego, co kryje się w mroku, gdy zwykle samemu jest się najniebezpieczniejszą istotą pod nocnym niebem.

Otrząsnął się ze wspomnień o Dziennym Życiu, ale pomyślał, że mrok zawsze kryje w sobie niebezpieczeństwa większe niż stwory należące obecnie do jego krewnych i rodziny. Inni Sluagh nigdy nie

mówili o Dziennym Życiu. Zupełnie jakby ucieczka od tyranii światła wymazała świadomość tego, czym byli wcześniej, pamięć o dawnych rodzinach i przyjaciółach. Zastanawiał się, nie po raz pierwszy zresztą, czy przypadkiem nie zrobił czegoś nie tak tej zimnej nocy, wiele świąt Beltane temu, kiedy zataczał się, idąc przez bliźniacze płomienie, które naznaczyły jego Pierwszą Śmierć. Wiedział, że wodzowie Sluagh, którzy potrafili wejrzeć w najciemniejsze zakamarki duszy, dostrzegali to w nim, a choć punktem honoru Sluagh było akceptowanie wszystkiego, co czynili inni Sluagh, wyczuwał, że jego upodobanie do przesiąkniętych dniem dziewcząt postrzegają jako słabość. On widział to inaczej, choć nigdy o tym nie mówił. Dla niego spółkowanie z tłustymi od słonecznego blasku kobietami stanowiło demonstrację siły. Zabawa ich umysłami sprawiała mu taką samą przyjemność jak ten przewrotny dreszczyk wywołany zetknięciem się ich nieprzyjemnego ciepła z jego witalnym chłodem. Wiedział też, że ta cienka nić łącząca go ze stworzeniami dnia stanowiła narzędzie, po które Sluagh sięgali w razie potrzeby. Większość z nich definitywnie odcięła się od światła i ledwie je zauważała, przejeżdżając obok rozjaśnionych okien i ciemnych drzwi. Zwracała na nie tyle uwagi, co przejeżdżający przez las zwraca na ptaki na drzewach albo króliki czy myszy polne w zaroślach. On jednak zawsze zauważał stworzenia dzienne i to tworzyło pomost pomiędzy nim a resztą.

To sprawiło, że został wysłany do Londynu, by wypełnić misję. W ten sposób stał się częścią właśnie toczącej się gry. Czuł moc i siły życiowe dziewczyny w worku, a stary ogień nie przestał go trawić nawet wtedy, gdy Ketch zarzucił sobie toból na ramię i odszedł, niosąc pannę i swoją historyjkę do domu Żyda. To dlatego Sluagh wybrał w tawernie dziewczynę o słabej woli – żeby wykorzystać ją jako naczynie, w które mógłby przelać ten żar.

Powinien był czekać i obserwować, ale zrobił to, co zrobił, i nie żałował niczego. Może z wyjątkiem tego, że nie udało mu się zrobić więcej, bo przeszkodził mu mężczyzna w granatowym płaszczu. Widział go, choć nie powinien.

Sluagh skrzywił się, poprzysięgając sobie w duchu, że pierwsze, co

zrobi po wyjściu z celi, to odnajdzie tego człowieka i obedrze go ze skóry.

Był pewien, że wyjdzie. Zanim wjechał do miasta, zapytał wodza, co się stanie, gdy postąpi wbrew Obyczajowi i ktoś go przyłapie. Otrzymał wtedy od wodza przysięgę krwi, że ten go wyzwoli. Może i siedział w celi z dębiny, jesionu i tarniny, ale Sluagh też mieli swoje drewna i metale. Spodziewał się lada moment usłyszeć brzęk brązowych ostrzy osadzonych w drewnie jarzębinowym i gwar bitewny, gdy będą szli mu z odsieczą.

Nie usłyszał tego, ale pochwycił inny dźwięk, cichszy, acz nie mniej miły dla ucha. Skrobanie pazurków po posadzce zbliżało się, a potem rozległo tuż-tuż, kiedy kościozwierz wspinał się na ścianę obok framugi.

Sluagh uśmiechnął się i z trudem dźwignął na nogi, a potem ciężko oparł o drzwi.

– Witaj, mój drogi – zakrakał. – Sprowadziłeś ich po mnie? – Roześmiał się, a jego dychawiczny śmiech zabrzmiał jak suchy chrobot deptanych robaków. – Chodź – wychrypiał, wysuwając rękę przez wizjer i nadstawiając dłoń. – Chodź, mój śliczny. Przebyłeś szmat drogi, pewnie jesteś zmęczony. Należy ci się odpoczynek.

Zdrowa ręka drżała z wysiłku, gdy czekał, aż wyląduje na niej znajomy ciężar. Nigdy nie czuł się taki stary. To wina żelaza i tego kundla o szybkim ostrzu. Wiedział jednak, że odzyska siły i młodzieńczy wigor, gdy tylko krewniacy wyzwolą go z tej drewnianej celi wzmocnionej tajemnymi słowami na spodach desek. Wtedy będzie świętował powrót sił, tańcząc we krwi kundla. Już niedługo. Tak niedługo, że prawie to czuł, a radość dodała jego głosowi mocy.

– Chodź, mój drogi, zaraz będziemy wolni.

Po drugiej stronie drzwi kościozwierz przekręcił łebek, nie wypuszczając z dzioba jarzębinowego patyka, aż w końcu dał susa z framugi na otwartą dłoń Sluagh.

– Dobrze. – Sluagh się zaśmiał. – Bardzo dobrze...

Kiedy zaczął wycofywać rękę, zwierzak obrócił głowę tak, że ostry koniec kijka skierowany był teraz w dół. A potem odwiódł łebek

i opuścił gwałtownie, przebijając patykiem przegub Sluagh. Kijek przeszedł pomiędzy kośćmi promieniową i łokciową, uniemożliwiając w ten sposób Sluagh wciągnięcie ręki z powrotem do celi.

Sluagh stęknął z zaskoczenia i bólu. Zajrzał w wąską szczelinę i zobaczył patyk oraz zwierzaka.

– Co to...? – wyrzęził, usiłując zrozumieć, dlaczego widzi znajomy kształt szkieletu, ale całkiem obcy łebek o drapieźnym dziobie z brązu. – Dlaczego...?

Dziób rozwarł się i dobył się z niego głos wodza.

– Przysiągłem ci na krew i kość, wyzwalam cię.

– Nie! – krzyknął Sluagh, usiłując zmiażdżyć szkielet w dłoni, ale jego palce były zbyt stare i zbyt słabe wobec nieziemskiej szybkości kościozwierza. Szkielet wywinął mu się z garści i wylądował na nadgarstku, a naostrzony dziób zaczął się unosić i opadać, tnąc i dziurawiąc skórę. Posoka, która trysnęła z ran, nie była krwią jasną, czerwoną i żywą, lecz atramentowo ciemną krwią Ostatniej Śmierci. Rana poczerniała od wypływającego strumienia i wlewającego się do ciała Sluagh mroku. W pewnym sensie ostrze z brązu, które pozwoliło ciemności wnikać, wyzwoliło Sluagh.

ROZDZIAŁ XXI

Czerwona biblioteka

Czerwona Biblioteka znajdowała się na pierwszym piętrze domu, u szczytu schodów wiodących wzdłuż boazerii, którą wyłożony został westybul. Ściany na piętrze z kolei pokryte były malowidłami przedstawiającymi bagienne wybrzeże, na którym stały dziwne budynki. Na drugim planie statki unosiły się na ciemnym, wzburzonym morzu. Podwójne drzwi do biblioteki kontrastowały z ponurym krajobrazem żywą czerwienią jedwabnej tapicerki. Na każdym ze skrzydeł lśnił wykonany z mosiężnych ćwieków kontur zwierzęcia – na lewym stojący dęba jednorożec, na drugim lew w tej samej pozycji.

Wyrwana z drzemki Lucy czuła się dziwnie senna, mimo że bardzo chciała zachować jasność umysłu. Popatrzyła na siedmiostopowe drzwi, a potem na pierścień.

– Tak – potwierdziła Sara. – To ten sam jednorożec.
– Nie rozumiem. – Lucy powiodła wzrokiem po pierścieniach reszty.
– Cóż, już późno. – Sara nie dała sobie przerwać, choć dziewczyna miała wyraźną ochotę zaprotestować. – Idź z Kucharką, jeśli chcesz, weź kąpiel, ale przede wszystkim musisz się wyspać. Oczy ci się kleją. Idź spać. Gdy będziesz wypoczęta, lepiej wszystko zrozumiesz. Powiem ci tylko tyle, że lew i jednorożec symbolizują jedyną prawdę kryjącą się w wielkiej i tajemnej historii świata. Jest więcej niż jeden sposób widzenia świata. Z jednej perspektywy wygląda on zwyczajnie, choć żyją na nim cudowne istoty, jak lwy, ale jeśli spojrzysz z innej, zobaczysz, że zawierają się w nim też odmienne rzeczywistości, warstwy, jeśli wolisz, gdzie istnieją rzeczy „niemożliwe”, na przykład...

– Jednorożce – dopowiedział pan Sharp, dołączając do nich.

– Właśnie.

– Ale jednorożce nie istnieją – zaprotestowała Lucy, ziewając mimo woli.

– To prawda – zgodziła się Sara, wymieniając spojrzenia z panem Sharpem. – Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Ale na pewno istnieją w symbolice.

– Masz jednego na swoim pierścieniu – rzekł pan Sharp, wskazując na rękę Lucy.

– Tak, ale jest odłamany... – Dziewczyna nie ustępowała.

Sharp spojrział na lśniące kontury zwierząt na drzwiach.

– Ale gdy pieczęć jest cała, jak tu, i jednorożec stoi naprzeciw lwa, symbolizuje istnienie różnych rzeczywistości i równowagę pomiędzy nimi.

– A ci, którzy noszą ten symbol, przysięgli pilnować zachowania tej równowagi – dodała Sara.

Lucy skinęła potakująco, nie dlatego, że zrozumiała, ale była już śmiertelnie znużona i głowę miała pełną informacji. Potrzebowała tylko jeszcze jednej odpowiedzi.

– Czemu te drzwi są takie czerwone?

– Ze względów bezpieczeństwa – odparła stanowczo Kucharka. – A teraz kąpiel i łóżko.

– Myślałam, że czerwień oznacza zagrożenie – kontynuowała Lucy.

– Bezpieczeństwo, zagrożenie, dwie strony medalu – rzekła Sara. – Widzisz, chodzi o równowagę.

Lucy ziewnęła. Naprawdę padała już z nóg. Miała ochotę zadać jeszcze kilka pytań, ale wielka dłoń Kucharki pokierowała ją na kolejne schody, więc dziewczyna tylko kiwnęła głową na pożegnanie.

– Spokojnych snów, panno Harker – powiedział pan Sharp. – Jesteś tu bezpieczna, otoczona przyjaciółmi.

Lucy odwróciła się, przypomniawszy sobie o czymś jeszcze.

– Ale dlaczego jedwab? Ten na drzwiach.

– Mój dziadek znalazł w Talmudzie werset, który mówi o tym, że czerwona nić chroni przed złym okiem – wyjaśniła Sara. – Skoro więc jedna ma taką moc, więcej powinno dawać jeszcze silniejszą ochronę. Dlatego postanowił wybić cały pokój, łącznie z sufitem i podłogą,

czerwonym jedwabiem, bo ta tkanina składa się z niezliczonej liczby cieniutkich nitki.

– I to chroni pokój przed złym okiem? – upewniła się Lucy.

– Tak – rzekła Sara za dziewczyną, którą Kucharka wyprowadziła już za zakręt. – Śpij dobrze.

Pan Sharp otworzył drzwi i pchnął skrzydło z lwem.

– Pewnie nie spałoby lepiej, wiedząc, że chroni tak samo przed złem z zewnątrz, jak i przed wydostaniem się tego, co jest w środku? – zapytał cicho.

– I tak będzie spała wystarczająco dobrze – stwierdziła Sara. – Mleko Kucharki ma nieocenione zalety.

Weszli do biblioteki. Sharp zamknął drzwi, a Sara podkręciła płomień w lampie wiszącej na ścianie.

– I świetnie. A jeszcze lepiej, żeby spała długo. Przynajmniej do czasu przybycia Kowala.

– Nie zagraża nam – powtórzyła Sara.

Pomieszczenie zalało światło. Przy wszystkich ścianach stały oszklone regały na książki, których półki także wyłożono czerwonym jedwabiem. Poupychano na nich oprawne w skórę tomy w różnych kolorach i rozmiarach, a w nielicznych wolnych miejscach pomiędzy nimi tłoczyły się rękopisy i rozmaite artefakty. Każdy skrawek płaszczyzny mienił się jedwabistą czerwienią. Czerwony był również sufit i mięsisty chiński dywan na podłodze. Zamknięte okiennice także pokryto, podobnie jak drzwi, czerwoną tapicerką.

Na stołach piętrzyły się książki, papiery i mapy. W szklanych gablotach panował dziwaczny rozgardiasz kolekcjonerski. Bez ładu i składu poustawiano w nich kości, broń, biżuterię, filiżanki, figurki, skorupy porcelanowe i inne przedmioty. Wrażenie nieładu było pozorne – do każdego z nich bowiem przywiązano czerwonym sznureczkiem etykietę z opisem.

Pośrodku pomiędzy dwoma długimi stołami znajdował się kamienny piedestał z lśniącego obsydianu – tak czarnego, że zdawał się sześcienną dziurą wysysającą światło z kątów biblioteki. Na nim stała klatka o bokach długości trzech stóp, upleciona z elastycznych pasków żelaza. Wewnątrz, w samym środku, wisiał klucz o główce

w kształcie kaptura kobry. Kiedy Sara przechodziła obok, w klatce coś zasyczało. Zatrzymała się i przyłożyła urękawiczoną dłoń do kratki.

Dno klatki pokrywała warstwa czarnego piasku wulkanicznego, a w jednym kącie leżała na wpół zagrzebana w nim obsydianowa urna. Obok połyskiwało miniaturowe jezioro wielkości spodka. To z wnętrza urny dochodziło syczenie, które zresztą szybko ucichło, jakby pod wpływem gestu Sary.

– Niewiele jest rzeczy na tym zwykłym świecie, które przyprawiają mnie o dreszcz – przyznał pan Sharp, przystając i zerkając na klatkę. – Ale to, co pilnuje tego klucza, zawsze robi na mnie wrażenie.

– Połóż kości przy serwantce z Murano – rzekła Sara, wskazując pustą półkę w odległym krańcu pokoju, obok obitej deskami szafki. Deseczki, osadzone między prętami z dmuchanego szkła, które odbijało światło lampy, pokryte były subtelnymi malunkami kanałów weneckich. – I daj mi to przekłete ostrze.

– Na razie zachowam kości. Może Jed coś z nich wywącha – stwierdził, wręczając jej broń.

– Opowiedziałam Lucy o Nadzorze – oświadczyła Sara, oglądając groźne ostrze. – Ale nie mówiłam, jak jest nas niewielu i jak krucha jest równowaga.

– Ani jakiej mocy musimy strzec? – dodał cicho. – Założę się, że o tym też nie wspomniałaś.

– Nie – przyznała, spoglądając na serwantkę z Murano. – Nie musi wiedzieć o prawdziwym kluczu.

– Kim ona w ogóle jest?

– Kowal będzie wiedział. A skoro o tym mowa, chciałabym się dowiedzieć, kto w Trzech Kulasach twierdził, że Żyd interesuje się krzyczącymi dziewczętami.

– Dawniej... – zaczął Sharp.

– To było, jeszcze zanim nastaliśmy – przerwała mu ostro.

Sharp obserwował, jak odkłada ostrze z brązu na wymoszczoną czerwienią półkę w oszklonej gablocie wiszącej pomiędzy regałami.

– Obojętne. Stare opowieści krążą, a przeszłość powraca w zmienionej formie. Tak powstają legendy, lokalne historie zlepięte ze szczątków prawd i bajania starych bab.

– Dziadek mawiał, że ludzie zazwyczaj oszukują się, wspominając własną przeszłość. Pewnie tak samo dzieje się z historiami powtarzаныmi na mieście.

– To prawda. – Sharp spojrział na niewielki klucz wiszący w klatce. – W zasadzie cóż złego jest w tego rodzaju przekłamaniach?

– W odpowiednim miejscu, w odpowiednim czasie: nic – przyznała Sara. – Ale wolałabym mieć jasność co do wydarzeń tej nocy. I lepiej zaalarmujmy pozostałych.

Sharp otworzył drzwi, ale odwrócił się jeszcze, by spojrzeć na stojącą doń plecami Sarę.

– Jesteś pewna, że Kowal będzie wiedział, kim jest dziewczyna?

Sara stała podparta pod boki, z zadartą głową, patrząc na coś na górnej półce.

– Wayland wyrabia wszystkie pierścienie. Jeśli ktokolwiek ma to wiedzieć, to właśnie on. A nawet jeżeli nie będzie znał dziewczyny, to przynajmniej pierwotnego właściciela pierścienia. A to już jakiś początek.

Sharp zauważył, że Sara ściąga łopatki i porusza głową, by rozluźnić spięte mięśnie, uwolnić się od ciężaru bólu i zmęczenia, które zawsze w milczeniu dźwigała na barkach.

– Jest na półce obok – podsunął.

– Co?

– Pod S. – Uśmiechnął się smutno. – Jak Sluagh. Ale powinnaś się położyć. Znajdę Hodge’a, który pewnie niucha za jakąś suczką, i poślę go po Kowala. A skoro postawiłaś na swoim w kwestii dziewczyny, lepiej pójde przepytać Sluagh. Powinienem był zrobić to od razu...

– Nie zamartwiaj się tak – powiedziała Sara łagodnie. – Wiem, że czasem wydaję się uparta i nieznośna, ale nie jestem od ciebie głupsza.

Pokręcił głową, jeszcze nie gotów, żeby się uśmiechnąć.

– Niewielka to pociecha, skoro ciągle przeklinam się w duchu za słabość, przez którą pozwoliłem ci ją zatrzymać tu do rana. – Kiedy milczenie przedłużyło się ponad miarę, podniósł głowę, jakby ocknął się z drzemki. – Nieważne. Hodge nie wróci przed śniadaniem, ale potem sprowadzimy Kowala i ruszymy z tym wszystkim do przodu. –

Skinął lekko na pożegnanie. – Śpij dobrze, Saro.

ROZDZIAŁ XXII

Teriernik

Pan Sharp miał rację. Pod Tamizą kręciła się interesująca suczka i właśnie tam znalazł Hodge'a, teriernika. Suczka okazała się młodą terierką irlandzką o jasnych ślepiach, zdrowych, mocnych zębach i pięknej rudawej sierści. I to była ta dobra wiadomość. Zła była natomiast taka, że właściciel owej suczki, łotr i alfons, uparcie odmawiał sprzedaży usług tejże, mimo że tak chętnie kupczył dużo mniej zachęcającymi wdziękami dam ze swej stajni. Na nieszczęście dla niego Hodge nie był zainteresowany – ani teraz, ani nigdy – wdziękami owych dam, za to z determinacją dążył do zawarcia umowy gwarantującej wyłączność psiego towarzystwa.

Wcześniej tego dnia odwiedzał dach, prowadząc śledztwo w sprawie tajemniczej fali śmierci mieszkańców kilku gołębników, i właśnie wtedy na zewnętrznej klatce schodowej budynku naprzeciwko ujrzał człowieka z psem. Pies całkowicie zawładnął jego uwagą, skutecznie odciągając ją od rozpadających się budek pełnych truchel gołębich. Wszystkie ptaki zdawały się uśmiercone celowo przez zmiżdżenie. Porzuciwszy badaną sprawę, Hodge wypytał sąsiadów o mężczyznę oraz stadko otaczających go kobiet i ustalił, że właściciel psa nadzoruje sprzedaż usług cielesnych oferowanych przez owe damy.

Hodge znajdował się pod Tamizą, ponieważ właśnie tam, w nowym tunelu łączącym Wapping i Rotherhithe, podopieczne alfonsa kręciły się po wilgotnym, obskurnym pasażu ze sklepikami, które sprytni deweloperzy umieścili w wyłożonym płytkami przejściu podziemnym. Owo centrum handlowe reklamowano potencjalnym inwestorom jako podziemny odpowiednik legendarnego szpaleru sklepów, które niegdyś stały wzdłuż mostu londyńskiego, zniszczonego prawie wiek

wcześniej. Promujący sprzedaż miejsc handlowych, by ściągnąć do przejścia pod rzeką wytworną klientelę, kusili sklepikami jubilerskimi, składzikami mebli artystycznych i stoiskami wszelakiej maści rzemieślników, którzy mieli w tunelu oferować towary najwyższej jakości. Prawda wyglądała mniej barwnie. Za dnia w tunelu na jarmarcznych stoiskach handlowało się wciskaną przechodniom tandetą i wyciągano od nich pieniądze za pomocą różnych sztuczek, począwszy od wróżb oferowanych przez „egipskiego nekromantę” po szulerskie czy cyrkowe pokazy. O pewnej godzinie w sklepikach opuszczano rolety, lampy gazowe przykręcano i mogłoby się wydać, że dziewczęta sprzedające za dnia pamiątki i zabawki zaczynały sprzedawać własne ciała – choć tak naprawdę wracały do domów, ich miejsce zaś zajmowały dziwki.

Hodge szukał partnerki dla swojego psa Jeda, a swaty prowadził z nieustępliwością dorównującą uporowi i zaciekłości, które tak podziwiał u swojego pupila. Hodge był dystyngowanym, dobrze zbudowanym, acz niskim mężczyzną o jasnoniebieskich oczach i miedzianych włosach zaczesanych do tyłu. Ogorzała twarz i lekko krzywe nogi, za sprawą których idąc, lekko się kołysał, nadawały mu wygląd człowieka permanentnie zmagającego się z niewidzialnym wichrem.

Jed siedział spokojnie u jego stóp, z wystudiowaną obojętnością i wyniosłością ignorując wdzięki irlandzkiej suki, jakby cała sprawa nie dotyczyła jego. On sam należał do rasy terierów staroangielskich, miał jasnobrązowo-czarną, równie piękną sierść i czujne ślepie.

Pies zobaczył Sharpa pierwszy, jego towarzysz zaś na widok przyjaciela przeprosił grzecznie alfonsa, obiecując powrót do przerwanych negocjacji w innym terminie, po czym razem ruszyli za Sharpem w stronę wejścia do tunelu. Poruszali się szybko, a Jed szedł przy nodze teriernika, nie oddalając się od niego bardziej niż na odległość stopy.

Wejście było cylindryczną konstrukcją o średnicy ponad pięćdziesięciu stóp. Zaczynała się ona wylotem tunelu i kończyła nadziemną rotundą. Od wyłożonej mozaiką podłogi wznosiły się rozmieszczone zygzakowato ciągi marmurowych stopni. Pomiędzy

biegami schodów znajdowały się dwie galerie, na których można było odpocząć podczas wędrówki w górę czy w dół. Jednak ani pan Sharp, ani Hodge nie przystanęli. Hodge szedł z pochyloną głową, uważnie słuchając przyjaciela.

– Wejrzenie? – odezwał się w którymś momencie, a gdy minęli mosiężny kołowrót na szczycie, aż się zatrzymał zaskoczony. – Sluagh? W samym mieście? – Poza tym jednak całą uwagę skupiał na opowieści, podobnie jak pies, który szedł za nim, ale nie śledził każdego ruchu Sharpa. Wreszcie, wynurzywszy się na powierzchnię, przystanęli spowici mgłą.

– A więc coś się święci – podsumował Hodge.

Pan Sharp przytaknął, a Hodge wyciągnął zza pazuchy krótką glinianą fajkę i przypalił ją, spoglądając na towarzysza w świetle płomyka zapalniczki fosforowej. Na ręce, w której trzymał przedmiot, zaśnił pierścień z wygrawerowanymi w krwawniku lwem i jednorożcem.

– I to cię martwi – dodał.

– Czuję coś w powietrzu, a mimo to wpuściłem tego Ketcha. – Sharp się skrzywił. – Możliwe, że popełniłem błąd.

– A nigdy ich nie popełnia – Hodge zwrócił się do siedzącego na chodniku psa, który szczeknął raz.

– Popełniam. Ale tego nie lubię. Nie podoba mi się to wszystko. Musisz sprowadzić Kowala. Zaproś go do nas na śniadanie. Potem zobaczymy, czego uda ci się dowiedzieć o Ketchu.

– Ten Ketch może nie być tym, kim się wydaje?

– Raczej ktoś nim kierował. Gdyby nie Sluagh, może brałbym pod uwagę samego Ketcha. I wypytałbym go dokładniej o mężczyznę, który rozповідаł w Trzech Kulasach o Żydzie i krzyżujących dziewczynach.

– Pójdę po Kowala, a potem do Trzech Kulasów. Mają otwarte na okrągło. Jak wygląda ten Ketch?

Pan Sharp popatrzył na niego, ich spojrzenia skrzyżowały się na moment. Choć nie padły żadne słowa, Hodge skinął.

– Nie całkiem anielskie oblicze – skomentował.

– Przeszedł swoje i ma na nim wypisaną każdą milę.

– Znajdę go. A Sluagh?

– Zaczniij w zaułku przy tawernie Bunyona, przy bocznych drzwiach. Spędził tam trochę czasu. – Sharp wyciągnął z kieszeni zawiniątko z kośćmi i przykucnął. Jed poniuchał i zaczął trząść się z podniecenia, skomląc nisko, gdy zapach skarbów Sluagh wypełnił mu nozdrza. Czaszka maskonura, która wcześniej dziobnęła pana Sharpa, zaczęła drżeć i odwróciła się, kłapiąc groźnie na psa, ale Jed tylko nieznacznie zmarszczył pysk, błysnął kłem i zagrzmiął basowo. To wystarczyło, żeby kłapanie ustało, a czaszka odsunęła się i znieruchomiła.

Hodge pieszczotliwie podrapał psa po łbie.

– Dobry piesek – pochwalił go. – Zobaczymy się w Tower.

Jed pisnął i pobiegł w ciemną noc.

– Mógłbyś wypuścić Kruka – zauważył pan Sharp, chowając zawiniątko.

– Nocą? We mgle? Jed chodzi przy ziemi, a jego nos jest prawie tak samo czuły jak mój. Widzę, że martwisz się o Sarę i dom. Wyśledzimy waszych gości, sprawdzimy, z kim i kiedy się spotykali.

Pan Sharp klepnął go w ramię.

– Do zobaczenia później. – Już się odwracał, gdy Hodge przytrzymał go za rękaw.

– Czy Sluagh mordują zwierzęta? Ptaki, powiedzmy: gołębie? Czy zabijają je dla przyjemności albo w szale, jak na przykład lisy? Gruhoczają i zostawiają?

Pan Sharp pomyślał przez chwilę i zaprzeczył.

– Nie sądzę. Nie. To znaczy zabijanie przychodzi im łatwo, ale robią to w konkretnym celu. Co widziałeś?

– Kruk wypatrzył po południu dzieciaka, który płakał na dachu, siedząc wśród gołębników. W klatkach było pełno martwych piskląt.

– Ptactwo mrze z różnych powodów... – zaczął pan Sharp, chcąc jak najszybciej ruszyć w swoją stronę.

– Jeśli Kruk zwraca mi na coś uwagę, traktuję to poważnie.

– I mądrze robisz – przyznał Sharp. – Gdzie to było?

– W okolicach Farringdon. Dalej od nas, ale wszystkie ptaki miały pogruhotane kości. Małe kupki połamanych żeberek. Przykry widok.

– Ludzie robią różne dziwne rzeczy. Zwykli ludzie – sprecyzował Sharp.

– Dziwne rzeczy też robią dziwne rzeczy – mruknął Hodge ponuro.

– Na pewno trzeba to sprawdzić – zgodził się Sharp. – Ale to może poczekać do jutra. Jeśli to jakiś dusiołek albo upiór, znajdziemy go i się z nim rozprawimy. Nie sądzę jednak, żeby to się jakoś wiązało ze Sluagh, a to kwestię jego i dziewczyny musimy rozwiązać w pierwszej kolejności. Najpierw najważniejsze.

Hodge przytaknął, ale zaczął się zastanawiać, czy nie nazbyt łatwo dał się odciągnąć od sprawy przez zwykłego psa. Odprowadzał pana Sharpa wzrokiem, póki ten nie zniknął we mgle, po raz ostatni pyknął fajkę, po czym wytrząsnął zawartość, stukając o obcas.

– No to ruszajmy zanieść wiadomość do Kowala, a potem może jeszcze zajrzemy na ten dach – powiedział, kierując się w stronę inną niż Sharp.

Na ośmiokątym dachu rotundy osłaniającej wejście do tunelu rozległo się furkotanie i z góry spadła masa smoliście czarnych piór, lądując ciężko na ramieniu Hodge'a. Pióra otrząsnęły się, strzepnęły skrzydłami i przybrały kształt wielkiego kruka.

Kruk spojrział na człowieka lśniąącym okiem, a potem dziobnął go mocno w ucho.

– Au! – jęknął Hodge i odsunął od siebie ostry dziób, lecz bez wyraźnej urazy. – Powiedziałem tylko prawdę. Nie znosisz mgły, a Jed może wykorzystać nos tam, gdzie twoje oczy niczego nie zobaczą.

Kruk kłapnął dziobem i odwrócił głowę. Hodge rozmasował ucho.

– Robisz się drażliwy na starość – stwierdził. – Rasowy tetryk.

Hodge nie miał pojęcia, ile naprawdę lat ma Kruk, a i sam Kruk stracił rachubę dawno temu, jeszcze w czasach, gdy nad rzeką, wzdłuż której teraz szli, nie było mostu, nie wspominając o tętniącym życiem mieście. Kruk nie był całkiem zwyczajnym krukiem, ale i Hodge nie był całkiem zwyczajnym teriarnikiem. Umiał porozumiewać się ze zwierzętami, potrafił zaglądać w ich umysły, a czasem nawet widzieć oczami tych mniej rozumnych oraz rozmawiać z inteligentnymi, jak Jed czy Kruk, choć ten ostatni, o czym Hodge dobrze wiedział, był nawet więcej niż inteligentnym ptakiem.

Hodge nie mieszkał w Kryjówce, ponieważ piastował funkcję oficjalnego teriernika w londyńskiej Tower. Było to niezwykle stare, mało znane stanowisko, ale i niezbędne, jako że w wieży zamieszkiwały kruki, a legenda głosiła, że jeśli ją opuszczą, londyńska Tower runie.

Osiemsetletni budynek gościł również innych, nieproszonych rezydentów, acz nie mniej ważnych dla Hodge'a i królestwa – mianowicie szczury. Kruki składały jaja, a szczury je zjadały. Praca teriernika polegała na powstrzymywaniu plagi gryzoni, a Jed każdego dnia radośnie obiegał tunele i lochy pod Tower, z nieustającym zapalem chwytając nieostrożne szczury – niektóre bardzo stare i wielkie prawie jak pies – i skręcając im karki. Robił tylko to, co podpowiadała mu terierza natura, ta sama, która wyposażyła go w cechy sprawiające, że nie ustawał w walce i zawsze parł naprzód, nawet przy – nader częstej – przewadze liczebnej przeciwnika. Hodge, który był nie jego panem, ale towarzyszem, miał w sobie tę samą determinację i również nigdy się nie cofał. Prawdopodobnie przesiąkł tymi cechami, pędząc życie ze swym walecznym psem. Tam, gdzie pan Sharp wykorzystywał szybkość i zwinność, Hodge stosował szal bitewny, znany już jego przodkom wikingom, po których odziedziczył również czysty błękit oczu.

Spuścizna wojowników z północy mogła też tłumaczyć zażyłość z Krukiem, którego skrzydła falowały niczym czarne chorągwie nad dawno zapomnianymi polami bitew i sylwetkami długich, wąskich łodzi, na których walczyli nieustraszeni zdobywcy.

ROZDZIAŁ XXIII

Nocny złodziej

Lucy Harker leżała w łóżku, wsłuchując się w odgłosy ciemności. Wcześniej Kucharka pomogła jej umyć włosy mieszanką wody rozmarynowej i boraksu. Lucy stała nad zlewem, a kobieta polewała jej głowę wodą. Potem dostała do ręki ostrą myjkę, kostkę mydła i przez długi czas mogła rozkoszować się luksusem gorącej kąpieli w wysokiej miedzianej balii, pozostawiona sama ze sobą pod warunkiem, że energicznie użyje myjki i mydła. Kiedy już wytarła się za parawanem przy kominku, Kucharka pomogła jej włożyć bawełnianą koszulę tak mocno wyprasowaną i wykrochmaloną, że aż zatrzeszczała, gdy kobieta strzepnęła ją po wyciągnięciu z komody.

Lniana pościel, na której leżała Lucy i która ją okrywała, była biała, gładka i sztywna i spowijała ją tak ściśle, że dziewczyna czuła się jak kwiatek suszony pomiędzy stronicami ciężkiego tomu. Wyciągnęła nogi na skraj łóżka, ciesząc się dziewiczym chłodem pościeli poza strefą już ogrzaną ciałem.

Doszła do wniosku, że nigdy nie była taka czysta. Przynajmniej na zewnątrz.

W środku bowiem, w głowie, kłębiły jej się myśli i wspomnienia wcale nie takie czyste. To przez nie właśnie nie mogła spać.

Prześladowało ją wrażenie, że zrobi coś bardzo złego. Było jak plama, której nie da się usunąć. Nie wiedziała dokładnie, co takiego zrobi ani dlaczego, ale nieuchronność tego wisiała nad nią niczym cień rzucany wstecz przez przyszłość na teraźniejszość. Usiłowała odegnąć od siebie przecucie nadciągającej katastrofy, sięgając do wspomnień, ale i to nie pomagało. Po pierwsze nie miała zbyt wielu szczęśliwych wspomnień, a co ważniejsze, odkryła, że jej przeszłość usiana jest wielkimi dziurami, jakby fragmenty drogi, którą przebyła,

zapadły się i teraz, wędrując ścieżkami pamięci, wpadała w te wyrwy.

Dziury te przerażały ją prawie tak bardzo jak pewność, że popełni zły uczynek. Jej serce zaczęło galopować w panice, usiłowała więc je uspokoić, układając sobie w odpowiedniej kolejności resztki wspomnień. Dorastała we Francji, w wysokim, jasnym domu z niebieskimi okiennicami ujmującymi w ramy ogród z wielkim drzewem pośrodku. Pamiętała mamę i to, że siedziała u niej na kolanach w cieniu zielonej gęstwiny. Pamiętała, że patrzyła na siebie samą zwisającą głową w dół z gałęzi i pokazującą samej sobie język, co było bardzo dziwne, bo ona wisząca na drzewie miała krótsze włosy, no i w ogóle jak można pokazywać sobie samej język i jednocześnie na to patrzeć?

Pamiętała ręce matki, zawsze zajęte szyciem albo cerowaniem podczas śpiewania piosenek czy opowiadania bajek. Były to silne, zręczne dłonie, a u prawej brakowało końcówki małego palca. Pytana o to mama odpowiadała, że pewnego dnia zagapiła się i opuszkę zabrał jej mały ptaszek. Gdy Lucy martwiła się, że to bolało, mama wyjaśniała z uśmiechem, że nie i że ptaszek widocznie bardzo jej potrzebował, skoro ją zabrał, i że to nic takiego.

Pamiętała ten palec, uśmiech, zapach i ciepło ciała matki, ale nie umiała odtworzyć sobie obrazu jej twarzy. Nie w całości. Kiedy usiłowała posklejać zapamiętane kawałki – kurze łapki w kącikach oczu, piegi na policzku, uśmiech i włosy – nigdy nie udawało się złożyć ich w całość, a w każdym razie w jasny, wyraźny wizerunek. Uśmiech zdawał się oślepiać i zamazywać kontury, zupełnie jakby Lucy patrzyła na latarnię uliczną przez zasłonę deszczu. A ostatnim razem, kiedy widziała mamę, naprawdę padało. Ślizgała się bosymi stopami po lśniących kocich łbach, ciągnięta do zamkniętego powozu. Zanim zatrzaśnięto za nią drzwi, widziała obraz rozmazany podwójnie, przez deszcz i łzy. Mama na schodach domu o niebieskich okiennicach wyciągała ku niej ramiona, a dwóch mężczyzn w granatowych ubraniach wciągało ją w ciemną paszczę sieni.

Sień ta nie tylko połknęła mamę – zdawało się też, że pochłonęła większość przeszłości, bo kolejne fragmenty życia Lucy tonęły w niepamięci. Dłużej jednak jej umysł już się tym nie zajmował, bo

zamiast zapaść się w dziurę we wspomnieniach, zapadła w sen. Teraz gdy przestała wsłuchiwać się w odgłosy ciemności, to ciemność nadstawiła uszu...

ROZDZIAŁ XXIV

Banialuka kowala

Do posady Hodge'a przypisany był wóz dla psa. Niewielka dwukółka pomalowana szarawą zielenią miała dwie zwrócone plecami do siebie ławki. Tylną dało się w razie potrzeby sprytnie otworzyć, zmieniając ją w ten sposób w skrzynię do przewozu psów. Jed, rasowy terier, a co za tym idzie – pies dumny i niezależny, nigdy nie jeździł w skrzyni. Zawsze siedział z przodu, przy Hodge'u, obserwując konia ciągnącego ich ulicami z miną właściciela, jakby to on powoził, a nie człowiek dzierżący w dłoniach lejce.

Podróżując tak głęboką nocą daleko na wschód od centrum miasta, większość ludzi zachowywałaby daleko idącą czujność wobec czających się w cieniu postaci, ale Hodge prawie nie zwracał na nie uwagi. Był pewny swojego refleksu, tęgiego tarninowego kija pod ręką i moregowatego teriera zaraz obok. W Limehouse, bliżej Poplar, zabudowania przerzedzały się, a światła przenikające przez coraz brudniejsze szyby nielicznych domów i pijackich mordowni były słabsze i dało się ich dostrzec coraz mniej.

Dawno temu, kiedy tereny te nazywano Moczarami Stepney, Hodge jako chłopiec polował tu na szczury. Jeszcze wcześniej obserwował rzeźników szlachtujących na wielkim polu zwanym Ziemią Rzeźną wypasane na mokradłach bydło. Po Ziemi Rzeźnej nie został ślad – została rozkopana, zatopiona i przeobrażona w Doki Zachodnioindyjskie. Była to wymyślna i nowoczesna budowla, ale ilekroć Hodge tędy przejeżdżał, czuł unoszący się nad czarną wodą odór krwi.

Wyspa Psów, ku której się kierował, budziła w nim smutne wspomnienia. Stracił tam pierwszego małego teriera, Jiga. Miał dziesięć lat, kiedy na brzegu zatoczki Gut pies zniknął w norze,

a ziemia zapadła się nad nim, grzebiąc go pod warstwą błota i żwiru. Hodge kopał całą noc, usiłując uratować Jiga, kopał nawet wtedy, gdy połamał paznokcie i zdarł palce do krwi. Znalazł psa o świcie siedem stóp pod ziemią, uduszonego, zaciskającego martwe szczęki na korpusie ogromnego szczurzyska. Koledzy nie rozumieli, dlaczego z taką zjadłością kopał za psem, i jeden po drugim odchodzili, aż Hodge został sam. Nie mógł im powiedzieć, że pies żyje jeszcze, bo wiedział o tym tylko on. Tylko on słyszał to, co było niedostępne dla uszu innych – przez pierwsze parę godzin pies powtarzał, że żyje, że czeka ufnie na ratunek. Hodge opłakał zwierzaka, wybełkotał nad nim parę niezręcznych słów, a potem pochował go tam, gdzie stworzenie wyzionęło ducha. Poprzysiągł Jigowi i sobie, że nigdy już nie straci żadnego psa, i tak też się stało. Przysiągł, że prędzej zginie, niż do tego dopuści. Nigdy już też nie powrócił w to miejsce. Żadnym pocieszeniem nie był dla niego fakt, że port i kanał pochłonęły zatoczkę, odcinając skrawek lądu i zmieniając mokradła w wyspę nie tylko z nazwy.

Kowal zamieszkał na wschodnim krańcu moczarów, poniżej portu. Jego zagrodę zwano Banialuką, a choć pochodzenie nazwy ginęło w mrokach przeszłości, zaiste głupotą było stawianie kuźni z dala od drogi, w dziczy, na skrawku ziemi pomiędzy niebezpiecznymi wodami Blackwall Reach i podmokłymi łąkami Greenwich. A raczej byłoby głupotą, gdyby Kowal potrzebował zbytu na swoje wyroby, jednak kuźnię posiadał nie dlatego, że żył z kowalstwa, ale dlatego, że był Kowalem. Kowalstwo było czymś więcej niż rzemiosłem – stanowiło jego życie, istotę egzystencji. Kowal był twórcą. A i warsztat był czymś więcej niż zwykłą kuźnią, choć znajdowało się w nim także kowadło. Dla niezbyt spostrzegawczego obserwatora mógł wyglądać jak dobrze zaopatrzony, acz zabałaganiony składzik – narzędzia wszelakich rozmiarów i kształtów wisiały i leżały dosłownie wszędzie: na ścianach, na drewnianych stojakach i wieźbach.

Przenikliwy obserwator dostrzegłby z kolei, że każde z narzędzi ma swoje miejsce, a cały zbiór został poukładany według swoistego planu. Warsztat dzielił się na kuźnię i stolarnię, a wyposażenie uszeregowano według wieku, od antycznych przyrządów po

nowoczesne mechaniczne urządzenia: pocerniałe młoty, które przekuwały rozżarzone żelazo, na długo zanim nadeszli Rzymianie, gładziki, które przydawały lśnienia saksońskim tarczom, dłuta, strugi, ośniki, toporki, piły do budowy wozów i drewnianych domów, cęgi, formy odlewnicze i szczypce, które kształtowały złote i srebrne pierścienie dla dworzan Tudorów, wkrętaki, świdry i klucze, którymi przynajmniej dwukrotnie naprawiano wóz Hodge'a. Był również krzemienisty nóż.

Najbardziej obserwowany podziwiałby symetrię i zamysł, zgodnie z którym krzemienisty nóż umieszczono na półce nad najnowszym urządzeniem, tokarką opartą na mechanizmie Holtzapffela. Kowal siedział przy niej, naciskając nogą pedał, który wprowadzał w ruch wielkie, odlane z żelaza koło zamachowe, a to z kolei za sprawą zmyślnego układu bloków i lin obracało ostrym dyskiem sprawnie wycinającym płytkie geometryczne wzory w kawałku kości słoniowej. Obrabiany materiał tkwił w uchwycie obróbkowym umocowanym na jednej z wielu mosiężnych rozet, które poruszane korbą, rytmicznie przysuwały się i odsuwały od zderzaka.

Gospodarz był tak pochłonięty pracą, że nie zwrócił uwagi na hałas wozu na zewnątrz ani też wywołany ruchem drzwi podmuch, który rozżarzył węgle na palenisku. Po wejściu Jed przystanął, żeby obwąchać oparte o ścianę długie metalowe pudła. Skrzynie wysokości człowieka miały zamocowane na zawiasach pokrywy. Hodge przyjrzał się im i postukał w metal. Rozległ się przytłumiony odgłos.

– Co robisz? – zapytał teriarnik.

Kowal nie okazał zaskoczenia. Pochylił się bardziej nad kawałkiem kości, w którym wycinał wzór.

– Pięcioramienną gwiazdę. Nowego rodzaju. To fascynujące, ta maszyna poszerzyła moje pojmowanie geometrii z dwóch do trzech wymiarów! Niesamowite, jaki spokój można czerpać z rozpracowywania tego, co zdaje się...

– Nie pytam o tamto – przerwał mu Hodge i jeszcze raz postukał w pudło. – Tylko o te trumny.

Kowal odwrócił się od tokarki i spojrzał na gościa przez okulary połówki. Był potężnym mężczyzną o krzaczystych brwiach, długich

siwiejących włosach zgarniętych do tyłu z wysokiego czoła i gęstych wikińskich wąsiskach, długich i zakręconych. Jego oblicze miało wszelkie cechy burzowej chmury, przez którą przenika radosne słońko. Ten wesoły blask krył się w oczach, które Kowal zwrócił na przyjaciela.

– Hodge – huknął basem przetaczającego się grzmotu.

– Witaj, Waylandzie – odpowiedział Hodge, nie przestając obmacywać pudeł.

– To nie żadne trumny, bałwanie. To skrzynie! – zadudnił Kowal, wstając. Jedynymi odgłosami towarzyszącymi temu ruchowi były trzask ognia i szelest zwalnającego koła zamachowego, pozbawionego napędu.

– Są z ołowiu – stwierdził Hodge. – Wyglądają jak trumny.

Kowal przeciągnął się i podszedł do skrzyń, przystając po drodze, żeby podrapać Jeda po łbie. Pies ruszył prosto pod palenisko, gdzie rozłożył się wygodnie, grzejąc kości.

– Można przylutować pokrywy, dzięki czemu będą wodoodporne. Ciężar sprawi, że z miejsca opadną na dno. To rozwiązane naszego problemu, jeśli zostanie nas jeszcze mniej.

– Nie wiedziałem, czy cię zastanę – rzekł Hodge, a w jego tonie pobrzmiwały oskarżycielskie nuty.

– Wróciłem wczoraj.

– Z pustymi rękami.

Kowal skrzywił się i wytarł ręce o fartuch.

– Ani jednego rekruta.

Hodge uniósł brwi z niedowierzaniem.

– Nikogo nie znalazłeś?

– Znalazłem, owszem. Nawet wielu. Kilku Wejrzeńców, paru takich jak pan Sharp, dwie rodziny z twoim darem do zwierząt i tak dalej. Jeśli wiesz, gdzie szukać, znajdziesz ogniska silnej krwi, żadna to tajemnica. Problem w tym, że nikt nie chciał się do nas przyłączyć. Od czasu Katastrofy Nadzór odstrasza.

– Ale to nie nasza wina!

Kowal położył na ramieniu Hodge'a wielką jak bochen dłoń o dużych, pobliznionych palcach.

– Nasza, nasza. To, że decyzji nie podjęliście Sara, Kucharka, ty czy pan Sharp, nikomu nie robi różnicy. Nie liczy się też, że tymi, którzy decyzję podjęli, kierowały najlepsze intencje. Ludzie słyszeli o tym, co się stało, odczuli porażkę i nie chcą do nas dołączyć.

– Sharp mógłby ich przekonać.

– Mógłby przemówić im do rozsądku, ale nie tak rekrutujemy nowych członków, wiesz o tym. Przemawia przez ciebie desperacja. Napij się grzanego piwa, noce na wyspie są przenikliwie wilgotne.

Kowal wziął dzban ze stolika i utykając, podszedł do paleniska. Musiał okuleć już dawno, bo poruszał się tak, jakby nie zdawał sobie z tego sprawy. Postawił dzban na skraju kowadła, wyjął z ognia pogrzebacz i zanurzył go w piwie. Z naczynia buchnął kłęb pary, a warsztat wypełnił się korzennym aromatem grzańca.

– Nie wiem, jak może ci się tu podobać. – Hodge pokręcił głową. – To miejsce to dziura dla duchów.

– Wiesz, że nigdy nie lubiłem miasta – zadudnił Kowal. – A moczary leżą blisko, choć nie w jego obrębie. Poza tym to jedyna wyspa w Londynie. Z trzech stron opływają ją wody Tamizy, a z czwartej starego Running Cut i nowego portu. A płynąca woda daje ochronę. Jestem tu bezpieczniejszy niż reszta w domu przy Wellclose Square, prawie tak jak ty w Tower. Z czym przychodzisz? – Wręczył gościowi pełny kufel.

– Wieczorem do Kryjówki przyniesiono dziewczynę.

– Dziewczynę? – zdziwił się Kowal.

– Jest Wejrzeńcem. Aczkolwiek nie wiedziała o tym i zdaje się, że ktoś majstrował jej w głowie. Sharp natknął się niedaleko na jednego z Nocnych...

Kowal aż zakrztusił się piwem. Kiedy przestał kaszleć, przysiadł na kowadle.

– Sluagh? W samym mieście? Ale oni nienawidzą miast. Za dużo światła, żelaza, gwaru, ludzi, wody płynącej w kanałach, rynsztokach, wodociągach... To miejsce jest dla nich jak labirynt.

– Sharp zamknął go w Prywatnej Celi. Możesz przyjść i sam sprawdzić, jeśli nie wierzysz. – Hodge wyciągnął rękę z kuflem po dolewkę. Kowal napełnił naczynie, obserwując twarz przyjaciela. –

Zresztą i tak chcą, żebyś sprawdził pierścień dziewczyny.

– Dlaczego?

– Żeby się dowiedzieć, dla kogo go zrobiłeś.

Kowal odstawił dzban tak gwałtownie, że rozchlapał trochę piwa.

– Ma naszą pieczęć?

– Tak twierdzi Sharp. I podobno nie ma o nas pojęcia.

Kowal przeszedł na tył warsztatu, gdzie stała szafka. Otworzył drzwiczki i Hodge ujrzał półki pełne książek i zwojów. Gospodarz wyjął tom oprawny w zieloną skórę i przewertował stronicę. Znajdowały się na nich rysunki pierścieni, na pierwszy rzut oka takich samych, o oczkach z krwawnika z wyrzeźbionymi jednorożcem i lwem. Jednak przy uważniejszym spojrzeniu dawało się dostrzec subtelne różnice w sposobie osadzenia kamienia, stylu oprawy lub wyglądzie zwierząt.

– Zabiorę księgę.

– Przyjdź rankiem. Muszę jeszcze coś załatwić na mieście, a dziewczyna i tak teraz śpi. Sam możesz powiedzieć pozostałym o niepowodzeniu rekrutacji. Nie chcę być posłańcem przynoszącym złe wieści.

ROZDZIAŁ XXV

Co usłyszał dom

Lucy trwała pogrążona we śnie, dom zaś – w ciszy i bezruchu. Przez dłuższy czas nie rozlegał się żaden, najcichszy nawet dźwięk. Nagle dało się słyszeć odgłos tak nikły, że nie było to skrzypnięcie ani echo skrzypnięcia, a jedynie wspomnienie echa skrzypnięcia – i to bardzo mgliste wspomnienie.

Powietrze zafalowało leciutko za idącą bezgłośnie Lucy. Miała otwarte oczy, lecz niewidzące, jakby wciąż spała. Idąc, rytmicznie zaciskała i prostowała urękawiczoną dłoń, niejako rozgrzewając ją do precyzyjnego działania jak pianista przed występem. Wreszcie położyła rękę na klamce drzwi do Czerwonej Biblioteki i zaczęła ostrożnie ją naciskać.

ROZDZIAŁ XXVI

Błogosławieństwo Bunyona

Pan Sharp wszedł do należącej do domu Żyda niewielkiej stajni, gdzie Emmet właśnie kończył podkuwać konia Sluagh. Zwierzę nadal trzęsło się i pociło, jakby nie do końca jeszcze ochłonęło z nerwów, ale olbrzym przytrzymał mocno jego przednią nogę pomiędzy kolanami, wytrwale uderzając młotkiem w jednostajnym tempie.

Golemy należały do rzadkości. Sharp wiedział skądinąd, że na Wyspach stworzono tylko jednego i że uczynił to dziadek Sary. Sharp zawsze czuł się odrobinę nieswojo w obecności glinianego olbrzyma, może dlatego, że wiązały ich te same moc i cel – ochrona Sary – z tą różnicą, iż Sharp oddał się jej z własnej woli. Nosił w sobie ogromne umiłowanie wolności i nigdy nie czuł się komfortowo ze świadomością, że Emmet wykonywał to zadanie jako niewolnik. Dawno temu Kowal usiłował wyjaśnić Sharpowi, że Emmet nie jest istotą żywą sensu stricto. „To coś jak maszyna bez widocznego mechanizmu” – opisał wtedy golema, jakby ten był swego rodzaju marionetką czy kukłą, lalką teatralną, jakie można było zobaczyć na jarmarkach. Sharp nie tak postrzegał Emmeta. Wyobrażał sobie raczej, że golema ożywia pewna moc, jednak nie jest on nią obdarowany, lecz związany. I właśnie w tej różnicy leżało źródło dyskomfortu Sharpa.

Emmet poruszał się i wykonywał polecenia. Rozumiał, ale nie mógł mówić – ani też pisać, co Sharp sprawdził, dając mu papier i pióro i każąc kreślić litery. Mimo tego wszystkiego Sharp wierzył, że Emmet jest czymś więcej, niż sądzili inni albo niż on sam przejawiał. Sharp darzył go sympatią, jakiej nie da się żywić do przedmiotu, a jedynie do żywego towarzysza. Jako że potrzebował znacznie mniej snu niż

przeciętny człowiek, wiele godzin spędzał, czuwając w towarzystwie golema, dzięki czemu nie czuł się samotny. Obecność Emmeta uspokajała go, koła nerwy napięte lub nadszarpnięte zbytnią aktywnością bądź troskami. Dlatego właśnie nigdy nie wydawał Emmetowi rozkazów, a już na pewno nie tak ostrym tonem, jak czynił to niegdyś twórca golema, dziadek Sary. Sharp zwracał się do niego tak jak do osoby równej sobie, prosząc o wykonanie danego zadania. I właśnie w ten sposób przemówił po wejściu do stajni.

– Bądź tak miły, Emmecie, i kiedy skończysz już oporządzać konia, miej dzisiaj szczególne baczenie na dom. A jeśli Kowal zjawi się przed moim powrotem, przekaż mu, proszę, tę wiadomość.

Podał golemowi kartkę złożoną w wąski pasek, a potem w harmonijkę, tak że tworzyła płaski pakiecik.

Emmet skinął i włożył liścik do kieszeni. Potem odwrócił się do konia i zaczął osuszać go derką.

Sharp usiłował sobie przypomnieć, czy polecił Emmetowi to zrobić. Z pewnością był to odruch ludzki i ze wszech miar pożądanym. Uspokojony, że podczas nieobecności dom będzie dobrze strzeżony, Sharp ruszył w stronę tawerny z aresztem, po drodze biorąc dodatkową podkowę ze stojącego przy drzwiach stajennych przybornika kowalskiego.

Do karczmy wszedł bocznymi drzwiami i przemknął niezauważony przez salę, nie kłopotząc Williama Bunyona, który zabawiał spowity dymem krąg stałych bywalców anegdotami z czasów swojej służby w marynarce królewskiej. Jedną z wielu umiejętności Sharpa było poruszanie się w sposób nierzucający się w oczy, stąpienie z cieniami tak, jakby był jednym z nich. Przekradł się do piwniczki piwnej i bezgłośnie przekręciwszy klucz w zamku, otworzył drzwi do podziemi. Idąc, obracał w ręce podkowę, a zbliżając się do celu, zastukał w drewnianą ścianę.

– Mam do ciebie parę pytań. Chyba nie śpisz, co? – zawołał wesoło. – Ach, zapomniałem, że przecież wy nie sypiacie.

Zamarł, kiedy coś chrupnęło mu pod butem.

– Halo? – powiedział, jednocześnie sięgając za pazuchę i wciągając powietrze przez nos. Skrzywił się, kiedy dotarł do niego nieprzyjemny

zapach. – Światło – rzekł do wyciągniętej z kieszeni świecy.

Knot zapalił się, zalewając wąski korytarz jasnym, migotliwym blaskiem.

Podkowa łupnęła o posadzkę, kiedy Sharp wypuścił ją z ręki, sięgając błyskawicznie po broń.

– Głupiec ze mnie – syknął.

Podłogę pokrywały fragmenty kości bielące się jak wyspy na czarnym morzu krwi Sluagh. Sharp przyświecił wyżej i ujrzał wystającą z wizjera rękę przebitą patykiem pomiędzy kośćmi widocznymi teraz wśród resztek rozkładającej się tkanki. Dłoń Sluagh zastygła w osobliwym geście, jakby błogosławił lub przeklinał pustą ścianę naprzeciw drzwi.

– A niech cię! – mruknął Sharp, przekraczając kałużę krwi, i odemknął zasuwę. Szarpnął drzwi, które otworzyły się, ukazując uczezione po wewnętrznej stronie ciało więźnia, wiszące bezwładnie niczym skóra zwierzęca na haku. Muszelki i kostki w warkoczykach zagrzechotały, uderzając o siebie. Pan Sharp odchylił głowę trupa i spojrzał w gnijącą twarz Sluagh, w puste jamy oczodołów.

Potrząsnął głową, schował ostrze i w zadumie przesunął palcem po szczelinie wizjera.

– Ech, Williamie Bunyonie – wyszeptał smutno. – Dobroć twojego serca jest dla niektórych błogosławieństwem, ale dla tego biedaka stała się przekleństwem. Ale czemu chciałby się zabić? Albo raczej: czemu ktoś chciałby powstrzymać go przed mówieniem?

Naraz, niczym strzała wypuszczona z ciemności, uderzyła go pewna myśl.

– Sara...!

Okręcił się i pobiegł tunelem tak szybko, że rozbryzgana butami krew Sluagh jeszcze nie opadła, kiedy on gnał już ulicą.

ROZDZIAŁ XXVII

Serwantka z Murano

Lucy weszła do biblioteki. Nie zakradła się jak złodziej, nie kuliała się, nie przemykała pod ścianą, nie szła nawet na palcach, ale po prostu weszła, jakby miała do tego prawo. Mimo to odwróciła się, zamknęła za sobą drzwi i podparła je krzesłem.

Nie potrzebowała zapalać świecy, żeby odnaleźć drogę w zagraconym pokoju, bo jej szkiełko morskie zapłonęło jaskrawym pomarańczowym blaskiem w chwili, gdy przekroczyła próg biblioteki. Nieziemskie światło pogłębiło cienie pod ścianami, groźnie nimi poruszając, kiedy dziewczyna posuwała się naprzód, lawirując pomiędzy stolikami i komodami w kierunku klatki.

Zatrzymała się raptownie przy czarnym cokole, uniosła ręce i zaczęła przebiegać palcami po gładkiej powierzchni metalowej plecionki jak niewidoma badająca przedmiot. Jej oczy nadal były otwarte, ale nie skupione, zapatrzone w przestrzeń i gdyby nie poruszała się tak pewnie, można by wziąć ją za ślepą albo lunaticzkę.

Wreszcie wymacała drzwiczki, a zaraz potem zamek. Manipulowała przy nim dopóty, dopóki coś nie kliknęło, a drzwiczki nie odskoczyły. Odszukała palcami krawędź drzwiczek i otworzyła je na oścież. W głębi klatki rozległo się syczenie.

Lucy zamarła.

Mimo to cienki drucik przymocowany z jednej strony do drzwiczek mocno się naprężył.

Biegł wewnątrz rurki przechodzącej przez dno klatki, a następnie – za sprawą serii skomplikowanych zapadni, kanałów i kwadrantów – w dół, poprzez sufity, podłogi i ściany aż do piwnicy, gdzie znajdowała się tablica z dzwonkami dla służby. Do owej polerowanej deski mahoniowej przyczepiono sprężyny, na ich końcówkach wisały

dzwoneczki, a poniżej każdego – plakietka z nazwą pomieszczenia, z którego dzwoniono. Spośród dzwoneczków wyróżniał się jeden. Był dużo większy, żelazny, a na tabliczce pod nim czerwonym atramentem napisano BIBLIOTEKA.

Ten właśnie dzwonek rozdźwięczał się w martwej ciszy domu.

Choć dzwonienie było tak głośne, że przenikało wszystkie piętra, Lucy nasłuchiwała czegoś innego – groźnego syczenia dobiegającego z wnętrza na wpół zakopanej w piasku urny.

Piasek pod krawędzią naczynia poruszył się i zaczął sunąć czarną falą. Blask wydobywający się z morskiego szkiełka był tak jaskrawy, że w gęstwinie cieni rzucanych przez złożone z pasków ścianki nie było widać, co powoduje ten ruch, dopóki czarny zwój nie zatrzymał się pod wiszącym kluczem, nie uniósł łba i nie rozłożył kaptura.

Czarna kobra rozdziawiła szczęki, ukazując jaskraworóżowe wnętrze paszczy i sterczące z dziąseł zabójcze zęby jadowe.

Płonące wściekłością czerwone ślepia spoczęły na Lucy.

Wąż najwyraźniej strzegł klucza.

Lucy nie cofnęła się.

Nie zatrzasnęła drzwiczek.

Nie okazała śladu strachu.

Zbliżyła twarz do otworu i przemówiła łagodnie.

– Ciii. Ciiii. *Soyez calme, mon petit. Tout va bien...*

Wąż nie przestawał na nią syczeć, a jego napięte mięśnie drżały pod skórą, gotowe wyrzucić płaski łeb naprzód.

Lucy znieruchomiała, czekając, aż zwierzę się uspokoi.

A potem wzięła głęboki oddech i sięgnęła ostrożnie do klatki.

Kobra nie poruszyła się.

Ręka powoli zbliżyła się do klucza.

Wąż nadal tkwił w bezruchu.

Niczym zahipnotyzowany wpatrywał się swymi czerwonymi ślepiami w miękką różową dłoń sięgającą po klucz. Syczenie ustało.

Palce Lucy dotknęły zimnego metalu.

Wtedy wąż uderzył.

Wypełnione śmiercionośnym jadem zęby chlasnęły wierzch dłoni błyskawicznie niczym bicz i uderzyły o żelazny klucz w miejscu, gdzie

przed ułamkiem sekundy była ręka. Jednak ręka ta okazała się szybsza. Uniosła się i opadła, chwytając węża po obu stronach łba, zanim ten zdołał okręcić się i ukąsić ponownie.

– *Non, non. Soyez calme, j'ai dit* – wyszeptała Lucy.

Wąż szarpnął się konwulsyjnie i zawisł bezwładnie w dłoni dziewczyny.

Lucy wyjęła kobrę z klatki, odsunęła ją od siebie na długość ręki, a drugą zdjęła klucz z haka.

Aż jęknęła, zaskoczona ciężarem przedmiotu, bo jego wielkość nie wskazywała na taką masę. Zwolniony haczyk natychmiast strzelił w górę, a klatka rozpadła się, zasypując wszystko wokół deszczem odłamków. Okazało się, że konstrukcja klatki składała się z krótkich blaszek splecionych ze sobą i utrzymujących kształt dzięki przeciwwadze, jaką stanowił klucz. Dodatkowo budowniczy był tak przebiegły – czy też okrutny – że zaostrzył krawędzie blaszek.

Trzy z nich drasnęły przedramię Lucy, a gdyby nie rękawiczka od Sary, byłoby znacznie gorzej.

Ból wyrwał dziewczynę z dziwaczного sennego transu. Oprzytomniała, krzywiąc się, i rozejrzała się zdumiona, jakby dopiero teraz zobaczyła, gdzie się znajduje. Uniosła brwi zaskoczona rzeczywistością koszmaru, w którym się obudziła.

W jednej ręce trzymała kobrę. W drugiej klucz.

Z ran na jej boscie stopy kapłała krew.

Podłogę zaścielały ostre, zakrzywione paski blachy.

– *Merde* – mruknęła. – *Quel bordel...*

Wąż jakby naraz wrócił do życia. Zaczął się wić, aż zaczepił ogonem o jej ramię, usiłując się wokół niego opleść. Lucy zrobiła krok do tyłu i skrzywiła się, nadepnąwszy piętą na ostrą blaszkę.

– *Salopard!* – syknęła.

Za drzwiami rozległ się tupot, a po chwili krzesło zachrobotowało o podłogę pod naporem popychanych drzwi.

– Lucy! – krzyknęła Sara. – To ty?

Dziewczyna zmarszczyła brwi i zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu kryjówki, podczas gdy kobra w jej ręce rozłożyła kaptur i wiła się coraz gwałtowniej.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyczała Kucharka. – To niebezpieczne miejsce!

Wzrok Lucy padł na zasłonięte okiennicami okno za stojącą pod ścianą zdobną serwantką. Wzięła głęboki oddech, zakłęła dla otuchy, cisnęła węża pod ścianę, a potem wskoczyła na zawalony rękopisami stół i puściła się pędem po blacie.

Stopy ślizgały się na kartkach, ale nie zwalniała. Biegła w stronę okna, wzbijając szeleszczące tumany papierów.

Sara waliła w drzwi, a odziana w czerwony flanelowy szlafrok Kucharka rzuciła się do poręczy i wrzasnęła:

– Emmet! Ty leniwa kupo bezużytecznej gliny! Rusz się tu na górę!

W bibliotece Lucy zatrzymała się ślizgiem przy oknie i po chwili bezskutecznej szarpaniny z prętem odkryła, że został on dodatkowo zabezpieczony kłódką.

Fuknęła poirytowana i rozejrzała się wokół.

Na drugim końcu pokoju rozległ się syk.

A potem kolejny, bliżej.

Nerwowo zagryzła wargę i nagle jej wzrok padł na serwantkę z Murano.

Kucharka, usłyszawszy dudnienie ciężkich butów na stopniach, oderwała się od poręczy i przyłączyła do Sary usiłującej otworzyć drzwi. Grzmotnęła w nie ramieniem, ale odbiła się tylko i upuściła sobie na bosą stopę trzonek topora trzymanego w drugiej ręce.

– Cholercia – prychnęła, krzywiąc się z bólu.

W bibliotece znów zapanowała ciemność.

Tupot ustał pod drzwiami, rozległo się potężne łupnięcie i zaklinowane pod klamką krzesło rozleciało się w drzazgi. Skrzydła rozwarły się z hukiem i do biblioteki wpadł Emmet, a za nim Sara i Kucharka.

Poza snopem światła padającym z korytarza biblioteka była pogrążona w mroku.

– Lucy? – zawołała Sara.

Emmet pstryknął palcami i wskazał na zalany światłem obsydianowy postument z urną i piaskiem, ale bez klatki.

– Nie ma klucza! – stwierdziła Kucharka. – Niech to szlag...!

– Lucy!!! – wrzasnęła Sara. – Gdzie jesteś?!

Nie doczekała się odpowiedzi.

Lucy siedziała skulona w serwantce, z głową pulsującą po nieoczekiwanym zderzeniu z czymś twardym i kanciastym. W jednej ręce trzymała klucz, a drugą kurczowo zaciskała na szkiełku morskim, żeby blask nie zdradził jej kryjówki. Kiedy poprawiała uchwyt, światło wymknęło jej się spomiędzy palców, ukazując wyłożone lustrami wnętrze szafki. Zwierciadła odbijały jej postać w nieskończoność zwielokrotnioną naprzeciwległymi i prostopadłymi taflami, a twardym przedmiotem, o który się uderzyła, okazał się przykręcony do pleców szafki świecznik. Nie miała jednak czasu zastanawiać się, po co te lustro i wewnętrzne oświetlenie mebla.

– No tak – fuknęła Kucharka, wążąc w dłoni topór i podejrzliwie przeczesując wzrokiem cienie. – A ja tak nienawidzę węży. Emmet, jeśli zobaczysz to paskudztwo, pozwalam ci zdeptać je na naleśnik.

– Nie zaatakuje jej – sprzeciwiła się Sara. – To wąż obronny. A Lucy jest jedną z nas...

– Gdyby była... – zaczęła Kucharka.

Emmet znów pstryknął palcami i tym razem wskazał odległy kąt pokoju.

Przy jednym z okien widać było cienką linię światła. Golem i Sara pobiegli w tę stronę.

Schowana w szafce Lucy jeszcze mocniej zacisnęła dłoń wokół szkiełka, ale szybko odkryła, że blask nie przedostaje się przez jej place. Zaniepokojona dostrzegła, że światło pojawiło się daleko poza jej odbiciami. Było niezwykle jasne, jak flara naftowa, i zbliżało się, jakby ktoś lub coś przeskakiwało przez odbicia. Z każdym susem światło kołysało się i zbliżało wraz z niosącą je postacią.

Serce podskoczyło jej do gardła, a potem opadło i zaczęło gwałtownie trzepotać.

W ustach jej zaschło, a na plecach czuła twardą, zimną tafłę, do której się przyciskała, instynktownie usiłując odsunąć się jak najdalej od tego, co nadchodziło tunelem odbić.

Odwróciła się i ze zgrozą zobaczyła, że postać z latarnią była widoczna tylko w lustrze naprzeciwko niej, nie odbijała się w tafli za

jej plecami, jakby prawa fizyki zwierciadeł w ogóle jej nie dotyczyły.

Ogarnęło ją złe przeczucie.

Lucy potrafiła szybko myśleć.

Nie wiedziała, co tu robi ani co sprawiło, że ocknęła się w tym zakazanym pokoju z kluczem i zabójczą kobrą w rękach, ale zdawała sobie sprawę, że wyjaśnienie tej kwestii będzie znacznie mniej niebezpieczne od spotkania z postacią, która spokojnie zmierzała w jej stronę przez warstwy lustrzanych odbić.

Nie zastanawiając się dłużej, kopnęła w drzwiczki, ale te otworzyły się o mgnienie wcześniej, nim jej stopa dotknęła drewnianej powierzchni. Zaskoczona Lucy wywróciła się plecami na dno szafki, a jej wzrok padł na Emmeta.

– Wyciągnij ją, szybko! – krzyknęła Sara, pędząc ku nim. W tej samej chwili do pokoju wbiegł pan Sharp.

Emmet zawahał się, na ułamek sekundy rozproszony blaskiem bijącym ze zwierciadła na lewej ścianie szafki.

– Emmet! – ponagliła go Sara.

Golem wyciągnął rękę po Lucy i w tym momencie jednocześnie stały się trzy rzeczy.

Kobra, która prześlizgnęła się obok Kucharki i pomiędzy nogami Emmeta, wyminęła Lucy i sunęła teraz ku zwierciadłu z postacią trzymającą latarnię. Lucy, uchylając się przed Emmetem, wpadła w lustro, nie rozbijając go. W ostatniej chwili dostrzegła jeszcze zgrozę w oczach Sary, która właśnie dopadła szafki i wyciągnęła ku dziewczynie dłoń, sięgając w głąb jakby pionowego leja. Wąż zaatakował, z całej siły uderzając łbem w lustro naprzeciwko niestawiającej oporu tafli.

Zwierciadło rozprysnęło się na kawałeczki.

Pan Sharp przyskoczył do serwantki i chwycił Sarę za kołnierz, powstrzymując przed wpadnięciem tam, gdzie zniknęła Lucy.

Oszołomiona kobra runęła na dno szafki w deszczu odłamków, a światło latarni zgasło, gdy tylko przestał istnieć tunel odbić zwierciadlanych.

– Saro...? – Kucharka przepchnęła się obok Emmeta i stanęła jak wryta.

Sara leżała częściowo w szafce, wyciągając rękę ku lustru, które połknęło Lucy. Pan Sharp pomógł jej się podnieść i aż jęknął wstrząśnięty na widok jej ramienia.

Nie było żadnej krwi.

Ale nie było też dłoni.

Ramię kończyło się u nadgarstka.

Sara gapiała się na kończynę, jakby miała przed sobą całkiem obcą część ciała.

Nadal nie było krwi, poszarpanej tkanki, bieli odciętej kości.

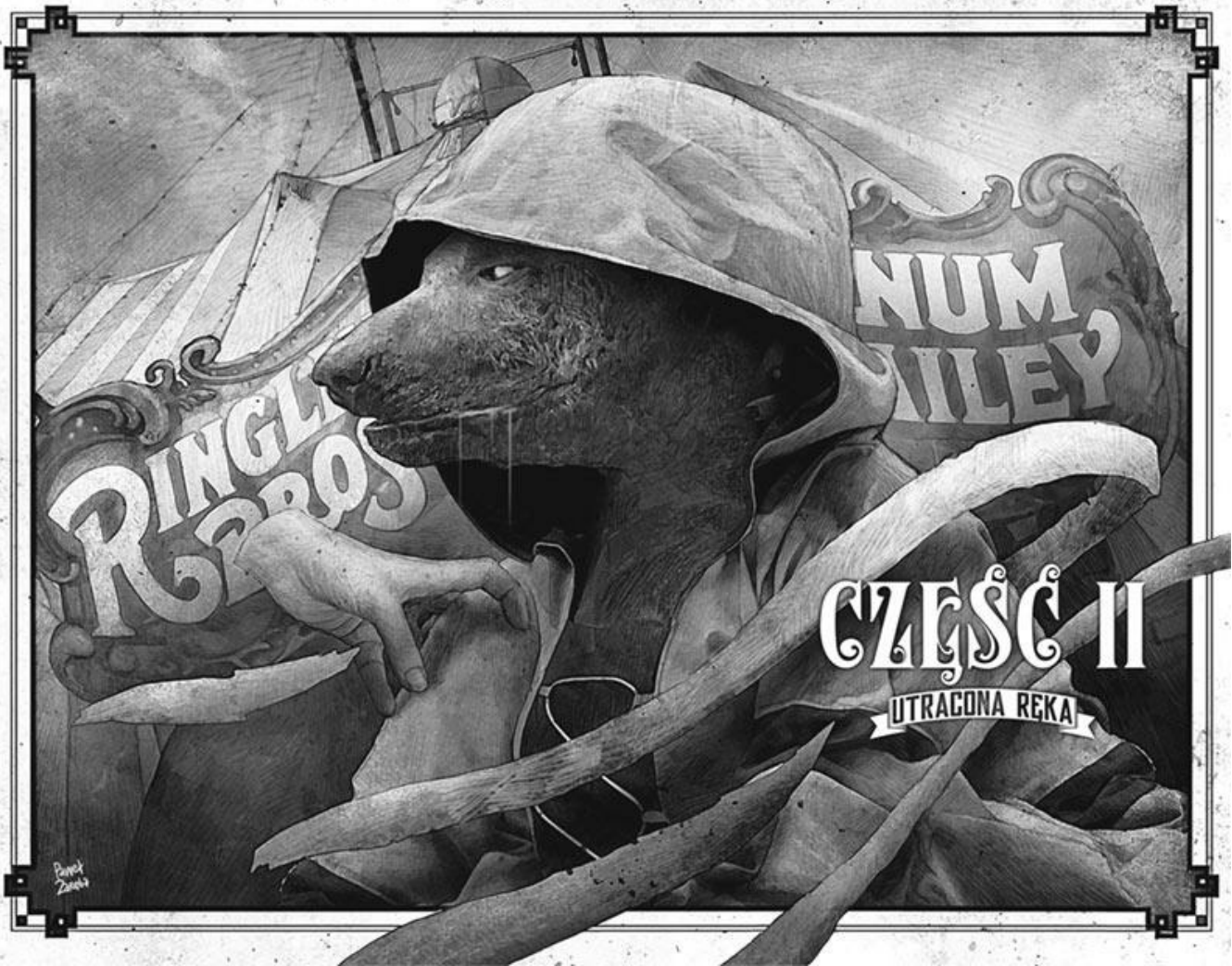
– Saro... – pan Sharp się zająknął.

Kikut kończył się owalnym lusterkiem. Zupełnie jakby kawałek tafli przykleił się w miejscu odciętej dłoni.

– Och... – jęknęła Sara, patrząc tępo na własny przegub. – Och...

Potoczyła spojrzeniem po twarzach starszej kobiety, golema i młodego człowieka o oczach przepełnionych bólem. Przez moment miała wyraz twarzy taki sam jak wtedy, gdy napadł ją Zielony Człowiek. Panowała absolutna cisza.

Oczy uciekły Sarze w tył głowy i straciła przytomność. Emmet i pan Sharp złapali ją, zanim uderzyła o podłogę. Dokładnie w tej samej chwili zegary wydzwoniły północ, godzinę grozy, godzinę, w której Lucy, klucz, dłoń Sary – wraz z rękawiczką i pierścieniami – zniknęły raptownie, brutalnie i bezpowrotnie.



Moc piątki

Świat materialny istniejący poza naszymi umysłami tworzy Pięć Elementów, a postrzeganie go odbywa się za pomocą Uszu, Oczu, Języka, Nosa i Rąk, zwanych Pięcioma Bramami Wiedzy. Bez nich bylibyśmy odizolowani w więzieniach czaszek, pozbawieni możliwości posługiwania się Pięcioma Zmysłami, a to Słuchem, Wzrokiem, Smakiem, Węchem i Dotykem. (...) Znaczenie Piątki manifestuje się w Pięciu Ranach Chrystusa, Pięciu Filarach Islamu, Pięciu Truciznach Kataju, Quincunksie et cetera. (...) W magii stosowanej w celu ochrony przed złem nie ma bardziej powszechnego periaptu[1] czy sigila[2] od pięciopalczastej dłoni *Mano Pantea*, którą starożytni Egipcjanie zwali Ręką Wszechbogini. Jest to symbol tak potężny, że przyjęły go wszystkie późniejsze cywilizacje. W starożytnej Grecji znano go pod nazwą Ręka Afrodyty, dla Fenicjan była to Ręka Tanit, dla Żydów Ręka Miriam, dla lewantyńskich chrześcijan Kef Miryam albo Ręka Dziewicy Maryi, dla muzułmanów Khamsa albo Ręka Fatimy (...). Jak pisał sir Thomas Browne w *Ogrodzie Cyrusa* (1658), „aby rozciągnąć te rozważania na wszelkie tajemnice związane z tą liczbą, należy wspomnieć o pitagoreizmie, ale i nie wolno pominąć PIĄTKI uosabiającej Sprawiedliwość (...)”. Nie dziwi zatem, że Nadzór, z jego misją zachowania równowagi pomiędzy tym, co naturalne, a tym, co ponadnaturalne, w tradycję organizacji wplótł ściśle kabalistyczną Piątkę, znaną jako Ręka (...).

Reguła Piątki jest kamieniem węgielnym, fundamentem, na którym zbudowano Nadzór. Mówi ona, że każdego roku piątego dnia piątego miesiąca Ręka składająca się z pięciu członków musi zasiąść wokół stołu i okiełznać Pożogę. Jeśli zabraknie Piątki, organizację należy rozwiązać w imię bezpieczeństwa, pozostali członkowie zaś zobowiązani są rozproszyć się po kraju i znaleźć każdy pięciu rekrutów, którzy na nowo podejmą się wyzwania.

Regułę tę ustanowiono, uznawszy, iż mniej niż pięciu członków jednej Ręki nie będzie w stanie sprostać zobowiązaniom Nadzoru, a osłabiona organizacja stanowi większe niebezpieczeństwo niż całkowity jej brak, gdyż daje złudne poczucie bezpieczeństwa i czujnej kontroli. Sytuacja taka miała miejsce co najmniej dwukrotnie w długim okresie działalności organizacji, a konsekwencje zawieszenia Nadzoru wstrząsnęły miastem i krajem tak potężnie, że za każdym razem trzeba było ponad wieku, by sprawy zostały przywrócone do uprzedniego status quo.

Najważniejszym powodem, dla którego niedobitki Nadzoru mają rozproszyć się po kraju, jest zapewnienie im przetrwania dzięki utrudnieniu wrogom znalezienia osłabionych członków, bezbronnych, skupionych w jednym miejscu. (...) historia głosi, że tajemnice i potężne artefakty zwykle chronione przez Nadzór należy zatopić w Tamizie, gdzie spotykają się słone i słodkie wody i gdzie nieustannie obmywać je będzie nurt, jak również że mają pozostać tam, dopóki odnowiony Nadzór nie wróci, by je odzyskać. Ponoć za czasów Wielkiego Pożaru Londynu artefaktów nie zdążono wrzucić do rzeki, a zaniedbanie to doprowadziło do późniejszej Katastrofy.

Wyjątek z *Wielkiej i tajemnej historii świata*
autorstwa rabina doktora Hayyima Samuela Falka

1 Amulet lub talizman noszony na ciele.

2 Znak, litera, runa.



ROZDZIAŁ XXVIII

Świniogłowa kobieta i ręka chwały

Lucy okręciła się, usiłując się czegoś przytrzymać i zapobiec upadkowi w lustro, ale nabrała w garść jedynie powietrza. Runęła z rozpędu, lecz zamiast uderzyć w tafelę, przeleciała przez nią z cichym pyknięciem i wypadła z Czerwonej Biblioteki, jakby powierzchnia zwierciadła była cienką błoną, taką jak ta tworząca bańkę mydlaną. Jasny blask zniknął, a Lucy leciała poprzez ciemność pełną krzyków, łomotów i kołyszących się latarni, które zdawały się rzucać więcej cieni niż światła.

Leżąc na czymś, co przypominało trawę, ujrzała przed sobą inne lustro, przewracane na bok przez wielką kobietę w perkalowej sukience i czepcu.

Zanim zwierciadło, z którego wypadła, się stłukło, zdążyła dojrzeć w innym, tym z biblioteki, odbicie Sary Falk wyciągającej ku niej dłoń. Sara, trzymana przez pana Sharpa, wołała ją po imieniu, a potem pod jej ramieniem mignęła płaska głowa kobry uderzająca w przeciwległą ściankę serwantki i Czerwona Biblioteka eksplodowała w deszczu odłamków lustra, które uderzyło o beczkę. W miejscu przesłoniętym wcześniej przez zwierciadło stała kobieta, która je strąciła. Na jej widok Lucy wydała zdławiony okrzyk. Kobieta bowiem nie była zwyczajną kobietą, ale koszmarem w sukience.

Ich spojrzenia się skrzyżowały, a oczy, w które patrzyła Lucy, nie

były ludzkie, lecz świńskie. Podobnie jak cała głowa w czepcu. A raczej łeb – różowy, faflasty i ryjowaty. Tępe zwierzęce nozdrza fuknęły, uszy załopotwały dziko, a potwór obnażył kły, rycząc z wściekłości na całe czerwone gardło.

W przeblysku świadomości do Lucy dotarło, że patrzy na dorosłą kobietę o świńskim pysku wykrzywionym w strasznym grymasie czegoś niechybnie śmiertelnie groźnego.

Miała ochotę wrzasnąć, ale wiedziała, że w obliczu niebezpieczeństwa lepiej uciekać, niż krzyczeć. Zerwała się więc i odwróciła, by wziąć nogi za pas, lecz z naprzeciwka biegł ku niej tłum. Na przedzie grupy pędziła kobieta o talii osy i ustach otwartych ze zdumienia. Usta te okalały bujne wąsy i szpiczasta broda.

Lucy zamarła na moment i straciła szansę ucieczki, gdy jej stopa poślizgnęła się na kawałku szkła. Upadła. Świniogłowa warknęła, stając nad nią okrakiem.

Kiedy kobieta uniosła pięść do ciosu, Lucy była przekonana, że to już koniec, ale w tej samej chwili wskoczył pomiędzy nie młody człowiek, osłaniając ją przed napastniczką swym żylastym ciałem. Młodzieniec trzymał w jednej ręce pochodnię, a w drugiej miotłę.

– Nie, Nellie! – krzyknął. – Dość!

Wybawca stał twardo przed świniogłową, która ryczała wściekle, wymachując wielkimi łapskami w skórzanych rękawicach. Wreszcie zaczęła się cofać, a młodzieniec spojrział na leżącą Lucy. Jego twarz odcinała się zaskakująco od szczupłego torsu – była pomalowana na białą, z czarnymi krzyżami na oczach i wielkim czerwonym kulistym nosem.

Młodzieniec skinął, a potem znów odwrócił się do świniogłowej i krzyknął nieoczekiwanie wesoło:

– Nie, Nellie. Nie! Zostaw ją w spokoju, ty wielka głowo do pozłoty. Nie chciała zrobić nic złego!

Obejrzał się i machnął zniecierpliwiony na tłum ludzi dookoła.

– Niech ktoś skoczy i przyniesie Dużej Nellie bułeczkę. Bułeczki zawsze ją uspokajają. – Odwrócił się do potwora z uśmiechem. – Zaraz dostaniesz pyszną lukrowaną bułeczkę z wisienką na wierzchu. Dobra Nellie. Odsuń się trochę, żeby dziewczyna mogła oddychać. Mało nie

wystraszyłaś jej na śmierć!

Puścił oko do Lucy, która siedziała oszołomiona zarówno jego wesołkowatym tonem, jak i wszystkim innym wokół.

– Migusiem będzie, moja droga. Duża Nellie woli bułeczkę od awantury. Po prostu jest trochę nerwowa, widzisz?

Jakby na potwierdzenie jego słów świniogłowa kobieta wycofała się z chrumknięciem. Zamknęła paszczę i spuściła łeb, jakby było jej wstyd. Lucy chwyciła wyciągniętą rękę chłopaka i się podniosła. Dopiero wtedy przypomniała sobie o oddychaniu.

– *Cauchemar* – powiedziała. – *C'est un cauchemar...?*

– Co ona mówi? – zaskrzeczała brodata kobieta.

– Koszmar – przetłumaczył ktoś z tyłu. – Powiedziała, że to koszmar.

– Wcale to tak nie brzmiało – zaprotestował chłopak.

– Powiedziała to po francusku – wyjaśnił głos.

– Po francusku? – powtórzył wybawiciel. – A niech to!

Podniósł rękę, szarmanckim gestem zdjął czerwony nos i ukłonił się teatralnie.

– Wobec tego bon žuar, madmłazel. – Uśmiechnął się. – Co panienka robi w cyrku o tej porze, w koszuli nocnej?

Lucy wyłowiła słowo „cyrk” i na chwilę uwierzyła, że nie jest uwięziona w koszmarze, że Duża Nellie i chłopak o twarzy klauna oraz brodata kobieta są zwyczajnymi członkami wędrownej trupy. Już miała odetchnąć z ulgą, gdy za chłopakiem ujrzała coś podobnego do kraba, co sunęło po odłamkach lustra. Była to odcięta czarna dłoń, która dreptała w jej stronę.

Zdarzyło jej się to po raz pierwszy w życiu i nie mogła sobie później tego wybaczyć – zemdląca.

Tym samym nie widziała już, że ktoś wyskoczył z cienia i chwycił dłoń, zanim ktokolwiek zwrócił na nią uwagę.

Osoba ta wcisnęła rękę za pazuchę i przekradła się na tyły grupki cyrkowców, a potem czmychnęła przez szczelinę w namiocie na zewnątrz, w morze kolejnych namiotów i wozów tworzących obozowisko pod wioską.

W obrębie poletka otoczonego żywopłotem paliły się kaganki, pochodnie, a także, w samym środku tego wszystkiego, parę

nowoczesnych lamp naftowych.

Większość wozów pomalowano na krzykliwe kolory. W jaskrawych barwach były też namioty, a nawet niektórzy ludzie – bo bez wątpienia byli to ludzie, cyrkowcy. Inni, także ludzie, byli mieszkańcami wioski poprzebieranymi z okazji zabawy jarmarcznej.

Ale zabawa widocznie już się skończyła, bo dzień chylił się ku zachodowi, a przekupnie i artyści zwijali stragany.

Tajemnicza osoba szła szybko, przyciskając do piersi zdobycz i przemykając ciemnymi miejscami w tym szczególnym tempie, w którym porusza się ktoś, kto zamierza uciec, ale nie chce zostać posądzony o chęć ucieczki.

Wydstawszy się poza centrum, w mniej oświetlony rejon kręgu wozów na skraju obozowiska, postać przyspieszyła kroku, pewna, że tu nikt już jej nie obserwuje.

I rzeczywiście nikt jej nie widział.

Poza psem.

Pies łańcuchowy pilnujący jednego z namiotów ujrzał przechodzącą w pobliżu postać i bez ostrzeżenia rzucił się za nią niczym cień materializujący się w masę mięśni o dzikich ślepiach i uzębionej, ujadającej paszczy.

Postać mocno kopnęła psa. Ten zaskomlał i potoczył się po trawie. Postać rozejrzała się wokół.

Szczekanie nie zwróciło niczyjej uwagi. Nikt nie zauważył ani psa, ani tego, że został kopnięty.

Postać precyzyjnie przeszła przez dziurę w żywopłocie i weszła pod płócienną budę ostatniego wozu stojącego na samym skraju obozowiska.

Wóz był nieoświetlony, ale postać nie potrzebowała światła. Na końcu ciasnej budy stał mały żelaźniak przykręcony do dna wozu. Za nim w blaszanej skrzynce leżał węgiel.

Postać odgarnęła czarne grudki, odsłaniając kolejną skrzynkę zamkniętą na kłódkę. Kłódka została otwarta, pokrywa uniesiona, a pospiesznie owinięta szmatą ręka z pacnięciem wylądowała w środku. Wieczko opadło, kliknął zamek, zaszurały czarne bryłki, a potem bujany fotel przy piecyku zatrzeszczał pod ciałem ciężko

siadającej nań osoby. Wreszcie rozległy się słowa wypowiedziane z nieznaczną nutą satysfakcji i tak cicho, że nawet gdyby ktoś je usłyszał, nie byłby w stanie stwierdzić, czy to głos mężczyzny, kobiety, czy nawet... dziecka.

– Manus Gloriam, prawdziwa Manus Gloriam. Jesteśmy uratowani.

A potem zapadła cisza. Tylko ręka skrobała w ciemnej skrzynce ukrytej pod warstwą węgla.

ROZDZIAŁ XXIX

Nocni jeźdźcy

W Hertingfordbury, w zajeździe Białe Serce, gdzie zmieniali konie, Amos zorientował się, że ktoś ich śledzi. Wyszedł z kręgu światła na podwórku, żeby sobie ulżyć za stajniami, i wtedy to usłyszał. Nie widział nikogo, a podzwanianie uprzęży i stukot kopyt na klepisku stajni prawie zagłuszyły głos, ale dotarło do niego słowo „Mountfellon”...

Przeczesał wzrokiem ciemność poza granicą światła. Dobrze widział w nocy, kiedy oczy przywykły mu do mroku. Teraz dostrzegł kępę wiązów pośrodku pola, jakieś sto jardów od niego. Widział kontury drzew tak obgryzionych z gałązek do pewnej wysokości przez bydło, że ich korony zdawały się unosić w powietrzu. Stwierdził, iż niczego poza tym tam nie ma, a słowo musiało być ułudą, nocnym szmerem. Wiedział, że powinien już wracać do wozu, który w każdej chwili mógł odjechać bez niego. Ostrzeżono go, że ma dwie minuty i ani sekundy więcej.

Mimo to coś go zatrzymywało w miejscu i kazało wpatrywać się w pole i kępę wiązów za żywopłotem. Nie wiedział tylko co. Nagle powietrze pomiędzy pniami zmarszczyło się, a liście, albo to, co brał za liście, zaczęły się przemieszczać po trawie. Na polu zmaterializowali się trzej jeźdźcy kłusujący w jego stronę. Nie słyszał odgłosu kopyt, bo te odgłosów nie wydawały, ale docierała do niego rozmowa.

– Nie możemy porwać Mountfellona – mówił głos. – Powóz jest opleciony tym przeklętym żelazem...

– Ale możemy złapać chłopaka, który jedzie z tyłu, poza ochroną żelaza, pod plandeką – wychrypiał drugi.

Amosowi mocniej zabiło serce i krew ścięła mu się w żyłach, kiedy

się zorientował, że to o nim mowa. Zrobiło mu się zimno, gdy dotarło do niego, że rozmówcami są prawdopodobnie Sluagh. Nie widział ich nigdy, ale choć u Templebane'ów zawsze milczał, uważnie nadstawiał uszu, a to, co słyszał o nocnych stworach, sprawiło, że perspektywa spotkania bynajmniej nie była dlań radosna. Zastygł w bezruchu.

– Po co nam ten chłopak? – zapytał trzeci lodowatym szeptem.

– Przyniósł wiadomość od Templebane'ów – burknął pierwszy. – Jest od nich.

– Możemy go wykorzystać – zgodził się drugi.

– Możemy go torturować – szepnął trzeci, nie całkiem powściągając okrutną radość.

– Możemy zrobić jedno i drugie – rozstrzygnął pierwszy stanowczo.

– Porwiemy go, gdy zwolnią, podjeżdżając na wzgórze, parę mil stąd. Jak będą w lesie. Niczego nie zobaczą i nie usłyszą, nie będą wiedzieli, póki nie dotrą do miasta.

Chrząknęli zgodnie, a przywódca ściągnął wodze, zawracając grzechoczącego kostkami konia, po czym spiął go tak mocno, że Amos usłyszał dudnienie pięt o boki zwierzęcia. Pozostali ruszyli za wodzem, kierując się na miejsce zasadzki.

W tym momencie Amos usłyszał, jak woźnica woła go po imieniu. Wiedział, że musi szybko podjąć decyzję, co robić.

Najprościej byłoby wrócić do wozu i przekazać wicehrabiemu, co słyszał, ale musiał to zrobić od razu. Nie ulegało wątpliwości, że trzej jeźdźcy zamierzają go porwać i skrzywdzić. Ale co, jeśli Mountfellow nie pozwoli mu jechać w budzie?

Przypomniał sobie ból w palcu i uśmiezek na surowym obliczu wicehrabiego nacinającego mu skórę nożykiem i obserwującego jego reakcję. Usłyszał naraz niewyraźne słowa woźnicy i zdecydowaną odpowiedź hrabiego:

– Nie ma go, to niech sam sobie radzi. Mam lepsze rzeczy do roboty niż szukanie Murzyna w nocy.

I tak oto Amos uczynił rzecz niezwykłą.

Posłuchał hrabiego. Nie wyszedł z cienia, nie wrócił do wozu, a wtedy, zgodnie z zapowiedzią, woźnica strzelił z bicza i nie wołając nawet po raz drugi, popędził konie w noc, zostawiając Amosa pod

zajazdem.

Chłopak przeczekał, aż stajenny oporządzi zużyte konie i wróci do ciepłego wnętrza karczmy. Dopiero wtedy zaczął działać.

Wiedział, że przed Sluagh mogą ochronić go żelazo i płynąca woda. Może i do tej pory nie widział niczego poza Londynem, ale znał sposoby, dzięki którym mógł się bronić przed niesamowitymi istotami.

Przemknął do stajni i zabrał dwunastocalowy pilnik leżący przy kowadle. Zważył w ręce ów kawał żelaza o nierównych brzegach i zatknął go sobie za pasek. Następnie wypchał kieszenie palta owsem, a w końcu ukradł derkę, którą się szczelnie otulił. Tak wyposażony wyszedł na drogę i skierował się w stronę, z której przyjechał.

Nie chcąc samotnie podróżować traktem, przelazł przez pierwszą lepszą przerwę w żywopłocie i odtąd podążał polami wzdłuż szlaku, ukryty przed oczami innych.

Brnąc przez błotniste bruzdy i redliny, miał wrażenie, że unosi na butach większość Hertfordshire. Podeszwy kleiły się do podłoża i odrywały kawały mokrej gleby, mimo to jednak szedł naprzód.

Pamiętał, co Templebane'owie mówili o Sluagh i o tym, co potrafią zrobić temu, który pokrzyżuje im szyki. Issachar często używał Sluagh jako straszaka na chłopców, który miał zapobiec ich zboczeniu z „prostej drogi rozsądku”. To właśnie zaszczepiony w dzieciństwie lęk przed Hordą Mroku gnał Amosa coraz dalej od Londynu i zmieniał mu serce w młot kowalski.

Pół mili przed zajazdem chłopak o mało co nie spadł z powozu, kiedy woźnica pędem wjechał na łukowaty mostek. Plandeka załopotiała i Amos zobaczył w szczelinie kanał, którego wody srebrzyła księżycowa poświata. Przedostanie się na jego drugą stronę gwarantowało dodatkową ochronę. Nie znał taktyki polowania Sluagh, ale był pewien, że noc jest ich żywiołem – jego wprost przeciwnie. A już na pewno nie na wiejskich terenach, które przemierzał w pośpiechu.

Dawno już zostawił za sobą światła gospody, która zniknęła za wzniesieniem, a księżyc, wcześniej oświetlający kanał, teraz schował się za zasnuwającymi niebo chmurami.

Amos właśnie poczuł się na tyle bezpiecznie, by rozważyć zwolnienie kroku, gdy usłyszał dobiegający zza pleców szelest. Nie oglądając się, pognął przed siebie na złamanie karku, przez pola, na oślep uciekając od dyszących mu w kark istot.

Nie zauważył co prawda kanału, ale szybko poczuł jego obecność. Potknąwszy się o redlinę, przeleciał przez zarośniętą miedzę i czując drapnięcie na karku, runął na łeb na szyję. Impet upadku był tak duży, że rzemień mosiężnej tabliczki, o który zaczepiła czyjaś ręka, pękł, a głowa Amosa przebiła ciemną taflę.

Zimno chlasnęło go jak bat. Kiedy jęknął, do ust wlała mu się mdła, mulasta woda. Zakrztusił się i wypluł ją, zanim zaczerpnął powietrza, ale gwałtowne ruchy sprawiły, że derka oplątała go, odbierając swobodę. Jedno ramię utknęło mu pod sztywnym kocem, a obciążone błotem buty pociągnęły go w toń.

Gdy tak się miotał, ryzyko utonięcia wzrastało.

Jednakże Amos miał silny instynkt przetrwania i lotny umysł. Kiedy pojął, że walczy sam ze sobą, znieruchomiał. Opadał na dno, dopóki nad głową nie miał co najmniej sześciu stóp wody. Nawet kiedy płuca zaczęły mu płonąć z braku tlenu, zachował spokój, dając się nieść nurtowi i szorując stopami po dnie. Dopiero gdy znalazł się wystarczająco głęboko, by się mocno odbić, gwałtownie wyprostował przykurczone nogi i wychynął na powierzchnię. Odetchnął łapczywie zimnym nocnym powietrzem, otarł wodę z oczu, żeby określić swoje położenie, a potem zanurzył się znowu.

ROZDZIAŁ XXX

Jednoręka

To moja wina – rzekł pan Sharp, spoglądając na leżącą na łóżku nieruchomą Sarę. Pozostawała w tym stanie, odkąd przyniósł ją z biblioteki.

– Nie będzie widziała tego w ten sposób – stwierdziła Kucharka.

– To była pułapka – powiedział z goryczą. – Dziewczyna była pułapką.

– Cóż, na pewno odegrała w tym niemałą rolę – przytaknęła Kucharka.

– Powinienem był bardziej stanowczo sprzeciwić się pozostawieniu jej w domu.

– Sprzeciwiłeś się. Niestety, jak sam wiesz, Sara nie jest szczególnie... SPRZECIWOULEGŁA.

Sara leżała pomiędzy nimi blada jak wykrochmalona pościel, którą była okryta aż pod brodę.

Sypialnia Sary była prawdopodobnie najskromniejszym pomieszczeniem w domu. Ściany, niegdyś fiołkowe, wyblakły prawie do białości, a nieliczne meble z wapnowanego dębu – komoda, szafka nocna, biurko i krzesło pod oknem – były proste w formie i niebarwione. Żaden obraz nie zakłócał nagości ścian. Nie było tu też lustro. Pokój wyglądał tak spartańsko dlatego, że Sara przychodziła się tu wyciszyć i wyspać. Jedyłą barwną plamę stanowił wzorzysty dywan kaszkajski z motywem kwiecistej łąki na różowym tle, choć żółć, błękit i zieleń kwiatów spłowiejały ze starości. Pan Sharp z ponurą miną pocierał butem zielony pęk.

– Mogłem się domyślić. Domyślałem się. Ten Sluagh nie pojawił się przypadkiem...

– Będziesz tak jęczał czy coś zrobisz? – przerwała mu brutalnie

Kucharka. Jej słowa zabrzmiały ostro jak siarczysty policzek.

Sharp poderwał głowę i popatrzył na nią prawie ze zdumieniem, a przynajmniej z namiastką zdumienia, na jakiej okazanie nigdy jeszcze sobie nie pozwolił.

– Oczywiście możesz sobie jęczeć, jeśli chcesz, ale nie sądzę, żeby to pomogło Sarze – dokończyła dobitnie Kucharka. – Na tej ręce nosiła pierścień. A Wejrzeniec bez kamienia serca, dorosły Wejrzeniec, zacznie tracić zmysły i w końcu popadnie w szaleństwo.

Pan Sharp otworzył usta, ale zamilczał. Przez chwilę poruszał szczękami, jakby miał słowa, a w końcu odezwał się powściągliwym, zimnym tonem, w którym napięcie trzeszczało niczym pęknięcie lodu tuż przed potężną lawiną.

– Oddałbym własną rękę za jej, odciąłbym ją bez chwili zastanowienia. Natychmiast. Dobrowolnie. Ale nie mogę...

– I dobrze – przerwała mu Kucharka. – Zaczynasz dramatyzować.

– Co się stało?

Głos Sary uniósł się nad łóżko niczym cienka jak pajęczyna smużka dymu. Spojrzenie jej otwartych jasnych oczu błędzące między Sharpem i Kucharką w pierwszej chwili kazało sądzić, że jest w szoku.

– Ile pamiętasz? – zapytała Kucharka.

Sara wbiła oczy w pana Sharpa, jakby chciała wydobyć zeń odpowiedź. Milczał, ale spojrzał znacząco na pościel, pod którą kryła się prawa ręka Sary. Kobieta przez chwilę patrzyła w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, a potem wzdrygnęła się i wzrok ten powrócił skupiony, lecz już nie tak jasny.

– Wszystko – rzekła.

– Więc wiesz, co się stało z twoją ręką? – upewniła się Kucharka.

Sara skinęła potwierdzająco i powoli wyjęła ramiona spod przykrycia. Na widok kikuta zapadło milczenie. Grdyka pana Sharpa poruszała się, lecz z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Sara oglądała kikut, okręcając go na wszystkie strony, a w końcu dotknęła gładkiej lustrzanej powierzchni. Skrzywiła się, poczuwszy pod palcami szkło.

– Pójdę do aptekarza na Ratcliffe Highway – odezwał się pan Sharp.

– Przyniosę laudanum, żeby uśmierzyć ból.

– Nic mnie nie boli – stwierdziła Sara beznamiętnie. – Nie chcę, żeby makowiny osłabiły moje zmysły, tym bardziej w takiej chwili.

– Ależ, dziecko... – zaczęła Kucharka, korzystając z tego, że ktoś przed nią przełamał milczenie.

Cokolwiek chciała powiedzieć, pozostało niewypowiedziane, bo w gardle urosła jej wielka, niemożliwa do przełknięcia gęła. Dotknęła tylko policzka Sary. Ta popatrzyła na nią.

– Dawno już nie jestem dzieckiem.

– Nie – chlipnęła Kucharka. Wyciągnęła z otchłani fartucha czerwoną chustkę w białe grochy i wydmuchała nos w grzmiącej kanonadzie niczym burta plująca pociskami armatnimi.

Sara poklepała ją po ramieniu i usiadła.

– Poza tym naprawdę nie boli – powtórzyła.

– To dobrze. – Pan Sharp odetchnął.

– Ale jest coś dziwnego – ciągnęła Sara z nutą zaniepokojenia. – Trapi mnie wielkie poczucie... straty. I czuję tę rękę.

– Jakbyś nadal ją miała? – zapytał pan Sharp, spoglądając na Kucharke.

– W pewnym sensie. Owszem, widzę, że jej nie ma, i wzdragam się na samą myśl o tym, ale... mimo to... czuję...

Zawiesiła głos i przymknęła oczy, koncentrując się na tym obcym jej wrażeniu.

– Czujesz dłoń? – podpowiedział pan Sharp.

– Tak – potwierdziła, nie unosząc powiek, i poruszyła lekko kikutem. – Tak, to też, ale jest coś jeszcze... Tak jakbym czuła tę dłoń. Jakby nadal była ze mną połączona...

Otworzyła oczy.

– To nie jest bolesne uczucie, ale też niezbyt miłe. W tych okolicznościach.

Kucharka wydała z siebie kolejną chusteczkową kanonadę.

– Miałam kiedyś kamrata na statku. Nieopodal Tortugi francuska kula łańcuchowa odjęła mu nogę, zabrała ją wprost do morza. Kończyna spadła na dno, zniknęła, ale zawsze kiedy robiło się zimno, mój towarzysz skarżył się, że marzną mu palce u stopy, i to nie tej, którą miał, ale tej, która dawno już utonęła. To taka sztuczka, którą

płata ciało: każe ci czuć coś, czego nie ma. To dlatego, że umysł nie nadaża za utratą.

– Nie, to nie to – zaprzeczyła Sara mocniejszym głosem. – Nie mam wrażenia, że ona tam jest. – Uniosła kikut i przyjrzała mu się w zadumie. – Czuję to tak, jakby była gdzie indziej.

– W lustrze? – podsunął pan Sharp.

Wzruszyła ramionami i wzdrygnęła się.

– Gdziekolwiek jest, to niemiłe uczucie. Nie bolesne, po prostu niemiłe. Jakby była w jakimś... pudle.

Poruszyła ręką, ale patrzyła ponad kikut, jakby na niewidzialną dłoń.

– To umysł płata ci figle – powtórzyła Kucharka. – Jesteś w szoku.

Sara zwróciła na nią oczy, już całkiem skupione i bystre jak zwykle.

– Wiesz, że to nieprawda.

Kucharka otarła kącik oka.

– Przestań – poprosiła Sara miękko.

– Nic nie robię – zaprotestowała słabo Kucharka i znów oddała kanonadę w chusteczkę.

– Dziewczyzna... – zaczął pan Sharp.

– Lucy. Lucy Harker – poprawiła go Sara. – Obiecałam jej, że będzie bezpieczna.

– To złodziejka! – oburzył się. – Zabrała klucz z czarnej klatki.

– Klucz w klatce był przynętą, sam wiesz o tym najlepiej. Nic więc się nie stało. Spełnił swoje zadanie. Segregant nadal pozostaje ukryty. Pomysł z fałszywym kluczem był twój i należy ci się pochwała za przezorność i spryt, że nalegałeś na zastawienie pułapki. – Ta długa przemowa wyraźnie wyzwała osłabioną Sarę z sił. Pan Sharp otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale kobieta tylko pokręciła głową i ciągnęła:

– Musimy ją znaleźć i tu sprowadzić.

– Ależ, Saro, dałaś słowo złodziejce.

– Nieważne, kim ona jest – odwarknęła Sara. – Moje słowo to moje słowo. Poza tym mogła nawet nie wiedzieć, co robi...

– Dobrze wiedziała, co robi, podobnie jak ten, który ją tu przysłał.

– Musimy ją odnaleźć.

– Posłałem po Kowala. Będą tu z Hodge'em o świcie. Razem

postanowicie, co dalej. Ja mam tylko jedno zadanie i nic poza tym się dla mnie... – Ruszył w stronę drzwi.

– Panie Sharp – zawołała Sara.

– Panno Falk – przerwał jej – zamierzam znaleźć twoją dłoń...

– Dziewczyna jest ważniejsza – upierała się Sara.

– Nie. Muszę odnaleźć rękę. Jeśli dziewczyna jest w tym samym miejscu, ją też sprowadzę, ale moim celem jest dłoń.

– Jesteś... niewybaczalnie zawzięty – burknęła Sara, unosząc się z poduszek. – Rób, co mówię. W końcu to moja ręka!

– Nie chodzi tylko o nią – zaprzeczył ostro. – Moim obowiązkiem jest chronienie tego domu, ale ciebie przede wszystkim.

Pokręciła głową rozzłoszczona.

– Tu nie chodzi o jakąś chybioną rycerskość, sprawa rozbija się o...

– Nie. To sprawa życia i śmierci.

– Mogę żyć z jedną ręką – prychnęła. – Mogę żyć...

– Ale nie możesz żyć bez kamienia serca.

Zamilkła jak spoliczkowana.

– Nie tylko twoja dłoń zniknęła, Saro – rzekł. – Wraz z nią straciłaś także pierścienie.

Sara zastygła niczym posąg.

– Odnajdę dziewczynę. Zwrócę ci kamień serca albo... – zająknął się, jakby nie mógł wypowiedzieć na głos tej drugiej możliwości. Skłonił się sztywno i zamknął za sobą drzwi.

– Albo zginę, próbując – dokończyła za niego Kucharka.

– Nie pomyślałam o kamieniu serca – powiedziała Sara w zadumie.

– To głupota z mojej strony. Ale przez utratę dłoni czuję się taka... – urwała, zwracając na Kucharke okrągłe z przerażenia oczy. – Lustra! On nie może...!

– Jest zdenerwowany – uspokoiła ją Kucharka, ostrożnie układając na poduszkach. – Obwinia się. Ale nie martw się. Nie może przejść przez lustro jak... Nie może tam wejść przez lustro, nie przez Segregant, bo wewnętrzne zwierciadło zostało stłuczone, więc droga na skróty do dziewczyny i dłoni przepadła na zawsze.

ROZDZIAŁ XXXI

Uśmiech na gardle

Amos nie utonął. Wpadł do wody w chwili, gdy coś musnęło jego kark. Poczuł szarpnięcie, kiedy ktoś chwycił rzemyk przytrzymujący tabliczkę z napisem NIEMY, ALE ROZUMNY, zanim ten pękł. Znów znalazł się pod wodą, zachłysnął się i zapadł w czernść...

W następnej chwili leżał na brzegu, kaszląc i plując, a coś siedziało mu na piersiach, przyduszając je rytmicznie, jakby był jakąś pompą. Wybawca opróżniał mu płuca z wody, uciskając klatkę piersiową. Amos czuł się jak ludzki akordeon.

Zamachał rękami i usiadł.

Wybawca odsunął się, żeby przyjrzeć mu się w świetle pobliskiego niewielkiego ogniska, które dawało więcej dymu i światła niż ciepła. Okazało się, że był druciarzem. Jego fach dało się poznać po stojącym przy ogniu tobole obwieszonym różnymi naczyniami cynowymi, wśród których znajdowała się również niewielka ostrzałka do noży. Druciarz dźgnął chłopaka palcem.

– W porządku, koleś?

Amos potwierdził skinieniem.

– Utonąłbyś, gdyby nie ja – chełpił się druciarz. – Poszedłbyś na dno jak kamień. Uratowałem ci życie.

Amos spojrzał na niego. Druciarz był brzydki. Bulwiasta czaszka kończyła się w dole szpiczastą szczęką, ta zaś zlewała się z szyją. Kiedy przełknął ślinę, Amos ujrzał wydatne jabłko Adama, wystające bardziej niż broda.

– Może byś zagadał do gościa, co cię wyciągnął z wody? – odezwał się druciarz urażony. – Gościa, co sam zamókł, ratując ci życie?

Amos pokazał, że nie może mówić. Druciarz wpatrywał się w niego.

– Co, kot zżarł ci język?

Amos przytaknął i jeszcze raz odegrał pantomimę wyjaśniającą niemożność mówienia. Potem ujął druciarza za rękę – zimną i bezwładną jak mokra skarpeta – i potrząsnął nią entuzjastycznie, by okazać wdzięczność.

– Znaczy przygłup, hę? Nic to. Siadaj przy ogniu, ochłoń.

Amos przysunął się bliżej ognia. Na węglach stała żeliwna patelnia, na której smażyły się dwie kiełbaski. Druciarz spoglądał na rzekę. Amos zastanawiał się, co ze Sluagh. Wytężał wzrok i słuch, ale nic nie wskazywało na ich bliskość. Słyszał tylko szept myśli druciarza: „Coś dziwnego czai się w tych ciemnościach. Przed czym uciekał? Może to złodziej? A może gonilo go straszydło? Nie widziałem straszydła. Nie chcę zobaczyć straszydła. Ale jeśli to straszydło, nic nam nie będzie. Mamy dużo żelaznych noży w tobole. Żadnego druciarza nie porwały straszydła. Tyle żelaza może odstraszyć zastęp straszyleł. Tatko mawiał, że straszydła nie lubią żelaza i nigdy żadne straszydła go nie wzięły...”.

Myśli druciarza były dziwnie śliskie, miotały się jak ryby w beczce toczonej na targowisko w Billingsgate. Amos potrafił ocenić ludzi na podstawie zarówno tego, co myśleli, jak i tego, w jaki sposób myśleli, a ci, których umysły działały jak ten druciarza, jak kaskady bełkotu, zwykle nie byli godni zaufania.

Kolejny strumień myśli dowiódł przeczuć Amosa: „A co z tym głupkiem? Dziwnie wygląda. Jakby go smołą powlekli. Ciemny, sługa albo niewolnik z Indii czy tam skądeś. Ukradł coś i ucieka? Ma forszę. Dzwoniła w kieszeni. Niezłe buty. Nowy pasek. Za kapotę też się weźmie parę grosza. Nie mówi. No to i nikomu nie powie, bo i jak? Grzmotnąć w łeb, a ocknie się dopiero rankiem. Nie. Nie. Może nie jest taki głupi. Może umie nawet pisać. Jeśli tak, może mnie zdradzić. Niedobrze. Zarznąć go lepiej. Zaraz jak zdejmie kapotę. Żeby się nie poplamiała. Zrobić uśmiech na szyi i szybko odskoczyć, jak zacznie tryskać. Nie patrzeć, póki nie przestanie walić piętami w ziemię. To nie pierwszyczna. Byle nie myśleć za dużo. Ciachnąć szybko i nie patrzeć, póki nie zdechnie. Potem zabrać forszę, buty i pasek i wrzucić go do wody. Może uczepić głąz u szyi? Dać węgorzom na pożarcie? Czysta robota. I to nie żaden mord, bo przecież i tak by utonął, a te

ładne rzeczy poszłyby na zmarnowanie. Węgorzom nie trza butów. Czarnuchom też. Węgorze nie mają nóg. Teraz, wyciągnąć nóż i szybko ciachnąć, jak tylko zdejmie kapotę. Tylko kazać mu ją zdjąć, żeby wysuszyć. A potem będzie trupem...”.

– Mokryś – rzekł druciarz z troską. – Zdejmij płaszcz, zawieś przy ogniu, obeschnie. Inaczej zamarzniesz.

Amos skinął i zdjął płaszcz, zsuwając go z obu ramion jednocześnie.

„Zaczekać, aż zawiesi kapotę przy ogniu. Potem zrobić mu piękny uśmiech na gardle. Zajść od tyłu. Nie poczuje nawet. I nie może krzyczeć, niemy głupek”.

Amos umiał walczyć i miał refleks, wszystko dzięki „braciom”, adoptowanej gromadce Templebane’ów.

Sięgnął tylko do ogniska, by chwycić rączkę ciężkiej patelni, a potem okręcił się i zamachnął najmocniej, jak umiał.

Druciarz stał bliżej, niż sądził. Łokieć Amosa zderzył się z jego ręką, wytrącając mu nóż, a ciężka żeliwna patelnia grzmotnęła brzydała w łeb.

Rozległ się paskudny trzask.

Druciarz zachwiał się, jego głowa zawisała pod dziwnym kątem. Zatoczył się w tył, znikając z kręgu światła, i plasnął w wodę.

Amos podszedł do brzegu i popatrzył na rzekę.

Żadnego chlupotania.

Żadnego trupa.

Żadnego druciarza.

Rzeka go pochłonęła.

Przez chwilę obserwował nurt. Trząśł się i zastanawiał, czy właśnie zrobił coś bardzo złego.

Nie potrafił zdecydować, więc wzruszył ramionami i wrócił do ognia.

Było mu trochę niedobrze po tym, co uczynił.

Ale nie na tyle, by nie mógł zjeść kielbasek.

ROZDZIAŁ XXXII

Zatrzaśnięta pułapka

Rozstawieni pod domem Żyda szpiedzy doczekali się wychodzącego nad ranem pana Sharpa. Poinstruowani, co robić, w razie gdyby dziewczyna nie wyszła z kluczem, przystąpili do działania. Bassetshaw Templebane, którego wielebny Christensen nigdy nie widział na oczy, poszedł na plebanię, przerwał duchownemu śniadanie i pokazał zwiniętą karteczkę, twierdząc, że przechodząc ulicą, ujrzał w oknie młodą dziewczynę, która pomachała na niego, a potem rzuciła mu liścik. Karteczka była obciążona monetą półkoronową (którą wyblągał dla siebie) i kawałkiem kamienia, krwawnika, na którym wyryto podobiznę jednorożca.

W notce stało, że Lucy Harker, podopieczna Francisa Blackdyke'a, wicehrabiego Mountfellona, została porwana, że zaniósł ją do tego domu jakiś człowiek i dziewczyna jest tam przetrzymywana wbrew woli oraz że hrabia ów może zaświadczyć o prawdziwości jej słów, jeśli zostanie mu pokazany kamyk z jednorożcem (który jest częścią pierścionka dobrze hrabiemu znanego).

Zupełnie nieprzypadkowo w tym samym czasie pod dom sędziego pokoju Lemuela Bidgooda zajechał powóz wicehrabiego Mountfellona, a za rogiem ulicy od godziny czekał już w swojej karecie Issachar Templebane, świeży i wypoczęty po dobrze przespanej nocy.

Powozy przystanąły obok siebie, nikt z nich nie wysiadł, a rozmowa pomiędzy pasażerami toczyła się przez otwarte okna.

– Czy dziewczyna wyszła z kluczem? – zapytał Mountfellow, nie zwracając sobie głowy takimi drobiazgami jak powitanie.

– Nie – odrzekł Templebane. – Ale wiedzieliśmy, że

najprawdopodobniej tak się stanie. Teraz powinniśmy przejść do planu awaryjnego, który, jak wspominałem, zapewni nam sukces.

Mountfellow cmoknął zirytowany.

– Widzę, że zgubiłeś po drodze mojego syna – zauważył Templebane mimochodem.

– Sam się zgubił. Wiedział dobrze, że ma się pilnować, bo nie uznamy żadnego powodu zwłoki – stwierdził Mountfellow bez krzty skruchy. – Nie jestem przewoźnikiem, panie Templebane...

– Nie wrócił na postoj, gdy zmienialiśmy konie – wyjaśnił woźnica i kiwnął głową do hrabiego, jakby przeproszał go za podsłuchiwanie.

– No i proszę. Pewnie zaszedł do gospody na kufelek i odsypia go teraz w stajniach, sprawa wyjaśniona.

– Amos nie pije – oświadczył Templebane. – Ale to nic, to nic. Nic na to nie poradzimy, a chłopak pewnie niedługo pojawi się w domu. Jest zaradny.

Templebane nie był zły na obcesowe potraktowanie posłańca. Wiedział, że Mountfellow jest poruszony, bo lada moment ma zdobyć przedmiot, którego pragnął od tak dawna – Klucz Krwi, jak go zwał, albo Wielki Segregant. Templebane'owie nie doszli do fortuny, chowając urazę czy pozwalając, by osobiste sprawy wpływały na interesy. Issachar Templebane był pewien, że Amos odnajdzie drogę powrotną, a zanim wróci, hrabia będzie ukontentowany, Sluagh dostaną swoją flagę, oni zaś, Templebane'owie, prócz zapłaty od hrabiego otrzymają satysfakcję z wymierzenia celnego ciosu Nadzorowi. Przy odrobinie szczęścia Amos wróci akurat na kolację, podczas której będą świętować zwycięstwo.

Sędzia Bidgood został wyrwany ze snu. Ktoś łomotał jego wielką kołatką, jakby diabeł go ścigał. Wybiegłszy na schody prosto z łóżka, sędzia dowiedział się, że jakiś wielki pan czeka w sieni, twierdząc, iż jego podopieczna została porwana, a wraz z nią skradziono cenną własność, i że jedno i drugie znajduje się obecnie w jakimś domu w gminie Bidgooda.

Ubrał się pospiesznie i byle jak, po czym rozczochrany i nieogolony zszedł, by powitać gościa. Sędzia nie był wysokim mężczyzną, a ponieważ Mountfellow, człowiek słusznego wzrostu, nie chciał

usiąść, Bidgood musiał podczas rozmowy zadzierać głowę. Nie dość, że gość wisiał nad nim niczym burzowa chmura, to jeszcze niewygodna postawa dawała się sędziemu we znaki, pogłębiając oszołomienie i dyskomfort spowodowany obcesowym najściem.

Wyjaśniono Bidgoodowi, że Templebane, londyński agent Mountfellona, przyprowadził hrabiego do sędziego natychmiast, gdy tylko jego chlebobawca pojawił się o świcie u jego drzwi, przyjechawszy prosto z Rutlandshire.

Na potwierdzenie tej historii Mountfellow przedłożył szkic rzekomo skradzionego klucza o uchwycie w kształcie łba kobry oraz opisał dziewczynę – choć według sędziego na podstawie tego opisu trudno byłoby ją odróżnić od jakiegokolwiek rudej, zgrabnej kobiety – nadmieniając, iż nosiła szczególny pierścień pieczęciowy, którego grawerunek, lew stojący naprzeciw jednorożca, mógł pokazać odbity w wosku na starym liście.

Gdy Bidgood z należyty szacunkiem i odrobiną wahania zapytał, skąd dżentelmen wie, że w takim wielkim stogu jak Londyn ta szczególna igła znajduje się akurat w gminie Wellclose Square, został chłodnym, protekcjonalnym tonem poinformowany, że podczas kradzieży unieszkodliwiony przez napastników lokaj usłyszał, jak ci śmieją się i opowiadają o zanieśieniu łupów do domu przy Wellclose Square.

– Wellclose Square należy do twojej jurysdykcji, czyż nie? – zakończył Mountfellow. – A może się mylę?

Sędzia Bidgood wyjąkał potwierdzenie i przestał drążyć tę kwestię, ponieważ znów rozległo się łomotanie do drzwi. Kiedy je otwarto, w progu ukazał się duński pastor prowadzący młodzieńca o niewinnym spojrzeniu. Bassetshawowi Templebane'owi nawet powieka nie drgnęła na widok ojca i brata. Poza innymi umiejętnościami posiadał on talent aktorski.

Wielebny Christensen (zaalarmowany opowieścią Bassetshawa o postaci w oknie i rzuconym na ulicę liściku) natychmiast wstał od swego porannego piklinga, narzucił wyjściowy płaszcz i pospieszył do domu sędziego w nadziei, że otrzyma pomoc i wsparcie oddziału krzepkich konstabli.

Jego historia brzmiała tak, jak opowiedział ją Bassetshaw. Liścik został otwarty i odczytany parokrotnie. Bassetshaw po raz kolejny zapytał, czy może zatrzymać pół korony, na co otrzymał zgodę. Ucieszony poszedł do domu, podając wcześniej fałszywy adres, pod którym sędzia miał szukać go w razie potrzeby uzyskania dalszych zeznań. W tej chwili towarzyszący Issacharowi Coram, też niezły aktor, zwrócił się do wielebnego, jakby uderzony pewną myślą, i zapytał, czy pastor pamięta dziwnego mężczyznę z workiem na plecach, którego widzieli nocą, a który mógł być rzeczonym złodziejem i porywaczem. Pastor natychmiast pogrążył się w poczuciu winy i zaczął szarpać sędziego, mówiąc, że istotnie, widział owego człowieka, po czym jął sobie wyrzucać, że gdyby wiedział, może zdołałby uratować biedną dziewczynę przed strasznymi, które z pewnością spotkały ją przez noc.

Poruszony tym wszystkim sędzia, przekonany, że właśnie stoi przed nim szansa zapobieżenia haniebnej (oraz bez wątpienia wkrótce słynnej i dyskutowanej) zbrodni, a także zadzierzgnięcia więzi z jednym z największych arystokratów w kraju, żywo posłał po konstabli, którzy zjawili się niemal natychmiast. Uzbrojeni w drabiny i łomy, chyżo pobiegli w kierunku Wellclose Square.

Templebane wycofał się na drugi plan rozgrywającej się sceny.

Mountfellon i sędzia wsiedli do karocy hrabiego i pomknęli ku sprawiedliwości przez wąskie uliczki, które akurat zaczynały nabrzmiewać gwarem budzącego się miasta.

Wkrótce drzwi do domu Sary zostały poddane takim samym perkusyjnym działaniom jak wcześniej drzwi posiadłości wielebnego i sędziego. Początkowo uporczywe dobijanie się nie dawało żadnych rezultatów. Kolejny grad łomotów został przerwany w połowie przez gwałtowne usunięcie się skrzydła i pojawienie się w progu Kucharki.

Co bystrzejsi konstable cofnęli się na widok tasaka rzeźniczego w jej dłoni. Jeden z pozostałych wystąpił służbiście naprzód.

– Otwierać w imieniu prawa! – wyrecytował.

– Właśnie otworzyłam – stwierdziła Kucharka. – Inaczej byśmy się nie widzieli, nieprawdaż?

– No tak – przyznał dzielny mundurowy, ponieważ zauważając

narzędzie w jej ręku. – Eeee...

Trudno bowiem było nie zauważyć teraz tasaka, który Kucharka podrzuciła w górę i złapała za rączkę, nawet nań nie patrząc.

– Bo gdybym nie otworzyła, pewnie nadal odłupywalibyście mi farbę z drzwi i zostawiali ślady brudnych paluchów na mojej czyściutkiej kołatce, prawda? – Uśmiechnęła się.

– Yyy, tak – potwierdził konstabl i przełknął nerwowo ślinę na widok jej spojrzenia, twardego niczym stal tasaka.

– A więc, drodzy konstable, skoro już to sobie wyjaśniliśmy, czym możemy wam służyć? – zapytał pan Sharp, uśmiechając się uprzejmie ponad ramieniem Kucharki.

– Gdzie jest właściciel tego domu? – zapytał Bidgood zza szeregu mundurowych.

– Czy ktoś coś powiedział? – zdziwiła się Kucharka, przesuwając wzrokiem po policjantach. – Bo nie zauważyłam, żeby któryś z was poruszał ustami?

Sędzia przepchnął się naprzód.

– Mam nakaz przeszukania tej nieruchomości – oświadczył.

– Nieruchomości! – prychnęła Kucharka, mierząc go spojrzeniem, po czym zwróciła się do pana Sharpa: – Ten dżentelmen określa to mianem „nieruchomości”! – Popatrzyła znów na Bidgooda. – To jest dom, a nie żadna nieruchomość. I to szanowany dom, zamieszkiwany przez praworządnych obywateli.

– A ja jestem sędzią pokoju! Mam podstawy, by sądzić, że w domu tym znajduje się dziewczyna. Porwana i przetrzymywana tu wbrew woli! – wybuchnął Bidgood i zerknął przez ramię na karocę, jakby szukał wsparcia ze strony obserwującego wszystko z wnętrza powozu arystokraty. Zauważywszy pojazd, pan Sharp trącił łokciem Kucharke i oboje skupili na nim uwagę.

– Do tego w tym domu może się znajdować również skradziona własność. Poddamy go przeszukaniu.

Bidgood podał gospodarzom pospiesznie nagryzmołony nakaz. Kucharka i pan Sharp przeczytali pismo.

– Jest legalny – stwierdził pan Sharp.

– Zaiste – potwierdziła Kucharka.

- Musimy go więc przestrzegać – szepnął. – Składaliśmy przysięgę.
- Na tym właśnie polega kłopot z przysięgami – odmruknęła Kucharka. – Nigdy nie wychodzą przysięgającemu na dobre.
- Ustąpcie – zagrzmiał Bidgood – inaczej będę zmuszony was aresztować.
- Na terenie tej nieruchomości nie ma żadnej dziewczyny ani skradzionego przedmiotu – rzekł pan Sharp, zaglądając sędziemu głęboko w oczy. – Ma pan na to moje słowo.
- I moje – dorzuciła Kucharka.
- Cóż... – Bidgood zaczął się wahać, znalazłszy się pod czarem ciepła bijącego z oczu Sharpa. – Cóż...
- Sprawdźmy to sami – powiedział ktoś lodowato.
- Mountfellow, zniecierpliwiony zwłoką, wysiadł z karety i zmierzał właśnie ku stojącej przy drzwiach grupce osób.
- A pan jest...? – zapytała Kucharka.
- Nieprzyzwyczajony do tłumaczenia się służbie – zbył ją.
- Kucharka zeszywniała. Pan Sharp spokojnie wyjął tasak z jej ręki. Odetchnęła, uspokajając się.
- Strona poszkodowana – pospieszył z odpowiedzią Bidgood, odzyskując rezon.
- Nie sądzę – mruknęła Kucharka. – Raczej chodzące tarapaty.
- Proszę? – Bidgood nadstawił ucha. – Nie dosłyszałem?
- Mówię, że może ma pan nakaz, ale o czymś pan zapomniał – rzekła głośniejszym głosem Kucharka, nadymając się niczym żagiel, który właśnie nabrał wiatru.
- Dokument jest legalny – zaprotestował sędzia.
- Owszem, ale zapomniał pan powiedzieć „proszę”.
- Bo nie muszę. – Bidgood się naindyczył. – Jestem urzędnikiem sądowym i...
- Proszę – odezwał się Mountfellow, aczkolwiek w jego wykonaniu przypominało to raczej rozkaz, nie prośbę.
- Właścicielka domu, panna Sara Falk, jest aktualnie niedysponowana – zaznaczył pan Sharp. – Proszę więc czynić swoje powinności, nie hałasując.
- Jej pokój także będziemy musieli przeszukać – zastrzegł sędzia,

przepychając się do środka. – Musimy wykonać obowiązki należycie.

Przeszukanie zaiste było dokładne. W kuchni nie przeoczono niczego z wyjątkiem ukrytych drzwi do tajnego przejścia prowadzącego do Prywatnych Cel i dalej, do Tower. Kuchnia została przeszukana pod czujnym okiem Kucharki, która sprawiała wrażenie, jakby lada moment miała stracić nerwy i sięgnąć po wiszący wśród garnków garłacz. Następnie sprawdzono pokoje na parterze, opukując dokładnie podłogi i ściany w poszukiwaniu tajnych przejść bądź skrytek. W dalszej kolejności konstable przenieśli się na piętro.

Mountfellow krążył niecierpliwie za plecami stróżów prawa, przeczesując wzrokiem każdy zakątek domu i zapamiętując każdy szczegół w celu późniejszej oceny. Po dotarciu na podest, ujrawszy drzwi do biblioteki, zeszywniał i zamarł.

– Ach – rzekł pan Sharp, pojawiając się za jego plecami. – To o to ci chodzi. – Mountfellow odwrócił się i ich spojrzenia się skrzyżowały. – Kim jesteś? – zapytał Sharp tak cicho, że nie słyszał go nikt prócz wicehrabiego.

– Możesz starać się ze wszystkich sił namieszać mi w głowie, ale to na nic – syknął wicehrabia. – Jak widzisz, noszę ciemne okulary i ostrzegam cię, jeśli jeszcze tego nie wyczułeś, jestem uzbrojony w żelazo.

Rozsunął kamizelkę, pod którą miał cienki metalowy gorset.

Oczy pana Sharpa rozszerzyły się i zaiskrzyły rozbawieniem.

– Żelazo! – Udał, że cofa się wystraszony. – Och, widzę, że mnie przejrzałeś...

– Owszem. Jestem człowiekiem nauki i zabezpieczyłem się przed twoimi mocami – oświadczył Mountfellow równie cicho, a potem dodał głośnie: – Masz moją własność i, na Boga, odzyskam ją. Otwórzcie te drzwi!

– Są zamknięte na zamek – rzekł pan Sharp.

– To je wyważcie! – huknął Mountfellow.

Jeden z konstabli spojrział na Bidgooda, a kiedy ten skinął potwierdzająco, zamierzył się łomem. I nagle poczuł, że w ręce ma pustkę.

– Oj! – zdziwił się, widząc stojącego obok pana Sharpa z jego łomem

w dłoni.

– Proszę wybaczyć – zaczął pan Sharp. – W tej bibliotece znajduje się wiele cennych, antycznych przedmiotów, dlatego trzymamy je pod kluczem. Ale jeśli pragniecie tam wejść – sięgnął do kieszeni – wyrządźcie mniej szkód, jeśli użyjecie tego klucza.

Wręczył go konstablowi. Mężczyzna spojrzął na klucz, potem na drzwi i wzruszył ramionami.

– Co racja, to racja – powiedział, biorąc przedmiot.

– Stać! – krzyknął sędzia zdławionym głosem i nim konstabl się zorientował, o co chodzi, znów patrzył zaskoczony na pustą rękę.

To Bidgood przyskoczył do niego i zabrał klucz. Sędzia aż się trząś z podniecenia, kiedy sięgał za pazuchę, żeby wyciągnąć okulary.

– Wielmożny panie – zwrócił się do Mountfellona – mam go!

– Co takiego? – zapytał pan Sharp, przypatrując się podskakującemu z radości sędziemu.

– Atak choroby świętego Wita, z tego, co widzę – skomentowała Kucharka. – Albo jakieś niedogodności dolnych partii ciała.

– Panie! – Bidgood podniósł klucz do góry. – Proszę pokazać mi szkic!

Mountfellow, gapiąc się na przedmiot w ręce sędziego, powoli wyjął z kieszeni kartkę. Jakby nie dowierzając własnym oczom, rozłożył ją. Widniał na niej rysunek klucza.

Takiego samego, jaki miał w ręce Bidgood.

– Na Boga i Newtona! Naprawdę go pan ma! – wykrztusił, wypuszczając z palców papier i ruszając ku sędziemu, żeby odebrać zdobycz. – A teraz mam go ja – szepnął.

– O co tyle zamieszania? – Kucharka wzruszyła ramionami. – Przecież to zwykły klucz...

Zerknął na nią poirytowany, ale zaraz powrócił wzrokiem do swojego skarbu.

– Nędzny podstęp. – Uśmiechnął się. – Zaiste, to nędzny pomysł, żeby ukryć go na widoku.

– Nikt niczego nie ukrywał – rozległ się głos z góry.

Na schodach jak duch stała Sara Falk – blada, w powłóczystej jedwabnej szacie, przytrzymując się poręczy. Okaleczoną rękę

trzymała przy ciele ukrytą w temblaku z czerwonej jedwabnej chusty.

- Pan Sharp dał go dobrowolnie – zauważyła.
- Ja myślę, przecież należy do mnie – rzekł Mountfellow. – I tylko do mnie. Skradliście mi go.
- Nie wiem, o czym pan mówi – powiedziała, a Kucharka podbiegła na górę, żeby ją podtrzymać. – To zwykły stary klucz. Myli się pan, zapewniam, że należy do mnie.
- Jest bezcenny – syknął Mountfellow. – I nie należy do was. Jest jedyny w swoim rodzaju, cenniejszy niż cokolwiek, co zwykły człowiek jest w stanie sobie wyobrazić! – Spojrzał na Bidgooda rozognionym, chciwym wzrokiem. – Musimy przeszukać ten dom! Jestem pewien, że znajduje się tu więcej skradzionych przedmiotów!
- Unikalnych? Podobnie jak ten klucz? – Kucharka uniosła brwi.
- Oczywiście! I dobrze o tym wiecie!
- Ach tak. Skoro więc jest taki unikalny, to co to jest? – Podniosła kółko z kluczami, które zwykle miała przypięte do fartucha.

Każdy z nich miał uchwyt w kształcie głowy kobry.

- Albo to? – Pan Sharp wskazał na inne drzwi, w których zamku tkwił identyczny klucz.
- Wszystkie klucze w tym domu są takie – oświadczyła Sara. – Dziadek, który zbudował ten dom, mówił, że kobra w starożytności była uznawana za strażnika sekretów. Miał fantazję. Proszę, sprawdźcie to, jeśli chcecie.
- Ale... – Mountfellow zająknął się, purpurowiejąc, a żyła na jego skroni niebezpiecznie nabrzmiała. – Ale...
- Jeśli chce pan taki sam, proszę się udać do pana Chenevixa, który ma warsztat ślusarski przy Ratcliffe Highway – ciągnęła Sara. – Robi dla nas wszystkie klucze.
- Ach! – wykrzyknął konstabl, który próbował włamać się do biblioteki. – To prawda! Wiedziałem, że już gdzieś mignął mi podobny klucz. Stary Chenevix robi różne takie cuda, z końcówkami w kształcie słońca, końskiego łba, muszelek. Są bardzo ładne. To u niego je widziałem!
- A co z dziewczyną?! – wybuchnął Mountfellow. – Za tymi drzwiami mogą przetrzymywać dziewczynę. Od razu widać, że to

podstęp...!

– Otwórzcie je – przerwała mu Sara. – Nie ma tam żadnej dziewczyny. Możecie przeszukać cały dom od piwnicy aż po dach. Mylicie się.

Ugięły się pod nią nogi, ale czujna Kucharka podtrzymała ją i pomogła usiąść na schodach. Pan Sharp machnął na drzwi.

– Proszę bardzo. Jak mówi panna Falk, nikogo tam nie znajdziecie. W domu jesteśmy tylko my troje.

Mountfellow zrobił krok w stronę drzwi, ale pan Sharp zastąpił mu drogę.

– Nie wiem, kim jesteś – zwrócił się do niego szeptem – ale jeśli twoje naruszenie spokoju tego domu zaszkodzi w jakikolwiek sposób panie Falk, ostrzegam z góry, że odnajdę cię i zażądam satysfakcji.

Hrabia skrzywił się w drwiącym uśmiechu.

– Jakież to urocze i staromodne. A teraz daj mi przejść.

Pan Sharp zabrał mu klucz i sam otworzył drzwi.

– Proszę uważać – ostrzegł zebranych. – W pokoju znajduje się kobra na wolności.

Mountfellow zatrzymał się w progu, a konstable cofnęli się jak jeden mąż, jakby ćwiczyli musztrę.

– Wąż? – zaskrzeczał Bidgood.

– Panie Sharp – odezwała się Sara – proszę ich nie drażnić.

– W przeszklonej szafce znajduje się wąż – wyjaśnił pan Sharp. – Uciekł ze swojej klatki, która wymaga naprawy.

– Chyba nie tylko klatka – zauważył Mountfellow, przekraczając próg i omiatając rozognionym wzrokiem wnętrze biblioteki. – Najwyraźniej zdarzył się tu jakiś wypadek.

Największy stół na środku pokoju był wyczyszczony ze zwykle zalegających na nim stert papierów i książek, a na jednym jego krańcu leżały odłamki lustra, rozsypane na blacie jak czekające na złożenie puzzle.

– Czeka was siedem lat nieszczęścia. – Mountfellow uśmiechnął się złośliwie.

– Bezpodstawny przesąd – odparował pan Sharp.

– W waszym przypadku raczej niedopowiedzenie – stwierdził

wicehrabia i podkręcił lampy.

Bibliotekę i zgromadzone w niej skarby zalało jasne światło. Obok czarnego postumentu leżała kupka metalowych pasków, z których upleciona była klatka. Wicehrabia podszedł do regałów i przesunął wzrokiem po osobliwościach z nieskrywaną pożądlivością. Dotknął wyrzeźbionego oblicza Zielonego Człowieka, które wyglądało jak zdjęte z dawno zapomnianego dachu kościoła, a potem wyjął księgę z półki powyżej. Spijał wzrokiem każdy szczegół, zapamiętując wszystko. Stojąc plecami do reszty, pozwoilił sobie na cień uśmiechu.

– Jak duża jest ta dziewczyna? – zapytała Kucharka.

Odwrócił się. Sharpa nie było.

– Przeciętnego wzrostu. I ma rudawe włosy.

– A więc nie jest na tyle mała, żeby zmieścić się w książce? – powiedziała Sara, wchodząc chwiejnie do biblioteki i gestem zbywając niezadowolone cmoknięcie Kucharki. Usiadła na twardym krześle przy drzwiach i wyprostowała plecy. – Jeśli byłby pan tak miły, proszę nie dotykać niczego, czego sprawdzenie nie jest konieczne.

Gdy to mówiła, pan Sharp biegł z nadnaturalną szybkością przez dom. Wpadł do sekretnego przejścia i nie zapalając światła, pognął tunelem pod miastem, minął drzwi do Prywatnych Cel i zaczął się wspinać po chodniku biegnącym pod murem Tower.

Sara bacznie obserwowała stojącego pośrodku biblioteki Mountfellona. Widziała, jak jego dłonie się poruszają, mimowolnie zdradzając chciwość i pragnienie dotknięcia albo zabrania przedmiotów poustawianych na półkach. Dostrzegała też ledwie tłumioną chęć, by złapać jeden czy drugi i schować za plecami. Pulsująca żyła na skroni i falujące mięśnie szczęk zdradzały, ile wysiłku kosztowało go powstrzymanie się przed tym. Nie uszło również jej uwadze, że nieustannie prześlizgiwał się wzrokiem po otoczeniu, zaprzęgając do pracy fotograficzną pamięć, gromadząc w niej wszystko, aby w przyszłości wypakować stamtąd poszczególne obrazy i dokładnie je przestudiować. Dzika żądza w jego spojrzeniu może i nie zagarniała skarbów naprawdę, lecz sama w sobie była profanacją budzącą w Sarze nie tylko dyskomfort, ale wręcz grozę.

Konstable dyskretnie przeszukiwali sypialnię pani domu,

tymczasem pan Sharp zwał Hodge'a z łóżka i w skrócie opowiedział o tym, co się dzieje. Gdy konstable uznali, że jedynymi żywymi istotami na strychu są co najwyżej myszy, Sharp pędził już z powrotem, Hodge zaś, poinstruowany przez przyjaciela, zdążył odnaleźć Kruka pod południowym murem White Tower i przekazywał mu wieści. Pan Sharp wbiegał do kuchni, a Kruk drążył niewidzialny tunel w porannej mgle stanowiący mniej więcej odbicie podziemnej drogi, jaką człowiek pokonał właśnie w tę i we w tę.

Przeszukanie odbyło się szybko, ale rzetelnie. Konstable wrócili na piętro zdać sprawozdanie i zostali odesłani do sprawdzenia wszystkiego jeszcze raz, w bibliotece zaś pozostało już ostatnie miejsce do przejrzania.

– Wobec tego musi być w serwantce – orzekł Mountfellow. – A historyjka o wężu to tylko kolejny podstęp, który ma nas skłonić do zaprzestania poszukiwań.

– Jak pan chce, proszę sobie otworzyć szafę – powiedziała Kucharka. – Ale ja wychodzę. I proszę poczekać, aż zamknę drzwi. Na widok węża nie umiem powstrzymać się od wrzasków.

Konstale spojrzeli nerwowo na Bidgooda.

– Otwórzcie szafkę – rozkazał. – Tylko ostrożnie.

– Ja to zrobię – zaproponował pan Sharp, jakby stał przy drzwiach przez cały ten czas. Mountfellow jako jedyny zauważył jego nieobecność.

Sharp podszedł do serwantki, szybko otworzył drzwiczki i złapał atakującego węża w powietrzu.

Wąż przez moment pozostawał sztywny niczym oskarżycielski palec wyciągnięty w stronę hrabiego, a potem, gdy Sharp wyszeptał coś do wgłębienia z boku łba, gdzie znajdowałyby się uszy, gdyby węże je miały, rozdziawił paszczę, łypnął rozwścieczonymi czerwonymi ślepiami i zawisł bezwładnie jak strzęp materiału.

– Ciekawe. Chyba pana nie polubił – skomentował Sharp.

Mountfellow wyminął go i szerzej otworzył drzwiczki serwantki. Wewnątrz na dwóch ściankach i plecach drzwiczek znajdowały się lustrzane tafle i nic poza tym. Na jednym z boków brakowało zwierciadła, które obecnie leżało w kawałkach na stole.

Wicehrabia okręcił się z gniewnym prychnięciem, a żyła na jego skroni groźnie się wypuczyła.

– Żądam, aby wszystkie przedmioty z tego domu zostały zajęte i zabrane! – krzyknął. – To wszystko to jakieś nieczyste sprawki!

– Jediną nieczystą sprawką są pana machinacje, na podstawie których zyskał pan dostęp do prywatnego domu – powiedziała z mocą Kucharka, podając mu papiery, które upuścił na korytarzu.

Pan Sharp uśmiechnął się do sędziego.

– Mam nadzieję, że sam pan widzi, iż nie przechowujemy tu niczego nielegalnego. Nie chcielibyśmy zabierać więcej pańskiego cennego czasu, panie Bidgood.

– No tak, oczywiście... – jękał się biedny sędzia uwięziony pomiędzy nieugiętym spojrzeniem wicehrabiego a ciepłym wzrokiem pana Sharpa. – Możliwe, że...

– Zaiste możliwe – potwierdził pan Sharp, odprowadzając sędziego do drzwi. – Możliwe, że wszystko to było jednym wielkim nieporozumieniem. Możliwe, że ktoś rzucił na pannę Falk fałszywe oskarżenia, pragnąc sprowadzić na nią nieszczęście. – Zerknął przez ramię na Mountfellona. – Możliwe też, że ktoś źle poinformował obecnego tu pańskiego przyjaciela.

– Nie jestem jego przyjacielem – obruszył się wicehrabia, nie mogąc oderwać się od pomieszczenia, w którym każdy przedmiot wywoływał świerzbiecie jego palców. – Ani także pana, zapewniam. – Z wyraźnym oporem, jakby jego umysł staczał walkę z ciałem, opuścił bibliotekę i ruszył schodami ku wyjściu.

– Do zobaczenia, panie...? Nie dosłyszałem pańskiego nazwiska. – Pan Sharp uśmiechnął się, kiedy wicehrabia go mijał.

– Nie podałem go, przeklęty kmiotku! – syknął Mountfellow. – Ale spotkamy się jeszcze, to pewne. I drugi raz mnie nie przechytrzycie!

Kucharka i pan Sharp odprowadzili konstabli i Bidgooda, którzy opuścili dom zaraz za hrabią. Widzieli, jak Mountfellow wsiada do karocy, jak woźnica zacina bat, a konie ruszają klusem i szybko wywożą nieproszonego gościa z placu.

– Co to za człowiek? – zastanawiała się Kucharka.

– Z pewnością wróg – odparł Sharp. – Ale może nie Wróg przez duże

W.

– Powinniśmy go śledzić.

– Śledzimy go. – Pan Sharp wskazał na niebo, gdzie pod porannym słońcem krążył kruk. Po chwili ptak skierował się w stronę, w którą odjechał powóz, i zniknął w oddali.

ROZDZIAŁ XXXIII

Śniadanie Pyefincha

Lucy ocknęła się bladym świtem, wyrwana ze snu zapachem smażonego bekonu i odgłosem stłumionej rozmowy odbywającej się gdzieś poza polem jej widzenia. Leżała pod płóciennym sklepieniem na sienniku z worków po mące wypchanych suchymi liśćmi paproci. Pod kocem było jej ciepło, ale na twarzy czuła chłód, który skłonił ją do pozostania pod przykryciem podczas snucia rozważań nad tym, co robić dalej.

Musiała uciekać, tego była pewna.

Zawsze musiała uciekać.

Ale jej umysł nie był całkiem jasny. Z odmętów pamięci wyłoniło się jedno z niewielu wspomnień z życia, jakie wiodła wiele lat po stracie matki. Piła brandy, piekącą ciecz, którą ukradła lubieżnemu przewoźnikowi obsługującemu przeprawę w Étaples. Flisak był tak pijany albo tak pochłonięty rozpinaniem jej sukni, że nie zauważył, jak wyjęła mu butelkę z kieszeni i wymierzyła mu nią cios w głowę. Butelka była zrobiona z grubego szkła, więc przetrwała uderzenie, choć chrzęst, który rozległ się w momencie zderzenia, sugerował, że czaszka flisaka nie miała tyle szczęścia. Nie wypuszczając butelki, Lucy zaczęła biec przez tonące w nocy miasto, aż dotarła do piaszczystych wydm, za którymi rozciągało się skąpane w poświacie księżycy morze. Zatrzymała się tam i wypila piekącą zawartość flaszki, żeby powstrzymać drżenie i wymazać wspomnienia gorącego oddechu flisaka na karku i jego rąk na ciele. Brandy wypalało jej gardło i szumiało w głowie. Po raz pierwszy i ostatni była wtedy pijana. Rankiem ocknęła się, wymiotując na zimnej plaży, na której wcześniej odurzona zasnęła. Zdawało się, że wymioty odeгнаły kaca, ale, jak się okazało, tylko na chwilę. Resztę dnia spędziła, leżąc

w wysokiej trawie na wydmie i dochodząc do siebie. Słońce powoli ogrzewało piasek, a ona obserwowała wypływających i przybijających do brzegu rybaków i pragnęła umrzeć.

Właśnie tak czuła się teraz – jakby miała kaca. Po wypiciu brandy cierpiała na jeszcze jedną dolegliwość – zanik pamięci. Bez względu na to, jak bardzo się starała, nie umiała przypomnieć sobie drogi z przeprawy na plażę ani ocenić, ile czasu była nieprzytomna. Podobnie teraz – uświadomiła sobie istnienie wielkich dziur w pamięci. Były tak zaskakująco przepastne, że nie potrafiła się na nich skupić.

Z zeszłej nocy pamiętała podróż w worku i wydarzenia, które później miały miejsce w domu przy Wellclose Square, ale nic od chwili, gdy wypła mleko, po moment, gdy ocknęła się z węzłem w ręce i palącą potrzebą ukrycia się. Wzdrygnęła się na wspomnienia wpadnięcia w lustro bez stłuczenia tafli, widoku kobiety ze świńskim łbem w namiocie cyrkowym, oszołomienia, klauna, a nade wszystko czarnej dłoni sunącej ku niej niczym wcielenie zemsty. To był koszmar.

Obrazy te były tak żywe, że aż wyskoczyła z łóżka i nie bacząc na pomruki śpiących ludzi, o których się potykała, błyskawicznie dotarła do otworu wyjściowego.

Wypadła na zewnątrz i rozejrzała się wokół.

Niestety, koszmar nie okazał się snem. Stała pośrodku łąki. Jasne promienie słońca dopiero zaczynały osuszać unoszącą się nad ziemią mgłę świtu. Przed namiotem paliło się niewielkie ognisko, a przy nim siedział chłopak mniej więcej w jej wieku, który pilnował plastrów bekonu smażących się na poczerniałej żeliwnej patelni. Chłopak odwrócił się do niej i zmarszczył twarz w szczerym, urzekająco krzywawym uśmiechu.

– O, bonżur ponownie, madmłazel – powitał ją. – I komą tali wu, jeśli mogę tak obcesowo?

– Alezuję się cholernie dobrze, dzięki – odezwała się po chwili.

Jego uśmiech poszerzył się i wyrównał.

– O, więc nie jesteś Francuzką?

– Nie. Nie całkiem. A ty jesteś klaunem.

– Nie. W każdym razie nie bez tej przeklętej białej mazi. Z normalną twarzą jestem sobą, Charliem.

Jego uśmiechowi naprawdę trudno się było oprzeć, przez co chłopak stanowił zagrożenie. Lucy czuła, że powinna brać nogi za pas, ale zatrzymywał ją w miejscu zapach skwierczącego na patelni bekonu, a także fakt, że miała bose stopy, które zaczęły cierpnąć od chłodu porannej rosy. Zadrżała.

– Wystaw stopy do ognia – poradził jej Charlie, którego bystre oczy dostrzegały wszystko. – Popilnuj bekonu, a ja przyniosę ci jakieś buty i koc.

Skoczył na równe nogi i z wesołym mrugnięciem wręczył jej patyk, którym przewracał bekon, po czym zniknął w namiocie.

Przemknęło jej przez myśl, że to dobry moment na ucieczkę, ale chłopak wyglądał na szybkiego, zapewne wróci więc lada chwila. Pozostawała też kwestia butów i perspektywa bekonu, a jeśli wzrok jej nie mylił i dobrze widziała zawartość koszyka stojącego przy pniaku, na którym siedział klaun, również jajek. Ledwie zaczęła obracać bekon, chłopak wrócił. Miała rację, był szybki.

– Buty. – Podał jej. – Koc.

– Dzięki. – Wymieniła kijek na przedmioty. Napotkawszy wzrok chłopaka, poczuła się nieswojo, pokryła więc zmieszanie pytaniem:

– Charlie, a dalej?

– Pyefinch – odrzekł, po czym przybrawszy poważną minę, skłonił się teatralnie. – To znaczy pan Charles Allflatt Pyefinch, do usług. Ale wszyscy mówią na mnie Charlie. A ty jak się nazywasz?

– Falk – rzuciła bez sekundy wahania. – Sara Falk.

Lucy przetrwała do tej pory, stosując się do własnych zasad. Może i był bekon, może i były jajka, ale śniadanie i miły uśmiech nie zobowiązywały do wyjawiania prawdy, tym bardziej że chwilowo sama nie bardzo wiedziała, co jest prawdą.

Wyciągnął rękę i uścisnęli sobie dłonie.

– Witaj, Falk. Miło cię poznać.

– Zemdlałam – stwierdziła.

– Albo dostałaś czymś w głowę – zgodził się. – Tak przynajmniej sądzą.

– Oni, czyli kto?

– Mama i tata – odpowiedział, wskazując brodą na namiot, z którego wyszła. – Mama powiedziała, że nie można cię tak zostawić, a nikt z miasteczka cię nie znał, więc kiedy wszystko się trochę uspokoiło, kazali cię tutaj przynieść. No i jesteś. Śpią tak długo, bo do późna ogarniali ten bałagan.

Lucy miała ochotę zapytać, gdzie konkretnie jest owo „tutaj”, ale nie zamierzała zdradzać, że nie wie, gdzie się znajduje.

Podczas rozmowy nie przestawała rozglądać się wokół. W pobliżu tłoczyło się wiele namiotów i zadaszonych płótnem wozów, a nieco dalej, przy kępie wierzb, stał duży cyrkowy namiot przystrojony trochę wyblakłymi, ale barwnymi girlandami proporczyków. Rozstawione w pobliżu dużego mniejsze namioty miały na frontach jaskrawe napisy. Z tej odległości Lucy była w stanie odczytać dwa: GABINET CUDÓW oraz PANI SOWERBY, ŚWIŃSKA DIWA – JEDYNA W SWOIM RODZAJU TRESOWANA ŚWINIA!

– Jaki bałagan? – zapytała.

Wskazał na wielki namiot i wyjaśnił, że poprzedniego wieczoru po niezwykle udanym jarmarku, na którym mieszkańcy okolicznych miasteczek i wsi bawili się dobrze i sypali groszem, cyrkowcy pozamykali stoiska i rozsiedli się z rodzinami przy ogniskach, żeby policzyć zysk i zjeść posiłek. Słodki spokój wieczoru, opowiadał, został zakłócony przez krzyki i hałasy dobiegające z głównego namiotu i wszyscy pobiegli sprawdzić, co się dzieje. Okazało się, że Duża Nellie biegała wolno i przewracała latarnie, co groziło pożarem. Cyrkowcy, ludzie z natury przytomni i zaradni, uspokoiili rozszalałą Nellie i ugasili zarzewia ognia, zanim płomienie rozprzestrzeniły się na większą część namiotu. Ucierpiało jedynie duże lustro, które Na-Barno Eagle wykorzystywał do magicznych sztuczek.

– W końcu Nellie się uspokoiła, więc nic takiego się nie stało – zakończył Charlie, spoglądając na patelnię. – I tyle. No, Falk, masz ochotę na jajko?

Lucy przytaknęła. Chłopak wbił na patelnię dwa jajka, odsuwając wcześniej bekon, żeby się z nimi nie stykał.

– W każdym razie wtedy znaleźliśmy cię w namiocie na ziemi,

śpiącą jak niemowlę – dorzucił. – A raczej nieprzytomną.

Urwał, zawiesiwszy w powietrzu niezadane pytanie, ale ponieważ Lucy nie podjęła wątku, wzruszył ramionami i wrócił do gotowania. Dziewczyna była pochłonięta wplataniem jego opowieści w dywan własnych wspomnień. Wyglądało na to, że jakimś cudem wpadła przez lustro z domu w Londynie do cyrkowego namiotu, co wywołało zrozumiałą szok i omdlenie. Już zaczęła godzić się z tą myślą i uspokajać, gdy w jej głowie pojawił się obraz dłoni skradającej się ku niej niczym czarny krab. Zadrżała i automatycznie spojrzała na siebie, jakby przerażający stwór wspinał się po jej ubraniu. Na samą myśl dostała gęsiej skórki i wróciła jej czujność, osłabiona rozleniwiającym ciepłem bijącym od ognia i uśmiechem sympatycznego towarzysza.

– Nie jesteś stąd, prawda? – zapytał, wyrywając ją z zadumy.

– Nie.

W tym miejscu ludzie zwykle dopytywali się o pochodzenie, a ona zaczynała obudowywać się niezbędnym do przetrwania murem kłamstw. Lecz Pyefinch tylko skinął, jakby taka odpowiedź mu wystarczyła, po czym zsunął jajko i część bekonu na jej talerz.

– Witaj w klubie – powiedział, wskazując obozowisko. – Najwspanialszą rzeczą w wędrownym trupie jest to, że każdy z nas jest przeważnie znikąd. Wiwat życie w drodze, co?

Rozpromienił się i nie przejmując się więcej towarzyszącą mu dziewczyną, zaczął pochłaniać śniadanie.

Lucy się uspokoiła. Zapach bekonu obudził jej żołądek, który głośno i natarczywie zaczął o sobie przypominać. Poszła więc za przykładem Charliego i sama też zabrała się do pałaszowania bekonu i jajka. Przeżuwała jednak niespiesznie, bo ze spuszczoną nad talerzem głową mogła spokojnie pomyśleć. Zjadłszy bekon, zgarnęła kawałkiem opieczzonego chleba jajko, a potem wyczyściła talerz z reszty żółtka.

– Masz. Tylko nie poparz sobie palców. Kubek jest wrzący.

Podniosła głowę. Charlie podawał jej poobijany cynowy garnuszek. Przyjęła go i upiła herbaty, obserwując, jak chłopak nalewa z czarnego, wiszącego nad ogniem sagana porcję dla siebie. Wreszcie usiadł i wyjął zza pazuchy krótką fajkę.

– Palisz?

Potrząsnęła głową.

– Najlepszy moment dnia – powiedział Charlie, zapalając fajkę rozżarzoną patykami. Zaciągnął się z rozkoszą i odkaszlnął. – Zanim reszta wstanie i zacznie się zgiewać. I zanim zaczną mnie gonić w tę i w ową stronę. A dzisiaj kroi się dużo roboty, bo zwijamy obóz i ruszamy na zachód.

Po tych słowach przytknął oczy i ćmił fajkę z ukontentowaniem, a co ważniejsze dla Lucy, z niewymuszonym brakiem zainteresowania jej osobą, dzięki czemu mogła sobie pozwolić na parę dodatkowych chwil spokojnego cieszenia się ciepłem podczas zastanawiania się, co robić dalej. Miała już zarys planu, który dałby parę dni odpoczynku od uciekania, ale przed podjęciem decyzji wolała rozważyć każdą możliwość i znać wszystkie fakty. W ten sposób zapewniała sobie względne bezpieczeństwo.

– Kto to jest Duża Nellie? – zapytała.

– Nellie Sowerby. – Charlie wskazał napis na stojącym w oddali namiocie. – Tresowana świnia... – Zaciągnął się fajką. Kiedy zapadło chwilowe milczenie, Lucy zdała sobie sprawę, że wokół powoli podnosi się gwar budzących się i gotujących na nowy dzień ludzi. W oddali ujrzała mężczyznę bezceremonialnie sikającego ze swojego wozu na kępę jeżyn. Bliżej jakaś dziewczyna, na wpół śpiąc, chwiejnie wlokła się ku rzece, podzwaniając wiadrami.

– Kto to jest Na-Barno? – zapytała Lucy.

Charlie aż się zakrztusił, chichocząc.

– Na-Barno? Pytasz, kim jest Na-Barno? Na-Barno, Wielki Czarodziej Południa? Dobrze, że tego nie słyszy, bo wydał małą fortunę na rozprowadzenie plakatów po całym kraju!

– To... czarodziej? – zdumiała się Lucy.

– Oczywiście! – Charlie się zaśmiał, puszczając do niej oko. – Taki jak ze mnie klaun, kiedy pomaluję sobie twarz.

Przesunął palcami po karku i pokazał jej białą smugę mazidla.

– Na-Barno nie jest prawdziwym czarodziejem, bo prawdziwi czarodzieje nie istnieją. To tylko pseudonim sceniczny. Poza sceną jest zwyczajnym Barneyem Eagle'em, sztukmistrzem. Robi sztuczki magiczne. Ma swój styl, to pewne. Nie graj z nim nigdy w karty, bo

oskubie cię do gołej...

– Charlie Pyefinch, jak śmiesz mówić w ten sposób o ojcu? To najwspanialszy człowiek pod słońcem. – Lucy odwróciła się, żeby sprawdzić, kto przerwał im rozmowę, i ujrzała najpiękniejszą twarz, jaką kiedykolwiek widziała.

– Ależ, Georgie... – zaczął.

– Nie georgiuj mi tu! – fuknęła dziewczyna i tupnęła nogą. – I to po tym wszystkim, co dla ciebie uczynił!

Lucy w życiu nie widziała, żeby ktoś naprawdę tupął nogą ze złości, ale w zasadzie wszystko w tej dziewczynie wydawało się nieco nieprawdziwe. Jej uroda zdawała się wprost idealna. Jasną skórę, niemal przezroczystą, podkreślał ulotny, wywołany wzburzeniem rumieniec, który wykwitł na jej policzkach i czubku kształtnego nosa. Niebieskie oczy, sypiące iskrami gniewu na biednego Pyefincha, zachwyciły niesamowitą głębią szafiru. Okalające twarz włosy spływały kaskadą sprężynek, które kołysały się i podskakiwały podczas tej niegroźnej demonstracji oburzenia. Dziewczyna trzymała pokrytą siateczką pęknięć miseczkę z chińskiej porcelany z motywem wyblakłych różyczek.

Lucy pomyślała, że ta piękna nieznajoma, stojąc w porannym blasku pośród gwarne obozowiska trupy cyrkowej, wygląda jak królowa w chlewiku.

– Kto to? – zapytała dziewczyna, wskazując na Lucy.

– Falk – odpowiedział Charlie. – Podczas tego wczorajszego zamieszania uderzyła się w głowę. Mama zabrała ją do nas.

– Nie jest taka jak my – oceniła dziewczyna.

– Tego nie wiem. Dopiero co ją poznałem.

– Chodziło mi o to, że nie jest cyrkowcem. A mimo to plotkujesz z nią o moim tacie i go obśmiewasz.

– Nie obśmiewałem go, tylko...

Reszta zdania pozostała niewypowiedziana, bo dziewczyna cisnęła w Charliego miseczką i odwróciła się, nie widząc, że złapał naczynie, zanim zderzyło się z jego twarzą.

Lucy przyglądała się, jak jej podskakujące włosy znikają pomiędzy namiotami. Kiedy się odwróciła, Charlie spoglądał smutno na

miseczkę.

– Twoja znajoma wydawała się zdenerwowana – skomentowała.

– To tylko Georgie. Georgiana Eagle. Córka Na-Barno. Dumna jak paw, ale widzisz tę miseczkę? Nie mają nawet na cukier do herbaty. Przyszła pożyczyć trochę od nas, a teraz musi wrócić i powiedzieć ojcu, że nic z tego. Przez to jest podwójnie zła – stwierdził z mieszaniną dumy i złośliwej satysfakcji, jakby upajał się możliwością rozzłoszczenia Georgiany Eagle. – Musisz na nią uważać, jeśli zamierzasz tu zostać.

– Skąd przyszło ci do głowy, że chcę z wami zostać? – zapytała Lucy, spoglądając na rzekę. Czas był ruszać w drogę, a wodna wydawała się tak samo dobra jak każda inna. Wystarczyło zaczekać na jakąś barcę.

– Myślę, że zostaniesz na trochę, bo ci to spsuje – powiedział. – Nikt tu nie zadaje pytań, jeśli umiesz na siebie zarobić. – Popatrzył na nią i choć jego uśmiech się nie zmienił, w oczach przemknął mu cień dużo poważniejszy, niż wskazywał na to jego młody wiek.

Znów poczuła się nieswojo – nie dlatego, że o cokolwiek ją podejrzewał, ale ponieważ wykazywał głębokie zrozumienie. To ostrze dostawało się głębiej pod jej pancerz, obawiała się go. Chłopak był niebezpiecznie przyjazny, ale może i miał rację – może pozostanie z grupą ludzi znikąd, którzy przez większość czasu udawali kogoś innego i nie zadawali niewygodnych pytań, rzeczywiście byłoby jej na rękę.

ROZDZIAŁ XXXIV

Zaproszenie na polowanie

Zawiodłeś mnie.

Głos Mountfellona zdradzał ledwie wstrzymywany gniew. Issachar Templebane stał przed nim dziwnie niewzruszony.

- To plan zawiódł, mój panie.
- Miałeś obmyślić taki, który by zadziałał.
- Nikt nie uknułby lepszego. Jeśli zawiódł, to dlatego, że w swoich obliczeniach nie wziąłeś pod uwagę wszystkich czynników.

Mountfellow zbliżył się groźnie do Templebane'a, który jednak nie cofnął się, a tylko uśmiechnął i zatoczył ręką po długim pomieszczeniu, w którym się znajdowali.

- Zaprzęgliśmy do pomocy cały nasz dom i na taką pełną pomoc z naszej strony możesz liczyć nadal.

Rozmawiali w przestronnym gabinecie obstawionym regałami i stojakami, na których piętrzyły się księgi rachunkowe i kasety na dokumenty. Stojące pośrodku długie biurko z pulpitemi i krzesłami mogło pomieścić po dziesięciu urzędników z każdej strony. Wzdłuż blatu ciągnął się szereg zapalonych świec, bo mimo że w pomieszczeniu okna wychodziły na obie strony, meble z ciemnego dębu i podłoga zachlapaną inkaustem przez pokolenia skrybów zdawały się wysysać światło, przez co miało się wrażenie, że ten dobrze doświetlony pokój jest pogrążony w półmroku.

- Gra jeszcze się nie skończyła, panie – ciągnął. – A póki się nie skończy, nie jest przegrana.

Mountfellow patrzył na niego, a nozdrza falowały mu z wściekłości.

- Uważasz mnie za jakiegoś nieopierzonego uczniaka, którego można spławić byle wyświechtaną bzdurką?

- Nie – zaprzeczył Templebane spokojnie. – Uważam cię, panie, za

najniebezpieczniejszego człowieka poza Londynem.

– Zapewniam cię, że jestem najniebezpieczniejszym człowiekiem także w Londynie – prychnął rozjuszony wicehrabia, obryzgując drobinami śliny kamienną twarz prawnika. – Jak również w tym pokoju! Zdradziłeś mnie!

– Nie uczyniłem nic podobnego – stwierdził Templebane, flegmatycznie dobywając chusteczki i ocierając nią twarz. – Nasze słowo nadal obowiązuje.

– Rozczarowanie i porażka to zdrada, a wy dzisiaj poczęstowaliście mnie na śniadanie oboma – syknął Mountfellow. Otworzył pięść i wsunął dłoń pod płaszcz. – Czy masz pojęcie, co spotyka tych, którzy mnie zdradzają? Nie sądzę, inaczej nie stałbyś przede mną taki nieporuszony i nieskruszony!

– Zabijasz ich i przeprowadzasz ich sekcję w imię zgłębiania nauki, którą zwiesz przyrodniczą. – Templebane się uśmiechnął. – Zazwyczaj. Czasami niekoniecznie w tej kolejności. – Wicehrabia zamarł, jakby Templebane go spoliczkował. – Wiem też, że uciekasz się również do wiwisekcji, czyli przeprowadzasz operację na żywych organizmach tych, których uważasz za istoty nienaturalne, w celu poznania ich anatomii oraz sprawdzenia, czy są zbudowani tak samo jak zwykli ludzie. – Mountfellow chciał coś wtrącić, ale prawnik zbył go, jakby odrzucał z lekceważeniem niewypowiedziany argument. – Pojmuję twoje rozumowanie, choć nie jestem człowiekiem nauki, ale sługą prawa. Nie jesteś, panie, żadnym potworem, za jakiego wzięto by cię, gdyby twoje praktyki wyszły na jaw. Wiem, że skórowałeś trupy, żeby zobaczyć, czy ich niebieskie linie na ciele i blizny robią się od środka, czy też są zwykłymi tatuażami i śladami naniesionymi od zewnątrz. Wiem, że gotowałeś zwłoki, żeby oddzielić kości, które potem skrupulatnie układałeś w gablotach, włączając do wielkiego zbioru szkieletów i innych preparatów.

– Wiedza potrafi być niezwykle groźna, panie Templebane – oświadczył Mountfellow.

– Wiem to i nie tylko to. Wiem, że nosisz w kieszeni kamizeli składany skalpel, a za pazuchą nabitego nocka, tuż poniżej dłoni, którą tam aktualnie trzymasz.

– I to cię nie powstrzymuje, prawniku? Świadomość, do czego jestem zdolny?

Templebane uśmiechnął się szerzej.

– Nie, mój panie. To średnio groźny oręż. Ja natomiast, jak łaskawys był sam zauważyć, dysponuję znacznie groźniejszą bronią. Wiedzą.

– Chcesz mnie zaszantażować?

– Nie bardziej, niż ty chcesz poderżnąć mi gardło lub zastrzelić w moim własnym biurze.

Dłoń wicehrabiego zacisnęła się, chwytając powietrze, a potem zniknęła za plecami, gdzie złapała ją druga. Mountfellow wyprostował się na całą wysokość, z wyraźnym wysiłkiem powściągając kipiący mu w żyłach gniew. Uśmiech, do którego się zmusił, był niklejszy od draśnięcia papierem.

– A więc nie używasz jej dla szantażu, ale dla zabezpieczenia. Zaiste przebiegły z siebie człowiek, panie Templebane.

– Dziękuję, hrabio.

– Co wobec tego mamy robić teraz, przebiegły człowieku?

– My? Wspólnie? Nic. Oddzielnie natomiast... Sugeruję, żebyś pojechał do swojego domu w Londynie i pozostał tam, póki nie ochłoniesz i nie odzyskasz jasności umysłu, bo rozczarowanie mąci twoje postrzeganie spraw.

Prawa dłoń Mountfellona wyrwała się lewej, ale mężczyzna szybko odzyskał panowanie i nad nią, i nad sobą.

– Mój umysł jest zawsze jasny, panie Templebane. Wyraźne postrzeganie świata to mój priorytet. Zatem równie wyraźny jest dla mnie kolejny logiczny krok, jakim będzie odnalezienie dziewczyny.

– Dziewczyny? Czyż nie była ona jedynie narzędziem? Sprężyną, którą założyliśmy w naszej pułapce i która tak nas zawiodła? A może jest dla ciebie czymś więcej...?

– To, czym dla mnie jest czy też nie jest, to nie twoje zmartwienie – warknął Mountfellow. – I wcale nie jestem pewien, czy podstęp całkiem spalił na panewce. Mieszkańcy domu byli wyraźnie poruszeni czymś więcej niż naszym wtargnięciem. Ta Falk ledwie trzymała się na nogach, a Sharp wykonywał jakieś nerwowe manewry. Możliwe, że dziewczynie udało się jednak zdobyć klucz i dlatego tamci tak się

nastroszyli. Możliwe, że wykonała zadanie, ale na własny rachunek, i teraz ani my, ani oni nie znamy miejsca, w którym znajduje się klucz. Dlatego musimy przetrząsnąć Londyn i ją znaleźć.

– Żeby odnaleźć klucz?

– A przynajmniej wyeliminować możliwość, że to dziewczyna ma go w swoim posiadaniu. To jedyna naukowa metoda – zakończył Mountfellow, a Templebane przytaknęła.

– Jeśli jest w Londynie, moi synowie ją znajdą. Jeśli jest poza miastem, ci, których zatrudniliśmy, będą musieli postarać się bardziej, aby zapracować na flagę, którą im obiecałeś.

– Horda Mroku – rzekł Mountfellow.

– Sluagh – potwierdził Templebane. – Mają rozległą sieć kontaktów, która rozciąga się na cały kraj jak pajęczyna, w którą ją schwytamy, bo gdy tylko zapadnie noc, oni widzą lepiej niż my za dnia.

– A jak mieliby szukać kogoś, kogo nigdy nie widzieli? – zapytał Mountfellow. – Jest przeciętną dziewczyną bez zwracających uwagę szczegółów jak kolor włosów czy rysy twarzy.

– Dziewczyna specyficznie rezonuje – wyjaśnił Templebane. – Tropić można po wyglądzie, wzrokiem, lub po zapachu, węchem, jak psy, a Sluagh są dostrojeni do odbierania szczególnego rezonansu, ten zaś dziewczyna ma niezwykle silny. I, jak mi powiedziano, jest on związany z pierścieniem, który nosi. Którego fragment nadal znajduje się w twoim, panie, posiadaniu...

Spojrzał wyczekująco na wicehrabiego, który skinął powoli, sięgając do kieszeni. Wydobył z niej owinięty w kartkę kawałek krwawnika z wyrytym jednorożcem.

– Rezonans, powiadasz – powtórzył z wyraźnym zainteresowaniem.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– To coś jak zapach ubrania zbiega, który podkłada się pod nos ogarom, tylko że lepsze, bo Sluagh mogą przekazywać między sobą informację o nim tak prędko, jak niesie wieść, i podejmują trop szybciej niż ogary.

Wicehrabia oddał mu krwawnik i natychmiast wyjął z kieszeni dziwny notes składający się z cieniutkich płytek z kości słoniowej wielkości wizytówek, połączonych w lewym górnym rogu srebrnym

nitem, tak że dało się je rozłożyć jak karty. Wyjął również grafitowy ołówek i zaczął pisać nim na tabliczce. Stawiał małe, ale krągłe litery, więc Templebane był w stanie odczytać słowa „rezonans” oraz „sieć”, zanim notes zniknął z powrotem w kieszeni Mountfellona.

– Byłbym zachwycony, mogąc pewnego dnia porozmawiać z którąś z istot należących do Hordy Mroku – rzekł wicehrabia. – Temat rezonansu wybitnie mnie zainteresował.

– Nie wątpię. Nie wątpię też, że i Sluagh chętnie by z panem rozmawiali, choć konwersacja ta mogłaby być wysoce dla pana nieprzyjemna: temat jej niechybnie stanowiłaby bowiem kwestia oskórowania wielu z nich w imię nauki.

– Wiedzą o tym? – zapytał Mountfellow, po raz pierwszy zdradzając emocję inną niż gniew. – Ale skąd?

– Nie wiem skąd. Ich sposoby pozostają dla mnie tajemnicą. Wiem jednak, że wiedzą, ponieważ to one są źródłem moich informacji.

Mountfellow wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

– Ale mój dom jest dobrze chroniony przed takimi jak oni, moje pokoje zabezpieczono żelazem. Niemożliwe, żeby...!

– Skądinąd wiem, że „niemożliwe” to ryzykowne słowo, gdy mówi się o Sluagh – oświadczył Templebane, a trzy minuty później z nieodłącznym półuśmiechem na ustach i jeszcze zniżoną w ukłonie głową obserwował powóz hrabiego oddalający się szybko od budynku biura. Spoważniał, dopiero gdy pojazd zniknął za zakrętem. Wtedy też przeczesał wzrokiem najbliższą okolicę, zaglądając w oblicza przechodniów i włóczęgów. Zadowolony, że wszystko wygląda tak, jak zazwyczaj wyglądało na dobrze znanej mu ulicy, zadarł głowę i mrużąc oczy, spojrzał w niebo.

Właśnie przez to mrużenie nie dostrzegł trzepoczących skrzydeł na linii dachu budynku naprzeciwko, gdy wielki kruk odbił się od komina, by poszybować na północny zachód, w stronę, w którą skierował się powóz hrabiego.

– Jesteś niezadowolony, ojcie – powiedział Coram, materializując się przy boku Issachara w sposób, który ten zwykle podziwiał. Tym razem jednak zatrzęsł się poirytowany.

– Kaszlnij, jak się zbliżasz, chłopcze – ofuknął syna.

– Wybacz, ojciec. Rozczarowanie hrabiego rzuciło się cieniem na dzisiejszy dzień.

– Ten człowiek to niebezpieczny głupiec – stwierdził Templebane. – Niebezpieczny, bo potężny i bawi się zabawkami, których działania nie rozumie. A głupiec, bo przybył do nas prosto z domu Żyda.

– Nikt go nie śledził – zapewnił go Coram. – Trzymaliśmy się blisko i pilnowaliśmy własnych pleców.

Templebane wyjrzał na ruchliwą ulicę.

– Może i nie. Mam nadzieję, że się nie mylisz, chłopcze, bo choć nasi wrogowie są na ostatnich nogach, istnieją całe zastępy rozczarowanych i martwych pechowców, którzy w ten sposób zlekceważyli Nadzór, postanawiając skopać leżącego.

– Mam pytanie, ojciec. Jakim sposobem Sluagh dowiedzieli się o sekcjach hrabiego? Sam mówiłeś, że jego dom jest opasany żelazem?

Templebane nie odpowiedział, ale Coram był świadom, że samo to stanowi odpowiedź i że ma coś z tej odpowiedzi wywnioskować.

– A więc wcale nie wiedzą – rzekł. – Hrabia może przekupić czy zastraszyć służbę skuteczniej niż ktokolwiek inny, ale każdy sekret jest tylko informacją czekającą na wyjawienie. Wmawiając mu, że Sluagh wiedzą o jego uczynkach, zapewniłeś sobie niezachwianą pozycję pośrednika, ponieważ uwierzył, że nie zechcą z nim rozmawiać bezpośrednio. A twoje źródło, jego sługa, nadal o nic niepodejrzewany, pozostanie dla nas przydatnym sprzymierzeńcem na przyszłość.

Mina Templebane'a pozostała niezmienną, ale kącik jego ust drgnął w stłumionym uśmiechu aprobaty. Dla Corama równało się to poklepaniu po ramieniu.

– Co mamy teraz zrobić, ojciec? – zapytał.

– Rozpuść słowo za dziewczyną, złapiemy ją, jeśli nadal jest w Londynie. Widziałeś ją, daj dokładny opis, zwróć uwagę na owinięte dłonie. I nie spuszczaście oka z domu Żyda. Jeśli nie znajdziecie jej do wieczora, mój brat przystąpi do działania i będzie pertraktował z Hordą Mroku. Powiesz Bassetshawowi, że będzie mu towarzyszył i że mają zabrać na spotkanie broń palną. Będziemy potrzebowali żelaza, chłopcze, żeby pozostać w tej grze, bo Sluagh oczekują

nagrody, a rozczarowań nie znoszą dobrze. Niewykluczone, że zanim skończy się ta noc, trzeba będzie zawrzeć mroczne układy na rozstajach dróg.

ROZDZIAŁ XXXV

Węgorze na śniadanie

Kowal co prawda spóźnił się na śniadanie, ale za to przyniósł węgorze. Z szerokim uśmiechem postawił na kuchennym stole wielki kosz pełen ryb.

– Masz tu węgorze, Kucharko. Wiem, że je lubisz, a moje pułapki na bagnach aż się od nich roją. Coś je wystraszyło.

Kucharka zajrzała do kosza, w którym kłębiła się masa węzowatych ryb.

– Tłuściutkie – orzekła z uznaniem. – Och, te dwa muszą mieć ponad dwie stopy każdy!

– Dobry posiłek – rzekł Hodge, wchodząc do kuchni za Kowalem. – Ale zły omen.

– Racja – przytaknął Kowal. – Kiedy węgorze są tak poruszone, że uciekają, znaczy, że dzieje się coś złego.

– Bajdurzycie jak stare baby – prychnęła Kucharka, przestawiając kosz na pomocnik. – Sama jestem starą babą, to coś o tym wiem. Jedyne, co nimi poruszy, to moja warzuchew, jak tylko je sprawnie poporcjuję i zagotuję z octem.

Mężczyźni wymienili spojrzenia, które mówiły, że nie zgadzają się z Kucharką, ale są na tyle mądrzy, by się z nią nie sprzeczać, kiedy jest w kiepskim humorze. W tym przypadku musiało chodzić o coś więcej niż humor, bo Kucharka za punkt honoru stawiała sobie uleganie na swoim terenie kaprysom gości. Zresztą ta sama zasada obowiązywała w stosunku do gości warsztatu Kowala i psiarni Hodge'a.

– Poza tym – dodała ponuro – zło się już stało, i to gorsze, niż sobie wyobrażacie. Dziewczyna zaginęła, a Sara straciła rękę.

Zaczęli mówić jeden przez drugiego.

– Spokój! Inaczej nic wam nie powiem – zagroziła. – To tylko

początek. A teraz przestańcie kłapać paszczami, bo ją obudzicie, a dopiero co udało mi się ją położyć do łóżka.

Ani Hodge, ani Kowal nie byli panikarzami, poza tym zdawali sobie sprawę, że szybciej dowiedzą się wszystkiego, pozwalając Kucharce mówić, usiedli więc przy stole, choć Kowal zerkał ciągle na drzwi, jakby chciał natychmiast pobiec do Sary.

Kucharka naląła im herbaty i zabrała się do oprawiania ryb. Siekając je, opowiedziała wszystko, co wydarzyło się od przybycia do domu Lucy Harker. Żaden z gości nie wtrącał się i nie przerywał, tylko Kowal pochylił się poruszony, gdy usłyszał, że Lucy mówi jedynie po francusku, i drugi raz, kiedy Kucharka dotarła do momentu opisu, jak dziewczyna zniknęła w lustrze, a Sara, próbując ją ratować, straciła dłoń. Aż sapnął niczym parowóz upuszczający nadmiar ciśnienia i zagryzł wargi, żeby milczeć i nie przeszkadzać Kucharce, która relacjonowała właśnie przebieg wizyty Bidgooda i Mountfellona. Kiedy skończyła, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w wyszorowaną powierzchnię stołu.

– Widzisz, Hodge – odezwał się w końcu. – A ty mówiłeś, że zrobienie ołowianych skrzyń to przedwczesne działanie.

– Skrzyń? – rozległ się głos przy drzwiach. Wszyscy podnieśli się na widok Sary, mocno trzymającej się klamki. – To już do tego doszło?

Była tak blada, że aż przeźroczysta. Mężczyźni pomogli jej usiąść i kręcili się koło niej, póki Kucharka nie obsztorcowała ich, każąc dać Sarze trochę przestrzeni. Sara otuliła się szlafrokiem, jakby było jej zimno, choć pancerny piec ział ogniem niczym rozeżłone smoczysko.

– Zrobiłeś ołowiane skrzynie? – zapytała, a kiedy Kowal przytaknął, ciągnęła: – Hodge ma rację, zanadto się spieszysz, Waylandzie. Mamy do dyspozycji wiele środków, a wróg, nawet jeśli nie Wróg, bardzo się odkrył, wpadając tu o poranku i zdradzając zamiary. Podał nam na tacy swoje słabości. A my jeszcze nawet nie stanęliśmy do obrony.

Kowal potrząsnął głową i usiadł tak, żeby móc patrzeć jej w oczy.

– Nie, Saro. Koniec nadchodzi zawsze szybciej, niż się spodziewasz. Nasza siła to ruch. A gdzie brak siły, działa grawitacja.

Popatrzył na nią, jakby sprawdzał, czy dobrze go zrozumiała.

– Gdzie brak siły, działa grawitacja – powtórzyła jak uczeń na lekcji.

Nie uśmiechnął się, tylko skinął głową.

– Siły zaczynają nas zawodzić i trzeba je odzyskać. Grawitacja nigdy się nie wyczerpuje, w końcu ściąga w dół, co tylko może. Skrzynie są gotowe, bo wilki już krążą, a wszystko, czego nie będziemy mogli dłużej chronić, będziemy musieli bezpiecznie ukryć.

Sara popatrzyła na Kucharkę, jakby szukała u niej wsparcia.

– To nie koniec. Dopóki jest nas pięcioro, to jeszcze nie koniec. Nie jestem strachliwa, Kowalu, ale fakt, że właśnie ty mówisz o końcu, przeraża mnie bardzo...

Spróbowała się uśmiechnąć, jakby chciała obrócić to po części w żart, ale Kowal pozostał poważny. Gniew wynikający z opiekuńczości wyraźnie się wzmógł i jeszcze mocniej zapłonął w jego oczach.

– Końca nie należy się bać, choć w tych okolicznościach nie należy go oczywiście pragnąć. Jednak koniec nie zawsze jest tym, czym się zdaje. Pierścienie, które nosicie, nie zawsze były kręgami. Powstały z odcinków metalowych prętów i wtedy posiadały aż dwa końce. Zagiąłem je i skułem te końce, łącząc w nieprzerwany krąg. Jeśli na nie spojrzycie, jestem pewien, że nie zauważycie końcówek, bo dobrze spajam metal. Ale te końce tam są, ukryte. A gdy końce łączą się w krąg, kto potrafi rzec, który z nich jest końcem, a który początkiem?

– To tylko słowa – zaczęła Sara, ale urwała, kiedy grzmotnął pięścią o stół tak mocno, że wszystkie przedmioty na blacie aż podskoczyły.

– Wybaczcie – powiedział. – Ale to nie są tylko słowa, a my musimy działać. Robię pierścienie, kręgi. Jednak nie wszystkie one są małe. Nie wszystkie są złote. Nie wszystkie nawet są widzialne. Mimo to pilnuję, żeby były nierozzerwalne. Nawet jeśli nadejdzie dla nas koniec, Kowal dba o to, by Nadzór się odrodził, kiedy koło się obróci, a czas dobiegnie końca. Dlatego jestem Kowalem. Tworzę pierścienie i ukrywam połączenia. A teraz wybaczcie, muszę porozmawiać z Sharpem. Gdzie jest?

– Podążył na północ za Krukiem – rzekła Sara.

– Możesz się dowiedzieć, gdzie jest twój ptak? – zwrócił się Kowal do Hodge'a.

– Ptak nie należy do mnie – sprostował teriernik. – Ale owszem,

mogę go znaleźć.

Kowal podniósł się, a potem zaskoczył Sarę mocnym uściskiem. Z kuchni wyszedł w milczeniu. Hodge uniósł brew i podążył za nim. Kucharka postanowiła pominąć milczeniem wilgoć w oczach Sary wywołaną ciepłym gestem Kowala, który nie zwykł okazywać uczuć. Udała, że całkowicie pochłania ją podawanie jedzenia.

– Zupa – burknęła szorstko, kładąc przed Sarą miskę i łyżkę. – Nie ma na świecie rzeczy gorszej niż stawianie czoła przeciwnościom o pustym żołądku. Nawet jeśli zbliża się koniec, zawsze jest czas na zjedzenie posiłku. A ty jesteś tak chuda, że lada chwila może cię porwać wiatr. Mogłabym przez ciebie przeczytać gazetę.

ROZDZIAŁ XXXVI

Brzytwy i króliki

Wokół budził się obóz. Przyjemna cisza i spokój poranka, które Georgiana zakłóciła swoim napadem złości, już nie wróciły. Lucy przyglądała się, jak Charlie zbiera naczynia i dokłada drwa do ognia.

– Idę się ogolić i przynieść wody – powiedział, podnosząc wiadro i wskazując na rzekę. – Też możesz się umyć, jeśli chcesz. Woda w kanale jest czysta.

Lucy wyciągnęła nogi, wstała i poszła za nim, nie przestając się zastanawiać. Charlie wydawał się całkiem zadowolony, choć klucząc pomiędzy namiotami i wozami, nie zamienili ani słowa. Na brzegu obserwowała, jak wyciąga z kieszeni brzytwę, szybko robi pianę z kawałka mydła, rozprowadza ją po twarzy, a potem kilkoma pewnymi pociągnięciami zbiera z policzków i brody. Uśmiechał się podczas golenia, a Lucy pomyślała, że – biorąc pod uwagę jego wiek – prawdopodobnie jest to nadal nowa dla niego czynność i wciąż powód do dumy. Jednocześnie nie omieszkała dostrzec, jak zręcznie posługiwał się ostrzem.

– To co? – zagadnęła, kiedy obmyła twarz, a on napełnił wiadro wodą. – Georgiana jest twoją ukochaną, tak?

Charlie parsknął śmiechem i przewrócił oczami, a potem splukał resztki mydła z brzytwy.

– Ukochaną? W życiu! Znamy się od małego.

Lucy spojrzała na niego uważnie.

– To dlaczego rzuciła w ciebie miską? Tak nie zachowują się zwykli znajomi, tylko ludzie w złości, którzy coś do siebie czują.

– Nie, to typowe zachowanie Georgie. Chce mieć ciastko i zjeść ciastko. Mama ją rozpieszczała, a po tym, jak odeszła, ojciec

rozpieszcza ją podwójnie. Przynajmniej wtedy, gdy nie pije.

– Pije?

– Jak szewc.

Lucy zamierzała zapytać, jak dokładnie pije szewc, ale Charlie nie dopuścił jej do głosu.

– Widzisz, Eagle'owie mają teraz ciężko. Na-Barno może i nazwał się Wielkim Czarodziejem Południa, ale ma rywala, Hectora Andersona, Wielkiego Czarodzieja Północy. A ten piekli się i rozpowiada, że Na-Barno kradnie jego pomysły, bo on był Wielkim Czarodziejem na długo przed tym, zanim stał się nim Na-Barno.

– Rozumiem.

– Widzisz, normalnie ich rywalizacja i wzajemna niechęć nie stanowiłyby problemu, bo to duży kraj, a jarmarków jest pełno i niejedna trupa może na nich zarobić. W zasadzie grupa Hectora działa na północy, stąd Czarodziej Północy, a my na południu i prawie się nie spotykamy.

– Prawie? – powtórzyła Lucy, która miała oko i ucho do śladów naprowadzających na istotę problemów.

– O tej porze roku wędrujemy w górę kraju i spotykamy się z cyrkami, który jest na trasie południowej pętli. To spotkanie to trochę jak beczka prochu, bo nie możemy się zgodzić, do kogo należą środkowe rejony. Na szczęście jarmarki są na tyle duże, że możemy zarobić i my, i oni, więc w sumie zazwyczaj nic takiego się nie dzieje.

– Zazwyczaj? – zaakcentowała Lucy.

– Widzisz, Anderson posiada automat. Takiego człowieka, tylko napędzanego mechanizmem, dźwigniami, kółkami i takimi tam. Ludzie są nim zachwyceni. Dlatego jakiś czas temu Na-Barno, zimując w Clerkenwell, zamówił u tamtejszego zegarmistrza podobną maszynę. – Uśmiechnął się i zniżył głos. – Sama rozumiesz, że plotki o tym, że Na-Barno podkrada innym pomysły na zarabianie, wcale nie są takie bezpodstawne. Problem w tym, że automat Na-Barno, choć wygląda pięknie, jest zepsuty, a on nie potrafi go naprawić. To dlatego, że Na-Barno, jak to Na-Barno, ocyganił zegarmistrza i nie zapłacił mu całej kwoty, więc nie może odesłać mu maszyny do reperacji. A niedawno Anderson wpadł na pomysł, żeby spotkać się z Na-Barno

na jednym jarmarku i zakończyć rywalizację. Wyzwał go na pojedynek. Chce zrobić zawody.

– Zawody?

– Twierdzi, że widzowie powinni zadecydować, kto jest lepszy, a przegrany musiałby zrezygnować z nazywania siebie Wielkim Czarodziejem czegokolwiek. Tak napisał na plakatach, które rozwiesił po całym kraju. To dobrze dla nas, bo przyciąga uwagę ludzi, ale niedobrze dla Na-Barno. Prawda jest taka, że Anderson jest lepszym sztukmistrzem, a Na-Barno ze swoim zepsutym automatem wypadnie przy nim kiepsko.

Lucy aż drgnęła, kiedy ktoś zaczął krzyczeć gdzieś za jej plecami.

– Charlie! – wołała jakaś kobieta. – Charlie Pyefinch!

– Oj! – pisnął chłopak.

– Co? – zdziwiła się Lucy, podążając za jego spojrzeniem.

– To mama. I nie wygląda na zachwyconą.

Pani Pyefinch sunęła pośród wysokiej trybuli niczym anioł zemsty – gdyby oczywiście anioły zemsty zamiast ognistych mieczy nosiły żeliwne patelnie. Była wysoką kobietą o wydatnych kościach policzkowych, które aktualnie podkreślał rumieniec złości. Szczupła, atletycznej budowy, miała na sobie męską koszulę schowaną za paskiem spódnicy. Zebrane do tyłu włosy podtrzymywała zielona chustka w grochy, która kolorem pasowała do barwy oczu kobiety.

– Ty samolubny warchlaku! – grzmiała. – Tata na śniadanie dostał samą herbatę!

– Co?! Ale ja nic nie zrobiłem! – zaperzył się Charlie.

Lucy zauważyła, że odgrodził się od matki nią i wiadrem. I nie dziwiła mu się. Pani Pyefinch wymachiwała żeliwną patelnią ze znanstwem, które pozwalało zakładać, że wymierzony nią cios byłby celny.

– Zjadłeś cały bekon i wszystkie jajka! Nie pomyślałeś nawet, ty żarłoku! Chodź tu natychmiast!

– Ani myślę – zaprotestował Charlie z uśmiechem. – Tu mi dobrze. Poza tym wcale nie zjedliśmy wszystkiego. Zostawiliśmy cały koszyk jajek i sporo bekonu.

– Koszyk jest pusty! – powiedziała i spojrzała na Lucy, jakby dopiero

ją dostrzegła. – Dzień dobry – rzekła tonem pasującym raczej do groźby niż powitania.

– Dzień dobry.

– My się znamy – ciągnęła pani Pyefinch. – Nadepnęłaś mi na rękę, kiedy wychodziłaś z namiotu.

– Przepraszam.

– Cóż, w namiotach trzeba uważać – stwierdziła pani Pyefinch. – Myślałam, że jesteś Francuzką?

– Nie jest – włączył się Charlie. – Nie bardziej niż ja samolubnym żarłokiem. Zostawiłem dość jajek i bekonu na śniadanie dla ciebie i taty, naprawdę.

– To prawda – poparła go Lucy.

Pani Pyefinch popatrzyła na nią, na syna, a potem pokręciła smutno głową.

– Prawda czy nie, tata zwija namiot z pustym brzuchem. Pędź do niego na jednej nodze i mu pomóż. Wiesz, co robić – zakończyła i odwróciła się, żeby odejść.

Lucy popatrzyła na Charliego.

– Chyba możesz iść z nami – zaproponował Charlie wesoło.

– Żadnych darmozjadów – burknęła matka przez ramię.

– Na pewno może się przydać. – Charlie mrugnął do Lucy. – Co?

Pani Pyefinch odwróciła się do nich.

– Umiesz coś robić? – zapytała Lucy. – Akrobacje? Ewolucje na koniu? Stepujesz? Śpiewasz i tańczysz?

– Nie.

– A umiesz cokolwiek?

Lucy wzruszyła ramionami. Pani Pyefinch odpowiedziała tym samym.

– Wobec tego przykro mi, moja droga, ale ten rok był kiepski i kieszenie wielu świecą pustkami. Ale spójrz na to z innej strony: dostałaś darmowy dach nad głową i porządne śniadanie. To nie tak źle, prawda?

– Owszem – przyznała Lucy. – Bardzo dziękuję.

Wyglądało na to, że pani Pyefinch chce jeszcze coś dodać, ale w końcu skinęła tylko na pożegnanie i odeszła, machając na syna.

– Chodź, Charlie, słońce już wysoko, musimy ruszać.

– Nie przejmuj się – pocieszył dziewczynę Charlie. – Ona ciągle się martwi o pieniądze, a rzeczywiście ostatnio nie było lekko. Zmieni zdanie.

– Nie trzeba – zapewniła go Lucy, spoglądając na pobliski las. – W porządku.

Charlie wzruszył ramionami i odszedł, pożegnawszy ją uśmiechem i machaniem. Dopiero wtedy ruszyła w stronę chłodnego gąszczu za obozowiskiem.

Nie było jej najwyżej dwadzieścia minut, ale kiedy wróciła, została już tylko połowa obozu. Wszystkie namioty zwinięto, a wozy po kolei podskakiwały na muldach łąki, kierując się w stronę drogi. Traktem ciągnęła już długa kawalkada, której początek niknął w oddali. Przypominało to trochę wyścigi, bo niektóre furgony jechały poboczem, żeby wyminąć te powolniejsze, które wyruszyły wcześniej, a ponad taborem rozlegały się wesołe okrzyki i strzelanie z bicza doświadczonych i najwyraźniej lubiących tę zabawę woźniców.

Kiedy Lucy dotarła do miejsca, gdzie stał namiot Pyefinchów, zastała jedynie prostokąt wygniecionej trawy i mały wał ziemny, którym otoczono zagazzone już ognisko. Pokonała więc pole z resztkami obozowiska i skierowała się na trakt. Jakiś starszy mężczyzna mocujący namiot do zdezelowanego wózka zaczepił ją po drodze.

– Ile? – zapytał, wskazując na jej pełne ręce.

– Nie są na sprzedaż – rzuciła, przechodząc. – To zapłata.

Kiedy zaczęła posuwać się wzdłuż kawalkady, stwierdziła, że choć wozy są bardzo różne, nie wie, który należy do Pyefinchów. Ruszyła więc biegiem, wymijając je i lustrując twarze jadących na nich ludzi.

Cyrkowcy spoglądali na nią obojętnie jak na nieznaną, z wyjątkiem pary, która ją zaczepiła podobnie jak mężczyzna przy obozie. Kiedy przetruchtała obok wyjątkowo nędznie wyglądającego wozu, ujrzała skulonego na koźle mężczyznę okrytego kocem i strzelającą z bicza, poirytowaną dziewczynę. Zauważywszy ją, dziewczyna trąciła łokciem towarzysza.

– Patrz, ojczu, to ta od Pyefinchów, o której ci mówiłam.

Georgiana zmierzyła Lucy lodowatym spojrzeniem, ta zaś pod tym wzrokiem poczuła się niezgrabna i nieładna. Pomyślała też o ubłoconych butach i zakrwawionych rękach i zirytowało ją to, bo nie przywykła przejmować się wyglądem. Nie podobało jej się, że Georgiana siedząca na wózku pokrytym pyłem ze wszystkich chyba miejsc, gdzie popasali, i tak wygląda jak królowa, która jest ponad brud i wyboje drogi.

Mężczyzna zerknął spod koca. Miał niebieskie oczy, jak córka, ale smutne i zażawione. Jego twarz częściowo kryła się w cieniu, lecz i tak nie wyglądał na żadnego czarodzieja, a już na pewno nie na „wielkiego”. Sprawiał wrażenie człowieka pokonanego, a ręka, którą wyjął spod koca, wyraźnie się trzęsła. W drugiej trzymał zieloną flaszkę i to jej zawartość zapewne wywołała tę kaprawość oczu i drżenie rąk.

– Patrz, niesie króliki – rzekł głosem podwójnie zaskakującym. Po pierwsze był to głos niski, łagodny, a po drugie należał do człowieka obytego.

– Tak, ojciec. I to tłuste – stwierdziła dziewczyna i przestała zwracać uwagę na Lucy.

– Może dałaby nam jednego? Lubię gulasz z królika.

– Nie, ojciec. Nic od niej nie chcemy. Zjadłeś na śniadanie sporą porcję bekonu i jajek – stwierdziła Georgiana i zacięła konia batem.

Lucy podniosła na nią wzrok, ale zobaczyła już tylko jej profil, więc pobiegła naprzód. Dziewięć wozów dalej ujrzała wreszcie Charliego, siedzącego z tyłu i majtającego nogami nad bitą drogą. Rozpromienił się na jej widok i zawołał przez ramię:

– Patrz, mamó! Szykuje nam się suty obiad!

Ze szczeliny pomiędzy połami zadaszenia wyłoniła się pani Pyefinch. Lucy przyspieszyła kroku i podniosła ręce z czterema królikami, które upolowała w lesie.

– To za śniadanie – powiedziała.

Pani Pyefinch przez chwilę przyglądała jej się uważnie, a potem rozpromieniła się w identycznym urzekającym uśmiechu, jakim błyskał raz po raz jej syn.

– Skąd je masz? – zapytała.

– Złapałam w lesie.

– A mówiłaś, że nic nie umiesz! – wykrzyknęła pani Pyefinch radośnie. – Wciągnij ją na górę, Charlie, nie każ biec naszej nowej towarzyszce za wozem! – nakazała i zniknęła w budzie.

Lucy wrzuciła zdobycz pod klapy, a następnie przy pomocy Charliego wdrapała się na wóz.

– No to dokonałaś tego – powiedział.

– Czego? – zapytała, sadowiąc się obok chłopaka.

– Zmyłaś się i zaciągnęłaś do cyrku. – Roześmiał się. – Teraz wszystko przed tobą!

ROZDZIAŁ XXXVII

Zrzucona maska i martwy obywatel

Lepiej dla trawienia Issachara Templebane'a, że nie widział, jak zmieniło się oblicze Mountfellona, kiedy powóz odjechał spod biura. Gdy tylko drzwiczki się zatrzasnęły, hrabia pozbył się gniewnego grymasu, który zniekształcał jego rysy, i to z taką łatwością, jakby zdjął maskę karnawałową. Zadowolony rozparł się z uśmiechem na siedzisku.

Z tym samym uśmiechem wyszedł z karety i zniknął w swoim domu przy Chandos Place, ładnym budynku z epoki króla Jerzego, budynku, którego okna oszklono zapewniającymi prywatność mlecznymi szybami.

Mountfellow nie zauważył Kruka, który przysiadł na kalenicy dachu po drugiej stronie ulicy. Ptak bez trudu leciał za kareta, która minawszy City, przedostała się przez niebezpieczną dżunglę budynków w Seven Dials i ciesząc się równie złą sławą osiedla St Giles, po czym skręciła na północ, w bardziej cywilizowane rejony ulicy Marylebone.

Hrabia przeszedł przez sień i długą salę balową, a pokonawszy schody do piwnicy, zapukał do drzwi.

– *Entrez*, milordzie – rozległ się głos słaby i skrzypiący, przypominający suche skrobanie stalówki po papierze.

Mountfellow wszedł do długiego pomieszczenia, na końcu którego przy biurku zasłanym papierami i książkami siedział bardzo stary mężczyzna. Miał na sobie morski kaftan o wysokim, sięgającym uszu kołnierzu, a jego twarz była poprzecinana bruzdami niczym skorupa orzecha. Jednakże zwrócone na Mountfellona oczy płonęły jasnym, odmładzającym głodem wiedzy.

Za plecami mężczyzny znajdowała się klatka.

– Dzień dobry, Obywatelu – powitał go Mountfellow.

Sposób tytułowania był osobliwą regułą relacji tych dwóch równych sobie stanem mężczyzn. Stary Francuz zwracał się do hrabiego per milordzie, ów zaś zwał go Obywatелеm. Obaj zresztą używali tych mian z dozą ironii.

– A więc? – zapytał Obywatel. – Zdobyliśmy klucz?

Mountfellow miał wiele sekretów, lecz tajemniczy mieszkaniec Chandos Place był tym najpilniej strzeżonym – stąd mleczone szyby. Obywatel był bowiem nie tylko człowiekiem starym – z tego, co wiedział hrabia, dobiegającym dziewięćdziesiątki – ale też martwym. Nie był oczywiście ożywionym dzięki okultyzmowi trupem, pozostawał jednak martwy dla świata. Powszechnie panowało przekonanie, że człowiek ten umarł już dawno temu, publicznie i ponad wszelką wątpliwość zdekapitowany za pomocą gilotyny, co samo w sobie stanowiło ironiczne zakończenie żywota byłego jakobina i kata królów oraz możnych.

Mountfellow nigdy nie wymawiał jego prawdziwego nazwiska. Zwał go po prostu Obywatелеm.

– Klucz okazał się fortelem zastawionym na głupców, żeby ujawnić ich zamiary – rzekł hrabia. – Tak jak przewidziałeś, przynętą. Klucz nie jest kluczem, jestem tego niemal pewien.

– A dziewczyna?

– Dziewczyna zniknęła. Nie powiodło jej się.

Obywatel nie przejawiał zainteresowania losem Lucy Harker. Wzruszył tylko ramionami.

– *Tant pis*. A ty, skutecznie udałeś głupca?

– Niezwykle skutecznie. – Mountfellow się uśmiechnął. – Byłem bardzo wyniosły i przekonująco wściekły. Issachar Templebane uważa mnie za pysznego arystokratę, zaślepionego arogancją i naiwnego do szpiku kości, a Nadzór jest świadomy mojego istnienia.

– Dobrze. Damy im lekcję czy dwie na temat przynęt i długich rozgrywek. Cóż więc teraz zamierzasz?

Hrabia zebrał z biurka papier, ołówki i pędzle.

– Przez kilka dni będę bardzo zajęty. Może nie zdobyliśmy Klucza Krwi, ale operacja nie okazała się porażką: udało mi się wejść do

skarbcza Nadzoru, a przebywając w nim, miałem oczy szeroko otwarte.

– Zaiste. Mogłeś ujrzeć przedmioty o potężnej mocy, których przeznaczenia jeszcze nie znamy – przyznał Obywatel.

– Byłaby to zbrodnia przeciw nauce i racjonalnemu umysłowi, gdybym ich nie opisał, zanim obrazy w mojej głowie zbledną z upływem czasu. A ty, mój przyjacielu, nadal opadasz z sił?

Obywatel wzruszył ramionami.

– Mam spotkanie podczas pełni, podobne do tego, w jakim uczestniczyłem przed przybyciem do tego kraju. Jeśli ustalenia zostaną podtrzymane, odzyskam żywotność, tak jak poprzednio. Wtedy złożę istocie propozycję pozostania tutaj na stałe.

– Mądre posunięcie. – Mountfellow uśmiechnął się, jednak bez wesołości. – Rozumiem, że studia pochłaniają cię na tyle, żebyś nie myślał o bólu?

Obywatel poklepał księgę przed sobą, a potem wskazał kciukiem na klatkę, w której znajdował się człowiek o zielonej skórze. Był zakneblowany i leżał zwinięty na podłodze niczym pies.

– Jeszcze raz przeczytałem monografię Denysa o transfuzji krwi. Jestem niezwykle ciekawy, co by się stało, gdybyśmy pewnego dnia wymienili się krwią z jednym z nich...

Mountfellow zabrał zgromadzone przedmioty i ruszył ku schodom.

– Pewnego dnia, Obywatelu, pewnego dnia. Dotrzemy i do tego, ale po kolei. Na razie zabiorę się do pracy.

Skłonił się lekko i zamknął za sobą drzwi, zostawiając starca z jego księgami.

ROZDZIAŁ XXXVIII

Dwa trefne domy

Pan Sharp nie wydawał się zaskoczony, gdy Hodge i Kowal pojawili się u jego boku w ciemnym zaułku, skąd kryjąc się przed mżawką, obserwował dom Templebane'ów. Słyszał skrzypienie przystającego u wylotu alejki psiego powozu Hodge'a i wiedział, że teriernik potrafi porozumiewać się z Krukiem na odległość. Była to niezwykła umiejętność, której używał w razie potrzeby, podobnie jak Sharp używał swojej: szybkości i bezszelestnego skradania się. Sharp przyjął przybycie towarzyszy z ulgą, bo niecierpliwie czekał na możliwość powrotu do domu i sprawdzenia, jak miewa się Sara. Podwójny wstrząs, utrata ręki Sary i nieoczekiwane najście Kryjówki pod płaszczykiem legalnych działań, wytrącił go z równowagi, napełniając mieszanią gniewu i troski, uczuć dotąd mu obcych.

– Nie spieszyście się – powitał przyjaciół. – Jak czuje się Sara?

– Przyzwoicie, jak na tę sytuację – odparł Kowal. – Czyj to dom?

– Prawnika. Człowiek, który pojawił się u nas z sędzią, przyjechał z Wellclose Square prosto tutaj, wszedł i po niedługim czasie odjechał w pośpiechu. Kruk poleciał za nim, a ja zostałem.

– Kruk obserwuje dom przy Chandos Place – rzekł Hodge. – Człowiek z powozu wszedł do środka i nie wyszedł. Przez okna nic nie widać.

– Dowiedz się, kim jest, i nie spuszczaaj go z oka. Ja muszę wracać do Kryjówki – oświadczył Sharp. – Niepokoi mnie myśl, że Sara i Kucharka zostały tam same, bezbronne.

– Kucharka nigdy nie jest bezbronna – zauważył Kowal. – I lepiej nie daj jej powodu, żeby zaczęła podejrzewać, że twoim zdaniem jej bronisz. Co to za prawnik?

– Właśnie miałem sprawdzić przed powrotem do Kryjówki.

– Ja to zrobię – postanowił Kowal. – Widzę, że ci się spieszy.

Sharp przytaknął skinieniem i zwrócił się do Hodge'a:

– Byłeś w Trzech Kulach?

Teriernik potwierdził.

– I co z tym Ketchem?

– Z tego, czego się dowiedziałem, jest stałym bywalcem i moczymordą. I odtąd robi się dziwnie. Najwyraźniej nigdy nie miał żony ani dzieci, a w każdym razie nigdy o nich nie wspominał.

Sharp spojrzał na Kowala.

– Ten Ketch... – zaczął.

– Już wiem. Ale skoro Sluagh są w mieście, to kto wie na kogo padło?

– A więc dziewczynę nam podstawiono – stwierdził Sharp. – Była częścią podstępu.

– Coś się dzieje, to pewne – zgodził się Kowal. – Moje węgorze są niespokojne. Jak już mówiłem Sarze i Kucharce, wilki krążą. – Popatrzył na dom naprzeciwko. – A prawnicy są z nimi spokrewnieni, z tego, co słyszałem. Wracaj do Sary, a ja pójdę sprawdzić, kogo my tu mamy. Ty, Hodge...

– Chandos Place. Już jadę.

Sharp pożegnał ich skinieniem i ruszył w stronę rzeki.

– Nie zazdroszczę temu, kto jest odpowiedzialny za wypadek Sary – rzekł Kowal. – Ale nie podoba mi się ten błysk w jego oczach. Sharp ma skłonność do przemocy, choć do tej pory nad nią panował. I właśnie to sprawiało, że był tak cennym członkiem Nadzoru. Jeśli sobie pofolguje, nie wiem, czy będzie w stanie znów się powściągnąć i do nas wrócić. Nie wiem nawet, czy będziemy chcieli, żeby do nas wrócił.

– Zawierzyłbym mu własne życie. Jeda także. Wydaje się wyniosły i chłodny, kiedy jest czymś pochłonięty, ale zawierzyłbym mu każde życie.

– Tak. Tylko czy możemy zawierzyć mu jego własne?

Hodge wzruszył ramionami, gwizdnął na Jeda i wskoczył do powoziku.

– To dla mnie zbyt zawile, Waylandzie – rzucił i zaciął konia. – Sam

to rozwikłaj, jeśli dasz radę.



Coram usłyszał pukanie do drzwi głównego budynku i pospieszył otworzyć w obawie, że nachalniejsze dobijanie się obudzi Ojca Nocnego.

Za drzwiami stał typowy wieśniak wyróżniający się z miejskiego otoczenia ciężką kapotą i wysokimi buciorami. Rolnik, pomyślał Coram, a w następnej chwili cofał się machinalnie w obawie przed stratowaniem przez gościa, który nieproszony wszedł do sieni. Prostackie maniere przekonały Corama o zamiejskim pochodzeniu intruza.

– Czym mogę służyć? – zapytał ze sztucznym, uprzejmym uśmiechem.

– Przepraszam za kłopot, ale to ponoć biuro prawnika – powiedział Kowal nieswoim, płaczącym głosem, jakby niepewny własnego statusu i prawa, by pukać do tak drogich drzwi frontowych. – Potrzebuję rady.

– Ach... Obawiam się, że ojcowie nie przyjmują chwilowo nowych klientów. Mają aż nazbyt wiele spraw.

– Ale zapewniono mnie, że to biuro wielmożnego pana adwokata George'a Chapmana i że to przyjazny człowiek. – Kowal udał zmieszanie.

– Hm. – Coram zerknął z niechęcią na niewielkie kałuże na podłodze zasilane wodą spływającą z impregnowanej tłuszczem kapoty gościa. Pomyślał, że Amos będzie miał z tym robotę, a potem, przypomniawszy sobie, że Amosa nie ma, skrzywił się, wiedząc, że wycieranie przypadnie w udziale jemu. – To chyba jakieś nieporozumienie, drogi panie. To nie jest biuro pana Chapmana i nigdy do niego nie należało.

– Ale woźnica zapewnił mnie, że tak właśnie jest – jękał się Kowal. – Przywiózł mnie tu z Hackney i zdawał się wiedzieć, co mówi.

– Obawiam się, że został pan nabrany – rzekł Coram, prostując się

dumnie. – Ta kancelaria należy do Templebane'ów.

Bystry obserwator dostrzegłby, że Kowal, usłyszawszy nazwisko, na mgnienie wypadł z roli, ale Coram akurat sięgał do klamki i niczego nie zauważył.

– Do kogo?

– Do panów Issachara i Zebulona Templebane'ów, adwokatów – wyrecytował Coram dumnie. – Moich ojców.

– Templebane – mruknął Kowal. – Dziwne nazwisko.

– Dziwne czy nie, nie należy do człowieka, którego pan szuka – stwierdził Coram, wypychając go uprzejmie na zewnątrz.

– Ale, ale, mam jeszcze jedno pytanie. – Kowal zastawił nogą drzwi, które chłopak usiłował zatrzaskać.

Coram przewrócił oczami.

– Proszę wybaczyć – zaczął z dużo bledszym już uśmiechem. – Niestety, nie wiem, gdzie znajduje się kancelaria pana Chapmana. Nigdy o nim nie słyszałem.

– Nie o to chciałem zapytać. – Ku zaskoczeniu Corama gość nagle przestał wyglądać jak złęczony prostaczek. – Chciałem zapytać, czy spodziewa się pan dzisiaj słońca? – Kowal wskazał na deszcz.

– Słucham? – zdumiał się Coram.

Kowal skierował spojrzenie na ciemne okulary zawieszane na szyi chłopaka.

Coram sięgnął ku nim, ale jego ręka opadła, kiedy Kowal podchwycił jego wzrok.

– Jestem Kowalem. Zapomnisz o tym, kiedy stąd odejdę, ale jeśli przyjdzie tu ktoś, mówiąc, że przysłał go Kowal, masz go przyjąć. A jeśli przypadkiem akurat będziesz miał na nosie te okulary, zdejmiesz je i spojrzysz temu komuś w oczy, rozumiesz?

– Tak, proszę pana – potwierdził Coram nieco oszołomiony.

– Dobrze. A na pożegnanie bądź tak miły i powiedz, kim był mężczyzna, który przybył tu dzisiaj w czarnym powozie i wyszedł wyraźnie poruszony?

– Chodzi panu o hrabiego Mountfellona?

– Najwidoczniej. – Słyszac zbliżające się kroki, Kowal odwrócił się i wmieszał w tłumek przechodniów.

Coram kichnął trzy razy z rzędu i aż podskoczył, kiedy Issachar pacnął go w ramię.

– Kto to był, chłopcze? – zapytał ojciec, wyglądając na ulicę.

– Nikt, ktoś pomylił biura – wyjaśnił Coram, potrząsając głową, jakby chciał rozjaśnić myśli. – Otrzymał błędne wskazówki.

– No to co tak stoisz? Zamknij drzwi, bo deszcz zacina – ofuknął go Templebane. – I wytrzyj podłogę.



Kruk siedział cierpliwie na dachu, obserwując dom na skraju Chandos Place. Czarne, bystre ślepia wpatrywały się w nieprzejrzyste szyby skrywające wszystko, co działo się wewnątrz. Dziwny to był budynek. Gdy patrzyło się na fasadę frontową i drzwi, których nie umieszczono symetrycznie pośrodku, jak przystało na georgiańską budowlę, ale nieco przesunięto na bok, wydawał się zezowaty, koślawy i kaleki.

Gdyby Kruk był ptakiem przesądnym, mógłby uznać ten dom za pechowy.

– Trefny człowiek w trefnym domu – mruknął Hodge, siedząc w psim wózku pięć pięter poniżej. – Przyjrzyjmy mu się dokładnie.

Jed przetruchtał przez ulicę i zaczął obwąchiwać dom Mountfellona, jakby węszył za szczurami.

Deszcz przestał siąpić, a zaczął lać, więc Hodge szczelniej otulił się kołnierzem płaszcza.

Kruk przeleciał nad ulicą, czarodziejsko unikając wielkich kropli, które padały z nieba prostopadle do toru jego ślizgowego lotu. Wylądował na szczycie portyku i zastukał dziobem w jeden z lśniących prętów, które dzieliły okno na sześć kwater.

– Żelazo. – Hodge się zdziwił. – Czegoś takiego zwykle się nie widuje.

Kruk zeskoczył na ganek i uderzył dziobem w drzwi.

– I żelazne drzwi. Widać ktoś tu się umie skutecznie chronić.

Kruk przeleciał za róg budynku, gdzie Jed wytropił szczura i właśnie wsadzał nos w studzienkę, skąd bił mocniejszy zapach. Pies i ptak zawarli niepisaną umowę: za każdym razem, kiedy Jed zabił

szczura, co czynił dla zasady, a nie z potrzeby zaspokojenia głodu, Kruk mógł wydziobać sobie najdelikatniejsze kawałki, które były jego ulubionym przysmakiem.

Hodge przyglądał się domowi o oknach zasnutych bielmem.

– Nie podoba mi się to – mruknął. – Bardzo mi się to nie podoba.

Nie chodziło o nieprzystępną i świetnie zabezpieczoną fasadę budynku. Jego uwagę zwrócił lśniący od deszczu dach. Żądlił jego pamięć jak wyrzut sumienia, nasuwając myśl o innych dachach, które niedawno odwiedzał, i klatkach pełnych martwych ptaków.

W szponach nowego kryzysu zignorował powszednie obowiązki członka Nadzoru, a to mogło skutkować niebezpiecznymi konsekwencjami.

ROZDZIAŁ XXXIX

Fatalne spotkanie

Zebulon Templebane jechał przez Bethnal Green bezpiecznie ukryty w swej nocnej karocy powożonej przez Bassetshawa uzbrojonego w dwa garłacze, umieszczone w kaburach po obu stronach wąskiego kozła. Przejeżdżając przez most, Bassetshaw splunął przezutym tytoniem i z zadowoleniem patrzył, jak plwocina przełamuje gładką powierzchnię wód kanału, marszcząc odbicie sierpa księżyca. U wlotu Mutton Lane Zebulon zapukał ostro w dach powozu i chłopak zahamował, nie bacząc na dobro końskich pysków: ostro ściągnął jedną ręką wodze, a drugą szarpnął za hamulec. Przez chwilę stali na pogrążonej w ciszy ulicy, na której poruszały się jedynie białe obłoki końskich oddechów podświetlane srebrną poświatą.

Klapka nad ramieniem Bassetshawa odsunęła się gładko.

– Masz broń?

– Pistolety załadowane żelaznymi pociskami, dokładnie tak, jak kazałeś, ojcze. Nie trzeba mi dwa razy powtarzać. Szczególnie w noc taką jak ta.

– Kiedy zatrzymamy się na miejscu, odwiedź kurki i miej broń w pogotowiu, podczas gdy ja będę z nimi rozmawiał. Bądź czujny. Wiesz, czego wypatrywać.

– Mógłbyś zostać w powozie, ojcze.

– Nie zamierzam okazywać, że się ich boję. Nigdy tego nie robiliśmy, podobnie jak nasz ojciec i jego ojciec. Okaż im strach, a otworzysz przed nimi umysł, oni zaś ochoczo z tego skorzystają. Masz swoje okulary?

– Ojcze...

– Załóż je. Nie chcę, żeby manipulowali twoim umysłem, kiedy

będziesz trzymał palce na spustach. Słuchaj uważnie: jeśli będziesz musiał strzelać, strzelaj celnie. Strzelaj tylko w ostateczności, wyłącznie w razie niebezpieczeństwa. Celnie, szybko i najpierw w tego, który będzie stał najbliżej mnie.

– Ale, ojcze, co, jeśli trafię ciebie?

Z wnętrza karocy dobiegł ponury śmiech, a kiedy Bassetshaw zerknął w okienko, w mroku pudła ujrzał Zebulona, który zakładał właśnie swoje ciemne okulary.

– Jeśli coś pójdzie źle, a ja będę w zasięgu ich łap, lepiej, żebyś mnie zastrzelił, niż żeby porwali mnie w mrok. Ale nie martw się, mam przy sobie żelazo. A teraz jedź i zatrzymaj się u wylotu ulicy, gdzie zbiegają się trzy drogi. Pomiedzy nimi jest trójkątny skrawek trawnika, tam się z nimi spotkam. Ruszaj.

Kiedy zatrzymali się dwie minuty później, na spłachciu trawy nikogo nie było. Wcześniejsi wędrowcy pozostawili za sobą jedynie wypalony krąg po swoim ognisku. W świetle księżyca trawa zdawała się oszroniona i Bassetshaw zadrżał, kiedy przeszył go chłód przyniesiony podmuchem wiatru od strony pobliskich drzew. Miał wrażenie, że znajduje się na jakiejś granicy, pomiędzy ciepłem miasta bijącego mu w plecy a zimnem obcych dzikich przestrzeni kryjących się w mroku przed nim. Szybko odwiódł kurki pistoletów, jeden z nich położył sobie na kolanach, a drugi zacisnął w ręce, gotów do strzału. Dopiero poczuwszy kłucie w pozbawionych powietrza płucach, przypomniał sobie o oddychaniu. Łapczywie zaczerpnął tchu.

– Oddychaj spokojnie, chłopcze – powiedział Zebulon w okienko. – To zły moment na mdlenie.

– Co robimy? – zapytał Bassetshaw.

– Czekamy.

Czas mijał. W oddali zaszczekał pies, ale było zbyt późno, by przyłączył się do niego chór braci. W lesie zahuczała sowa, a jakieś małe stworzenie szurnęło pomiędzy źdźbłami i plusnęło w wody kanału. Potem na długi czas zaległa cisza.

– Nikogo tu nie ma – szepnął chłopak.

– Są – rzekł Templebane, otwierając drzwiczki. Powóz zaskrzypiał, przekrzywił się na jedną stronę i gwałtownie wrócił do poprzedniej

pozycji, uwolniony od ciężaru jego ciała. Zebulon wyprostował się i wskazał na drogę.

– Mutton Lane. Leży na osi dawnego traktu. Podobnie tamte dwie ulice. Rozstaje starych dróg zawsze są pod obserwacją.

– Nikogo nie widzę – szepnął Bassetshaw.

– I dobrze... – powiedziała ciemność. Chłopak znów zapomniał o oddychaniu. Na długą chwilę wszystko zamarło.

– Ojciec... – wydusił z siebie.

– Nie jęcz – zbeształ go Zebulon.

– Gdzie nasza flaga? – syknął inny fragment ciemności. Bassetshaw skierował garłacz w tamtą stronę.

– W bezpiecznym miejscu – rzekł Templebane, spokojnie wychodząc na środek trójkątnej przestrzeni porośniętej trawą.

– W bezpiecznym miejscu? – odezwała się ciemność po stronie przeciwnej do tej, skąd mówiła przed chwilą. – W bezpiecznym miejscu?

Bassetshaw zwrócił tam lufę, a wtedy głos dobiegł z za jego pleców.

– Zawarliśmy pakt – wychrypiał.

Templebane ignorował tę zabawę w kotka i myszkę. Stał nieporuszony, kierując słowa w mrok przed sobą.

– W umowie stało, że nagniecie umysł dziewczyny, żeby kiedy znajdzie się już w domu, wypełniła nasze instrukcje.

– Tak zrobiliśmy.

– Ale ona nie.

– Niemożliwe – warknęła ciemność, materializując się nagle pod postacią wysokiego Sluagh w meloniku zwieńczonym koroną z czaszek słonek, których biel odcinała się od czerni wokół. Sluagh pojawił się tak nagle, że Bassetshaw omal go nie zastrzelił zaskoczony, że spoglądał na niego od kilku minut w przekonaniu, że patrzy na pień drzewa. – To niemożliwe.

– Cóż. – Templebane wzruszył ramionami. – Niektórzy powiedzieliby też, że niemożliwe jest istnienie Sluagh, stworów z koszmarów sennych, z bająn starych bab, z baśni, ale oto proszę, jednak istniejecie...

– Co masz na myśli? – Sluagh obchodził go niespiesznie wokół.

– To, że niemożliwe jest możliwe. Świat jest zbyt różnorodny, żeby tak nie było.

Sluagh potrząsnął głową, jakby próbował opędzić się od irytującej muchy, a nie odegnąć niemłą myśl.

– Mieliśmy umowę – powtórzył.

– Nie – stwierdził Templebane.

W tym momencie, szybciej, niż wypowiedział kolejne słowo, szybciej, niż Bassetshaw zdołał zareagować, miał na gardle ostrze z brązu, a Sluagh stał za jego plecami i trzymając za włosy, odchyłał mu głowę do tyłu.

– Nie? – powtórzył Sluagh groźnie. – Obedrę cię za to ze skóry...

Zebulon Templebane był silnym mężczyzną. Utrzymał głowę prosto.

– Nie. Nadal mamy umowę. Jej warunki nie zostały dopełnione.

Sluagh znów szarpnął go za włosy.

– Chciałbym zauważyć, że lufa mojego niewielkiego pistoletu wykierowana jest, choć może dość niezręcznie, w twój brzuch. Pistolet naładowany jest żelazem. Strzał może i nie będzie zbyt celny, ale z tej odległości będziesz miał taką samą przyjemność poczuć to żelazo w trzewiach, z jaką ja czuję twój brąz na gardle.

Sluagh trzymał go jeszcze przez parę sekund, po czym odstąpił, a ostrze zniknęło w fałdach długiego płaszcza, jakby nigdy go nie było.

– Gdzie nasza flaga? – warknął.

– Flaga jest bardzo blisko, ale poza waszym zasięgiem. Rozumiem, że nadal jej pragniecie?

– Oczywiście, jest nasza.

– Wobec tego znajdźcie dziewczynę, a flaga trafi do waszych rąk.

– Czemu mielibyśmy jej szukać? Oddaliśmy ją wam. Nagięliśmy jej umysł, tak samo jak umysł tego pijaka, który ją zabrał. To wy ją zgubiliście...

– Nie! – zaprzeczył Templebane ostro, głosem, który rozszedł się w nocnym powietrzu jak trzask bicia. – Nie związaliście jej umysłu wystarczająco mocno, bo uciekła.

– Nie, nie, nie... – Sluagh groził prawnikowi palcem, krążąc niczym wielki kot wokół zdobyczy. – Chcesz nowego paktu. Wysłałeś swojego

syna z wiadomością...

Cisnął Zebulonowi pod nogi mosiężną tabliczkę z napisem NIEMY, ALE ROZUMNY, z rozerwanym rzemieniem. Templebane przekrzywił głowę, na moment zdradzając zaskoczenie, które szybko jednak pokrył nieprzeniknionym uśmiechem.

– Tak, tak – ciągnął Sluagh. – Wiemy, dla kogo pracujecie, pośrednicy. Wiemy, gdzie znajduje się nasza flaga. Oto nasze nowe warunki: twój syn za naszą flagę. Mogę go tu sprowadzić jutro w nocy. Przynieś flagę, inaczej poderżniemy mu...

Templebane wybuchnął salwą suchego śmiechu.

– Podrzynajcie mu, co tam sobie chcecie. Taki układ nie leży w naszym guście ani w kręgu naszych zainteresowań. – Gdy Sluagh patrzył na niego w milczeniu, wzruszył ramionami i uśmiechnął się szerzej. – Mamy wielu „synów”. Jeden mniej czy więcej nie robi nam różnicy. Przytuliska londyńskie są pełne, możemy przebierać do woli.

Sluagh zbliżył się, zaglądając mu w oczy.

– Myślisz, że przewyższasz nas okrucieństwem? Myślisz, że masz twardsze serce niż ci, którzy odrzucili wygody dnia, zaprzysięgając wierność nocy?

– Odrzucenie dnia nie robi na mnie wrażenia – rzekł Ojciec Nocny, nie spuszczając wzroku z rozmówcy. – Obaj wiemy, że dzień to cienka, wodnista jasność naprzeciwko gęstej, bogatej nocy.

Sluagh potrząsnął głową.

– My, Horda Mroku, mamy do czynienia z waszą rodziną od pokoleń. Jeśli sądzicie, że ot tak zrezygnujemy z odwetu za złamanie umowy, to znaczy, że nie nauczyliście się niczego o nas, o naszych mocach, naszej woli i honorze. Nie wiecie nic, bo to, co uważacie za potworność, jest...

– Wiemy, że pragniecie flagi.

– Chcemy ją odzyskać od wieków!!! – wrzasnął Sluagh. – Ale możemy jeszcze poczekać. Może synowie waszych synów będą bardziej skłonni pertraktować.

Okręcił się na pięcie, grzechocząc kostkami uwieszonymi na zniszczonym płaszczu, i ruszył w stronę lasu.

– A jeśli chodzi o tego niemowę, przebiegły człowieka, nie

spodziewaj się, że jeszcze go ujrzysz.

Templebane przemówił, kiedy Sluagh rozpląwał się w ciemności.

– Mogę zaoferować więcej niż flagę.

Ciemność milczała przez chwilę, a potem odezwała się znużonym śmiechem.

– Odejdź. Nie będziemy robić z tobą interesów. Wasz ojciec był lepszym partnerem niż ty i twój brat, Zebulonie Templebanie.

– Nieprawda – zaprzeczył prawnik. – Nie był. Bo nie mógł zaproponować wam tego, co my możemy. Zniszczenia Nadzoru, końca rządów Prawa i Obyczaju.

Syk, który rozległ się w odpowiedzi, zdawał się dochodzić zewsząd, a przerażony Bassetshaw ujrzał, jak nagle wiele zwyczajnych cieni porusza się i wychodzi na oświetlony księżycem skrawek trawy.

Sluagh było siedmiu i wszyscy zwrócili się ku czerni, która połknęła ich towarzysza. Po chwili on sam wyłonił się stamtąd, zmierzając z powrotem w stronę Templebane'a.

– Jak? – zapytał krótko.

Zebulon rozwinął papier od Mountfellona i wziął leżący na nim fragment krwawnika, który odcinał się ostro na białym tle kartki.

Sluagh spojrział na okruch i trącił go palcem.

– To z jej pierścienia – rzekł Templebane.

– Jednorożec. – Sluagh podniósł na niego wzrok. – A więc dziewczyna należy do Nadzoru?

– Nie. – Templebane się zaśmiał. – Absolutnie. Nawet nie wie, czym jest. Ale ja wiem, że jest narzędziem ich zniszczenia.

Sluagh wziął kamyk i włożył go sobie między zęby. Templebane przyglądał się, jak krwawnik zaczyna wibrować w uchwycie szczęk Sluagh, który potoczył spojrzeniem po braciach. Ci wykrzywiali się w takim samym grymasie: rozchylone wargi, wyszczerzone zęby i falujące nozdrza – wszyscy smakowali rezonujący kamień. Po chwili jeden po drugim kiwali głowami, odwracali się i znikali. Wkrótce został tylko ten w kościanej koronie. Wypluł kamyk z powrotem na kartkę trzymaną przez prawnika.

– Mamy jej smak. Moi bracia przekażą go innym. Jeśli jest za miastem, znajdziemy ją. – Z tymi słowami odwrócił się i po raz ostatni

stopił z ciemnością. Ani Zebulon, ani Bassetshaw nie ruszali się jeszcze przez chwilę. W końcu chłopak odchrząknął.

– Poszli sobie? – zapytał szeptem.

Templebane odwrócił się i ruszył w stronę karety, rzucając synowi znaczące spojrzenie.

– Zawsze czają się w ciemności – rzekł. – Obserwują. – Powóz zatrzęsł się, kiedy otworzył drzwiczki i wszedł na stopień.

– A Amos... – zaczął Bassetshaw.

Twarz, którą ojciec zwrócił w jego stronę, wyglądała groźnie w świetle księżyca. Była jak wyryta z kamienia.

– Amos nie żyje. I ciebie spotka ten los, jeśli nie będziesz trzymał języka za zębami i piśniesz o tym choć słówko.

ROZDZIAŁ XL

Alp na strychu

Dusiołek popełnił błąd. Uświadomił to sobie natychmiast, gdy po raz drugi ujrzał tego samego mężczyznę z psem. Wyglądając przez wąskie mansardowe okienko wciśnięte pomiędzy ociekające deszczem połacie dachu wysokiego budynku, zobaczył człowieka z psem oglądającego w świetle latarni ptasie klatki ustawione na płaskiej przestrzeni pomiędzy różniącymi się pod względem konstrukcji dachami. Klatki były puste, po gołębiach zostały tylko pióra.

Właśnie blask latarni przyciągnął uwagę dusiołka, który odzyskiwał siły, leżąc na podłodze i wsłuchując się w oddech śpiącej kobiety oraz gaworzenie dziecka w kołysce na drugim końcu pokoju.

Dusiołek wiedział, że powinien był przenieść się gdzie indziej. I zrobiłby to, gdyby nie słabość, która dręczyła go od momentu przybycia do miasta. Straciłby mniej siły, obierając drogę inną niż ta okrężna, którą przedostał się z domu na porośniętych lasem zboczach płaskowyżu zwanego przez mieszkańców doliny das Steinerne Meer, Skalnym Morzem. Podróż z gór Berchtesgaden nad prawdziwe morze nie była taka trudna, ale łódź, na której się ukrył na czas przeprawy, najpierw spowolniły niepomyślne wiatry w Kattegat, a potem dwa niezwykle o tej porze roku sztormy na Morzu Północnym. Dlatego właśnie gdy łódź wreszcie wpłynęła pomiędzy inne jednostki stojące w basenie portowym, Alp był już skrajnie wyczerpany.

Alpami górale austriaccy zwali istoty należące do jego rodzaju. Słowo to odnosiło się nie tylko do wysokich wapiennych szczytów pobliskich gór, ale także do męskiej odmiany zmór. Alp, dokładnie jak owe zmory, był stworzeniem nocnym, inkubem czerpiącym moc z oddechu śpiących, wyciskanego z ich piersi własnym ciężarem.

Nie był jednak, jak przedstawiały go opowieści gminu, bezcielesną zjawą – miał ciało i krew oraz postać ludzką, choć nie był człowiekiem. Postać ta była całkiem przeciętna, do tego stopnia, że ci, którzy go zauważyli, natychmiast o nim zapominali. Średni wzrost, zwyczajne, niewyraziste rysy, włosy nijakiego koloru: ani ciemne, ani jasne. Jego skóra miała nieco szarawy odcień, ale nie przyciągający oka. Był nieokreślonego wieku i nieokreślonej płci. Trudno było stwierdzić, czy jest młodym mężczyzną, czy nieco starszą kobietą. Choć był ubrany po męsku, włosy miał dłuższe, sięgały mu za uszy. Na ulicy poniżej określono by go „nie wiadomo czym” – rzecz jasna, jeśli ktoś na tej ulicy by go zauważył bądź pamiętał o nim na tyle długo, by zastanawiać się nad szukaniem pasującego doń określenia.

Kiedy słaby, wycuty całkiem z sił przybył wreszcie do Londynu, natychmiast zaczął się wzmacniać, żerując na małych zwierzętach. Powoli odzyskiwał witalność, która pozwoliłaby mu zapolować na większe zdobycze. W ostatnim tchnieniu umierającej istoty tkwiła niepowtarzalna, skoncentrowana siła, w której się lubował, i stąd właśnie klatki pełne nieżywych gołębi. Obserwując Jeda i Hodge'a chodzących pomiędzy gołębnikami, Alp przypomniał sobie suchy trzask zgniatanych ptasich piersi, kiedy wyciskał z nich życie, opróżniając małe płucka wprost do ust zaciśniętych na kłapiących dziobach. Obżarty ostatnimi tchnieniami, powinien był się oddalić i poleżeć w spokoju, pozwalając, by ich moc powoli przywróciła mu pełnię sił.

Kiedy jednak usłyszał kwilenie dziecka na poddaszu naprzeciwko gołębników i ujrzał tulącą niemowlę kobietę, postanowił z nią zlec. Odczekawszy, aż wypali się taniutka świeca, zużytkował większość dopiero co uzupełnionego zapasu sił na skok na drugi dach i przedostanie się przez okienko na poddasze.

Wchodząc do pokoju, nucił cicho senne, nieziemskie murmurando, a kiedy włąził na siennik i kobieta się poruszyła, uspokoił ją, gładząc delikatnie po twarzy. Potem ukląkł na jej piersi i stawał się coraz cięższy i cięższy, a jej oddech – urywany i nierówny. Wtedy przytknął usta do jej warg i spijał z nich tchnienie. Odsunął się, żeby mogła nabrać powietrza. Wysysał co trzeci oddech, czując szybki powrót sił.

Kobieta uniosła powieki, spoglądając na niego niewidzącymi, zamglonymi oczami, on jednak patrzył w bok, na pulchne niemowlę w kołysce.

Najmłodsze piersi wydawały najczystsze tchnienia, wpatrywał się więc w niemowlę łakomie, najlepszy kąsek postanawiając zostawić sobie na deser.

Kobieta już od dwóch dni pozostawała w śpiączce, a Alp w tym czasie wzmacniał się, czerpiąc energię z jej oddechu, i uspokajał płaczące dziecko, przystawiając je do matczynej piersi na widok pierwszych oznak głodu. Jak każdy pasożyt rozumiał, że jego przetrwanie zależy od utrzymywania w dobrym stanie organizmu gospodarza – przynajmniej do czasu znalezienia nowego.

Wiedział, że w końcu będzie musiał ruszyć dalej, bo nie przybył do Londynu gnany kaprysem, ani też bez zobowiązań. Został wysłany w konkretnym celu, ale nie osiągnąłby go, gdyby pojawił się u klienta nie w pełni sił. Popełnił jednakże błąd, pozostając tak długo w pobliżu żerowiska, przez co teraz musiał się spieszyć. Zaczął cicho nucić swoją kołysankę bez słów i odwrócił się od okna. Tym razem jednak nie skierował kroków ku łóżku, tylko oblizał się i zaczął iść prosto do kołyski.



Hodge odczekał, aż Jed skończy obwąchiwać dach. Widział, że pies podłapał trop.

– Gdzie poszło? – zapytał. – Co znalazłeś?

Jed wdrapał się na mokrą połąć dachu i oparł łapami o kalenicę, wyciągając łeb i niuchając.

– Przystanęło tutaj, tak? Niemożliwe, chyba że umie latać.

Jed nagle warknął cicho i zeszywniał, preżąc się od pyska do ogona. Hodge się schylił, tak że jego oczy znalazły się na linii wzroku psa. Jego spojrzenie padło na dach wysokiego budynku naprzeciwko.

Nadal wyteżał wzrok, żeby zobaczyć to, co pies widział w małym mansardowym okienku sąsiedniego poddasza, kiedy właśnie stamtąd

dobiegł kobiecego krzyku.

ROZDZIAŁ XLI

Widma przeszłości

Nie wiem, kim jest ten Mountfellow z Chandos Place, ale jego dom ma zabezpieczenia przed istotami ponadnaturalnymi, musimy więc przyjąć, że człowiek ten wie również o nas. Templebane natomiast to nazwisko, na które Nadzór natknął się niejednokrotnie w historii działania. – Kowal splunął w ogień. – Na bagnach kręcili się noszący je łowcy czarownic.

On, Hodge, Sara, Kucharka i Sharp siedzieli w bibliotece przy kominku. Hodge miał ponurą minę, jedną dłoń trzymał na łbie Jeda, a kolano drgało mu niespokojnie, jakby coś w sobie tłumił. Choć wszyscy zauważyli, w jakim jest stanie, nikt tego nie skomentował. Emmet siedział przy stole i przesuwiał kawałki lustra z serwantki z Murano, usiłując złożyć je w całość.

Sara, mimo że była najbliżej ognia, wyglądała, jakby marzła. Jej blada cera miała odcień niewiele słabszy od barwy oczu, a fale drżenia, które nią wstrząsały, wskazywały, że koc, którym była okryta, sprawdzał się głównie jako osłona kikuta.

– Łowcy czarownic – szepnęła chrypliwie. – Ludzie, którzy zarabiali, zachęcając złęczniony, łatwowierny gmin do zabijania innych, słabszych od nich za to, co nawet nie istniało.

– Żeby przynajmniej sami wierzyli w ich istnienie – prychnęła Kucharka. – Zupełnie jak tłusci mnisi i klechy grzmiący o diabłach i czarnej magii, żeby naiwni ludzie karmili ich i napychali im kabzy srebrem.

Kowal przytaknął.

– Lud zawsze wiedział, że gdzieś tam żyją istoty inne niż oni, ale łowcy czarownic stwarzali karykatury owych istot z zaświatów, żeby podsycać ich lęk.

– Myślisz, że byliby szczęśliwsi, wiedząc, jak naprawdę wygląda świat? – odezwał się pan Sharp, wskazując na okazałe tomiszcze oprawne w mosiądz, leżące na stole za jego plecami. Księga była wielka jak kościelne Biblie, ale miała zamek i została związana czerwoną jedwabną wstążką jak prezent pod choinkę. – Myślicie, że spaliby lepiej, mając swobodny dostęp do *Wielkiej i tajemnej historii świata*? Moim zdaniem wtedy byłoby znacznie więcej łowców czarownic i jeszcze innych, gorszych, na każdym kroku.

– Ludzie mają skłonność, by w niepewnych czasach kiełznać siłę motłochu, nadając imię wrogowi: prawdziwemu czy wymyślonymu – rzekła Sara, a potem rozkaszała się tak, że pan Sharp aż się poderwał i tylko ostrzegawcze spojrzenie Kucharki osadziło go na miejscu. Sara w końcu złapała oddech i podniosła czerwone, załzawione oczy. – Właśnie dlatego istnieje nasza organizacja: żeby utrzymywać to w ryzach.

Sharp obserwował ją oczami pełnymi czegoś, co przypominało ból.

– Właśnie! – wybuchnął Hodge. Może dlatego, że rzadko kiedy się odzywał, gdy już mówił, wszyscy uważnie go słuchali, a tego dnia wyraźnie widać było, że aż się trząśł z napięcia i potrzebował dać ujście emocjom, zanim go rozsądzą. – Przestaliśmy utrzymywać cokolwiek w ryzach. Nie jesteśmy w stanie wykonywać obowiązków, nie ma co do tego wątpliwości. Jest nas zbyt mało, a w mieście dzieje się coraz gorzej, Londyn zarasta niczym ugór. Nie widzimy chwastów albo dostrzegamy je zbyt późno, żeby zapobiec nieszczęściu.

– Bzdura – zbyła go Kucharka.

– Chciałbym – odwarknął gorzko. – Ale tak nie jest. Przeciwnie. Nie jest bzdurą mieszkająca na poddaszu kobieta, która straciła zmysły, bo skradziono tchnienie jej dziecka. Nie jest bzdurą jej rozpacz, kiedy poczuła zmiążdżone żebra pod miękką skórą, której nawet nie zdążyło jeszcze dotknąć słońce, bo tak krótko dziecko żyło na tym świecie. Nie jest bzdurą to, że oszalała z rozpacz i obwinia się za śmierć dziecka, uważa, że sama je zabiła we śnie, bo była sama w pokoju i nie widziała istoty, która to zrobiła.

Patrzyli na niego zaskoczeni.

– Co się stało? – zapytał pan Sharp.

– Stało się to, że posłuchałem was i zignorowałem to, co mówił mi Kruk, pokazując martwe gołębie. Ostrzegali, że w pobliżu jest dusiołek.

– Hodge opowiedział o gołębnikach pełnych martwych piskląt i o tym, że nie miał czasu, aby zbadać tę sprawę, a przyjrzał się jej, dopiero kiedy było już za późno, by powstrzymać Alpa odbierającego tchnienie dziecku i go złapać. Ze ściśniętym gardłem opisał, jak straszną scenę ujrzał, wyłamawszy drzwi na poddasze, gdzie zastał oszalałą z rozpaczy matkę tulącą w ramionach martwe dziecko ze zgruchotaną piersią. A potem zwrócił oczy na pana Sharpa. Jego spojrzenie naznaczone było zgrozą tego, co ujrzał i czego nie powstrzymał.

– Przykro mi – rzekł pan Sharp. – Jednak...

Hodge pokręcił głową z rozgoryczonym pomrukiem.

– Nie. Nie obwiniam ciebie, przyjacielu, bo miałeś rację w tym, co mówiłeś. To było sensowne. Racjonalne. Ale ja mogłem zignorować twoje słowa, bo jesteśmy Wolnym Bractwem. A jednak tego nie uczyniłem. Postąpiłem tak, jak nakazywał rozsądek. To, co stało się matce i dziecku, obciąża moje sumienie. Jednak teraz widzę, że albo mogę z oddaniem chronić, albo działać sensownie, racjonalnie, a te dwie rzeczy nie zawsze idą w parze. A dobrze pamiętam, co przysięgałem.

– Jeśli w mieście grasuje dusiołek, znajdziemy go – zapewnił Kowal.

Hodge pokręcił głową.

– Nie. Sam go znajdę. Jed zna jego zapach, podejmiemy trop. Wyśledzę go choćby pod ziemią i schwytam. A potem zabiję. Odebrał życie, a Prawo i Obyczaj mówią, że kara musi odpowiadać zbrodni.

Była to swego rodzaju przysięga i wszyscy milczeli przez chwilę, żeby ją uhonorować. Potem odezwała się Sara:

– Żadna to nowina, że jest nas mało. Ale to jeszcze nie oznacza końca. Nasze szeregi bywały już przetrzebione, ale za każdym razem udawało nam się przetrwać...

– Nie, Saro Falk – przerwał jej Hodge, spoglądając w stronę Kowala.

– Posłuchaj mnie. Uważam, że nadszedł właśnie czas, który się zbliżał, o czym wiedzieliśmy od dawna. Stało się źle, że sędzia wszedł do domu z tym Mountfellowem, ale nieraz bywali tu zwykli ludzie i żaden

z nich się nie dowiedział, kim jesteście i co robimy. To nic takiego. Ważniejsze, że wkradła się tu dziewczyna, do samego serca domu, a potem próbowała coś ukraść. A następnie uciekła przez lustra. I jeszcze zabrała ci dłoń. To omen. To znak, że nadszedł czas. TEN czas. Kowal to wie. Dlatego przygotował skrzynie.

– To ostateczność – wtrąciła Kucharka. – Jeszcze nie koniec z nami...

– Ludzie, którzy stoją na krańcu, nigdy nie są tego świadomi, dopóki nie jest za późno – rzekł Kowal. – To kwestia bezpieczeństwa. Musimy zamknąć cenne, potężne, niezastąpione przedmioty w skrzyniach. A nade wszystko w jednej, podwójnie wzmocnionej umieścić Pożogę. A potem ukryć skrzynie poza czyimkolwiek zasięgiem.

– Czyli gdzie? – zapytała Kucharka.

– Na dnie Tamizy. Ukryć przed wzrokiem ludzkim, zakotwiczyć w dnie pod płynącą wodą. Ukryć Segregant i Pożogę pod wodą – oświadczył Kowal.

– To przesada – uspokajała Kucharka. – Nie trzeba...

– Nie – weszła jej w słowo Sara. – Właśnie tak trzeba zrobić. Przynajmniej te dwie rzeczy musimy ukryć, żeby nikomu nie stała się krzywda.

– Panie Sharp? – Kucharka zwróciła się do niego, oczekując wsparcia. – Proszę powiedzieć, że to nierozsądne...

– Nie mogę. Robię to z niechęcią, ale muszę się zgodzić z resztą. Może się to okazać konieczne.

– Ale jak to zrobimy, nie wzbudzając niczych podejrzeń? – Kucharka nie dawała za wygraną. – Przecież niemożliwością jest przeniesienie takich ciężarów potajemnie, bo musimy zakładać, że dom bez przerwy znajduje się pod obserwacją nieprzyjaciół...

– Chodźmy – rzekł Kowal. – Pokażę wam jak.

Zeszli za nim na dół, do kuchni. Sara, wsparta na ramieniu pana Sharpa, zamykała mały pochód. Kowal poprowadził ich do oddalanej niszy i wskazał na ścianę zastawioną regałem uginającym się pod ciężarem przetworów w słoikach.

– O nie – zaprotestowała Kucharka. – Nie możemy otworzyć tych drzwi.

Sara położyła jej dłoń na ramieniu.

– W ostateczności – powiedziała. – W ostateczności możemy.

Kowal sięgnął pod najwyższą półkę, a kiedy rozległo się metaliczne kliknięcie, regał się rozstąpił. Za nim znajdował się ciemny tunel.

– Światło – powiedział Kowal, wyciągając rękę za siebie.

Sharp wyjął zza pazuchy świecę, pstryknął i podał mu ją, kiedy zapłonęła jasnym płomieniem.

Kowal wszedł w milczeniu do tunelu, a za nim reszta w ciszy przerywanej tylko przez Kucharkę, która przy każdym kroku cmokała z niezadowoleniem.

Sklepienie było okopcone niezliczoną liczbą świec i pochodni niesionych tędy przez pokolenia ludzi, a czarny osad poznaczony był smugami w miejscach, gdzie ich ręce dotykały ścian. Przyczyna smug ukazała się, gdy światło padło na kraniec przejścia, gdzie znajdowały się masywne, okute drzwi. Ostatnie piętnaście jardów tunelu pokrywały ślady odbitych dłoni różnych kształtów i rozmiarów, a pod każdym z nich wydrapano znak lub inicjały. Na ich widok nasuwała się myśl, że odbicia i podpisy umieszczono tu na pamiątkę.

– Czekaście – odezwała się Sara, kiedy Kowal zaczął otwierać drzwi. Przeczesała wzrokiem ślady, aż na wysokości barków odnalazła dwa podpisane R.F. i C.F. Uniosła ku nim rękę.

– Nie! – Sharp złapał ją i chciał odciągnąć, ale było za późno.

Kiedy dotknęła mniejszego śladu, jej dłoń przylgnęła do ściany.

Wszyscy obserwowali, jak jej twarz tężeje, a głowa odchyła się, ukazując napięte ścięgna na szyi. Kobieta otworzyła szeroko oczy, spoglądając w uwięzioną w ścianie przeszłość.

Odczuła to jak zazwyczaj – jako serię ostrych uderzeń. A potem tunel wypełnili ludzie.

Niektórzy nieśli broń.

Niektórzy zatrzymywali się i przesuwali dłońmi po okopconym sklepieniu.

Stroje pochodzące z minionych epok.

Twarze ponure, naznaczone determinacją.

Kobiety i mężczyźni.

Kobiety również z pistoletami i ostrzami.

Odbijali ślady rąk.

Młodzieniec o bardzo jasnych włosach, prawie chłopiec, marynarskim nożem wyskrobał pod czarną ręką swoje imię.

Nieopodal zaszczekał pies.

Potem tłum się przerzedził.

Kobieta przykładała dłoń w miejscu, w którym robiła to teraz Sara. Jej twarz oświetlał blask latarni trzymanej przez towarzysza. Kobieta była podobna do Sary, ale spod wełnianej żeglarskiej czapki wymykały się niesforne czarne loki. Zdawała się patrzeć prosto na Sarę.

– Żegnaj, moja dzielna dziewczynko. Moja silna córeczko.

Inni, którzy nie widzieli tego, co Sara, zobaczyli, jak jej twarz kurczy się w bólu.

Kobieta uśmiechnęła się i odchrząknęła.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wrócimy, zanim się obudzisz. Jeśli jednak przydarzy nam się nieszczęście, będziesz musiała się jeszcze wzmocnić, żeby zająć nasze miejsce w Ręce. Kucharka i Kowal pokierują tobą, a młody Jack Sharp przysiągł nie opuszczać cię i chronić, dopóki nie dorośniesz do swojej mocy. Traktuj go łagodnie, bo płonie w nim dziki ogień i dzielnie walczy, żeby go poskromić. Zrozumiesz to, bo i ty masz w sobie żar, choć innego rodzaju, a my obserwowaliśmy, jak uczysz się nad nim panować...

Przeszłość przeskoczyła.

Kobieta otarła oczy i uśmiechnęła się dzielnie. Po policzkach Sary płynęły łzy.

I znów przeskok.

Ta sama kobieta, znów z mężczyzną u boku. Towarzysz spoglądał na nią z uśmiechem i mówił głębokim, silnym głosem.

– Cokolwiek nas spotka złego czy dobrego, pamiętaj o tym, Saro. Nieważne, jak gruby pancerz będziesz musiała założyć, żeby radzić sobie z tym, co nadejdzie, pamiętaj, że zawsze mocno cię kochaliśmy. I cokolwiek by ci mówiono, zawsze trzymaliśmy się jednego, w obu światach, tym naturalnym i tym ponadnaturalnym, bo w końcu to ona okazuje się najsilniejsza: miłość, która zwycięża wszystko.

Pocałował czubki palców, a kiedy już prawie przyłożył je do policzka stojącej obok kobiety, on i inni ujrzeli, jak jej twarz kurczy się

na widok czegoś za ich plecami...

Przeszłość zgasła i Sara zachwiała się, odrywając od ściany, a ręka opadła jej bezwładnie wzdłuż ciała.

Zamrugła oszołomiona i spojrzała na Kucharke i Sharpa.

– Myślałam, że doda mi to sił – wychrypiała cicho. – Że oni dodadzą mi sił. Myślałam, że...

Oczy uciekły jej w tył głowy, osunęła się i rozbiłaby głowę o kamień, gdyby Sharp nie złapał jej w powietrzu.

Reszta patrzyła, jak bierze ją na ręce i unosi w stronę światła padającego z kuchni.

Kowal odwrócił się wreszcie i otworzył drzwi.

– Nic dobrego nie wynikło z przyjścia tutaj – stwierdziła Kucharka, odprowadzając wzrokiem Sarę w ramionach Sharpa. – Nie na darmo nie otwierało się tych drzwi od Katastrofy.

– Nie ma powodu tak do tego podchodzić – rzekł Kowal, wchodząc do piwnicy za drzwiami. – Żadnego prócz sentymentu. Przyczyną Katastrofy były lustra, a serwantka z Murano została przeniesiona do Czerwonej Biblioteki. Równie dobrze moglibyśmy tam nie wchodzić.

Niezadowolona Kucharka pomrukiwała coś pod nosem, idąc za Kowalem do piwniczki. Tam Jed ochoczo obwąchiwał ściany z nadzieją, że może znajdzie jakiegoś zbłąkanego szczura.

Pomieszczenie było puste i suche, a na samym końcu znajdowało się parę stopni prowadzących do podwójnych drzwi nabijanych żelaznymi gwoździami.

– Tamtędy – rzekł Kowal. – Emmet wyniesie skrzynie tamtym przejściem. Prowadzi do bocznego przepustu na Tamizie, nieopodal Talleyman's Cut.

– Nie wiedziałam o istnieniu tego tunelu – przyznała Kucharka.

– Cóż, może gdyby przesady i sentymenty nie przesłaniały ci rozsądku, przyszłabyś tu i się o nim dowiedziała. – Kowal się uśmiechnął.

Kucharka sapnęła, rozglądając się po piwnicy.

– Mogłabym tu trzymać przetwory. Jest dość sucho.

– Przy przepuście wsadzimy je na łódź – ciągnął Kowal – i zabierzemy do Blackwall Reach, gdzie jest najgłębiej. Tam je

zatopimy. Jeśli chodzi o tych, którzy obserwują dom, to kiedy przywieziemy skrzynie na wozie, z pewnością będą chcieli śledzić wóz, gdy zostanie załadowany z powrotem.

– Nie podoba mi się ten plan – poskarżyła się Kucharka Hodge’owi.

– Nie musi – odparł. – Wystarczy, że pokierujesz łodzią.

Przez chwilę milczała, chłonąc słowo „łódź”. Bystry obserwator dostrzegłby iskrę rozmarzenia w jej oczach.

– Dawno nie byłam na wodzie.

– Ale chyba pamiętasz, jak się pływa? – zapytał Kowal. – To jak z jazdą na koniu: raz się nauczysz i nigdy nie zapominasz.

– Nie jeżdżę konno – obruszyła się Kucharka. – Konie to wstrętne bestie. Z jednej strony kopią, z drugiej gryzą. – Wzdrygnęła się i łypnęła na niego niechętnie. – I tak mi się to nie podoba.

– Mnie też – przyznał Hodge. – Nie sędzę, żeby cokolwiek jeszcze kiedyś mi się spodobało po tym, jak zobaczyłem utkwione we mnie oczy tego oseska.

– Mnie również się to nie podoba – przyłączył się Kowal. – Ale trzeba to zrobić. Sara umiera. Albo nawet gorzej. A bez niej stracimy Ostatnią Rękę.

ROZDZIAŁ XLII

Sąd cyrkowy

Długa kawalkada wozów sunęła przez kraj przez dwa dni, coraz bardziej rozciągając się wzdłuż drogi. Z upływem czasu jadący z przodu lżejszymi pojazdami odsadzali coraz bardziej ciągnących się w tumanie pyłu maruderów.

– Biedacy, duszą się tam z tyłu i pewnie modlą o deszcz. – Charlie zadarł głowę, spoglądając na niebo. – A jak spadnie ulewa i zaczną grzęznąć po osie w koleinach, będą marzyli o słońcu, które osuszy drogę.

Uśmiechnął się przemądrzale z miną kogoś, kto wie wszystko, a na dodatek jest szczęśliwcem podróżującym na przedzie.

Lucy poznała jego ojca dopiero po południu, kiedy zatrzymali się, by napoić konie. Razem z Charliem zeskoczyli z wozu, by mu pomóc.

Pan Pyefinch był żwawym mężczyzną średniego wzrostu. Kulał, ale poruszał się tak energicznie i zwinnie, że zdawał się dwa razy zręczniejszy od zdrowego człowieka. Ranę odniósł – jak Charlie z dumą poinformował Lucy – walcząc z Francuzami pod Waterloo ponad trzy dekady wcześniej.

– Ale nie martw się – mówił Charlie. – Nie chowa urazy do Francuzów, więc to nic, jeśli jesteś żabojadką.

– Wcale się nie martw – poparł syna pan Pyefinch. – To było dawno temu. Miałem wtedy jedenaście lat i potykałem się z bębniem na ramieniu w tłumie gwardzystów otoczonych przez kawalerię Boneya. Ten, który mnie postrzelił, był jak ja Anglikiem, wielkim i niezgrabnym, z Kent. Upuścił muszkiet podczas ładowania, a broń upadła tak pechowo, że wystrzeliła kulę, która strzaskała mi goleń. – Podał rękę Lucy i energicznie uścisnął jej dłoń. – Żaden Francuz nigdy mnie nie tknął, choć jeden z Gwardii Cesarskiej, paskudny gość

z wielkimi wąsiskami, dzień później nadział tego z Kent na bagnet. Dziękujemy za króliki.

- To ja dziękuję, że zajęliście się mną, kiedy straciłam przytomność.
- Nie mnie dziękuj, tylko Rose.

Jak się okazało, tak właśnie miała na imię matka Charliego. Kiedy znów ruszyli w drogę, zaprosili Lucy na przód wozu. Zwykle starałaby się uniknąć takiej sytuacji w obawie przed gradem pytań, jak to się stało, że znalazła się w dużym namiocie, i skąd pochodzi. Jednak, co dziwne, nie pytali jej o nic, nawet o rękawiczki, których nie zdejmowała, a na to ludzie zwykle zwracali uwagę. Ciepło i rytmiczne kołysanie wozu rozleniwiły ją. Odprężyła się i zaczęła przysłuchiwać rozmowie Pyefinchów. Numer, z którym objeżdżali kraj, *Słynne żywe obrazy historii*, polegał na podświetlaniu w zaciemnionym namiocie szklanych pudeł, w których znajdowały się miniatury różnych miejsc i ludzi. Pokaz robił tym większe wrażenie, że podczas występu pan Pyefinch czytał lub mówił, dodając mu w ten sposób dramatyzmu.

– Od początku robimy bitwę pod Waterloo, zawsze przynosi zyski – mówił ojciec Charliego. – Nasz numer jest bardzo patriotyczny. Ludzie przychodzą na jarmark, ciesząc się wolnym dniem, ciesząc się piwem, a piwo nastraja ich sentymentalnie. A nie ma nic bardziej sentymentalnego niż patriotyzm. Zarobek był tak dobry, że w Clerkenwell poszedłem do pewnego zdolnego rzemieślnika i zamówiłem dioramę bitwy pod Trafalgarem, którą wystawiamy na przemian z tamtą.

– Diorama jest niesamowita – wtrąciła pani Pyefinch. – Działa prawie jak magia. To dlatego, że statki są połączone pod morzem drutami...

– A morze zrobione jest ze specjalnie ufarbowanego kawałka szantungu – przejął pałeczkę jej mąż. – Jest w kolorze zwanym „eau-de-Nil”. Na pewno wiesz, że to po francusku „woda Nilu”. Choć prawdę mówiąc, nie widziałem nigdy Nilu ani piramid...

Pan Pyefinch miał nawyk popadania w rozmarzenie, kiedy mówił. Jego oczy zdawały się dryfować daleko, jakby widział nimi piaski pustyni i sfinksy.

- Statki są połączone za pomocą prętów i struny fortepianowej, co

pozwała nam nimi poruszać, kiedy pan Pyefinch snuje swoją opowieść – dokończyła pani Pyefinch.

– Najlepiej sprzedaje się iluzja – rzekł jej mąż, przytomniejąc. – Widownia uwielbia sztuczki.

– Nie tylko nasza – dodał Charlie z uśmiechem. – I dobrze, bo nic tu nie jest tym, czym się wydaje. Wszystko jest takie jak tresowana świnia Huffama, no wiesz.

– Nie wiem. – Lucy pokręciła głową.

– Widziałaś świnię w sukience? Zanim zemdłałaś?

Lucy już miała zaprotestować, że wcale nie zemdłała i w ogóle nie należy do dziewcząt z gatunku mdlejących, ale przypomniała sobie o dwóch sprawach. Po pierwsze, co było żenujące, rzeczywiście zemdłała, a po drugie, zanim to zrobiła, to wśród innych strasznych rzeczy naprawdę widziała kobietę z głową świni.

– No właśnie. No to wiedz, że choć tresowana świnia Huffama wygląda jak świnia, wcale nie jest świnią – ciągnął Charlie. – Jasne, można ubrać świnię w sukienkę, ale nie da się jej nauczyć siadać i chodzić na tylnych nogach, prawda? Dlatego biorą małego niedźwiadka i golą biedaka. Całe piękne futerko golą do gołej, różowiotkwej skóry, a ogolony pysk z tymi niedźwiedzimi kłami przypomina świński łeb w czepku. Proponowali, żebym za trzy pensy tygodniowo golił zwierzę, ale nie chciałem. Zwykle biorę każdą robotę, ale tej nie mogę. Podczas golenia trzeba by patrzeć biednemu misiowi w oczy, a on ma te oczy takie ludzkie, że aż się serce kraje.

Tej pierwszej nocy rozbili obóz na wrzosowisku, na wzniesieniu przy rzece, która przez cały dzień towarzyszyła im, wijąc się to bliżej pylistej drogi, to dalej, chwilami podchodząc pod samo pobocze, a innym razem meandrując hen, za skupiskami wierzb, i znów wracając. Lucy stała, obserwując, z jaką szybkością i precyzją poruszali się cyrkowcy, zmieniając wozy w domy, pojąc i karmiąc konie, rozciągając płócienne daszki, pod którymi ustawiali stoły i krzesła, rozpalając ogniska i wieszając nad nimi poczerńiałe kociołki, z których wkrótce wszędzie wokół unosiły się kłęby pary. Robili to wszystko bez zbędnego zamieszania, ich ruchy były oszczędne jak u marynarzy. Ta myśl uderzyła Lucy, nabrała bowiem pewności, że

płynęła niegdyś statkiem: uczucie było niezwykle silne, ale samo wspomnienie zdawało się zapaść w jakąś czarną dziurę.

Myślenie o tych czarnych dziurach przyprawiało ją o zawroty głowy i mdłości. Zwykle radziła sobie ze strachem, uciekając od jego źródła, ale w tym przypadku źródło lęku nosiła ze sobą. Miała nadzieję, że w pewnej chwili zacznie sobie przypominać, jak się tu znalazła, a przynajmniej zrozumie, co stało się z jej wspomnieniami. Na razie jednak wolała zająć czymś ręce, żeby nie dopuszczać do siebie niepokoju. Pożyczyła od Charliego nóż i zabrała się do skórowania i patroszenia królików. Kiedy Rose skończyła parzyć herbatę, mięso można już było wrzucać do garnka.

– Zręczna jesteś – pochwaliła ją Rose, kiwając na męża, żeby zobaczył efekt pracy Lucy. – Choć nie widziałam nigdy, żeby ktoś gotował w rękawiczkach.

Lucy tyle razy miała okazję przeciwżyć odpowiedź na tę uwagę, że wyrecytowała ją z płynnością często powtarzanego kłamstwa.

– Mam zniszczoną skórę na dłoniach. Bardzo wrażliwą. Pracowałam w fabryce mydła. Oparzyłam się ługiem.

– A tak, ług brzmi dobrze – rzekła Rose, wymieniając za plecami Lucy spojrzenia z mężem. – Tak, ług jest niebezpieczny. Biedactwo. Musimy sprawdzić, co jeszcze potrafisz – dodała po chwili z uśmiechem. – Jestem przekonana, że posiadasz wiele ukrytych talentów, panno Falk.

– Saro. – Lucy zaczynała żałować, że skłamała co do imienia albo przynajmniej po prostu jakiegoś sobie nie zmyśliła. Imię Sary Falk zdawało się zbyt ciężkie, zbyt dobrze znane, jakby ewidentnie należało do kogoś innego, do kogoś prawdziwego. Równie dobrze mogła przedstawić się jako Jack Spratt albo Duke Wellington.

– Zostawimy to na małym ogniu – powiedziała Rose, dodając warzywa i zioła do kociołka. – Zjemy po sędzie.

– Sędzie? – Lucy zwróciła pytające spojrzenie na Charliego.

– Sędzie cyrkowym. To jak zebranie miejskie. Cyrkowcy zbierają się i rozstrzygają spory, decydują, czy dany incydent był istotny i czy coś trzeba z tym zrobić.

Jak się okazało, chodziło o zamieszanie z Nellie, tresowaną świnia,

która wpadła w szal i zbiła drogocenne lustro. Lucy przycupnęła na skraju kręgu cyrkowców skupionych przy ognisku, boleśnie świadoma, że chodzi o lustro, przez które wypadła. Stroną poszkodowaną był Na-Barno Eagle, ojciec Georgiany, któremu Lucy mogła się po raz pierwszy porządnie przyjrzeć.

Wysoki, gładko ogolony mężczyzna o smutnych oczach miał długie, siwe włosy i szlachetny, lekko zadarty nos, który pokrywała siateczka popękanych naczyń krwionośnych, nadając mu barwę charakterystyczną dla miłośnika trunków. Na-Barno Eagle miał na sobie strój z ciemnego aksamitu, który wyraźnie znał lepsze czasy, ale był sprytnie pocerowany i połatany. Energia, jaką wkładał w przemowę, buzowała niczym płomień, czasem rosnąc, czasem przygasając, gdy opowiadał swoją wersję wydarzeń. W chwilach, kiedy był bliski wywrócenia się, Georgiana zawsze stała u jego boku, czujna i gotowa, by go podtrzymać. W skrócie oskarżał kogoś o rozbicie lustra i domagał się rekompensaty za stratę.

Istniało jednak kilka wątpliwości dotyczących jego żądań. Po pierwsze kwota, na którą wycenił lustro, według opinii postronnych była zbyt wysoka. Drugą był powód, dla którego lustro znajdowało się w dużym namiocie, który wraz z tresowaną świnią należał do pana Huffama, a nie, jak powinno, w mniejszym, należącym do magika.

– Zwierciadło – odpowiedział Na-Barno – znajdowało się w namiocie pana Huffama zgodnie z wcześniej zawartą umową. Nie jest tajemnicą, że zgodziłem się wziąć udział w konkursie sztuczek z tym oszustem Andersonem. Moja skromna Świątynia Magii ma zbyt małe wymiary na ćwiczenie nowych iluzji w ukryciu przed ciekawskimi, a to z powodu zastosowania w nich niezbędnego rekwizytu, jakim było wielkie, niezwykle cenne zwierciadło.

– On cały jest jedną wielką iluzją – szepnął głos przy uchu Lucy. Włoski zjeżyły jej się na karku, bo z doświadczenia wiedziała, że jest zbyt czujna, a jej zmysły zbyt wyczulone, by ktoś ot tak podkradł się do niej niezauważony. Odwróciła się. To Charlie bezszelestnie wyłonił się z ciemności. Uśmiechnął się szeroko, nieświadom niepokoju, w jaki ją wprowadził. – Tyle że im starszy, tym powolniejszy i bardziej niezdarny robi się na scenie. To dlatego właśnie kupił automat,

którego nawet nie umie właściwie używać: chce, żeby maszyna robiła za niego sztuczki, a on tylko część gadana. Bo gadane nadal ma niezłe, no nie?

Stojąc pośrodku kręgu, zalany blaskiem ognia Eagle przez chwilę wysłuchiwał wątpliwości i argumentów padających spośród zebranych cyrkowców.

– Nie żądam więcej, niżli mi się należy – rzekł, zamasyście tocząc wokół ręką. – Czy wolność i sprawiedliwość nie są ważne tak samo jak woda?

– Jedyna woda, jaką pija Na-Barno, to ta, którą Georgiana rozcieńcza mu skrycie dżin – szepnął Charlie.

– Masz rację – odezwał się jeden z cyrkowców. – Ale nawet nie wiesz, kto zbił lustro, i my także nie wiemy. Wobec tego musisz uznać to za wypadek i pogodzić się ze stratą.

Wokół rozległy się oznaczające aprobatę pomruki, a wszyscy kiwali głowami. Zdawało się, że sprawa jest zamknięta, ale Na-Barno odwrócił się i wskazał palcem na mówiącego.

– Twoim zdaniem to wypadek, moim czyjaś zła wola. Nieraz tego doświadczyłem. Nieraz złośliwi sabotowali moje przedstawienia. Sabotowali! Najpierw zepsuto mojego mechanicznego Maura, a teraz lustro! To Anderson maczał w tym palce!

– Uważaj, Na-Barno – napomniał go cyrkowiec. – Jesteś pośród przyjaciół, ale to pomówienia i lepiej, żeby nie dotarły do uszu Andersona.

– Anderson może się powiesić – prychnął Eagle. – A jeśli jakiś jego szpieg gdzieś tu się kręci, możesz mu przekazać, co powiedziałem!

Z tymi słowy usiadł na krześle, a zrobił to z takim rozmachem, że impet – prawdopodobnie wywołany spożytym dżinem – sabotował zamiary Na-Barno, wywracając krzesło i w iście scenicznym stylu posyłając czarodzieja na trawę.

Upadek był tak nieoczekiwany i tak kontrastujący z patosem przemowy, że Lucy buchnęła śmiechem ułamek sekundy wcześniej, nim zrobiła to reszta. Georgiana Eagle, która wraz z dwoma akrobatami pomagała ojcu usiąść na krześle, wychwyciła to i spiorunowała ją nienawistnym spojrzeniem.

– Cieszę się, że tak bawi was moje potknięcie – rzekł Eagle wyniośle.
– Ale możecie się śmiać z upadku starca, ile chcecie, a ja i tak będę domagał się sprawiedliwości. Lustro znajdowało się w piecy Huffama, nie chcę nic mówić, ale...

– Dość, Barney. – Pan Pyefinch przemówił po raz pierwszy. – Posuwasz się za daleko. Nie idź w tę stronę. Chyba nie chcesz, żeby Huffam płacił za to, że wyświadczył ci przysługę, używając swojego namiotu do prób.

Ogólny poklask, z jakim spotkała się ta wypowiedź, podziałał na Eagle'a jak policzek. Wybałuszył oczy i zaczął poruszać ustami, ale z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Rozejrzał się i jego wzrok padł na Georgianę.

– Widzisz? – powiedział. – Widzisz, moje dziecko, z jaką nieżyczliwością się tu spotykamy?

Jakby był to rodzaj sygnału, cyrkowcy zaczęli się podnosić i rozchodzić. Z pewnością głównym powodem ku temu była niechęć wobec próby wyłudzenia pieniędzy od Huffama, który w ich oczach podał Eagle'owi pomocną dłoń, ale spieszno im było także dlatego, że mieli za sobą długą drogę, a nazajutrz trzeba było wcześniej wyruszyć dalej. Po trudach podróży najbardziej marzyli o ciepłej strawie, kocu i dobrym wypoczynku.

Eagle próbował ich zatrzymać, chwytając rozpaczliwie za rękawy, usiłując zainteresować swoim nieszczęściem, ale udało mu się wymóc jedynie kilka przeproszających chrząknięć i parę klepnięć po plecach. Wreszcie zgarbił się na swoim krześle przy ogniu, jakby opadł z sił. Georgiana zaczęła iść pod prąd rzeki odchodzących ludzi, kierując się ku Lucy niczym zabójcza strzała.

– Georgie – zaczął Charlie na wpół rozbawiony – co...?

– Śmiała się z taty! – syknęła Georgiana.

– Wszyscy się śmialiśmy... – argumentował Charlie.

Nie zwalniając kroku, Georgiana podeszła zamasyście prosto do Lucy.

– Nikt nie wyśmiewa się z Eagle'ów! – warknęła i spoliczkowała dziewczynę.

Lucy poczuła piekący ból i zareagowała szybciej, niż pomyślała: jej

ręka zwinęła się w pięść i wystrzeliła. Rozległo się głośne łupnięcie, jęk i Georgiana leżała na trawie.

– A mnie nikt nie bije – stwierdziła Lucy.

Georgiana wyglądała na oszołomioną bardziej faktem odporu niż samym ciosem, który trafił ją pod oko. A był to nie byle jaki cios. Lucy czuła ból w knykciach i chłód w miejscu, gdzie rękawiczka pękła na szwie. Nie zamierzała dać jednak przeciwniczce satysfakcji i sprawdzać stanu ręki.

Przez chwilę groźnie mierzyły się wzrokiem. Georgiana trzęsła się jak dzikie zwierzę przed skokiem, choć trudno było stwierdzić, czy miał to być skok do ataku, czy do ucieczki. Potem idealne usta Eagle'ówny wykrzywiły się w coś w rodzaju drwiącego uśmieszku, odsłaniając równie idealne, zaciśnięte w furii zęby.

– Jeszcze tego pożałujesz – syknęła. – Oj, bardzo tego pożałujesz.

Podniosła się z ziemi, odrzuciła loki na plecy, okręciła się powabnie na pięcie i odmaszerowała w stronę samotnej, przygarbionej postaci przy ognisku.

– Ta to lubi mieć ostatnie słowo – skwitował Charlie, odprowadzając wzrokiem Georgianę, a potem spojrzał na Lucy.

– No co? – zapytała.

– Bijesz się jak chłopak – stwierdził. – Gdzie się tego nauczyłaś?

– Nie uczyłam się. Po prostu tak wyszło.

– Większość dziewcząt uderza otwartą ręką – rzekł z uśmiechem.

– Naprawdę? – zdziwiła się, usiłując sobie przypomnieć, kto nauczył ją uderzać pięścią. Odnalazła jednak kolejną czarną dziurę w pamięci.

– Chodźmy, gulasz już pewnie gotowy.

Kiedy szli w stronę wozu Pyefinchów, Lucy dostrzegła, że Charlie ukradkiem ogląda się na Eagle'ów, którzy siedzieli przycupnięci przy ognisku. Na-Barno ujął twarz córki i obrócił ją ku światłu, żeby zobaczyć miejsce uderzenia. Zerknął na nich, ale szybko się odwrócił.

– Georgie będzie miała jutro niezłą śliwę. – Charlie aż syknął przez zęby. – Udało ci się zrobić sobie zaprzysięgłego wroga.

ROZDZIAŁ XLIII

Zerwana uwięź

Amosowi Templebane'owi, urodzonemu i wychowanemu w Londynie, służyło nowe wiejskie życie. Otwarte przestrzenie okazały się takie jak w jego snach, tyle że jeszcze większe, rozleglejsze i – kiedy leżąc, spoglądał w niebo – głębsze. W mieście zawsze były w pobliżu jakieś mury, a za murami ludzie. A gdzie byli ludzie, tam był hałas – nie tylko zgiełk mowy i krzyki, ale też nieustanny gwar ich myśli. Zwykle Amos potrafił zepchnąć go w tło umysłu, ale choć z wiekiem robił to coraz skuteczniej, myśli innych ludzi były przy nim, nawet jeśli tylko jako cichy, lecz ciągły szum, jak syk ognia na palenisku czy szmer liści na wietrze. A hałas oznaczał, że Amos nigdy nie był sam.

Poza miastem rozciągały się pola, wznosiły pagórki, rosły lasy i Amos czuł się jak skąpany w zieleni i ciszy. Wędrował mniej uczęszczanymi szlakami, trasami poganiaczy bydła, ścieżkami owiec. Trzymał się z dala od rogatek i głównych dróg. Kiedy skończyły mu się zapasy z plecaka druciarza, zaszedł do jednego z gospodarstw i w zamian za naostrzenie noży i dwa garnki uzupełnił prowiant.

Tylko raz szedł głównym traktem – pierwszego dnia. Zatrzymał się wtedy na rozstaju, stając przed wyborem, czy iść na południe, do domu, do Londynu, czy na wschód albo zachód. Droga na zachód zdawała się najmniej uczęszczana, więc to ją obrał. Wtedy nie rozumiał jeszcze, dlaczego podjął taką decyzję, ale kiedy przemierzając otwarte przestrzenie, nabierał sił, pojął, że na południu czekało na niego życie, w którym był do tej pory uwięziony, natomiast pozostałe kierunki niosły nadzieję na wolność. I na brak Templebane'ów.

Coś w nim pękło. Z początku myślał, że spowodowały to ucieczka,

zabici druciarza-mordercy, piętno kainowe, które teraz nosił. Kilka nocy po dniach znoonej wędrówki spędził, spoglądając w ogień i nad tym myśląc. A potem wziął ostry nóż druciarza, ten od robienia uśmiechu na szyi, cisnął go w kępę chwastów i odszedł.

Uznał, że to, co się wydarzyło, nie było takie złe, że nie powinien mieć wyrzutów sumienia, czuć żalu, tęsknić i lamentować, bo to, co zostało zerwane – szybko i czysto jak rzemień od tabliczki NIEMY, ALE ROZUMNY – to uwięź. Dzięki temu przestał być więźniem przeszłości. Nie należał już do nikogo innego, tylko do siebie. Był wolny i odpowiadał jedynie przed przyszłością. A cokolwiek miała przynieść, poprzysiągł sobie, że już nigdy nie pozwoli ograniczyć swojej swobody.

ROZDZIAŁ XLIV

Długa ręka

Sara siedziała przy piecu, kontemplując zupę w stojącej przed nią misce. Co jakiś czas przypominała sobie nawet o podniesieniu do ust łyżki. Obie z Kucharką milczały, a choć atmosfera była napięta, otaczała je przyjacielska cisza przerywana tylko odgłosami wyrabiania ciasta.

Sara właśnie jadła, kiedy to się stało.

Wzdrygnęła się i krzyknęła, a uniesiona do ust łyżka wypadła jej z ręki. Zerwała się gwałtownie i próbując zachować równowagę, chciała oprzeć się o stół, ale natrafiła dłonią na rant miski, przewróciła ją i wylała sobie zupę na kolana. Odskoczyła z jękiem, odruchowo strzepując gorący płyn z kolan, a łyżka zadźwięczała o podłogę.

– Moja ręka! – wykrztusiła.

Kucharka błyskawicznie podbiegła z mokrą ścierką, oderwała spódnicę od nóg Sary i zaczęła ścierać z niej zupę.

– Poparzyłaś się? – zapytała.

– Moja ręka... – powtórzyła Sara zduszonym głosem, z miną, jakby zaraz miała zwymiotować. – Ktoś ją trzyma.

Zasłony w wozie zostały zasunięte, węgiel odgarnięty cicho i starannie, a skrytka otwarta. Skrzynkę wyciągnięto, ustawiono na stole i uniesiono wieko. Ręka Sary rzeczywiście została ujęta i była oglądana w świetle latarni.



– Zobaczmy – mruknął głos. – Jak działasz?

Dłoń na powrót umieszczono w skrzynce, po czym przysłonił ją

cień, kiedy osoba ją ukrywająca skierowała światło na szufladę, w której zaczęła czegoś szukać.

Gdy rękę znów zalał blask, w dłoni tajemniczej osoby zalśniła szpilka. Czubek szpilki powoli zbliżał się do skóry. Ręka poruszyła się.

– A to co? – szepnął głos.

Ręka się ruszała. Tym razem nie próbowała uciekać, robiła coś zupełnie innego. Nie usiłowała się już bezskutecznie wdrapać na gładkie ścianki skrzynki – poruszała się w określonym, łatwym do odgadnięcia celu.

Trzy palce zostały zagięte pod spód, wskazujący wyprostowany, a odchylony pod kątem prostym kciuk zapewniał równowagę i nieznacznie unosił dłoń, dając palcowi wskazującemu odpowiednią swobodę ruchu. Palec wskazujący wyprostował się, przygiął, a opuszka zaczęła kreślić na dnie skrzynki wzory.

– Co robisz? – zastanawiał się człowiek, przyświecając sobie i pochylając się, by lepiej widzieć. – Rysujesz?

Palec powtarzał wzór coraz wolniej, jakby chciał pomóc obserwatorowi.

– Litery! – odgadł wreszcie ten. – Na Boga, umiesz pisać!

Palec kreślił i kreślił.

– C... Y... P... O... N... Znów O... C... To K czy kolejne Y...? P... To nie ma sensu. Zupełnie, żadnego... Znów O... N... Nie, to nie N! – Czytający aż sapnął. – To M! O... C... Y... POMOCY! Na niebiosa! Naprawdę umiesz pisać, moja złota?

Pochylił się i poklepał rękę, jakby była psem albo innym zwierzęciem, któremu właśnie udało się zrobić sztuczkę.

– Ha! – powiedział głos radośnie. – Jeśli nie zarobimy na tobie góry złota, to nie zarobimy jej już na niczym. Nazwiemy cię Jedyłą w Swoim Rodzaju Ręką Chwały, podoba ci się?



Sara siedziała przy stole, przytrzymując się skraju blatu, jakby bała się, że leżący przed nią kikut w każdej chwili może spróbować zrzucić

ją z krzesła. Jej twarz nie była już blada, tylko wyraźnie zielonkawa, a z czoła spływał jej pot, kapiąc na wyszorowaną podłogę.

Siedząca naprzeciwko Kucharka pochylała się i z troską zaglądała towarzyszące w twarz.

– Saro, cokolwiek robisz...

– Piszę – wycedziła Sara, zaciskając zęby.

– Robisz sobie krzywdę.

– Staram się... – wydyszała. Nagle się skrzywiła, jęknęła z zaskoczenia, ale tym razem w jej oczach pojawiła się ulga. Odetchnęła i nawet pozwoliła sobie na słaby uśmiech.

– Co? – dopytywała się Kucharka. – Co się stało?

– Wody – szepnęła Sara, której zaschło w gardle z wysiłku.

Kucharka skoczyła do zlewu, nalała wody i podała szklankę Sarze. Ta opróżniła ją duszkiem, a potem popatrzyła na starszą kobietę, jakby odzyskała nieco życia.

– Poczułam klepanie – powiedziała. – Ktoś poklepał moją rękę.

– Ktoś poklepał twoją rękę – powtórzyła Kucharka. – Co to znaczy?

– To znaczy, że ktoś odczytał moją wiadomość. To znaczy, że mogę się komunikować!

Zanim Kucharka zdążyła zadać kolejne pytanie, Sara odetchnęła głęboko i znów skoncentrowała się na kikucie. Tym razem Kucharka dostrzegła drobne ruchy przedramienia, jakby Sara wysyłała w przestrzeń impulsy nerwowe.

– Co piszesz? – zapytała.

– Nie mów do mnie – rzekła Sara ostro, ale uśmiechnęła się przeproszająco. – To wymaga dużo wysiłku. Mam wrażenie, jakby moja ręka była z ołowiu.

Skupiała się jeszcze przez minutę, a potem odetchnęła.

– Zapytałam, kim jest ten ktoś.

– Kim... jesteś...? – szepnął głos. – Kim jestem, no? I kim ty jesteś?

Palec wskazujący przestał pisać i postukał w dno skrzynki, jakby chciał przyciągnąć uwagę. Po chwili zrobił to jeszcze raz, bardziej nalegająco.

– Hm... – szepnął głos. – Nie, nie. Tego nie zrobię. Na pewno tego nie zrobię.

Jedną ręką unieruchomił dłoń Sary, przytrzymując ją za nadgarstek, a drugą sięgnął po szydło.

Sara jęknęła ostro i pisnęła z bólu.

– Co? – Kucharka się zdenerwowała. – Co się dzieje?

– Zabolało – powiedziała Sara, patrząc na kikut, jakby ją zdradził. – Zabolało mnie.

– Chodź, zaprowadzę cię do łóżka, dziecinko – stwierdziła Kucharka, podchodząc do niej.

– Nie jestem dzieckiem! – warknęła Sara. – A ty nie jesteś moją niańką, do cholery!

Kucharka drgnęła i pobladła, jakby Sara ją spoliczkowała. Jeszcze nigdy w życiu dziewczyna nie przemówiła do niej tak ostro. I na pewno nigdy nie przeklęła, nawet najłagodniej, szczególnie w kuchni, która dla Kucharki była miejscem świętym.

– Cóż – powiedziała Kucharka. – Widzę, że jesteś nie w sosie. W takim razie rób, co chcesz.

Sara nie śmiała spojrzeć jej w oczy, po części dlatego, że spodziewała się ujrzeć w nich łzy, a po części ponieważ nadal była zła.

Po dłuższej chwili milczenia Kucharka pociągnęła nosem, a Sara przemówiła do blatu:

– Ktoś pisze mi na ręce. Muszę się skupić.

Kucharka spojrzała na czubek jej głowy i zobaczyła, że Sara aż drży z wysiłku, koncentrując się na tym, co dzieje się z jej brakującą ręką.

Jako osoba rozsądna, choć przy okazji będąca piratką, Kucharka sięgnęła po imbryk, postawiła na stole dwie filiżanki, naląła do nich herbaty i zabieliła ją odrobiną mleka. Zza garnka pełnego drewnianych łyżek i ubijaków wyдостаła czarną butelkę i do każdej z filiżanek chlupnęła hojnie whisky.

– Tylko nie mów panu Sharpowi – mruknęła, odkładając butelkę na miejsce. Kiedy się odwróciła, by sięgnąć po filiżankę, z zaskoczeniem zobaczyła, że Sara wyciąga ku niej rękę.

W szeroko otwartych oczach dziewczyny widziała skruchę, ale przede wszystkim cień tej małej dziewczynki wystraszonej przez Zielonego Człowieka.

– Odpisał mi – powiedziała Sara. – Napisałam: „Kim jesteś?“, a ten

ktoś ukłuł mnie i odpisał: „Twoim panem”.

– Saro... – Kucharka ujęła wyciągniętą dłoń.

Sara oddała uścisk, a potem cofnęła rękę, usiadła prosto i głęboko odetchnęła. Otarła kąciki oczu i uśmiechnęła się tak, że Kucharce serce ścisnęło się bardziej niż wtedy, gdy w oczach dziewczyny ujrzała przebłysk tamtego strachu sprzed wielu lat. Sara podniosła filiżankę i pociągnęła spory łyk.

– Liczyłam, że powiem, jak się nazywam, i poproszę, żeby przyjechali tu, do domu. Chciałam zaproponować nagrodę – rzekła. – Obawiam się jednak, że moja ręka nie jest bezpieczna. Że trafiła do złych ludzi.

ROZDZIAŁ XLV

Alp patrzy w księżyc

Nagi Alp spojrział w niebo, czy raczej w jego skrawek widoczny przez brudne okno. Błada poświata księżycy rozmyła rysy nieruchomej twarzy i sprawiła, że jeszcze bardziej niż zwykle zdawała się ona niegroźną, pozbawioną szczególnych cech maską – symetryczną, ale bez śladu życia, radości czy skruchy. Mało kto zauważał tę twarz – miała ona tę szczególną właściwość, że natychmiast wymazywała się z pamięci bystrych obserwatorów, którzy ją dostrzegli.

Alp był nagi, ponieważ kąpiel w świetle księżycy przynosiła mu spokój. Kobieta, na której piersi klęczał, miała na sobie ubranie, bo pragnienia Alpa nie były natury erotycznej. Oczy kobiety były zamglone od dżinu i magii Alpa, a jej oddech chrapliwy. Alp z zadowoleniem skonstatował, że do pełni brakuje księżycowi jedynie odrobiny. Umówione spotkanie miało się odbyć właśnie podczas pełni. To dla niego Alp opuścił dom w górach w sercu Europy i przebył szare, nieprzyjazne morze. Nie zamierzał przegapić owego spotkania, tym bardziej że niestawienie się mogłoby być tragiczne w skutkach dla rodziny, z której się wywodził.

Zadowolony, że dobrze ocenił bieg czasu, spojrział na kobietę, na której klęczał, i skupił się jeszcze bardziej. Dzięki samej woli robił się funt za funtem cięższy. Coraz mocniej naciskał na kruche kości nieprzytomnej, a w końcu oblizał usta, przygotowując się do złączenia ich z wargami kobiety. Nie był to objaw głodu, bo Alp tym razem nie kradł oddechu dla siebie. Chodziło o interesy – siłę życiową zbierał dla kogoś innego.

Byłby mniej zadowolony z siebie, wiedząc, że pół mili od niego Hodge i Jed cierpliwie zataczali coraz szersze kręgi, żeby terier mógł

podchwycić specyficzny zapach, który po raz pierwszy wyczuł na dachu z gołębnikami. Robili to niemal bez przerwy od ponad trzech dni, przemierzając dachy i kanały. Metodycznie przeczesywali miasto – Hodge zdeterminowany, pies i Kruk nieustrudzeni.

ROZDZIAŁ XLVI

Przedstawienie trwa

Rytm życia w drodze bardzo Lucy pasował. Wozy jechały od miasta do miasta, od jarmarku do jarmarku, czasem zwartą kawalkadą, a czasem przerzedzoną, gdy niektórzy skręcali do pomniejszych wiosek i osad znajdujących się wzdłuż drogi. Od Pyefinchów Lucy dowiedziała się, że tą trasą objeżdżają kraj co roku i że była ona niezmienna i przewidywalna niczym następowanie po sobie pór roku – jak to, że po wiosnie nadchodzi lato, a potem jesień. Sezon zaczynali w Reading, potem był jarmark Lansdowne w Bath, potem Bristol, Devizes i tak dalej. Nazywali to objazdem, ponieważ większość cyrkowców zimowała w Londynie, więc trasa zataczała odpowiedni krąg, by powrócić tam, zanim pogoda i śniegi utrudnią wędrówkę.

Charlie powiedział Lucy, że Pyefinchowie zimowe miesiące spędzają na terenie przy zajeździe King Harry w Mile End Road razem z innymi handlarzami obwoźnymi i straganiarzami. Długimi wieczorami naprawiają wozy i dobytek, ćwiczą nowe numery i omawiają sposoby na przyciągnięcie przyszłorocznych widzów.

Podczas sezonu odbywały się duże jarmarki, na które zjeżdżali się wszyscy cyrkowcy, ale pomiędzy robotniczymi targowiskami na początku sezonu rolniczego a dożynkami na końcu były czas i możliwość indywidualnych występów. Dlatego niektórzy cyrkowcy co rusz zbaczali z trasy i szukali szczęścia w wioskach podczas dni targowych i pomniejszych festynów.

Właśnie podczas takiej lokalnej imprezy Lucy miała okazję po raz pierwszy oglądać występ Pyefinchów. Po trzech dniach podróży dotarli do niewielkiego sielskiego miasteczka położonego na wrzosowiskach, w miejscu, gdzie rzeka, wzdłuż której jechali, zyskiwała na szerokości dzięki dopływowi. Przybyli dość późno po

męczącym dniu na drodze. Znaleźli miejsce na obóz na błoniach otoczonych rzekami z dwóch stron i miasteczkiem z trzeciej. Byli tak zmęczeni, że gdy tylko napoili konie, poszli spać.

Rankiem Lucy odkryła, że nocą w sąsiedztwie wyrosło całe mnóstwo wozów i namiotów, a to, co wieczorem było skrawkiem pustej łąki, zmieniło się w całą wioskę płóciennych domostw obwieszonych kolorowymi proporczykami i wielkimi jaskrawymi napisami zachęcającymi do oglądania za pół pensa największych cudów świata.

Widok ten u każdego wywołałby uśmiech na twarzy. Charlie poradził dziewczynie, żeby przeszła się po obozowisku, zanim przyjdą „tępaki”. Młody Pyefinch dzielił ludzi na „tępaków”, czyli nieświadomych niczego głupków albo owce do strzyżenia, i na sprytnych „bystrzaków” – do nich sam się zaliczał jako jeden z lepszych – którzy tych pierwszych strzygli. Lucy popatrzyła na Rose i jej męża, świadoma, że choć dostarczyła króliki na pierwszą kolację, od tamtej pory jadła za darmo.

– Może pomogę w przygotowaniach? – zaproponowała.

– Zrobimy to błyskawicznie – powiedział pan Pyefinch. – Pomożesz później.

– Pomożesz Charliemu sprzedawać landrynki – orzekła Rose. – Ludzie chętniej kupią cukierki od ładnej dziewczyny niż od niedomytego obdartusa.

– Umyłem się! – zaprotestował Charlie.

– Może i tak, ale mydło trzymałeś z daleka od siebie. – Matka wskazała na jego szyję.

Lucy zostawiła ich wyklócających się o nawyki dotyczące dbania o higienę i ruszyła przez małe miasteczko, które wyrosło, gdy spała. Chciała się przy okazji rozejrzeć za stoiskiem z rękawiczkami, bo rzeczywiście rozdarła tę od Sary Falk, kiedy uderzyła Georgianę, a choć ją zszyła, to stare rękawiczki zaczynały się rozłazić w szwach. Nie chciała doznać nieoczekiwanego Wejrzenia i zdradzić się przed nowo poznanymi towarzyszami.

Nie tylko widoki, kolory i różnorodność atrakcji cieszyły zmysły, kiedy Lucy kluczyła alejkami utworzonymi przez wozy i namioty, ale

również zapachy. Po trzech dniach w drodze dziewczyna czuła, jakby świeże powietrze oczyściło ją, opróżniło, przygotowując na ten zmasowany atak na jej nos. Ponad jasną woń dymu, który towarzyszył im na każdym popasie, tu wybijały się zapachy świeżego piwa, gotującego się cukru, ciast, cynamonu, pieczonego mięsa i przypraw, których nazw nawet nie знаła. Razem tworzyły mieszaninę zapachu święta, a ten, jak każda świąteczna rzecz, uczynił Lucy odrobinę szczęśliwszą, co nie było dla niej stanem normalnym. Jakiś spóźniony cyrkowiec przebijał się wozem przez obozowisko, szukając miejsca dla siebie, przepuściła go więc, wchodząc pomiędzy dwa namioty.

Sama, przez nikogo niewidziana, w przestrzeni oplecionej linkami namiotowymi pozwoliła sobie po prostu przystanąć, przymknąć oczy i napawać się zapachami oraz rosnącym gwarem. Nawoływacze i straganiarze, zobaczywszy pierwszych klientów, od razu zaczęli się przekrzykiwać, zachwalając swoje atrakcje.

Tej chwili zapomnienia Lucy pożałowała natychmiast, kiedy uniosła powieki, a jej wzrok padł na stojącą przed nią Georgianę. Wyraz twarzy dziewczyny, ozdobionej sińcem po uderzeniu, był nieodgadniony.

Lucy, myśląc w pierwszej chwili, że Georgiana znów chce ją uderzyć, odruchowo zacisnęła pięść.

Mina Georgiany zmieniła się jednak tak nagle, jak zapala się świeca.

– Przepraszam, że cię uderzyłam – powiedziała Eagle’ówna z promiennym uśmiechem. – Trudno mi się opanować, kiedy ludzie śmieją się z taty, a ty roześmiałaś się pierwsza. Jestem okropnie porywcza. – Wyciągnęła rękę na zgodę. – Jeśli mi wybaczysz, mogłybyśmy się zaprzyjaźnić.

Mimo podbitego oka, aktualnie fioletoworóżowego, i tak była piękna, kiedy się uśmiechała. Ten uśmiech i jej oczy zdawały się oszalać i wypełniać głowę Lucy rozkoszą tak wielką, że nie pozostawiała ona miejsca na inne myśli poza pragnieniem uściśnięcia wyciągniętej ręki i zawarcia przyjaźni.

Ale coś powstrzymało Lucy i kazało trzymać rękę przy sobie.

Instynkt podpowiadał jej, by zgasła również mimowolny uśmiech, który mimo ostrzegawczego piknięcia w głowie pchał jej się na usta,

a także by zaczęła myśleć.

– Czemu? – zapytała.

– Czemu? – powtórzyła Georgiana. – Musi być jakiś powód? A czy przyjaźń sama w sobie nie jest dobrym powodem?

– Nie. To niebezpieczna rzecz. I nie obdarza się nią bezmyślnie każdego.

Georgiana zmarszczyła czoło. Naraz wydała się tak zraniona i zawiedziona, że pięść Lucy rozwarła się, a ręka wbrew woli prawie wyciągnęła się ku dziewczynie. Lucy odetchnęła.

– Ale przykro mi z powodu śliwy.

– Śliwy?

– Charlie tak to nazwał. Podbite oko.

Georgiana znów zrobiła urażoną, niepewną minę. Uniosła rękę i przyglądała włosy nad podbitym okiem.

– Rozmawialiście o mnie z Charliem?

– Nie.

– Wyśmiewaliście się z mojego ojca. – Twarz Georgiany znów skurczyła się w grymasie chłodnej dumy.

– Nie. Czemu mielibyśmy to robić?

– Bo to właśnie robią ludzie. Wszyscy tacy jesteście. Ale on jest geniuszem i wspaniałym człowiekiem. Kazał mi cię odszukać i przeprosić za to, że cię uderzyłam. Powiedział, że nie tak się wita nowego towarzysza.

Lucy nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

– Cóż, w każdym razie przeprosiłam – podjęła Georgiana. – Tata mówi, że możesz do nas przyjść. Nawet bez królików. – Odwróciła się z wdziękiem i przepłynęła pomiędzy namiotami. Nie patrzyła pod nogi, ale zdołała ani razu nie potknąć się o wszechobecne linki namiotowe. Lucy obserwowała jej odejście, a kiedy dziewczyna zniknęła za rogiem, poczuła, jakby ktoś zgasił słońce.

– Nawet bez królików! A to dobre! – prychnęła jakiś czas później Rose, kiedy już po raz trzeci napełniała koszyk Lucy landrynkami, a strumień gości płynął wartkim nurtem.

Rose przygotowywała słodczyce przez dwa wieczory, gotując nad ogniem cukier z olejkiem miętowym. Lucy miała w ustach kawałek

twardego cukierka, a nie chcąc go rozgryzać i tym samym ryzykować złamania zęba, przytaknęła skinieniem. Nie zdobyła nowych rękawiczek, postanowiła więc schować stare i zakładać je tylko na wsiach i w miasteczkach. Ten nowy świat drewna i płótna, w którym tak nagle się znalazła, miał wiele zalet, a jedną z nich był fakt, że w przeciwieństwie do murów tkanina i drewno zdawały się nie magazynować przeszłości. Czowała się więc wśród nich swobodniej i bezpieczniej.

– Ten Barney Eagle nie przepuści żadnej okazji, mimo że od tak dawna usiłuje utopić się w morzu dżinu i nalewek – ciągnęła Rose. – Od Eagle'ów nie dostaniesz nic za darmo.

Lucy, nie przestając ssać cukierka, uniosła brwi.

– Och, nie twierdzę, że Georgiana nie chce się z tobą zaprzyjaźnić. W życiu nie widziałam dziewczyny, która tak lubiłaby być lubiana. Ale to wzmianka o królikach mówi najwięcej.

– A co mówi? – zapytała Lucy, przesunąwszy landrynę na bok.

– To wskazówka. Obserwuj bacznie ludzi, a zobaczysz, ile ci powiedzą, nie mówiąc. Mówią, kiedy kłamią, kiedy są zakłopotani albo kiedy usiłują ukryć, że zajadają się cukierkami, zamiast je sprzedawać. – Rose uśmiechnęła się i wypchnęła językiem policzek, przedrzeźniając Lucy. – A teraz idź i rozsprzedaj kolejny koszyk. Barney Eagle jest zbyt leniwy, żeby samemu zastawiać pułapki na króliki, i za bardzo lubi przepuszczać pieniądze na trunki, żeby móc wyżywić siebie i córkę. Dawał ci do zrozumienia, że przychodząc, powinnaś przynieść ze sobą jakieś jedzenie. Zawsze wysługiwał się tą dziewczyną jak słoneczną pułapką, w którą chwytął ludzi. To samo było z jej matką, niech spoczywa w pokoju. Sally też miała ten urzekający wdzięk, umiała rzucać na ludzi urok. To przez jej śmierć Barney zaczął pić.

– Urok? – powtórzyła Lucy.

Rose przetała twarz, jakby chciała rozjaśnić myśli. Lucy zastanawiała się, czy ten gest coś mówił, a jeśli tak, to co. Rose wzruszyła obojętnie ramionami.

– Urok... Urok to tylko inne słowo na urodę. Urodziwi ludzie przyciągają oko i łatwo zwodzą innych, kiedy ci się na nich zapatrzą.

Reszta musi, niestety, ciężko pracować na chleb. No idź, sprzedaj te pyszne miętusy.

Wracając na plac, teraz zatłoczony, Lucy rozmyślała nad tym, co powiedziała Rose. Była pewna dwóch rzeczy – Rose właśnie okłamała ją w jakiejś kwestii i choć Lucy nie wiedziała, o co mogło chodzić, domyślała się, że to coś ważnego. Przypomniała sobie też pana Sharpa, jego brązowe oczy i mieniające się w nich barwne plamy jak kotłujące się jesienne liście...

A potem młody oracz złapał ją za ramię, chcąc kupić trochę cukierków dla swojej dziewczyny. Odsunęła więc wszystkie te myśli na bok i z uśmiechem przyjęła od niego pieniądze.

ROZDZIAŁ XLVII

Łowy na łowcę

Istnieje pewne niezwykle zjawisko, które staje się udziałem myśliwych polujących na niebezpieczną zwierzynę, gdy długo pozostają pod gołym niebem. Otóż w pewnej chwili ogarnia ich przecucie – podsycane przez nieprzyjemne ciarki pomiędzy łopatkami i karkiem – że być może role się zmieniły, zwierzyna zatoczyła krąg i teraz to ona poluje na nich.

Hodge poczuł to, idąc ostrożnie wzdłuż kalenicy dachu ponad jednym z tych okropnych osiedli slumsów na zachodnich krańcach miasta. Nawet na tej wysokości smród był tak ostry, że Hodge nie mógł się nadziwić, jakim cudem Jed był w stanie wychwycić cokolwiek użytecznego w tym gęstym, odrażającym fetorze gryzącego dymu z mokrego węgla, smrodzie gnijących warzyw i odorze bijącym z kanałów, podszytym zapachem niemytych ciał mieszkańców kamienic.

Tandetne budynki stały tak gęsto wzdłuż labiryntu wąskich alejek, że niektóre zdawały się opierać o siebie jak pijani podtrzymujący jeden drugiego. Ciasnota nie pozwalała na dostęp świeżego powietrza i światła, więc życie na dole toczyło się w miazmatach cieni i smrodów, niebezpiecznych i niezdrowych, a ponure, przesiąknięte dżinem typy czające się za rogami budynków potęgowały uczucie zagrożenia.

Jed wędrował ulicami z nosem przy ziemi, natomiast Hodge wybrał ścieżkę podniebną, poruszając się po dachach z łatwością doświadczonego miejskiego wspinacza. Miał ze sobą niewielki bosak przywiązany do mocnej liny. Na bardziej stromych połaciach zaczepiał go o występy, a potem podciągał się i opuszczał. Poruszał się pewnie, ale był też rozsądny i polegał raczej na praktycznej stronie

swej natury, tej, która równoważyła tłący się w nim płomień charakterystyczny dla berserka.

I właśnie to metodyczne podejście gnało go niestrudzenie po śladach dusiołka, choć jak do tej pory ani jemu, ani Jedowi nie udało się wpaść na jego trop. Zaczął od obejścia budynku, w którym znalazł martwe dziecko. Kiedy to nic nie dało, rozszerzał krąg coraz bardziej i bardziej, a porażki nie osłabiały jego determinacji – przeciwnie, podsycały wytrwałość i wzmacniały stanowczość.

Trasa, którą obrał, zataczała krąg w promieniu półtorej mili od domu nawiedzonego przez dusiołka. Właśnie na tej drodze znajdował się dach, na którym teraz stał i na którym poczuł, że coś lub ktoś go śledzi.

Przyczał się za rozwalającym się kominem i znieruchomiał. Żałował, że nie ma z nim Kruka, ale ptak postanowił wrócić na Chandos Place i obserwować niedostępny dom. Gdyby Hodge mógł spojrzeć z góry oczami Kruka, łatwiej byłoby mu dostrzec idącą jego śladami postać bez względu na to, czy utrzymywała stałą odległość, czy też się do niego zbliżała.

Spowolnił oddech i potoczył wzrokiem po okolicy. Wiedział, że najłatwiej coś wyłapać, nie patrząc na to bezpośrednio, ale pozwalając uwadze błądzić i przez to automatycznie wychwytyjąc kątem oka każdą nieprawidłowość.

Nierówność jego obecnego miejsca obserwacyjnego oraz sąsiednich dachów rozciągała się w obie strony aż po bardziej rozpoznawalne, równiejsze formacje poprzecinane szerokimi ulicami i placami. Tu i ówdzie sterczała w niebo kościelna iglica, a w oddali Hodge ujrzał znajomą kopułę kościoła Świętego Pawła. Nie zobaczył jednak niczego ani nikogo, kto by go śledził.

– Wiem, że tam jesteś – mruknął. – Czuję na sobie twój przeklęty wzrok.

ROZDZIAŁ XLVIII

Mechaniczny Maur i czytanie w myślach

Wysprzedawszy cały zapas miętówek, Lucy zajrzała do namiotu, w którym pan Pyefinch przeprowadzał zafascynowany tłumek wiejskich dam i dżentelmenów przez zawłóści bitwy pod Waterloo, podczas gdy Charlie za pomocą wskaźnika i sprytnie uwiązanej latarni pokazywał najważniejsze momenty walki.

Lucy nie zwykła przyglądać się temu, co pokazujący chciał, by widziała, zaczęła więc obserwować oczarowaną widownię i jej reakcję na opowieść pana Pyefincha. Cyrkowiec zaprzął ich uwagę do tego stopnia, że jak jeden mąż poruszali głowami, śledząc wzrokiem wskaźnik Charliego, zupełnie jakby byli lalkami na sznurku. Przedstawienie pochłaniało ich bez reszty. Postawszy chwilę, Lucy postanowiła przejść się po miasteczku i zobaczyć, jakie atrakcje przygotowali inni. Włożyła do ust miętówkę, którą podwędziła z koszyka, i wyslizgnęła się na zewnątrz.

Chodziła pomiędzy okrytymi zmrokiem namiotami jakby bez celu, ale nogi same poniosły ją do miejsca zajmowanego przez Na-Barno – tak jakby Georgiana Eagle nie tylko ją zaprosiła, ale wręcz przyciągnęła na niewidzialnej lince. Fasada namiotu została podświetlona lampą naftową, która rzucała kontrastujące światłocienie na ekran tworzący ni to piramidę, ni to grecką świątynię. Pośrodku świątyni wymalowano wielkie oko, od którego odchodziły srebrne promienie. Migotliwa srebrzysta farba lśniła w jasnym blasku latarni. Pod spodem sprytnie wypisane litery, sprawiające wrażenie, jakby zostały wyryte w kamieniu, tworzyły napis ŚWIĄTYNIA MAGII. U wejścia zasłoniętego czerwoną płachtą stał Na-Barno. Miał na sobie czarny aksamitny strój i pelerynę podszytą czerwoną satyną, którą machał i powiewał, zapraszając

gości do środka.

– Wchodźcie, wchodźcie, panie i panowie! Nie zwlekajcie u drzwi, bo gdy będziecie się zastanawiać, inni was uprzedzą, zajmując najlepsze miejsca w Świątyni Magii! Wchodźcie zobaczyć niesamowity pokaz waszego uniżonego sługi, który właśnie do was przemawia, Na-Barno Eagle’a, Wielkiego Czarodzieja Południa! Nie mylić z naśladowcą, oszustem Andersonem, który zwie się Wielkim Czarodziejem Północy, wredny typ...

Myśl o rywalu przygasiła zapał Na-Barno, ale Lucy dostrzegła, że ktoś stojący w namiocie trąca go przez płótno. Eagle otrząsnął się i odzyskawszy rezon, znów zagrzmiął swoim dźwięcznym barytonem, zasypując przechodniów lawiną słów:

– Wchodźcie, wchodźcie do Świątyni Magii! Zostawcie za progiem uprzedzenia, bo ujrzycie niesłychane cuda i dziwy, o których za dziesięć lat będziecie opowiadać swoim wnukom! Ujrzycie pełen przepychu pokaz prześmiewek i prestidigitatorstwa! Szalony seans symfonii sztuczek! Imponujące imaginatywne imperium iluzji i imitacji! Mamić was będzie majstersztyk manipulacji myślami w manifestacji mistrzowskiego mentalizmu magicznego Mechanicznego Maura, który odpowie na pytania na temat zaświatów, krainy poza zasłoną życia, pytania, na które tylko wy będziecie znali odpowiedź!

Namiot znowu trącił Eagle’a, który zakaszłał, rozejrzał się nieco zagubiony, a następnie, o czymś sobie przypomniawszy, wyjął z kieszeni jakiś przedmiot i rzucił go do góry.

Rozległ się huk i buchnął obłok niebieskiego i czerwonego dymu. Efekt wstrząsnął tłumem i pozwolił Eagle’owi powrócić do recytacji.

– Całe złoto dalekich lądów, wszystkie cuda bajkowych krain są niczym wobec oczarowania, jakiego doznacie na widok przemiany srebra w złoto, której dokona Wielki Czarodziej Południa! A więc ty, piękna pani, i ty, postawny panie, poczujecie się niczym astronom olśniony widokiem niespodzianej planety, jak śmiałek Cortez, który orlim okiem...

– Kto to, ten śmiałek Cortez? – krzyknął mężczyzna stojący obok Lucy.

– To taki gruby makaroniarz, ty głupku – obsztorcowała go żona i pociągnęła w stronę wejścia. – Z jednego wiersza.

Lucy weszła za parą, szybko, lecz niespiesznie, dzięki czemu przemknęła się do korytarzyka prawie niezauważona, a na pewno na tyle niezauważona, by nie płacić za bilet w małym okienku. Teraz głos Na-Barno był przytłumiony.

– Jak gruby... eee... Jak śmiałek Cortez! – ryknął. – Jak śmiałek Cortez, na wzgórzu wysokim, gdy orlim okiem mknął ponad Pacyfikiem...[3]

– Znaczy się, że co, ten orzeł wydziobał mu oczy? – mruknął mąż kobiety rzucającej monety na wąską tackę na parapecie okienka.

– A potem wpadły do wody i połknęły je ryby – dodał inny na przedzie kolejki i przemowa Na-Barno na chwilę zatoneła w fali śmiechu, która przetoczyła się w korytarzyku.

– Nie możemy wejść do środka? – Ktoś się niecierpliwił. – Czuję się jak owca w zagrodzie przed ostrzyżeniem.

– Ciebie już ostrzyżono – padła odpowiedź. – Zapłaciłeś pół pensa za postanie w ciemnej sionce? To samo mogę robić w domu!

– To ci dopiero! Patrzcie na nią! Ta to dopiero ma korytarzyk. Pewnie mieszka w pałacu!

Tłumek buzował wesoło i falował w ciemnościach, a tymczasem okienko kasowe się zamknęło. Z jego położenia Lucy wywnioskowała, że osoba przyjmująca pieniądze była tą samą, która szturchała Na-Barno – prawdopodobnie Georgiana.

Założenie to potwierdziło się szybko, bo gdzieś w pobliżu rozdzwoniły się dzwoneczki. Dźwięk powędrował wzdłuż płóciennego korytarzyka, a kiedy ludzie umilkli, rozległ się niski kobiecy głos.

– Panie i panowie – mówiła Georgiana zgrubiałym głosem. – Dziękujemy za cierpliwość i prosimy jeszcze o minutę. Nikt nie może wejść do Świątyni Magii, póki Wielki Czarodziej nie przejmie pełnej kontroli nad mocami, które w niej drzemią. To dla waszego bezpieczeństwa.

Tłumek zamruczał potwierdzająco, aczkolwiek to raczej ostrzeżenie przed zagrożeniem miało tak pozytywny oddźwięk.

– W tym czasie ci, którzy chcą zadać pytanie Mechanicznemu

Maurowi, proszeni są o zastanowienie się, z kim zamierzają się skontaktować, a po wejściu o zajęcie miejsc bliżej sceny. Nie chcemy nikogo pozbawić tak wielkiej szansy, a siedząc bliżej sceny, macie gwarancję, że Wielki Czarodziej was zauważy. Drzwi do sanktuarium otworzą się dokładnie za minutę.

Tłumek się rozszeptał. Lucy słyszała, jak ludzie zastanawiają się wspólnie z przyjaciółmi czy rodziną, czy i z kim skontaktować się w zaświatach. „Może z babcią...? a Jessie...? Spytaj Jethra, komu pożyczył kosę... Tylko nie dziadka Watkinsa, nie znosił magików...” Część ludzi rozmawiała, część śmiała się nerwowo w mroku.

Przejście było marnie oświetlone, ale nie całkowicie ciemne. Lucy, sama niezauważona, dostrzegła błysk pod jednym z osłoniętych szkłem świeczników, które wisiały na ścianie, i zdała sobie sprawę, że patrzy na oko obserwujące korytarzyk przez dziurkę w płótnie.

Uśmiechnęła się, podejrzewając, że to Georgiana, ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać, bo wejście do rzęsiście oświetlonego sanktuarium stanęło otworem, a ludzie radosnym strumieniem zaczęli wypływać z korytarzyka na salę. Przed niewielkim podestem osłoniętym czarnymi pluszowymi zasłonami ustawiono rzędy cienkich ławek. Kiedy Lucy przedostała się do środka, wszystkie były już zajęte, musiała więc stanąć pod ścianą. Wcisnęła się pomiędzy grubego chłopaka cuchnącego kapustą i jeszcze grubszą kobietę o blisko osadzonych, błyszczących z podniecania oczach, która sapała świszcząco przez nos.

– Mam nadzieję, że będzie kogoś przecinał na pół – szepnęła do grubaska. – Strasznie lubię, jak piłują jakąś ślicznotkę na kawałki, choć zawsze muszą ją potem poskładać...

Światła przygasły nagle, a latarnie pod sceną pojaśniały. Georgiana zawirowała na scenie, szerokim gestem wskazując czarne kurtyny. Wyglądała przepięknie. Jej bladą cerę i idealne oczy podkreślał zielony jedwabny kostium.

– Łooo! – sapnął grubasek. – Niezła sztuka!

Kobieta powiodła ręką przed twarzą Lucy i trzepnęła go w głowę.

– Cicho! – syknęła. – Idzie...

– Panie i panowie – zaczęła Georgiana głosem czystym i ostrym jak

rżnięty kryształ. – Przedstawiam wam Na-Barno Eagle’a, Wielkiego Czarodzieja nie tylko Południa, ale największego w całej Wielkiej Brytanii.

Widownia ryknęła aprobowująco, wczuwając się w atmosferę, i zaczęła tupać i klaskać rytmicznie, z początku powoli, a potem coraz szybciej, aż – Lucy dokładnie wiedziała, w którym momencie rytm zostanie przełamany – na scenie buchnęły płomień magnezji i chmura białego dymu, a w miejscu Georgiany pojawił się Na-Barno. Wyglądało to tak, jakby się w niego zamieniła, bo po prostu nagle zniknęła.

Tłum ryknął jeszcze głośniejsze i przedstawienie się zaczęło.

Kwękający, marudny dziad z sądu cyrkowego na scenie był zupełnie inny. Bez wysiłku wykonał kilka trików i sztuczek. Sprawiał, że monety znikają, a potem się pojawiają. Napełnił filizanki wodą, a po chwili pokazał, że są puste. Następnie uniósł je magicznie w powietrze i przelał z pustych wodę do dzbana, który odwrócił do góry dnem, by pokazać, że i w nim niczego nie ma. Zmienił dzban w różową cukrową myszkę, którą podarował dziewczynce siedzącej z przodu. Nie przeciął nikogo na pół, ale położył Georgianę na desce wspartej na dwóch kozłach, po czym usunął kozły i deskę, tak że dziewczyna wisiała w powietrzu bez żadnego podparcia, utrzymywana tylko siłą jego woli, co udowodnił, przesuważąc kółko żonglerskie od jej stóp aż po głowę i z powrotem.

Wszystko szło jak z płatka, dopóki nie sięgnął za siebie i nie zerwał nakrycia z Magicznego Maura, i nie rozkazał mu „przebudzić się i unieść zasłonę pomiędzy tym i tamtym światem!”.

Przez chwilę nic się nie działo. Widownia gapiała się na popiersie, które odsłonił Eagle. Maur miał na głowie błękitny turban z wielką lśniącą broszą oraz czerwony kaftan wyszywany złotem i brylantami migoczącymi w blasku latarni. Pochylał się, jakby wbijał spojrzenie w spoczywające na pulpicie dłonie.

Pulpit przechylony był odwrotnie, tak że zgromadzeni mogli widzieć złoty alfabet na czarnym tle i dodatkowo słowa i wyrażenia: TAK, NIE, TO POZOSTAJE UKRYTE oraz MUSZĘ ODPOCZAĆ. Ręka Maura wskazywała właśnie napis MUSZĘ ODPOCZAĆ.

– Przebudź się, o potężny!! – zagrzemiał Eagle, kładąc dłoń na

ramieniu Maura.

Dało się słyszeć metaliczne kliknięcie, a potem, kiedy magik zabrał rękę, drewniana głowa Maura uniosła się powoli i kukła popatrzyła na widownię. Albo raczej popatrzyłaby, gdyby nie miała wciąż zamkniętych oczu. Oblicze zostało tak zmyślnie wyrzeźbione, że były od niego wyniosłość i potęga; twarz była cała czarna, jednolita w kolorze, nie licząc jaskrawoczerwonych ust.

– Zbudź się!!! – huknął Eagle.

Na widowni panowała cisza jak makiem zasiał. Wszyscy wstrzymywali oddech. Głowa Maura znieruchomiła ze zgrzytem, jakby się zacięła, a potem opadła nieco w dół.

– Odpoczywa – rozległ się szept na widowni. – Tak samo odpoczywa moja popsuta wyżymaczka.

Kiedy zduszony chichot zaczął się powoli rozprzestrzeniać, Eagle znów dotknął ramienia Maura. Głowa szarpnęła się i powieki uniosły, odsłaniając białka, a rozdziawione szczęki ukazały białe kościane zęby i lśniące, czerwone wnętrza ust.

Widownia jęknęła.

Palec Maura drgnął i przesunął się na słowo NIE.

– Nie! – krzyknął Eagle z ogromną ulgą. Lucy nie miała wątpliwości, że ten pokaz emocji nie był częścią przedstawienia. – Nie odpoczywa! Widzicie, powiedział to, a jego oczy się otworzyły! Kto chce pytaniem wystawić na próbę starożytną mądrość i niezrównaną percepcję?

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, Maur zatrzęsł się, a jego powieki zaczęły unosić się i opadać coraz szybciej, na przemian z kłapiącą głośno szczęką.

Ktoś zarechotał, a Eagle zamachał rękami, udając, że to część występu.

– Wyczuwa obecność! – zawołał.

Drewniana głowa zaczęła się kiwać w przód i w tył i wydźwięk tego byłby tragiczny, bo przypominało to napad drgawek, ale efekt zepsuł zabawnie zsuwający się turban, jakby Maur był pijany. Eagle błyskawicznie złapał nakrycie głowy, zanim spadło na ziemię.

– E... e... To nieżyczliwa obecność! – krzyknął. – Maur wskazuje na obecność kogoś źle usposobionego, kto zaburza mistyczną równowagę

w tym pomieszczeniu! Kto to jest? Musimy poprosić tę osobę o opuszczenie...

Coś zgrzytnęło, głowa Maura zakołysała się na boki, powieki zacięły się w pozycji otwartej, a usta zatrasnęły.

Ku zgrozie Lucy ręka kukły uniosła się i wskazała wprost na nią. Dziewczynę przeszył dreszcz na widok wpatrzonych w nią twarzy zastygłej w niemym oskarżeniu.

Ale Lucy miała refleks i zadziałała instynktownie, nie zastanawiając się nawet, co robi. Gdy głowy na widowni zaczęły się odwracać, a oczy starały się przeniknąć mrok na tyłach namiotu, by odszukać osobę wskazywaną przez automat, szybko, ale nie pośpiesznie prześlizgnęła się za plecami sąsiadów i przystanęła dopiero dziesięć stóp dalej. W ten sposób rozczarowanie tłumu skupiło się na grubym chłopcu, który przed chwilą stał obok niej.

– Hej, grubas! – zawołał ktoś wesoło. – Co tam knujesz?

– To nie ja! – zaprotestował grubasek. – Nic nie zrobiłem!

– Nawet wygląda wrogo – dodał ktoś inny. – Jak wróg, co atakuje każde ciastko stojące mu na drodze!

Widownia śmiała się i pohukiwała, a twarz chłopca poczerwieniała tak, że zaczęła przypominać wielkiego buraka. Lucy, przyzwyczajona patrzeć w przeciwną stronę niż większość, zobaczyła, że Eagle narzuca na Maura zasłonę i rozpaczliwie zezuje w bok, za kulisy.

Nie ulegało wątpliwości, że błagał tym spojrzeniem Georgianę o ratunek, bo dziewczyna zaraz wynurzyła się z za kotary. Kroczyła przez scenę z namaszczeniem, jak w kościele, i miała oczy przewiązane tasiemką. Widownia uciszyła się, obserwując z zapartym tchem, jak milcząca, niewidząca Georgiana niepowstrzymanie idzie ku skrajowi podestu.

– Spadnie! – szepnęła kobieta obok Lucy.

Ale Georgiana nie spadła. Przystanęła ze stopą zawisłą w powietrzu na samym krańcu sceny, a potem, nie otwierając oczu, cofnęła się i znieruchomiła.

– Proszę o ciszę, panie i panowie – powiedział Eagle, udając poruszenie. – Wygląda na to, że duch Maura wstąpił w to kruche naczynie, w moją córkę! Musiał to zrobić, jak nieraz robił to

wcześniej, aby chronić się przed nieżyczliwym okiem... Ale, moi drodzy, możecie zadawać swoje pytania. Maur udzieli odpowiedzi poprzez dziewczynę!

Georgiana zaczęła poruszać oczami osłoniętymi powiekami i trząść lekko głową. Eagle przyskoczył i położył jej dłoń na czole.

– O wielki magu! – krzyknął. – Który odsłaniasz sekrety absolutu! Czy przemówisz przez usta tej piękności?!

Piękność otworzyła oczy i wbiła wzrok w Eagle'a, a z jej ust wydobył się niski, gardłowy, męski głos, zaskakująco kontrastujący z jej delikatną urodą.

– *Vaig a parlar amb vostè, fort mag.* – Głos ten zdawał się dobywać z trzewi ziemi. – *A través d'aquest bonic vaixell!*

– Przemówię dla ciebie, o wielki czarodzieju – przetłumaczył Eagle i okrągłymi z ekscytacji oczami powiódł po widowni. – Poprzez to piękne naczynie!

Widownia ochłonęła uradowana. Eagle odwrócił się do córki.

– Czy pozwolisz jej przemawiać własnym głosem? – zapytał. – Tak, by zgromadzeni tu panie i panowie mogli zaczerpnąć ze źródeł twojej mądrości?

Georgiana przesunęła wyniosłym spojrzeniem po szeregach ludzi, po czym skinęła łaskawie.

– *Si!* – huknęła. – *Deixi que és així!* Niech tak się stanie!

Kontrast pomiędzy głębokim męskim głosem i jej miękkim nie mógł być większy, podobnie jak zachwyty widowni. Lucy widziała, jak ludzie kiwają głowami i pochylają się do przodu.

– Kto zada pytanie? – ciągnął Eagle.

Nikt nie chciał jako pierwszy podnieść ręki, choć wielu pomrukiwało lub szturchało sąsiadów. Eagle wskazał na kogoś z publiczności.

– Tak, może pan, ma pan pytanie?

Był to mężczyzna zachęcany przez towarzyszy do zapytania o zaginioną kosę. Żona zachichotała i trąciła go, by dodać mu odwagi.

– Straciłeś coś? – zapytała Georgiana, tocząc wokół niewidzącym wzrokiem, jakby chciała podchwycić jakąś woń.

– Eee – zająknął się mężczyzna, wyraźnie niezadowolony, że znalazł

się w centrum uwagi.

– Nie mów nic! – zakazał mu Eagle. – Maur powie, co straciłeś i gdzie ten przedmiot się znajduje.

W namiocie zapadła cisza. Georgiana wyciągnęła przed siebie rękę z otwartą dłonią, jakby dotykała wywołanego człowieka na odległość.

– To narzędzie – rzekła.

Mężczyzna skinął potakująco, a w tłumie rozległy się pomruki zachwytu.

– Narzędzie ma ostrze. Widzę je, było wielokroć ostrzone.

Widownia spojrzała na mężczyznę, który przytaknął. Publiczność wydała głośniejszy pomruk i wszystkie głowy znów zwróciły się ku Georgianie.

– To nie nóż...

Mężczyzna pokręcił głową. Widownia wstrzymała oddech.

– I nie siekiera...

Znowu przeczenie. Zebrani zamarli w napięciu.

– To... To... – Zacisnęła badawczo rękę. – To kosa.

– Tak! – wykrzyknął mężczyzna, a tłumek ryknął z uznaniem. Ręce sąsiadów klepały mężczyznę po plecach, jakby to on coś osiągnął, inni oklaskiwali Georgianę.

Lucy nie potrafiła rozwikłać, jak Georgiana to zrobiła. Nawet jeśli podsłuchiwała ludzi w korytarzyku, to jak zdołała wyłowić mężczyznę z ciemności i wtedy, i teraz na sali? Szczególnie że miała przecież zawiązane oczy. To nie miało sensu.

– Twoja kosa nie została pożyczona. Ukradł ją druciarz, który przechodził koło twojego domu, gdy byłeś u jakiegoś Jeda. Nie. Jethro. Odwiedzałeś kogoś imieniem Jethro, a podczas twojej nieobecności druciarz ujrzał kosę i ją zabrał – powiedziała Georgiana. – Czy mam rację?

Mężczyzna z otwartymi ze zdumienia ustami spojrzał na żonę.

– Skąd ona wie o Jethrze? – wydukał.

– Przekłęci druciarze – fuknęła żona.

– Czy mam rację? – powtórzyła Georgiana z większym naciskiem.

– Tak – przyznał mężczyzna. – Nie mogłem znaleźć kosy i pomyślałem, że Jethro pożyczył ją komuś, ale on zmarł, zanim

zdążyłem zapytać. Ale skąd ty o tym wiesz?!

Publiczność nagrodziła ich głośnym aplauzem. Lucy podzielała zdumienie mężczyzny – skąd Georgiana mogła o tym wiedzieć? Chyba że potrafiła czytać w myślach.

Co było niemożliwe.

Aczkolwiek niemożliwe w ten sam sposób co Wejrzenie. Może więc Georgiana posiadała podobne umiejętności i wykorzystywała je, by pomóc ojcu w sztuczkach z czytaniem myśli, sztuczkach, które w tym przypadku nie były sztuczkami. Tylko czymś niemożliwym. A raczej niemożliwym dla zwykłego człowieka. Dla kogoś z mocami, które Sara Falk określiła mianem ponadnaturalnych, mogły być całkiem proste...

Lucy zastanawiała się, czy nie to właśnie było źródłem dziwnego uczucia, jakie wywoływała w niej Georgiana. Może to zmieszanie, zlepek ekscytacji i ostrożności, wynikało ze spotkania kogoś podobnego, może to było coś w rodzaju nieuchwytnego kontaktu, porozumienia mocy?

A jeśli Georgiana naprawdę czytała w myślach, to może mogłaby odczytać myśli Lucy?

Bo jeśli mogła i zechciałaby, a Lucy zdołałaby jej zaufać – co stanowiło kolejną niewiadomą – to czy byłaby w stanie wypełnić czarne dziury w jej pamięci? Nie przestając się nad tym zastanawiać, Lucy z jeszcze większym skupieniem zaczęła się przyglądać występowi Georgiany, która kontynuowała czytanie w myślach i przekazywanie wieści z zaświatów.

ROZDZIAŁ XLIX

Mozaika rozpaczy

Pan Sharp wpatrywał się w setki odłamków rozbitego lustra. W nich niczym we fragmentach mozaiki widział swoje odbicie otoczone nimbem blasku lamp bibliotecznych. Wyglądał na znużonego. I zatroskanego. Wyglądał dokładnie tak, jak się czuł – rozbity, niekompletny, nieswój.

Nad jego ramieniem wynurzyła się ciemna głowa Emmeta zwielokrotniona setką miniaturowych odbić. Pan Sharp odwrócił się i ujrzał w dłoni glinianego człowieka kolejny srebrzysty kawałek szkła. Golem szukał dla niego właściwego miejsca.

Posprząтали całe pomieszczenie, zbierając wszystkie odłamki z serwantki, i zaczęli je mozolnie segregować według wielkości i kształtu, układając na pustym stole pośrodku biblioteki. Pan Sharp zamierzał porozdzielać kawałki, by łatwiej było z powrotem złożyć z nich lustro.

Taki był plan.

Patrząc na pomieszane części, zastanawiał się, zresztą nie po raz pierwszy, odkąd zaczęli, czy przypadkiem nie zaczyna tracić zmysłów jak Sara. Możliwe, że było to swego rodzaju szaleństwem.

Emmet położył swój kawałek na stole i poszedł po następny. Pan Sharp wiedział, że golem nie potrzebuje snu czy odpoczynku, i myślał, że Emmet będzie powoli, metodycznie pracował, dopóki nie skończy, dodawała mu otuchy.

Skrzypnęły drzwi, a w szparze pojawiła się głowa Kucharki. Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki na widok natury i skali przedsięwzięcia, którego się podjęli.

– Co dokładnie – zawiesiła niebezpiecznie głos jak ktoś odwodzący kurek broni o delikatnym spuszczeniu – robicie?

– To, co widzisz – odparł zwięźle Sharp.

– To nie czas na zabawy układanką.

Pan Sharp i Emmet nie przestawali segregować odłamków.

– Nie da się scalić szkła – stwierdziła Kucharka.

Pan Sharp żałował, że weszła teraz, gdy jego zamiar był jeszcze w powijakach i naprawdę robił wrażenie niewykonalnego. Wolałby, żeby na razie nikt nie podejrzewał, co planuje. Nie zamierzał porzucić pomysłu ze względu na dezaprobatę Kucharki, ale jej komentarze wyprowadzały go z równowagi, a w tym domu było już i tak nadto nerwowo.

– Nie da się skleić rozbitego lustra – powtórzyła z naciskiem. – Tak samo jak nie da się odpiec upieczonego kurczaka. Kiedy kurczę jest upieczone, to jest upieczone, a kiedy lustro jest rozbite, to jest rozbite. I tyle. Równie dobrze mógłbyś zamówić u szklarza nowe, choć nie mam pojęcia, czemu miałbyś mitrzyć czas i siły na naprawę serwantki, kiedy jest tyle rzeczy do zrobienia.

Sharp wskazał na wnętrze szafki, z jednej strony lśniące lustrem, z drugiej ciemniejące nagim drewniany bokiem.

– Jeśli wstawię tu nowe zwierciadło, nie zaprowadzi nas ono w miejsce, gdzie znajduje się Lucy. Tylko w starym został ślad rezonansu.

Kucharka powoli pokręciła głową.

– Nie możesz zrobić tego, co zrobić planujesz. To zabronione od czasu Katastrofy, i nie bez powodu.

Nie odpowiedział. Sprzeczką nie miała sensu. Kiedy się przy czymś uparł, to nic nie było w stanie go powstrzymać. Kucharka potrafiła przejrzeć ludzi, jeszcze zanim się urodzili, a jej mina wskazywała, że w tej chwili jej ocena nie wypadła dla niego korzystnie.

– Cóż. Kompletnie oszalałeś – stwierdziła stanowczo. – Nie zamierzam na to pozwolić.

– Nie zamierzam o tym rozmawiać.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem.

– Tak? – Kucharka przerwała milczenie. – Zobaczymy, co na ten temat będzie miała do powiedzenia reszta – rzuciła i trzasnęła drzwiami.

Emmet nie przestał układać odłamków. Pan Sharp na chwilę wrócił do swojego zajęcia, ale gdy tylko nieco ochłonął, a niezwykle dla niego rumieniec na twarzy zbladł, wstał od stołu.

– Niedługo wrócę – oznajmił. Emmet skinął lekko, tak lekko, że nawet bystrooki Sharp nie wiedział, czy tylko mu się to nie przywidziało.

Znalazł Kucharkę w kuchni, gdzie gniewnie dźgała pogrzebaczem palenisko, chcąc pobudzić przygasłe węgle do życia.

– Jeśli jest jakiś inny sposób – zaczął – to chętnie go poznam. Ale nie ma.

Nie przestawała rozniecać żaru. Jej twarz czerwieniła się w blasku ognia, który Kucharka wywołała, a oczy jaśniały. Pan Sharp łagodnie odebrał jej pogrzebacz.

– Ona umiera – powiedział cicho.

Kucharka gwałtownie potrząsnęła głową.

– Jest silna. Zawsze była silna, nawet jako dziecko...

– Jest silna – zgodził się Sharp. – Ale to nie zmienia faktu, że umiera – dodał głośniejszym głosem, jakby to ostatnie zdanie było tak bolesne, że dało się je wypowiedzieć tylko wprost. – Słyszałaś, co mówił Wayland. A utrata ręki przyspieszyła wszystko. Bez kamienia serca zaczniesz umierać w środku...

– ...każdego dnia po trosze – rozległ się głos przy wejściu.

Był spokojny, ale uciszył ich skutecznie. Odwrócili się w stronę, skąd dobiegał. Sara stała w drzwiach. Jej usta, zazwyczaj czerwone, teraz prawie nie odcinały się od bladej cery, a twarz na odwrót, zazwyczaj jednolicie jasna, ciemniała pod oczami głębokimi podkowami. Sara wspierała się o framugę zdrową ręką jak inwalida na lasce. Niesymetrycznie uniesione barki upodabniały ją do popsutej marionetki albo kogoś, kto spodziewa się ciosu z góry. Kikut trzymała z przodu, ukryty w czerwonym szalu tworzącym temblak. Jej uśmiech był tak wymuszony, że aż serce krajało się na jego widok.

– Aż w końcu umrze cała, a pusta w środku nie będzie już tą, którą była – ciągnęła. – Ale będzie chodziła, mówiła, może nawet płakała, bełkotała. Będzie mogła tak siedzieć i ślinić się całymi latami, już nigdy jednak nie będzie Sarą Falk. Będzie tylko szaleństwem

odbijającym się echem w pustym wnętrzu.

– Panno Falk – odezwał się Sharp, robiąc krok w jej kierunku. Chciał ją powstrzymać, chciał powiedzieć cokolwiek, by nie zacząć krzyczeć z bólu. Zbyła go gestem dłoni, jakby to wszystko nie miało znaczenia, jakby odwaga wypowiedzenia tych słów nic jej nie kosztowała.

Przestała się uśmiechać. Spojrzała na nich poważnie.

– Prawda jest taka, że moje serce może bić jeszcze całymi latami, ale ja, Sara, będę już martwa. A jeśli się z tym nie zmierzycie, jeśli nie zaczniecie działać, Nadzór przestanie istnieć. Dobrze o tym wiecie.

– Usiądź, Saro. – Kucharka odsunęła krzesło od stołu.

Sara odepchnęła się od framugi i zachwiała. Pan Sharp przyskoczył do niej błyskawicznie i podtrzymał, a potem doprowadził ją do krzesła. Podziękowała mu skinieniem i przez chwilę milczała, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. W końcu otarła oczy i odetchnęła głęboko.

– Jesteśmy Ostatnią Ręką: Kowal, Hodge, wasza dwójka i ja – powiedziała, jakby tłumaczyła dzieciom. – Jeśli nie będę sobą, nasza piątka stanie się czwórka, a to za mało na Rękę.

– Przestań. Proszę – błagał Sharp.

– Nie. Daj mi skończyć. Muszę to powiedzieć, a wy musicie przestać uważać się nade mną, bo inaczej nie dam rady tego zrobić. Bez Ręki nie da się powstrzymać Pożogi, a Nadzór musi zostać rozwiązany, pozostali członkowie rozesłani na cztery wiatry w poszukiwaniu nowych rekrutów, którzy sformowaliby nową Rękę. Może tak musi się stać. Już miało to miejsce w przeszłości. A może nadszedł nasz kres, może mrok przenika przez krawędź świata i wygrywa. Ale jeśli tak, nie możemy zaprzeczać prawdzie przez naszą głupotę, słabość czy sentymenty. Umieram, a w każdym razie tracę użyteczność jako członek Wolnego Bractwa i należy mnie zastąpić...

– Wiesz, że Kowalowi nie udało się nikogo zaciągnąć w nasze szeregi – zauważył pan Sharp.

– Cięży na nas cień Katastrofy – dodała Kucharka. – Nawet kolejne pokolenie nie wybaczyło nam jeszcze utraty bliskich.

– Zdrady – wtrącił Sharp.

– Zdrady i utraty – przytaknęła Kucharka.

– Morderstwa – poprawiła ich Sara dobitnie. – Oczywiście czyny należy określać oczywistymi słowami. Zostali zdradzeni i zamordowani. I nie, nie chodzi o to, że ludzie nie wybaczyli nam ich śmierci. Nie mogą wybaczyć nam, że przetrwaliśmy. – Zaczęła się podnosić, gestem odtrącając ręce, które wyciągnęły się, by jej pomóc. – Ja nie żałuję, że przeżyłam. Nie czuję się z tego powodu winna. Udało nam się, bo mieliśmy szczęście. Nic ponadto. Los rozdał nam karty lepsze niż naszym bliskim i w imię pamięci o nich rozegram je najlepiej, jak potrafię.

Wstała i wyprostowała się, krzywiąc z wysiłku. Po policzku płynęła jej łza. Sięgnęła, by ją wytrzeć, ale zapomniała się i zrobiła to kikutem, a kiedy się zmytygowała i podniosła drugą rękę, był to niezdarny ruch, jakby ciało oszukiwało się, nie chcąc przyjąć do wiadomości urazu.

Pan Sharp aż drgnął na ten widok.

– Nie wiem, dlaczego utrata dłoni sprawiła, że bolą mnie wszystkie kości – powiedziała Sara, uśmiechając się blado. – Chyba pójde się na chwilę położyć.

– Pomogę ci – zaproponował Sharp.

– Nie. Nie potrzebuję pomocy w poruszaniu się po własnym domu. W każdym razie JESZCZE nie potrzebuję.

Zaczęła chwiejnie wchodzić po schodach, tych samych, z których spadła, uciekając jako dziecko przed koszmarnym Zielonym Człowiekiem. Kucharka i Sharp w milczeniu odprowadzali wzrokiem kobietę, która wspierając się całym ciężarem na poręczy, szła sztywno, z ogromnym wysiłkiem starając się nie zdradzić, ile kosztuje ją ta wędrówka.

Kiedy zniknęła na górze, Kucharka wyjęła flaszkę zza pojemnika na łyżki, postawiła na stole dwie szklanki i nalała do nich bursztynowego płynu. Swoją porcję wypila jednym haustem, krzywiąc się, gdy paląca ciecz spłynęła jej do gardła. Pan Sharp opróżnił swoją szklaneczkę do połowy, a potem zajrzał do naczynia, jakby spodziewał się znaleźć tam odpowiedź na dręczące go dylematy.

– Jeszcze? – Kucharka wskazała na butelkę.

– Nie, dziękuję. Nadal oceniam szkody, które twój napitek wyrządził w moich ustach. Co to było?

- Woda lecznicza. Woda życia.
- Whisky. – Sharp się skrzywił i dokończył jednym haustem. – Nic dziwnego, że tak wielu Szkotów uciekło przed tym na południe. Dziękuję. – Odsunął szklanke. – Nigdy nie widziałem jej płaczącej.
- Jest człowiekiem z krwi i kości.
- Wiem o tym, droga Kucharko, zapewniam cię.
- Ale...? – zapytała, obserwując, jak płaszcz napina mu się na barkach.
- Właśnie. Ale. Nie chcę jej widzieć w takim stanie... nękanej pod ciężarem nieszczęścia. Nie chcę widzieć, jak umiera na własnych oczach. Nie... Nie dopuszczę do tego.
- Ale ona chce, żebyś znalazł dla niej następcę. Chce, żebyś zapewnił przetrwanie Nadzorowi.
- Zgadzą się co do tego, że trzeba walczyć o Nadzór. Nie zgadzamy się tylko co do sposobu, w jaki to robić.
- Potrzebujemy kolejnego członka, panie Sharp. Dla dobra Ręki. Potrzebujemy ich wielu, żeby tworzyć kolejne. Ale najważniejsze, żebyśmy nie stracili tej ostatniej.
- Nie stracimy jej, nie jeśli Sara wyzdrowieje. Ostatnia Ręka przetrwa i na tym fundamencie będziemy mogli odbudować Nadzór.
- Ale dłoń i pierścień zniknęły.
- Odnajdę je.

Kucharka skierowała wzrok ku górze, gdzie akurat obok rondla na mleko wisiał kord. Zrobiła minę, jakby miała ochotę złapać broń i machając nią, dać upust frustracji. Nie zrobiła tego jednak, tylko wycelowała w Sharpa palcem.

– To niesamowite, że w takiej chwili, kiedy trzeba stawić czoła rzeczywistości, akurat ty, zawsze trzeźwo myślący, uważny, upierasz się przy mrzonkach i donkiszoterii! Nie wystarczy, że Hodge oszalał z rozpaczy i biega gdzieś po dachach, polując na dusiołka, na punkcie którego dostał obsesji?! Nie wystarczy, że przez to mamy o jednego użytecznego członka mniej? Biedna Sara straciła dłoń w lustrze. Ta dłoń może być gdziekolwiek na całym świecie, gdzie znajdowało się drugie lustro. Może być w Manchesterze, Monachium albo w Macao! Prędzej znalazłbyś igłę w stogu siana.

– Odnalezienie igły w stogu siana nie jest niemożliwe. Jest tylko niezwykle trudne – rzekł Sharp, jawnie prowokując Kucharkę swoim pozornym spokojem.

– I czasochłonne! – ryknęła i uderzyła dłonią w stół z taką siłą, że po obu stronach blatu szklanki podskoczyły i spadły. Sharp złapał jedną w locie. – Uważasz, że potrafisz robić rzeczy niezwykle trudne, wiem, ale nawet ty nie zdołasz rozciągnąć czasu!

Sharp odstawił szklankę na miejsce i się wyprostował.

– Przysięgam ją chronić. Przysięgam to, jeszcze zanim przyłączyłem się do Wolnego Bractwa. Nie mogę postąpić inaczej. Jeśli złamałbym słowo, żeby ocalić Rękę, stałbym się bezużyteczny, równie dobrze mógłbym być jej wrogiem. Tworzyłbym fałszywą Rękę, gnijącą od wewnątrz. To doprowadziłoby do kolejnej Katastrofy, i to gorszej od tej, która nieomal zniszczyła nas ostatnim razem. Przejdę przez lustra.

– Zginiesz w lustrach. – Kucharka pokręciła głową.

Wzruszył ramionami.

– Musicie trzymać się planu Kowala i zatopić Pożogę oraz inne cenne rzeczy w wodach Tamizy. Ja nie mogę zrobić nic poza tym, co zrobić muszę. Jeśli przestałbym być prawy jak moje ostrze, równie dobrze mógłbym stać się Sluagh.

ROZDZIAŁ L

Ujawnienie ręki na-barno

Tłum przerzedzał się, a cyrkowcy powoli zamykali stoiska na noc. Jedni, zmęczeni całodziennym dostarczaniem rozrywki i drenowaniem kieszeni i sakiewek publiki, poszli spać, inni przysiadali przy ogniskach, puszczała w krąg butelczynę i zabawiali się opowiadaniem starych historii i nowych kłamstw.

Na-Barno nie przyłączył się do żadnej z tych wesołych grup. Siedział w swoim ciasnym wozie, grzejąc się przy małym podróżnym piecyku, i patrzył na zewnątrz. Georgiana przycupnęła na wąskiej prycy ze skrzynką z pieniędzmi zarobionymi na dzisiejszym przedstawieniu. Obserwowała, jak ojciec obraca w ręce butelkę, wpatrując się morderczo w namiot kryjący zdradziecki automat, który omal nie zepsuł mu pokazu i nie zrujnował reputacji.

– Ojciec... – zaczęła.

– Nie – przerwał jej stanowczo. – Nie, mój aniele. Nie będzie dobrze. Jest zepsuty. Ta przeklęta machina jest zepsuta. Powiedziano mi, że to solidny mechanizm, na Boga, zapewniano mnie o tym. A to nieprawda. Jest delikatny i kruchy, niezdatny do przewożenia. Kupiłem go przekonany, że przewyższa możliwościami tę cholerną kukłę Andersona, ale wystrychnięto mnie na dudka. Strwoniłem fortunę na bezużyteczny kawał drewna, który nawet się porządnie nie porusza. Po raz kolejny zostałem oszukany.

– Ludziom podoba się mój pokaz czytania myśli, ojciec – zauważyła Georgiana łagodnie. – A rozmowa z zaświatami też poszła bardzo dobrze.

– Wiem, że starasz się osłodzić mi rozczarowanie, drogie dziecko, ale tylko jedno jest w stanie mnie pocieszyć: ta oto butelka – rzekł, podnosząc zieloną flaszkę. – A i ona otępi mnie tylko na noc. Rano

nadal będę osaczony wrogami i zdrajcami. I nadal będę musiał w niedalekiej przyszłości zmierzyć się z tym fanfaronem Andersonem, który poniży mnie na oczach publiczności niechybnie po raz ostatni, bo któż, przeżywszy takie upokorzenie, nie przestałby dawać przedstawień? A jeśli nie będę mógł występować, nie zarobię na jedzenie, a wtedy z pewnością umrzemy z głodu...

Odchylił głowę i wlał w gardło wielki łyk nalewki. Przełknął go z zasklonymi rozpaczą oczami.

– Ale, ojciec... – Georgiana uśmiechnęła się promiennie. – Nie wszystko stracone. Po co nam automat, skoro mogę sama przedstawiać czytanie w myślach? Czyż nie jestem ładniejsza od starej drewnianej kukły? Czy nie posiadam uroku i prezencji? Nie wszystko stracone!

– Czytanie w myślach? – powtórzył Eagle z goryczą. – Nasze czytanie w myślach to sztuczka, którą możemy mydlić oczy wieśniakom o umysłach starczających ledwie na stawianie nogi za nogą i pchanie pługa. Anderson całymi dniami obmyśla i ćwiczy swoje własne iluzje. Nie jest tępy. Jego umysł jest ostry jak brzytwa, ostrzejszy niż sztylet Turczyń. To wcielony diabeł, ale na pewno nie głupiec!

– Ale ty też jesteś bystry, ojciec, i ja też! – krzyknęła Georgiana. – Możemy udoskonalić i poszerzyć mój numer z czytaniem myśli...

Gwałtownie chwycił ją za przegub. Aż jęknęła z zaskoczenia i bólu.

– Twój numer? – prychnął pogardliwie. – Przypisujesz go sobie? Należał do twojej matki, a wcześniej... – Odwrócił wzrok.

– Ojciec?

– Wcześniej należał do kogoś innego.

– Do kogo?

Wypuścił powoli powietrze.

– Kiedy wyrwałem twoją matkę z jej życia pełnego przemocy i znoju, nie przyszła do mnie z pustymi rękami.

– Ale czyja to była sztuczka? – zapytała Georgiana żarliwie.

– Należała do... innego iluzjonisty. Twoja matka była jego asystentką. Jej rodzina podróżowała tą samą trasą co on i kiedy jego żona zachorowała na puchlinę, zaproponował twojej matce, żeby

zastąpiła ją na sezon.

– A więc...?

– A więc to sztuczka znana cyrkowcom. Wyobraź sobie, że na dzisiejszym przedstawieniu byłby obecny Anderson, z którym muszę się zetrzeć za dwa tygodnie. Kiedy tępaki i kmiotki zachwycali się, że odgadłaś, że chodzi o kosę, on zerwałby się na równe nogi i z tym swoim przemądrzałym zarozumiałstwem zawołał: „Zaczekajcie! Zaraz wam pokażę, na czym polega ta marna sztuczka Eagle’a i jego córki! To zwykłe oszustwo! Kiedy płaciliście w przejściu i rozmawialiście, podsłuchiwali was! A pan przypadkiem nie wspomniał o kosie?”. A gdy ciotki kiwałyby głowami, może nawet któryś przyjaźnie do nas nastawiony zapytałby: „Ale skąd mogła wiedzieć, co kto mówił?”, on wyprężyłby się, spęczniały z samozadowolenia, i zdradził nasz kod: „Czy oszust Eagle nie powiedział: »O wielki magu, który odsłaniaz sekrety absolutu!«?”. A kiedy wszyscy by przytaknęli, zagrzemiałby: „Przyjrzyjcie się dokładnie słowom po zdaniu: »O wielki magu«! Brzmiały one: »Który odsłaniaz sekrety absolutu«, a więc K: który, O: odsłaniaz, S: sekrety, A: absolutu. Wiecie już, jakie to słowo?”. Wtedy już będą wiedzieli i zagrzmią wspólnie: „KOSA!”. Nasza tajemnica zostanie ujawniona i staniemy się pośmiewiskiem. Pośmiewiskiem, słyszysz? A ja nie pozwolę, żeby się ze mnie naśmiewano!

Odchylił się na oparcie tak gwałtownie, że krzesło złowróźnie zatrzeszczało, a potem zapatrzył się w plandekę.

– Ja też, ojciec. – Pobladła Georgiana się przygarbiła. – Ja też.

Spojrzał na nią, a kiedy ich oczy się spotkały, patrzyli na siebie, jakby nagle coś zrozumieli. Eagle pierwszy spuścił wzrok.

– Czyli jesteśmy skazani na porażkę? – odezwała się Georgiana. – Przyjąłeś wyzwanie Andersona, licząc, że masz lepszą broń, a teraz okazało się, że to nieprawda?

Przytaknął i pociągnął potężny łyk z butelki.

– Cóż – potrząsnęła pudełkiem z pieniędzmi – mamy zarobek z dzisiejszego pokazu, więc nie umrzemy z głodu natychmiast. A tam, gdzie życie, tam i nadzieja.

– A tam, gdzie nadzieja, tam wielki zdmuchiwacz świec czający się w pobliżu, żeby zgasić płomień, gdy tylko wystrzeli wyżej. – Eagle

westchnął. Georgiana spoliczkowała go.

Był tak wstrząśnięty, że zamarł. Nie zaprotestował, nawet kiedy wyjęła mu butelkę z dłoni.

– Uderzyłaś mnie – wykrztusił przez drżące wargi jak bliskie płaczu dziecko.

– Nie, ojcze. Byłeś pijany. Uderzyłam pijaka, nie człowieka. Jeśli mamy uniknąć katastrofy, musimy jasno myśleć.

– Ale ja nie chcę myśleć – chlipnął.

– A ja nie chcę, żebyś był pijany – oświadczyła, trzymając butelkę z dala od niego. – Kiedy pijesz, bełkoczesz i wypierasz się odpowiedzialności.

– Nie, jestem odpowiedzialny za to wszystko. – Załkał. – Całym życiem odpowiadam za swoje życie.

– A moim? Czy ja muszę swoim odpowiadać za twoje?

– Nie, dziecko – wychrypiał. – Nie, tobie ta straszna kara musi zostać oszczędzona.

Przez chwilę w maleńkiej przestrzeni słyhać było tylko cichy trzask ognia. Oboje w milczeniu kontemplowali wizje swojej wspólnej i osobnej przyszłości.

– Czego jeszcze mi nie powiedziałeś? – zapytała Georgiana.

– O twojej matce? O Andersonie?

– Nie, przeszłość nam nie pomoże. Co znalazłeś?

– Słucham?

– Znalazłeś coś i nie powiedziałeś mi o tym. Słyszałam, jak do tego mówisz. Słyszałam, jak płaczesz i nazywasz to wybawieniem. Jeśli to nasze wybawienie, powinnam to zobaczyć.

Gwałtownie pokręcił głową.

– Nie, nie powiem ci. Nie mogę. Nie wolno...

– Dlaczego?

– Bo... bo to coś, czego sam nie rozumiem. Znalazłem to tego wieczoru, kiedy rozbito moje piękne lustro. Ujrzałem, jak pełźnie po ziemi.

– To? To jakieś zwierzę?

– Nie. – Na-Barno przez chwilę otwierał i zamykał usta, jakby był zębą, a słowa, których nie mógł z siebie wydobyć, muchami, a on

próbował pochwycić je w locie.

– Co to jest?

Eagle pokręcił głową i wstał raptownie. Przetarł twarz i skrzywił się.

– Nazywam siebie magikiem... – zaczął.

– Czarodziejem... – sprostowała. – Wielkim czarodziejem.

Skinął zadowolony.

– Ale ty, drogie dziecko, dobrze wiesz, że jestem sztukmistrzem. Iluzjonistą.

– Najlepszym w kraju – dorzuciła.

Uśmiechnął się słabo i poczuł pieczenie na policzku, w który go uderzyła.

– Jesteś lojalną córką, nawet kiedy bijesz własnego ojca.

– To było konieczne – broniła się.

Przytaknął.

– Od dwóch dekad wędruję wzdłuż i wszerz tej wyspy, więc widziałem różne rzeczy. Nie tylko widziałem, czasami je czułem, odbierałem.

– Rzeczy?

– Krawędź. Otchłań. Mrok. Cień.

Georgiana zajrzała mu w oczy.

– Nadal jesteś pijany. Bredzisz.

Zaprzeczył, a potem, jakby jednoczesne stanie i mówienie stanowiło dla niego zbyt wielki wysiłek, usiadł i wbił wzrok w buty.

– Chodzi o to, że gdy staję przed publicznością i występuję w blasku latarń, odnoszę czasami wrażenie, że jestem na scenie sam i stoję plecami do wielkiej pustki i że w tej pustce istnieje coś, o czym nie wiem nic poza tym, że mnie obserwuje i wyśmiewa. Wyśmiewa, bo potrafi posługiwać się prawdziwą magią, a ja tylko oszukuję. – Spojrzał na córkę. – Nie mam sobie równych, jeśli chodzi o wychwytywanie prawdziwych mechanizmów sztuczek. Nie oszuka mnie nawet najszybszy, najzręczniejszy szuler. Ale czasami widzę coś kątem oka, coś, czego nie potrafię wyjaśnić. To, co znalazłem w namiocie, co znalazłem wtedy...

– Nie umiesz tego wyjaśnić – dokończyła za niego.

– Myślę, że to pochodzi z mroku. I tak, nie potrafię tego wyjaśnić. –
Wstrząsnął nim szloch. – Czuję, że tracę zmysły...

Georgiana położyła mu dłoń na ramieniu i pochyliła się, spoglądając uważnie w jego mokre, zamglone oczy.

– Czy ja jestem szalona, ojcze?

– Nie.

Podniosła się.

– Wobec tego pokaż mi to. Sama ocenię.

Wskazał drżącą ręką na pojemnik z węglem.

– Jest pod węglem. W kryjówce. W skrzynce.

– Co to jest? – zapytała, rozgarniając czarne bryłki.

– Ręka. Próbowałem odgadnąć, jak działa.

– Ręka?

– Manus Gloriam. Ręka Chwały. Dłoń, która posiada własną wolę i rusza się jak żywa.

Zerknęła na niego znad węgla.

– Zatem czy nie byłaby to lepsza sztuczka niż ta z drewnianym automatem? Anderson na pewno nie ma Ręki Chwały!

Podniosła fałszywe dno pojemnika i wydobyła skrzynkę. Nie oglądając się, sięgnęła do tyłu po klucz, który podawał jej ojciec.

Chwilę później Na-Barno zaczął uchylać wieko i oboje zawisli nad skrzynką.

– Ręce ci się trzęsą – zauważyła Georgiana.

– Boję się... – wyjąkał.

Sięgnęła i sama uniosła pokrywę do końca.

Ręka Sary leżała nieruchoma na dnie. Przez moment wpatrywali się w czarną skórę rękawiczki i lśniące pierścienie. Georgiana wyglądała na rozczarowaną.

– To złote pierścionki? – zapytała.

– Nie wiem, nie zastanawiałem się...

– Cóż, przynajmniej one mogą być coś warte. Możemy je sprzedać. Nie pojmuję, jak mogłeś o tym nie pomyśleć...

– Nie pomyślałem, bo pierścionki są najmniej wyjątkową rzeczą w tej ręce.

– To dłoń trupa – stwierdziła, wzruszając ramionami i wyraźnie

dochodząc do wniosku, że ojciec ubzdurał sobie coś w pijanym widzie.

– Jest dość makabryczna, ale...

– Czekaj, nie widziałaś, jak się rusza. – Pochylił się i trącił dłoń, która drgnęła natychmiast, po czym umknęła w kąt skrzynki i zaczęła drapać w ścianki. Georgiana gapiała się na nią oczami jak spodki.

– To jakiś genialny mechanizm? – szepnęła.

Na-Barno przytrzymał dłoń i rozpiął guziczki na nadgarstku, odsłaniając skórę.

– Dotknij – zachęcił córkę.

Musnęła opuszkami skórę, najpierw ostrożnie, a potem – kiedy ręka nie broniła się i nie próbowała jej złapać – odważnie.

– To ciało – zdziwiła się. – Ciepłe ciało...

Na-Barno dźgnął szpilką rękę i mocno przytrzymał, kiedy skurczyła się w proteście. Pokazał córce czerwoną kroplę na końcu szpilki.

– I krew – dodał.

Georgiana oddychała powoli, jakby starała się powściągnąć ekscytację.

– Czuje ból – stwierdziła. – Naprawdę go czuje. – Spojrzała na ojca, a na jej wargi wypełził leniwy uśmiezek. – A to znaczy, że możemy ją wytresować.

– Dziecko... – Powoli pokręcił głową, patrząc w zadumie na córkę. – Ręka porusza się sama, choć nie jest przyłączona do ciała. Nie napawa cię to zgrozą? Nie przeraża cię, że istnieje ukryty świat i ta ręka jest na to dowodem?

– Nie, ojczy. Przerażają mnie tylko nędza i brzydota.

Zabrała mu szpilkę i z pożądlivością w oczach pochyliła się nad skrzynką.

– Sprawdźmy, co potrafi robić...

A potem ukłuła rękę i patrzyła, jak ta wzdryga się i kuli.

³ Cyt. za: J. Keats, *Na pierwsze zapoznanie się z Homerem w przekładzie Chapmana*, w: tegoż, *33 wiersze*, tłum. S. Barańczak, Kraków 1997.



CZEŚĆ III

ZŁAMANA REKA

Pawel Zambor

Braterstwo rąk

...oprzyj opuszki na kartce, trzymając środek dłoni w powietrzu. Weź pióro, zanurz je w inkauscie i zaznacz koniec każdego palca, a potem połącz kropki prostymi liniami. Właśnie narysowałeś nieregularny pentagram i pięcioramienną gwiazdę wewnątrz jego obrysu. Gwiazda jest mocą. Obrys to ochrona. Zatrzymuje moc wewnątrz i zapobiega jej niekontrolowanemu rozprzestrzenianiu się po świecie.

Ignoranci bądź ci, którzy krępują cię przesądami okrytymi płaszczkiem religii, powiedzą, że pentagram to symbol mroku, narzędzie czarnej magii, znak diabła.

Jest wprost przeciwnie. Pentagram zawiera w sobie światło, ochrania je i jest symbolem stworzonym na bazie zwykłej ludzkiej ręki, a nie czegoś pochodzącego z zaświatów. Pentagram wskazuje, że rodzaj ludzki ma zdolność powstrzymania mocy, że nie musi zostać pochłonięty czy zniszczony...

Gawain, jeden z najcnotliwszych rycerzy króla Artura, miał tarczę opatrzoną pentagramem. Symbolizował on nie tylko obowiązek, lecz także hojność, przyjaźń, szczerść i miłosierdzie. Te same przymioty towarzyszą członkom Wolnego Bractwa i Nadzorowi Londyńskiemu, który skupia się w grupy złożone z pięciorga osób tworzące „Ręce”, na pamiątkę...

Wyjątek z *Wielkiej i tajemnej historii świata*
autorstwa rabina Hayyima Samuela Falka

Interludium

W przytułku w Andover wrzało. Pani M'Gregor nie posiadała się z oburzenia.

Pan M'Gregor przeszukiwał piwnice, pokoje, ruchomości i osoby w obrębie ponurych murów tej szarej i niewdzięcznej instytucji. Przewracano łóżka, wybebeszano szuflady, nawet wielkie góry kości czekające na przemiał na roboczym podwórku były przerzucane sztuka po sztuce przez najmniejszych, najzręczniejszych pensjonariuszy.

Męskiej części mieszkańców kazano się rozebrać, a strażnicy sprawdzili ich i przetrząsnęli ubrania. Kobietom przypadła w udziale ta sama upokarzająca procedura w obecności strażniczek, którym jednak pomagali strażnicy płci męskiej, co tylko zwiększyło skalę poniżenia. Wyłącznie dzięki temu, że wola pensjonariuszy została już dawno zdławiona, zmielona drobniej niż kości, udało się uniknąć buntu. Nic poza szeptanymi przekleństwami i wymrukiwanym pomstowaniem nie zakłócało przeszukania.

Nic też z niego nie wynikało.

Brak rezultatów sprawiał, że oburzenie pani M'Gregor wylewało się falami, każąc tej pełnej życia kobiecie obrzucać podopiecznych strumieniami inwektyw. Wykrzykiwała, ile wraz z mężem wyświadczyli dobroci pensjonariuszom, jak pożywny jest kleik, którym ich karmili, jak porządne są koce, które im zapewnili, jak solidne są prycze, którymi umeblowali pomieszczenia – na własny rachunek! Wychwalała zalety dyscypliny, którą pensjonariusze zostali objęci, nowoczesnego systemu pracy dziennej i wyeliminowania czasu wolnego, w którym w przeciwnym razie diabeł zaprzęglby ręce mieszkańców do innej roboty. Piała peany na cześć jedyne go piecyka, który oddano podopiecznym do dyspozycji, wysławiała dobrodziejstwa świeżego powietrza (w sypialniach) i wysokie mury,

które chroniły mieszkańców przed zawstydzającymi spojrzeniami hojnych, szczodrych parafian, tak ciężko pracujących, aby dostarczyć funduszy, które ona i jej mąż – święty człowiek – wydawali na wikt i opierunek podopiecznych. Miłosierdzie, grzmiała, rodzi się w domu, ale ten dom, ich dom, został zhańbiony, zezłodziejony. W skrócie, ktoś skradł jej lusterko, a ponieważ ona z dobroci serca zapewniała mieszkańcom pożywny, najsmaczniejszy pod słońcem kleik (zwany przez pensjonariuszy, ale tylko za jej plecami, „kością i potem”), ten sam przysmak zostanie im odebrany i zastąpiony suchym chlebem i wodą aż do czasu zwrócenia przedmiotu.

Pani M’Gregor wprost nie mogła znieść myśli, że pomiędzy jej podopiecznymi jest złodziej. Lusterko miało srebrną opaskę na ręczce. Należało do jej matki (co nie było prawdą).

Matka ofiarowała jej lusterko na łożu śmierci (co było prawdą tylko w głowie pani M’Gregor). Był to jej największy skarb.

Z tym zasadniczo można się było zgodzić, jeśli nie liczyć metalowej skrzynki z pieniędzmi, których M’Gregorowie nie wypłacali pracującym podopiecznym. Łatwo było je ukryć, bo oficjalnie zostały już wydane, nawet jeśli tylko teoretycznie, i rozliczone w księgach instytucji, która zapłacała nimi za mięso i niezbędne lekarstwa, czyli rzeczy, które M’Gregorowie postrzegali jako mniej ważne niż zapewnienie sobie emerytury.

Tak oto największa złodziejka w placówce ciskała gromy na głowy niewinnych pechowców powierzonych opiece jej i jej męża, oskarżając ich o niewdzięczność i niewybaczalną nieuczciwość. Wrzeszczała i darła się w sposób nieprzystający damie, aż poczerwieniała. Jej podwójny podbródek trząsał się wściekle jak korale wyjątkowo rozjuszonego indora.

Inna, drobniejsza złodziejka siedziała z nieobecną miną z tyłu, z pochyloną głową przebierając bezustannie palcami, jakby szyła coś niewidzialnego.

Wiedziała, że lada moment ktoś wpadnie z wiadomością, że lusterko znalazło się pod kupą kości.

Wiedziała, że przez chwilę wszyscy będą świętować.

Wiedziała też, że chwila ta będzie krótka, bo szybko okaże się, że

rączka została pozbawiona srebrnej opaski, a w ramce nie ma lusterka.

Oprócz tego wiedziała, że pensjonariusze przestraszą się, myśląc, że ktoś wyjął je, by zrobić z niego ostrze.

Wiedziała również to, że przez kilka kolejnych tygodni ci najbardziej nielubiani będą mieć się na baczności w obawie, że któraś z ich ofiar może szukać odwetu.

Uznała, że to nic złego.

Wiedziała także, że zwierciadło leży na dnie beczki z wodą w ogródku warzywnym i że nikt go tam nie znajdzie.

Oraz że dłoń, która pierwsza na nim spocznie, jest tą samą, która teraz plecie wianki ze stokrotek.

I choć umysł tej drobnej złodziejki spowijała mgła zbyt gęsta, by kobieta mogła pojąć, jak dokładnie to wszystko przewidziała, miała też niezachwianą pewność, że wkrótce nadejdzie czas na ucieczkę.

.



ROZDZIAŁ LI

Co zdarzyło się na Wych Street

Jed wyczuł woń Alpa, kiedy mijał stragan handlarza podrobami na Clare Market, co było tym bardziej godne uznania, że po drugiej stronie ulicy, dokładnie na wysokości jego nosa, stał gliniany pojemnik po brzegi wypełniony fragmentami kości i okrawkami rzeźniczymi. Stał i wysyłał ku psu kuszące wiązki niebiańskiego zapachu.

Hodge usłyszał szczekanie i wychwycił w nim nagłące tony. Znajdował się trzy piętra wyżej, na dachu, ponad ulicą zastawioną straganami z mięsem i warzywami tak ściśle, że pod okapami stareńkich dachów i parapetami koślawych okien nie dało się nawet oddychać, a co dopiero przejść swobodnie. Hodge rzucił bosak na drugi dach, zaczepił go o wystające cegły i bez wahania zeskoczył w dół, po czym zszedł po nierównej ścianie budynku tak sprawnie jak marynarz po olinowaniu podczas ciszy. Zeskoczył na ulicę i szarpnął linę, uwalniając hak, po czym złapał go, kiedy spadł.

Jeszcze związał sznur, a już biegł ulicą, wypatrując psa.

Dostrzegł moręgowaty ogon znikający za rogiem na Wych Street i skierował się w tę stronę, roztrącając sprzedawców i kupujących, którzy nie zdążyli się usunąć, słysząc okrzyk:

– Przejście! Zrobić przejście!

Nie miał wątpliwości, że Jed podjął trop. Pies aż drżał

z podniecenia, wibrował z napięcia. Wych Street była mniej zatłoczona niż targ, więc Hodge zdołał go dopędzić w połowie drogi od St Clement Danes.

– Gdzie? – zapytał.

Pies wspiął się na stopień prowadzący do obskurnego sklepiku, nad którego wejściem wisiał szyld M.A. ORMES – SPRZEDAŻ WĘGLA. Hodge wpadł za psem do ciasnego, przypominającego kopalnię pomieszczenia – czarnego od pyłu i słabo oświetlonego. Pośród worków siedział starszy mężczyzna, który gryzmolił coś w księdze rachunkowej przy nikłym blasku świecy.

– Najmujecie pokoje? – zapytał Hodge, wskazując na schodki na zapleczu.

– A kto pyta?

– Stróż prawa – odparł teriernik i mignął odznaką, którą schował do kieszeni, zanim starzec przyjrzał się jej dokładnie. – Macie kogoś nowego?

– Nie. Mieszkam z żoną na piętrze, a poddasze zajmuje taka miła para młodych. Nie ma z nimi żadnych kłopotów. Cisi jak myszki. Jakiego rodzaju stróżem prawa jesteś?

– Zajętym. Nie ruszaj się stąd.

Hodge przeskakiwał po trzy schody, a Jed biegł przodem. Na samej górze znajdowały się zamknięte drzwi. Gdy Hodge dotarł na poddasze, pies niuchał pod nimi z takim zapalem, jakby chciał wywąchać zawartość pomieszczenia na drugą stronę.

Hodge nawet się nie zatrzymał. Z tarninowym kijem w jednej ręce i nożem w drugiej huknął w drewno, wyważając tanie drzwi jednym kopniakiem.

Pokój był czysty, choć ubogo umeblowany. Znajdowały się tu piecyk obstawiony kuchennymi utensyliami i obity ceratą świerkowy stół z dwoma różnymi krzesłami, na którym stały dwa nakrycia. Poza tym był jeszcze średnio wygodny fotel, z którego wyłaziło końskie włosie, a za kotarką z taniej bawełny, tak spranej, że żywe niegdyś róże były już tylko cieniami kwiatów, stało łóżko.

– Wyłaź! Rozkazuję ci na dąb, jesion i tarninę, wychodź, sukinsynu!

Hodge gwałtownie odsunął zasłonkę na bok.

Dusiołka za nią nie było.
Ale był ślad jego bytności.
Ciało kobiety.

Dusiołek musiał uciec już dość dawno, przynajmniej pół dnia temu, wnioskując z wyglądu trupa. Kobieta leżała na plecach w rozchełstanej koszuli odsłaniającej przynajmniej połowę jej ciała. Miała otwarte oczy i pobladłe wargi, jakby zmarła w pół oddechu. Woskowa twarz zdradzała, że od dawna już nie żyje. Cała krew z jej ciała uciekła w dół, więc spód kończyn kontrastował z szarawą pościelą ciemnym fioletem i odcinał się brzydotą od alabastrowej gładkości i bieli, które śmierć przydała anielskim rysom ofiary.

Choć w kobiecie nie było najmniejszego śladu życia, Hodge zaczął ją potrząsać, jakby próbował ją ocucić.

Półprzytomny z rozpaczy, słyszał własny głuchy głos powtarzający: „Nie, nie, nie!”. Czuł pieczenie pod powiekami i gulę w gardle i wiedział, że coś w nim pękło. W swoim długim, pełnym przygód i zadań życiu nie raz odniósł porażkę i nie raz widział śmierć dużo straszniejszą od tej. Nie było powodu, by akurat teraz, by akurat ten szczególny dusiołek przyprawił go o załamanie – choć może jego reakcja miała coś wspólnego z długotrwałymi poszukiwaniami, brakiem snu i powolną utratą energii będącą skutkiem nieustannego podążania za niezmordowanym psem. Może nie była to kropla przepełniająca czarę, ale wszystkie krople przed nią. Cokolwiek stanowiło przyczynę, Hodge się załamał.

– Annie? – zawołał ktoś za jego plecami. – O Boże, Annie!

Odwróciwszy się, Hodge ujrzał młodego mężczyznę w przyciasnej marynarce urzędnika, który stał w drzwiach, trzymając w ręce owiniętą w gazetę rybę.

Ręka ta opadła, a ryba plasnęła o podłogę.

– Coś ty zrobił?! – wykrzyknął mężczyzna, rzucając się ku niemu. – Morderca! Morderca!

Urzędnik oderwał Hodge'a od łóżka i popchnął na ścianę. Hodge nie bronił się. Jed warknął na napastnika, ale teriernik powstrzymał go gestem.

– Nie, Jed! Zostań!

Urzędnik wpatrywał się ze zgrozą w ciało martwej żony.

Hodge milczał. Czuł, że wraz ze słowami skierowanymi do psa uciekła z niego resztką sił. Po raz pierwszy w życiu nie miał pojęcia, co dalej, nie potrafił myśleć, nie obchodziło go to.

Urzędnik był od niego o sześć cali niższy i o połowę drobniejszy. Był chudy jak szczapa. Mimo to rzucił się na Hodge'a, chwytając po drodze pogrzebacz.

Zamachnął się i zadał cios w skroń, a potem kolejny, mniej celny, w szyję. Hodge się nie bronił.

Urzędnik podciął mu nogi i już miał znów go uderzyć, kiedy do pokoiku wparowali sprzedawca węgla z synem. Jednym spojrzeniem ogarnęli scenę, a potem, przeklinając, podbiegli do urzędnika i wspomogli go, wykopując z teriernika życie.

Hodge leżał bezwładnie, z jednym okiem zasłoniętym opuchlizną i miał wrażenie, że ciosy dosięgają kogoś obcego, dalekiego. Kogoś, kto na nie zasłużył. Kogoś, kto pragnął końca, który ze sobą niosły.

Jed popiskiwał i warczał, drapiąc łapą podłogę, ale Hodge utrzymywał go z dala, patrząc nań jednym okiem.

– Nie – wychrypiał. – Idź.

Mógł powstrzymać go przed atakiem, ale żadna siła nie zmusiłaby psa do odejścia.

– Zdepczmy go! – wykrzykiwał syn węglarza z entuzjazmem. – Wytluczmy życie z tego przekłętego mordercy!

Hodge obrócił się i nawet zdołał wykrzesać z siebie cień uśmiechu, widząc zbliżającą się do jego twarzy podkutą podeszwę.

But jednak nie zderzył się z jego głową. Do pokoju wpadł cyklon, chwycił syna węglarza za kołnierz i cisnął nim w przeciwległą ścianę. Sprzedawca odwrócił się i nadział na wielką niczym młot pięść, która pozbawiła go przytomności. W następnej chwili urzędnik wisiał trzymany za gardło w żelaznym uchwycie, majtając rozpaczliwie nogami. Hodge podniósł wzrok na Kowala.

– Za późno – wykrztusił, spoglądając w stronę łóżka, gdzie ze swojej pozycji mógł widzieć tylko nogi martwej kobiety, które zwisały poza materac.

Kowal spojrział na niego z miną niczym chmura burzowa.

– W sam czas, powiedziałbym – warknął.

Puścił urzędnika i popatrzył na niego. Szalona rozpacz spłynęła z twarzy młodego człowieka, gdy tylko skrzyżował spojrzenie z Kowalowym.

– To twoja żona? – zapytał go Kowal.

Urzędnik przytaknął.

– Współczuję straty – rzekł Kowal. – Będziesz pamiętał, jaka była szczęśliwa i że rozstaliście się w miłości. Będziesz wierzył, że odeszła spokojnie, bez bólu, we śnie i że zawsze prosiła, żebyś w razie jej śmierci związał się z inną i dał jej szczęście takie, jakie dałeś jej. Twoja żałoba potrwa rok, a latem poczujesz, że żal przeminął, a żona spogląda na ciebie z uśmiechem z nieba. Jej odejście nie pogrąży cię w rozpacz, ale wzmocni dzięki szczęśliwym wspomnieniom. Zapomnisz o mnie, o moim przyjacielu i jego psie. A teraz zaśniesz na dziesięć minut.

Kowal odczekał, aż urzędnik kichnie, a potem przeniósł go na fotel i tam posadził.

– Czym jesteś? – wychrypiał ktoś przerażony.

Kowal obrócił się w stronę kulącego się pod ścianą syna węglarza.

– A co tu widzisz? – Wskazał na swoje oczy, a gdy młodzieniec w nie spojrzał, zakrztusił się, po czym odetchnął uspokojony. – Zejdiesz na dół – poinstruował go Kowal. – I zapomnisz o wszystkim.

Młody człowiek kichnął i zataczając się, opuścił poddasze.

Sprzedawca węgla ocknął się, trzymany pod brodę przez Kowala.

– A ty usłyszałeś rozpaczliwe krzyki tego biedaka i biegnąc na górę, spadłeś ze schodów. Idź i usiądź na podeście. Ten tu zacznie krzyczeć za jakieś osiem minut, wtedy zareagujesz. Ty również zapomnisz, że tutaj byliśmy.

Kowal odprowadził go wzrokiem, a potem podszedł do martwej kobiety i dotknął jej piersi.

– Połamane żebra. Znalazłeś swojego dusiołka.

– Za późno – powtórzył Hodge, nie próbując nawet wstać.

Kowal obciągnął kobiecie koszulę i westchnął, a potem zwrócił się do Hodge'a:

– Możesz iść?

Hodge pokręcił głową.

– Mam ochotę cię tu zostawić użalającego się nad sobą – fuknął Kowal. – Niestety, brakuje nam ludzi.

Podniósł nóż teriernika, zatknął go sobie za pasek, a potem wziął samego teriernika na ręce i podszedł do okna. Wyjrzał na znajdujący się pod spodem płaski dach. Popatrzył na psa.

– Wrócimy tu później, wtedy podejmiesz trop. – I z wyrażającym zdegustowanie prychnięciem wyniósł Hodge'a z pokoju, zszedł po schodach, po czym wmieszał się w anonimowy tłum na ulicy.

.

ROZDZIAŁ LII

Wieczorna wypitka

Na dwa dni przed wielkim jarmarkiem, na którym miały się odbyć sławetne zawody obu Wielkich Czarodziejów, Lucy siedziała z Charliem i Georgianą pod boczną ścianą niskiego zajazdu, patrząc na pobliską łąkę przygotowaną już na nadchodzącą galę. Było tłoczniej niż zazwyczaj, bo przybyli również cyrkowcy z północnego objazdu, a i atmosfera panowała odświeżona, jako że starzy przyjaciele i rywale porównywali dokonania minionego roku.

Właściciel zajazdu przyjaźnił się z cyrkowcami i zawsze chętnie gościł ich co roku, zadowolony, że rozbijali obozowisko na błoniach pomiędzy wsią a miasteczkiem – ich obecność ściągała bowiem do karczmy klientów z całego hrabstwa, a to gwarantowało duże zyski ze sprzedaży piwa i cydru. Cały poprzedni tydzień cyrkowcy wędrowali krainą cydru, ale Lucy, dzięki zaradności Charliego, dostała możliwość porównania i uznała, że woli piwo.

Charlie wspiął się na strzechę zajazdu i zawiesił na niej girlandę proporców oraz wielki znak z napisem PIWO NA DZBANY, a w ramach zapłaty dostał dzban mocnego cydru zwanego jabcockiem. Lucy wypła niewiele, nie odpowiadał jej cierpki smak pozbawiony słodczy typowej dla jabłeczniaka, który chętnie pijała wcześniej. Ku jej zaskoczeniu Georgiana nie ociągała się, piła na równi z Charliem. Cała ich trójka cieszyła się wolnym wieczorem, obserwując starszych cyrkowców, którzy wchodzili i wychodzili objuczeni dzbanami i kuflami napitków.

Nikt nie zwracał uwagi na przycupniętą z boku trójkę młodych ludzi. Lucy milczała, a Charlie mówił znacznie mniej niż zazwyczaj, bo Georgiana przejęła główny ciężar obowiązków towarzyskich. Miała wyrobioną opinię na temat wszystkiego, chociaż tylko ktoś

o umysłowości łatwowiernego dziecka uznałby jej wywody za warte wysłuchania. Miała opinię na temat tego, czy picie cydru na pusty żołądek przyprawi ich o kolkę (była przekonana, że tak, ale i tak piła w najlepsze). Miała opinię na temat kukulek, trybul, katarynek, suszonej zupy, konserw mięsnych i sukien odpowiednich na tańce. Wiedziała, w jakich kolorach jest Lucy do twarzy w świetle dziennym i przy świecach oraz jakich kolorów nie powinna zakładać bez względu na oświetlenie. Miała dobrą opinię o fryzurach, węsach i własnej umiejętności trzymania w garści widowni oraz złą o psach, ciasnych butach i Cyganach.

Gdyby Georgiana nie była taka piękna, te potoki paplaniny denerwowałyby Lucy, a tak po prostu siedziała, rozkoszując się ciepłem nagrzanego za dnia muru, przyjemnością przyjacielskiej wypitki i słuchaniem nowej koleżanki – za którą postanowiła uznawać Georgianę – zwłaszcza że jej gadanina płynęła to wartko, to niespiesznie, jak urokliwy, migoczący w słońcu ruczaj.

Georgiana miała w sobie coś niesamowitego, jakąś alchemię wyglądu, głosu i płynnych ruchów. Tworzyły one aliaż nie do odparcia i łatwo było cieszyć się jej towarzystwem, nie wkładając wielkiego wysiłku w konwersację.

Podczas podróży po otwartych przestrzeniach Lucy nie nosiła rękawiczek, ponieważ mogła swobodnie dotykać naturalnych materiałów. Oszczędzała je na miasteczka i miasta, gdzie każdy niewinny kamień czy cegła mogły kryć w sobie pułapkę, diabła w pudełku gotowego wyskoczyć i wlać zapamiętane koszmary prosto do jej mózgu. Teraz też miała na sobie rękawiczki, bo zajazd wyglądał na wystarczająco stary, aby być świadkiem wielu złych uczynków i dramatów. Skubała je zmartwiona pękającymi szwami, widząc, że rzeczywiście mogą rozpaść się w każdej chwili. Próbowwała je pocerować, ale zetlała skóra rozłaziła się pod naciskiem igły. Tego wieczoru Lucy postanowiła po prostu uważać, a rękawiczkami zacząć się martwić dopiero jutro.

Charlie osuszył dzban do dna i zajrzał do niego rozczarowany.

– Nie ma! – jęknął smętnie. – Ktoś wypił wszystko do ostatniej kropelki. Wybaczcie na moment.

Lucy obserwowała, jak chwiejnie podchodzi do kępy pokrzyw i gmera w spodniach. Kiedy odwróciła głowę, Georgiana przyglądała jej się uważnie.

– Co?

– No właśnie. – Eagle’ówna się uśmiechnęła. – Co?

Wyciągnęła rękę i musnęła palcami policzek Lucy.

– Resztki światła igrają w twoich włosach. Jesteś całkiem ładna. Cemu nosisz rękawiczki?

Lucy przebiegł dreszcz, choć nie wiedziała, czy to efekt delikatnego dotyku, który ledwie musnął jej skórę, czy reakcja na pytanie.

– Hm? – mruknęła ospale, jakby cydr zmącił jej w głowie. Choć go nie piła. Grała na czas. Ocalił ją Charlie, który przytoczył się do nich i klapnął pod ścianą.

– Uważaj – ostrzegł. – Pamiętaj, że Georgiana umie czytać w myślach!

Powiedział to w sposób sugerujący, że to nieprawda. Georgiana zachnęła się oburzona.

– Oczywiście, że umiem!

– Jasne, jasne – uspokajał ją Charlie. – Co też mi przyszło do głowy? – Uśmiechnął się do Lucy.

– Teraz na przykład myślisz, żeby przynieść nam więcej jabłeczniaka – powiedziała Georgiana. – No, bądź tak dobry...

– I tak mi szumi w głowie – zaprotestował. – Jeszcze trochę tego jabłeczniaka i rano łeb będzie mi pękać.

Georgiana zatrzepotała rzęsami.

– No, byłabym ci wdzięczna, gdybyś poszedł sprawdzić, czy nie daliby nam jeszcze choć pół dzbanka – zaczęła. – A tata jeszcze bardziej.

– Daruj sobie, Georgie. Nie jestem tępakiem. Na-Barno może sobie kupić własny napitek.

Spuściła oczy z miną na wpół dumną, na wpół tragiczną.

– Nie może... – powiedziała cicho. – Musimy przeczekać do lepszych czasów. A teraz pracuje tak ciężko nad nowym numerem...

– Stara śpiewka – prychnął Charlie.

Podniosła oczy. Na jej gęstych rzęsach lśniła łza.

– Och, oszczędź pompę i nie becz. – Westchnął i ciężko podniósł się na nogi. – Pójdę, sprawdzę, jak się czuje bogaty filantrop.

Zabrał dzban i poszedł do karczmy.

– Saro – odezwała się Georgiana, a Lucy rozejrzała się, w pierwszej chwili zapominając, że przedstawiła się jako Sara Falk.

– Tak?

– Dziwna jesteś. Wiem już, czemu Charlie cię lubi. Zawsze lubił dziwne rzeczy. Jak tego ogolonego niedźwiedzia.

– Nie, to ty mu się podobasz.

Georgiana odrzuciła głowę i zaśmiała się na całe gardło, całkiem zapominając o łzawym nastroju sprzed chwili.

– Nie podobam się Charliemu! To znaczy owszem, lubi mnie, ale nie w ten sposób. Znamy się od wieków. Po prostu żyjemy ze sobą od dziecka i przekomarzamy się z nudów. – Popatrzyła na miasteczko, które wyrosło na łące. – Łatwo przyszłoby mi znudzić się tym wszystkim. Pewnego dnia jeden z numerów ojca przyniesie nam fortunę. Wtedy zamieszkać w murowanym domu stojącym w miejscu i nigdzie nie będę jeździła, chyba że składać wizyty, na zakupy i na bale. – Rozmarzyła się. – Będę wyglądać pięknie na takim balu. Kawalerowie będą ustawiać się do mnie w kolejce. Podobałoby mi się to. Traktowałabym ich okropnie, a oni i tak błagaliby mnie o więcej. Mężczyźni lubią, jak się ich źle traktuje. To dodaje ich życiu dramatyzmu. Myślę, że byłoby im strasznie monotannie bez tej krztyny ożywczego dramatyzmu.

Popatrzyła w gwiazdy i Lucy miała okazję przyjrzeć się ukradkiem jej przedziwnie regularnemu profilowi. Jeśli Georgiana miała jakąkolwiek skazę na urodzie, to prawdopodobnie był nią brak wad. Nieruchomą twarz cechowała zatrważająca symetria rysów – ale Lucy dostrzegła też, że jeden kącik ust dziewczyny unosił się ułamek sekundy wcześniej niż drugi, co przełamywało idealną harmonię i sprawiało, że wyraz zadowolenia na obliczu Georgiany był tym bardziej oszałamiający.

– Naprawdę umiesz czytać w myślach? – wyrwało jej się mimowolnie.

Georgiana spuściła głowę i spojrzała jej prosto w oczy.

– Chcesz, żebym spróbowała? – zapytała z tym swoim nierównym uśmiechem.

Z karczmy dobiegał gwar, obozowisko tętniło życiem, ale tu, pod osłoną muru, panował idealny spokój.

– Tak – przytaknęła Lucy ze ściśniętym gardłem. Odchrząknęła. Denerwowała się, bo długo obracana w głowie myśl została wypowiedziana zbyt wcześnie. A pomysł był taki: jeśli Georgiana naprawdę potrafi czytać w myślach, może uda jej się odkryć to, co dla Lucy jest niedostępne. Może uda jej się wypełnić te niepokojące dziury w pamięci. Może nawet zdołałyby odkryć, jak i dlaczego owe dziury się tam zrobiły. Był to dziwny plan, ale świat był znacznie dziwniejszy, niż Lucy uważała, zanim usłyszała o Zielonym Człowieku, zanim zobaczyła golema i zanim z biblioteki w londyńskiej kamienicy wpadła do cyrku. W porównaniu z tym piękna dziewczyna czytająca w myślach była drobiazgiem. – Tak – powtórzyła pewniej.

– W takim razie stój i nie ruszaj się. – Georgiana objęła jej głowę dłońmi i zamknęła oczy. – Ty też musisz zamknąć oczy, inaczej zobaczę tylko ciebie patrzącą na mnie.

Lucy opuściła więc powieki i starała się nie myśleć o niczym szczególnym. Nie było to łatwe, bo rozpraszało ją ciepło dłoni Georgiany. A potem stało się jeszcze trudniejsze, bo Eagle'ówna zaczęła gładzić ją lekko po włosach.

– Ale... – zaczęła Lucy.

– Ciii. Nie rozpraszaj mnie, i tak trudno cię czytać.

Wzmocniła chwyt, a potem pochyliła się tak, że ich czoła się zetknęły. Lucy czuła jej oddech na policzku. Zrobiło jej się nieswojo. Na swój sposób było to bardziej upajające niż jabłecznik.

– Jabłka – wyszeptała.

Georgiana opuściła rękę i odsunęła się.

– Co?

– Jabłka. Pachniesz jabłkami.

– Ech, Saro! – wykrzyknęła Georgiana. – Nie mogę nic wyczytać. Za bardzo się kręcisz, jakbyś miała owsiki. Nie umiesz stać spokojnie.

– Umiem – upierała się Lucy. – Przepraszam. Już nie będę. Spróbuj jeszcze raz.

– Nie. – Georgiana stanowczo pokręciła głową. – To nic nie da. Nie chodzi o twoje ciało, tylko o umysł. Jest jakiś inny. Trudny do przeniknięcia. Jakby były w nim otchłanie, w których nic nie widzę...

– Dziury? – zapytała Lucy zdławionym głosem. Georgiana dostrzegła jej reakcję i przytaknęła energicznie.

– Właśnie! Dziury! Dokładnie tak...

Lucy poczuła, jakby ktoś uderzył ją w brzuch. Georgiana zobaczyła jej ułomność, więc ta stała się tym bardziej rzeczywista. Lucy nie miała pamięci jak inni ludzie, tylko fragmenty patchworku bez całościowego wzoru.

– O, jesteś, Charlie – zawołała Georgiana, jakby ulżyło jej na jego widok. – Zabiorę to od razu do ojca. Dobranoc.

– A cóż jej się nagle tak spieszy? – zapytał Charlie, odprowadzając wzrokiem dziewczynę kluczącą pomiędzy namiotami.

– Czytała mi w myślach – wydukała Lucy przygnębiona.

Zajrzał jej w oczy.

– Naprawdę? I uwierzyłaś jej?

– Zobaczyła prawdę.

Wbiła wzrok w ziemię i zacisnęła zęby.

– Saro, ona nie umie czytać w myślach – rzekł Charlie po chwili. – To tylko sztuczka. Nie przejmuj się tak wszystkim, co mówi.

– Ale to prawda – upierała się Lucy.

– Nie. Nie, skoro tak cię to przybiło. Jesteś dobrą dziewczyną, Saro. Nie daj się wciągnąć w jej gierki. Ona tak właśnie robi: wytrąca ludzi z równowagi.

– To nie była gra. Naprawdę zajrzała mi w myśli.

– Saro – zaczął Charlie stanowczo – jesteś z nami już na tyle długo, żeby się orientować, jak to wszystko działa, ale wyjaśnię ci jeszcze raz. Chodzi o to, żeby wiedzieć, czego ludzie oczekują i jak sprytnie tym zagrać. Wiesz, co zrobić, żeby sztuczka wypadła najlepiej? Sprawić, żeby delikwent nie chciał, by była to sztuczka.

Lucy stała, gapiąc się w ziemię.

– Idziesz? Jutro wcześniej zaczynamy. Musimy dotrzeć na miejsce wczesnym przedpołudniem i zacząć się rozkładać.

Lucy popatrzyła na swoje ręce. Rękawiczki od Sary naprawdę się

rozpadały. Przez pęknięcia prześwitywała różowa skóra.

– Myślisz, że będzie tam jakiś kram z rękawiczkami? – Naprawdę ich potrzebowała.

– Jasne, jest tam cała masa sklepów. Ale nie spodoba ci się w tym mieście. Jest małe i ponure. Idziesz?

– Zaraz przyjdę.

– Dobrze. – Charlie ruszył w stronę wozu, ale rzucił jeszcze przez ramię: – Śpij dobrze i nie potknij się o mamę, jak będziesz wchodziła do namiotu.

Lucy zamknęła oczy i przycisnęła potylicę do szorstkiego muru zajazdu, starając się oczyścić umysł z cydrowej mgiełki. Nie udało jej się to, więc ruszyła w stronę obozu. A ponieważ szła sama, usłyszała Pyefinchów, zanim oni usłyszeli ją. Przystanęła, nadstawiając uszu.

Charlie rozmawiał cicho z ojcem.

– Pytała o rękawiczki – powiedział.

– Dziwna z niej dziewczyna. Hobb mówił, że zeszłej nocy ktoś trzymający się cienia pytał w karczmie o dziewczynę, może właśnie o nią? Miała mieć zakryte ręce.

– Ktoś, kto krył się w cieniu i miał jakby tatuaże na twarzy – dodała znacząco Rose. Lucy nie potrafiła rozgryźć, dlaczego było to takie istotne.

– Oferował nagrodę w złocie – ciągnął Pyefinch. – Ale nie martw się, Hobb wie, o co chodzi. Trzymał język za zębami.

– Hmm – mruknęła Rose. – Jest złoto i jest złoto.

– Nie wydaje się groźna – stwierdził Charlie.

– Wiesz, zagrożenie niejedno ma imię – rzekł Pyefinch. – Lepiej miej na nią oko, Charlie.

Przestali rozmawiać i zaczęli się krzątać wokół łóżek.

Lucy odczekała jeszcze minutę, a potem hałaśliwiej niż zazwyczaj zaczęła wchodzić do namiotu. Charlie uśmiechnął się do niej z drugiego końca i zakręcił lampę.

Lucy wpełzła pod koc i leżąc w ciemności, wpatrywała się w rondle wiszące na hakach. Czuła się osłabiona i nie potrafiła dojść, co Rose mogła mieć na myśli.

Zastanawiała się, czy nieznajomy jej szukał. Może był od Sary Falk?

A może szukał kogoś podobnego do niej?

W dodatku teraz już nigdy nie będzie wiedziała, czy wesołość Charliego jest szczerą, czy też chłopak coś skrywa. Z przyjaciela stał się szpiegiem.

Była zmęczona, a nawet ta odrobina cydru chyba jej zaszkodziła. Zamknęła oczy.

Nie zamierzała spać. Nie zamierzała śnić. Zamierzała zaplanować ucieczkę.

Znów nadszedł czas, żeby ruszyć w drogę.

.

ROZDZIAŁ LIII

Kłębki z Coburga

Pan Sharp pochylał się nad stołem naprzeciw oszklonej serwantki. Miał podwinięte rękawy koszuli, a jego płaszcz leżał porządnie złożony na krześle obok. Pan Sharp długimi, płynnymi ruchami ostrzył klingę za pomocą wysmarowanego olejem kamienia szlifierskiego. Gwizdał pod nosem smętną melodię starej ballady znanej jako *Strzemiennego nalej, bracie*. Emmet stał obok, ani zasłuchany, ani zapatrzony. Poskładał lustro, pracując bez przerwy, całymi dniami układając mozolnie kawałek po kawałku i przyklejając je do ramy klejem rybnym, którego zapach unosił się w bibliotece, mimo że Sharp rozpałił w kominku.

– Bądź tak miły i miej wyjątkowe baczenie na dom, kiedy mnie nie będzie – poprosił pan Sharp. – I byłbym ci niezwykle wdzięczny, gdybyś dopilnował, żeby nic się nie stało pannie Falk, czy to z winy obcych, czy z jej własnej ręki, bo obawiam się, że i to jest możliwe przy obecnym stanie jej umysłu.

Emmet skinął potwierdzająco.

– Dziękuję ci, drogi przyjacielu. – Pan Sharp sprawdził ostrze kciukiem i wsunął je do pochwy przytroczonej skórzaną uprzężą pod lewą ręką. Taki sam futerał znajdował się po prawej stronie. Sharp zignorował drugie ostrze i sięgnął do cholewki, z której wyciągnął trzeci nóż. Zaczął go ostrzyć z tą samą dokładnością co poprzednio.

– Wiesz, skąd wzięła się tu serwantka z Murano? – rozległ się głos od strony drzwi. Pan Sharp odwrócił głowę, nie przerywając rytmicznej czynności. Kowal obserwował go, trzymając pod pachą skórzane zawiniątko.

– Nie – odparł Sharp, pochylając się nad ostrzem. – Ale mam nadzieję, że nie przyszedłeś tu odwiedzić mnie od tego, co zamierzam

zrobić, bo jestem zdecydowany, a moje postanowienie jest niezłomne jak stal.

– Widzę, Jack, że jesteś w poetyckim nastroju.

– Nie dam się przekupić pochlebstwami – oświadczył Sharp, którego uwadze nie uszło, że Kowal zwrócił się do niego po imieniu, choć nikt od dziecka go tak nie nazywał.

– Nie przyszłyby mi do głowy. Uważam, że masz rację.

Rytmiczny metaliczny szmer nagle umilkł.

– Uważasz, że mam rację? – powtórzył Sharp zdumiony.

– Trudne czasy wymagają trudnych przedsięwzięć – stwierdził Kowal wesoło. – Walczyć do końca... Zawsze tak robiliśmy, jeśli się nad tym zastanowić. A Nadzór nie pierwszy raz kurczy się do liczby niepozwalającej utworzyć Ręki. To samo myślałem ostatnim razem...

– Ostatnim razem?

– W poprzedniej siedzibie. Przy Pudding Lane.

– Przed pożarem? Przed Wielkim Pożarem?

– Dokładnie. A konkretnie, to jakieś pół minuty przed tym, jak rozgorzał. Ładny nożyk – dodał Kowal, uśmiechając się promiennie.

– Ile właściwie masz lat, Waylandzie? – zapytał Sharp powoli.

– Więcej niż większość i mniej niż niektórzy.

– I dlaczego nigdy cię o to nie zapytałem? – ciągnął Sharp z miną, jakby właśnie na wierzch jego umysłu wypłynęła jakaś nieoczekiwana i nieproszona myśl. – Dlaczego nigdy... nie przyszło mi to do głowy?

– Inni ludzie też o to nie pytają, i też dlatego, że nie przychodzi im to do głowy. Nie jesteś jedynym, który potrafi się dostać do czyjegoś umysłu i ukryć pewne sprawy...

Pan Sharp w zadumie schował nóż do cholewki.

– Wobec tego muszę się znajdować w naprawdę wielkim niebezpieczeństwie, skoro teraz to przede mną odkrywasz. Pewnie uważasz, że nie wrócę i nie zdołam podzielić się tym z innymi. Oczywiście wiedziałem, że Nadzór zawsze ma swojego kowala, ale nie sądziłem, że to ciągle ten sam kowal...

– Kiedy sprawy cichną, od czasu do czasu wyruszam w daleką drogę. Tułam się po głównych traktach i po ścieżkach, podróżuję jako wędrowny kowal. Wracam, kiedy ludzie zapomną. Wystarczy trochę

nagiąć ich myśli i wszystko działa. – Kowal wzruszył ramionami. – Ale nie przyszedłem tu, żeby o tym rozmawiać.

– Ale czemu mi to teraz wyjawiasz?

– Ponieważ musisz wierzyć, że wiem, o czym mówię, i postąpić zgodnie z tym, co ci powiem. Wolałbym, żebyś wrócił, i to żebyś wrócił tą samą drogą. Wydaje się, że cię lubię mimo tej twojej sztywnej, dumnej postawy. Wiedz, że powrót nie jest prostą sprawą. Musisz wrócić dokładnie tu, dokładnie teraz i jako ten sam ty.

– Ale...

– Nie, to nie takie oczywiste. A teraz siedź i słuchaj.

Pan Sharp usiadł, a Kowal otworzył drzwiczki serwantki.

– Pytałem, czy masz pojęcie, skąd wzięła się tu ta przeklęta szafka z Segregantem? Hm?

– Nie.

– Otrzymał ją w prezencie rabin Falk. Podarował mu ją przyjaciel, także mason, kabalista i tak dalej. Też zajmował się tymi wszystkimi bzdurkami, które sprawiają, że mądrzy ludzie nie dostrzegają prawdy. W każdym razie przyjaciel ten był Wenecjaninem (zważ, że to szkło z Murano) i z pewnością mądrym człowiekiem. Nazywał się Giacomo Girolamo Casanova de Seingalt i tak jak długie było jego imię, tak on sam był po dwakroć niesforny. Nigdy nie umiał utrzymać rąk przy sobie. Jeśli coś mu się spodobało, wiecznie dotykał czegoś w moim warsztacie i nie odkładał tego na miejsce. Ale było, minęło, a on dawno już odszedł z tego świata. Wracając do sedna: Wenecjanin wiedział, że serwantka jest potężnym artefaktem, ale nie umiał jej używać. Stracił przez nią ukochaną, kiedy ukryła się w szafce przed mężem, który ich nakrył. Nigdy jej nie odzyskał. – Kowal dotknął świecznika na tylnej ścianie serwantki. Knot zajął się natychmiast nienaturalnie jasnym płomieniem. – Segregant. Klucz Krwi. Płomień, który zapala się tylko dla tych, w których żyłach płynie stara krew istot o ponadnaturalnych mocach. Bo tylko ci o wystarczająco silnej krwi mogą podróżować przez lustra.

– Wiem to wszystko, Waylandzie.

Kowal uśmiechnął się do niego.

– Znasz tylko magiczną moc szafki, ale to praktyczne zastosowanie,

choć bardziej przyziemne, jest istotniejsze. Segregant rzuca światło. – Kował wyjął świecę z podstawki. Zgasła natychmiast. – Siedząc w środku przy zamkniętych drzwiach, potrzebujesz światła, żeby zobaczyć odbicie w lustrach. A więc bez świecy, choćby byle ogarka, serwantka nie zadziała. Kluczem jest świecznik, nie świeca. Mawiają, że podróżując, możesz dotrzeć w różne mroczne miejsca. To dlatego zawsze musisz mieć przy sobie świecę.

Wskazał na mozaiki na dnie i na górnej ścianie szafki. Płytki, z których były ułożone, miały kolory brązowy, biały i czarny. Były dziwnie matowe i kontrastowały z lśniąca powierzchnią jasnych obramowań i skręcających się kolumnienek ozdabiających szafkę od zewnątrz.

– W Wenecji znajduje się pewna katedra. Nie jest to tak chrześcijańskie miejsce, jak się sądzi. Tamtejsza podłoga wyłożona jest takimi samymi płytkami jak tutaj. Nie jest to posadzka płaska jak u nas, u Świętego Pawła: to pływająca posadzka, spiętrza się tak samo jak morze, nad którym leży Wenecja. A te róże kompasowe kierują podróżnikiem przechodzącym lustrami. – Wskazał na dolną. – Ta pokazuje, dokąd się idzie. – Podniósł palec do góry. – A ta kiedy.

– Kiedy? Chyba się pogubiłem.

– Nie pogubisz się, jeśli zrobisz tak, jak ci powiem. – Kował zaczął rozwiązywać rzemienie pakunku, który ze sobą przyniósł. – O ile ktoś nie zmieni układu płytek mozaiki, masz szansę wrócić do tego miejsca i czasu, z którego wyruszyłeś.

– Ale co z lustrami? Myślałem, że to one otwierają szereg przejść pomiędzy miejscami, gdzie są ustawione naprzeciw siebie?

– Bo tak jest. Ale to tylko pomniejsza część mechanizmu działania. Możesz się poruszać wzdłuż tunelu luster i w każdej chwili wyjść przez jedno z nich. Ale możesz też zatrzymać się w dowolnym miejscu i spojrzeć w bok.

– I co tam jest?

– Kolejny niekończący się tunel. Przejścia lustrzane tworzą całą sieć skrótów biegnących pod powierzchnią widocznego świata. Osnowę. Labirynt. Bardziej labirynt, bo można się w nich zagubić. – Odwinął płachtę skóry i postawił przed Sharpem przedmiot, który skrywała. –

Nie zgub tego, a nie zgubisz siebie.

„To” wyglądało jak kula z kości słoniowej wielkości strusiego jaja, osadzona na czymś w rodzaju wysokiego świecznika. Kolumienka była ozdobnie skręcona, a rozkloszowana podstawa bogato zdobiona koncentrycznymi nacięciami i dziurkami na wzór koronki. W kuli wywiercono okrągłe otwory wielkości śliwki. Zaglądając w nie, można było zobaczyć, choć wydawało się to nieprawdopodobne, szeregi coraz mniejszych kościanych kulek, każda o takich samych otworkach jak zewnętrzna. Ścianki tych kul zdawały się niewiele grubsze niż papier.

– Wiesz, co to? – zapytał Kowal, obserwując Sharpa, który oglądał ozdobny przedmiot. – Możesz wziąć kulę do ręki, da się ją zdjąć ze stojaka.

Pan Sharp posłuchał, a wtedy kulki w środku zaczęły się przemieszczać.

– Przypomina te chińskie kule, które przywożą czasem statki herbaciane. Tylko tamte są grubsze i rzeźbione w smoki.

– Przypuszczam, że gdyby w Chinach działała podobna organizacja, ich kule ozdobione byłyby smokami – rzekł Kowal. – To Powrotnik.

– Co?

– Powrotnik – powtórzył Kowal. – Skonstruował go Niemiec Eisenberg, już dawno temu. Ustawiasz kule w rzędzie, dziurami na przestrzał, i zaczynasz podróż. Za każdym razem, kiedy przejdiesz przez lustro, jedna z kul zmienia położenie. Przekraczasz następne, obraca się kolejna. A kiedy chcesz wrócić, otwory naprowadzą cię na odpowiednie przejście. Siedem kul, siedem skoków. Jeśli zajdziesz dalej, jesteś zdany na siebie.

Pan Sharp mocniej ujął żłobkowaną kolumienkę.

– Dziękuję.

– Podziękowania należą się Wenecjaninowi. Dożywał swoich dni w Czechach jako bibliotekarz sądowy. Katalogując jakieś papiery, natrafił na dwa takie przedmioty. Są znane jako Kłębki z Coburga. Wysłał je do rabina wraz z listem, w którym opisał swoje przypuszczenia co do ich zastosowania.

– Gdzie jest drugi?

Kowal stropił się lekko.

– Przepadł podczas Katastrofy. Zabrali go ze sobą. Wtedy ślad po nim zaginął.

.

ROZDZIAŁ LIV

Spalony jak czarownica

Miasteczko okazało się takie, jak opisał je Charlie – ponure. Budynki nie były szczególnie brzydkie, a i biedy nie było tu więcej niż w innych miejscowościach, ale wisiała nad nim ciężka atmosfera melancholii, zdająca się kłaść cieniem na wszystkim, począwszy od domów o ciemnych dachach unoszących się nad chodnikami niczym burzowe chmury po drzewa wzdłuż szerokiej głównej ulicy, rachityczne i gubiące pożółkłe liście, mimo że do jesieni było jeszcze daleko. Twarze tutejszych mieszkańców były nieprzeniknione. Nie zdradzały emocji, nie malował się na nich ani uśmiech, ani inny grymas. Sprzedawcy obserwowali przechodniów jak potencjalnych napastników, a nie klientów, których należałoby zachęcić do zakupów. Nad to wszystko wybijał się gęsty opar z miejscowego browaru. Nikt o przeciętnym zmyśle powonienia nie byłby w stanie go zignorować – była to bowiem mieszanina stęchłej wilgoci i ciężkiej słodyczy, tak skoncentrowana, że zdawała się lepić do skóry.

Lucy dumiała, czy to właśnie nie jest przyczyną tego wszechobecnego ponuractwa. Może tutejsi mieszkańcy potrzebowali pieniędzy, które przynosił browar, i dlatego znosili niedogodności, jakich przysparzała jego obecność. Może mieli takie ściągnięte, nieruchome twarze, bo starali się odciąć od tej okropnej, niewidocznej słodowej mgły, która spowijała wszystko wokół.

Lucy sprawdziła, czy nadal ma w kieszeni pieniądze, i potoczyła wzrokiem po szyldach w nadziei, że odnajdzie sklep z rękawiczkami. Przewędrowała całą ulicę wzdłuż jedną stronę, a po chwili z powrotem drugą, żeby niczego nie przeoczyć, ale wydawało się, że w mieście nie było rękawicznika ani w ogóle żadnego sklepu

odzieżowego. Weszła do sklepiku żelaznego z myślą, że mogą mieć jakieś rękawice robocze, ale niechętny, podejrzliwy sprzedawca pokazał jej tylko parę sztywnych zamszowych rękawic kowalskich. Równie dobrze mogła sobie obwiązać ręce workami po mące. Kiedy zapytała o sklep z damską odzieżą, otrzymała odpowiedź, że owszem, taki się tu znajduje. I tyle. Żadnych wskazówek, gdzie ma go szukać. Gdy zapytała o drogę, sprzedawca zjeżył się, jakby wietrzył podstęp, za pomocą którego chciała wywabić go ze sklepiku, aby samej wrócić i świsnąć beczkę gwoździ albo wiązkę trzonków do motyk. Wreszcie z ciężkim westchnieniem tupnął w podłogę, z której błyskawicznie zerwał się mały, smutny chłopiec. Sklepiarz rzucił mu krótkie: „Pilnuj sklepu” i ruszył do drzwi, poganiając przed sobą Lucy. Wychyliwszy się trochę, z wielkim oporem pokazał jej, dokąd ma iść.

Podziękowawszy, Lucy skręciła w wąską uliczkę. Tak pochłonęło ją odtwarzanie kolejności wszystkich „w prawo” i „w lewo”, którymi ją zasypał sprzedawca, że przestała zwracać uwagę na to, gdzie idzie. Potknęła się o coś i uderzyła kolanem o ziemię. W ostatniej chwili podparła się ręką, co uchroniło ją przed runięciem na płask. Krzywiąc się, przez moment rozcierała bolące miejsce. I właśnie dzięki temu nie dostrzegła jej stojąca przed wystawą Georgiana. Eagle’ówna kołatała do drzwi wyraźnie zirytowana, że sklep jest zamknięty. Zajrzała nawet, sprawdzając, czy kogoś nie ma w środku. W końcu się poddała. Rozejrzała się ukradkiem wokół i ruszyła szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie. Lucy była specjalistką od ukradkowych zerknięć, jako że albo sama ciągle się ukrywała, albo obserwowała ludzi niemających pojęcia, że ktoś na nich patrzy. Gorączkowość ruchów Georgiany przykuła więc jej uwagę tak mocno, że zapomniawszy o rękawiczkach, zaczęła za nią iść.

Trzymała się na tyle daleko, by nie zostać zauważoną, i na tyle blisko, by nie zgubić dziewczyny. Sprawdzało się to, dopóki nie dotarła do wylotu ulicy. Wychodziła ona na niewielki plac, pośrodku którego wznosił się duży krzyż z kruszącego się kamienia. Za placem znajdował się niski, brzydki kościół, a naprzeciw niego sklep o łukowatej fasadzie. Po jednej stronie wąskich drzwi na oknie widniał oblażący złotymi płatkami farby napis NAJLEPSZE WINA, a po

drugiej CUDOWNE MIKSTURY I MAŚCI. Właśnie we wnętrzu tego przybytku przy wtórze wesołych dzwoneczków zniknęła Georgiana. Lucy zdawało się, że dziewczyna wzdrygnęła się na dźwięk dzwonka, ale nie była pewna, czy jej się to nie przywidziało. Widoczne we wnętrzu półki z flakonikami i słoiczkami pozwalały sądzić, że była to apteka. Lucy dziwiła ostrożność Georgiany, bo przecież cyrkowcy nie ukrywali słabości do napitków. Nie chcąc, żeby Eagle'ówna wpadła na nią w drodze powrotnej, wyszła na placyk i zaczęła iść wzdłuż budynków w stronę kościoła. Zamierzała się schować w podcieniu cmentarnej bramy i poczekać, aż Georgiana wyjdzie ze sklepu z tym, z czym tak bardzo nie chciała być widziana.

Przed odkryciem ocalił ją dzwonek. Usłyszawszy go za plecami, bez oglądania się i zastanawiania uskoczyła w najbliższą bramę. Jej kryjówka okazała się wejściem do sklepu, gdzie na szerokim węgarku umieszczono lustro z jakimś napisem. Lucy napis zignorowała, natomiast lustro wykorzystwała do obserwowania idącej za jej plecami Georgiany.

Dziewczyna ścisnęła w ręce niebieską flaszkę, pękata, nie taką, w jakiej sprzedawano wino, ale raczej lek lub miksturę. Buteleczka zresztą szybko zniknęła z widoku, ukryta w fałdach płaszcza. I znów Georgiana sprawdziła, czy nikt jej nie widzi, a potem nagle drgnęła i zaczęła się gwałtownie poruszać, jakby pod sukienkę wskoczyła jej mysz albo inne paskudne stworzenie. Pisnęła i pospiesznie wyjęła przedmiot spod ubrania.

Na jego widok Lucy aż jęknęła. Na dłoni Georgiany leżał kawałek płynnego ognia w odcieniu szarzielonych fal zimowego morza – jarzył się blaskiem tak jaskrawym, że na chwilę rozjaśnił cały placyk, zanim Georgiana zamknęła go w ręce. To jednak wystarczyło – Lucy nie tylko rozpoznała kamień, ale i poczuła żar tego, który miała w swojej kieszeni. Spojrzała w dół. Z jej kamienia serca także było ostrzegawcze światło. Odruchowo zacisnęła go w pięści, ale nie miała już wątpliwości, a odkrycie uderzyło ją jak obuchem w głowę, na chwilę zupełnie oszałamiając – Georgiana także miała kamień serca.

Mało tego – Georgiana również była Wejrzeńcem!

Widząc zmierzającą w jej stronę dziewczynę, Lucy uznała, że

zdradziła się jękiem. Wcisnęła się głębiej w odrzwia, a robiąc to, przypadkiem dotknęła wąskiej, spiralnej kolumnienki i przez dziurę w rękawiczce poczuła powierzchnię kamienia, chropawą od działania deszczu i wiatru. Kamień był wilgotny i śliski, ale nie dlatego przebiegł ją zimny dreszcz. Zadrzała, bo ogarnęło ją coś znajomego, coś starego i niedobrego – oto dała o sobie znać klątwa, przed którą usiłowała się strzec, zdradliwa, niekontrolowana możliwość dotykania przeszłości, która ukryta w kamieniach, potrafiła odwrócić się i ukąsić. Lucy zeszywniała, czując, że twarz tężeje jej tuż przed przyływem bólu, który przeszłość niosła wraz ze znieawidzoną falą odłamków i okruchów. Głowa odskoczyła jej gwałtownie, a przed oczami pojawił się...

Ten sam kościół,
ale z jaśniejszego kamienia, młodszego.

Przestronniejszy dziedziniec.

Rzadziej rozrzucone nagrobki.

Cmentarz bez krytej bramy.

Ten sam plac...

ale młodszy.

Mniej domów wokół.

Są niższe, w innym stylu, kryte strzechą.

A pośrodku placu...

Żadnego kamiennego krzyża. W jego miejscu sterta gałęzi i patyków powiązanych w pęki,

ułożonych jak na ognisko.

Choć dzień jest ciepły.

Lato, kwitnące przed domami kwiaty, słońce.

Spocony mężczyzna wyładowuje z zaprzęzonego w wołu wózka kolejną stertę chrustu, śmiejąc się do chłopca, który łapie wiązki i dokłada do ogniska.

Jakaś kobieta przechodzi prosto przez Lucy, niosąc im kufel piwa.

Mężczyzna wypija połowę, resztę oddaje chłopcu.

Śmiejąc się, kiwają na powitanie wychodzącemu z kościoła duchownemu.

Czas fiknął gwałtownie, Lucy poczuła szarpnięcie w żołądku.

Tłum.

Gwar.

Piękne kwiaty deptane przez przybywających na plac ludzi.

Skrzypienie wózków ustawianych z tyłu, żeby można było na nich stanąć i widzieć nad głowami zebranych, co dzieje się z przodu.

Mężczyzna i chłopiec oblewający gałęzie oliwą z butli umieszczonej w wiklinowym koszyczku.

Spragnione drewno.

Duchowny stojący pośrodku placu na pustym już wózku po drewnie, odziany w białą komżę, z wieńcem z bławatków na szyi, jak na jakieś święto.

Mężczyzna za nim w czarnej skórze zmatowiałej od długiego noszenia, podobnie jak rękojeść miecza u jego boku.

Duchowny spogląda na mężczyznę. „Łowco, czyń swoją powinność...”

Łowca czarownic wskazuje palcem prosto na Lucy.

Jego głos wcina się w gwar tłumu niczym sztylet: „Wprowadźcie ją”.

I znów ktoś przechodzi przez Lucy.

Nie kelnerka.

Inna dziewczyna.

Ciągnięta za ramiona.

Wleczona bosymi stopami po ziemi.

Okryta włosienicą.

Jej twarz jakaś dziwna –

nie całkiem dorosła,

nie całkiem dziecięca.

Prosta.

Szczera.

Ufna.

Dziewczyna krzyczy.

Wyrywa się.

Przytrzymywana przez dwóch mężczyzn.

Wleczona przez tłum.

Milczący tłum.

Jakby zachowywał ciszę, by lepiej słyszeć jej krzyki.

„Litości!” – łka dziewczyna. „Litości!”
Pięść w rękawiczce unosi się i opada.
Krzyk milknie przy wtórze trzasku kości.
Lucy usiłuje zamknąć oczy.
Nie może.
Nie może się nawet skrzywić.
Usta mężczyzny odzianego w czern.
Wilgotne, czerwone.
Urywki, pojedyncze słowa wypowiedane przez zaciśnięte zęby:
„...odrażająca, zła istota...”,
„...wynaturzone, obmierzłe moce...”,
„...obraza boska...”,
„...dziewka diabła...”,
„...przekłeta wiedźma potępiona przez prawo, ukarana
zwyczajem...”.
Mężczyzna oblizuje wargi.
Wysuwa język i zaraz go chowa, jak wąż.
Pożądliwie wygląda końca.
„...błogosławionym, oczyszczającym ogniem...”
Czas przeskakuje znowu.
Lucy walczy z mdłościami.
Czas zwalnia.
Zwalnia tak, że widać i słyszać każdy szczegół.
Gałąź.
W głuchej ciszy
chlupot smoły.
Teraz już pochodnia.
Zapalona.
Płomień.
Łuczywo koziołkuje w powietrzu
odprowadzane wzrokiem dziecka.
Szmer przecinanego powietrza
to samotny odgłos w ciszy jednego wielkiego wstrzymanego
oddechu.
Łuczywo porusza się tak wolno, że zostawia za sobą smugę.

Zbliża się do drabiny na stosie.
Dziewczyna przy drabinie
z rękami nad głową
uwiązanymi do szczebla,
otwartymi ustami,
spuchniętym okiem.
Na policzku różowe smugi rozcieńczonej łzami krwi.
Drugie oko błyska płomieniem.
Pochodnia upada, sypiąc iskrami,
na oblaną oliwą wiązkę.
FUUUK!
Ogień.
Pęka tama.
Tłum wrzeszczy.
Zwierzęcy ryk.
Wiwaty.
Mężczyzna w czarnej skórze krzyczy, unosząc rękę ku niebu.
Cieszy się, dyryguje.
Dyrygent całopalenia.
Oczy duchownego zachodzą łzami, drży, odwraca się, chwytą za gardło.
Wieniec z bławatków pęka.
Opada.
Dziewczyna miota się, wygina, wrzeszczy.
Czas przeskakuje.
Spomiędzy płomieni, czarnego, oleistego dymu wysuwa się ręka
o poczerniałych palcach,
a wyżej unosi się
pełen przerażenia, czysty jak srebro
głos każdej dziewczyny,
każdego chłopca,
jedyne słowo z ognia,
ostatnie słowo-pocisk, które uderza w każde dziecko, mężczyznę
i kobietę w tłumie.
Zabija wiwaty, wtłacza z powrotem w gardła.

„Mamusi!”

Twarze ściągają się,
odwracają.

Świat znów fika kozła.

Pod Lucy uginają się kolana. Przed upadkiem chroni ją tylko ręka trzymana na murze przez przeszłość, która przyciąga ją do siebie niczym magnes żelazo. Jest ciemno.

Plac prawie wyludniony.

Daleko po drugiej stronie słabe światło z karczmy, w której miejscu stanie kiedyś apteka. Ze środka dobiegają męskie głosy, pijackie, podniesione.

Nie jest to radosny gwar.

Ognia nie ma.

Na środku placu została kupka popiołu. Duchowny siedzi przy niej z podkurczonymi nogami, tuląc do piersi flaszkę.

Łowca czarownic idzie w jego stronę
z synem u boku.

Chcą pomóc duchownemu wstać. Odgania ich gestem.

Mamroce.

Łowca czarownic mówi: „To dzieło boskiej ręki, ojczy”.
Pijany ksiądz zanosi się chrapliwym śmiechem i kręci głową.

„Nie, dziecię...”

„Nie, dziecię...”

Podnoszą go.

Chwieje się.

„...ludzkiej”.

Przystawia butelkę do ust.

Jest pusta.

Ciska ją przed siebie.

„Na nasze głowy spadnie klątwa, łowco Templebanie. Ściągnęliśmy na siebie przekleństwo”.

Butelka rozbija się na ziemi, odłamki zasypują popiół, przerywają połączenie z przeszłością.

Ręka Lucy oderwała się od kolumny. Dziewczyna skuliła się na klęczkach, dysząc ciężko i wpatrując się w bruk, póki żołądek nie

zbuntował się na wspomnienie tego, co widziała, i nie wyrzucił z siebie obiadu.

– Sara?

Znów na chwilę zapomniała, że to ona jest Sarą, i nawet nie podniosła głowy. Wciąż klęcząc, czekała, aż w żołądku przestanie jej się przewracać. Zareagowała, dopiero gdy ktoś zawołał po raz drugi.

Georgiana stała nad nią, patrząc ze zdumieniem doprawionym odrazą.

– Co się dzieje? – zapytała. – Na Boga! Źle się czujesz?

Lucy splunęła do rynsztoka wstążką kwaśnej śliny i pokręciła głową.

– Co ty tu robisz? – Przez obrzydzenie przebiła się wyraźna podejrzliwość.

– Nie powinno mnie tu być – wykrztusiła Lucy. Teraz, kiedy przeszłość odeszła, a ona odzyskiwała równowagę, przypomniała sobie kamień serca, jakby widziała go w dłoni Georgiany wieki temu, choć minęło zaledwie kilka sekund. Wyjęła z kieszeni swój kamień.

Oczy Georgiany rozszerzyły się z zaskoczenia, a Lucy dostrzegła, że dziewczyna instynktownie zaciska pięść, w której trzyma przedmiot.

– Co to...? – zająknęła się Georgiana.

– Nie powinno mnie tu być – powtórzyła Lucy, a cienie wokół nich poruszyły się, kiedy chowała kamień. – I ciebie także.

Blask, który rzucał cienie, nie pochodził z żadnego z kamieni, wydobywał się z lustra na węgarku. Dopiero teraz Lucy dostrzegła, że naprzeciwko znajduje się drugie lustro, a oba odbijają się w nieskończoność, tworząc tunele. I dokładnie jak wtedy w serwantce z Murano poprzez ciąg powtarzalnych obrazów szła ciemna postać trzymająca w ręce jasno płonącą pochodnię. Przechodziła przez odbicia z taką łatwością, jak przechodzi się przez drzwi.

– Co się...? – zaczęła Georgiana, widząc przerażenie na twarzy Lucy, ale nie znając jego przyczyny.

Lucy jeszcze przez ułamek sekundy wpatrywała się w zbliżającą się postać – wystarczająco długo, by zdołała ją rozpoznać – a kiedy blask przesunął się po niesionym przez mężczyznę ostrzu, nagle ogarnęło ją przecucie, że jeśli człowiek ten dotrze do końca i przejdzie przez taflę

do tego świata, stanie się coś strasznego.

Oderwała wzrok od zwierciadła i zrobiła jedyną rzecz, jaka przyszła jej do głowy. Uniosła nogę i uderzyła obcasem w lustro, tłukąc je.

– Saro! – krzyknęła Georgiana. – Co ty...?

– Uciekaj! – krzyknęła chrapliwie Lucy, chwytając ją za rękę i ciągnąc w górę ulicy, byle dalej od przeklętego placu. Ruszyły pędem.

.

ROZDZIAŁ LV

Niewidzialna nić

Amos już tyle razy szedł w stronę zachodzącego słońca, że tobół druciarza, który niósł na plecach, znacznie zelżał – nie było już w nim większości podzwaniających naczyń i przyrządów. Chłopak miał jeszcze kilka noży, zachował też zamykaną bańkę, w której mógł trzymać zarobione po drodze mleko, ale i tak najcięższym przedmiotem w bagażu była przytroczona do plecaka ostrzałka. Mimo że z każdym dniem Amos nabierał sił i ostrzałka wydawała mu się coraz lepsza, przy stromych podejściach wciąż miał ochotę się jej pozbyć, a najlepiej sprzedać.

Jednak nauki Templebane'ów były w nim zakorzenione na tyle mocno, że rozumiał głupotę takiego czynu – bo choć ostrzałka była irytującym brzemieniem, przez które paski plecaka wrzynały mu się w obolałe ramiona, to zapewniała mu też regularne posiłki i od czasu do czasu, jeśli ostrzył narzędzia w zamożniejszych zagrodach, nawet jakiś drobny dochód.

Zaczął swą podróż, nie mając konkretnego planu poza myślą, by jak najbardziej oddalić się od Londynu i rozległej strefy wpływów rodziny Templebane'ów. Po drodze jednak zapragnął czegoś szczególnego. Zamierzenie wydawało się śmiałe i nieosiągalne bez wielkiego nakładu pracy bądź sprytu, ale czuł, że przeszkody są nieodłączną cechą naprawdę wartościowych celów.

Pragnął mieć konia.

Ze szczerym podziwem spoglądał na mijających go dumnych jeźdźców. Zazdrościł im zarówno szybkości, z jaką się przemieszczali, jak i widoków, które zapewne mieli, siedząc wysoko na końskim grzbiecie. Dzięki wędrówce prócz silnych mięśni i zdrowszych płuc zyskał również nową namiętność – umiłowanie otwartej przestrzeni.

Dzięki koniowi mógłby korzystać z niej jeszcze pełniej.

Kiedyś w domu podsłuchał, jak jakiś daleki krewny Templebane'ów, który przybył do miasta z odległych zachodnich krańców kraju, mówi, a raczej bełkoce gwarliwe o czymś, co brzmiało jak „wulności Nuwego Lusu”, i że tam właśnie kuce żyją na swobodzie.

Amos wiedział, że Nowy Las znajduje się na zachodzie, uznał więc, że właśnie dlatego ciągnie go w tamte strony. Może tam mógłby zaznać tej „wulności” i schwytać dla siebie kuca.

To pewnie to, myślał, kiedy wieczorem leżał na plecach okutany kocem druciarza i wpatrywał się w siejące się tysiącem gwiazd niebo. Bo niewątpliwie coś ciągnęło go na zachód – czuł szarpnięcia niewidzialnej nici wplecionej w struny swego serca.

Skąd to wiedział? Nie potrafił powiedzieć, ale był przekonany, że cel jego wędrówki znajduje się właśnie tam, na dalekim horyzoncie, za którym codziennie chowa się słońce.

.

ROZDZIAŁ LVI

Niezręczna bliskość

Było już po zmroku i ulice melancholijnego miasta opustoszały, więc nikt ich nie zatrzymywał i nie pytał, dlaczego dwie dziewczyny biegają o tej porze same, ale ostrożność podpowiadała Lucy, że i tak nie powinny zwracać na siebie uwagi. Dlatego za każdym razem, kiedy ktoś się do nich zbliżał, zwalniały kroku i szły spokojnie, ze spuszczonej głowami, dopóki przechodnie ich nie wyminęli. Przez tę ostrożność musiały przejść niespiesznie całą główną ulicę, bo akurat nieprzyjaźni kramarze zamykali na noc swoje niezachęcające interesy i zbierali się do domów. Jednakże gdy tylko wyszły na drogę już poza oświetlonym centrum, Lucy znów chwyciła Georgianę za rękę i zaczęła biec w stronę obozu.

– Co? – dyszała Georgiana. – O co chodzi? Nie mogę biec tak długo jak ty. Dlaczego uciekamy?

– Uciekamy przed czymś niedobrym – powiedziała Lucy. – I owszem, możesz biec.

Tak więc biegły i przez dłuższą chwilę słyhać było tylko tupot ich stóp, szum wody w kanale i od czasu do czasu krzyk polującej sowy. Lucy czuła się, jakby uciekała podwójnie – przed mężczyzną z lustra i przed krzykiem tamtej płonącej dziewczyny.

Georgiana poddawała się pośpiechowi Lucy jeszcze przez chwilę, ale kiedy znalazły się w dwóch trzecich drogi do obozowiska, przystanęła raptownie i zgięła się wpół, trzymając za bok i ziejąc ciężko.

– Nie... mogę – wydyszała. – Boli mnie... w boku... jakby... ktoś wbijał mi tam... szpi... szpilę od kapelusza...

Kiedy się pochylała, coś wypadło jej spod płaszcza i rozbiło się u jej stóp.

– Nie! – krzyknęła, rzucając się na ziemię i starając się zebrać resztki płynu, który błyskawicznie wniknął w pył na drodze. Gapiła się ze zgrozą w ciemną plamę.

– Ojciec... – szepnęła. – Ojciec będzie... Muszę wracać.

– Sklepy są już zamknięte – powiedziała Lucy, spoglądając w stronę miasta. Księżyc wzeszedł już na niebo, a jego prawie pełna tarcza oświetlała drogę, więc widać było, że nikt za nimi nie biegnie. Lucy wskazała stojące parę jardów dalej słupki z deską.

– Usiądź, złap oddech. Chyba jesteśmy bezpieczne.

Georgiana dowlokła się do deseczki i na nią klapnęła. Lucy usiadła obok. Przez chwilę wpatrywały się w księżyc, a kiedy oddech Lucy się uspokoił, słyhać było już tylko Georgiane. W pierwszej chwili Lucy pomyślała, że nadal brak jej tchu, ale szybko zorientowała się, że dziewczyna łąka.

– Co się stało? – zapytała niepewnie.

Georgiana potrząsnęła głową, przełykając nerwowo ślinę.

Lucy wiedziała, o co chodzi. A przynajmniej domyślała się, że może chodzić o jedną z dwóch rzeczy. Albo Georgiana wstydziła się, że rozpoznał ją inny Wejrzeniec, albo, jako Wejrzeniec, widziała tę samą płonąącą dziewczynę. Słyszała agonalny krzyk dziecka wołającego matkę, która nie mogła przybyć na pomoc i wyratować go z płomieni. Ten przedśmiertny wyraz grozy i bólu nadal brzmiał echem w głowie Lucy.

Położyła dłoń na ramieniu towarzyszki.

– Już dobrze – powiedziała i ku jej zaskoczeniu Georgiana, dumna i blada panna Eagle, rozplakała się i wtuliła w jej ramiona, wstrząsana łkaniem.

Lucy nie bardzo wiedziała, co robić, więc gładziła ją po plecach i próbowała uspokoić jak wystraszonego konia.

– Nie wiedziałam, że jesteś jedną z nich – przemówiła łagodnie i poczuła, że dziewczyna w jej ramionach sztywnieje. – Ale już dobrze. Naprawdę. To nic. Ja też jestem taka.

Georgiana zadrżała, a potem rozluźniła się odrobinę. Lucy czuła, że serce koleżanki bije szybko.

Przypomniała sobie chwilę, kiedy Sara Falk pokazała jej swój

kamień serca. Wydawało się, że było to tak dawno, ale rozumiała dobrze, co dzieje się w głowie dziewczyny, wiedziała, że czym innym jest przekonanie, że jest się jedyną osobą na świecie, która potrafi odbierać echa przeszłości zamkniętej w kamieniu, a czym innym odkrycie, że istnieją podobni ludzie, że istnieje na to nazwa, że ci inni też mają swoje kamienie serca, które dają im siłę i blaskiem ostrzegają przed niebezpieczeństwem.

To ostatnie przyprawiało o wstrząs, a jednocześnie przynosiło ulgę.

Poczuła nagle niebezpieczne współczucie dla tej dziewczyny, intymną wspólnotę i pod wpływem chwili uścisnęła ją pocieszająco.

Georgiana odepchnęła ją lekko i uniosła twarz, na której malował się nieodgadniony wyraz.

– Jesteś jaka? – wyszeptała i wstrzymała oddech.

W jasnej poświacie księżyca, która oświetlała jej rysy, jednocześnie pozbawiając ją kolorów, twarz Georgiany przypominała idealną alabastrową rzeźbę.

– Jestem Wejrzeńcem.

– Wejrzeńcem...?

Lucy skinęła, a Georgiana odsunęła się jeszcze trochę.

– Nie wiem, co to jest Wejrzenie – rzekła ostrożnie.

Lucy też nie wiedziała, że istnieje na to nazwa, nie była więc zdziwiona. Objęła Georgianę mocniej i uśmiechnęła się.

– Nie ma się czego bać. TO dzieje się samo. Oczywiście, że nie jest przyjemne, ale dzieje się tylko w głowie, choć wydaje się takie prawdziwe. To dlatego wymiotowałam. Ale to mija.

– Co mija? – Georgiana odepchnęła ją i wstała.

Nagle cała jej postawa zmieniła się diametralnie. Z ufnej, ciepłej stała się znów wystraszona, chłodna, drżąca jak sarna gotowa do ucieczki na każdy szelest.

– Czemu miałabyś chcieć, żeby to minęło...?

– Jak to? Zaraz... – Lucy roześmiała się, a Georgiana cofnęła się gwałtownie. – Czekał. Wszystko w porządku. Wejrzenie, dotknięcie kamienia, przeszłość jak żywa. Przecież odczuwanie tego...

Georgiana gapiła się na nią w zdumieniu.

– A myślałaś, że o czym mówię?

– Myślałam, że mówisz, że mnie... lubisz. No wiesz... – wydukała Georgiana, dziwnie się jękając.

– Nie widziałas tej płonącej dziewczyny? – zapytała Lucy, próbując innego podejścia.

– Płonącej dziewczyny? – powtórzyła Georgiana, a potem nagle odchrząknęła i odrzuciła włosy przez ramię, jakby otrząsała się z chwilowej niezręczności. – Nie. Nie widziałam żadnej płonącej dziewczyny.

– W porządku. Nieważne. Miałaś szczęście. Ale wiesz, o czym mówię.

– Nie. Nie mam bladego pojęcia. Jesteś pijana czy co?

– Pijana? Nie. Nie jestem pijana. A czemu...?

– Bo wymiotowałaś i dziwnie się zachowujesz.

Nagle do Lucy dotarło, że Georgiana reaguje w ten sposób, ponieważ nie wie, że ona zna jej sekret – nie wiedziała przecież, że ktoś zobaczył jej kamień serca.

– Widziałam twój kamień serca, szkło morskie. Widziałam, jak wyciągasz je z kieszeni i osłaniasz, kiedy się rozjarzyło.

– Rozjarzyło? Wcale się nie jarzyło. Przecież to zwykły kawałek szkła. – Jej ton nagle się zmienił. – Zaraz. Śledziłaś mnie?

– Nie. Zresztą nieważne. Po prostu widziałam, jak wychodzisz z apteki i...

– To lekarstwo – przerwała jej Georgiana ostro. – Specjalna mikstura. Ojciec jest nerwowy. To nie tak, jak mówią ludzie. To tylko krople nasenne...

Natarczywość w jej głosie i fakt, że tak błyskawicznie przeszła do obrony Na-Barno, choć nikt go nie atakował, były uderzające. Lucy pozbierała się i zmieniła taktykę.

– Też mam taki – powiedziała, wyciągając kamień z kieszeni. – Widzisz? Teraz jesteśmy bezpieczne.

Georgiana patrzyła przez chwilę na kamień, a potem wyjęła swój, wprawiony w pierścionek. Dokładnie w tym momencie, widząc jasną skórę jej dłoni, Lucy zrozumiała, jak wielki popełniła błąd.

Georgiana miała nagie dłonie. Zawsze. Nigdy nie nosiła rękawiczek ani nie osłaniała rąk w inny sposób, żeby uchronić się przed efektami

przypadkowego dotknięcia naładowanego kamienia. A nie okrywała ich z prostego powodu – wcale nie była Wejrzeńcem. I kiedy się upierała, że kamień się nie jarzył, ostrzegając przed zbliżającą się postacią z lustra, mówiła prawdę, dokładnie taką, jaką ją widziała. Przecież Sara Falk opowiadała, że dla reszty świata kamienie serca są zwykłymi kawałkami szkła morskiego i że tylko Wejrzeńcy widzą ich blask, gdy w pobliżu czai się niebezpieczeństwo.

Odkrycie, że Georgiana nie ma pojęcia, o czym mówi Lucy, wstrząsnęło nią prawie tak samo jak widok szkła morskiego w ręce dziewczyny i myśl, że jest ona Wejrzeńcem. Ale najgorsza w tym wszystkim była jej głupota – dała się podejść jak tępak na jarmarku. Tak samo poddała się urokowi Georgiany i w tym zauroczeniu przestała jasno myśleć i dostrzegać oczywiste rzeczy.

– Skąd go masz? – zapytała.

– Co?

– Ka... szkiełko morskie – poprawiła się Lucy i wskazała na pierścionek. – Ten pierścień.

Georgiana popatrzyła na trzymaną w ręce błyskotkę.

– To? – Uciekła wzrokiem w lewo. – Od Charliego.

– Od Charliego?

– Tak – potwierdziła Georgiana i już opanowana spojrzała jej prosto w oczy.

Informacja ta wytrąciła Lucy z rytmu. Odetchnęła więc i też wyhamowała.

– Czemu Charlie miałby go mieć? – wyrwało jej się, zanim sobie uświadomiła, że nie ma powodu, dla którego Georgiana mogłaby to wiedzieć. – To znaczy dlaczego ci go dał?

Usta Georgiany ułożyły się niespiesznie w ciup, nadając twarzy wyraz nieskazitelnej niewinności.

– Daje mi różne prezenty, bo mnie lubi. Ale nie wiem, czemu dał mi akurat to... – Jej spojrzenie wyostrzyło się i baczniej przyjrzała się pierścieniowi. – Przecież to drobiazg, nic cennego, prawda? Zwykły kawałek kolorowego szkła...

– Tak – skłamała Lucy.

Ale bystre oczy ją przejrzały.

– Nieprawda, jest wyjątkowy. I założę się, że ma to coś wspólnego z lustrem, które rozbiłaś.

Zachichotała i nawinęła na palec jeden z loczków.

Lucy była jej wdzięczna za ten chichot. Nie znosiła chichoczących dziewcząt, a w tej chwili potrzebowała czegoś, co wyrwie ją spod nieświadomego magnetyzmu Georgiany i pozwoli odzyskać zdolność jasnego myślenia.

– To dopiero draka z tym lustrem. Nie zdziwiłabym się, gdyby właśnie w tej chwili ruszał za nami jakiś konstabl – rzekła Georgiana, spoglądając na pylistą drogę do miasta. – Skoro nie chcesz powiedzieć, o co chodzi z tym szkiełkiem, to może chociaż wyjaśnisz, co z lustrem?

– Straciłam panowanie nad sobą i tyle – zełgała Lucy, świadoma, jak kiepskie było to kłamstwo. Jednak Wejrzenie, widok płonącej dziewczyny i ponadmilowy bieg wykończyły ją tak, że przestała myśleć tak sprawnie jak zazwyczaj i nie zdołała wykombinować nic lepszego.

– O nie, nie – rzekła Georgiana, łagodnie biorąc ją za rękę. – Wiem, że nie chcesz mi powiedzieć. Zdenerwowałam cię tym, że nie rozumiałam, o co chodzi z tym spojrzeniem...

– Wejrzeniem – poprawiła ją Lucy machinalnie.

– Wejrzeniem – powtórzyła Georgiana, obejmując Lucy w pól.

– Ale widzisz? Już rozumiem. Teraz musisz mi o wszystkim opowiedzieć i znów będziemy przyjaciółkami.

Lucy wywinęła się z jej objęć i ruszyła w stronę obozu.

– Ale później – skłamała. – Znowu mi niedobrze. Muszę się położyć. Chyba zaczynam mieć gorączkę.

ROZDZIAŁ LVII

Pakowanie

Wnoszenie ołowianych skrzyń do biblioteki było dziwnym wydarzeniem odczuwalnym w całym domu. I tak napięta już atmosfera, wywołana okaleczeniem Sary i okolicznościami mu towarzyszącymi, robiła się coraz cięższa po każdym łupnięciu, które rozlegało się, gdy Emmet kładł kolejno pudła sukcesywnie przynoszone przez sekretny tunel na dole. Oczywiście był na tyle silny, żeby wnosić po dwie skrzynie, ale Hodge i pan Sharp pomagali mu, dźwigając wspólnie jedną na cztery, które przetransportował golem. Hodge kulał, a jego żebra wyraźnie ucierpiały pod gradem kopniaków, jaki na siebie przyjęły, ale nikt tego nie skomentował, nikt też nie zapytał o podbite oko, które było tylko wąską szparką otoczoną wszystkimi barwami tęczy z przewagą niebieskiego i fioletu. Kowal i Kucharka pakowali w bibliotece książki i różne przedmioty, które zabezpieczali muślinem i słomą.

Kowal rozpalił wielki ogień w ogromnym marmurowym kominku i trzymał w nim tygielek ze stopionym ołowiem. Za każdym razem, kiedy wypełnili skrzynię po brzegi, nakładali dopasowaną pokrywę, a potem Kowal za pomocą szczypiec chwycił tygielek i wlewał ołów w rynienkę wokół pokrywy, tworząc wodoodporne zamknięcie.

Pierwsza skrzynia, którą załadowali, miała podwójne ścianki i była wyłożona warstwami ognioodpornej gliny oraz kredy. Umieścili w niej niewinnie wyglądającą świecę, która zazwyczaj stała pośrodku kuchennego stołu, a następnie ostrożnie przenieśli pięć ulistnionych gałązek, tak żeby nie zniszczyć gwiazdy z dębu, jesionu i tarniny przeplecionych jabłonią i leszczyną.

Następnie Kowal odkręcił kinkietowy świecznik z tylnej ścianki serwantki z Murano, owinął go w czerwony jedwab i włożył do tej

samej skrzyni.

– Pożoga i Segregant mogą spocząć razem pod wodami – rzekł.

– Szkoda, że my nie możemy liczyć na taki spokój. – Kucharka westchnęła. – Nigdy nie rozumiałam, dlaczego świecznik nazwano kluczem. To poplątane.

– To akurat nic złego w przypadku, gdy chcesz coś ukryć – wydyszał Hodge, wnosząc mniejsze pudło.

– Patrzcie państwo, komu wrócił humor! – Kucharka się ucieszyła.

– Nadal chce dopaść tego dusiołka – powiedział Sharp cicho. – Kruk szuka go z powietrza, a Jed niucha na ziemi. Ale lanie chyba przywróciło mu zdrowy rozsądek.

– To dobrze. Bo już się bałam, że wszyscy mi tu powpadacie w histerię.

Pracowali w milczeniu, wydajnie. Po części owo milczenie spowodowane było tym, że żadne z nich nie było zadowolone ze swojego zajęcia, a tym bardziej z jego znaczenia. Kowal miał rację, mówiąc, że koniec nadchodzi szybciej, niż ludzie się spodziewają, i teraz każdy z nich na swój sposób przetrwał tę gorzką prawdę.

Jedynym przedmiotem, który nie miał zostać ukryty w skrzyniach, była serwantka z Murano. Nalegał na to pan Sharp, a ponieważ i tak był to największy artefakt, uznali, że zniosą szafkę na dół i wstawią do ceglanej piwniczki za sekretnym tunelem, w którym dawni członkowie Nadzoru, ofiary Katastrofy, zostawili ślady rąk.

– I tak zawsze tam stała – stwierdził Sharp. – To do piwnicy schodzili, żeby podróżować przez lustra. Na razie więc szafka będzie tam bezpieczna.

Nie spodziewał się, że przystaną na to tak łatwo, wiedząc, do czego zamierza jej użyć. Ale każde z nich rozmawiało o tym z Kowalem i w końcu zgadzało się, że przecież należą do Wolnego Bractwa, którego członkowie mają prawo odejść wedle własnej woli i na sposób, który najbardziej im odpowiada.

– Jeśli ma ochotę szukać wiatru w lustrach, to życzę mu szczęścia – stwierdził Hodge. – To uparty człowiek, i tak nie zdołamy wybić mu tego z głowy.

– Przyganiał kocioł garnkowi – mruknęła Kucharka ponuro.

Wszyscy zgodzili się także, by nie mówić o zamiarach Sharpa Sarze, która wprost niknęła w oczach. Przestała już schodzić na posiłki do kuchni, ledwie udawało jej się dojść do stolika przy łóżku, przy którym upierała się jadać. Choć według Kucharki „jadanie” było eufemistycznym określeniem zostawiania potraw na talerzu. Kucharka proponowała, by Sara oszczędziła sobie ogromnego wysiłku, jaki kosztowało ją przejście przez dywan, i jadła w łóżku, ale dziewczyna z echem dawnego płomienia w oczach odpowiadała, że tylko kaleki jedzą w łóżkach, a ona jeszcze się nie poddała.

Późnym popołudniem Kucharka wniosła na górę tacę z gorącym bulionem i dwoma jajkami w koszulkach na toście. Ktoś był w pokoju, więc zatrzymała się za progiem. Sara spała. Leżała ze spokojnym obliczem, oddychając ledwie zauważalnie. Pan Sharp pochylał się nad nią, wierzchem ręki sprawdzając, czy rzeczywiście wciąga i wydycha powietrze. Drugą rękę położył na jej dłoni w geście tak intymnym, jakiego Kucharka nigdy w jego wykonaniu nie widziała.

Już miała odchrząknąć, żeby dać mu czas na pozbieranie się, zanim sama wejdzie, kiedy Sharp nagle wyciągnął spod płaszcza nóż. Ostra jak brzytwa stal zaślniła w blasku świecy.

Kucharka omal nie jęknęła z zaskoczenia i już miała krzyknąć, jednak powstrzymała się, widząc, jak Sharp delikatnie ujmuje kosmyk włosów Sary, które leżały rozsypane na poduszce wokół jej głowy, i odcina niewielkie pasemko. Nóż zniknął, a zamiast niego w jego dłoni pojawiła się wstążka i Sharp związał pukiel.

Kucharka zaczęła się cicho wycofywać, ale niestety, nadepnęła na skrzypiącą deskę w korytarzu i chcąc nie chcąc musiała wejść do pokoju. Odchrząknęła głośno i ze wzrokiem wbitym w tacę przekroczyła próg.

– O, tutaj jesteś.

Pan Sharp stał przy łóżku i nic nie wskazywało na to, że jeszcze chwilę temu trzymał Sarę za rękę. Pukiel też rozpląnął się w powietrzu.

– Nie zdrowieje – powiedział.

– Ale i jej się nie pogarsza – odparła.

– Nie lepiej i nie gorzej to wcale nie dobrze. Przyszedłem się z nią

pożegnać. Przekaż jej, proszę, że byłem i że... że życzę jej wszystkiego najlepszego. – Wychodząc, przystanął i położył Kucharce dłoń na ramieniu. – I tobie też, moja droga. Wam wszystkim.

A potem zaskoczył ją, ujmując jej rękę i całując. Wymaszerował z pokoju sztywno, nie oglądając się za siebie. Kucharka odłożyła tacę i otarła oczy.

– Cholerny kurz – fuknęła do siebie. – Wszędzie się wciska. – Wyjęła z rękawa chustkę wielkości żagla i wytrąbiła nos w krótkiej kanonadzie.

Sara poruszyła się, ale nie przebudziła.

.

ROZDZIAŁ LVIII

Odłożony zamiar

Rankiem dnia długo oczekiwanych i szeroko rozreklamowanych Wielkich zawodów pomiędzy Na-Barno Eagle'em (samozwańcym Wielkim Czarodziejem Południa) a jego rywalem Andersonem (równie jak ten pierwszy samozwańcym Wielkim Czarodziejem Północy) Lucy zbudziła się z żołądkiem ściśniętym z niepokoju.

Przez chwilę leżała z zamkniętymi oczami, przysłuchując się cyrkowcom przygotowującym atrakcje na jarmark i usiłując zrozumieć, dlaczego pragnienie ucieczki było aż tak silne. Najwyraźniej poczuła się zbyt dobrze i bezpiecznie, podróżując z Pyefinchami, a po tym, jak podsłuchiwała ich rozmowę, nabrała czegoś więcej niż tylko podejrzeń wobec motywów ich dobroci i przychylności. Szczególnie Rose zdawała się wykorzystywać każdą chwilę jej osłabionej czujności, aby zadawać pozornie niewinne, a w gruncie rzeczy znaczące pytania. Charlie zaś ewidentnie jej pilnował, nieświadom, że ona zdaje sobie z tego sprawę. Ale chodziło o coś więcej. To, co wydarzyło się pomiędzy nią i Georgiana, nadal nie dawało jej spokoju. Wiedziała oczywiście, że Georgiana jest bystra i wyrachowana, i była wobec niej czujna, ale wystarczyła chwila bezbronności, żenującej bliskości i ciepła, a także płacziwa mina, żeby Lucy tak niebezpiecznie się otworzyła. Wyglądało to tak, jakby Eagle'ówna udawała, żeby zniweczyć mechanizmy obronne Lucy.

Kiedy już przyszło jej to na myśl, zyskała pewność, że właśnie tak było. Georgiana umiała świetnie przejrzeć każdego, a potem wykorzystać zdobytą wiedzę, żeby nim manipulować. Lucy widziała, jak stosowała tę sztuczkę na pokazie czytania myśli, a także kiedy indziej wobec cyrkowców.

Niepokój ciężący jej kamieniem w żołądku mocno podszyty był

niesmakiem i pogardą do siebie samej, bo okazała się tak chciwa uczuć, że z łatwością nabrała się na pokaz Georgiany. Pragnęła, by dziewczyna była kimś, kim nie była, ponieważ czuła się samotna. Samo to pragnienie, by łkająca w jej ramionach Georgiana okazała się Wejrzeńcem, wystarczyło, by Lucy się zdradziła. Czułość i ciepło przyniosły jej zgubę.

Otworzyła oczy i zapatrzyła się w sufit.

Skończyła z czułościami. Nie potrzebowała ciepła.

Jedyną rzeczą, jaka powstrzymywała ją od natychmiastowej ucieczki, był kamień serca znajdujący się w posiadaniu Georgiany.

Nie uwierzyła w historyjkę, że był to prezent od Charliego. Mówiąc to, Georgiana patrzyła w bok i mrugała, co oznaczało, że kłamie. Lucy bardzo chciała się dowiedzieć, jak naprawdę Eagle'ówna weszła w posiadanie kamienia i dlaczego skłamała. Dlatego też zignorowała głos namawiający ją na ucieczkę, i to bezzwłoczną, i postanowiła zostać z cyrkowcami jeszcze jeden dzień. Wrodzona ciekawość i jakieś nieuchwytnie przecucie, które obudził w niej widok kamienia serca, pokonały ostrożność. Przekonywała samą siebie, że jeśli uciekłyby teraz, nigdy nie dowiedziałyby się, co tak poruszyło ją w pierścionku z kamieniem. A tak w ciągu tej jednej doby może odkryć, o co chodzi. Mało tego – podczas gdy się myśla i ubierała, żeby iść szukać Pyefinchów, wyklarowało się w niej postanowienie, że przed ucieczką wykradnie pierścionek. Skoro bowiem jeden kamień tak jej pomagał, to co dopiero dwa. A poza tym mając zapasowy, nie zamartwiałyby się tak ewentualną utratą tego jednego.

Pospiesznie zawięła w koc niewielki zapas jedzenia, które odkładała na tę okazję, i wyszła w chłód przedświtu, by schować tobolek za beczką przy wozie, na wypadek gdyby musiała szybko uciekać.

Kiedy więc nieco później przykucnęła przy Charliem przygotowującym śniadanie przy ognisku i poprosiła o jajko i bekon, była zdeterminowana znów zmienić się w złodziejkę, choć tego samego wieczoru owoce i przedmiot jej zakusów okazały się znacznie bardziej ważkie, niż sobie wyobrażała.

Dzień upłynął szybko, jak zwykle na jarmarkach. Lucy

niestrudzenie sprzedawała miętówki z koszyczka, który co jakiś czas napełniała jej Rose. Przy którymś kolejnym powrocie po porcję cukierków Rose dała jej kanapkę z opieczonego chleba i bekonu, kazała usiąść na chwilę i zjeść spokojnie. Lucy z uśmiechem odmówiła, twierdząc, że woli zjeść po drodze. Pani Pyefinch obserwowała, jak dziewczyna odchodzi z koszykiem w jednej i kanapką w drugiej ręce, przegryzając w pośpiechu chleb. W końcu odwróciła się do syna, który przyszedł właśnie po drugie śniadanie dla siebie i ojca.

– Coś jej chodzi po głowie – rzekła, wskazując brodą na odchodzącą Lucy.

– Nic nowego. – Charlie się uśmiechnął. – Ona już tak ma.

– Nie – zaprzeczyła Rose. – To coś innego. Aż nie może usiedzieć w miejscu.

– Myślisz, że wie, że ktoś o nią wypytuje?

– Możliwe. Ma bystre oczy i dobry słuch.

– To może powinniśmy ją zatrzymać, zanim nabierze podejrzeń i zwieje?

– Zatrzymać i zapakować możemy ją w każdej chwili. To nie problem. Problem w tym, jak utrzymać tę paczkę. Jeśli ją stracimy, nikt nie zyska.

– Myślałem, że tata trzyma rękę na pulsie.

– Bo tak jest – powiedział pan Pyefinch, zaglądając do namiotu. – Gdzie moja kanapka?

– Trzymasz rękę na pulsie? Od kiedy to? – prychnęła Rose.

– Odkąd Hobb powiedział mi o wytatuowanym przybyszu, który pilnuje się cienia i wypytuje o dziewczynę. Posłałem słówko w dół i w górę rzeki – odrzekł. – Cóż, nowiny przyplłynęły. Mamy przyjaciół, którzy po jarmarku rozjeżdżają się na wschód i na zachód.

– Może wobec tego już czas. – Rose spojrzała na Charliego.

– Jakoś mi się nie spieszy – mruknął chłopak. – Będzie się broniła jak dzika kotka.

– Nie martw się o to. – Rose poklepała torbę z ziołami. – Dam jej coś, zanim zaczniemy. Nie obudzi się, aż ją wywiozą całe mile stąd.

Lucy, choć nie słyszała tej rozmowy, nie zajęła się tak bez reszty

sprzedają, żeby nie mieć uszu i oczu otwartych na to wszystko, co działo się na jarmarku. Szczególnie że owym wszystkim poruszały wyjątkowe podwodne prądy kierujące rzesze odwiedzających ku wielkiemu namiotowi Huffama, jako że właśnie tam o zmierzchu miała się odbyć Wielka Bitwa Czarodziejów. Stanowiła kulminacyjny punkt jarmarku, a po liczbie osób, które przybywały do namiotowego miasteczka, widać było, że rozwieszenie po kraju plakatów informujących o „magicznym pojedynku” i rozpuszczenie wieści na ten temat przyniosło efekty.

Podeksycytowani ludzie rozmawiali o zawodach – jedni wspominali wcześniejsze występy Na-Barno, inni rozprawiali o tym, co widzieli bądź słyszeli o Andersonie. Nawet ponurzy mieszkańcy pobliskiego miasteczka wydawali się odrobinę mniej ponurzy i prawie z błyskiem w oczach oczekiwali nadchodzącego pokazu. Zresztą nastroje wszystkich polepszały się z godziny na godzinę, proporcjonalnie z rosnącymi zyskami właścicieli namiotów, w których serwowano piwo.

Podczas swojej pracy Lucy zauważyła stojącą pośrodku obozowiska starą jabłoń, której gałęzie aż uginały się pod ciężarem złocących się w słońcu żółciutkich renet. Uderzyło ją to, że za każdym razem, kiedy przechodziła w pobliżu, liczba jabłek się nie zmieniała, a przecież na jarmarku musiała być masa wiecznie głodnych chłopców, którzy już przed południem powinni obskubać drzewo do gołego pnia. Tajemnica wyjaśniła się, dopiero kiedy podeszła bliżej. Okazało się, że do pnia uwiązano na łańcuchach dwa ogromne mastiffy, które warczały groźnie na każdego przechodnia.

Lucy przez cały dzień nie miała okazji porozmawiać z Georgiana, zajęta sprzedawaniem biletów na pojedynki. Dziewczyna wpadła na pomysł, żeby wraz z biletami wręczać żółte wstążki. Sama miała ich na sobie całą masę – zawiązała je na przegubach i na szyi jak kolie oraz przypięła do włosów i sukienki tak gęsto, że wyglądała, jakby cała była z żółtych kokardek.

– Te wstążki są jak faworki noszone niegdyś przez rycerzy na znak przychylności pięknych dam – wykrzykiwała. – Noście je, żeby pokazać, komu kibicujecie! A gdy wygramy, każdy, kto ma wstążkę,

otrzyma ode mnie pocałunek!

Wyglądała przy tym tak pięknie, że młodzieńcy ustawiali się w kolejce po wstążki i nawet ich towarzyszki – co zaskoczyło Lucy – urzeczony wdziękiem Georgiany przypinały sobie kokardki do sukien.

Wieczorem, kiedy słońce skryło się za szpalerem wierzb porastających brzegi dalekiej rzeki, okazało się, że chętnych na występ magów jest tak wielu, że trzeba będzie dać dwa pokazy i dopiero po nich zacznie się zbieranie głosów publiczności, która miała zdecydować, kto wygra pojedynek i prawo do nazywania siebie Wielkim Czarodziejem Północy i Południa.

– Dwa pokazy? – zapytała Lucy, podchodząc do Georgiany, która spieszyła się dokądś po tym, jak ogłoszono drugą turę pojedynku.

– No, wiem! – szepnęła jej dziewczyna podekscytowana. – Dwa pokazy to dwa razy więcej pieniędzy! Ojciec nie posiada się z radości! – I pomknęła kusić stojącą z boku grupkę nieśmiałych chłopców, którzy nie spuszczaali z niej wzroku.

– Dwa razy więcej pieniędzy do stracenia – mruknął Charlie za plecami Lucy.

– To znaczy?

– To zakład. Na-Barno albo Anderson. Ten, który wygra, zgarnie cały przychód. Drugi nie tylko nie dostanie pieniędzy, ale musi też zrezygnować z tytułu Wielkiego Czarodzieja. Tata zamyka dziś wcześniej, specjalnie na pokaz. To będzie coś! Przyjdiesz?

– Nie wiem – powiedziała Lucy, wiedząc, że przyjdzie i że będzie to ostatni raz, kiedy zobaczy Georgianę i Charliego.

.

ROZDZIAŁ LIX

Pożegnanie

Pan Sharp nie zwlekał z wyruszeniem w swoją podróż. Zabrał Kłębek z Coburga stojący na opustoszałej półce bibliotecznej i zszedł do kuchni. Hodge i Kowal siedzieli przy stole, ćmiąc fajki i zadymiając dodatkowo kuchnię, i tak pełną pary wydobywającej się ze stojącego na piecu garnka z puddingiem.

Jed, który leżał rozciągnięty, grzejąc się przy piecu, usiadł i pozwolił panu Sharpowi podrapać się za uszami. Mężczyźni ostentacyjnie zignorowali trzymaną przez Sharpa kulę z kości słoniowej.

– Masz swoje noże? – zapytał Kowal.

– Mam.

Kowal wyciągnął z kamizelki niewielki sztylet o wąskim ostrzu, ukryty w szagrynowej pochwie.

– Zawsze znajdzie się miejsce na jeszcze jeden. – Podał mu go, nie odwracając się.

Pan Sharp obnażył sztylet.

– Piękna robota.

– Dziękuję. Wykułem go z żelaza pochodzącego z meteorytu, a ta falista linia wzdłuż rowka to najczystsze srebro, jakie udało mi się znaleźć. Rękojeść jest z dębiny, jesionu i tarniny.

– Widzę. Dziękuję ci, Waylandzie. Jestem zobowiązany.

– Lepiej ci się zda na niektórych przeciwników niż zwykła stal – rzekł Hodge. – Zrobiłem pochwę. Wyłożyłem ją w środku czerwonym jedwabiem.

– Dziękuję wam obu.

Przyjaciele nie odezwali się ani słowem, kiedy starł dłonią tłustą sadzę z okapu nad piecem. Otworzywszy sekretne przejście, odwrócił się do nich.

– Wasza przyjaźń była dla mnie zaszczytem... – Zakaszłał, odchrząknął i pogłaskał Jeda, włączając go w grono, do którego się zwracał. – Jestem zobowiązany za całą dobroć, jaką darzyliście mnie, odkąd przybyłem do tego domu jako dziecko. To całkiem zmieniło moje życie, na lepsze. Mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy.

I już bez dalszych ceremonii, prócz lekkiego skinienia, wszedł do tunelu i zamknął za sobą przejście.

– Co powiedziałeś? – zapytał Hodge, pewien, że Kowal coś mruknął pod nosem.

– Powiedziałem – burknął ten po chwili – „wracaj zdrów i cały”, jeśli już musisz wiedzieć. – Pyknął wściekle z fajki. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, obserwując obłoczki dymu. – Wybacz, przyjacielu.

Hodge zbył gestem jego przeprosiny, jakby nic się nie stało, ale zaraz poderwał głowę.

– Słyszałeś to? – zapytał.

– Co?

– Jakby śpiew.

– Słyszałeś kiedykolwiek, żeby śpiewał? – parsknął Kowal.

– Nie – przyznał Hodge. – Czasami tylko pogwizduje.

I na tym skończyli temat.

Trochę później, kiedy weszli do tunelu, aby zgasić lampy i świeczkę w serwantce z Murano, nie zastali już pana Sharpa w piwniczce. Pozostał po nim tylko odcisk dłoni na murze i wydrapane pod spodem inicjały.

.

ROZDZIAŁ LX

Bitwa czarodziejów

Lucy wmieszała się w rozentuzjasmowany tłum pchający się do namiotu Huffama na pierwszy pokaz.

Przecisnęła się na sam przód i stanęła tuż pod parawanem oddzielającym widownię od kulis. W ten sposób, pozostając niewidoczną, miała świetny widok na scenę. Słyszała głosy po drugiej stronie zasłony, ale zanim je rozpoznała, rozbrzmiał dźwięk werbla, błysnęła magnezja i w chmurze dymu na scenie pojawił się Huffam.

– Przyjaciele! – zagrzmiął. – Wielce szanowni przyjaciele i goście, witajcie w moich skromnych progach, gdzie mam zaszczyt przedstawić wam dwóch największych magów w tym kraju! Po prawej szacowny Hector Anderson, Wielki Czarodziej Północy...

Anderson był nieco starszy od Na-Barno i nieco niższy od Huffama, ale potoczył przenikliwym spojrzeniem po widowni i po chwili, w której całkiem zawładnął uwagą zebranych, uklonił się zwyczajnie, za co został nagrodzony radosnym aplauzem. Czarodziej Północy miał na sobie ciemną wełnianą szatę, co w połączeniu z pełną godności, acz bezpretensjonalną postawą upodabniało go raczej do starszawego kościelnego niż cyrkowca. Jedyne sceniczny akcent jego wyglądu stanowiły kruczoczarne brwi, ostro kontrastujące z bielą zaczesanych do tyłu śnieżnobiałych włosów.

– ...a po lewej – ciągnął Huffam, który od gromkiej przemowy zaczął dostawać chrypki – Na-Barno Eagle, Wielki Czarodziej Południa!

Na-Barno wyszedł zza kulis prosto w kolejny powitalny ryk rozweselonej widowni. Jego znacznie bardziej teatralny kostium z granatowego aksamitu wydawał się nieco tandetny w porównaniu ze skromnym strojem rywala i zdecydowanie bardziej frywolny dzięki

przypiętej na ramieniu żółtej róży ze wstążek, które wcześniej rozdawała Georgiana. Rzeczywiście, w wyniku starań Eagle'ówny więcej niż połowa publiczności wymachiwała wstążkami na powitanie Na-Barno, który pozdrowił zebranych z uśmiechem.

Huffam od razu przeszedł do sedna. Ogłosił, że stawką pojedynku jest tytuł Wielkiego Czarodzieja zarówno Północy, jak i Południa, a przegrany ma się zrzec tytułu jakiegokolwiek Czarodzieja. O finansowym aspekcie zakładu nie wspomniał w ogóle. Następnie wyjaśnił, że to rzut monetą zadecyduje, który z magów wystąpi jako pierwszy – jeśli wypadłaby reszka, pierwszeństwo miałby Na-Barno, jeśli rewers – Anderson.

Oczy zgromadzonych śledziły wirującą w powietrzu złotą monetę, która na chwilę zniknęła w ciemności, po czym znów pojawiła się w kręgu światła i spadła z brzękiem na scenę. Huffam przydepnął ją podeszwą lśniącego buta z wysoką cholewką, żeby nie stoczyła się ze sceny, a potem cofnął się i schylił, by sprawdzić rezultat.

– Rewers! – ogłosił, a tłum przyjął jego oświadczenie kolejnym rykiem.

Lucy dostrzegła, że twarz Na-Barno drgnęła, wyrażając jakby rozczarowanie, ale zanim zdołała w duchu konkretnie nazwać tę emocję, Eagle już uśmiechał się z wdziękiem do przeciwnika, po czym skłoniwszy się, zniknął za kulisami, odprowadzany burzą oklasków.

Anderson pożegnał go równie szerokim uśmiechem, w którym jednak Lucy dojrzała sporą dozę satysfakcji.

Powód zadowolenia stał się jasny natychmiast po rozpoczęciu występu. Anderson wyjaśnił, że był wielce „zainteresowany” dzieleniem jednej sceny z panem Eagle'em (zaznaczył, że nie określa go mianem Wielkiego Czarodzieja, gdyż ten tytuł publiczność przyzna dopiero po występach, choć – dodał, znacząco unosząc brew – Wielkim Czymś rywal jest z pewnością. Oświadczył też, że powstrzyma się przed zdradzeniem, czym konkretnie jest owo Coś, choć tym przewrotnym przemówieniem sprytnie naprowadził publiczność na myśl, że czymś niewątpliwie kompromitującym). Wyjaśnił, że więcej mówić nie trzeba, ponieważ jego zdaniem czyny przemawiają głośniej niż słowa, i wobec tego od razu zacznie pokaz.

Lucy stała, zgnieciona przez tłum, tak blisko sceny, że groziło jej poparzenie albo uduszenie się dymem z lamp ustawionych rzędem na skraju podwyższenia. Przyparta do osłony z prawej strony, z uchem dosłownie na płótnie, usłyszała jęk grozy za parawanem.

– Mój Boże... O mój Boże... Boże! – szeptał coraz bardziej przerażony Na-Barno. – Co za drań... Diabeł wcielony... Nie może przecież...

– Ależ może – przerwała mu córka beznamietnie. – I właśnie to robi. Jesteśmy ugotowani. Jakież to proste. Jakież to eleganckie w swojej prostocie. I jakież to diabelsko przebiegłe z jego strony.

„To”, co robił Anderson i o czym Eagle’owie z takim przejęciem rozprawiali, okazało się ni mniej, ni więcej, tylko odtworzeniem programu wykonywanego przez Na-Barno.

Mało tego, Anderson nie tylko powtarzał bezbłędnie wszystkie numery rywala, ale ulepszał je, dodając na koniec każdego ozdobnik, którym przebijał Na-Barno. Widownia była zachwycona programem samym w sobie, szczególnie częścią z odczytywaniem myśli, ale Lucy słyszała, jak ci, którzy znali iluzje Na-Barno, informowali tych z północy, co tak naprawdę stanowi clou pokazu. Dzięki szybko rozprzestrzeniającym się wieściom ku wyraźnemu zadowoleniu Andersona każdy kolejny numer zyskiwał coraz większe uznanie.

Na-Barno nie miał szans – wyjście po takim występie na scenę i pokazanie swoich starych sztuczek, które Anderson wykonywał tak płynnie i z ulepszeniami, byłoby żalosne do tego stopnia, jakby powtórzył po nim ten sam dowcip, tyle że jękając się i paląc go na końcu.

Okazało się jednak, że Anderson jest nie tylko przebiegły i genialny, ale też zdeterminowany, by całkowicie pognębić przeciwnika. Po odstawieniu pokazu czytania myśli ze swoim automatem uczynił coś, co obserwujący go z widowni i zza kulis powitali z takim samym jękiem zaskoczenia. Odwrócił szafkę z mechaniczną kukłą i zdjął z niej turban – okazało się, że głowa została ulepiona z masy papierowej. Następnie z naukową dokładnością wyjaśnił każdy najmniejszy szczegół działania przekładni i przewodów, ogłaszając to cudem, ale mechaniki i inżynierii, a nie – w tym miejscu był szczególnie stanowczy – sił nadprzyrodzonych. Za dużo tak zwanej

magii, mówił, to jedynie zręczne, przemysłne sztuczki, a ta sama technologia, która zasila nowoczesne manufaktury i fabryki na chwałę tego dumnego narodu, zaczęła być wykorzystywana przez wykonawców, którzy brak umiejętności i talentów muszą zastępować automatami i mechanicznymi zabawkami.

– Ale, panie i panowie, mamy jeszcze czas na jeden pokaz – ogłosił ze znaczącym uśmiechem. – Tym razem nie będzie to żadna zręczna sztuczka, iluzja, nie będzie dymów, luster, pudeł z podwójnym dnem i mechanicznych automatów. Zamiast tego pokażę wam tylko jedną rzecz. Prosta, lecz, jak zapewne się ze mną zgodzicie, absolutnie niemożliwą do zrobienia!

Widownia nagrodziła tę przemowę pomrukami zadowolenia.

– A jedynym sposobem zrobienia rzeczy niemożliwej jest oczywiście użycie prawdziwej magii!

Rozległy się ochy i achy, które zabrzmiały jak jeden głośny okrzyk radości. Anderson skoczył na przód sceny i stanął nad lampami, które nadały jego twarzy wygląd jednocześnie życzliwy i diaboliczny.

– Mało tego! Postanowiłem, drodzy przyjaciele, pozostawić wam wybór co do przedmiotów, jakie wykorzystam w pokazie. Mam tu kule, pierścienie, kubki i karty. Zdecydowałem się na to, ponieważ prostota instrumentu, który będzie jednym z najbardziej podstawowych narzędzi iluzji, tylko podkreśli niemożliwość tego, co uczynię! Uważam bowiem, jak zapewne i wy, moi panowie, że nie ma nic cudowniejszego od kobiety nieupiększonej sztucznie dodatkami i ubraniami. To, proszę państwa, będzie prawdziwa magia, z samej natury, istota magii! Co więcej, oferuję tysiąc gwinei nagrody dla tego, kto teraz albo w ciągu kolejnych dwunastu miesięcy pokaże sposób, w jaki można wykonać to bez magii!

Zachwytt tłumu wyraził się w kolejnej fali ryków i oklasków.

Anderson cofnął się i jednym ruchem zerwał chustę z niewielkiego stolika pośrodku sceny. Leżały na nim trzy niebieskie kubki, pierścienie, pięć złotych kulek i czerwone pudełko z kartami. Lucy, która przebywając z cyrkowcami, widziała wszystkie pokazy, oceniła to jako jeden z najmniej obiecujących zestawów rekwizytów. I w tym, jak się okazało, tkwił kolejny dowód geniuszu Andersona.

– Wybiorą te przeklęte karty – usłyszała Na-Barno zza płóciennej ścianki.

– Naturalnie – zgodziła się z nim córka. – Nie ma takiego tępaka, który nie wybrałby czerwonego przedmiotu. Chyba że jest Irlandczykiem.

Las rąk wskazujących czerwone pudełko był dowodem na niderlandzkie pochodzenie widowni.

– A więc karty! – wykrzyknął Anderson, podnosząc paczkę i rzucając ją w tłum. Pudełko złapał jakiś młody wieśniak. – Dobry refleks, drogi panie! A teraz proszę pokazać karty sąsiadom i każdemu, kto zechce się przekonać, że to najzwyczajniejsza talia kart, kompletna, pojedyncza, nieznaczona...

Paczka została otwarta, a talia obiegała publiczność. Karty obmacano, obskubano, pomieszano, zmierzono, opukano, nawet obwąchano, ktoś, oprotestowany chóralnie, usiłował je jeszcze ugryźć. Kiedy widownia potwierdziła całkowitą przeciętność kart, Anderson podjął:

– Potasujcie je! Potasujcie, przekażcie dalej, jeszcze potasujcie, a potem odrzućcie do mnie!

Zebrany podobało się trzykrotne tasowanie, zdzierzyli czwarte, a potem stanowczo zażądali zwrócenia talii na scenę, żeby zaczęła się już dziać „magia”.

Karty rzucono Andersonowi, który ostentacyjnie wsadził ręce do kieszeni, odskakując w tył i pozwalając paczce upaść na scenę.

– Nie dotknę kart. A przecież talia musi zostać przecięta! Kto ma nóż?

Jak wszędzie na wsi, większość mieszkańców nosiła przy sobie jakiś rodzaj ostrza. Zostały one wydobyte z kieszeni, zza pasków i cholewek, a następnie powędrowały w górę.

– Potrzebuję silnego mężczyzny, który pochodzi stąd i którego wszyscy znają – ogłosił Anderson. – Chcę, żebyście wiedzieli, że nie jest to jakaś podstawiona przeze mnie osoba, bo byle sztukmistrz potrafi wykonać numer przy pomocy współnika. A ponieważ to nie sztuczka, tylko prawdziwe czary, nie potrzebuję takiej pomocy.

Po chwili wypełnionej okrzykami, trąceniami i szarpnięciami na

scenę wystąpił krzepki mężczyzna w butach woźnicy. Stał i wyszczerzył się do publiczności, która powitała go pohukiwaniami i gwizdami.

– Mój przyjacielu, wyciągnij talię z pudełka i połóż ją na stoliku. – Woźnica wykonał polecenie Andersona i cofnął się. – A teraz weź swój nóż i przebij karty, tyle, ile chcesz. Nie przejmuj się białym, jest porządny, ale bacz, żeby nóż nie przeszedł przez całą talię, bo chcemy wybrać kartę ze środka.

Woźnica zamachnął się i dźgnął talię tak mocno, jak potrafił. Nóż przebił więcej niż połowę kart. Jakiś młokos krzyknął, że to słaby cios, ale Anderson uciszył go machnięciem.

– Łatwo przebić pojedynczą kartę, ale pięćdziesiąt dwie naraz? Znałem żołnierza, którego przed śmiercią od kuli z muszkietu ocalała noszona na piersi mała Biblia. W masie siła, nie zapominajcie o tym. A teraz, przyjacielu, weź nóż i pokaż wszystkim kartę!

Anderson odwrócił się plecami do widowni, a wtedy woźnica podniósł nóż z nabitymi kartami, pokazując tę na wierzchu.

– Dopilnuj, żeby wszyscy oprócz mnie zobaczyli ją dokładnie.

Furman obrócił się powoli w jedną i drugą stronę, pokazując siódmą karo.

– A teraz zajrzyj do niebieskich kubków: w jednym jest ołówek, a w drugim szczypta cukru. Napisz, proszę, na karcie swoje imię i pokaż je publiczności. Jeśli nie chcesz pisać imienia, oznacz kartę inaczej.

Ponieważ tłum zawsze uwielbia stroić sobie żarty czyimś kosztem, rozległy się okrzyki sugerujące analfabetyzm woźnika, jednakże ten napisał zamasyście na karcie swoje imię i pokazał publiczności: JOAD.

– Dziękuję – rzekł Anderson. – A teraz zegnij kartę na dwoje, chwyć ją w szczypta i trzymaj nad płomieniem świecy, póki nie spali się na popiół. Dla pewności resztki rozdepcz na scenie.

Furman wykonał wszystkie czynności, a po spaleniu rozstał czarne płatki podeszwą.

Dopiero wtedy Anderson odwrócił się do publiczności, uściskał w podziękowaniu dłoń furmana i pomógł mu zejść z powrotem na

widownię.

– Widzieliście, że karty nie były oszukane, samiście je potasowali, jeden z was przebił je tak głęboko, jak chciał, więc nie ma takiej możliwości, żebym wiedział, którą kartę pokazał wam pan Joad. – Szmer przebiegł przez tłum. – O tak! Wiem, co napisał na karcie, choć nie znałem go do tej pory. Z taką samą pewnością mogę wam powiedzieć, że kartą była siódemka!

Rozległ się szmer głośniejszy, pełen zachwytu.

– Nie tylko, że siódemka, ale i że czerwona, ale, ale, nie czerwonna, a dzwonkowa! Kartą tą była siódemka karo!

Widownia była pod wrażeniem, wszyscy wiwatowali radośnie. Niektórzy zaskoczeni, inni podejrzliwi, twierdzili, że znają tę sztuczkę. Mężczyzna obok Lucy wyrażał się z uznaniem o jakości jej wykonania, ale mówił, że opierała się na lustrze, dzięki któremu Anderson widział kartę, stojąc do niej plecami.

Anderson z uśmiechem uciszył gwar.

– Słyszę was. Mówicie: „Robi wrażenie”, ale... gdzie w tym magia? Jesteście bardzo wymagającą publicznością, bystrą i podejrzliwą. I dobrze! Udany pokaz, ale was nie przekonał?

– Chcemy więcej! – krzyknęła jakaś kobieta z tyłu.

– Dam wam więcej! – odkrzyknął. – Ale prawdziwa magia wymaga przestrzeni, więc proszę, żebyście wyszli ze mną na zewnątrz i zachowali przy tym absolutną ciszę, a przysięgam wam na własne życie, że uczynię niemożliwe, bo część magii już się stała! To, co ujrzyście, nie jest wynikiem zręczności palców ani iluzją. Przysięgam, że zobaczycie najprawdziwszą magię! Ale pod warunkiem, że zachowacie zupełną ciszę i będziecie robić, co wam powiem. Zaufacie mi?

Tłum ryknął na zgodę, a potem, przypominając sobie prośbę, cichł stopniowo aż do poziomu przepaszającego szmeru, który umilkł całkowicie, kiedy Anderson położył palec na ustach.

Zadowolony z efektu, wziął pochodnię, odpalił ją od lampy, a potem uczynił władczy gest niczym Mojżesz nakazujący rozstąpić się morzu. Zeskoczył między ludzi, którzy posłusznie się rozsunęli, przepuszczając go do wyjścia.

Lucy została porwana przez falę ciekawskich widzów. Dziwne to było doznanie, tak płynąć jako cząstka milczącej masy formującej się w kolumnę i sunącej pomiędzy światłami jarmarcznymi. Ci, którzy nie oglądali przedstawienia, zaintrygowani pochodem poważnych twarzy przyłączali się do grupy, tak że kiedy Anderson się zatrzymał, tłum liczył jakieś sześćset głów.

Celem przemarszu okazała się strzeżona przez psy jabłoń. Mastiffy natychmiast się rozszczękały, zaczęły warczeć na magika, który obszedł wokół płotek otaczający drzewo i zapalił pięć umocowanych na nim latarń. Następnie przelazł przez ogrodzenie.

– Uważaj na psy! Są niebezpieczne! – krzyknął ktoś, ale został szybko uciszony przez innych.

Psy ujadają wściekle, szarpiąc się na łańcuchach.

Anderson podniósł rękę. Psiska umilkły i przestały się rzucać. Odwrócił dłoń. Przypadły do ziemi. Machnął. Przewróciły się na grzbiety. Tłum westchnął urzeczony.

Magik wszedł na skrzynkę po jabłkach i potoczył spojrzeniem po obecnych.

– Widzieliście na własne oczy, że karta została wybrana losowo? Widzieliście napisane na niej imię? Widzieliście, jak pochłania ją ogień? Tak?

Wszyscy potaknęli w ciszy.

– Następną odpowiedź możecie wykrzyzczeć. A więc pytam, czy to MOŻLIWE, żeby ta karta nadal istniała?

– Nie!!! – ryknęły setki gardeł.

– Tak!!! – huknął Anderson. – Bo magia istnieje! A skoro magia istnieje, nie ma rzeczy NIEMOŻLIWYCH!

Nagle wskazał palcem kogoś pośród gawiedzi.

– Panno Georgiano Eagle! Czy będziesz tak uprzejma i podejdziesz tu, żeby za pomocą tego oto kija strącić z drzewa jedno jabłko? Możesz je wybrać wedle woli!

Georgiana, popychana naprzód, miała zdecydowanie niezadowoloną minę, jednak kiedy dotarła do płotka, wzięła się w garść, poprawiła wstążkową sukienkę i odwróciła się do ludzi ze swoim scenicznym uśmiechem.

– Nie potrzebuję kija – rzekła. – Wybieram to. – Zerwała jabłko z niższej gałęzi i podała je rywalowi. Lucy zauważyła, że z satysfakcją postąpiła inaczej, niż chciał Andersona w żaden sposób nie zbiło to z tropu. Ale nie przyjął jabłka. Znów wsadził ręce do kieszeni.

– Panie Joad! – zawołał. – Możemy pana do nas prosić?

Furman Joad podszedł do palisady.

– Proszę, byście oboje powiedzieli głośno, co widzicie.

– Jabłko – rzekła Georgiana.

– Jabłko – potwierdził Joad.

– Ma jakieś szczególne skazy? – wypytywał Anderson.

– Nie.

– Żadnych nacięć, zadrapań, śladów, że przy nim manipulowano?

– Nie – oświadczył stanowczo Joad, przyglądając się bacznie skórcie.

– Jest calusieńkie.

– Pokaż wszystkim owoc – rozkazał Anderson, a Georgiana najeżyła się rozeźlona sposobem, w jaki traktował ją, rywalkę: jakby była jego asystentką. Kolejnym jej małym zwycięstwem było wręczenie jabłka Joadowi, który dopiero zaprezentował je reszcie.

– Zwykle jabłko, panie i panowie, pospolity cud natury! – wykrzyknął Anderson, podsumowując teatralnie całą scenę. – Prawdziwa magia, prawda?

Tłum nie zgodził się z nim. Ludzie byli skonsternowani. Niezadowoleni. Zdecydowanie i z każdą chwilą coraz bardziej rozczarowani.

– Och! – wykrzyknął Anderson. – Och! Zapewne spodziewaliście się czegoś więcej?

Pomruk potakiwań.

– Wobec tego uciszcie się, a pokażę wam coś, o czym będziecie opowiadać swoim wnukom!!! – zagrzemiał tak donośnie, że ogłuszony tłum poddał się jego woli i umilkł, wstrzymując jeden wielki oddech.

– Panie Joad, proszę wyświadczyć mi przysługę i przeciąć jabłko na pół. Ale proszę uczynić to delikatnie i tak, żeby wszyscy widzieli, że nie ma w tym żadnej sztuczki.

Joad otworzył swój nóż. Ostrze błysnęło w świetle latarni. Następnie naciął płytko owoc dokoła i zamarł niepewny.

– Proszę je przepołowić, panie Joad – zachęcił go Anderson, nie wyjmując rąk z kieszeni. – Tak żeby wszyscy widzieli.

Joad przełamał owoc na pół. I aż nabrał głośno tchu, bo wewnątrz czerwieniła się złożona karta.

– Proszę ją wyjąć – instruował dalej mag.

Georgiana z napięciem obserwowała ruchy furmana.

– Rozwinąć.

Joad zrobił to i aż pobladł.

– Ale... – zająknął się. – Ale...

– Właśnie! – Anderson się ucieszył. – To niesamowite, niewiarygodne, zaprzeczające wszelkim prawom tego, co możliwe! Ale nie jeśli wierzy się w PRAWDZIWĄ MAGIĘ! Proszę pokazać im kartę! – Joad podniósł rękę z kartą, a Anderson ciągnął: – Panie i panowie, dla państwa przyjemności i rozrywki uczyniłem... NIEMOŻLIWE!

Po entuzjastycznej reakcji ludzi Lucy domyśliła się, co zobaczy, zanim to ujrzała.

Furman trzymał w ręce siódemkę karo przekłutą nożem i opatrzoną grubym napisem JOAD. Nie było wątpliwości. W jabłku znajdowała się ta sama karta, która została wcześniej bezpowrotnie zniszczona na scenie.

To musiała być, bo co innego – Lucy zgadzała się w tej kwestii z resztą widzów – Prawdziwa Magia.

Zerknęła na Georgianę, która z twarzą w odcieniu wstążek szukała wzrokiem ojca. Wyglądała, jakby tonęła.

– A teraz, moi przyjaciele, zapraszam na przerwę – krzyknął Anderson niesiony na ramionach tłumu. – A kwadrans później z powrotem do namiotu na występ moich przyjaciół Eagle'ów! Ale najpierw należy nam się po kufelku!

Lucy patrzyła, jak podniecony, rozweselony, gwarny tłum unosi maga w stronę namiotów piwnych. A potem zobaczyła, jak Georgiana łapie ojca za rękaw i ciągnie go w wąskie przejście pomiędzy dwoma namiotami, szepcząc mu coś żywo do ucha. Szedł za nią jak popsuta kukła. Lucy zafascynowana Georgianą poszła za nimi, przemykając przez cienie między jasnymi plamami światła rzucanego przez księżyc

na czystym niebie.

Widziała, jak bardzo Eagle'ówna była niezadowolona, że Anderson wykorzystał ją w roli swojej asystentki. Zmuszając córkę przeciwnika do pomocy, mag posypał solą ranę, którą wcześniej zadał rywalowi. Lucy przyczała się pod namiotem Huffama, teraz pustym, bo widownia wykorzystywała przerwę na picie piwa i cydru. Dzięki temu wokół panował taki spokój, że dziewczyna mogła wyraźnie słyszeć dialog niewidzialnych dla niej rozmówców.

Na-Barno najwyraźniej nie mógł się otrząsnąć z oszołomienia.

– Nie dość, że zrobił nasze numery, to jeszcze pokazał, jak się je robi! – wychrypiał. – Ujawnił sekret mojego automatu. A później, po tym wszystkim, żeby całkiem nas pogrzebać, zrobił coś całkiem niemożliwego. Nie wiem, co teraz.

– To proste, ojcze: jeśli wiesz, jak zrobił tę sztuczkę, będziemy bogaci. Jeśli nie, musimy zmienić plany, i to szybko! – Georgiana mówiła stanowczo i natarczywie, jakby chciała wyrwać ojca ze stuporu. – Nie rozumiem, skąd wiedział, jak dokładnie wykonać nasze numery...

– Ja wiem. – Na-Barno westchnął. – Bo mu je ukradłem, moje dziecko. A raczej twoja matka to zrobiła...

Zaległa lodowata cisza. Teraz głos Georgiany przypominał dźwięk towarzyszący powolnemu wbijaniu mroźnego ostrza.

– I nie powiedziałeś mi o tym?

– Nie widziałem takiej potrzeby.

– Nie widziałeś potrzeby? Gdybyś mi o tym powiedział, mogłabym przewidzieć jego strategię! Moglibyśmy zaplanować kontrę! Teraz już nie masz wyboru, musisz...

– Wiem, dziecko, muszę uciekać, póki ciemno, a ludzie są rozproszeni.

Lucy usłyszała kłaśnięcie, po którym zapadła cisza.

– Nie jestem pijany, moja droga – odezwał się drżącym głosem bliski płaczu Na-Barno.

– Nie uderzyłam pijaka, ojcze. Uderzyłam ciebie! – syknęła Georgiana.

– Ale... – wykrztusił Na-Barno i załkał. Reakcja Georgiany była ostra

jak drugi policzek.

– Przynieś rękę.

– Ale... Nie wytresowałem jej jeszcze... – wybełkotał Na-Barno. – Nie zaczęliśmy nawet przygotowywać występu...

Zakrztusił się, jakby ktoś go dusił, ale przyczyną tego był zdecydowanie upór Georgiany, która mówiła nadal, logicznymi argumentami miażdżąc jego nieudolną obronę z siłą maszyny parowej.

– Nie rozumiesz, co się stało? Anderson zmienił zasady gry. Nie chodzi już o występy, ojcze. Teraz wszystko sprowadza się do dwóch kwestii: naszego przetrwania i pokazania czegoś niemożliwego. A ręka jest najbardziej niemożliwą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziałam.

– Ale sztuczka z kartami była niemożliwa do zrobienia...

– Ale była karcianą sztuczką. Nawet jeśli jest niemożliwością, nawet jeśli jest, Bóg nam dopomóż i wszyscy diabli, prawdziwą magią, nadal będzie karcianą sztuczką. To jedyna szczelina w jego zbroi. Jeśli mamy wypruć mu flaki za to, jak nas załatwił, to to jest jedyne miejsce, gdzie możemy wbić nóż. Bo ludzie zawsze będą podejrzewali w głębi ducha, że sztuczka karciana to trik polegający na zręczności palców albo odwróceniu uwagi, nawet jeśli nie zdołali zobaczyć, jak działa. Bo wiedzą, że właśnie na tym polega szulerka. Sztuczki karciane są ograne, za to ręka to coś zupełnie innego.

– Ale... Sam nie wiem, dziecko...

– Ale ja wiem, a któreś z nas musi podjąć decyzję, bo inaczej oboje trafimy do przytułku. Przynieś rękę. Zadawaj jej pytania. Nieważne, że numer będzie nieprzećwiczony, ważne, że nie tylko pobijesz Andersona na głowę, ale i pokażesz im coś całkiem nowego. Idź! Bo zaraz zaczną tupać, jeśli wciąż nie będziemy gotowi, a potem się zniechęcą i wrócą żłopać piwo.

– Masz rację, dziecko. To marna szansa, ale zawsze lepsza niż żadna.

Lucy usłyszała szybko oddalające się kroki Na-Barno, a potem szelest stroju Georgiany. Po wszystkim zdała sobie sprawę, że właśnie była świadkiem innego pokazu, zakulisowego, podczas którego

Georgiana nie tylko wyciągnęła ojca z dna rozpaczyny i przywróciła go do porządku, ale też nagięła do swojej woli, jakby sam był automatem. Manipulowała nim z taką samą łatwością, z jaką dziecko porusza marionetką, szarpiąc za sznurki. Ponadto Lucy była pod wrażeniem inteligencji i błyskotliwości Georgiany. W czasie gdy Na-Barno leżał na deskach po ciosie Andersona i dopiero zaczynał przytomnieć, ona zdążyła zarówno przeanalizować technikę rywala, jak i obmyślić strategię kontrataku. Lucy nie miała co prawda pojęcia, co to jest ta „ręka”, ale była całkowicie pewna, że to coś, co jest warte zobaczenia, nawet jeśli nie przewyższy niemożliwością numeru Andersona.

.

ROZDZIAŁ LXI

Kres

Sara jęknęła przez sen, próbując się podnieść. Udało jej się podeprzeć na łokciach, ale pozostała w tej pozycji zapatrzona w ogień w kominku, dysząc ciężko, znużona wysiłkiem. Potem opadła na poduszki i odpoczywając, obserwowała cienie i kształty, które na suficie malowały tańczące płomienie.

– Wydawało mi się, że słyszę muzykę – mruknęła.

Ktoś poklepał ją uspokajająco po ręce.

– Pan Sharp? – zapytała, z trudem przekręcając głowę ku ciemniejszej w półmroku nieruchomej postaci. Był to Emmet.

Przez chwilę patrzyła na niego, leżąc bezwładnie. A potem jej oczy rozszerzyły się ze zgrozy.

– Co on zrobił?

Emmet wskazał na toaletkę.

– Co? – jęknęła. – Emmet?! Co on zrobił?

Emmet powstał i podszedł do toaletki. Postukał w lustro.

Usłyszawszy oszalałe dzwonienie, Kucharka odruchowo zerknęła na tablicę, choć była już na nogach, wiedząc, że to Sara ocknęła się z drzemki.

Wypadła z kuchni i pognała na górę, przeskakując po trzy stopnie, jakby była o połowę młodsza i o połowę lżejsza. Kiedy otworzyła drzwi, Sara siedziała prosto, wpatrując się z przerażeniem w Emmeta.

– Co...?

– Co Emmet próbuje mi powiedzieć? – przerwała jej Sara, a Emmet uczynnie postukał w lustro. – Co się stało z panem Sharpem?

Kucharka spiorunowała golem wzrokiem.

– Za dużo gadasz – ofuknęła go.

– Co?! – wydusiła z siebie Sara niecierpliwie.

Kucharka podeszła do łóżka i wzięła ją łagodnie za rękę.

– Poszedł szukać twojej dłoni.

Sara zaczęła kręcić głową, najpierw powoli, a potem coraz szybciej.

– Nie, nie – powtarzała. – Nie, nie, nie, nie, nie, nie!!!

Kucharka chciała ją powstrzymać, ale Sara wyrwała się jej i odwróciła twarzą do ściany.

– Tylko nie do luster – powiedziała słabiutkim głosem małej dziewczynki.

– Nie dało się go zatrzymać.

Sara zaczęła tłuc czołem o ścianę.

– Przestań, Saro. – Kucharka starała się ją przytrzymać. – To nic nie da. To nie...

Sara odepchnęła ją gwałtownie i dalej uderzała głową w ścianę.

Emmet wyminął Kucharke i delikatnie, lecz stanowczo przytrzymał głowę Sary. Potem sięgnął w tył i pomógł Kucharce się podnieść.

Kucharka wstała, stękając, i spojrzała na niego.

– Czasami myślę, że pan Sharp ma co do ciebie rację. – Sapnęła. – Trzymaj ją, a ja pójdę na dół i przyniosę jej coś na sen.

Możliwe, że Emmet skinął głową, ale jeśli nawet, to ruch był niedostrzegalny. Golem wpatrywał się z uwagą w Sarę leżącą z zaciśniętymi powiekami, spod których wypływały łzy, i z twarzą wykrzywioną w grymasie rozpaczki.

Kucharka spojrzała na nich w progu. Dziewczyna kulila się odwrócona do ściany, a Emmet unosił się nad nią niczym pylon. Jedyna świeca ledwie rozcieńczała mrok, rzucając na sufit złowróżbny łukowaty cień.

To właśnie to, pomyślała Kucharka. Tak właśnie wygląda koniec.

ROZDZIAŁ LXII

Kontratak eagle'ów

Ludzie powoli wracali z namiotów piwnych i stoisk z cydrem. Lucy zauważyła, że już o wiele mniej osób nosi żółte wstążki. W namiocie robiło się coraz ciasniej, a potem coraz głośniej, kiedy widzowie zaczęli klaskać i tupać, wywołując Na-Barno.

– Kiepsko to wygląda dla Eagle'ów – usłyszała głos przy uchu, a kiedy się odwróciła, ujrzała Charliego, który znów zrobił tę niepokojącą rzecz: zmaterializował się przy niej niezauważony.

– Nie dziel skóry na niedźwiedziu – zripostowała. – Jeszcze nie powiedzieli ostatniego słowa. Mają coś w rękawie.

– Jak wszyscy iluzjoniści. – Charlie uśmiechnął się łobuzersko. – Ale nie wiem, jak mogliby przyćmić numer Andersona. Szedłem tu przez morze żółtych wstążek. Publiczność to niewierna bestia. Biedna Georgie.

W tej samej chwili Georgiana weszła na scenę, a gwar przycichł i wreszcie umilkł. Rozwiązała się też zagadka szelestu ubrań. Georgiana zdjęła wstążkowy strój i błyszczącą biżuterię sceniczną i stała teraz przed widownią ubrana w białą halkę, którą miała pod sukienką. Co więcej, zmyła makijaż, więc wyglądała blado, niewinnie i bezbronne. Lucy uznała to za podwójnie mistrzowskie posunięcie, bo Eagle'ówna nie tylko podstępnie przejęła skromny styl, któremu tak konsekwentnie hołdował Anderson, ale też dzięki odrzuceniu rozprasających błyskotek i upiększeń skupiła uwagę ludzi na samej sobie, a sama w sobie Georgiana była zdecydowanie bardziej fascynująca i – słowo to samo pojawiło się w umyśle Lucy – autentyczna.

Halka była jednocześnie dziewiczo prosta i perwersyjna, bo można było przez nią ujrzeć zarys dziewczęcego ciała, całkiem nagiego,

niewymodelowanego żadnymi gorsetami i fiszbinami. Nie żeby – z tego, co było widać – Georgiana potrzebowała jakichś rusztowań i usztywnień. Była dobrze rozwinięta, miała wąską talię i płaski brzuch. Brak mieniących się ozdób pozwolił na pierwszy plan wysunąć się pięknej twarzy i oczom, które lśniły intensywniej niż wszystkie fałszywe klejnoty z jej kostiumu razem wzięte. Przemawiała i zachowywała się tak, jak wyglądała – jednocześnie nieśmiało i prowokująco.

– Szanowni państwo! – zaczęła. Lucy od razu zauważyła, że zmieniła sposób mówienia z wyniosłego na bardziej zawadiacki, dodając odrobinę akcentu bliskiego cockney. – Panie i panowie, ojciec będzie z wami już za chwilę. Po tym jakże wspaniałym występie szacownego rywala był pod ogromnym wrażeniem! Tak głęboko poruszyły go umiejętności pana Andersona i wdzięk, z jakim poprowadził swoje przedstawienie, że w ostatniej chwili postanowił pokazać wam więcej, niż zamierzał.

– Ja myślę! – wtrąciła jakaś kobieta z tyłu namiotu. – Anderson zjadł wasz obiad i pokazał, jak go ugotowaliście!

Rozległy się śmiechy, ale też jakiś mężczyzna krzyknął, żeby babsko zawarło gębę i dało młodej panience mówić.

Georgiany nie wytrąciło z równowagi to zakłócenie. Uśmiechnęła się wesoło i swobodnie zbyła zarzut.

– Nie zaprzeczam, że pan Anderson zobaczył nasz pokaz i odtworzył numery nie tylko ze wspaniałą zręcznością, ale też prezentując je na własny sposób, zaiste znakomicie zrozumiał...

– Zrozumiał? – krzyknęła kobieta. – Chyba wypruł wam flaki!

Tym razem zaśmiało się mniej widzów i więcej mężczyzn ją uciszyło. Najwyraźniej nieskrywane uroki Georgiany zaczynały na nich działać coraz mocniej.

– Tak. – Eagle'ówna się zaśmiała. – Owszem. Dla tych, którzy mieli szczęście oglądać wcześniej pokaz ojca, jest jasne, że Anderson ukradł nasze numery, więc przedstawianie ich byłoby próbą granic waszej pobłażliwości. Dlatego też dzisiaj po raz pierwszy pokażemy coś, co wykracza poza definicję naprawdę niemożliwego i jest znacznie bardziej niezwykle niż zręczne sztuczki, które mieliśmy okazję dziś

zobaczyć.

W tym momencie odwróciła się i zainicjowała aplauz na cześć Andersona, który stał tuż przy scenie, po przeciwnej stronie do Lucy. Było to sprytne, bo za jednym zamachem uznawała kunszt rywala i oddawała mu sprawiedliwość, a co za tym idzie – zyskiwała przychylność publiczności, która mogła podziwiać jej prostolinijną wspaniałomyślność. Lucy obserwowała ją jak zaczarowana. Georgiana naprawdę była niesamowita.

– Panie i panowie. Dwa dni temu mój ojciec otrzymał list z pałacu Buckingham. Proszono nas w nim o występ, który za chwilę ujrzycie, przed pewnym członkiem rodziny królewskiej, którego imienia nie będę zdradzać. Zostaliśmy poproszeni o wykonanie prywatnego pokazu w czasie świąt Bożego Narodzenia. Jednakże mój ojciec uznał, że dzisiejszy wieczór... ta chwila jest najodpowiedniejsza, by zaprezentować wam kwintesencję najbardziej niemożliwej niemożliwości, samą Manus Gloriam, jedyną na świecie Rękę Chwały!

Zamaszystym gestem wskazała kulisy, zza których wyłoniła się dłoń w czarnej rękawiczce. Publiczność ucichła na moment. Palce dłoni poruszyły się, a na scenę wystąpił Na-Barno, delikatnie trzymając odciętą rękę. Po widowni przebiegł szmer – nie było to masowe wstrzymywanie oddechu, a reakcja w rodzaju „to może być ciekawe”.

– Ta dziewczyna potrafi kłamać jak z nut – szepnął Charlie z podziwem. – List z pałacu, na pewno.

Na-Barno umieścił dłoń na stoliku pośrodku sceny i zaczął objaśniać, na czym będzie polegał pokaz. Lucy słuchała go i przypatrywała się ręce z rosnącym zaniepokojeniem. Kiedy magik oświadczył, że poprosi kogoś z widowni o potwierdzenie prawdziwości dłoni, że jest z ciała i kości, a nie z kółek zębatych i sprężyn, Anderson pokręcił głową i wymamrotał coś pod nosem. Georgiana błyskawicznie jak atakująca kobra wskazała go palcem i uciszyła widownię.

– Panie Anderson! – krzyknęła. – Wyczuwam niedowierzenie! Proszę podzielić się głośno swoimi wątpliwościami. Jestem pewna, że wszyscy są ich ciekawi.

Jej prośba została poparta potakiwaniem z widowni i w końcu

Anderson odchrząknął, po czym zachęcany okrzykami w rodzaju: „Dalej, kolego!” i „Wyduś to, chłopie!” oświadczył, że metoda wywołania pozornie na chybił trafił i tak skończy się na wybraniu kogoś podstawionego, którego ręka będzie jedną z wielu wśród lasu podniesionych przez widzów. Stwierdził też, że oczywiście jest przekonany o uczciwości panny Eagle i że pragnie jedynie wskazać, iż co bardziej krytyczny obserwator mógłby zarzucić jej, że... na widowni znajduje się współnik artystów.

– Pan Anderson ma rację! – krzyknęła Georgiana i zerknęła na ojca. Prawdopodobnie tylko Lucy i może Charlie stali w miejscu, z którego mogli dostrzec, jak puściła do niego oko, zanim odwróciła się znów do widowni. – Skoro pan Anderson podejrzewa tak tani i oczywisty trik, może sam zasugeruje niepodważalną metodę wyboru osoby mającej potwierdzić autentyczność dłoni?

Ludzie wydali pomruk zadowolenia – spodobała im się szczerza propozycja dziewczyny.

– A może... – kontynuowała Georgiana. – Zaiste, któż mógłby być bardziej pewnym wyborem, bo i komu bardziej zależałoby na odkryciu ewentualnego oszustwa niż samemu panu Andersonowi! Panie Anderson, proszę do nas! Proszę powiedzieć wszystkim, czyż nie jest to PRAWDZIWA Ręka Chwały!

Tłum oszalał, a Anderson nagle został podniesiony i postawiony na scenę przez krzepkich rolników.

Jego mina świadczyła o tym, że wiedział, iż stracił nagle niepodważalną pozycję, jaką zyskał po zakończeniu swojego pokazu, ale nie był pewien, jak to się stało i czemu ma służyć ten podstęp.

– Niezła jest – szepnął Charlie. – Zagrała z nim w jego własną grę, wykorzystwała go tak jak on ją. To uczciwy obrót sprawy. Dziewczyna ma styl.

Wyraz oczu Andersona kontrastował z jego scenicznym uśmiechem. Dało się zeń wyczytać, że jest świadomy rewanżu. Georgiana podała mężczyźnie rękę. Rozpiął guziczki na nadgarstku i odchylił mankiet rękawiczki, odsłaniając różową skórę. Nagrodził go pomruk uznania. Uszczypnął rękę i na jego twarzy odbiło się zdumienie.

– Jest ciepła – wyrwało mu się.

– Oczywiście – rzekł Na-Barno. – Przecież mówiłem, że jest prawdziwa.

Anderson uszczypta ponownie. Ręka drgnęła nagle, a on o mało co jej nie upuścił. Reakcja była tak autentyczna, tak szczerą, że wraz z nim podskoczyła widownia. W tej chwili wszyscy nabrali przekonania, że dzieje się coś magicznego.

– To tylko... – zająknął się Anderson, szybko dochodząc do siebie – to tylko sztuczka.

Georgiana sięgnęła do artystycznie upiętego koka i wyciągnęła z niego szpilkę. Włosy opadły jej na ramiona kaskadą lśniących loków.

– Ukłuj ją – powiedziała, podając mu szpilkę. – Czyż nieśmiertelny Szekspir nie opisał tego, co żywe właśnie, w ten sposób: „Nie płynie z nas krew, jak nas zakłujecie? Nie śmiejemy się, jak nas załaskoczą?”[4]?

– Może więc powinienem ją połaskotać? – zasugerował Anderson, usiłując nie dać się wodzić za nos tej ślicznej dziewczynie.

– Nie ma ust, żeby móc się śmiać. To tylko ręka. Ale będzie krwawiła.

Tłum zaczął skandować: „Dziabnij ją! Dziabnij ją!” z taką werwą, że Anderson nie miał wyboru. Podniósł dłoń i wbił szpilkę w kciuk.



Sara Falk przebudziła się z krzykiem, zwijając się wokół kikuta. Emmet stał przy łóżku, a Kucharka siedziała przy kominku, czytając.

– Saro? – Poderwała głowę znad książki.

Sara nie odwróciła się. Jej głos był stłumiony, niewyraźny.

– Kciuk. Znowu ukłuli mnie w kciuk.



Kropla krwi spłynęła po palcu dłoni, którą trzymał Anderson.

– To krew! – krzyknęła dziewczyna siedząca w pierwszym rzędzie.
– Dziabnij ją jeszcze! – zawołał jakiś wredny głos z ciemności. –
Niech ma za swoje! Niech zatańczy!

Anderson odwrócił się do Na-Barno, tak żeby tłum nie widział jego twarzy, z której spadała sceniczna maska.

– Takich rzeczy nie pokazuje się na scenie, Eagle! Czegoś takiego nie umiesz wyjaśnić ani kontrolować! Nigdy tego nie rozumiałeś. Nie wiesz, z czym masz do czynienia. To prawdziwa...

– Pan Anderson właśnie powiedział ojcu, że ręka jest PRAWDZIWA – wykrzyknęła Georgiana. – Czy tak było?

Anderson odwrócił się do widowni i z wymuszonym uśmiechem potwierdził autentyczność ręki.

Przez tłum przebiegł dreszcz, jakby ludzie wyczuli, że zobaczą coś naprawdę zakazanego. Lucy czuła całkiem co innego.

Kiedy Na-Barno przygotowywał scenę do pokazu, wpatrywała się w podobną do kraba rękę w czarnej rękawiczce odchylonej na nadgarstku. Wiedziała już, co to jest. Wiedziała też, do kogo należy, i to jeszcze zanim Georgiana teatralnymi ruchami zdjęła sobie pierścionki i nałożyła je na czarne palce.

– Manus Glorise to potężna rzecz, dlatego aby zapewnić sobie bezpieczeństwo, przechowujemy ją bez pierścieni magicznych, które budzą w niej mroczne moce, dziś jednak zakładamy je, żeby przywołać te moce dla was – wyjaśnił Na-Barno. – Pierścienie trzymamy zawsze osobno. Ale teraz, kiedy znów znajdują się na ręce, za moment ujrzymy, jak duch się budzi. Wkrótce ręka będzie gotowa do rozmowy z nami.

Georgiana przytrzymała dłoń za nadgarstek, a Na-Barno ustawił lustro na stole pod kątem, który umożliwiał publiczności obserwację blatu. Wąski snop światła z osłoniętej latarni padał na dłoń leżącą na białej kartce papieru.

Na-Barno uczynił magiczny gest i wyczarował ołówek – za co został nagrodzony dość marnym aplauzem – a następnie włożył go między palce ręki.

Przeszedł na skraj sceny i spokojnie pozamykał zasłony w lampach scenicznych, aż wytlumił wszelkie światło poza tym padającym na

dłoń i tym odbitym w lustrze.

Blat stołu zdawał się unosić w ciemnościach. Twarze Na-Barno i Georgiany wisiały po obu jego stronach, na krawędzi plamy światła, jak dwie głowy pozbawione ciała. Była to efektowna, niesamowita iluzja i widownia doceniła ją pomrukami uznania.

– A teraz, panie i panowie, prosimy o absolutną ciszę. Obudzę rękę i zapytam, jak się nazywam. Zrobię to, pisząc słowa „kim jestem” na wierzchu dłoni, o tak.

Użył szpilki, żeby powoli wykreślić litery.

Kiedy ręka nie drgnęła, uśmiechnął się swobodnie.

– Duch jest gotów, ale ręka nadal śpi – oznajmił i ukłął dłoń.



Sara Falk jęknęła ponownie i zacisnęła zęby.

– Znowu mnie pyta, kim jest – wycedziła. – Jeśli nie napiszę „wielkim czarodziejem”, zrani mnie.

– Więc zrób to – poradziła Kucharka. – Po co dawać mu powód do zadawania ci bólu?



Ręka poruszyła się. A potem, ku uciesze tłumu, zaczęła pisać:

Jestem Sara

Na-Barno potrząsnął nią i ukłął, maskując irytację uśmiechem.

– Czasami trudno nakłonić ducha do współpracy.

Jeszcze raz wykreślił pytanie. Ręka odpisała dużymi literami:

Jestem Sara

Georgiana odchrząknęła i uniosła brwi, spoglądając na ojca.



Sara jęknęła.

– Saro! – krzyknęła Kucharka. – Co zyskujesz tym, że mu się sprzeciwiasz?

Sara spojrzała na nią zaczerwienionymi oczami, które płonęły jak węgielki w jej twarzy.

– Co zyskuję, sprzeciwiając się okrutnemu oprawcy? – warknęła powoli. – Wszystko. Siebie.



Na-Barno ukradkiem ukłuł rękę szpilką, przytrzymując ją, kiedy drgała z bólu.

– Spróbujemy jeszcze raz! Może zadamy jakieś łatwiejsze pytanie, takie, które w mniejszym stopniu wystawi na próbę jej wolę – powiedział, a potem przeliterował słowa wypisywane na dłoni: – Jakiego koloru jest niebo?

Jestem Sara

Lucy zrobiło się niedobrze, umysł zaczął płątać jej figle, przywołując wspomnienia zapachu pieczonych ciastek i pełnego sympatii spojrzenia, gdy Kucharka zdejmowała jej delikatnie smolny plaster z twarzy – spojrzenia oczu w tym samym kolorze co szarozielony kamień pierścienia na ręce na scenie.

Lucy przywykła do robienia złych rzeczy. Przywykła do kłamania, oszukiwania, kradzieży, uciekania. Dzięki temu mogła przeżyć. Ale choć miała wgląd jedynie w strzępy swojej przeszłości, nie kojarzyła tego uczucia – wrażenia, że uczyniła coś naprawdę złego, gorszego niż występki czy przestępstwa: coś fundamentalnie nikczemnego.

Ludzie wokół niej wpatrywali się w milczeniu w Na-Barno, a Lucy doszła do wniosku, że na chwilę musiała przestać zwracać uwagę na

to, co dzieje się na scenie, bo magik trzymał dłoń kikutem w dół nad płomieniem świecy.

Lucy usłyszała, jak z gardła wydiera się jej okrzyk: „Nie!!!”, jednak utonął on w głośnym pomruku widzów.

– Czasami trzeba ją rozgrzać! – zawołał Na-Barno.



Sara krzyknęła i zwinęła się na łóżku, tuląc do siebie kikut. Tak mocno zacisnęła zęby, żeby powstrzymać wrzask, że mięśnie szczęki napięły się, oczy wybałuszyły, a żyły na skroniach nabrzmiały tak, jakby zaraz miały pęknąć.

– Dziecko! – jęknęła Kucharka, nie mogąc patrzeć na jej cierpienie.

Wyciągnęła rękę, a wtedy Sara zaczęła się krztusić z bólu i po policzkach popłynęły jej łzy.

– Gorąco! – Załkała. – Pali!

– Saro... – szepnęła Kucharka.

– Dość – jęknęła Sara, opadając na poduszki. – Mam dość. Wygrał.



Dłoń zamachała i Na-Barno cofnął ją znad płomienia, który zmatowił lustrzane zakończenie kikutu.

– Nareszcie jest gotowa! – wrzasnął. – Duch się obudził!

Położył rękę na czystej kartce i wsadził ołówek między palce.

– Kolejne pytanie! Może jakiś prosty rachunek?

Ktoś z tyłu widowni zażądał wyniku mnożenia trzy razy sześć. Na-Barno nakreślił znaki na ręce i się odsunął. W lustrze ukazała się dłoń pisząca liczbę osiemnaście.

Rozległ się aplauz.

– Jeszcze jeden! – krzyknął magik.

Ktoś rzucił pytanie, ile to będzie siedem razy dziesięć, i ręka napisała: SIEDEMDZIESIĄT.

Aplauz był jeszcze głośniejszy.

– Może coś z innej dziedziny? – zaproponował Na-Barno zaczerwieniony z euforii. – Duch jest wyjątkowo przychylny!

– Jaki trunek robi się z jabłek?! – zawołała kobieta stojąca przy Lucy. Na-Barno napisał pytanie na dłoni, ta zaś wykreśliła na kartce słowo: CYDR.

Tłum szalał.

– Może więc jeszcze raz zapytam, kim jestem? – wrzasnął Na-Barno.

Tłum ryknął:

– Tak!!!

Na-Barno napisał pytanie szpilką na wierzchu dłoni. Dłoń nie poruszyła się.

Dziobnął ją ostrym końcem szpilki. Dłoń drgnęła i zaczęła pisać:

Wrogiem

Publiczność wydała zbiorowy jęk zdumienia.

Na-Barno uśmiechnął się krzywo i błyskawicznie wymienił spojrzenia z Georgianą. Dziewczyna wskazała brodą szpilkę. Dźgnął mocniej.

Tłum wydał z siebie długie:

– Ooch!

Tym razem gest był widoczny, a na kartkę spadła kropla krwi.

– Ona nie czuje bólu – szybko zapewnił Na-Barno. – Nie tak jak wy. Ona potrzebuje tylko trochę... pobudzenia!

Lucy poczuła mdłości.

– Kto...? – zaczął Na-Barno, ale zanim zdołał dokończyć wodzenie szpilką po skórze, ręką wstrząsnęły drgawki i zaczęła stawiać zamaszyste litery:

Jestem Sar Falk

Pomineła A, ale w Lucy coś pękło tak gwałtownie, że aż poczuła trzask w środku. I nagle, jakby pchnięta jakąś siłą, rzuciła się naprzód.

Już w biegu obliczała swoje szanse – miała po swojej stronie mrok, bo Na-Barno, chcąc stworzyć efekt dramatyzmu, zgasił wszystkie lampy, zostawiając jedną, której światło padało na papier. Do tego ludzie na widowni byli oszołomieni i w większości co najmniej podchmieleni.

Lucy porwała kapelusz z głowy jakiegoś mężczyzny i cisnęła nim w stronę sceny. Kapelusz uderzył w świecę, gasząc ją. Namiot na moment zatonął w całkowitej ciemności. Zanim ktokolwiek zareagował, zanim ktokolwiek zorientował się, że to nie część przedstawienia, Lucy przeskakiwała już osłonięte latarnie u stóp sceny. Z rozpędu pchnęła Na-Barno ramieniem i poczuła, że mężczyzna przewraca się ze stęknieniem. Zaczęła szukać po omacku ręki i na moment ogarnęła ją groza, bo nie mogła jej znaleźć.

A potem Georgiana krzyknęła:

– Światła! – i w tej samej chwili palce Lucy natknęły się na dłoń w rękawiczce. Chwyciła ją, przycisnęła do piersi i rzuciła się ku wyjściu. Potknęła się i zatoczyła przy wtórze ryku widowni, poczuła dotyk usiłującej schwytać ją po omacku Georgiany, a ostre paznokcie dziewczyny drapnęły ją w policzek, o włos omijając oko. W sekundę później wolna przebiegła pomiędzy kłapami i wpadła w wąską uliczkę pośród namiotów, ścigana krzykami Georgiany. Ktoś odsłonił latarnie i namiot rozjarzył się światłem.

Wiedząc, że lada moment do wszystkich dotrze, co się stało, zatrzymała się i zaczęła na goniącą ją Georgianę.

– Ty?! – wrzasnęła Eagle’ówna. – Ty...!

Lucy uderzyła ją. Pierwszy cios uciszył dziewczynę. Drugi, mocniejszy, pozbawił ją przytomności.

Lucy wyprysnęła w noc spokojniejsza, że jej główny łowca został chwilowo wyeliminowany. Kluczyła pomiędzy linkami i kołkami, a potem przepychała się przez gęste jeszcze grupki gości w stronę wozu Pyefinchów.

Spodziewała się, że prawdopodobnie będzie zmuszona spędzić parę nocy pod gołym niebem, i dlatego ukryła koc oraz trochę zapasów. To właśnie po nie teraz biegła, ponieważ nie tylko uciekała, ale też była ścigana, więc tym bardziej potrzebowała jakiegoś zaplecza, mając

w perspektywie trwające nie wiadomo jak długo omijanie głównych szlaków.

Poczuła, że ręka drgnęła i zaczęła wykręcać się z jej uścisku, toteż przytuliła ją mocniej do piersi.

– Ciii – uspokoiła ją, a potem zastanowiła się, po co w ogóle mówi.

Z tyłu, zaledwie kilka namiotów za sobą, usłyszała rwetes i i okrzyki:

– Łapać złodzieja!

Uskoczyła pomiędzy dwa pojazdy na skraju obozowiska i wreszcie dopadła wozu Pyefinchów. Obiegła go, po czym zatrzymała się przy beczce. Sięgnęła za nią zadowolona, że odgłosy pościgu zdają się od niej oddalać. Była uciekinierem doświadczonym na tyle, by wiedzieć, że teraz uda jej się zniknąć w ciemności, a zanim nadejdzie świt, znajdzie się już wiele mil od cyrku.

Dotyk metalowej obręczy i zgrzyt zamka były bardziej niż rozczarowujące.

Usiłowała wyrwać rękę, ale została złapana.

– Spokojnie, dziewczyno – usłyszała znajomy głos.

Odwróciła się i zobaczyła Charliego, który patrzył na nią z dziwną miną.

Zanim się odezwała, zza beczki wyłoniły się jeszcze dwie postaci – jego rodzice.

– Nie urwij ręki, zrobisz sobie krzywdę – rzekł pan Pyefinch. – Zostałaś schwytana i nigdzie nie pójdziesz.

Lucy milczała, wstrząśnięta widokiem długich noży w dłoniach Charliego i Rose oraz garłacza, który trzymał pan Pyefinch.

– Gdziekolwiek zamierzałaś uciec z moim kocem i jedzeniem, zapomnij – oznajmiła Rose. – Nie jesteś tą, za którą się podajesz, a w okolicy kręci się ktoś, kto chętnie sypnie złotem w zamian za dostarczenie dziewczyny podobnej do ciebie.

Patrzyli na nią. Lucy zdawała sobie sprawę, że dyszy jak zwierzę w pułapce.

– Spójrz prawdzie w oczy, panienko – powiedział Charlie. – Zostałaś złapana.

.

ROZDZIAŁ LXIII

Zgubne spotkanie przy księżycu

Kruki nie są zwykle ptakami nocnymi, ale Kruk nie był zwykłym ptakiem i zasadę tę, pośród innych, do których stosowały się stworzenia latające, ignorował. Siedział na dachu budynku naprzeciwko domu Mountfellona przy Chandos Place i obserwował. Obserwował za dnia, w deszczu i w słońcu, oraz w nocy przy świetle księżyca. Aktualnie tkwił ukryty w cieniu komina, skąd cieszył się świetnym widokiem, który zapewniała poświata nowiu. Każdy szczegół ulicy był uwidoczniiony niesamowicie dokładnie, mimo północy wręcz makabrycznie wyraźny, choć obraz był całkiem pozbawiony barw.

Obywatel przemknął z domu do karety, nieomal nie burząc bezruchu scenerii. Kruk jednak dostrzegł cień ruchu w szczelinie pomiędzy jednymi i drugimi drzwiami, a potem dodatkowo drgnięcie budy powozu, który leciutko ugiął się na resorach pod nikłym ciężarem wysuszonego starca. Wozak strzelił batem i kareta pomknęła ulicą na wschód. Kruk rozpostarł skrzydła i uniósł się w powietrze, sunąc cicho za odjeżdżającymi.



Alp pojawił się, jak było ustalone, u drzwi domu przy Golden Square. Odzwierny nie pytał o jego nazwisko, a Alp też go nie podał. Nie zostało wypowiedziane żadne słowo. Sługa wskazał drogę po schodach do reprezentacyjnego salonu tej niegdyś pięknej rezydencji. Adamaszkowe tapety zaczęły pleśnieć i odrywać się od ścian, a kandelabr u sufitu został osłonięty muślinem upstrzonym teraz przez ptaki, które musiały dostać się tu w przeszłości, kiedy od czasu

do czasu otwierano okiennice, by przewietrzyć wnętrze. Z panującego zaduchu można było wnioskować, że ostatnia taka sytuacja miała miejsce dawno temu. Ogołocony z dywanów parkiet, kiedyś zadbane i wyfroterowany, pociemniał, a deszczułki rozeszły się i wypaczyły. Zepchnięte pod ściany meble osłaniały płachty, podobnie jak ta na lampie zabrudzone guanem. Na środku ustawiono szeszląg oraz stolik karciany z dwoma krzesłami. O szeszląg oparto deskę, mniej więcej trzy stopy na cztery, a obok niej ustawiono kilka kamiennych odważników z metalowymi uchwytami, takich, jakich używa się do ważenia worków z kukurydzą.

Sługa postawił obok dzwonka na stoliku zapaloną świecę i wyszedł, zostawiając Alpa sam na sam z wielkością wyblakłego pomieszczenia.

Alp rozejrzał się, założył włosy za uszy i usiadł z twarzą jak zwykle kamienną.

Czekał cierpliwie w zakurzonej bezruchu mąconym jedynie upływem czasu.

Nie usłyszał, jak otwiera się sekretne przejście w boazerii, ale też nie podskoczył ani nie zdradził zaskoczenia, kiedy parkiet zaskrzypiał pod krokami Obywatela.

– Jesteś punktualny.

Obywatel mówił po niemiecku z austriackim akcentem. Alp odwrócił się do niego, a przez twarz przemknął mu cień zainteresowania, który szybko zniknął pokryty nawykową, nieprzenikniętą maską bezbarwności.

– Zaskoczony, że tak dobrze władam twoim językiem? – zapytał Obywatel, obchodząc go niczym kupiec oglądający kłacz.

Alp nie zareagował.

– Jestem w tym dobry. Uczyła mnie piękna kobieta. – Starzec się uśmiechnął. – Królewska piękność. Pomogła mi opanować te okropne gulgotliwe głoski, ale nie tylko...

Powiódł palcem wskazującym po gładkim podbródku Alpa.

– Nie tylko to. Zawarła ze mną układ. Moje życie za jej życie. Przekazała mi twój sekret, sekret twojej rodziny. Połóż się na szeszlągu.

Alp wstał posłusznie, podszedł do leżanki i położył się płasko na

plecach. Sięgnął na podłogę i ułożył sobie na piersi deskę. Jego oblicze nie zdradzało żadnych emocji, a wzrok błędził po zniszczonym ozdobnym suficie nad głową Obywatela, który ostrożnie wspiął się na deskę i ukląkł na niej, tak samo jak Alp klękał na piersiach swych ofiar.

– Myślała, że wykupuje życie swoje i swojej rodziny. Innasuka. Tak ją nazywaliśmy, wiesz? Po francusku to zabawna gra słów. *L'Autrichienne* znaczy „Austriaczka”, bo też nią była, ale brzmi tak jak *la autre chienne*, „inna suka”. Tak, Innasuka dostała swoje życie za moje i nic więcej. To dlatego tu jestem. A gdzieś tam zapewne jest i ona, w ukryciu, zapomniana. Wreszcie zmęczy ją egzystencja bez luksusów i tytułów, a wtedy z pewnością umrze, choć wątpię, czy będzie miała na tyle silną wolę, by zakończyć życie z własnej ręki. I dlatego ty tu jesteś. Jej wielki sekret rodzinny.

Spoglądał z góry na Alpa z chciwością w oczach, która ostro kontrastowała z wystudiowaną obojętnością dusiołka. Wykrzywił się pogardliwie.

– Wszystko jest na sprzedaż, wszystko można przehandlować. Twoja rodzina przetrwała nie niepokojona, bo świadczyłeś usługi możliwym, którzy was chronili. Twoje przybycie do tego miasta jest płatną przysługą, jakby żetonem. Ja proponuję ci nowy układ, taki oto: zostaniesz tu, w tym domu, na mój koszt. Będziesz dyskretny. Dyspozycyjny. W zamian zapewnię ci młode kobiety, których nikt nie będzie szukał. Będziesz zabierał ich siłą w spokoju, bezpiecznie, nie bojąc się, że ktoś cię odkryje, a w zamian będziesz oddawał mi to, co im odbierzesz. Rób tak przez dwa lata, a dług twojej rodziny zostanie spłacony. Pięć, a jeśli plany moje i mojego przyjaciela zaowocują, cała twoja rodzina będzie mogła opuścić lasy, w których tak długo się ukrywa, i przyjedzie tu, żeby chadzać po ulicach Londynu w świetle dnia jako możni nowego porządku, ciesząc się szacunkiem i nie budząc trwogi. Co ty na to?

Alp milczał, wpatrując się w pergaminową twarz Obywatela. W końcu kiwnął głową.

– A więc umowa stoi. Nie przypieczętujemy jej uściskiem dłoni, bo w tej sytuacji lepszy będzie pocałunek.

Obywatel sięgnął do stolika i zadzwonił. Drzwi otworzyły się tak szybko, że jasne było, iż odźwierny czekał na wezwanie.

Wzdrygnął się na widok tego, co zastał w komnacie, ale szybko się otrząsnął i podszedł, gdy Obywatel przyzwał go gestem.

– Wiesz, kim jestem? – wychrypiał starzec.

– Nie, panie. Widzę cię po raz pierwszy w swoim życiu – odparł sługa, uznając najwyraźniej, że najlepszym sposobem na poradzenie sobie z dziwnością sceny będzie zignorowanie jej i skupienie wzroku jakąś stopę ponad głową rozmówcy.

– Dobrze. – Obywatel się uśmiechnął. – Bądź tak miły i połóż te odważniki na desce. Jestem za słaby, żeby zrobić to samemu.

Odźwierny skinął, a potem stęknął, unosząc pierwszy kamień.

Alp nabrał tchu i zatrzymał go. Ciężar na jego piersi rósł, ale nawet gdy zdawało się, że słychać trzeszczenie żeber, dusiołek trzymał oddech w płucach, mocno zaciskając wargi. Kiedy odźwierny, dysząc ciężko, schylił się, by podnieść ostatni odważnik, Obywatel powstrzymał go, wyciągając do niego rękę ze skórzaną sakiewką.

– Powiedziałeś komuś, że będziesz tu dzisiaj w nocy?

– Nie, panie – odpowiedział sługa, nie spuszczając wzroku z sakiewki.

– Zrobiłeś tak, jak kazałem ci w liście?

– Tak, panie. – Odźwierny głośno przełknął ślinę.

– I nigdy nie powiesz nikomu, co tu widziałeś?

– Nie, panie. Nie puszcę pary z ust – zapewnił sługa, lekko mrugając. Obywatel uśmiechnął się, a migotliwy płomyk sprawił, że przypominało to grymas kostuchy.

– Wobec tego weź. To twoja zapłata.

Odźwierny sięgnął po sakiewkę.

Kiedy miał ją w ręce, Obywatel złapał go za nadgarstek, pociągnął i wytrząsnął ze swojego rękawa brzytwę.

– C...? – zdążył wykrztusić sługa, a reszta jego wypowiedzi utonęła w gulgocie, bo Obywatel szybkim ruchem oddzielił jego tchawicę od krtani, przecinając jednocześnie tętnicę szyjną. Odepchnął go błyskawicznie, tak że sługa runął na krzesło, usiłując zatkać dłońmi wielką ranę, z której tryskała krew.

Alp obserwował scenę niewzruszony. Obywatel patrzył, jak pięty umierającego spazmatycznie uderzają o parkiet.

– Skłamał. Wszyscy ludzie kłamią. Powiedziałby komuś. To wszystko wydało mu się zbyt dziwne, żeby się tym nie podzielić – rzekł, pewnym ruchem strzepując krew z ostrza, po czym złożył brzytwę i schował ją w rękawie. – Pesymista powiedziałby, że go zabiłem. Optymista, że pomogłem mu dotrzymać obietnicy. A ty, przyjacielu, nic nie powiesz, prawda?

Alp zwrócił na niego oczy, niezdrowo wybałuszone na skutek powstrzymywania oddechu.

– No dobrze. Jestem naprawdę znużony. Daj mi życie.

Obywatel podniósł ostatni odważnik, położył go na desce przy kolanach i pochylił się, przekręcając głowę tak, by objąć ustami jednocześnie wargi i nos Alpa. Zaczął wdychać niekończący się oddech, który Alp wypuszczał z płuc.



Kruk siedział w uliczce przy wielkim domu.

Noc była cicha.

A uliczka przebiegała tak blisko ogromnego salonu, że usłyszał perlisty, silny, pełen żywotności śmiech i głos Francuza, który oznajmił pełną piersią:

– Jestem młody! Znowu jestem młody!

ROZDZIAŁ LXIV

Wymiana ze sluagh

Lucy szarpała ręką, ale ta była mocno przykuta do beczki. Wściekła i przerażona dziewczyna postanowiła nie zdradzać tych uczuć Pyefincom, którzy, jak się okazało, zdradzili ją, potwierdzając jej najgorsze przewidywania. Przeklinała się w duchu za rezygnację z czujności i polubienie ich. Ta sama słabość ściągnęła jej na głowę kłopoty z Georgianą. Normalnie nie ulegała tak łatwo wpływom. Zastanawiała się nawet, czy miało to coś wspólnego z dziurami w pamięci. No bo skoro pamiętała tylko pół życia, może też mogła polegać tylko na połowie swych sił.

– Co wy robicie? – zapytała, udając spokój. – Dlaczego?

– Idziesz z nami – rzekł Charlie.

– Zacznę krzyczeć – zagroziła. – Puśćcie mnie.

– Nie będziesz krzyczała – stwierdziła Rose ze spokojem, wpatrując się w ciemność poza światłami obozowiska. – Jeśli narobisz zamieszania, natychmiast przybiegną tu Eagle’owie i odbiorą ci twoją cenną rękę.

Lucy zaśmiała się na to gorzko.

– Myślisz, że nie oddałabym jej za wolność? – Łypnęła na broń w ich rękach. – Za życie?

Rose zeszywniała, jakby ujrzała coś w otchłannej nocy, po czym przyłożyła nóż do gardła Lucy.

– Ani słowa – syknęła.

Lucy dopiero po chwili uświadomiła sobie, że nie zwracają na nią uwagi. Wpatrywali się w mrok, spięci i na coś przygotowani.

Nagle dwa fragmenty mroku się poruszyły, a z czerni wychynęli dwaj Sluagh. Ich tatuaże wyglądały jak zrobione z ciemności, a złowrodzy przybysze sprawiali wrażenie, jakby na światło wydostali

się z samego serca nocy. Lucy spostrzegła, że są to mężczyźni odziani w płaszcze z pozszywanych skór zwierzęcych, zapięte niewielkimi kośćmi. Wyższy niósł groźne hakowate ostrze z brązu, w którym odbijały się odległe światła cyrku. Drugi miał na głowie niemodny piróg, niegdyś czarny, teraz zielonkawy od pleśni, który zamiast rozety ozdabiała girlanda ptasich czaszek. Trudno było orzec, jaką miał minę, bo tatuaże nadawały jego obliczu złowrogi wyraz, ale jego głos brzmiał ponuro i groźnie.

– Dziewczyna. – Wskazał na Lucy.

Na jego widok Lucy przeszył ostry pocisk wspomnienia, niewyraźny obraz kogoś podobnego odzianego w skórki, obwieszono kośćmi, kto przekazał ją w Londynie temu oprychowi Ketchowi. Wspomnienie to wyłoniło się z jednej z czarnych dziur w pamięci. Wyglądało na to, że Pyefinchowie zamierzają oddać ją temu wytatuowanemu nie do końca – a może nie tylko – człowiekowi.

– Co chcecie z nią zrobić? – zapytał Pyefinch, mierząc lufą garłacza to w jednego, to w drugiego.

– Zapłacimy wam za nią – rzekł ten z ostrzem, wyjmując z kieszeni sakiewkę, w której podzwaniały monety. Potrząsnął nią. – Złotem.

– Co chcecie z nią zrobić? – powtórzył Pyefinch.

Piróg podszedł i popatrzył mu twardo w oczy, a potem przeniósł spojrzenie na Rose. Rose nie uciekła wzrokiem. Lucy zauważyła, że przez twarz kobiety przebiegł cień niepokoju, a potem jej oczy zasnęła matowa mgła senności. Nim Lucy zdążyła zdecydować, czy lepiej będzie coś powiedzieć, czy też milczeć, Sluagh skupił się na Charliem, którego głowa opadła sennie nawet szybciej, niż stało się to w wypadku jego matki. Lucy spuściła wzrok, skupiając spojrzenie na stopach. Nie zamierzała dopuścić, by nieznajomy zrobił z nią to, co z resztą.

– Handel to handel. Obiecaliśmy zapłatę w złocie – podjął Piróg, występując naprzód. – Wy,ienne istoty, jesteście chciwi złota, które kojarzy wam się z oślepiającym, żółtym słońcem, a my wam je dajemy. Ale jeśli czegoś od nas chcecie...

Pyefinch powstrzymał go, celując do niego z garłacza.

– Jak na przykład odpowiedzi? – zasugerował.

– Jak na przykład odpowiedzi – potwierdził Sluagh. – Też musicie nam zapłacić. W srebrze, oczywiście, bo srebro to metal księżycy, a my żyjemy nocą.

– A jeśli nie macie księżycowego metalu, możecie nam dać tę dziwną rękę – rzekł drugi pochlebczym tonem. – Dajcie nam rękę, a wam odpowiemy.

Uśmiechnął się do Pyefincha i po chwili odstąpił, zadowolony z mętnego wyrazu, jakiego nabrały jego oczy.

– Teraz już wszyscy znajdują się we władzy naszej woli – powiedział. – Zobaczymy, czy mają dla nas srebro.

– Ale rękę weźmiemy i tak – stwierdził drugi.

– Nie potrzebujemy jej.

– To dłoń naszego wroga. Spójrz na pierścienie. Możemy ją spalić. W ten sposób jej właściciel nigdy nie zostanie uleczony i zadamy kolejny cios Nadzorowi.

– Spalimy ją, dobrze. – Ten z ostrzem się ucieszył. – Albo obedrzemy ze skóry.

– Albo jedno i drugie – zgodził się jego towarzysz. Kiwnął na Pyefinchów i Lucy. – A co z nimi?

– Bierzemy dziewczynę. Słucha, ale na nas nie patrzy. Oddamy ją Templebane’om. Resztę zarżniemy. Inne dnołazy pomyślą, że to ona ich zabiła, a potem uciekła.

Lucy szarpnęła ręką w kajdanach, lecz na próżno. Nie mogła uciec. Będzie musiała patrzeć na rzeź Pyefinchów. Nadal nie rozumiała, dlaczego ją schwytali, bo nie pasowało jej wytłumaczenie, że zrobili to tylko po to, by oddać ją owym dziwnym istotom, a nie umiała znaleźć innego powodu. Czuła się zagubiona, bała się. Trąciła Rose, która zdawała się tego nie zauważyć – wyglądała, jakby spała na stojąco.

– Czysta robota. – Piróg się ucieszył, sięgnął pod łaciaty płaszcz i dobył sierpowatego ostrza. – Weźmiemy dziewczynę, a wina spadnie na nią.

– Czekał... – zawahał się pierwszy.

– Czekać? – zdumiał się Piróg.

– Było ich czworo...

Lucy rozejrzała się wokół. Charlie zniknął.

Po raz pierwszy Sluagh wyglądali na mniej pewnych siebie. Usiłowali przebić wzrokiem otaczające ich ciemności, tak jak wcześniej robili to Pyefinchowcie.

Rose podniosła głowę. Maskę otępienia spadła z jej twarzy, zastąpiona twardą, chłodną miną.

– Wydaje się, że jesteście nieco rozzarowani – stwierdziła.

– Jak to? – Piróg odwrócił się do swojego towarzysza. – Myślałem, że nagiąłeś ich do swojej woli?

– Moja wola jest nieugięta – rzekła Rose. – Taka już jestem. – Odwróciła się do Lucy. – Nie patrz na to – nakazała z ogromną powagą, a choć Lucy nie zwykła robić tego, co jej przykazywano, tym razem posłusznie zamknęła oczy.

Odgłosy tego, co się działo, były chyba gorsze niż widok, choć wszystko skończyło się szybko. Było słychać jęk, szelest ubrania, jak gdyby ktoś szybko się poruszał, a potem dźwięk przypominający siekanie tasakiem kapusty, pomruk zaskoczenia i chrapliwy głos Sluagh:

– Ale jak...?

Rozległy się głośnie łupnięcia i odgłos czegoś szybko przecinającego powietrze, zakończony brzękiem i gulgotem. Potem na sekundę zapadła całkowita cisza, zmącona wreszcie łoskotem dwóch ciał upadających na trawę.

– Już po wszystkim – oznajmił Charlie. – Ale i tak nie przypatruj się zbyt dokładnie, jeśli masz słaby żołądek.

Lucy otworzyła oczy. Rose pochylała się nad zwłokami jednego ze Sluagh, wycierając ostrze o skórkową kamizelę. Na szyi leżącego czerniała się głęboka rana. Charlie wyciągał swój nóż z piersi drugiego Sluagh, którego pięty jeszcze drgały na trawie.

– Nie patrz na to – poradził jej Pyefinch, ścierając coś z kolby garłacza. – Nie ma co psuć sobie oczu rzezią.

Pyefinchowcie spojrzeli na siebie.

– Paskudna robota – powiedziała Rose.

– Będzie paskudna tylko wtedy, kiedy inni Sluagh się dowiedzą, co zrobiliśmy – stwierdził jej mąż, zarzucając sobie broń na ramię. Następnie schylił się i złapał jednego z trupów za kołnierz. –

Tymczasem wrzucimy ich do wody.

Rose zajęła się drugim i po chwili oboje zniknęli w ciemności, wlekąc ciała Sluagh. Charlie spojrzał na Lucy.

– Nie wiem, co chcieli z tobą zrobić ani kim są ci Templebane’owie, ale teraz już wiesz, co chcieliśmy osiągnąć, łapiąc cię.

– Myślałam, że zamierzacie im mnie oddać – wykrztusiła Lucy, czując, jak kręci jej się w głowie. – Myślałam, że weźmiecie ich złoto.

– Ich złoto nigdy nie jest złotem. Wciskają tępakowi garść kamyków czy żołądzi, a ten sądzi, że to złoto, przynajmniej dopóki czarny urok nie przeminie.

– Próbowali ogłupić twoich rodziców. Widziałam, jak udawali...

– Nas nie tak łatwo ogłupić. Dobra, nie ma czasu na pogaduszki.

Eagle’owie w końcu tu dotrą, a całe stado Sluagh to nic wobec piekła, które robi Georgiana, kiedy cię dopadnie. Masz teraz wybór. Zdejmę ci kajdanki. Możesz uciec albo iść ze mną. Tata ma plan, jak cię ochronić. – Bez dalszego gadania uwolnił ją. – Jeśli chcesz uciekać, kieruj się w tamtą stronę i omijaj lasy. Trzymaj się otwartych przestrzeni i idź tylko za dnia, unikając zarośli. Myślę, że jest ich tu więcej, a nie lubią nieosłoniętych miejsc, potrzebują cienia jak w młodnikach czy zagajnikach.

Uśmiechał się tak samo jak dawniej, jak Charlie, którego Lucy polubiła, nie jak ten nowy, z nożem.

– W porządku – odezwał się. – Myślę, że potrafisz się poruszać tak szybko jak ja, więc nie zostawaj w tyle.

Omiał nie czmychnęła w tym momencie, bo zachowywał się, jakby uznał za pewnik, że mu zaufała, a tak nie było. Ale nagle zaczął pędzić, a ona za nim, poruszając się u jego boku szybko, lecz bez pośpiechu. Dziwne to było uczucie: tak gnać naprzód, przesadzając rowy i krzaki z kimś, kto dotrzymywał jej tempa. Świat wokół nich stał się niewyraźną smugą. To też było niesamowite uczucie.

Do niskiego mostu dotarli w chwili, gdy Rose spychała drugiego Sluagh do strumienia. Trup wpadł do kanału, sycząc, a nad powierzchnią uniosły się czarne wężyki dymu. Potem lustro wody zamknęło się i wyrównało, znów odbijając blask księżyca. Czarne dymy przez chwilę układały się na srebrzystym tle w esy-floresy

przypominające tatuaże, jakby woda uwolniła z ciał rysunki, które stworzyły filigranową trójwymiarową klatkę w kształcie postaci. Szybko jednak straciły formę, rozwiewając się na wietrze.

– Niech ich noc pochłonie – rzekła Rose cicho, a potem odwróciła się do Lucy i Charliego.

– Wskakujcie pod most – odezwał się Pyefinch. – Musimy porozmawiać.

Pod mostem, przy przęśle, leżała kłoda, na której usiedli. Pan Pyefinch zaczął się wpatrywać w górę strumienia, jakby czegoś wyglądał. Rozmowa rozpoczęła się od pytań, których Lucy tak się obawiała.

– Kim jesteś? – zapytała Rose.

– Kim wy jesteście? – zrewanżowała się Lucy.

– Nie nazywasz się Sara Falk – ciągnęła Rose. – Nigdy nią nie byłeś, nie dla nas. Nie jesteś prawdziwą Sarą. Choć imię jest jak płaszcz i jeśli już jakieś kraść, równie dobrze można przybrać porządne, to fakt.

Mimo że podobnie jak mąż wypatrywała czegoś w mroku, położyła przyjacielsko rękę na ramieniu Lucy, dając jej do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. Lucy poczuła tę rękę, a także inną, którą przyciskała do piersi. Ta druga wydawała się bezwładna, jakby pozbawiona życia, choć dzięki temu, że była nieruchoma, dało się wyczuć echo pulsu.

– Nazywam się Lucy Harker – zaczęła dziewczyna, a potem wylała się z niej cała opowieść od chwili, gdy została przyniesiona na Wellclose Square. Nie zataiła niczego, nawet tego, że miała dziury w pamięci, ani tego, że usiłowała ukraść coś z biblioteki Sary Falk, która próbując ją ratować przed wpadnięciem w lustro, straciła rękę. Opowiedziała, jak mylnie wzięła tę dłoń za czarnego kraba pełznącego po podłodze namiotu podczas zamieszania towarzyszącego jej przybyciu. Powiedziała to wszystko, bo kiedy już zaczęła, nie była w stanie powstrzymać powodzi słów, a kiedy w końcu umilkła, poczuła, jakby nagle spadło ciśnienie rozsadzające jej czaszkę.

Wszyscy przez chwilę siedzieli w ciszy.

– Mogę zobaczyć tę rękę? – zapytała Rose, podczas gdy jej mąż nabijał fajkę.

Lucy podała jej dłoń i obserwowała, jak kobieta wychodzi spod osłony mostu, by lepiej widzieć w świetle księżyca. Rose długo przypatrywała się dwóm pierścieniom, a potem weszła z powrotem pod mostek i oddała rękę.

– Lew i jednorożec – rzekła do męża. – A Sara Falk nigdy nie zdejmuje rękawiczek.

– A więc to tak – mruknął, dobywając z kieszeni zapalniczki. Kiedy przypalał fajkę, spojrzał pytająco znad płomyka na żonę.

– Więc to jeszcze nie koniec? – Westchnęła. – Mieliśmy rację, trzymając się przez tyle lat z dala od Nadzoru. Dawnymi czasy ta dziewczyna nie zbliżyłaby się do Czerwonej Biblioteki nawet na milę, nie mówiąc już o wyniesieniu z niej czegokolwiek. Wolne Bractwo jest zagrożeniem dla takich jak my, nie zapewnia żadnej ochrony. Nie zapewnia jej od dawna, od Katastrofy.

– Od Katastrofy sprawy mają się źle, a sami ją na siebie ściągnęli – przytaknął Pyefinch, zaciągnął się fajką i wypuścił dym.

– Jakiej Katastrofy? – dopytywała się Lucy. – Co to było, ta Katastrofa?

Pyefinch spojrzał na żonę. Rose wzruszyła ramionami i znów zapatrzyła się w mrok.

– Nic się nie stanie, jak się dowie. Może ma do tego prawo, mimo że jest złodziejką. Może jej opowieść się z tym wiąże.

– Może dlatego jest złodziejką – stwierdził Charlie. – Okradanie dla przeżycia to coś innego niż robienie tego z chciwości. Nie wydaje mi się, żeby była chciwa. Umie ciężko pracować.

– Cóż – zaczął Pyefinch. – W skrócie wygląda to tak: jakieś trzydzieści lat temu, kiedy byłem smarkaczem, a Francuzi usiłowali zabić mnie i moich towarzyszy na polach bitewnych Europy, sprawy wyglądały dość kiepsko. Widzisz, nikt nie mógł pojąć, jakim cudem Napoleon z nikogo stał się nagle wielkim wodzem, zwycięskim wojownikiem. Bo musisz wiedzieć, że był podejrzanym typem, nie pochodził z bogatego czy potężnego rodu. Do czasu, aż skończył dwadzieścia trzy lata, wydawał się całkiem zwyczajnym młodzieńcem, tak mówiono. I wtedy nagle coś się zmieniło, a stało się to zbyt szybko, jak na normalne okoliczności. Zwróciło to uwagę ludzi

pilnie obserwujących, co dzieje się za morzem: uznali, że być może nie doszedł do władzy zwykłą koleją rzeczy. W zasadzie wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że choć on sam nie posiadał nadludzkich mocy, pomagali mu ci, którzy nimi dysponowali. A używanie ponadnaturalnych mocy, by czerpać korzyści w ludzkim świecie, jest srogo zabronione, tak jak było zabronione przez całe wieki...

– Nie ma czasu na przedstawienia – przerwała mu Rose. – Barka będzie tu lada chwila. Opowiedz skróconą wersję.

Pyefinch westchnął z żalem i postukał fajką o obcas.

– Krótko mówiąc, żabojadom szło tak dobrze, bo ich Nadzór, zwany Paladynem, został zniszczony przez rewolucję... – Splunął z obrzydzeniem na ziemię, choć trudno było wyczuć, czy to tytoń spowodował niesmak w ustach, czy może wspomnienia. – Są tacy, którzy twierdzą, że to Paladyn wywołał rewolucję, ale trudno mi się pogodzić z myślą, że mogli być aż tak zdeprawowani, żeby w okresie Wielkiego Terroru ścinać ludziom głowy. W każdym razie pozostali członkowie Paladynu byli do tego stopnia zepsuci, że poparli Napoleona. Może myśleli, że chwilowe złamanie Nadrzędnej Zasady, zabraniającej czerpania korzyści z ponadnaturalnych sił w normalnym świecie, będzie usprawiedliwione, jeśli dzięki temu staną na nogi. Tak więc i w armii, i we flocie znaleźli się ludzie władający ponadnaturalnymi mocami, dzięki czemu kampania szła im tak dobrze. To już samo w sobie było złe. Co gorsza, powstał plan zniszczenia Londynu w jednym ataku. – Zassał żar w tytoń i z zadowoleniem zaciągnął się dymem. – Nadzór nigdy nie angażował się w brytyjskie wojny. Stanowiło to ich punkt honoru i było niezwykle ważne dla bezpieczeństwa wszystkich. Bo jeśli raz przekroczy się tę granicę, może się to skończyć Wielkim Terrorem, gilotynami i samym Bonapartem. Plan ataku został jednak odkryty i stało się jasne, że jeśli mu się nie zapobiegnie, oznaczać to będzie koniec Anglii, a nasza wolność rozpadnie się w pył jak kawałek kredy z Dover. Dlatego Nadzór przeprowadził głosowanie. W jego wyniku zdecydowano, że ten jeden raz Wolne Bractwo włączy się w walkę. Wydawało im się to zapewne sprawiedliwym rozwiązaniem, skoro mieli walczyć z innymi ludźmi o ponadnaturalnych mocach. Pewnie

powtarzali to sobie, żeby usprawiedliwić czymś złamanie Nadrzędnej Zasady, bo wojna to paskudna sprawa, trudno jest utrzymać się przy życiu, a co dopiero się zastanawiać, kogo i w jaki sposób można zgładzić.

– Ale w sprawę był włączony szpieg. – Rose przejęła narrację, nie spuszczać wzroku z rzeki, na której w oddali pojawił się ciemny kształt. Płynęła w ich stronę łódź z przyciemnioną latarnią na płaskim dziobie. – Nasz szpieg. Znał sposób na przerzucenie Nadzoru na statek francuski.

– Przez kanał płynął okręt, którego załogę tworzyli członkowie Paladynu i im podobni ludzie. Plan był taki, żeby za pomocą luster przedostać się pomiędzy Francuzów i zaatakować ich zniemacka.

– W lustro weszło siedemnaście Rąk – ciągnęła Rose. – Osiemdziesięciu pięciu nieboraków, którzy przepadli jak kamień w wodę.

– Nie wiadomo nawet, czy dotarli na statek. – Pyefinch przejął pałeczkę, mrużąc oczy podrażnione fajkowym dymem. – Ponieważ to była pułapka.

– Był to nieomal koniec Nadzoru – kontynuowała Rose. – Zostało pięcioro członków, bo bez Ostatniej Ręki nie ma Nadzoru, a bez Nadzoru pewne istoty mogłyby szybko przejąć władzę.

– Byli też inni, nie członkowie, ale przyjaciele Nadzoru, którzy głosowali przeciwko włączeniu się do wojny – ciągnął Pyefinch. – A gdy wydarzyła się Katastrofa, postanowiliśmy trzymać się z dala od Wolnego Bractwa, bo wraz z życiem członków organizacja straciła również nasze zaufanie.

– Nasze? – powtórzyła Lucy.

– Mój ojciec miał moc – rzekł Pyefinch. – Ja? Już niewiele. Mam tylko silne oko, dzięki czemu takie stwory jak Sluagh nie mogą mnie omamić czarnym urokiem. Umiem też porwać widownię, ludzie słuchają moich opowieści tak, by nie uronić nawet jednego słowa.

– Ale Francuzi nie wygrali – przypomniał Charlie – a ty nigdy nie powiedziałaś dlaczego.

– Bo tego nie wiem. Nikt nie wie. Siedemnaście Rąk zapadło się pod ziemię, ale okręt francuski nigdy nie wpłynął Tamizą do Londynu.

Niektórzy uważali, że w ogóle nie istniał i że szpieg był podwójnym agentem, który wciągnął w pułapkę osiemdziesiąt pięć dusz, wyprowadził je w całkiem inne miejsce, może prosto w śmierć we wnętrzu wulkanu albo w głębinach oceanu. A mnie dwa lata później ranili w nogę pod Waterloo, w bitwie, w której ten sukinkot Bonaparte został w końcu pokonany. Nikt nie zna prawdy, ale wszyscy wyciągnęli wnioski. Nadzór przekroczył granicę i naruszył własne zasady.

– Od tamtej pory trzymamy się na uboczu i mamy ku temu dobre powody – podsumowała Rose. – Są słabi i nie można im ufać, nawet jeśli chcieli dobrze. A są też tacy, którzy uważają ich za bandę zdeprawowanych szubrawców. Ja jednak do nich nie należę.

Lucy nie zdążyła zapytać Rose o jej moc, bo Charlie trącił ją i wskazał na rękę Sary.

– Co chciałaś z nią zrobić?

– Oddać Sarze Falk – odparła Lucy machinalnie i w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że właśnie to zamierza uczynić.

Rose ujęła ją pod brodę, obróciła jej twarz ku księżycowi i spojrzała głęboko w oczy. Wtedy Lucy ujrzała dwa nikłe światelka sunące kanałem. Jedno rzucała latarnia trzymana przez mężczyznę prowadzącego brzegiem konia, który holował barkę, a drugie reflektor na dziobie barki.

Pyefinch wstał i rozprostował zeszywniałe nogi.

– Mówi prawdę – oświadczyła Rose.

– To dobrze. – Pyefinch skinął głową. – Niezłe z niej ziółko, ale polubiłem ją od pierwszego wejrzenia.

Wyszedł spod mostu i pomachał na barkę. Kobieta stojąca na pokładzie i mężczyzna prowadzący konia odmachali mu.

– Barka się nie zatrzyma, bo zbyt wiele oczu śledzi wody kanału, podobnie jak drogi, a te latarnie widać z daleka – zwróciła się Rose do Lucy. – Musisz wskoczyć na pokład w biegu. To nasi przyjaciele, zabiorą cię tam, gdzie trzeba.

– Ale... – chciała zaprotestować Lucy, dla której wszystko toczyło się zbyt szybko.

– Charlie pojedzie z tobą. – Rose pomogła jej wstać. – Jesteś szczerą,

ale masz mętlik w głowie. To może ściągnąć na ciebie zgubę.

– Charlie też posiada moc... – zaczęła Lucy.

– O tak. Będziecie mieli mnóstwo czasu, żeby o tym porozmawiać, ale nie teraz. Otwarta przestrzeń oznacza dla ciebie śmierć. Jedyne, co może powstrzymać Sluagh, to żelazo i płynąca woda. Nie schodźcie z barki, póki nie znajdziecie się w mieście. Tam za wami nie pójda, za dużo kanałów, podziemnych cieków i żelaza. Przynajmniej tak sądzę. Nigdy nie słyszałam, żeby kręcili się po dużych miastach.

– Będziemy czujni, dopóki nie dotrzemy do Kryjówki. – Charlie się uśmiechnął. – Zawsze chciałem zobaczyć, jak tam jest. Tyle opowieści słyszałem o tym domu.

Barka znajdowała się już parędziesiąt jardów od nich.

– No, synu – rzekł Pyefinch, wręczając mu garłacz. – Teraz staniesz się częścią Nadzoru. Oboje się nią staniecie. Stworzycie własną opowieść.

I już bez dalszych ceremonii wziął Lucy za rękę i podprowadził ją na brzeg. Kiedy mijał ich człowiek prowadzący konia, Pyefinch skinął do niego.

– Jestem ci wielce zobowiązany, Harry – oświadczył, a potem pomógł Lucy przedostać się na barkę.

Harry nawet nie zwolnił kroku, ale obejrzał się za siebie z uśmiechem.

– Rose, Barnabo. Nie martwcie się, zaopiekujemy się nimi – powiedział, unosząc rękę, i poszedł dalej.

Charlie wziął z rąk matki tobolek i wskoczył za Lucy na pokład.

I nagle dla ich dwójki barka zatrzymała się, a zaczął płynąć zalany poświatą księżycy brzeg. Rose szła jeszcze kawałek przy łodzi.

– Powiedz Sarze, że Rose Pyefinch nie żywi urazy, a dowodem niech będzie to, co jej przyniesiecie. I pamiętaj, Charlie, żeby dać znać, jak dotrzecie na miejsce. – Posłała synowi całusa.

– I jeśli nie zobaczymy się wcześniej, będziemy na ciebie czekali w zajeździe King Harry u zbiegu Mile End Road i Michaelmas... – Pyefinch w podziękowaniu pomachał milczącej kobiecie stojącej na rufie.

I tak oto barka wypłynęła spod mostu, unosząc Lucy i Charliego

w nieznane, w noc, coraz dalej od świateł obozowiska cyrkowców.

– Nigdy nie wspominałeś, że twój ojciec ma na imię Barnaba – powiedziała Lucy.

– Nie lubi się tym chwalić – odparł Charlie, patrząc na sylwetki rodziców ciemniejące na srebrnym tle rzeki obramowanym łukiem mostu. – Jest dziwny, jeśli o to chodzi.

.

ROZDZIAŁ LXV

Wędrowiec pomiędzy światami

Pan Sharp przechodził między lustrami. Choć nie wymagało to patrzenia pod nogi, zakręciło mu się w głowie, kiedy spojrzął przed siebie, a potem za siebie, na niekończące się szeregi lustrzanych odbić, które ciągnęły się aż do samego serca bezdni. Bo tak nazwał to w duchu.

– Wchodzę w bezdeń – powiedział do kulek z kości słoniowej, które trzymał przed sobą jak latarnię, tylko je bowiem miał za towarzystwo.

Usłyszał kliknięcie, kiedy wszedł w pierwsze lustro, i uznał, że musi to być kula „dom”, rejestrująca punkt startowy.

– W porządku – zwrócił się do niej. – Obyś zaprowadziła mnie z powrotem do domu.

Potem przestał rozmawiać z kulami, ponieważ usłyszał we własnym głosie tłumiony lęk, a także dlatego, że choć nie było w pobliżu nikogo, kto wzięłby go za szaleńca, mógł pomyśleć tak samo o sobie.

Najpierw zajrzał w lustro, w które jego zdaniem, opartym na ograniczonych informacjach udzielonych mu przez Kowala, mogła wpaść Lucy. Okazało się czarne.

Nie wiedział bowiem, że zostało usunięte ze szlaku w wyniku rozbicia na drobne kawałki, a jego odłamki leżały porzucone na kupie gnoju wraz z ziemią i innymi odpadkami. Zrezygnowany postanowił iść drogą okrężną i przechodząc z lustra w lustro, rozglądać się również na boki w nadziei, że coś zwróci jego uwagę.

Jednym z efektów podróży przez lustra było doświadczenie dziwnego biegu czasu. Sharp szedł i szedł, ale się nie męczył. A ponieważ nie było tu dnia ani nocy, szybko stracił poczucie upływu godzin. Inną, nową obserwacją był fakt, że zdawał się cienieć – nie

w sensie chudnięcia, tylko stawania się mniej materialnym, mniej gęstym, aż w końcu, kiedy uniósł rękę, był przekonany, że widzi przez nią na przestrzał.

– Czyżbym stawał się duchem? – zastanawiał się. Szedł, dopóki nie przyszło mu do głowy, że może im bardziej oddala się od punktu wejścia, tym bardziej robi się przeźroczysty.

Ponieważ nie miał pomysłu, gdzie zacząć szukać, skręcił na chybił trafił i przy wtórze kolejnego kliknięcia wszedł w boczny tunel.

Galeria odbić wyglądała identycznie jak poprzednia. Zrozumiał, dlaczego bez urządzenia z kulkami tak łatwo byłoby się zgubić w tej dżungli luster. Popatrzył pod nogi.

I w tym momencie naprawdę zakręciło mu się w głowie, gdyż podłoga i sufit także były lustrami, odbijającymi go od dołu i góry zwielokrotnionymi taflami niknącymi w nieskończoności.

Usiadł i zamknął oczy. Kucharka miała rację – ta wyprawa była szaleństwem. Powinien przełknąć dumę i wrócić. Powinien był wrócić już w chwili, gdy zobaczył, że lustro, w które miała wejść Lucy, jest ślepe. Zaiste był głupcem.

Kiedy otworzył oczy, zdał sobie sprawę, że coś się zmieniło. Światło było inne. Otchłanne tunele nie były już nieruchome – nieznacznie przeskakiwały.

Potem zrozumiał, że to nie tunele drgają, tylko zbliża się światło, i że efekt przeskakiwania wynika z ruchów niosącego je mężczyzny.

Bez namysłu dobył najdłuższego noża.

– Nie trzeba, przyjacielu – rzekł męski głos spoza blasku. – Patrz. Odkładam swój.

Niewyraźna postać schyliła się i położyła na ziemi krótki miecz. Kiedy się wyprostowała, pan Sharp ujrzał wysokiego mężczyznę ze sterczącą kocią bródką, której koniec odstawał prawie pod kątem prostym. Nieznajomy miał głęboko osadzone, bystre oczy, odziany był w długą ciemną szatę i przylegającą do czaszki czapkę z nausznikami, a na łańcuszku na jego szyi wisiał jakiś klejnot.

– Kim jesteś? – zapytał Sharp.

– Tak jak i ty wędrowcem poza światami.

– Jak się nazywasz?

- A ty? – Mężczyzna uśmiechnął się uprzejmie, unosząc brew.
- Sharp.
- Ostry. Jak twój nóż.
- Być może.
- Wobec tego ja nazywam się... Wędrowiec.

Pan Sharp nadal miał się na baczności. Z doświadczenia wiedział, że uśmiech dużo nie kosztuje, a może więcej skrywać, niż ukazywać.

– To nie jest twoje prawdziwe imię. Moje naprawdę brzmi Sharp. Skojarzenie z nożem to zbieg okoliczności.

Mężczyzna skłonił się i uśmiechnął szerzej. W jego oczach zalśniły iskry rozbawienia.

- Nazywam się Dee.

Wskazał pierścień na palcu Sharpa, a potem pokazał swój klejnot, który Sharp w pierwszej chwili wziął za wisiołek, a który również okazał się pierścieniem. Pierścienie różniły się tylko oprawą, ten nieznanego był masywniejszy, a rysunek w krwawniku – prostszy.

- Ale możesz do mnie mówić Bracie. Bracie John.

Sharp mimowolnie opuścił nóż i pochylił się, żeby wyraźniej zobaczyć wyrytego w kamieniu lwa i jednoroźca.

- Ale Dee nie żyje – rzekł zdumiony.

John Dee był nie tylko matematykiem i astronomem królowej Elżbiety, ale także członkiem Nadzoru przez okres jej panowania aż do czasu, kiedy z północy przybył Stuart, żeby objąć po niej tron.

– Tylko w przeszłości. – Mężczyzna uśmiechnął się wesoło i usiadł na lustrzanej podłodze, jakby był wykończony.

Okazało się, że źródłem światła, które niósł, była sakwa wypełniona kawałkami oszronionego szkła, podobnymi do kamienia serca Sary, ale różnokolorowymi. Kamienie te jarzyły się jasno. Pan Sharp zauważył, że Dee przypatruje się jego Kłębkowi.

Przyłapany Dee roześmiał się.

– Co robisz w lustrach, bracie? – zapytał. – I co to za śmieszna grzechotka?

- Szukam kogoś – odrzekł Sharp sztywno.

– Mam nadzieję, że nie mnie. – Dee spojrział znacząco na nóż w drugiej ręce Sharpa.

– Nie. Pewnej dziewczyny. A ty co tu robisz?

– Próbuję znaleźć drogę do innej warstwy – odparł Dee i nagle wydał się bardzo stary i znużony. – Od bardzo dawna. – Podciągnął kolana pod brodę i podparł się z tyłu na rękach.

– Warstwy?

– Usiądź. – Dee poklepał lustrzaną taflę obok siebie. – Nie wiesz, jak to wszystko działa, co? Przemieszczanie się z miejsca na miejsce to najprostsza funkcja. Lepsza to wędrówki w czasie. Ale najlepsza to podróże pomiędzy światami. Jest ich nieskończona ilość, gnieźdzą się jeden w drugim, a w takiej nieskończoności światów nawet martwy może żyć wiecznie, jeśli przemieszcza się między nimi odpowiednio szybko. – Rzucił Sharpowi siatkę z kamieniami. Sharp złapał ją, nie wypuszczając z drugiej ręki noża. – Pooglądaj je sobie, jeśli chcesz. Są pomocne w zmaganiach ze światłem i z czasem – rzekł Dee, grzebiąc w fałdach szaty. – Weź kilka. Chcesz suszoną śliwkę?

Pan Sharp usiadł naprzeciwko niego i zaczął oglądać kamyki w siatce. Pomyślał, że są takie jak te Sary i Lucy...

A potem przestał myśleć, bo Dee wierzgnął z całej siły, kopiąc go w głowę i pozbawiając przytomności.

Kiedy się ocknął, był sam.

Kłębek, dzięki któremu miał wrócić do domu, zniknął.

Zniknęły też wszystkie noże poza jednym, tym od Kowala, który był ukryty w rękawie i który Dee musiał przeoczyć. Zniknęły także buty. Sharpa bolały głowa i palec, otarty i zaczerwieniony. Mężczyzna domyślił się, że Dee próbował zapewne zdjąć mu pierścień.

Wstał i rozejrzał się wokół.

Zewsząd otaczał go bezkres, aż po samą bezdeń i z powrotem.

– Głupiec ze mnie – prychnął. – Głupiec.

Proroctwa Kucharki i lęki Sary się urzeczywistniły.

Naprawdę zagubił się w lustrach.

ROZDZIAŁ LXVI

Szlak wodny

Barkarz Harry Stonex i jego żona Ruby poza przedstawieniem się powiedzieli jedynie, że Lucy i Charlie są mile widziani, ale za dnia mają się trzymać w ukryciu. Ruby zapewniała im jedzenie i gorącą herbatę za każdym razem, kiedy robiła posiłki dla siebie i męża, a Harry siadywał z nimi i jadł na niewielkiej przestrzeni pośród bali drewna, które barka miała dostarczyć do Londynu.

– Prawdziwa dębina. – Poklepał stertę kłód. – Jesteście tu bezpieczni jak w starej Anglii. Pewnie zauważyliście też żelazo.

Lucy nie, ale Charlie owszem. Wskazał na żelazny wzdłużnik biegnący wokół całej łodzi niczym pas.

– Nie chroni tylko nadburcia przed uszkodzeniami w wyniku zderzenia, ale też trzyma na dystans Hordę Mroku.

Lucy nie wiedziała, co to nadburcie, więc zapytała. Wyjaśnienia Charliego okazały się mniej pasjonujące, niż oczekiwała, jako że były to po prostu boki łodzi. Nie musiała natomiast pytać o Mroczne Hordy. Widziała, jak istoty te wyłaniają się z mroku, i na wspomnienie tego przeszywał ją lodowaty dreszcz. Bała się ich, mimo że byli martwi, a wszelki ślad po nich zniknął w głębinach kanału.



Tyle że jednak nie wszelki ślad zaginął po Sluagh. Piróg, dwurożny kapelusz strącony podczas krótkiej walki, wpadł pod wóz Pyefinchów, gdzie leżał przez nikogo niezauważony. Jarmark uspokoił się. Zamieszanie spowodowane pościgiem za złodziejem Manus Glorise ucichło, a ludzie rozeszli się po stoiskach i namiotach. Jednak z powodu wydarzeń Bitwa Czarodziejów została uznana –

jednostronnie, przez Huffama – za nierozstrzygniętą i w wyniku porozumienia podyktowanego widokami na korzyści finansowe przeniesiono ją na następny rok. Rywale mieli się spotkać w wyznaczonym czasie w tym samym miejscu. Huffam zaś, cyrkowiec z krwi i kości, wiedząc, że wieści o cudach rozejdą się i przygnają jeszcze większą publiczność, już kombinował, jak ją pomieścić.

Andersonowi i Na-Barno ulżyło tak bardzo, że ani myśleli sprzeciwiać się tej decyzji. Obaj byli wytrąceni z równowagi występem przeciwnika i zgodzili się podzielić po równo dochody z pierwszego pokazu.

Georgiana natomiast wcale nie była zadowolona. Uświadomiła sobie, że ojciec potrafił zaplanować przyszłość jedynie od butelki do butelki. Z pełną kieszenią szybko zapomniał o niewygodnym fakcie, że Anderson zrujnował jego pokaz, a bez Ręki Chwały nie mieli numeru, który mógłby zapewnić im dochody w przyszłości.

– Coś się znajdzie. – Zbył ją machnięciem ręki, spiesząc w stronę namiotu z cydrem.

Georgiana miała ochotę go uderzyć, ale uznała, że lepiej poobserwować wóz Pyefinchów, w razie gdyby złodziejka się tam pokazała. Przyczaiła się w mroku i patrzyła, jak Pyefinchowie wracają i zwijają stoisko. Czekala na Charliego. Wraz z upływem czasu zaczęła docierać do niej nieprzyjemna prawda, że chłopak zniknął wraz z Sarą. Siłą woli powstrzymywała się od zaśnięcia, a kiedy niebo rozjaśnił blask przedświt, jej gniew skryształizował się w coś podobnego do morderczej nienawiści. Właśnie dzięki blademu światłu jutrzynki zdołała dostrzec pirog. Przyciągnął jej uwagę, bo się poruszał. Podkraśla się pod wóz Pyefinchów i przyjrzała kapeluszowi. Otok z czaszek ptasich stworzył coś na kształt pajęczych odnóży i przesunął pirog głębiej w cień pod wozem.

Georgianę ogarnęły groza i fascynacja, ale dziewczyna, która miała do czynienia z Manus Gloriam, była odporna na niesamowitości, dlatego też porwała kapelusz i już z lżejszym sercem puściła się w stronę wozu ojca.

– Nie wiem, czym jesteś – powiedziała do piroga z ruszającą się girlandą czaszek – ale jeśli nie uda nam się uczynić z ciebie numeru

wszech czasów, to zasługujemy na śmierć głodową.

Na-Barno, wbrew wszystkiemu, miał rację – coś się znalazło.

Georgiana nie wiedziała jednak, że piróg sprowadzi ją na straszną drogę – drogę, która pewnego dnia pozwoli jej się zemścić na przyjacielu z dzieciństwa i dziewczynie znanej jej jako Sara Falk.



Pierwszego dnia pomiędzy Charliem i Lucy panowało niezręczne napięcie, coś, czego nie doświadczyli wcześniej, gdy mieszkali razem w taborze cyrkowym. To skrępowanie wynikało po części z tego, że byli teraz sami, we dwoje, ale główną przyczynę stanowił fakt, że Charlie tyle przed Lucy ukrywał.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi, kim jesteście? – zapytała drugiego dnia, kiedy leżeli na dziobie, ciesząc się ostatnimi promieniami jesiennego słońca.

– To całkiem proste. Bo niby czemu mielibyśmy zdradzać coś takiego? Ty też się tym nie chwalisz. W naszym biznesie obcy nie powinni wiedzieć o nas zbyt wiele, a poza tym mama i tata nie mają jakichś wielkich mocy.

– Ale ty masz. Umiesz się szybko poruszać i podkradać niepostrzeżenie. Jesteś... Hm, nie wiem, kim jesteś, ale przypominasz mi takiego człowieka, pana Sharpa, którego widziałam w Londynie...

– Chciałbym go poznać. Bo o tym, kim jestem, wiem tyle co ty. Że potrafię być szybki w razie potrzeby... albo może spowalням wszystko wokół? A jeśli chodzi o podkradanie się, to przyganiał kocioł garnkowi. – Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę. – Żadne z nas nie wyrządziło ci krzywdy, Lucy, jeśli tak teraz się nazywasz.

– Zawsze się tak nazywałam – oświadczyła i potrząsnęła jego ręką. – A teraz opowiedz mi o Hordzie Mroku.

Za dnia rozmawiało się o nich łatwiej. A ponieważ najwyraźniej interesowali się nią, uznała, że należy dowiedzieć się o nich jak najwięcej. Charlie poszedł do pani Stonex, żeby pożyczyć od niej mapę. Płachta była mocno wysłużona, rozwinął ją więc bardzo

ostrożnie, nie chcąc dokładać nowych zagięć czy naderwań. Znajdowały się tu zarysy południowej części kraju, na które latami nanoszono niebieskim ołówkiem nowe kanały i ich odnogi, a czarnym – sieć dróg kolejowych.

– To Anglia – powiedział Charlie. – W każdym razie jej część. Powiedz, jak dostałabyś się z Londynu do Birmingham?

Lucy przez chwilę przyglądała się mapie, po czym powiodła palcem po linii wzdłuż jednego z traktów kolejowych.

– Dobrze. To było proste, prawda?

– Miałeś mówić o Hordzie Mroku. Chcę wiedzieć jak najwięcej o Sluagh.

– Mówię, mówię. Ale robię to tak, jak opowiadał mi ojciec. Chcę ci wyjaśnić, dlaczego w tych czasach są tacy poruszeni i źli. – Znów wskazał na mapę. – A teraz spróbuj przebyć tę samą drogę, ale tak, żeby nie przeciąć żadnej rzeki ani torów.

– To proste – prychnęła Lucy, ale kiedy położyła palec na mapie i spróbowała nim wodzić, omijając niebieskie i czarne linie, okazało się to niemożliwe. Cały kraj wyglądał jak niemożliwy do przebycia labirynt bez sensownej drogi wyjścia.

– Nie mogą przejść przez płynącą wodę – rzekł Charlie – ani przez żelazne tory. Zanim powstały kanały, poruszali się swobodnie, kłucząc pomiędzy naturalnymi ciekami, co nie było trudne, jeśli miało się siłę, żeby gnać grzbietami wzniesień, wyżynami, generalnie szczytami wododziałów.

– Co to wododział?

– To coś jak górna krawędź tworzona przez stoki, jakby kalenica dachu pomiędzy połaciami, po których spływa deszcz. Woda nie płynie do góry, no nie? Jeśli wędruje się grzbietem, gdzie strumienie biorą swój początek, nie przechodzi się przez płynącą wodę.

Lucy kiwnęła potakująco.

– Ale potem ludzie zaczęli wykopywać rowy biegnące w poprzek starych szlaków – ciągnął Charlie. – Dla Sluagh były one jak ściany przegradzające przestrzeń. A jeszcze później, po wynalezieniu kolei parowej, powstały tory i stare szlaki stały się bardziej kręte: dziesięć, nie, sto razy bardziej skomplikowane niż dawniej. Poruszanie się po

ziemi przypomina teraz przemykanie przez gęstą sieć. A przecież Sluagh przez całe wieki swobodnie przemierzali nocami wielkie przestrzenie. Widzisz teraz, dlaczego są rozdrażnieni i wściekli. Choć z tego, co o nich słyszałem, nie żeby potrzebowali do tego powodu.

A potem opowiedział o nich, o tym, jak różnie ich zwano, i o tym, jak zanurzali się w nocy i jak naraz cały ich świat wywrócił się do góry nogami. Powiedział też, że nienawidzą Nadzoru.

– Dlaczego? – zapytała Lucy.

– Widzisz, płynąca woda zawsze była ich zmorą, ale żelazo... To właśnie uczynił im Nadzór, dawno, dawno temu. To była kara za jakiś straszny uczynek, na którym zostali przyłapani.

– Jaki?

– Nie wiem. Wiem, że to było dawno, jeszcze przed zbudowaniem Tower w Londynie, a to najstarsza rzecz, jaką widziałem. Poza Stonehenge...

W tym miejscu musiał wyjaśnić, co to Stonehenge, i narysować je, a gdy już to zrobił, rozmowa rozmyła się w końcu w przyjacielskie milczenie i zadumę nad przeszłością. Potem Charlie wyskoczył na brzeg i zajął miejsce pana Stonexa przy koniu, obiecując solennie, że wróci na barkę, kiedy się ściemni.

– Stary Barnaba obdarłby mnie ze skóry, gdybym pozwolił ci przebywać poza łodzią po zmierzchu – rzekł pan Stonex. – Słońce zajdzie, a ty masz wrócić na pokład i szybko mnie obudzić, jasne?



Tego wieczoru znaleźli ich Sluagh.

Charlie wrócił już na barkę, a pan Stonex, który jako człowiek przesądny i przezorny nosił za paskiem podkowę, jeszcze przez mniej więcej dwie godziny prowadził konia, zanim zatrzymali się na noc. Chociaż „prowadził” nie było może zbyt celnym określeniem, bo koń potrafił sam iść dobrze oznaczonym szlakiem holowniczym, a Stonex wdrapał mu się na grzbiet i uciał sobie drzemkę.

Lucy siedziała z kolanami pod brodą, trzymając blisko siebie

owiniętą rękę Sary. Nie myślała o niczym konkretnym, a jej wzrok dryfował w ciemności na brzegu.

Sluagh pojawił się tak cicho, że do Lucy dopiero po chwili dotarło, iż strzęp mroku oderwał się od nocy i szedł brzegiem w niepokojąco swobodnym tempie, jakby po prostu spacerował sobie ścieżką holowniczą znajdującą się trzy stopy dalej.

Przypatrzyła się uważniej i ujrzała człowieka o twarzy upstrzonej starożytnymi tatuażami, odzianego w palto ze skór zwierząt i w kapeluszu ozdobionym koroną słonkowych czaszek o dziobach zwróconych ku niebu.

– Czego chcesz, dziewczynko? – zapytał, wpatrując się w nią intensywnie.

– Nie patrz na niego – ostrzegł ją Charlie. – Nigdy prosto w oczy.

Lucy spuściła wzrok na ręce istoty.

– Mam dla ciebie propozycję – rzekł spokojnie mężczyzna.

Przy jej uchu rozległ się metaliczny trzask odwodzonego kurka garłacza.

– Jest naładowany funtem żelaznych gwoździ, które wpakuję w ciebie, jeśli spróbujesz rzucić na nią czarny urok – zagroził Charlie.

– Zardzewiałych gwoździ.

– Zardzewiałe? – powtórzył Sluagh zaskakująco kpiącym tonem. – No, to robi wielką różnicę.

Tuż przy nim pojawił się drugi Sluagh, przygarbiony.

– Wydajesz się taki pewny siebie, ale cuchniesz strachem. – Nowo przybyły zachichotał.

Charlie wycelował w nich broń.

Pierwszy Sluagh uczynił uspokajający gest ręką.

– Posłuchaj – syknął łagodnie. – Tylko słowa. Mam propozycję. Udajecie się do Londynu?

– Nie wiem, dokąd zmierzamy – odrzekł Charlie.

– Oddacie nam dziewczynę? – zapytał garbaty.

– Czemu miałbym to zrobić? – Charlie wzruszył ramionami.

– Z powodu złota – padła kusicielska odpowiedź. – Złoto może zmienić twoje życie... uczyni cię bogatym... zapewni ci wolność...

– Złoto, które zmieni się w garść żołądki, gdy tylko z oczu opadnie

mi wasz ohydny urok? Nie, dziękuję.

– A prawdziwe złoto? – zaproponował ten w koronie z czaszek.

– Nie.

– Nie?

– Nie.

Sluagh splótł dłonie i zacisnął je mocno, przeszedł tak kilka kroków, po czym się odezwał. W jego głosie słyhać było napięcie.

– W Londynie jest ktoś, kto dobrze nam za nią zapłaci. Ktoś, kto kazał jej szukać. Potężny człowiek.

– Od kiedy to Sluagh interesują pieniądze? – zdziwił się Charlie.

– Nie zapłaci nam pieniędzmi, tylko czymś znacznie cenniejszym. Dla nas – stwierdził Słonkowa Korona.

– Moja odpowiedź nadal brzmi „nie” – powtórzył Charlie.

– Słyszałem twoją odpowiedź. Ale ty nie usłyszałeś mojej kontroferty – rzekł Sluagh zwodniczo łagodnie. Jego ton był tak przekonujący, że Lucy nieomal wbrew sobie nie patrzyła mu w oczy.

– Jeśli nie skończysz z tymi sztuczkami z głosem, zaraz usłyszysz moją. Będzie brzmiała jak „bum! plask!” – zareagował Charlie ostro, wymierzając w Sluagh szeroką lufę. – To zrobi „bum!”. „Plask!” zrobi twoja głowa...

Garbus warknął nisko, a potem wyrzucił z siebie, ledwie powściągając wściekłość:

– Zastanawiałeś się kiedyś, chłopcze, jak wygląda twoja skóra od wewnątrz? Powtórz to, co powiedziałeś, ale po tej stronie żelaza. Wtedy pokażemy ci, co masz w środku.

– Jak brzmi wasza propozycja? – wtrąciła się Lucy. Nie podobała jej się ta rozmowa, i to z wielu powodów. Po pierwsze nie odpowiadał jej rozmówca, ale jeszcze bardziej to, że mówili o niej, jakby była przedmiotem, jakby nie posiadała wolnej woli.

– Niezakłócone niczym przejście, jeśli zaniesiecie naszą wiadomość Nadzorowi – odpowiedział Słonkowa Korona.

– Komu? – Charlie udał zdziwienie.

– Nie igraj z nami, chłopcze – zirytował się Sluagh. – Byliśmy już wcześniej w jej umyśle, wiemy, gdzie ją wysłaliśmy.

Lucy zrobiło się niedobrze.

– Nie moglibyście przeszkodzić nam w podróży, nawet gdybyście chcieli – oświadczył Charlie. – Barka jest opasana żelazem, poza tym nie możecie przejść przez płynącą wodę.

Sluagh szedł przez chwilę w milczeniu, przebierając dłońmi.

– Jeśli dotrzecie do Nadzoru, powiedzcie im, że wiemy o ich zdradzie. Wiemy, że oddali nasz najcenniejszy skarb byle człowiekowi. Oddali mu to, co odebrali nam, gdy nałożyli nam na barki Prawo Żelaza. Nie tylko nas zdradzili, złamali też Prawo i Obyczaj.

Lucy odniosła wrażenie, że Sluagh zaciska ręce, by nie sięgnąć przez dzielącą ich przestrzeń i nie złapać jej za twarz, nie bacząc na wodę i żelazo. Odsunęła się pod stertę bali drewna.

– Nie wiem, o czym mówicie. – Pokręciła głową.

– Ale oni będą wiedzieli – powiedział Słonkowa Korona. – I dowiedzą się też, że my wiemy. Dopóki nie oddadzą nam naszej własności i nie cofną Prawa Żelaza, nie ustaniemy w próbach zniszczenia ich, nawet jeśli będziemy musieli w tym celu współpracować z ludźmi.

Splunął i zatrzymał się.

Barka przepłynęła pod mostem, którego ani Lucy, ani Charlie, skupieni na Sluagh, wcześniej nie zauważyli.

– Pff – prychnął Charlie. – To most kolejowy. Żelazo całe mile w jedną i drugą stronę.

Lucy czuła się dziwnie rozbita, przepełniona mieszaniną ulgi i frustracji. Wiedziała, że będzie spała kiepsko, bo wściekły garbaty Sluagh nawiedzi jej sny, ale równocześnie nadal pragnęła rozmawiać z tymi istotami. Czuła, że dzięki temu mogłaby wypełnić niektóre dziury w pamięci.

– Jesteśmy bezpieczni – zapewnił Charlie ją, a przy okazji siebie. – Harry mówił, że jutro powinniśmy być w Londynie, a tam będziemy mieli spokój.

– Chwilowo – szepnęła Lucy, wpatrując się w mrok i dumając, jakie może skrywać odpowiedzi.

.

ROZDZIAŁ LXVII

Ogary poszły w soho

Obywatel pozostawił Alpowi pozbycie się ciała odźwiernego, ponieważ zajmowanie się takimi sprawami było poniżej jego godności. I w ten sposób stał się odpowiedzialny za los, który spotkał Alpa. Dusiołek skrępował trupa jak wielkiego indyka – obwiązał mu nogi w kolanach, zrobił pętlę na szyi, a potem opasał kostki i przyciągnął je mocno do pośladków, tak że owinięte w płachtę zwłoki wyglądały raczej jak sześcienny tobół, a nie podejrzenie przypominający trupa pakunek.

Alp zarzucił sobie tobół na plecy i na godzinę przed świtem powędrował zimnymi ulicami pod niewielką manufakturę rymarską nieopodal karczmy Słupy Herkulesa w Soho, po czym wrzucił ciało do zepsutej beczki porzuconej w zaułku. Upewniwszy się, że nikt go nie widział, wrócił do swojego nowego domu przy Golden Square.

Nie szedłby tak spokojnie, wiedząc, że pięć godzin później Jed, który zataczał wciąż coraz szersze kręgi w poszukiwaniu tropu, przetnie jego ślad i znieruchomieje, rozpoznawszy zapach.

W Soho nie polowało się od wieków, odkąd ta część miasta przestała być rejonem otwartych pól uprawnych zwanych St Giles Field, przylegającym do szpitala dla trędowatych o tej samej nazwie. Był to jednakże interesujący zbieg okoliczności, że to właśnie w tym miejscu Jed podchwycił trop dusiołka.

Pięć minut później terier okrążył dom przy Golden Square, upewniając się, że zwierzyna weszła do środka i nie opuściła budynku. Usadowił się pod stojącym na ulicy wozem i niuchał jeszcze przez kilka minut. Woń Alpa była silna i bez wątplenia dochodziła z domu. Zadowolony położył się z pyskiem na przednich łapach i zaczął obserwować drzwi frontowe.

Nie zamierzał się stamtąd ruszać do przybycia Hodge'a, które miało nastąpić niebawem. Czuł go w głowie i przekazał mu wiadomość o znalezisku.

Tymczasem nieświadomy niczego Alp zmył z grubsza krew z wypaczonego parkietu i zajrzał do sakiewki, którą zostawił gospodarz.

Obywatel wskazał mu, gdzie można znaleźć dziewczęta, które za pieniądze chętnie dotrzymają mężczyźnie towarzystwa i za którymi nikt nie będzie tęsknił, kiedy znikną. Oddanie Obywatelowi życiowej energii wyzuło dusiołka z sił – potrzebował nabrać tchu, koniecznie z młodej piersi.

I tak oto Alp przymierzał się do polowania, nie wiedząc, że pod domem czai się na niego cierpliwy myśliwy.

.

ROZDZIAŁ LXVIII

Zdeptana lilia

Issachar i Zebulon Templebane'owie zarządzili, że Kryjówka ma być obserwowana przez całą dobę i ze wszystkich stron. Dzięki temu ich synowie pracowali na okrągło, mało spali i robili się coraz bardziej wobec siebie zniecierpliwieni.

Najbardziej poirytowany był Garlickhythe – najmłodszy, przynajmniej do czasu, gdy trzy lata wcześniej na chłodne, lecz obfite łono rodziny przyjęto Amosa. Jako najmłodszy, odkąd pamiętał, musiał wykonywać najgorsze prace, więc cieszył się szczerze, gdy do domu przybył niemowa, który zdjął z niego to jarzmo.

Jednakże ponieważ Amos nie powrócił z misji do Rutlandshire, Garlickhythe znów został najmłodszym bratem i jako taki przy wszystkich okazjach wyciągał najkrótszą słomkę. Najgorszym punktem obserwacyjnym Kryjówki był posterunek po południowej stronie, w pobliżu rzeki. Było tam wietrznie, wilgotno, a powietrze przesyciły wszelkie możliwe smrody ścieków, które dokładnie poniżej tego miejsca spływały do Tamizy.

Jako rodowitemu londyńczykowi smród nie przeszkadzał chłopakowi tak bardzo, gorzej, że Garlickhythe był hipochondrykiem. Nie ulegało wątpliwości, że posterunek ten, przed okropnym sklepikiem handlującym połamanymi krzesłami, porysowanymi stołami i innego rodzaju mydłem i powidłem z drugiej ręki (włączając w to stojak z drewnianymi nogami, które złowieszczo klekotały na wietrze), był najbardziej niewygodny i wystawiony na szkodliwe warunki. Co gorsza, panowała tu także największa nuda. Umordowany czekaniem Garlickhythe postanowił oddalić się na chwilę. Nie działo się nic nadzwyczajnego. Od kilku dni wchodzili i wychodzili z domu ci sami ludzie: gruba kucharka, chudy mężczyzna

w granatowym ubraniu, paru kupców, szczurołap. Garlickhythe uznał, że nie straci nic, jeśli spotka się z jedną z dziewcząt z Neptune Street, szczególnie jeśli spotkanie potrwa krótko.

Nie chciał jednak oddalać się za bardzo w obawie, że mógłby przegapić przywołujący gwizd Corama, Bassetshawa albo innego ze „starszych braci”. Dlatego też spotkanie wyznaczył przed wystawą obskurnego sklepiku i stamtąd powiodł dziewczynę w bardziej ustronne miejsce, które znajdowało się po schodkach w dół na brzeg i kawałek dalej, pod opuszczonym moło nad rzeką.

Lily, bo tak nazywała się dziewczyna, nie chciała iść przez błoto, przez które najwyraźniej zamierzał ją poprowadzić w upatrzone miejsce pod mokrymi słupami podtrzymującymi zbutwiałe deski. Najgłośniejszemu marudziła, że zniszczy swoje „piękne nowe buty”, które, jak jej wytknął, nie były ani piękne, ani nowe. Zasugerował, żeby je zdjęła, ale dziewczyna, choć do jej obowiązków zawodowych należało zdejmowanie ubrania, stanowczo odmówiła.

– Przenieś mnie – zażądała.

– Chyba zgłupiałaś!

– Przeniósłbyś mnie, gdybyś choć trochę był dżentelmenem. – Nabzdyczyła się.

– Może, jeśli byłabyś o połowę chudsza. Nie zamierzam nadwyręzać sobie grzbietu, nosząc taką grubą babę... – urwał w pół zdania.

Pod moło na rzece kołysała się łódka albo płaskodenna barka, ukryta w cieniu tak, że z ulicy nikt by jej nie zauważył. Z łódki zszedł Kowal i przez błoto na brzegu przedostał się do zakratowanego wylotu w ścianie obmurowania rzeki.

– Ty sukcin... – zaczęła Lilyia, oburzona przytykiem do swojej figury, ale Garlickhythe złapał ją i przewrócił w błoto. Krzyknęła i nabrała powietrza, żeby kontynuować wrzaski, lecz Garlickhythe, któremu zależało na zachowaniu ciszy, chwycił dziewczynę, wcisnął twarzą w błoto pod stopami i przytrzymał, obserwując jednocześnie każdy ruch Kowala.

Z zachwytem dostrzegł, że krata wylotu otwiera się i wyłania się zeń Kucharka, podchodzi bliżej wody i ogląda łódź. Dobiegały go strzępy stłumionej rozmowy, ale żeby dosłyszeć słowa, musiał

wepchnąć miotającą się i stękającą Lily głębiej w błoto.

– ...załadować... dzisiaj wieczorem albo jutro rano... – Tyle zrozumiał, zanim oboje zniknęli w wylocie i zamknęli za sobą kratę.

Garlickhythe nie ruszał się przez chwilę, upewniając się, że nie wróca.

– No – powiedział wreszcie do Lily. – Okazuje się, że mają w tym domu sekretne przejście na brzeg. Jak myślisz, co dostanę od staruszków za odkrycie tej tajemnicy?

Lily nie odpowiedziała, a kiedy przestał ją przytrzymywać, nie poruszyła się.

Obojętnie popatrzył na jej bezwładne ciało. Cała żądza, którą zamierzał rozładować z pomocą dziewczyny, ulotniła się z niego, zastąpiona jeszcze gorętszym podnieceniem na myśl o nagrodzie, jaka czekała go po przekazaniu wieści ojcom. Rozejrzał się, szczególną uwagę zwracając na ścianę magazynu, która niczym urwisko wznosiła się nad rzeką, ale nikt go nie widział.

Z westchnieniem pochylił się, wziął dziewczynę za stopy i powłókł przez błoto na brzeg, po czym zepchnął ją do wody. Spojrzał na swoje nogawki.

– Miałaś rację co do tego błota – powiedział do żalösnej kupki gałganów unoszącej się na rzece. – Cholernie usyfiłem sobie buty.

Potem odszedł żwawym krokiem, wspiał się na oślizgłe schodki, po czym gnany ekscytacją potruchtał przez miasto.

Kiedy dotarł do biura Templebane'ów, Tamiza podniosła się na tyle, by nurt porwał ciało Lily i zabrał w podróż wielką pętlą ku szerokiemu zakolu Blackwall Reach.

Od tej chwili sprawy zaczęły toczyć się szybko. Domyśliwszy się, że barka ma w tajemnicy zabrać coś z domu, i wywnioskowawszy, że cokolwiek bądź ktokolwiek stanowi ładunek, musi to być coś niezwykle cennego i rzadkiego, Issachar udał się do Mountfellona.

Rozmowa przebiegła w znacznie bardziej przyjaznej atmosferze niż ostatnim razem, aczkolwiek Issachar stwierdził, że dziwne mlecze szyby domu przy Chandos Place wywołują upiorne wrażenie, jakby było się uwięzionym pod lodem.

Obmyślono plan, który zakładał, że Issachar wynajmie jakichś

skłonnych do współpracy dżentelmenów, którzy nie mają skrupułów wobec mokrej roboty.

– Gałganiarze się nadadzą – powiedział Templebane w zadumie. – Albo ja, albo brat, w zależności od pory, osobiście pokierujemy sprawami. To zbyt poważne przedsięwzięcie, żeby złożyć je na barki...

– Dokładnie – poparł go Mountfellow. – Wynajmę dwie łodzie z silnikami parowymi. Jedna będzie krążyła bezustannie w pobliżu tego molo, a kiedy ci przekłeci ludzie spróbują uciec z tym, co usiłują ukryć, popłynię za nimi i przy pierwszej okazji dokona usprawiedliwionego aktu zawłaszczenia. Uzasadnionego czynu pirackiego, jeśli wolisz.

– A co z drugą łodzią, panie? – zapytał Issachar.

– Tą pokieruję ja. Gdy tylko ładunek odpłynie, zostanę o tym powiadomiony i ruszę w pościg.

– Ale to długa droga: stąd nad rzekę – zauważył Templebane.

– Nie zamierzam złapać kataru, śpiąc na łodzi. Poza tym nie wiemy nawet, kiedy wyruszą. Dlatego pozostanę u was w domu. Wydaje się wystarczająco czysty i jestem pewien, że znajdzie się w nim jakieś w miarę wygodne łóżko.

Tak więc plan został ustalony.

I wszystko to, zanim minęła pora kolacji, na którą nie wróciła biedna Lily.

ROZDZIAŁ LXIX

Rozmowa alpa z psem, który nie szczeka

Alp upatrzył sobie ofiarę. Jed szedł za nim do części Haymarket zwanej – ze względu na mnóstwo kręcących się tu bezwstydnic i prostytutek – Piekielnym Rogiem, a potem z powrotem na Golden Square. Trzymał się dwadzieścia kroków z tyłu, przemykał pod murami, nie wyróżniając się spośród wielu bezpańskich psów krążących po mieście.

Odurzona dżinem dziewczyna uśmiechała się na myśl, że wróci do domu z obiecanyimi pieniędzmi. Podobało się jej nawet, że dżentelmen, którego ramienia szła uwieszona, wydaje się małomówny – lubiła nieśmiały, bo z nimi robota kończyła się szybciej.

Zdawało się, że niski mężczyzna z psem u nogi, który zastąpił im drogę, pojawił się znikąd.

Hodge uniósł rękę z pierścieniem i wpił się spojrzeniem w oczy Alpa, a Jed usiadł u jego stóp, szczerząc zęby.

– Na mocy Prawa i Obyczaju jako członek Wolnego Bractwa Nadzoru Londyńskiego wzywam cię, żebyś poddał się bez oporu i poszedł ze mną do aresztu w Sly House, aby tam w Prywatnej Celi oczekiwać na rozprawę.

Dziewczyna spojrzała na niego zmętniałymi od alkoholu oczami.

Alp patrzył z tą samą wystudiowaną obojętnością co przed chwilą. Gdy Hodge podniósł pierścień wyżej, w odpowiedzi dusiołek uniósł brew. A potem wzruszył ramionami i zrobił krok, jakby chciał ruszyć dalej.

Hodge zastąpił mu drogę, nadal pokazując pierścień. Alp poruszył ustami, po czym przemówił:

– Wygląda jak człowiek, a cuchnie jak pies. Może tym właśnie jesteś? Małym psem, który nie szczeka... – Jego głos był ochryply i pogardliwy, a niemiecki akcent przydawał mu tonu wyniosłego rozbawienia. – Co możesz mi zrobić? Przy tych wszystkich niewinnych, nieświadomych ludziach? Przy tych wszystkich... świadkach?

Alp uśmiechnął się, co było widokiem dziwacznym choćby z tego powodu, że nie miał zębów. Nagie różowe dziąsła upodabniały go do ryby albo niemowlęcia; było już jasne, czemu Alp sepleni.

– Zejdź mi z drogi, głupi szczeniaku, albo usunę cię z niej kopniakiem.

Hodge rozejrzał się po zatłoczonej ulicy, a potem popatrzył na dziewczynę, która uniosła brwi, nie rozumiejąc nic z tego, co się dzieje.

– Widzisz? – odezwał się znów Alp. – Tyle tu ludzi. Co zrobisz?

– To – rzekł Hodge i uniósł pierścień do czoła, jakby ocierał pot. Przycisnął pieczęć do skóry i mruknął: – *Ic adeorce*. – A potem zaatakował bez ostrzeżenia.

Nie przestawał się uśmiechać – uśmiechnął się nawet szerzej, gdy jednym susem pokonał dzielącą ich przestrzeń i z całej siły uderzył Alpa w gardło, po czym zacisnął dłonie wokół jego szyi niczym żelazny potrzask i przepchnął dusiołka w stronę wylotu pobliskiego zaułka.

Nikt niczego nie zauważył. Nikt nic nie powiedział, nie krzyknął i nie wskazał na szamoczących się mężczyzn. Nikt ich nie zobaczył – nie dlatego, że Hodge naraz stał się niewidzialny, tego rodzaju magia istnieje bowiem tylko w bajkach. Ta magia działała inaczej, jak seria zwyczajnych sztuczek, dzięki którym w odpowiednim czasie zdarzają się różne zbiegi okoliczności. A zdarzyła się rzecz zwyczajna. Kiedy z ust Hodge'a padły staroangielskie słowa, wszyscy znajdujący się w pobliżu przechodnie skupili uwagę na czymś innym. Nie patrzyli na jedną konkretną rzecz – rozproszyły ich różne rzeczy, tak różne, jak różne były ich oczy. Jedyne, co łączyło owe rzeczy w tym momencie dekoncentracji, to fakt, że żadna z nich nie była Hodge'em.

Impet ataku oderwał Alpa od dziewczyny, która dosłownie okręciła

się wokół własnej osi na środku ulicy.

Hodge zaatakował jak terier – bezpośrednio, bez wahania, z pełną determinacją i z zamiarem, by skończyć wszystko jak najszybciej.

W zaułku stało poidło dla koni. Hodge pchnął Alpa w jego kierunku, a kiedy krawędź podcięła dusiołkowi nogi, wskoczył za nim, wepchnął mu głowę pod wodę i przytrzymał mocno, nie bacząc na machające mu przed twarzą pięści. Odchylił się i nacisnął kolanem spłot słoneczny dławiącego się Alpa, z którego bezzębnych ust buchnęły bąbelki powietrza.

– Na mocy Prawa i Obyczaju – wycedził Hodge – za odebranie życia innym zabieram twoje życie.

Alp znieruchomiał.

Hodge puścił go dopiero po dobrej minucie. Spojrzał na zastygłą twarz pod wodą. Kiedy powierzchnia się uspokoiła, zapatrzył się w nią, jakby liczył, że wraz ze zmarszczkami na wodzie znikną również jego wspomnienia o zabitych kobietach.

Twarz pod wodą nie poruszyła się, a szeroko otwarte oczy wpatrywały się w niego niewidząco.

Siedzący po drugiej stronie poidła pies warknął. Hodge potrząsnął głową, jakby chciał rozjaśnić myśli, a potem stanął okrakiem nad dusiołkiem.

– Wiem, że istoty twojego rodzaju nie umierają, póki zostaje im resztkę tchu w piersiach – powiedział i klęknął na klatce piersiowej Alpa.

Wyciśnięte powietrze uciekło w ławicy bąbelków, a potem, po ostatnim konwulsyjnym wstrząsie, Alp zaczął umierać naprawdę. Włosy mu posiwiały, twarz pomarszczyła się, ujawniając prawdziwy wiek, i w końcu umarł. W jednej chwili postarzał się o dwadzieścia lat.

Hodge wyszedł z poidła i rozejrzał się po ulicy. Nie zdziwił się nawet na widok Kowala rozmawiającego z dziewczyną, która na końcu kichnęła i odeszła, jakby nic się nie stało. Kowal zbliżył się do Hodge'a i położył mu rękę na ramieniu.

– A więc nie żyje – powiedział, zaglądając do poidła. – To już koniec.

– Myślałem, że bardziej się postarzeje i umierając, zdradzi prawdziwy wiek – rzekł Hodge głosem, który nawet dla niego samego

zabrział dziwnie pusto.

– Widocznie był młody, i tyle – stwierdził Kowal, jeszcze raz spoglądając na martwego dusiołka. – A ty go zabiłeś, jak obiecywałeś.

– Był mordercą, a Prawo i Obyczaj... – zaczął Hodge, ale Kowal mu przerwał:

– Pozbawienie go życia było zgodne z Prawem i Obyczajem – zgodził się – ale nie z tą drugą rzeczą, której tak nie lubisz.

– Z rozsądkiem? – zapytał Hodge, patrząc mu w oczy.

Kowal wzruszył ramionami, objął go za barki i powiódł z powrotem na ulicę.

– Cóż, dobrze byłoby wiedzieć, jak się tu dostał i co tu robił. Tym bardziej że według Kruka jest jakoś związany z domem na Chandos Place...

Przez chwilę szli ruchliwą ulicą, ale Hodge nie widział, dokąd się kierują. Jed truchtał przy jego nodze, raz po raz zadzierając łeb, by spojrzeć w oczy przyjaciela.

– Lepiej ci teraz? – zapytał Kowal, a kiedy mijali wejście do karczmy Miasto York, wskazał brodą w stronę starych drzwi. – Na tyle, żeby pokrzepić się kufelkiem? Uczcić toastem?

Hodge odmownie pokręcił głową.

– Nie czuję się jak zwycięzca – mruknął.

– Śmierć nikomu nie niesie ze sobą zwycięstwa – powiedział Kowal.

– Śmierć zwycięża jedynie dla siebie.

4 W. Szekspir, *Kupiec wenecki*, tłum. J. Paszkowski, Warszawa 1958.



Dawid wybrał ze strumienia pięć kamyków i ruszył na pogańskiego wojownika.

Z *Ogrodu Cyrusa* Thomasa Browne'a (1658)

To noc odejścia, bo pozostać tu dłużej nie mogę; nie żegna mnie żaden przyjaciel czy wróg. Co uczyniłem z głupoty, nie mogę wspomnieć; lecz wiem, żeście nadal mymi druhami. Żegnajcie więc i niechaj radość was nie opuszcza.

Dodatkowa zwrotka piosenki ludowej
Strzeziennego nalej, bracie,
znana jako *Pożegnanie Armstronga* (powst. ok. 1605)

Interludium

Wrzeszczała całe popołudnie, od drugiego śniadania aż do kolacji. Siedziała w pustej separacie i zdierała sobie gardło krzykami, wsłuchując się w echo odbijające się od złuszczonych ścian i przyglądając drobinkom kurzu wirującym w snopach promieni słonecznych. M'Gregorowie byli nieświadomi hałasu, ponieważ aż do popołudnia załatwiali swoje sprawy w Andover, ale w porze podwieczorku pani M'Gregor, zdegustowana wrzaskami dochodzącymi nawet do jej prywatnych kwater, porzuciła smakowanie racuszków i innych delicji i stanowczo oświadczyła mężowi, że potrzebuje spokoju.

M'Gregor zadzwonił po jednego ze strażników i wyjaśnił, że dla własnego świętego spokoju domaga się zapewnienia ciszy pani M'Gregor, dlatego Zmorę z separatki – jak ją zwano – wobec nieskutecznych środków zaradczych w postaci pasa i różgi (które rzeczywiście były wobec niej nieskuteczne) należy zabrać do Węgorzowej Budki po drugiej stronie pastwiska i zostawić tam na noc, gdyż jest to jedyna metoda pozwalająca uwolnić panią M'Gregor od nieczęstych, lecz głośnych ataków hysterii, które nawiedzają Zmorę.

– Nic jej nie będzie, jak posiedzi w nocy z węgorzami. Tylko nie dawajcie jej koca, bo ufam, że chłód i wiry strumienia robią jej dobrze. Zawsze wraca stamtąd spokojna i uległa.

Strażnik, człowiek łagodniejszy niż M'Gregor, nie złożył jej pasem ani różgami, wiedząc, że jedynym ich skutkiem będą rany i sińce na powłoce Zmory. Od razu wezwał pomoce strażnicze, skrępował Zmorze ręce i kazał zabrać ją na drugą stronę podmokłej łąki. Stała tam szopa z czerwonej cegły, nieopodal której przepływał strumień. Wysławszy pomocnice ze Zmorą, poszedł poszukać dla siebie gorącej, słodkiej herbatki.

Krzyczała przez całą drogę, aż wystraszone dziwnymi odgłosami

leniwe zazwyczaj krowy odbiegły daleko pod wiązy, skąd podejrzliwie obserwowały przemarsz głośniejszej procesji przez zalane światłem zachodzącego słońca pastwisko.

Strażniczki nie były tak łagodne jak ich bezpośredni przełożony, więc rytm przemarszu zakłócały siarczyste policzki i wszelkie odmiany zdania „Zamknij się, ty stara suko”.

Świadome, że ich herbata stygnie z każdą chwilą, wepchnęły Zmorę do chatki, brutalnie zdjęły jej wiązy i zatrzasnęły drzwi.

Dziewczyna stanęła w ciemności i rozejrzała się, a choć nie zaprzestała wrzeszczeć – teraz jedynie dla formalności – uśmiechała się wesoło. Uznawszy, że eskortujące ją strażniczki odeszły poza zasięg głosu, zamknęła usta i już tylko się uśmiechała.

Węgorzowa Budka została zbudowana, by chwytać wędrujące do morza węgorze. Nad wodą przerzucono pomost i ustawiono trzy łuki, a nad nimi, wsparty na obu wapiennych brzegach strumienia, stał domek. Każdy z łuków został zaopatrzony w kratę przegradzającą nurt i zatrzymującą węgorze, które tkwiły tam, dopóki ktoś nie przyszedł, żeby przełożyć je do zawieszonych u stropu koszy, które następnie zanurzało się w wodzie po drugiej stronie pomostu. Dzięki temu ryby pozostawały świeże do czasu, gdy przewoźnik zabierał je do Londynu.

O tej właśnie porze roku odbywała się wędrówka węgorzy, więc pułapki na kratach roiły się od brązowej masy wężowatych ciał. Zmora popatrzyła na ryby.

– Witajcie, moje kochane – pozdrowiła je, po czym zakasała samodzielną spódnicę i zawiązała ją na biodrze. – Witajcie – powtórzyła i ostrożnie spuściła się z pomostu. Uważając, żeby nie zdeptać żadnego z węgorzy, postawiła stopy na skalistym dnie.

Stała w lodowatej wodzie sięgającej jej do pól uda, a ryby wiły się wokół jej nóg. Gładziła je delikatnie po długich grzbietach, a każdy, kto by ją tak zobaczył – a nikogo takiego nie było – mógłby pomyśleć, że dziewczyna stoi w małym wirze, który sama stworzyła.

Przymknęła powieki.

– A teraz – szepnęła – powiedzcie mi, gdzie byliście i co widziałyście.



ROZDZIAŁ LXX

Bitwa na Blackwall Reach

Wejściu Kucharki na łódź towarzyszyło brzęczenie. Kowal popatrzył na nią, kładąc palec na ustach. Mgła spowijająca miasto i rzekę tłumiała wszystko prócz dźwięków, a te wręcz potęgowała. Może to dlatego, że uszy musiały pracować dwa razy pilniej, a przydatność oczu malała w lepkim, nieprzeniknionym mroku zmierzchu.

– Przepraszam – wyszeptala Kucharka, kładąc swój lniany worek żeglarski na pokładzie. – To bosaki.

– Po diabła ci to? – syknął Hodge.

Trzymał cumę z miną człowieka, który chce jak najszybciej uporać się z robotą. Co było prawdą – Hodge był szczęśliwy, mając twardy grunt pod stopami, na wodzie zupełnie tracił rezon. Marzył o tym, żeby zrobić szybko, co trzeba, i wrócić z Jedem do Tower, gdzie mogliby urządzić sobie małe polowanie na szczury dla uspokojenia nerwów. Jediną rzeczą, której się bał, było właśnie pływanie – może dlatego, że jego pierwszy podopieczny zginął na Wyspie Psów po osunięciu się brzegu, walcząc do ostatka o łyk powietrza. Hodge nie bał się szczególnie samej śmierci, ale nie chciał się utopić.

– Bosaki zawsze się przydają – rzekła Kucharka i zaczęła wyjmować z worka różne przedmioty, równie co bosaki szczekliwe, ale bosakami nie będące. Obserwowali, jak wyklada dwa kordy, szkocki sztylet

i toporek abordażowy. Ten ostatni z nabożeństwem zatknęła za czerwoną szarfę, którą była przepasana.

– Płyniemy mały kawałek w dół rzeki, żeby zatopić te skrzynie – zauważył Kowal cicho, obserwując, jak Kucharka wypina się, wyjmując kolejną porcję zabójczego żelastwa z worka – a nie na wyprawę piracką.

– Wiem. – Kucharka wyprostowała się i wręczyła mu ciężką metalową kulę.

– A to co? – Łypnął na przedmiot podejrzliwie.

– Kula armatnia. Moja ostatnia, więc jej nie upuść.

– Ale przecież nie mamy armaty – zdumiał się Hodge, spoglądając na Kowala.

– Postaw ją na dziobie – powiedziała Kucharka do kogoś za ich plecami. Hodge odwrócił się szybko.

W otworze tunelu stał Emmet, tuląc do piersi coś, co bez wątplenia było niewielką armatką. Wydawał się nieco zmieszany.

Kucharka sprawnie odczytała ciężkie spojrzenia, jakie wymienili Hodge i Kowal.

– To nie taka prawdziwa armata. Nie do końca. Ot, taka sobie karonadka. Zbyt wiele razy znajdowałam się po niewłaściwej stronie podobnej lufy, żeby nie wiedzieć, że wybieranie się na morze bez zabezpieczenia to proszenie się o kłopoty.

Wyjęła jeszcze dwa kordy, które podała towarzyszom.

– Trzymajcie pod ręką i gotujcie się do odbicia. – Wciągnęła nosem powietrze. – Wiatr się zmienia, pływ nadchodzi.

Hodge i Kowal spojrzeli na siebie.

– Ale my nie wypływamy na morze – zauważył Hodge. – Wybieramy się na krótką rundkę po rzece, nie dalej niż do Banialuki Kowala. Tam zacumujemy lichtugę, ogrzejemy się przy ogniu w kuźni i wrócimy wózkiem, po ziemi, jak porządni ludzie.

Kucharka zerknęła w stronę Wellclose Square.

– Może jednak któreś z nas powinno zostać z Sarą... – Zawahała się. – Nie podoba mi się, że będzie sama w domu.

– Emmet wróci, kiedy tylko umieścimy skrzynie na dnie rzeki – zapewnił ją Kowal. – Rozmawialiśmy o tym. Może tu przybiec. Sara

nie zostanie sama na dłużej niż godzinę, a to, co wymaga najpilniejszej ochrony, to przedmioty w tych skrzyniach, nie żadne z nas.

– No to odbijajmy – powiedziała Kucharka. Jej mina kazała sądzić, że nawet jeśli uważała, że Kowal ma rację, to wcale jej się to nie podobało.

Hodge odwiązał linę od słupka cumowniczego na obmurowaniu brzegu i dystans pomiędzy burtą a lądem zaczął się szybko zwiększać. Nurt zabrał ich prędko na środek rzeki.

Niewidoczny dla nich smolny szpagat, który Garlickhythe Templebane przywiązał do ich łodzi, napiął się i zeszywniał.

Sześćset jardów dalej w górę rzeki, nieopodal Bramy Zdrajcy, czekała niewielka łódka napędzana kołem łopatkowym. Trzej młodzi Templebane'owie – Coram, Garlickhythe i Bassetshaw – dostąpili zaszczytu siedzenia w pobliżu Ojca Nocnego, Zebulona, więc tłoczyli się najbliżej piecyka. Wokół kuliła się grupka oberwańców, którzy również usiłowali się ogrzać. Wszyscy mieli zakazane gęby i zostali zatrudnieni, ponieważ to właśnie oni żłopali piwo w najpodlejszej mordowni w najciemniejszym zaułku slumsów Seven Dials. Znani byli jako Gałganiarze, bo gdy uprawiali nocną bandytkę, zasłaniali twarze chustkami (gałganami, jak je zwali), aby ukryć swoją tożsamość. Tak zamaskowani rabowali, łupili, bili, a czasem posyłali swoje ofiary na tamten świat. Nawykli do noszenia noży, brzytwy i pałek, wydawali się nieco niepewni z rewolwerami i pistoletami, jakie otrzymali do wykonania zadania – niepewni, ale nie zagubieni. Najęli się, wiedząc, że robota będzie brudna i mokra, a właśnie brudna i mokra robota była ich dziedziną.

Przywódca, bystrooki osiłek Magor, drgnął zaskoczony, gdy ginący we mgle sznurek napiął się i szarpnął małym dzwonkiem, który Garlickhythe przytwierdził do komina.

– Rety! – Magor pokrył zaskoczenie drwiącym uśmiechem. – Robótka!

– Idź, Coramie – zwrócił się do syna Zebulon.

Coram poklepał braci po plecach.

– Udanego polowania – rzekł i zeskoczył na brzeg, gdzie czekał na niego koń. – Sprowadzę Mountfellona, ojcze, nie martw się. Wy

zajmijcie się łupem.

Zebulon puścił tę poufałość mimo uszu i sprawdził garłacz, który trzymał na kolanach owiniętych kocem. Gdy Coram odgalopował w mrok, bracia odepchnęli łódź od brzegu. Łopatki zaczęły ubijać wodę. Magor usiadł na dziobie i w miarę podpływania zwijał sznurek.

– Jak ściąganie ryby uczepionej haczyka – zadrwił. – Byle się nie okazało, że to jakaś marna płotka.

– To nie płotka – zapewnił go Zebulon. – Zdobądźcie to, co będzie na tamtej łodzi, a dostaniecie swój deser, bez obaw.

– Nie chcemy samego deseru – burknął Magor ponuro. – Chcemy cały cholerny obiad, od zupy po ciastka, jak obiecaliście.

– Nie martw się – powiedział Garlickhythe, spoglądając znacząco na brata. – Dostaniecie to, na co zasłużycie. Słyszeliście kiedyś, żeby ktokolwiek mówił, że Templebane'owie go wystawili?

Porozumiewawcze spojrzenia, które wymienili wszyscy Templebane'owie, oznaczały, że każdy z nich dobrze wiedział, co się stanie, gdy skarby z Kryjówki Nadzoru wpadną w ich ręce, a Gałganiarze przyjdą po zapłatę. Dostaną nie tylko obiecane pieniądze, ale też suty posiłek dla uczczenia sukcesu. Będą jedli, będą pili i nie zauważą dziwnych smaków potraw i napitków, bo Templebane'owie wiele nauczyli się od znachorów, których dawniej tępili. Pieniądze w kieszeniach Gałganiarzy nigdy nie opuszczą domu i wrócą do skarbczyka Templebane'ów.

Nie po raz pierwszy tak się działo. I nie po raz ostatni.

Z tego właśnie powodu nikt nigdy nie powiedział, że został oszukany przez prawników. Z tego również powodu młodzi Templebane'owie nigdy nie jedli nic w pobliskiej pasztecarni. Wiedzieli dobrze, skąd pochodzi mięso i dlaczego nadzienie czasem różni się smakiem.

Tymczasem w dole rzeki siedząca przy sterze Kucharka usiłowała wypatrzeć coś we mgle.

– Jak mam sterować w tym mleku? – sarkała.

Kowal wskazał na Kruka, który leciał powoli tuż nad dziobem lichtugi. Przy tej prędkości wydawał się wręcz wisieć w powietrzu, jakby przeczył prawu grawitacji – machał skrzydłami raczej pro

forma niż z konieczności.

– Płyn za ptakiem – powiedział Kowal. – Wie, gdzie zmierzamy.

– No, ty za to wyglądaj naprzód i mów, jeśli mielibyśmy na coś wpaść.

Plan opracowany w ciepłej kuchni przedstawiał się tak: po dotarciu na miejsce zrzucą od razu pierwszą, najważniejszą skrzynię, tę o podwójnych ściankach. Do owej skrzyni był przytwierdzony łańcuch, a do niego z kolei gruba lina. Po opuszczeniu ciężaru na dno zwój liny zacznie się rozwijać, w miarę jak będą dryfowali dalej. Emmet chwyci tę linę, bo tylko jego ręce mogą wytrzymać tarcie sznura, i posłuży jako kotwica. Kiedy lichtuga się zatrzyma, wszyscy złapią za linę i pomogą Emmetowi podciągnąć łódź pod prąd, z powrotem do miejsca opuszczenia pierwszej skrzyni. W końcu znajdą się dokładnie nad nią – Kowal wykonał stosowne pomiary i wykuł łańcuch o długości równej głębokości rzeki w tym miejscu, więc wystarczy, że z wody wyłoni się końcowe ogniwo z węzłem liny.

Potem zatopią pozostałe skrzynie.

Następnie Emmet zejdzie pod wodę – jako że nie potrzebuje powietrza – i za pomocą tego samego łańcucha zepnie wszystkie skrzynie. Po wypłynięciu wróci do domu i będzie pilnował Sary, dopóki oni nie odstawią lichtugi do Banialuki i nie wrócą lądem.

Ale plany wymyślane w zaciszu ciepłej kuchni to jedno, natomiast plany wprowadzane w czyn w środowisku tak nieprzewidywalnym, jakim jest spowita gęstą mgłą rzeka, to coś całkiem innego.

Kowal i Hodge stali na dziobie, Jed zaś towarzyszył Kucharce na rufie. Przytulony ciepłym bokiem do jej nogi, opierając się przednimi łapami na ławce sternika, wystawiał łeb, wpatrując się w nieprzenikniony opar za łodzią.

Poruszali się w całkowitej, wręcz upiornej ciszy. Płynąc z prądem, dokładnie tak szybko, jak następował odpływ, nie robili bowiem najmniejszego hałasu. Wydawało się, że szybują poprzez wilgotny świat sennej mary, w którym jedynymi dźwiękami były łagodny plusk wody o burty i echo dzwonów odległego kościoła. Taka monotonia powoduje ryzyko popadnięcia w otępienie. Kucharka otrząsnęła się, skupiając wzrok na płynącym przed nimi ptaku, po czym poruszyła

rumplem, żeby nie zboczyć z kursu.

Czas również zdawał się płynąć inaczej w białym kokonie mgły, bo wydawało się, że minęły całe godziny, a nie zaledwie dwadzieścia minut, kiedy Kruk załopotał skrzydłami i przysiadł na dziobie.

– Teraz! – powiedział Kowal, a Emmet chwycił leżącą na wierzchu skrzynię i z łatwością wyrzucił ją za burtę. Z leja na powierzchni wody dobył się niski gulgot, po nim łoskot łańcucha, a następnie szmer liny. Emmet cofnął się i chwycił sznur, powoli hamując łódź niesioną prądem ku morzu. Wreszcie się zatrzymała. Kowal i Hodge przyłączyli się do niego i już razem zaczęli ciągnąć lichtugę wbrew nurtowi, w górę rzeki.

– Teraz mogłabyś zaśpiewać jedną z tych swoich szant – wystękał Hodge.

– Jedną z tych przyzwoitych – dodał pospiesznie Kowal.

– Sza! – syknęła Kucharka, patrząc na psa. Jed zjeżył się i warczał nisko. – Co jest, Jed? – zapytała, czując wibracje tego głębokiego dźwięku na swojej nodze.

– Coś wyczuł – powiedział Hodge i popatrzył w stronę, w którą pies kierował pysk. Jed stał wyprężony, z wyprostowanym ogonem, jakby starając się wywęszyć zwierzynę.

W oddali rozległ się potrójny dzwonek okrętowy.

Kruk przeskoczył ponad całą długością łodzi i wylądował przy Jedzie. W tym momencie poderwał się lekki wiatr, który rozwiął na chwilę fragment mgielnej ściany. Jakies sto pięćdziesiąt jardów za lichtugą pojawiła się niewielka łódź parowa napędzana kołem. Gdzieś z bliska dobiegł odgłos parowego tłoka.

– To nie musi nic znaczyć – mruknął Hodge. – Wcale nie musi.

Znów rozległ się potrójny dzwonek.

– Może zobaczymy... – zaczął ponownie, ale przerwał mu huk wystrzału, świst i pisk, kiedy kula przeorała bok Jeda i trafiła Kucharke, która okręciła się wokół własnej osi i przy wtórze potężnego chlupnięcia wypadła za burtę.

Kowal przyskoczył do burty, szukając Kucharki w rzece, ale zdawało się, jakby mgła i woda połknęły wszelki ślad po niej.

– Kucharko! – krzyknął w nieprzeniknioną przestrzeń, a nie

doczekawszy się odpowiedzi, odwrócił się do Emmeta. – Emmet... – Ale golem zdążył już przywiązać linę do knagi i właśnie przestępował burzę. Zanim Kowal dokończył, Emmet plusnął w wodę i również zniknął.

Hodge podbiegł do trzęsącego się z zaskoczenia, ale nadal stojącego psa i zbadał go pobieżnie.

– Kości całe. – Odetchnął i czerwonymi od krwi rękami pogładził sierść zwierzaka. – Dobry piesek. Dobry przyjaciel. Nic ci nie będzie... – Spojrzał na Kowala roziskrzonym wzrokiem. – No dobra. Gdzie te przeklęte kordy?



Coram przygnał do domu Templebane'ów i zawiadomił Mountfellona, że lichtuga odbiła. Hrabia błyskawicznie dotarł do drugiej łodzi, zacumowanej przy St Katherine's Steps. Wskoczyli do niej i natychmiast odbili od brzegu, po czym skierowali się w dół rzeki.

– Jesteś pewien, że wypłynęli?

– Tak, panie. Ojciec niewątpliwie już ich dopadł. Wziął pod uwagę wszystko, nawet mgłę i zmrok. Lada moment zadzwonią trzy razy, żebyśmy mogli odnaleźć ich we mgle. My też mamy zadzwonić, podchodząc.

– Rozsądne środki ostrożności – pochwalił Mountfellow. – Rozumiem, że sprawy mogą przybrać nieprzyjemny obrót?

– Masz coś przeciwko, milordzie?

– Skądże – odparł wyniośle wicehrabia. – Wręcz przeciwnie. Ci ludzie sprawili, że wyszedłem na głupca. Nie zamierzam tego tolerować.

– Oczywiście, panie – zgodził się Coram, usiłując wypatrzeć cokolwiek we mgle.

Był pewien, że w oddali usłyszał huk wystrzału, ale mogło to być również uderzenie spadającej kłody.



Kiedy łódka parowa zrównała się z lichtugą, wydawało się, że na tej drugiej nie ma żywego ducha. Jeden z Gałganiarzy zahaczył o burtę bosakiem i popatrzył na Bassetshawa, oczekując poleceń.

Niesamowita sceneria przypominała obraz zamrożony we mgle, upiorny w swym bezruchu. Jedynie woda burzyła się pod burtami szepionych łodzi, z których jedna wydawała się całkiem opuszczona, druga zaś pełna była opryszków uzbrojonych po zęby, a mimo to niechętnych, by wejść na pokład lichtugi.

– Chowają się za skrzyniami! – zawołał Garlickhythe, usiłując przekrzyczeć huk silnika parowego. Trącił jednego z bandytów. – No, ruszaj, bierzcie ich!

Kiedy opryszki ruszyły naprzód, na pokład ich łodzi opadły dwa haki bosakowe na linach. Pociągnięte liny szarpnęły hakami, ciągnąc je po pokładzie. Jeden z nich zaczepił o nogę Bassetshawa i wywrócił go. Po chwili żelazne końce wbiły się głęboko w drewno burty, a liny napięły się, gdy niewidzialne ręce zza skrzyń do czegoś je przywiązywały.

– Mówiłem, że siedzą za pudłami! – wrzasnął Garlickhythe. – Ruszać się! Zabić sukinsynów!

– Nie – odezwał się głos za jego plecami. – Jesteśmy tutaj. A moi rodzice byli ludźmi.

Chłopak odwrócił się. Z tyłu stała ociekająca wodą Kucharka, a nie mniej ociekający Emmet przechodził właśnie przez burtę po drugiej stronie lichtugi. Z rany na ramieniu Kucharki płynęła krew, ale ponieważ kula ominęła kość, piracica pozwoliła sobie chwilowo zignorować uraz. Stała z toporkiem abordażowym w jednej dłoni i kordem w drugiej. A potem, jako że nie widziała potrzeby podtrzymywania konwersacji z ludźmi, którzy aż nadto wyraźnie wyłuszczyli swoje zamiary, strzelając do niej i do jej przyjaciół, cisnęła toporkiem w mężczyznę, który miał pecha wyjść przed szereg i wycelować w nią pistolet.

Od tego momentu wszystko potoczyło się szybko.

Kucharka wyszarpnęła drugi kord z za szarfy, jeszcze zanim jej toporek dotarł do celu, i razem z Emmetem rzucili się na bandytów. Co prawda golem został stworzony tak, by nie krzywdzić ludzi, ale mógł bez przeszkód chronić Kucharę przed atakami, a to oznaczało, że ona mogła się skoncentrować na rozdawaniu ciosów na prawo i lewo oraz nie przejmować się parowaniem i obroną, ponieważ to robił za nią gliniany człowiek. Pierwszą jego ofiarą stał się Zebulon. Odrącił go z taką siłą, że zawinięty w koc prawnik wylądował na pokładzie, wypuszczając z rąk garłacz, który prześlizgnął się po deskach.

Podczas gdy z jednej strony na bandę spadł gniew biuściastego berserka, Kowal i Hodge wybiegli z za skrzyń i ruszyli na opryszków z drugiej strony niczym lodowate furie, dorównujące Kucharce szybkością i zaciekłością.

Gałganiarze przywykli do słabych, przerażonych ofiar, młodych kobiet, starców bądź pijaczyn, a choć byli groźnymi zbirami, to na pewno nie wojownikami jak ich przeciwnicy. Hodge, rozwścieczony zranieniem psa, machał kordem z zacięciem, z którym konkurować mogła tylko zajadłość Jeda. Pies wpadł w wir bitwy i atakował na poziomie kolan.

Kowal uderzył na wroga jak taran, gruchocząc młotem broń i kości z przerażającą bezstronnością. Napastnicy mieli przewagę dwa do jednego, a zaskoczenie i szybkość dały Nadzorowi tylko chwilowe fory, ciosy dosięgały więc celu tak po jednej, jak i po drugiej stronie.

Hodge otrzymał kilka ran, w tym jedno paskudne cięcie brzytwą przez nos.

Magor kopnął ciężkim buciorem Jeda, który potoczył się po pokładzie i zaskomlał, boleśnie uderzając o burzę.

Hodge rozejrzał się, złapał toporek tkwiący w ciele pierwszej ofiary Kucharci i jednym ciosem odrąbał oprychowi głowę.

Gałganiarz stojący za przywódcą zamarł, kiedy obryzgała go krew tryskająca z bezgłowego ciała, a potem aż wrzasnął, gdy Hodge natarł na niego, z taką zręcznością machając ściskanym oburącz toporkiem, że wprawilby w dumę swych wikińskich przodków.

Przerażony Gałganiarz wypalił z pistoletu za wcześnie i kula

chybiła, ale nim zdążył zarejestrować porażkę, ostrze siekierki przecięło pasmo tak jego życia, jak i ewentualnych zmartwień.

Odzyskawszy garłacz, Zebulon uśmiechnął się paskudnie i wymierzył w Kowala, który nie miał szans ukryć się przed bronią o tak dużym rozrzucie.

Dostrzegłszy nieuchronność tego, co miało się zdarzyć, Hodge rzucił się bez namysłu i zasłonił przyjaciela własnym ciałem, jednocześnie biorąc zamach toporkiem. Wyprowadził cios od dołu, bo nie miał czasu zrobić nic innego, ale ostrze zderzyło się z lufą i podrzuciło ją w momencie, gdy Zebulon nacisnął spust.

Śrut zagrzechotał o komin, wybijając w nim wielką dziurę, ale Hodge zachwiał się, gdy buchnęły w niego żar i wyrzut prochu, po czym złapał się za twarz. Jed przeskoczył go, warcząc wściekle, i rzucił się Zebulonowi go gardła, zwierając szczęki w zabójczym uścisku.

Zebulon krzyknął z trwogi, nie mogąc oderwać od siebie nieprzejednanego teriera, a kiedy jego wzrok padł na Kowala, zaczął błagać:

– Proszę...! – charczał. – Litości!

– Oczywiście – rzekł Kowal i grzmotnął swym młotem z taką siłą, że aż zadrżał pokład. Potem schylił się do psa. – Puść, piesku. Już nie żyje.

Bitwa skończyła się tak szybko, jak się zaczęła. Ostatni trzymający się jeszcze na nogach Gałganiarz rzucił broń, zwymiotował na widok tego, co zostało z twarzy Zebulona, a potem próbował skoczyć za burtę. Zbyt wolno. Kowal chwycił go w powietrzu za stopę, pociągnął i grzmotnął jego głową o ołowiane pudło.

Wreszcie puścił nogę bandyty i stał nad nim, dysząc ciężko, jednak cały i zdrowy. Emmet otrzymał najwięcej ciosów, ale nie wyrządziły mu one żadnej krzywdy, choć wziął na siebie wszystkie ataki na Kucharke.

– Musimy ci kupić nowy płaszcz – stwierdziła Kucharka, dysząc i opierając się o komin. – Dziękuję.

– Wyrzuc trupy do wody – powiedział Kowal.

– A co z rannymi? – zapytała Kucharka.

Hodge milczał. Siedział, przyciskając do twarzy chusteczkę, spod której lała się krew.

– Hodge... – Kucharka się zatroskała.

– Zaraz mi przejdzie – zapewnił ją. Jed trącił go pyskiem i zaskomlił wyraźnie zaniepokojony.

Emmet zaczął wyrzucać trupy po dwa naraz.

Teraz, gdy było już po wszystkim, Kucharka aż poszarzała ze zmęczenia. Krew płynęła z rany na jej ramieniu, ściekała po dłoni i kapiała na pokład.

Emmet oddał rzece ostatnie nieruchome ciało. Kucharka obserwowała, jak nurt porwuje je i unosi w mgłę.

– Krwawa jatka. – Wzdrygnęła się. – Przewiąż mi, jeśli możesz...

Emmet był szybszy od Kowala. Wyminął go, zdjął chustkę, którą nosił pod szyją, i obwiązał nią ranę. Kowal przyglądał się Bassetshawowi, który odczołgiwał się od nich rakiem, aż wreszcie utknął na dziobie. Był przerażony i miał złamaną rękę.

Kiedy Kowal podszedł do niego, chłopak wygrzebał z kieszeni ciemne okulary i usiłował założyć je sobie na nos. Kowal mu je wyrwał.

– Cz... czym jesteś? – wydusił Bassetshaw.

Kowal pokazał mu pięść z pierścieniem.

– Jesteśmy Nadzorem – rzekł, przyciskając pieczęć do czoła młodego Templebane'a. – A ty zapomnisz o wszystkim, co się tu wydarzyło, a także o nas. Jesteś wolny, możesz iść, gdzie zechcesz, ale nie wolno ci wrócić do miasta. Znajdziesz jakąś nieszczęsną duszę i przez resztę życia zrobisz wszystko, żeby polepszyć jej los. Najpierw jednak powiesz nam, kto cię wysłał...

– Ojciec – wyjąkał chłopak. – Ojcowie...

– Kucharko – zawołał Kowal. – Pomożemy Emmetowi ze skrzyniami. Im szybciej wrócimy na suchy ląd, tym lepiej. Wysłuchaj, co ten tu ma do powiedzenia, a potem wsadź go na jego łódź i odeślij.

– To nie łódź – zaprotestowała Kucharka. – To szmelc.

Podczas gdy wysłuchiwała zwierzeń Bassetshawa, Kowal założył Hodge'owi na nos prowizoryczny opatrunek utrzymujący chustkę na miejscu. Aż syknął na widok rozmiaru okaleczeń.

– To tylko oparzenie od prochu – powiedział teriernik, podnosząc na niego niewidzący wzrok. – Nie wystrzał. Oczy z czasem dojdą do

siebie, prawda?

Kowal spojrział na Kucharkę i pokręcił głową.

– Na razie odpoczywaj – nakazał przyjacielowi.

Przygnębiony wrócił na lichtugę i pomógł Emmetowi zepchnąć ciężkie skrzynie. Było to trudne zadanie i na końcu, mimo niskiej temperatury, pocił się z wysiłku.

Emmet wskoczył do wody, zanurkował na dno z łańcuchem i owinął nim wszystkie pudła.

Pozbawiona ciężaru lichtuga przechyliła się mocno na jedną stronę, bo druga burta była nadal szcepiona z łodzią parową.

Emmet wynurzył się wreszcie i przytrzymał łodzie, żeby Kucharka mogła wyjąć haki i zabrać je ze sobą. Spojrzała przez ramię na Bassetshawa, który siedział otępiały, z niknącym na czole odciskiem pierścienia.

– Chodź – zawołała go.

Wygramolił się i chwiejnie wszedł na pokład lichtugi.

– Nastawimy mu rękę i wysadzimy go na Wyspie Psów. Skoro w ramach kary ma pomagać innym, lepiej niech sam nie będzie kaleką.

– A co z tamtą łodzią? – zapytał Kowal.

– To nie łódź – powtórzyła Kucharka, ale zbył ją machnięciem ręki, zanim znów wyraziła pogardę dla jednostek napędzanych silnikiem parowym.

– Odepchniemy ją i niech płynie tam, skąd przybyła – powiedział Hodge, pozwalając przeprowadzić się na pokład barki.

W tym momencie usłyszeli odległy potrójny dzwonek. Wydzwaniał tak samo jak ten należący do napastników. Bassetshaw powiedział im, co to za sygnał. Kucharka i Kowal spojrzeli na siebie.

– Lepiej stąd płynimy – rzekła Kucharka. – Wygląda na to, że nadpływa reszta bandy.

– Zaraz – powstrzymał ją Kowal. – Emmet, zostań na tamtej łodzi i odpowiedz na sygnał. Tymczasem dołóż do kotła, a kiedy cię zobaczą, pchnij tę... – Przyjrzał się rurom i dźwigniom silnika. – Nie, tę wajchę do samego końca, a potem płyn do brzegu. Wracaj do domu, jak szybko się da, bo Sara jest sama i może jej grozić niebezpieczeństwo.

ROZDZIAŁ LXXI

Basen portowy na Regent's Canal

Lucy była przekonana, że po osiągnięciu celu podróży będzie jej trudno, ponieważ nagle znajdzie się wśród gmatwaniny ulic i uliczek, otoczona napierającym z każdej strony tłumem. Zżymała się na myśl o porzuceniu sielskich wsi i powolnego rytmu drogi, a co za tym idzie – o powrocie w sam środek hałaśliwego brzuszyska wielkiej metropolii. Podobało jej się wędrowanie po otwartej przestrzeni, a teraz, gdy włóczęga należała do przeszłości, wydawało jej się to wręcz idyllicznym przerywnikiem w życiu pełnym lęku i nieustannego wrażenia, że jest ścigana. Z ponurą rezygnacją myślała o kluczeniu labiryntem ulic i – prawdopodobnie przynajmniej kilkukrotnym – zgubieniu drogi na Wellclose Square, mimo że Charlie zarzekał się, iż zna East End jak własną kieszeń.

Choć trapiła się tym wszystkim, zmęczenie po nocnym spotkaniu ze Sluagh tak dało jej się we znaki, że niezdolna z nim walczyć głęboko zasnęła. Nie obudziła się, kiedy z Grand Union Canal skręcili w Regent's Canal ani też kiedy nurt niósł ich od Paddington na zachodnim krańcu miasta przez całą drogę na wschód. Obudziła się, dopiero gdy Charlie potrząsnął ją za ramię.

– Wstawaj, śpiochu – zawołał z szerokim uśmiechem. – Jesteśmy na miejscu.

– Czyli gdzie? – wymamrotała zaspana i wcale nie wypoczęta, mimo że spała dość długo.

Uniósł płachtę, odsłaniając odymione, szarawe niebo poprzecinane masztami, ramionami dźwigów i żurawikami.

– W basenie portowym na Regent's Canal – oznajmił tonem gospodarza. – Tam dalej jest Tamiza. – Wyciągnął ramię, wskazując łatwo rozpoznawalną sylwetkę londyńskiej Tower górującą nad

dachami. – A Wellclose Square jest w połowie drogi między nami i mostem. No, jak ci się podobam w roli przewodnika?

Lucy podniosła się i wyjęła zawiniątko z ręką spod wypchanego sianem worka po mące, który pani Stonex dała jej jako poduszkę.

– Musimy iść – powiedziała. – Natychmiast. Jak najszybciej.

Podziękowali Stonexom, którzy pożegnali ich tak samo bez ceregieli, jak powitali. Obiecali przekazać informację, że młodzi podróżnicy przybyli do Londynu cali i zdrowi.

– Choć z mojego doświadczenia wynika – rzekła pani Stonex, spoglądając kwaśno na męża – że trzymanie się z dala od kłopotów w drodze do Londynu nie jest choćby w połowie tak trudne jak trzymanie się z dala od nich tu, w mieście.

Basen portowy był tak zatłoczony, że ich barka musiała się zatrzymać w drugim rzędzie od nabrzeża, więc Charlie i Lucy zmuszeni byli przedostać się na ląd przez sąsiednią łódź.

W tej też chwili, tak jak się Lucy spodziewała, opadł ją drażniący zmysły chaos. Charlie wziął na poważnie jej słowa i szedł tak szybko, że musiała biec, żeby dotrzymać mu kroku. Mijali barki, dokerów, kupców, rozpędzili stadko gołębi dziobiących rozsypane ziarno, uskakiwali z drogi wozom, wózkom ręcznym i tragarzom uginającym się pod ciężarami, które wyglądały, jakby mogły złamać koński grzbiet.

Zapachy i hałasy potęgowały wrażenie Lucy, że znalazła się w środku bitwy, a nie w cywilizowanym mieście – jakby weszła wprost w jedną z cyrkowych dioram Barnaby. Twarze, usta, buty, kolana, a nade wszystko oczy – były wszędzie wokół niej. Pospiesznie przesuwały się do tyłu, kiedy biegła za Charliem, starając się nie spuszczać wzroku z jego długiego płaszcza i błyszczących ćwieków na podszwach. Jedyne, z czego była zadowolona, to fakt, że ludzie zauważali ich wyłącznie wtedy, gdy się z nimi zderzyli. Póki poruszali się, klucząc i unikając kolizji, byli niewidzialni jak gołębie. A przynajmniej tak jej się zdawało.

W pobliże Wellclose Square, gdzie tłum znacznie się przerzedził, dotarli w niespełna dziesięć minut. Gdy tylko Charlie wskazał sterczący w niebo komin rafinerii i strzelistą dzwonnice kościoła,

Lucy zwolniła kroku.

To Charlie, obracając się, by sprawdzić, co ją zatrzymuje, dostrzegł przysadzistego młodego człowieka bez szyi, który rozmawiał z kimś siedzącym w czarnej karecie zaparkowanej ukośnie na ulicy naprzeciwko Kryjówki. Choć młodzieniec przy powozie zamiast na karku nosił głowę wprost na górcie mięśni na barkach, na których opinało się palto, wzrok miał bystry, szybko więc dostrzegł chłopaka i dziewczynę, bo nagłe zatrzymanie się i zwrot Charliego wprowadziły dysonans w płynny rytm okolicy, do którego bezkarki był nieświadomie dostrojony.

Pechowo dla Lucy młodzieńcem tym był Sherehog Templebane, a rozmawiał z siedzącym w powozie ojcem.

– Nie ma mowy, żebyś mi towarzyszył! – stwierdził Issachar cierpko. – Jak tylko...

– Chwileczkę. – Sherehog uciszył ojca gestem, na jaki mógł sobie pozwolić jedynie on i może jeszcze Vintry, drugi z najstarszych wychowanków prawników. – Czy to nie ta dziewczyna, której zalepiliśmy usta smolnym plastrem?

Issachar przełknął słowa, którymi miał zbesztać syna za bezczelne zachowanie, i wychylił się, mrużąc oczy.

– Co się dzieje? – zapytał Charlie.

– Nie wiem, jak to zrobić. – Lucy zatrzymała się na dobre przy wystawie sklepu z niepokojąco autentycznie wyglądającymi szklanymi oczami i znacznie mniej przekonującymi protezami nóg. – Może ona już nie żyje? Ludzie umierają, kiedy tracą kończynę.

– Ale też przeżywają – skontrował Charlie.

– Ale jeśli umarła, to moja wina. Pierścień z kamieniem i ten drugi, ze szkłem, dawały jej siłę. Ja też mam taki specjalny kawałek szkła. Wiem, jaki jest ważny. No i jakby też ich okradłam. Ją. To znaczy zostałam przyniesiona do tego domu, nie wiem, jak to się stało, ale oni byli dla mnie dobrzy, a ja chciałam coś ukraść. I nie wiem, jak to wytłumaczyć, bo nie mam pojęcia, jak to zrobiłam ani dlaczego chciałam to zrobić...

– Ale przecież gdyby była martwa, dłoń nie byłaby żywa, prawda? Rozmawialiśmy już o tym. Komunikuje się z tą ręką, tak?

Lucy przytaknęła. Było jej naprawdę niedobrze.

Omawiali to już nie raz. Na barce dyskutowali o tym, patrząc, jak krajobraz przepływa wolno za burtą. Lucy żałowała, że dobiegł końca ten spokojny etap podróży, kiedy tylko rozmawiało się o tym, co robić, a nie działało.

– Zawsze możemy położyć rękę na progu, zadzwonić i uciec. – Charlie się uśmiechnął.

– Nie żartuj sobie. To i tak trudne.

Skinął i spojrzał na mgłę, którą raptownie zaczął zachodzić plac.

– Wiesz, jaka jest różnica pomiędzy tobą a Georgianą Eagle? – zapytał.

Mogła podać niejedną, ale tylko spojrzała na chłopaka.

– Ona poszłaby na ławiznę, zrobiła to, co najlepsze dla niej. Z nią nawet nie byłoby tej rozmowy. W ogóle nie byłoby tu Georgiany. Może więc pomyśl, jak ona by postąpiła, a potem zrób na odwrót.

Lucy zamyśliła się na chwilę, po czym stanowczo kiwnęła głową.

– Masz rację, tak zrobię. Pokaż, który to dom.

– Myślałem, że w nim byłaś?

– Zostałam przyniesiona w worku.

Kryjówka wyglądała na opuszczoną. Okiennice były pozamykane, a kiedy zadzwonili do drzwi, usłyszeli tylko dzwonek, potem jego echo, a w końcu... ciszę. Żadnego odgłosu kroków, otwierania drzwi wewnątrz, żadnego ruchu.

– Zadzwonź jeszcze raz – powiedział Charlie po dłuższej chwili.

– Nikogo tam nie ma. – Lucy westchnęła ciężko. To od początku był zły pomysł. Co gorsza, nie pomyśleli, co zrobią, gdy nikt im nie otworzy. Dlatego pociągnęła rączkę dzwonka i słuchała, jak mosiądz ożywa dźwiękiem i jeszcze raz zamiera.

– Możemy tu poczekać – zaproponował Charlie. – Dopóki nie pada, nic nam nie będzie.

Lucy przygryzła wargę i przytuliła rękę Sary do piersi. Jej wzrok padł na kamienne obmurowanie wejścia. Dom był stary. A kamień, z którego go zbudowano, wyglądał jak te, których unikała przez całe życie ze strachu przed zamkniętą w nich przeszłością, mogącą wyskoczyć na nią i ukąsić. Taki dom, do którego przychodziło

i z którego wychodziło tylu ludzi, musiał być świadkiem jakichś wstrząsających wydarzeń, mury z pewnością przesiąkły nimi do granic. Obrazy czekały tylko na okazję, żeby się wyrwać. Przypomniała sobie, jak Sara grzebała w pudełku, szukając dla niej rękawiczek. Nic dziwnego, że sama zawsze skrywała dłonie.

Zapatrzeni w drzwi, nie zauważyli, że od tyłu pod wejście podjeżdża podejrzany czarny powóz.

Trzy piętra wyżej ktoś jednak był. Tym kimś była Sara Falk, choć tak słaba i zmieniona, że sama nie bardzo wiedziała, kim jest, kiedy po raz drugi wyrwał ją z pólśnu dzwonek do drzwi. Leżała na łóżku otoczona poduszkami, bezwładna i blada.

– Nie – wyszeptała, a po policzku stoczyła jej się łza, niepowstrzymana i niezauważona. – Nie. Nikogo nie ma w domu. – Zamknęła oczy i znów zapadła w senną otchłań.

Lucy przyglądała się kamiennemu portalowi i rozmyślała o rękawiczkach, kiedy z zadumy wyrwał ją jakiś głos.

– Nikogo tam nie ma – powiedział. – To smutne. Wszyscy odeszli.

Odwróciła się i w pierwszym momencie nie mogła dojrzeć, kto mówi. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że głos dobiegał z głębi karety, zza uchylonych drzwiczek.

– Może jednak mógłbym pomóc?

– Nie trzeba – oświadczył Charlie ostro. – Dziękujemy.

Lucy czuła, że coś jest bardzo nie tak, i wiedziała, że Charlie też zorientował się w sytuacji, bo instynktownie zasłonił ją sobą.

Ponieważ zawsze odruchowo szukała dróg ucieczki, rozejrzała się wokół, dzięki czemu zobaczyła Sherehoga, który stał niewinnie, opierając się o boczną bramę. Musieliby biec na tyły domu w nadziei, że jest tam jakieś wyjście...

– Nie mówiłem do ciebie, młodzieńcze – rzekł głos pozornie łagodnie. – Zwracałem się do panny Harker.

Słowa dobiegły jakby znikąd i wpiły się w jej wnętrzności tak mocno i niespodziewanie, że aż serce podskoczyło jej do gardła. Przeszyło ją tak intensywne poczucie zagrożenia, że żołądek jej się skurczył, a potem rozplynał. Zacisnęła zęby, żeby opanować narastający lęk.

Charlie odwrócił się i spojrzał na nią pytająco.

– Nie wiem, kto to – zapewniła go pospiesznie, czując, że serce wali jej jak młotem.

– Niedobrze. Wygląda mi to na kłopoty.

Lucy zgadzała się z nim, ale wiedziała też, że jeszcze gorsze będzie to, co musiała teraz zrobić. Mężczyzna z karety znał jej nazwisko. To oznaczało, że posiadał pewnie więcej informacji. Informacji, które ona chciała zdobyć.

– Mam dziury w pamięci – szepnęła.

Charlie skinął głową, jakby rozumiał, a potem odchylił połą, pokazując garłacz i nóż wiszące przy pasku. Jego chłodna mina i uniesiona brew skojarzyły jej się z mężczyzną w granacie, który w tym właśnie budynku uwolnił ją z worka.

Pokręciła głową.

– Muszę tam iść. Muszę.

Wręczyła mu ukradkiem rękę, a potem pochyliła się, jakby chciała pocałować go na pożegnanie, i szepnęła coś do ucha. Następnie zeszła ze schodów i zajrzała do karety.

– Skąd zna pan moje nazwisko? – zapytała.

– Co robi ten chłopak? – wychrypiął głos w ciemności, z przerażająco bliskiej odległości.

Charlie stał odwrócony do nich plecami i robił to, co w ostatniej chwili mu poleciła – usiłował zdjąć rękawiczkę Sary i przyłożyć jej dłoń do muru. Rozpinanie guziczków szło mu opornie, bo rękawiczka ciasno przylegała do skóry. Miał nadzieję, że Sara, gdziekolwiek się znajduje, zobaczy dom w jakimś skrawku przeszłości i zorientuje się, gdzie jest jej ręka.

Lucy z kolei miała nadzieję, że Sara jest gdzieś blisko i że zdąży, zanim będzie za późno, bo głos z ciemności kusił możliwością wypełnienia czarnych dziur w pamięci.

Charlie zrezygnował z rozpinania rękawiczki, wsunął pod nią czubek noża i rozciął czarną skórę, odsłaniając wnętrze dłoni.

Przytknął ją do muru.



Sara Falk ocknęła się gwałtownie i zgięła wpół, wstrząśnięta uderzeniem przeszłości, która zasypała ją okruchami wspomnień...

Wellclose Square,

minutę temu,

dziewczyna,

ta dziewczyna,

Lucy,

szarpie za dzwonek.

Młody mężczyzna obraca się, odchylając połą marynarki.

Miga wiszący przy pasku garłacz.

„Możemy tu poczekać” – mówi. Dobrze patrzy mu z oczu.

Czas przeskakuje. Bramę tarasuje czarny powóz. Z wnętrza dobiega głos. Zwodniczo łagodny.

„Nikogo tam nie ma. To smutne. Wszyscy odeszli”.

Lucy odwraca się, a czas znów przeskakuje.

„Zwracałem się do panny Harker”. Lucy odpływa krew z twarzy.

Sara poczuła lodowate szarpnięcie, jakby lęk ściał krew w jej żyłach, nie dziewczyny. Przetoczyła się na skraj łóżka i zwymiotowała. Przez chwilę wisiała nad kaszkajskim dywanem i dyszała ciężko, a z ust ciągnęła jej się nitka śliny sięgająca kolorowych wzorów.

Nigdy nie czuła takiej presji.

Nigdy nie czuła się taka słaba.

Zwlokła się z łóżka i wywróciła krzesło, chcąc przytrzymać się jego oparcia.

Nie miała siły, by zejść samodzielnie po schodach.

Opadła na kolana, po czym na czworakach podpełzła do stopni.

Przypomniała sobie Kowala patrzącego jej w oczy i mówiącego, że to koniec.

Jest siła.

A gdy nie ma siły...

Jest grawitacja.

Stęknęła z wysiłku, posuwając się naprzód i przewracając przez

pierwszy stopień, a potem stoczyła się na dół.



Lucy musiała zapanować nad przerażeniem i podejść bliżej do czarnej paszczy karety, żeby zasłonić Charliego. Ze strachu kręciło jej się w głowie. Czuła, że stoi na ostrzu brzytwy, targana z jednej strony lękiem przed zadaniem pytania, a z drugiej – przed odpowiedziami, jakie mogła usłyszeć. Wiedziała jednak, że jeszcze gorszy strach wywołuje niewiedza.

– Kim jesteś? – zapytała, robiąc krok naprzód.

W ciemnościach coś się pojawiło – wyłoniła się pulchna dłoń, a na niej leżała rzecz, którą w pierwszej chwili Lucy wzięła za orzech, a która okazała się kamieniem. A raczej połówką kamienia w szarzielone i czerwone mazaje.

– Jestem kimś, kto ma coś, co, jak miemam, należy do ciebie. Jeśli podejdziesz bliżej, moja droga, zwrócę ci twoją własność i zabiorę cię do bezpiecznego, luksusowego miejsca, do którego należysz. Odwiozę cię... – W tym momencie Issachar pochylił się mocniej, tak że jego twarz o faflastych policzkach na chwilę zawisała w mroku, oderwana od ciała, które spowite w czerń, pojawiło się odrobinę później. Prawnik uśmiechnął się dobrodusznie. – Odwiozę cię, jak powiedziałem, a ty uczynisz mi zaszczyt, pozwalając zwrócić się na ciepłe łono kochającej rodziny.

Lucy zawahała się, ze wszystkich sił starając się uspokoić trzepocące serce i myśleć trzeźwo.

– Spójrz – ciągnął. – Chodź i spójrz. To połówka oczka z twojego pierścienia. Powierzono by ją jedynie przyjacielowi.

Sięgnęła po kamień i zobaczyła wyryte w nim zwierzę. Kiedy jej palce zamknęły się na odłamku krwawnika, ręka Templebane'a wystrzeliła, chwytając ją za przegub, i zaczęła wciągać w paszczę karety.

Usiłowała się wyrwać, ale prawnik był silny, zdołała więc tylko zaprzeć się drugą ręką o drzwiczki. Wiedziała, że nie wygra tej próby

sił, bo jeśli tylko spróbuje się puścić albo podnieść nogę, by go zaatakować, natychmiast straci wątłą przewagę i runie do wnętrza powozu, a nagle poczuła, że to byłaby jej zguba.

– Sherehog! – krzyknął Templebane. – Wepchnij ją i ruszajmy!

Kiedy chłopak pędził chodnikiem, drzwi domu otworzyły się z hukiem.

– Puść ją!!!

Sara Falk chwiała się w wejściu, jedną ręką przytrzymując się framugi. Druga wisiała bezwładnie wzdłuż ciała. Kobieta była rozczochrana, a jej nocna koszula łopotała na wietrze, odsłaniając kolana i łokcie poobijane w czasie staczania się przez trzy piętra po schodach.

Głos miała chrapliwy, wyglądała jak duch, ale jej oczy płonęły jasno. W kierunku schodów, na których stała, przetoczył się drwiący chichot Templebane'a.

– Bo co, panno Falk? Co mi zrobisz?

Ani na moment nie zwolnił uchwytu, a mięśnie Lucy aż piekły z wysiłku. Dziewczyna odwróciła głowę i ze zgrozą ujrzała cień Sary.

– Wybacz – wydusiła z siebie.

– Sherehog! – wrzasnął Templebane. – Pomóż mi z tą suką!

Sara popatrzyła na Charliego, który trzymał jej utraconą rękę.

– Daj mi ją – powiedziała.

Wyciągnął ku niej dłoń. Sara zachwiała się niebezpiecznie, kiedy puściła się framugi, więc złapał ją i przytrzymał.

Spojrzała na rękę. Na lustrzany kikut. I na taki sam na własnym przedramieniu.

A potem przytknęła do siebie gładkie powierzchnie.

Coś kliknęło i Sarą wstrząsnął porażający prąd, który poczuł nawet Charlie. Kobieta aż jęknęła z zaskoczenia i ulgi. A potem nagle jakby spłynęła na nią siła. Odepchnęła Charliego i powiedziała nowym, wyraźnym głosem:

– Daj mi to. – Wskazała na garłacz wiszący u paska chłopaka.

Wyglądała inaczej. Odmłodziła, ożyła, a jej twarz zacięła się w lodowatym grymasie.

Bezceremonialnie wyszarpnęła broń, aż pękł rzemień, na którym

wisiała. Potem Sara zeszła ze schodów, kierując się prosto w stronę karety i celując w Templebane'a.

– Sherehog! – krzyknął prawnik, pospiesznie zakładając na nos ciemne okulary. – Nie bój się, nie strzeli! Mogłaby trafić dziewczynę!

Sherehog zastąpił Sarze drogę, ale popełnił błąd – zawahał się.

– Tylko... – zaczął.

Nawet nie zwolniła kroku. Przekręciła broń tak szybko, że w jednej sekundzie patrzył na lufę, a w następnej kolba uderzyła go w podbródek i runął jak kłoda.

Sara przekroczyła go i wyceLOWAŁA broń, trzymając ją między Lucy a Issacharem.

– Teraz jej nie trafię. Chyba że kawałkami twojego mózgu. A to się zmyje.

Templebane gapił się na nią oniemiały.

– Puść ją – powiedziała.

– Nie wiesz nawet, kim jest – syknął. – Nie wiesz nawet...

Garłacz znów fiknął w jej dłoni, a potem masywna kolba opadła na rękę Templebane'a, łamiąc kość.

Krzyknął z bólu i zaskoczenia. Lucy poczuła, że ją puszcza. Zatoczyła się w tył.

– Wejdźcie do domu, szybko. Oboje – nakazała jej Sara, nie spuszczać wzroku ze zdrętwiałego z bólu i wściekłości Templebane'a.

– Ty... – zaczął.

– Nie wiem, czy naprawdę ma na imię Lucy, ale wiem, kim jest. Jest jedną z nas. Nie jedną z was, panie Issacharze czy tam Zebulonie Templebane, bo tak się nazywasz, nieprawdaż? Nie jest jedną z was. – Przekręciła garłacz i wymierzyła w niego, trzęsąc się z ledwie wstrzymywanej furii.

Oblizwał wargi i spojrzał prosto na nią, przyciskając złamaną rękę do brzucha.

– A więc wiecie, kim jestem.

– Oczywiście. Widzimy wszystko. Jesteśmy Nadzorem.

Jakby wypowiedzenie tego dodało jej sił, zmitygowała się, spuściła kurek i się odsunęła.

– Choć mam ogromną ochotę udekorować twoimi szczątkami wnętrze tego powozu, byłoby to niezgodne z Prawem i Obyczajem.

Po prawej rozległ się jakiś dźwięk. Odwróciwszy się, ujrzała ociekającego wodą Emmeta. Golem pytająco przekrzywił głowę.

– Lepiej późno niż wcale. Wsadź tego nieprzytomnego chłopaka do karety i zabierz mi ich spod mojej bramy.

– Panno Falk... – zaczął Templebane.

Odwróciła się, ale jego oczy skrywały ciemne szkła okularów. Uśmiechnął się do niej krzywo.

– Wiem, gdzie mieszkanie – syknął.

Zrewanżowała się równie kwaśnym grymasem – chłód za chłód.

– A my wiemy, gdzie mieszkanie wy.

Okręciła się na pięcie, weszła po schodkach do domu i zamknęła za sobą drzwi.

Lucy i Charlie stali w holu, nie przestając się w nią wpatrywać.

Usiadła na najbliższym krześle. Ciężko dyszała.

– Cóż – odezwała się po chwili. – Mama zawsze mówiła, że jak już robić sobie wrogów, to porządnych.

Rzuciła broń Charliemu.

– Wyglądasz jak Pyefinch – powiedziała.

– Jestem Charlie.

– Przyjaźniłam się kiedyś z twoją matką.

– Tak też mówiła. I nadal tak jest według niej. Żadnych uraz.

Sara skinęła głową. Wyglądała na znacznie silniejszą, przynajmniej ciałem. Bo w oczach miała śmiertelne znużenie.

– Jak mniemam, masz też ostrze – rzekła. – Jeśli w twoich żyłach płynie ich krew. – Popatrzyła na niego tak, jakby zwracała się do kogoś innego.

Potrząsnęła głową, a potem spojrzała po sobie, po potarganej, brudnej koszuli. Wstała raptownie.

– Dobrze. Na dole jest kuchnia. Lucy wie gdzie.

– Nawet jeśli nie wie, kim jest – mruknęła dziewczyna, wbijając wzrok w podłogę. Czowała się jeszcze bardziej nieswojo przez to, że Sara i Charlie zachowywali się wobec siebie tak swobodnie.

– Ale ja to wiem – oznajmiła Sara głosem niby trzask bata. –

Mówiłam tej ropusze Templebane'owi, a teraz powiem wam. Jesteś jedną z nas. Wróciłaś. To wymagało odwagi. Masz szczere serce. Bo tylko tego trzeba, nie ma w tym żadnej magii, naprawdę. Tyle na razie musi nam wystarczyć. Idźcie na dół, zróbcie sobie herbaty i sprawdźcie, czy Kucharka nie zostawiła gdzieś zupy albo ciasta. Muszę się ogarnąć i przygotować. Reszta niedługo tu będzie, a mamy wiele do omówienia.

Kiedy szła ku schodom, zatrzymała się i wyciągnęła rękę, a Lucy zauważyła na jej nadgarstku cieniutką linię, jakby srebrną bransoletkę wtopioną w skórę w miejscu odcięcia dłoni. Sara dotknęła ramienia dziewczyny.

– I dziękuję – powiedziała. – Ten dom jest twoim domem, jak długo zechcesz.

.

ROZDZIAŁ LXXII

Dzwonki we mgle

Mountfellow i Coram płynęli w nieprzeniknionej mgle. Coram co minuta dzwonił trzykrotnie. Zdawało mu się, że minęli już Blackwall Reach, kiedy wreszcie gdzieś w bieli rozległ się sygnał. Uśmiech Mountfellona, choć jak zwykle chłodny i wyniosły, wskazywał na ożywienie i zniecierpliwienie.

– Niedaleko – powiedział. – Obawiałem się, że popłynęli dalej w ujście i zgubimy ich na szerszych wodach.

Wychylił się, czujnie nasłuchując kolejnego sygnału. Kiedy rozbrzmiał, tym razem bliżej, Mountfellow skorygował kurs. Płynęli tak przez kwadrans, powoli, aż nagle, kiedy już wicehrabia myślał, że sygnał nigdy nie zmaterializuje się w łódź, z oparu wyłoniła się sylwetka łódki parowej, wokół której ruch powietrza tworzył wyrwę w bieli.

– Tam – wskazał Coram, ale Mountfellow już kierował się we właściwą stronę. Choć mgła przesłaniała widok, zobaczył tyle, by zapytać:

– Gdzie załoga?

– Też nikogo nie widziałem – przyznał Coram.

Dzwonek zabrzmiał znowu.

– Przecież muszą tam być, skoro dzwonią! – dodał z ulgą.

Nieopodal rozległ się głośny plusk, jakby do wody runęło coś wielkiego. A potem, nim zdążyli wymienić słowo na ten temat, łódź wyłoniła się tak blisko, że Mountfellowowi ledwie udało się ostro skrócić i zderzyć z nią burtami, a nie czołowo.

Łodzie zatrzeszczały, napierając na siebie, i musieli się czegoś chwycić, by utrzymać się na nogach. Na nieszczęście Corama w jego przypadku owo coś oznaczało samego wicehrabiego. Ciężkie

spojrzenie szlachcica opadło na wczepione weń dłonie i tak zastygło, aż wreszcie chłopak zrozumiał, czego się trzyma, i cofnął ręce jak oparzony.

Mountfellow wskazał na łódź parową.

– Pusta – stwierdził. – Idź tam i zobacz, co się stało.

Coram podszedł do miejsca, gdzie ścierały się burty.

– Przywiąż ją, inaczej odpłynię – poinstruował wicehrabia.

Coram zarzucił faleń i zaczepił go o reling na drugiej łodzi. Potem przeszedł ostrożnie na drugi pokład.

– Krew! – krzyknął. – Wszędzie krew! Na Boga!

– Do diabła z krwią – burknął Mountfellow i przekrzywił głowę, nasłuchując. – Co to za syk?

Na moment zamarł na wspomnienie syku węża, który rzucił się na niego w bibliotece, i wzdrygnął się, a wtedy syk przemienił się w gwizd, który stawał się coraz głośniejszy i bardziej przenikliwy, aż bolesny dla uszu.

Na łodzi parowej Coram z zaniepokojeniem przyglądał się kotłowi. Nawet z odległości dwóch jardów czuł bijące od pieca fale gorąca.

– To silnik parowy! – krzyknął. – Chyba...

Mountfellow nie czekał, aż chłopak dokończy, nie tracił też czasu na ostrzeżenia. Przyskoczył do burty, wyrwał nóż z pochwy przy przegubie i przeciął faleń.

– Co robisz?! – wrzasnął Coram, wstrząśnięty widokiem oddalającej się łodzi, którą Mountfellow skierował w przeciwną stronę.

A potem świst przerodził się w wysoki wizg i jakiś pierwotny instynkt przetrwania nakazał Coramowi skoczyć głową w wodę dosłownie w chwili, gdy kocioł na silniku eksplodował.

Mountfellow uderzony fragmentem komina wpadł do rzeki za rufą swojej łodzi, którą natychmiast porwał odpływ. Zanim wicehrabia wypłynął i otrząsnął się, oddaliła się tak, że nie mógł już do niej dotrzeć, a chwilę później całkiem zniknęła we mgle.

Mountfellow zaczął się kierować ku wrakowi łodzi parowej.

Pokład znajdował się pod wodą, pod którą wepchnęła go siła wybuchu, i niestety, gdy wicehrabia był zaledwie kilka machnięć ramionami od łodzi, bezczelnie – jak uznał – poszła na dno z głośnym

gulgotem. Pojawił się za to ukryty po drugiej stronie Coram, z dość marnym skutkiem usiłujący utrzymać się na powierzchni.

Mountfellow, unosząc się swobodnie, obrzucił go spojrzeniem tak zimnym jak woda, w której się znajdowali.

Coram zniknął i zaraz się wynurzył.

– Tonę! – wykrztusił.

– Głupotą jest świadome zaniedbanie nauki pływania w świecie tak pełnym wody i tak nieprzewidywalnym – oznajmił wicehrabia, zachowując bezpieczną odległość od niedoszłego topielca.

– Ratusz mnie!!! – krzyknął Coram, po czym zanurzył się ponownie.

Mountfellow odczekał, aż jego głowa znów pojawi się nad powierzchnią wody.

– A co bym z tego miał? – zapytał, odsuwając się od usiłującej pochwycić go gorączkowo ręki.

– Będę ci służył! – wrzasnął Coram. – Znam różne sekrety ojców, wyjawię ci je! Wiem, dlaczego...

Nie dokończywszy, poszedł pod wodę po raz trzeci i wedle tradycyjnej zasady ostatni. Mountfellow, choć konserwatywny z urodzenia i pod wieloma względami tradycjonalista, w tym wypadku złamał konwencję, złapał Corama za włosy i wyciągnął go na powierzchnię. Trzymał go na długość ramienia, czekając, aż młody człowiek pozbędzie się części Tamizy z płuc i zaczerpnie tchu, a potem obrócił go ku sobie.

– Przysięgnij, że będziesz dla mnie szpiegował w domu ojców – powiedział – inaczej oddam cię na pożarcie węgorzom.

– Oni nie są moimi prawdziwymi ojcami! – Coram się dławił. – Jestem podrzutkiem. Jestem biedną sierotą.

– Mam gdzieś, jaka dziwka druciarza wydała cię na świat. Przysięgnij albo następny oddech weźmiesz pod wodą! – syknął wicehrabia.

– Przysięgam! – załkał Coram. – Przysięgam, że będę ci służył!

– Więc przestań się mazać jak dziewczynka – prychnął Mountfellow, złapał go za kołnierz i przewrócił na plecy. – Wiem już, że to będzie długa rozgrywka. Ale Nadzór zdobył nade mną przewagę tylko chwilowo. A twoi ojcowie będą mi się gęsto tłumaczyli z dzisiejszej

porażki... – Zaczął płynąć ku brzegowi.

– Taaak – wybełkotał Coram. – To prawdziwe szatany...

– Zwykle szatany – sprostował Mountfellow. – Zobaczysz, że diabły mają różne wielkości i kształty, a zapewniam cię, że nie ma większego niż ja, jeśli chodzi o nielojalność. Oszukaj mnie, a obedrę cię ze skóry i wystawię w gablotce, rozumiesz? Obedrę ze skóry, przypnę i powieszę na ścianie.

Tylko on i Tamiza słyszeli żałosne szlochy Corama ciągniętego powoli ku niewidocznym skrajom wielkich trzęsawisk Greenwich, leżących po nieodpowiedniej stronie rzeki.

.

ROZDZIAŁ LXXIII

Pożegnanie

Sprawy przyspieszyły, gdy do domu wrócili Kucharka, Kowal i Hodge. Sara czekała na nich w holu i pospiesznie opowiedziała, co wydarzyło się podczas ich nieobecności. Kucharka donośnie zatrąbiła w chustkę i otarła oczy na widok odzyskanej i zespolonej z resztą ciała dłoni Sary, a potem wszyscy wygłosili pełne radości komentarze na temat zdrowszego wyglądu przyjaciółki. Postój w Baniałuce wykorzystali na nałożenie maści kojącej na twarz Hodge'a i opatrzenie wszystkich ran, więc teraz naprawdę wyglądali jak niedobitki pirackiej załogi. Nie mówili wiele o walce poza tym, że była krwawa i krótka. Znacznie bardziej interesował ich stan Sary.

– Kiedy wychodziłśmy, wyglądałaś jak martwa od tygodnia – stwierdziła Kucharka. – A teraz patrzcie państwo!

Sara znów była ubrana w czarną, obcisłą amazonkę, dopasowany zakiet i cienką, nieprzemakalną, wierzchnią spódnicę. Na czarnych rękawiczkach połyskiwały pierścienie, a włosy Sary, godzinę wcześniej przypominające kulę dmuchawca, zostały przygładzone i zaplecione w gruby warkocz.

– Wyglądasz znowu jak ty – powiedział Kowal z uznaniem. – Tak jak powinnaś. A gdzie tamta dwójka?

– W kuchni. A ponieważ jest ich dwoje, mam pewne propozycje. Pierwsza jest taka, że może poprosimy Emmeta, żeby wrócił do rzeki i wydobył przynajmniej Pożogę. – Potoczyła po nich wzrokiem. – Ze wszystkiego, co zatopiliśmy, to jedno lepiej byłoby trzymać w pobliżu.

– Jeśli będzie Ręka, żeby jej strzec – rzekł Kowal znużony.

– I przejąć jej moc – dokończyła Sara.

– Sugerujesz, żebyśmy stworzyli Rękę z jednym z tych młodych ludzi? – zapytał Hodge.

– Nie są już dziećmi – stwierdziła Sara. – Oboje dobiegają dwudziestki. I mają szczerę duszę.

– Powiedz mi, Saro, dlaczego za każdym razem, kiedy twierdzisz, że coś proponujesz, brzmi to jak rozkaz wykonania czegoś, co do czego samodzielnie podjęłaś decyzję? – Kucharka zadarła buntowniczo brodę.

– Dlatego że silę się na uprzejmość.

– A więc chcesz, żeby jeden z tych niedoświadczonych... pętaków przyłączył się do nas i stworzył z nami Ostatnią Rękę.

– Nie – oświadczyła Sara, wytrącając jej oręż z ręki. – Absolutnie nie.

– O. – Kucharka odetchnęła. – W takim razie wszystko w porządku.

– Chcę, żeby przyłączyli się oboje.

Lucy i Charlie słyszeli toczącą się na górze głośną wymianę zdań. Potem głosy zniżyły się do poziomu zwyczajnej rozmowy, a następnie na schodach rozległy się kroki i nawet krótki wybuch śmiechu. Młodzi ludzie zostali przedstawieni Kowalowi, Kucharce i Hodge'owi, którzy również znali i darzyli sympatią rodziców Charliego. Kucharka zabrała się do robienia kolacji, a tymczasem Lucy i Charliemu złożono propozycję i wyjaśniano różne sprawy. Potem zostawiono ich sam na sam, aby spokojnie zastanowili się nad odpowiedzią.

– Zrobię to, co ty – oświadczył Charlie.

Lucy potrząsnęła odmownie głową.

– Nie. Zrób, co uważasz za słuszne. Nie obarczaj mnie odpowiedzialnością.

– W porządku. – Skinął. – Nie o to mi chodziło, ale rozumiem cię. To co wybierzesz?

Rozejrzała się po ciepłym pomieszczeniu.

– Nieomal poszłam z tamtym człowiekiem, bo znał moje nazwisko.

– Wiedzą o tym – zapewnił ją Charlie. – Ale nie poszłaś. Opierałaś mu się.

– Chodzi o to, że nie wiem wszystkiego o swojej przeszłości. Pamiętam trochę, ale to oderwane fragmenty. Łączy je tylko jedno: że od dawna jestem sama i ciągle przed czymś uciekam. – Nabrała tchu. To było trudniejsze, niż się spodziewała. – Może więc jeśli będę

trzymała się jednego miejsca, dowiem się, o co chodzi. Może odkryję, kim jestem.

Charlie rozpromienił się i wyciągnął do niej rękę.

– W takim razie wchodzimy w to razem.

Kowal pojawił się w progu, kiedy z powagą ściskali sobie dłonie.

– Mam nadzieję, że to znaczy to, co myślę – powiedział, a kiedy przytaknęli, ciągnął: – To dobrze. Gwarantuję ci jeszcze jedno, Lucy. Już nigdy nie będziesz sama.



Kucharka natknęła się na Sarę w przejściu przy drzwiach do piwniczki, w której znajdowała się serwantka z Murano. Szafka była otwarta, a wewnątrz stał cynowy świecznik z prostą świecą.

Sara tkwiła przed wejściem, trzymając drugą świecę. Wolną rękę przyłożyła do muru, gdzie widniał najświeższy czarny ślad z wydrapanymi poniżej inicjałami J.S.

Trzęsła się i Kucharka zdała sobie sprawę, że to od wstrząsu wywołanego Wejrzeniem.

Spojrzała na twarz Sary – twarz, którą znała jako niemowlęcą, jako dziewczęcą, a która teraz była obliczem dorosłej kobiety. Na widok łzy, która spłynęła po policzku przyjaciółki i spadła na posadzkę, miała ochotę wziąć w ramiona tę dziewczynkę, którą nadal w Sarze widziała, i zapewnić ją, że wszystko będzie dobrze.

Ale za bardzo kochała Sarę, by ją oszukiwać.

Wycofała się i zatrzymała wchodzącego do tunelu Kowala, by Sara mogła spokojnie odczytać wspomnienia, jakie pozostawił po sobie pan Sharp.

Oboje obserwowali, jak próbuje uśmiechnąć się przez łzy. Kiedy Wejrzenie ustało, gwałtownie oderwała rękę od muru i rozejrzała się nieprzytomnie wokół. W jej oczach widać było zaskoczenie i zadumę.

– Śpiewał – powiedziała. – Pan Sharp śpiewał...

– Śpiewał dla ciebie – rzekła Kucharka. – Jedynie ty mogłaś go do tego sprowokować.

– Śpiewał na pożegnanie – wydusiła Sara. – Śpiewał *The Parting Glass*.

– Wobec tego chciał, abys nie porzucała radości, tak jak mówi piosenka. I musisz uhonorować jego życzenie.

Sara otarła łzy, jeszcze raz popatrzyła na odcisk i nagle zgięła się wpół. Kucharka podbiegła i położyła jej rękę na plecach.

– Moje drogie dziecko...

Sara spojrzała na nią zmieszana.

– Co się dzieje? – zapytała. – Skąd ten ból?

I znów Kucharka nie potrafiła jej okłamać.

– To ból złamanego serca – wyjaśniła. – Najgorszy ze wszystkich.

– Nie mogę tak żyć – szepnęła Sara zdławionym głosem.

– Możesz. I właśnie dlatego to najgorszy rodzaj bólu na świecie: ponieważ cię nie zabija. Żyjesz mimo niego, a każdego dnia do końca życia czujesz, że zdradzasz tego, kogo kochałaś i utraciłaś. Ale tak nie jest.

Sara przyciągnęła ją do siebie i wyszeptała coś chrapliwie do ucha. Brzmiała, jakby ponad przytłaczającą ją rozpacz wybijał się wstyd.

– Nie powiedziałam mu nigdy, że go Kocham...

Potem odetchnęła głęboko, otrząsnęła się, wyprostowała i weszła do piwniczki.

Stał tam stolik, na którym leżały ostrzałka Sharpa, cztery noże różnej długości i dwa pistolety.

Sara włożyła trzy noże za pasek, ostatni za cholewkę, jeden pistolet wsadziła do kabury pod ramieniem, a drugi do przytroczonego do uda futerału. Potem wygładziła spódnice i odwróciła się do stojących w progu starych przyjaciół i nowych członków Nadzoru.

Jed, podprowadziwszy Hodge'a na miejsce, podszedł i polizał Sarę w rękę. Kruk usiadł teriernikowi na ramieniu i kłapnął dziobem.

– Wyglądasz jak twoja matka. – Hodge uśmiechnął się, zwracając na nią obandażowane oczy.

– Przecież mnie nie widzisz – odparła Sara.

– Kruk jest moimi oczami, odkąd pamiętam, a Jed, odkąd go wzięłem jako szczeniaka. Nie ma powodu, żeby to miało się zmienić teraz. Jesteś do niej podobna jak dwie krople wody.

– Co ty robisz, dziecko? – zapytała Kucharka.

– Masz Kowala, Hodge’a, a teraz Lucy i Charliego Pyefincha. Tworzycie razem Ostatnią Rękę.

– Są niedoświadczeni – zaprotestowała Kucharka. – Bez urazy.

Sara złapała ją za ramiona. Przełknęła łzy i popatrzyła na nią z determinacją.

– Byłam dzieckiem, kiedy moi rodzice wraz z pięćdziesięcioma trzema druhami weszli w to lustro. – Wskazała na znajdujące się po drugiej stronie drzwi odciski dłoni. – Naszymi druhami. Twoimi. Zrobili to, żeby ratować coś, co kochali, coś, w co wierzyli. I choć byli w błędzie, nie mogę ich winić. Wydarzyła się Katastrofa i musiałam przystąpić do organizacji, żeby stworzyć Ostatnią Rękę. A byłam młodsza niż tych dwoje! Jest was pięcioro. Tworzycie Rękę. Strzeżcie Obyczaju i Prawa, dopóki nie wrócę. Zbyt długo ukrywałam się w tym domu.

Kiedy zbliżyła się do serwantki, Kowal odchrząknął.

– Nie masz Kłębka. Nie masz jak wrócić do domu. Zaginiesz w lustrach.

Odwróciła się do niego rozzłoszczona.

– Pan Sharp także zaginął! I może nigdy go nie znajdę. Ale nawet jeśli, to oboje będziemy zaginieni. Nie pozwolę odejść najdroższemu przyjacielowi samemu w mrok.

Cisza w piwniczce aż iskrzyła od niewypowiedzianych słów.

– A ja nie puszcze cię samej – burknął Hodge. Podniósł rękę, a kiedy Kruk na niej usiadł, postawił ptaka na ramieniu Sary. Kruk kłapnął dziobem i otrząsnął piórka. Kobieta oniemiała na chwilę.

– Dbaj o nią – powiedział Hodge.

Sara z trudem przełknęła ślinę.

– Będę o nią dbała, obiecuję.

– Mówiłem do Kruka. To on, nie ona.

Kucharka i Kowal wymienili spojrzenia.

Kruk otarł się łebkiem o ucho Sary i zatrzeszczał dziobem.

Kącik jej ust uniósł się lekko.

– Mówi, że nie wie, skąd przyszło ci to do głowy – powiedziała.

Lucy stwierdziła w duchu, że z tym uśmiechem Sara robi wrażenie

niepokonanej.

Sara odwróciła się bez słowa – może dlatego, że nienawidziła rozstań, a może dlatego, że nie mogła wydobyć z siebie głosu. Uniosła rękę w geście pożegnania i weszła w lustro.

Zniknęła.



Kiedy wracali w milczeniu tunelem, Kucharka przystanęła, przyglądając się najnowszemu śladowi dłoni odbitemu tuż przy tym pana Sharpa.

– Kłamała – rzekła łamiącym się głosem.

– Słucham? – zapytał Kowal.

Kucharka wskazała odcisk i zaczęła szukać w fartuchu czystej chusteczki.

– Jeśli pan Sharp kiedyś wróci, będzie wiedział, że go kochała.

Pod inicjałami J.S. i S.F., pomiędzy śladami dwóch dłoni, znajdowały się dodatkowe litery wyskrobane w zaprawie.

– Kto to jest Avo? – zapytał Charlie, wskazując trzy znaki łączące dłonie.

– *Amor vincit omnia* – wyjaśnił Kowal.

– Miłość zwycięża wszystko – przetłumaczyła Kucharka i zagrzmiała w chusteczkę. – To po łacinie.

– Potężny język, ta łacina – odezwała się Lucy.

Kucharka przestała wycierać oczy i spojrzała na dziewczynę. Ta nawet nie mrugnęła.

– Nie zapominasz niczego, co? – pochwaliła ją Kucharka.

– Zapomniałam i tak już zbyt wiele – odrzekła Lucy, spoglądając na Charliego. – Ale zamierzam nauczyć się jeszcze więcej.

Epilog

Stała w ciemności pomiędzy węgorzami, nucąc pod nosem. Światło odbijające się na widocznej w dole wodzie wskazywało na świt. Węgorze pływały wokół niej coraz bardziej niemrawo.

Nie przestając śpiewać, siadła na pomoście i wyciągnęła nogi z wody. Nie przestała też nucić, kiedy ktoś zaczął gmerać przy drzwiach. Było za wcześnie, żeby ją wypuścili, ale i tak się nie bała. Nie bili jej po nocy spędzonej w Węgorzowej Budce. Myśleli, że to kara, wystarczająca kara.

Drzwi jednak nie otworzyły się. To nie byli oni. Był to ktoś, kogo nie poznała po odgłosach. Ktoś próbował dostać się do środka. Wyłamać zamek.

Ktoś zmarznięty, szukający schronienia. Albo może chcący ukraść kosz węgorzy.

Usiłowała się dowiedzieć, kto to, zaglądając do jego myśli, i nagle ten ktoś w odpowiedzi dotknął jej umysłu. Zamilkła. Czuła, że ktoś jej nasłuchuje, na zewnątrz i od środka. „Halo” – pomyślała. „Kto tam?”

Poczuła, jak gwałtownie się wycofuje, jak sieć zdjęta szarpnięciem z jej mózgu.

„Nie bój się. Nie zrobię ci krzywdy. Na belce słuzy leży klucz. Nie upuść go do rzeki”.

Zapadła cisza. Kobieta starała się dotrzeć do nieznanego, ale krył swoje myśli. Węgorze zaczęły więc się gwałtownie. A potem szczęknął zamek. I wszedł nieznajomy.

Ciemny, z tobołkiem na plecach.

– Dziękuję – powiedziała.

Skinął. Był wystraszony, ale nie na tyle, żeby uciekać. Był też ciekawy.

– Mówisz? – zapytała.

„Nie”.

Wydawał się zażenowany.

„Jestem niemową, ale rozumnym”.

„I do tego druciarzem, jak widzę”.

„Jakim cudem możesz mówić w mojej głowie?”

„A jak ty możesz mnie słyszeć?”

– Masz w tym plecaku jakieś lustro na sprzedaż? – zapytała na głos.

Pokazał jeden palec. Tylko jedno.

Ukryła rozczarowanie.

– To nic. Jedno wystarczy. Jeśli pójdziesz ze mną do ogrodu przytułku, weźmiemy stamtąd drugie i pokażę ci sztuczkę, która cię zadziwi.

Kiedy brnęli przez podmokłą łąkę, brodząc w rosie, przyszła jej do głowy inna myśl.

„A masz nóż? Bardzo, bardzo ostry nóż?”

„Tak” – pomyślał Amos. „A co?”

„Zobaczysz. Masz delikatny żołądek?”

Koniec tomu pierwszego

Dramatis personae

Nadzór

Sara Falk – strażniczka Kryjówki przy Wellclose Square
pan Sharp – obrońca i strażnik
Kucharka – niegdysiejsza piratka
Kowal – kowal, jubiler i doradca
Hodge – teriernik i łowca szczurów w londyńskiej Tower
Emmet – golem
Jed – terier staroangielski
Kruk – ptak, jeszcze starszy

Londyn

Lucy Harker – zagubiona dziewczyna
Bill Ketch – opryszek
wielmożny Issachar Templebane – prawnik, pośrednik i bliźniak
wielmożny Zebulon Templebane – prawnik, pośrednik i bliźniak
Bassetshaw, Sherehog, Vintry, Undershaft, Coram i Garlickhythe
Templebane'owie – adoptowani synowie (niedotknięci żadną
przypadłością)
Amos Templebane – adoptowany syn (niemowa, ale rozumny)
wielebny Christensen – pastor Kościoła duńskiego przy Wellclose
Square
Lemuel Bidgood – sędzia pokoju
William George Bunyon – karczmarz i strażnik więzienny w Sly House
Bess Bunyon – jego córka

Gałganiarze – banda rzezimieszków ze slumsów w Seven Dials
Magor – ich herszt
Lily – dziewczyna do towarzystwa z Neptune Street

Rutlandshire i Londyn

Francis Blackdyke, wicehrabia Mountfellow – naukowiec, który został nadnaturalistą
Obywatel – tajemniczy człowiek w niezniszczalnym morskim kaftanie, uznany za zmarłego
Whitlowe – chłopiec na posyłki

Na wsi

Rose Pyefinch – cyrkówka
Barnaba Pyefinch – cyrkowiec
Charlie Pyefinch – ich syn
Na-Barno Eagle – magik estradowy, samozwańczy Wielki Czarodziej Południa
Georgiana Eagle – jego córka, niezwykła piękność
Hector Anderson – magik estradowy, samozwańczy Wielki Czarodziej Północy
Charles John Huffam – cyrkowiec, właściciel tresowanej świni
Harry Stonex – barkarz
Ruby Stonex – jego żona
druciarz – wędrowny morderca

Dom pracy dla sierot Andover

M'Gregor – nadzorca
pani M'Gregor – jego żona

Zmora z izolatki – pensjonariuszka, prawdziwe imię nieznane

Pomiędzy światami

John Dee – znany jako Wędrowiec pomiędzy światami

Wyjęci spod prawa i obyczaju

Krecie Palto, Słonkowa Korona, Piróg, Garbus – Sluagh, znani również
jako Hordy Mroku lub Nocna Hurma

Alp – dusiołek z pogranicza Austro-Węgier

Zielony Człowiek – szalenie w amoku

.

Podziękowania

Dziękuję mojemu redaktorowi Jenni Hill z Orbit/Little, Brown za entuzjazm i pomoc, dzięki której *Nadzór* wyłonił się z cieni na świat, oraz Joannie Kramer za cierpliwą adiustację. Wszelkie niedociągnięcia to moja wina. Dziękuję Fergusowi Flemingowi, Barnaby'emu Rogersonowi i Rose Baring za podczytywanie tekstu i zachęty do pisania. Jestem wdzięczny Willi Paterson za wypożyczenie *Seventy Years a Showman*, pamiętników „Lorda” George’a Sangera, wędrownego cyrkowca żyjącego w dziewiętnastym wieku, będących nieocenionym źródłem pomocy w stworzeniu świata, w którym znalazła się Lucy, podobnie jak artykuły z „Household Words”, tygodnika redagowanego przez Dickensa, były nim dla opisanego Londynu. W mojej książce nie ma Sangerów, ale są podobni Pyefinchowie. Na-Barno Eagle i Hector Anderson, wielcy rywale, istnieli naprawdę, natomiast Georgiana... Cóż, ona również istniała, ale musicie poczekać, żeby się dowiedzieć, co się z nią stało. W rzeczywistości znalazła się w kręgach korony.

Urodzony w Westfalii rabin Samuel był kabalistą, alchemikiem i wieść niosła, że znał prawdziwe imię Boga, stąd też jego przydomek „Ba'al Shem” (Pan Imienia). Jego dom i laboratorium znajdowały się przy Wellclose Square. Do szerokiego grona jego przyjaciół zaliczał się Casanova. Legenda głosi, że rabin wykorzystał swoją wiedzę o Imieniu i dzięki niej stworzył jedyne golema, jaki chodził po ulicach Londynu. Nie istnieją oficjalne dokumenty stwierdzające, jakoby miał wnuczkę o imieniu Sara, ale przecież *Nadzór* również oficjalnie nie istnieje, więc kto wie?

John Dee jest oczywiście postacią historyczną, a jego magiczne akcesoria można obejrzeć w British Museum. Prawdopodobnie

odkryliście prawdziwą tożsamość Obywatela, jednak jeśli nie, musicie poczekać. Żył naprawdę i pokaże się jeszcze nie raz.

Szanowny pan Henderson, z którego przepisu na ciastko eccles korzystała Kucharka, żyje obecnie – nie spotkałem go osobiście, ale niezwykle cenię jego restaurację, a szczególnie właśnie ciasto eccles (z serem), i mam nadzieję, że nie będzie miał nic przeciwko przeniesieniu go do lat czterdziestych dziewiętnastego wieku w ramach dziwacznych podziękowań od obcego.

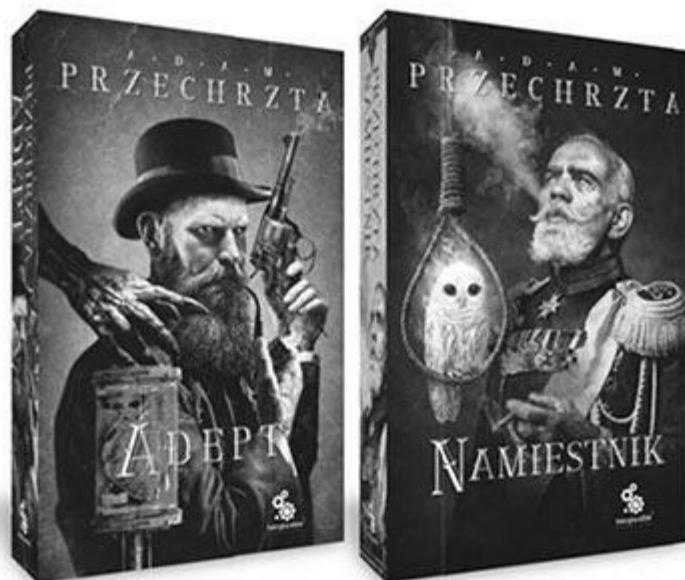
Każdy, kto zna mojego tatę i czytał książkę, mógł dostrzec pewne podobieństwa – o ile nie całego tatę – w Kowalu, a już na pewno rozpoznał jego warsztat. Ten w powieści jest kopia warsztatu taty, tyle że bez części z kuźnią.

Tata zapoznał mnie z Waylandem Smithem, kiedy dzielił ze mną, małym chłopcem, fascynację Kiplingiem. Chyba ta forma wyrażenia wdzięczności, umieszczenie go w powieści, by mu się spodobała. Niestety, zmarł, zanim książka została ukończona. Śmierć członka rodziny to trudne doświadczenie dla wszystkich bliskich, ale w końcowym okresie choroby i jemu, i wszystkim nam bardzo pomagały wspaniałe pielęgniarki środowiskowe. Dziękuję Siobhan Dickson, Tinie Dodd i Janice Colley, a także Kathy, Karen, Theresie i Cheryl z Hospicjum św. Michała. Jestem wdzięczny Paulowi Allsoppowi za profesjonalizm i ogrom cierpliwości oraz dobrego humoru. Twoje wizyty były jasnym promykiem w tych mrocznych dla rodziców chwilach. Szczególne podziękowania należą się mojej kuzynce Tracey Little, najfantastyczniejszej osobie. Wszyscy pomagali nam dotrzymać danych tacie obietnic, bez waszej pomocy nie dokonalibyśmy tego wszystkiego.

A mówiąc o uroku... Domenica. Jestem Ci wdzięczny zawsze i na zawsze. Bez Ciebie wszystko traci blask.

A.V.O.

.



A . D . A . M .
P R Z E C H R Z T A
A D E P T

Fragment

Nocne powietrze pachniało wilgotnym kamieniem – niedawno ulice obmył gwałtowny jesienny deszcz, na granicy percepcji dawało się wyczuć metaliczną nutkę z domieszką spalenizny jak po przejeździe pociągu. Tyle że w enklawie nie było pociągów. Ani ludzi. No a przynajmniej żywych ludzi...

Rudnicki zerknął z niepokojem na wirujące wokół kłęby mgły. Światło gazowych latarni wydobywało z mroku fantastyczne kształty, mamiło oczy, zwodziło umysł. Latarnie w enklawie świeciły dzień i noc, mimo że już dawno odcięto dopływ gazu. Jednak warszawska enklawa rządziła się swoimi prawami. Jak i wszystkie inne. Na szczęście koniunkcja dotknęła tylko największych miast, w imperium rosyjskim ucierpiały jedynie trzy: Petersburg, Moskwa i Warszawa.

Gwałtowny podmuch wiatru rozgonił mgłę i kałuża odbiła kontur księżyca. Rudnicki zaklął bezsilnie – pełnia. Listopad, a więc Księżyc

Łowcy. Tu i teraz nienadzwyczajny prognostyk. Mimo pokrzepiającego ciężaru rewolweru i zamkniętych w butelkach z rżniętego kryształu alchemicznych ingrediencji Rudnicki wolał się nie zastanawiać, komu – jakby co – przypadnie rola myśliwego, a komu zwierzyny.

Zza rogu dobiegł odgłos przypominający zgrzyt żelaza po szkłe i Rudnicki nerwowym gestem sięgnął po broń. Zanim zdążył wycelować, runął na bruk, powalony ciosem w potylicę. Po chwili brutalne kopnięcie przewróciło go na plecy.

– *Wy kto takoj?* – zapytał, mrużąc oczy, żołnierz w mundurze żandarma.

– Al... alchemik. Licencjonowany – dodał Rudnicki pospiesznie. – Moje dokumenty...

– *Leżat'!* – warknął tamten, popierając rozkaz ruchem karabinu.

Rudnicki skulił się odruchowo, tupot buciorów świadczył, że żandarm nie jest sam.

– Pokażcie dokumenty – polecił zimny głos po polsku. – I żadnych gwałtownych ruchów!

Bezbłędny akcent świadczył, że nieznajomy – zapewne dowódca patrolu – albo jest Polakiem, albo świetnie zna polski. Jedno i drugie wydawało się równie mało prawdopodobne: do ochrania granic warszawskiej enklawy celowo wybierano Rosjan i rzadko kiedy na czele patrolu stał ktoś wyższy stopniem od sierżanta czy wachmistrza. A ci nie byli specjalnie wykształceni.

Rudnicki sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął dokumenty, z rozmyślną powolnością uniósł rękę.

– Rzeczywiście alchemik – mruknął nieznajomy. – Licencjonowany. Tylko że licencja wygasła o północy i od kilku godzin jest nieważna.

– *Zastrielit'?* – spytał obojętnie żandarm, podrzucając kolbę do policzka.

– Jeszcze nie – odparł dowódca z prawdziwym bądź udawanym wahaniem w głosie. – Kto wie do czego nam się przyda *gospodin alchimik*? Wstawajcie! – rzucił szorstko.

Rudnicki dźwignął się na nogi, z jękiem obmacał głowę. Zacisnął zęby, ujrzawszy w świetle pobliskiej latarni szkarłat na palcach. Krew.

Jeszcze tego brakowało... Wyciągnął z kieszeni kawałek gazy, skropił ekstraktem z dodatkiem sproszkowanego hematytu.

– Dobrze by było, gdyby ktoś pomógł mi przewiązać głowę – powiedział w przestrzeń.

– Sami nie dacie rady? Mamy was jeszcze niańczyć?

– Beze mnie nie dożyjecie świtu – odciął się gniewnie Rudnicki. – A co do niańczenia...

– Załóż mu opatrunek, Matuszkin – burknął niecierpliwie dowódca.

– Bo będzie nam tu marudził do rana.

– *Słuszajus', wasze wysokobłagorodie.*

Rudnicki wypuścił powietrze z płuc. Jeszcze raz przyjrzał się dowodzącemu patrolom: trzy gwiazdki, a więc porucznik. Gdzie mu tam do *wysokobłagorodia*? To tytuł przysługujący dopiero od kapitana w górę. Pełnego kapitana. Do pułkownika włącznie. A i oficer jakiś dziwny: regularne, rozumne w wyrazie rysy, skażone tylko złamanym jak u boksera nosem, na oko przynajmniej czterdzieści lat. W tym wieku porucznikiem mógł być tylko zupełny nieudacznik. Tymczasem nieznanego otaczała aura kompetencji i władzy. Do tego wyśmienita znajomość polskiego... Taaak, najwyraźniej trafił mu się niezwykajny patrol.

Podziękował skinieniem żołnierzowi, zakorkował buteleczkę, ostrożnie włożył ją w przewieszoną przez ramię torbę.

– Jeśli ktoś jeszcze jest ranny...? – zawiesił wymownie głos.

– Ranny? Nie. Co najwyżej kilka zadrapań – odparł obojętnie oficer.

– Trzeba to opatrzeć – westchnął z rezygnacją Rudnicki.

Porucznik parsknął pogardliwie, podwładni zawtórowali mu śmiechem.

– Przeżyjemy – zapewnił Matuszkin, klepiąc Rudnickiego po ramieniu.

– Niedługo – wycedził Polak.

Żaden z żołnierzy nie powiedział nawet słowa, a jednak luźny przecież kołnierzyk alchemika zaczął nagle uwierać, przypominając szubieniczną pętlę.

– Możecie wyjaśnić? – poprosił oficer ze zwodniczą łagodnością w głosie.

– Mamy pełnię – odparł pośpiesznie Rudnicki. – I listopad. Nazywają to Księżycem Łowcy. Tu, w enklawie, i na co dzień jest niebezpiecznie. Wystarczy zapach krwi, żeby sprowokować to... co tu żyje. Pełnia pogłębia problem. A Księżyc Łowcy...

Przerwało mu kilka określeń, jakich rzadko używa się nawet w koszarach. Dopiero po chwili Rudnicki zorientował się, że żołnierze przeklinają nie jego, ale własną głupotę.

– Więc dlatego troszczył się pan o opatrunek?

Tym razem w głosie porucznika nie było protekcjonalnej nutki, a w zdaniu rosyjskich konstrukcji gramatycznych.

– Owszem. Ten eliksir nie tylko powstrzymuje krwawienie, likwiduje również zapach krwi.

– Opatrzy pan rannych?

– Oczywiście, ale nie tutaj. Lepiej wejść do jakiegoś mieszkania. Musimy porozmawiać.

– To na pewno – przyznał oficer wieloznacznym tonem.

Ruszyli naprzód, przynagleni gestem porucznika. Rudnicki szedł środkiem ulicy, żandarmi zajęli pozycje plecami do ścian budynków. Biorąc pod uwagę, że i oficer, i każdy z trzech żołnierzy dźwigali po dodatkowym karabinie, patrol był mocno zdekompletowany. Nic dziwnego w enklawie...

Stopniowo zabudowa stawała się coraz bardziej nierzeczywista, podając w wątpliwość świadectwo zmysłów. Przysadziste warszawskie kamienice rosły w górę jak gotyckie katedry, na dachach pojawiało się coraz więcej gargulców i chimery z rozdziawionymi w drapieżnym grymasie paszczami, okna przypominały otwory strzelnicze.

– Może tutaj? – zaproponował oficer.

Brama kamienicy zionęła niemal namacalnym mrokiem, niczym wejście do krypty, tuż obok leżała oblana blaskiem pobliskiej latarni gazeta.

– Nie ruszajcie! – rzucił ostro Rudnicki.

– *Gospodin alchimik*. – Porucznik z rewerencją przepuścił go przodem.

– „Kurier Poranny”, kronika kryminalna – przeczytał na głos

Rudnicki. – „Wczoraj o godzinie drugiej w nocy wezwane za roгатki Jerozolimskie pogotowie zastało w kałuży krwi robotnika, trzydziestoletniego Michalskiego, z raną kłutą zadaną w okolicę serca. Rannego przewieziono do Szpitala Dzieciątka Jezus, gdzie wkrótce zmarł”. Idziemy dalej!

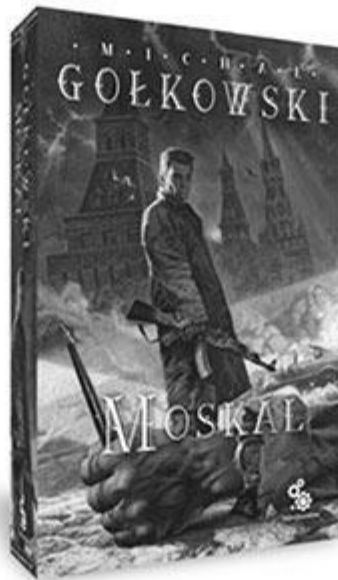
– A to dlaczego?

– Bo to ostrzeżenie! – warknął Polak.

– Ostrzeżenie?

Rudnicki westchnął bezradnie: w głosie porucznika nie było agresji, a lufa trzymanego niedbale karabinu celowała w bruk, jednak nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna oczekuje odpowiedzi. Wyczerpującej odpowiedzi.

.



· M · I · C · H · A · Ł ·
GOŁKOWSKI
MOSKAŁ
Fragment

Warszawska Praga, ostatnie miesiące komuny

Panie, kup pan pióro...

Mijałem tego faceta już nie wiem ile razy, przychodząc tu na rynek praktycznie co tydzień, ale dopiero teraz zwróciłem na niego uwagę.

Zasuszony typ o cerze jak mokry papieros, na nosie przyduże okulary w rogowej oprawce, przygaszony wzrok lekko szklistych oczu alkoholika. Jesionka musiała widzieć już swoje lepsze lata, teraz kołnierz wyliniał i postrzępił się, buty też kilkanaście sezonów widziały... A mimo to nie wygląda na typowego menela-pasera z Rózyckiego.

Był to raczej typ kogoś, kto ciągnie nabranym dawno, dawno temu rozpędem. Może podupadła rodzina mieszczańska? Wypalony powojenny inteligent? Profesor uniwerku, który kiedyś wypił o jedną lufkę za dużo?

– Kup pan pióro... – powtarza jak mantrę, patrząc mi prosto w oczy.

Uświadamiam sobie, że słyszałem go wiele, wiele razy, bo stoi tutaj, w rogu przy bramie, w zasadzie odkąd pamiętam.

Koników i cinkciarzy nagabujących nowo przybyłych na Różyca zawsze starałem się jak najszybciej zostawić za sobą, nie chcąc nawet być widzianym w ich towarzystwie, więc i on jakoś zlewał mi się z tłem. „Kup pan pióro” – zawsze ten sam, jeden jedyny tekst.

A dzisiaj stoi tu sam, reszta pewnie zdecydowała, że w taką pogodę nie ma się co nadymać.

– Pióra pan nie kupi? – Spogląda na mnie z nadzieją. Zauważalnie ożywia się, widząc, że zwolniłem i zawahałem się. Staję przy nim, niepewny, co w ogóle chcę zrobić.

– Jakiego znów pióra? – Rozglądam się na lewo i prawo, zastanawiając, czy to nie jakaś podpucha lokalnych cwaniaczków.

– Dobre pióro, piękne, panie kochany... – szepcze typek, nerwowo oblizując wargi. – Historyczne!

– O, a to ciekawostka.

Musiał usłyszeć nieudawane zainteresowanie w moim głosie, bo sięga do kieszeni, wyjmując zawinięte w chustkę drewniane pudełeczko.

– Pan sam popatrzy. – Uchyła wieczko.

Nie muszę oglądać dokładnie, bo na pierwszy rzut oka widzę, że facet ma w ręku prawdziwą perełkę. Na sto procent przedwojenny egzemplarz. Szkarłatny bakelit wypolerowany przez lata używania, wykończenia i stalówka lśni poblaskiem czerwonego złota, delikatny rys grawerunku na metalowych elementach cieszy oko... Przepiękne. Absolutnie przepiękne.

Wyciągam rękę, ale menel zatrząskuje wieczko, chowa pudełko za siebie.

– Nie! Nie, ja...

Mrugam, zaskoczony. Facet reflektuje się, twarz wykrzywia mu

grymas zawstydzienia i strachu przed utratą potencjalnego kupca.

– Ja przepraszam, ja nie chciałem. Pan wybaczy, ja pana przepraszam. Pan rozumie, pamiątka, przywiązanie... Niech pan kupi, błagam. – Chwyta mnie za rękaw. – Prawdziwe, historyczne pióro. Zabytkowe.

– Skąd pan wiesz? – Przez chwilę mam ochotę odejść, bo w nieznanym jest coś... coś dziwnego. Niepokojącego.

Widzę, że czoło ma zroszone potem, rusza się niepewnie, jakby cały czas zmagał się sam ze sobą. Chory psychicznie, czy może narkoman?

– Wiem. Niech pan mi uwierzy, ja nie kłamię. Prawie sto lat już... Prawdziwy zabytek.

Wydymam pogardliwie wargi, chociaż już chyba podjąłem decyzję. Teraz tylko nie dać mu poznać, że chcę je kupić.

– I niby skąd ta pewność?

– Bo wiem, kto nim pisał... – Człowieczek patrzy na czubki znoszonych butów, jakby się czegoś wstydził. – Powiedzieć panu?

Kiwam głową, on pokazuje, żebym się nachylił. Czuję zapach taniej wody po goleniu, papierosów i przepoconych koszul, gdy menel szepcze mi do ucha trzy słowa.

.

COPYRIGHT © 2014 BY Charlie Fletcher
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2017*
COPYRIGHT © FOR TRANSLATION BY Marek Najter, 2017*

TYTUŁ ORYGINAŁU
The Oversight

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-276-2

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski
Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE
Siergiej Szikin

ILUSTRACJE
black gear Paweł Zaręba

TYPOGRAFIA NA PODSTAWIE PROJEKTU
Dark Crayon

PROJEKT OKŁADKI
black gear Paweł Zaręba,
„Grafficon” Konrad Kućmiński

TŁUMACZENIE
Andrzej Kossakowski

REDAKCJA
D.Joanna Mika-Orządala

KOREKTA
Maria Brzyska,
Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



Zamówienia hurtowe

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow/

Wytatuowany mężczyzna sięgnął pod płaszcz i dobył swojej broni. Dziwnie zakrzywione ostrze zaśniło złotawo w blasku świecy. Wyglądało jak wygięty sierp z brązu. Nieznajomy przystawił je do szyi dziewczyny. Uśmiechnęła się sennie i zachichotała, kiedy krawędź załaskotała ją w gardło.

– Posłuchaj, chłopcze, chciałem się tylko zabawić z tą laleczką, ale skoro sprawa poszła na ostrza, myślę, że na dobry początek zwilżę swoje, a głowa tej ślicznotki spadnie na twoje delikatne sumienie. Może więc lepiej schowaj nożyk i odejdz. Nie zamierzam zrobić jej niczego, czego już by nie robiła albo czego nie będzie robiła po wielokroć w przyszłości. Nic jej nie będzie, no chyba że się nie dogadamy.

(...) nagle, zanim dokończył zdanie, oszołomiona dziewczyna zaczęła ruszać się tak szybko, że nie zdołał nawet pomyśleć o obronie. Wykręciła się, zanurkowała w dół, wydostając się spod ostrza, podbiła mu przegub, a kiedy wyprostował ramię, uderzyła w łokieć, zginając go z chrzęstem w drugą stronę.

Broń wypadła z drgających palców, usta mężczyzny otworzyły się do krzyku, a wtedy dziewczyna kopnęła go w bok kolana, wybijając je ze stawu.

Runął wykrzywiony na bruk i w następnej chwili miał przy szyi ostrze, które złapała w locie.

Zastygł w dziwacznej pozycji, a krzyk zamarł mu w gardle.

· C · H · A · R · L · I · E ·
F L E T C H E R

NADZÓR

TRYLOGIA NADZORU, TOM 1

Granica między światem zwyczajnym a magicznym jest zaskakująco cienka, a strzeże jej jedynie pięcioro ludzi.

Niegdyś Nadzór, **TAJNY ZWIĄZEK** strażników, liczył setki dzielnych dusz, dziś można ich policzyć na palcach jednej dłoni. W mieście panoszą się **OKRUTNI MORDERCY**, magiczne istoty żerują pod osłoną mroku, a wrogowie podchodzą coraz bliżej. Nadzór jest osłabiony i rozdarty. Pewnej nocy pod drzwiami jego siedziby zjawia się **OPRYSZEK Z WORKIEM** z niecodzienną zawartością. Wydaje się, że oto pojawiła się szansa na uzupełnienie sił. Jednak wiele wskazuje na to, że pozorne błogosławieństwo jest raczej zmyślną pułapką, która ma doprowadzić Nadzór do ostatecznego i całkowitego upadku.



Mroczna, dickensowska historia opowiada o **ŁOWCACH CZAROWNIC**, magach, podróżnikach przechodzących przez lustra i najbardziej zaskakujących bohaterach wygrzebanych z czeluści **BRYTYJSKICH LEGEND**. Poznajcie Nadzór i pamiętajcie – jeśli oni polegną, polegniemy wszyscy.

fabrykaslow.com.pl
facebook.com/fabryka